



THE DEADLIEST
WEAPON ON EARTH.
FOR SALE TO THE
HIGHEST BIDDER

PATRICK
ROBINSON

Bestselling Author of NIMITZ CLASS

KILO
CLASS

PATRICK ROBINSON

Arnold Morgan #2 Klasa kilo

Przełożył: Jacek Manicki

w

nrn

J

Tytuł pozaseryjny 174 pozycja książkowa Wydawnictwa Puls Patrick Robinson KILO CLASS

Przełożył: Jacek Manicki Redakcja: Jacek Ring

© Patrick Robinson

Wydanie pierwsze: Wydawnictwo Puls Londyn 2001

Wszystkie prawa zastrzeżone All rights reserved

ISBN 1 85917 086 2

' Powieść tę z całym szacunkiem dedykuję służbom sił podwodnych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych – ludziom, którzy noszą naszywki z delfinem i operują w głębiach mórz i oceanów.

PODZIĘKOWANIA

Moim głównym konsultantem podczas pracy nad powieścią był admirał sir John „Sandy” Woodward, dowódca grupy operacyjnej sił ekspedycyjnych Royal Navy podczas wojny

0 Falklandy w roku 1982. Po zakończeniu wojny na południowym Atlantyku pełnił funkcję oficera flagowego sił podwodnych Royal Navy, a potem został szefem sztabu marynarki wojennej. Nie mógłbym chyba pozyskać do współpracy kogoś bardziej znającego się na rzeczy, nie wspominając już o tym, że admirał sir John „Sandy” Woodward jest doświadczonym oficerem i brał czynny udział w największej od czterdziestu lat wojnie morskiej.

Klasa Kilo to thriller o okrętach podwodnych, którego powstanie poprzedziły długie miesiące studiów, gromadzenia materiałów i konsultacji. Moje biuro było cały czas zawałone mapami morskimi, atlasami oraz literaturą fachową, a pośrodku tego wszystkiego siedział admirał „Sandy” i podsuwał mi najrozmaitsze scenariusze. Byłem pod wrażeniem jego pomysowości

1 dbałości o najdrobniejsze szczegóły.

Moim zdaniem Zachód powinien być rad, że ma go po swojej stronie. *

Mam też ogromny dług wdzięczności wobec Lesley Chamberlain, autorki przepięknie napisanej książki o Rosji Wołga, Wołga. Lesley była przewodnikiem moim i moich okrętów podwodnych klasy Kilo po tej wielkiej rzece i podzieliła się ze mną szczerze wspomnieniami z okresu, kiedy jako tłumaczka pływała po rosyjskich jeziorach na statkach wycieczkowych.

Pomagała mi też grupa oficerów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, z których wielu nadal pozostaje w czynnej służbie. Jestem im głęboko wdzięczny za czas, jaki poświęcili na

PODZIĘKOWANIA

Moim głównym konsultantem podczas pracy nad powieścią był admirał sir John „Sandy” Woodward, dowódca grupy operacyjnej sił ekspedycyjnych Royal Navy podczas wojny

0 Falklandy w roku 1982. Po zakończeniu wojny na południowym Atlantyku pełnił funkcję oficera flagowego sił podwodnych Royal Navy, a potem został szefem sztabu marynarki wojennej. Nie mógłbym chyba pozyskać do współpracy kogoś bardziej znającego się na rzeczy, nie wspominając już o tym, że admirał sir John „Sandy” Woodward jest doświadczonym oficerem i brał czynny udział w największej od czterdziestu lat wojnie morskiej.

Klasa Kilo to thriller o okrętach podwodnych, którego powstanie poprzedziły długie miesiące studiów, gromadzenia materiałów i konsultacji. Moje biuro było cały czas zawałone mapami morskimi, atlasami oraz literaturą fachową, a pośrodku tego wszystkiego siedział admirał „Sandy” i podsuwał mi najrozmaitsze scenariusze. Byłem pod wrażeniem jego pomysłowości i dbałości o najdrobniejsze szczegóły.

Moim zdaniem Zachód powinien być rad, że ma go po swojej stronie.

Mam też ogromny dług wdzięczności wobec Lesley Chamberlain, autorki przepięknie napisanej książki o Rosji Wołga, Wołga. Lesley była przewodnikiem moim i moich okrętów podwodnych klasy Kilo po tej wielkiej rzece i podzieliła się ze mną szczerze wspomnieniami z okresu, kiedy jako tłumaczka pływała po rosyjskich jeziorach na statkach wycieczkowych.

Pomagała mi też grupa oficerów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, z których wielu nadal pozostaje w czynnej służbie. Jestem im głęboko wdzięczny za czas, jaki poświęcili na

8

przeczytanie roboczej wersji mojej książki, poprawienie błędów i urealnienie wysnutej przeze mnie fabuły.

Mele im zawdzięczam. Ale co tu ukrywać, bez admirała „Sandy'ego” ta książka by nie powstała.

Patrick Robinson

OD AUTORA

Jeszcze nie tak dawno był to codzienny widok na wszystkich oceanicznych wodach omywających europejską linię brzegową: siedemdziesięciotrzymetrowy rosyjski okręt podwodny klasy Kilo wynurzony pruje podczas patrolu fale, wszystkie maszty ESM podniesione, na mostku pod dawną banderą ZSRR kuli się zazwyczaj kilku członków załogi...

smolistoczarny symbol sowieckiej obecności na morzach i oceanach świata.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat zimnej wojny okrętów tej klasy pełno było na wszystkich rosyjskich wodach terytorialnych, a niejednokrotnie spotykało się je daleko poza ich granicami. Patrolowały Bałtyk, północny Atlantyk, Morze Białe, Morze Barentsa, Morze Śródziemne, a nawet, operując z wielkiej bazy we Władywostoku – Pacyfik, Morze Beringa i Morze Japońskie.

Kilo, ze swoją wypornością, która w zanurzeniu wynosi trzy tysiące ton, nie zalicza się bynajmniej do dużych okrętów podwodnych – sowieckie Typhoony to dwudziestodwutysięczniki. Jednak ta niewielka jednostka o napędzie konwencjonalnym groźna jest dzięki jednej nieocenionej zaletce: obsadzona sprawną, dobrze wyszkoloną załogą, i umiejętnie dowodzona, potrafi poruszać się niemal bezgłośnie.

Najistotniejszą cechą wszystkich okrętów podwodnych jest niewykrywalność. A ze wszystkich podwodnych wojowników Kilo jest jednym z najtrudniejszych do wykrycia. W odróżnieniu od wielkich okrętów o napędzie atomowym nie ma reaktora wymagającego wspomagania licznymi podsystemami mechanicznymi, które stanowią źródła hałasu.

W zanurzeniu, na silnikach elektrycznych zasilanych z ogromnej baterii akumulatorów, Kilo potrafi poruszać się z szybkością do siedemnastu węzłów. Przy małych szybkościach cichy szum jej jednostki napędowej jest praktycznie niesłyszalny. Kilo narażony

10

jest na wykrycie w chwilach, kiedy wynurza się na głębokość peryskopową, by doładować akumulatory, rzecz jasna, jeśli pominąć możliwość namierzenia go aktywnym sonarem.

Na czas tej operacji Kilo uruchamia silniki dieslowskie -proces ten nazywany jest w branży chrapaniem, a w Royal Navy – parskaniem. W tym czasie może zostać usłyszany, może wykryć go radar, wykryte mogą zostać jony znajdujące się w gazach wydechowych diesla, może nawet zostać zauważony, i nie ma na to rady.

Dwa dieslowskie generatory okrętu podwodnego, podobnie jak silnik samochodowy, zasysają podczas pracy tlen. Okrętowi potrzebne jest powietrze. I żeby go zaczerpnąć, musi się wynurzyć przynajmniej na głębokość peryskopową. Wtedy właśnie jest najbardziej narażony na wykrycie i dlatego Kilo patrolujący nieprzyjazne wody chrapie tylko wówczas, kiedy musi doładować potężne akumulatory. A i wtedy robi to jedynie pod osłoną nocy -by zredukować ryzyko wypatrzenia – i możliwie jak najkrócej, żeby zmniejszyć do minimum ewentualność, iż zostanie usłyszany i namierzony.

Na silnikach elektrycznych Kilo jest w stanie przepłynąć powoli i cicho czterysta mil bez potrzeby doładowywania akumulatorów. Chrapiąc od czasu do czasu, potrafi pokonać sześć tysięcy mil bez uzupełniania paliwa. Jako jednostka bojowa pierwszej linii obsadzany jest pięćdziesięciuosobową załogą (w tym trzynastoma oficerami). Oprócz niewielkiego

arsenału pocisków krótkiego zasięgu powierzchnia wody-powietrze zabiera również na pokład dwadzieścia cztery torpedy, z których dwie są zwyczajowo wyposażone w głowice jądrowe.

Jednak obecnie na oceanach świata rzadko spotyka się Kilo pływający pod rosyjską banderą. Od czasu drastycznej zapaści, jaką przeszła sowiecka marynarka wojenna na początku lat dziewięćdziesiątych, większość Kilo ugrzęzła w dogorywających bazach rosyjskiej marynarki. Pozostały tylko dwa Kilo na Bałtyku, dwa na Morzu Czarnym, sześć we Flocie Północnej i około czternastu we Flocie Oceanu Spokojnego.

A przecież ten groźny niewielki okręt podwodny nadal służy swemu krajowi. Teraz buduje się go prawie wyłącznie na eksport i nie ma na całym świecie okrętu wojennego, na który byłby większy popyt. Ogromne dochody czerpane ze sprzedaży „nowego, udoskonalonego, jeszcze cichszego Kilo” idą na regulowanie

rachunków bliskiej bankructwa marynarki i pozwalają utrzymać w gotowości niewielką część rosyjskiej floty.

Rosjanie przejawiają jednak trochę niepokojącą skłonność do sprzedawania okrętów klasy Kilo każdemu, kto dysponuje dostatecznie wypchanym portfelem: jeden Kilo kosztuje trzysta milionów dolarów.

I chociaż nie wzbudził specjalnych emocji fakt, że po jednym kupiły Polska i Rumunia, a dwa, z drugiej ręki, Algieria, to doszło do pewnej konsternacji, kiedy osiem Kilo zamówiły Indie. Tylko że Indie nie są postrzegane jako kraj stanowiący potencjalne zagrożenie dla Zachodu.

Prawdziwa burza rozpętała się za to za sprawą Iranu. Pomimo śmiałej próby interwencji podjętej przez Amerykanów ajatollahom udało się zdobyć dwa Kilo, które w nie wyjaśniony do końca sposób dostarczyli im Rosjanie.

Irańczycy niezwłocznie zamówili trzeci okręt, który wkrótce ma zawinąć do portu Bandar-e Abbas w Zatoce Perskiej.

Wszystko to jednak straciło na znaczeniu, kiedy do międzynarodowej gry w rozbudowywanie marynarki wszedł nowy i śmiertelnie poważny gracz. Był to kraj, który zbudował trzecią co do wielkości flotę okrętów wojennych w niespełna dwadzieścia lat; kraj, w którego bazach marynarki wojennej służy dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób; kraj, którego ambicją jest dołączenie do grona supermocarstw.

I jest to kraj, który ma pojęcie o wykorzystaniu okrętów podwodnych, o którym wiadomo, że potrafi wyprodukować głowicę nuklearną o stopniu skomplikowania wystarczającym, by nadawała się do zainstalowania w torpedzie.

Kraj, który niespodziewanie, nie bacząc na stanowczy sprzeciw Stanów Zjednoczonych Ameryki, zamówił u Rosjan dziesięć okrętów podwodnych klasy Kilo o napędzie dieslowsko-elektrycznym.

Chiny.

LISTA GŁÓWNYCH POSTACI

Wyższe dowództwo Prezydent Stanów Zjednoczonych (zwierzchnik Sił Zbrojnych

Stanów Zjednoczonych) Wiceadmiral Arnold Morgan (doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego)

Admiral Scott F. Dunsmore (przewodniczący Połączonego

Komitetu Szefów Sztabów)

**Harcourt Travis (sekretarz stanu) Kontradmiral George R. Morris (dyrektor Agencji
Bezpieczeństwa Narodowego)**

Wyższe dowództwo marynarki Stanów Zjednoczonych

**Admiral Joseph Mulligan (szef operacji morskich – CNO) Wiceadmiral John F. Dixon
(dowódca sił podwodnych Floty**

Atlantyku)

Kontradmiral John Bergstrom (dowódca – dowództwo

sił specjalnych SPECWARCOM)

**USS „Columbia” Komandor Cale „Boomer” Dunning (dowódca) Komandor porucznik Mike
Krause (zastępca dowódcy) Komandor porucznik Lee O'Brien (główny mechanik) Starszy
sierżant Rick Ames (zastępca komandora porucznika**

O'Briena)

**Bosman Earl Connard (szef mechaników) Komandor porucznik Jerry Curran (szef systemów
bojowych) Porucznik Bobby Ramsden (oficer sonaru) Porucznik David Wingate (oficer
nawigacyjny) Porucznik Abe Dickson (oficer pokładowy)**

Formacja SEAL Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych

Komandor porucznik Rick Hunter (dowódca zespołu SEAL

i koordynator misji)

Podporucznik Ray Schaeffer Starszy sierżant Fred Cernic Bosman Harry Starek Marynarz Jason Murray

Bombowiec B-52H Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych

Podpułkownik Al Jaxtimer (pilot, 5. Skrzydło Lotnictwa Bombowego, baza sił powietrznych Minot w Dakocie Północnej) Major Mike Parker (drugi pilot) Porucznik Chuck Ryder (nawigator)

Centralna Agencja Wywiadowcza

Frank Reidel (szef wydziału dalekowschodniego)

Carl Chimei (agent operacyjny, baza okrętów podwodnych na Tajwanie)

Angela Rivera (agent operacyjny, Europa Wschodnia i Moskwa)

Wyższe dowództwo wojskowe Chin

Przewodniczący (zwierzchnik Ludowej Armii Wyzwoleńczej)

General Qiao Jiyun (szef sztabu generalnego)

Admirał Zhang Yushu (głównodowodzący Ludowej Armii

Wyzwoleńczej – Marynarka Wojenna [LAWM]) Wiceadmirał Sang Ye (szef sztabu marynarki) Wiceadmirał Yibo Yunsheng (dowódca Floty Morza

Wschodniochińskiego) Wiceadmirał Zu Jicai (dowódca Floty Morza

Południowochińskiego) Wiceadmirał Yang Zhenying (komisarz polityczny) Kapitan Kan Yufang (dowódca okrętu podwodnego)

Marynarka rosyjska

Admirał Witalij Ranków (szef sztabu generalnego) Komandor porucznik Lewicki Komandor

porucznik Kazakow

Formacja SEAL Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych

Komandor porucznik Rick Hunter (dowódca zespołu SEAL

i koordynator misji)

Podporucznik Ray Schaeffer Starszy sierżant Fred Cernic Bosman Harry Starek Marynarz Jason Murray

Bombowiec B-52H Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych

Podpułkownik Al Jaxtimer (pilot, 5. Skrzydło Lotnictwa Bombowego, baza sił powietrznych Minot w Dakocie Północnej) Major Mike Parker (drugi pilot) Porucznik Chuck Ryder (nawigator)

Centralna Agencja Wywiadowcza

Frank Reidel (szef wydziału dalekowschodniego)

Carl Chimei (agent operacyjny, baza okrętów podwodnych

na Tajwanie)

Angela Rivera (agent operacyjny, Europa Wschodnia i Moskwa)

Wyższe dowództwo wojskowe Chin

Przewodniczący (zwierzchnik Ludowej Armii Wyzwoleńczej)

General Qiao Jiyun (szef sztabu generalnego)

Admirał Zhang Yushu (głównodowodzący Ludowej Armii

Wyzwoleńczej – Marynarka Wojenna [LAWM]) Wiceadmirał Sang Ye (szef sztabu marynarki) Wiceadmirał Yibo Yunsheng (dowódca Floty Morza

Wschodniochińskiego) Wiceadmirał Zu Jicai (dowódca Floty Morza

Południowochińskiego) Wiceadmirał Yang Zhenying (komisarz polityczny) Kapitan Kan Yufang (dowódca okrętu podwodnego)

Marynarka rosyjska

Admirał Witalij Ranków (szef sztabu generalnego) Komandor porucznik Lewicki Komandor

porucznik Kazakow

Marynarze rosyjscy Kapitan Igor Wołkow (szyper Tolkacza) Iwan Wołkow (jego syn i pierwszy sternik) Pułkownik Karpow (pierwszy oficer na „Michaile

Lermontowie") Pułkownik Borsow (były pracownik KGB, pierwszy oficer na.Juriju Andropowie")

Pietia (steward kabinowy) Torbin (pierwszy steward)

Pasażerki rosyjskiego statku wycieczkowego

Jane Westenholz (z Greenwich w stanie Connecticut) Cathy Westenholz (jej córka)

Dyplomata rosyjski Nikołaj Riabinin (ambasador Rosji w Waszyngtonie)

Tajwańska Grupa Planowania Nuklearnego

Prezydent Tajwanu

General Jin-Chung Chou (minister obrony narodowej) Profesor Liao Lee (Narodowy Uniwersytet Tajwański) Chiang Yi (główny konstruktor z Tajpej)

Załoga „Yonder"

Komandor Cale „Boomer" Dunning Jo Dunning

Komandor porucznik Bill Baldrige

Laura Anderson

Roger Mills

Gavin Bates

Jeff Hewitt

Thwaites Masters

Załoga statku oceanograficznego „Cuttyhunk"

Kapitan Tug Mottram (kapitan, Instytut Oceanografii

w Woods Hole)

Bob Lander (zastępca kapitana) Kit Berens (nawigator) Dick Elkins (radiooperator)

Naukowcy z „Cuttyhunk”

**Profesor Henry Townsend (szef zespołu) Profesor Roger Deakins (starszy oceanograf)
Doktor Kate Goodwin (MIT/Woods Hole)**

Dziennikarz prasowy

Frederick J. Goodwin („Cape Cod Times”)

–

PROLOG

7 września 2003

Kolumna składająca się z czterech samochodów, nie zwalniając, skręciła z West Executive Avenue w bramę posesji przy 1600 Pennsylvania Avenue. Wartownik gestem ręki dał znak, że droga wolna, i czterej agenci Secret Service jadący pierwszym wozem kiwnęli mu sztywno głowami. W ślad za nimi bramę minęły dwie limuzyny sztabowe Pentagonu, każda ze strażnikiem z marynarki obok kierowcy. Kolumnę zamykał drugi wóz eskorty z czwórką agentów Secret Service.

Przed wejściem do Skrzydła Zachodniego czekało kolejnych czterech z trzydziestu pięciu agentów pełniących służbę przy Białym Domu. Każdemu z mężczyzn wysiadających z pentagon-skich limuzyn wydawano plakietkę identyfikacyjną. Nie dostał jej tylko przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, admirał Scott F. Dunsmore, który miał stałą przepustkę.

Z tej samej co on limuzyny wysiadł mężczyzna imponującego wzrostu, admirał Joseph Mulligan, były dowódca atomowego okrętu podwodnego klasy Trident, a obecnie szef operacji morskich, głównodowodzący Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Trzecim z pasażerów był wiceadmirał Arnold Morgan, błyskotliwy, nadpobudliwy dyrektor supertajnej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego z siedzibą w Fort Meade w stanie Maryland.

Pasażerami drugiej limuzyny sztabowej byli dwaj starsi oficerowie flagowi sił podwodnych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych: wiceadmirał John F. Dixon, dowódca sił podwodnych Floty Atlantyku, oraz kontradmirał Johnny Barry, dowódca sił podwodnych Floty Pacyfiku. Obu w nocy wezwano do Waszyngtonu. Teraz była 4.30 po południu i trochę się już ochłodziło.

Widok pięciu tak wysokich rangą oficerów w pełnym umun-

durowaniu, przybywających jednocześnie do Białego Domu, nie należał do częstych. Przewodniczącego krocącego między dwoma wyższymi oficerami otaczała aura władczości. W wielu krajach wizyta taka mogłaby nasunąć podejrzenie, że zanoszą się na przewrót wojskowy. Tutaj, w siedzibie prezydenta Stanów Zjednoczonych, kwitowana była przez agentów Secret Service jedynie służbistymi kiwnięciami głów.

Chociaż nominalnie tytuł zwierzchnika sił zbrojnych przysługuje prezydentowi, to w rzeczywistości właśnie ci mężczyźni dowodzili forpocztą Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych: patrolująciami oceany świata wielkimi grupami uderzeniowymi lotniskowców, które dysponują własnym lotnictwem bojowym, oraz flotą atomowych okrętów podwodnych.

Od mężczyzn tych zależała też w wielkim stopniu obsługa wszystkiego, co związane z prezydentem. Marynarką wojenną zarządza Camp David i w sytuacjach kryzysowych bierze na siebie odpowiedzialność za życie prezydenta, roztaczając bezpośrednio opiekę nad prywatną, kuloodporną salą prezydencką w szpitalu marynarki wojennej w Bethesda.

89. Skrzydło Wojskowego Lotnictwa Transportowego, podległe Dowództwu Lotnictwa Transportowego, obsadza załogą i utrzymuje w stałej gotowości prywatny prezydencki samolot Boeing 747 Air Force One. Piechota morska na każde żądanie używa prezydentowi swoich helikopterów. Armia opiekuje się wszystkimi samochodami Białego Domu i dostarcza kierowców.

Departament Obrony zabezpiecza wszelką łączność. Przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów nie przybywa do Białego Domu w otoczeniu wyższych dowódców wojskowych z towarzyską wizytą. To najbardziej zaufani obywatele Ameryki, ludzie, których pozycji i ogromnego autorytetu nie podkopią żadne polityczne zawirowania, nawet zmiana głowy państwa. To ludzie, którzy nie ugną się przed władzą cywilną; ludzie, z których opinią liczyć się musi każdy prezydent.

Tak więc tego słonecznego letniego popołudnia, kiedy wkraczali do Gabinetu Owального, 43. prezydent podniósł się zza biurka i stanął przed nieruchomymi flagami marynarki wojennej, piechoty morskiej i sił powietrznych, by z całym szacunkiem powitać gości.

Uśmiechał się i zwracał do każdego po imieniu, nawet do dowódcy sił podwodnych Floty Pacyfiku, którego widział po raz pierwszy. Wyciągając do niego rękę, powiedział ciepło:

–Johnny, wiele o tobie słyszałem. Cieszę się, że wreszcie mogę cię osobiście poznać.

Usiedli w pięciu kapitańskich fotelach ustawionych półkolem przed wielkim biurkiem głowy państwa.

–Panie prezydencie – zagaił admirał Dunsmore. – Mamy problem.

–Tak też sobie pomyślałem, Scott.

–Sprawa nie jest świeża, ale nigdy nie uważaliśmy jej za palącą, bo szczerze mówiąc, nie sądziliśmy, że do czegoś takiego dojdzie. No ale doszło.

–O co chodzi?

–O tych dziesięć rosyjskich okrętów podwodnych klasy Kilo zamówionych przez Chiny.

–Z których w ciągu pięciu lat dostarczono tylko dwa, dobrze mówię?

–Tak, sir. Otóż mamy podstawy sądzić, że reszta zamówienia zostanie sfinalizowana przed upływem najbliższych dziewięciu miesięcy. W kilku rosyjskich stoczniach dobiega już końca budowa ośmiu pozostałych.

–A te dwie jednostki, które są już na miejscu, nie były nam dotąd solą w oku?

–Owszem, sir, były, ale nie aż tak. Jest mało prawdopodobne, by obie znajdowały się jednocześnie w pełnej gotowości operacyjnej. Ale to się kończy. Jeśli Chińczycy odbiorą pozostałe osiem jednostek, będą mogli blokować Cieśninę Tajwańską zespołem złożonym z trzech albo czterech sprawnych zawsze Kilo. Zamknęliby w ten sposób cieśninę przed wszystkimi, także przed nami. W ciągu kilku miesięcy zajęliby Tajwan i anektowali go.

–Niedobrze.

–Gdyby- te Kilo patrolowały Cieśninę Tajwańską – wtrącił admirał Mulligan – nie odważylibyśmy się tam wysłać lotniskowca. Oni tylko by na to czekali. Mogliby go spokojnie zaatakować, a potem podnieść krzyk, że nasza grupa uderzeniowa naruszyła bezprawnie chińskie wody terytorialne.

–Hmmm. Mamy jakieś rozwiązanie?

–Tak, sir. Nie wolno nam dopuścić, żeby dostawa pozostałych ośmiu Kilo doszła do skutku.

–Mam przez to rozumieć, że powinniśmy wyperswadować Rosjanom realizację zamówienia?

–Nie, sir – powiedział admirał Morgan. – Śmiem wątpić, czy daliby się przekonać. Zresztą już próbowaliśmy. To tak jakby ktoś usiłował przekonać narkomana na głodzie, że nie potrzeba mu pieniędzy.

–Co więc proponujecie?

–Stosować inne sposoby perswazji, sir. Jeden po drugim, aż wybijemy Chińczykom z głowy rosyjskie okręty podwodne.

–Chcesz przez to powiedzieć...

–Tak, sir.

–Przecież podniesie się międzynarodowa wrzawa.

–Podniosłaby się, sir – odparł admirał Morgan – gdyby opinia publiczna dokładnie wiedziała, kto co komu zrobił. A nie będzie wiedziała.

–A ja?

–Też niekoniecznie. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy panu zawracać głowę tajemniczym zniknięciem paru dies-łowsko-elektrycznych okrętów podwodnych obcego państwa.

–O ile się orientuję, panowie, interwencje tego rodzaju nazywacie czarnymi operacjami?

–Tak, sir. Anonimowymi – odparł szef operacji morskich.

–Potrzebna wam moja oficjalna zgoda?

–Na razie potrzebne nam tylko pańskie wsparcie, jeśli chodzi o wywiad, sir – powiedział admirał Dunsmore. – Ale jeśli zabroni nam pan podejmowania tego rodzaju działań, uszanujemy, rzecz jasna, pański zakaz. Z czasem jednak będzie nam potrzebne jakieś oficjalne stanowisko. Tuż przed wykonaniem posunięcia.

–Panowie, jak zawsze polegam na waszej ocenie sytuacji. Róbcie, co uważacie za stosowne. Scott, informuj mnie na bieżąco.

Powiedziawszy to, prezydent dał do zrozumienia, że spotkanie uznaje za zakończone. Wstał i uścisnął rękę każdemu z wyższych dowódców. Kiedy wychodzili z Gabinetu Ovalnego, uświadomił sobie po raz nie wiadomo który, że w obecności tych ludzi czuje się jak mały chłopiec. I zagłębił się w rozważaniach nad straszliwym ciężarem odpowiedzialności, jaka raz po raz spada na jego barki, od kiedy objął urząd.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Kapitan Tug Mottram nie musiał spoglądać na barometr. Czuł w kościach, że ciśnienie rośnie. Wiatr, który od dwóch dni dął nieprzerwanie z północnego zachodu, osiągając w porywach czterdzieści węzłów, teraz zaczął nagle zmieniać kierunek, a jego szybkość wzrosła do pięćdziesięciu węzłów. Pierwsze śnieżne szkwaly hulały już nad rozkołysanym, ryczącym morzem koloru ołowiu, a co czterdzieści sekund za rufą wyrastały gigantyczne góry wody o średnicy pół mili. Po piętnastu minutach te żywioły były już naprawdę groźne. Takie gwałtowne zmiany warunków atmosferycznych były jednak czymś normalnym na Oceanie Południowym, zwłaszcza na wysokości tak zwanych Ryczących Czterdziestek; właśnie tu w tym rejonie, płynął kursem południowo-wschodnim „Cuttyhunk”, zmagając się z bocznym wiatrem.

Tug Mottram już przed dwoma dniami ogłosił na statku stan podwyższonej gotowości. Wszystkie grodzie wodoszczelne były pozamykane i zaryglowane. Zaślepieno wyloty przewodów wentylacyjnych. Obowiązywał zakaz wychodzenia na górny pokład za mostkiem. I teraz kapitan starał się przebić wzrokiem tumany zacinającego, mokrego śniegu zmniejszające i tak już ograniczoną widoczność. Wycieraczki wielkich szyb sterówki z trudem, bo z trudem, ale jakoś sobie jeszcze radziły. Za to za rufą sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej. Porywiste podmuchy bocznego wiatru spiętrzały jeszcze bardziej sunące od północnego zachodu ogromne zwały wody, które zdawały się teraz ze zdwojoną zaciekłością ścigać i osaczać dziewięćdziesięciometrowy stateczek badawczy z Woods Hole w stanie Massachusetts.

–Zmniejszyć szybkość do dwunastu węzłów – rzucił Tug

23

Mottram. – Nie wolno nam płynąć choćby o węzeł szybciej od fal. Konstrukcja zadka tej łajby na to nie pozwala.

–Obróciło już pana kiedy burtą do fali, sir? – spytał młody oficer nawigacyjny, Kit Berens. Niepokój ścigał mu ogorzałą, przystojną twarz.

–A żebyś, cholera, wiedział. I to w podobnych okolicznościach. Za szybko płynęliśmy.

–Jezu. I co, nakryła was fala?

–A jakże. O mało nie poszliśmy na dno. Jakieś miliard ton zielonej wody zważyło się na rufę, zalało tylny pokład artyleryjski i lądowisko helikoptera, a potem spłynęło za sterburtę. Obróciło nami jak bąkiem, aż ster się wynurzył. Następna fala uderzyła w śródkręcie. Myślałem, że już po nas.

–Jezu. A co to był za statek?

–Amerykański okręt wojenny. Niszczyciel klasy Spruance. Osiem tysięcy ton. I jak się pewnie domyślasz, Kit, ja nim dowodziłem. Jeśli mam być szczery, to do dziś ciarki przechodzą mi po grzbiecie, jak sobie o tym przypomnę. A to już dwanaście lat.

–I przydarzyło się to wam tutaj, w Antarktyce, sir? Jak teraz nam?

–Nie. Byliśmy, co prawda, na Pacyfiku. Daleko na południe. Ale nie aż tak daleko.

–No i jak się wykaraskaliście?

–O, te okręty wojenne są niewiarygodnie stabilne. Położył się na burtę, zarył dziobem w fale, ale zaraz się wyprostował. Co innego ta łupinka. Jeśli spieprzymy sprawę, pójdzie na dno jak kamień.

–Jezu – mruknął Kit Berens, wpatrując się z fascynacją w gigantyczną ścianę wody, która zdawała się teraz wisieć nieruchomo nad nie przystosowaną do takich warunków pogodowych niską sekcją rufową „Cuttyhunka”. – W porównaniu z niszczycielem jesteśmy jak ten korek. Co robimy?

–Płyniemy dalej, co innego nam pozostaje? Kilka węzłów wolniej od fal. Uważamy, żeby ster się nie wynurzył; Kierujemy się dziobem na większe fale. Byle skryć się po zawietrznej stronie wysp.

Głęboka zatoka niżowa przesuwiała się nad Antarktyką na wschód, wskutek czego wiejący od rana niemal przyjazny wiatr północno-zachodni wciąż zmieniał kierunek, najpierw na zachód-

ni, a pięć minut temu na zimny południowo-zachodni, osiągając w porywach siedemdziesiąt węzłów.

Morze natychmiast rozkołysało się i wzburzyło. Olbrzymie góry oceanicznej wody nadciągające z północnego zachodu zderzały się ze sztormem, który szedł z południowego zachodu. Akwen, na którym panowały te niesprzyjające warunki, był stosunkowo niewielki w porównaniu z ogromem Oceanu Południowego, ale nie stanowiło to żadnej pociechy dla Tuga Mottrama i jego ludzi zmuszonych do wspinania się na dwudziestopięć-metrowe fale. „Cuttyhunk” znajdował się bowiem w samym środku tej kipieli i zbierał porządne cięgi.

Śnieg z deszczem zmienił się z powrotem w śnieg i w chwilę potem przy okrężnicach z prawej strony dziobu zaczęły się tworzyć małe białe zaspy. Nie utrzymywały się tam jednak długo, bo pokład dziobowy zalewały raz po raz tony lodowatej wody. Tworzący się przy tym pył wodny w ułamku sekundy zamarzał. Tug Mottram widział przez okno maleńkie jasne okruchy lodu odbijające się rykoszetem od lewej windy kotwicznej. Temperatura nieruchomego powietrza na pokładzie musiała spaść mniej więcej do minus pięciu stopni Celsjusza, a zimny wicher, którego siła dochodziła do dziesięciu w skali Beauforta, obniżał ją do jakichś piętnastu stopni poniżej zera.

„Cuttyhunk” znowu powoli wpłynął dziobem w cofający się stok wodnej góry. Kit Berens stał w drzwiach kabiny radiooperatora i dyktował aktualną pozycję:

–W tej chwili 48 południowej, 67 wschodniej... kurs południowo-wschodni... jakieś sto mil na północny zachód od Wyspy Kerguelena...

Tug, obserwując dwudziestotrzyletniego nawigatora, wyczuwał niepokój chłopaka.

–Ta łajba jest przystosowana do pływania po wzburzonym morzu – wymruczał pod nosem. – Problem możemy mieć co najwyżej z rufą... – A potem głośniejszym i wyraźniej rzucił: – Bob, uważaj na te nowe góry idące na nas z boku. Nie chciałbym, żeby nas któraś przewróciła.

–Tak jest, sir – zawołał Bob Lander, który podobnie jak Tug służył kiedyś w marynarce. Różniło ich to, że kapitana, kiedy miał trzydzieści osiem lat, zwolniono ze służby i przeniesiono do wielkiego Instytutu Oceanografii w Woods Hole, gdzie został dowódcą statku badawczego, natomiast o dziesięć lat starszy Bob

odszedł swoje do końca, w regulaminowym czasie, i w stopniu komandora porucznika przeszedł w stan spoczynku, obecnie pełnił funkcję zastępcy kapitana „Cuttyhunka”.

Obaj byli roslymi, silnymi mężczyznami, obaj pochodzili z Cape Cod, obaj całe życie poświęcili morzu i od dawna się przyjaźnili. „Cuttyhunk”, który nazwę swą zapożyczył od wysuniętej najdalej na zachód z Wysp Elizabeth, pomimo że znajdował się w szponach huraganowego wichru nadlatującego z piekielnym wyciem od Antarktyki, był w ich rękach bezpieczny.

–Nieźle dmucha – zauważył Lander. – Może zejde i podniosę na duchu naszych jajogłowych?

–Dobra myśl – mrukną! Mottram. – Powiedz, że nic nam nie grozi. „Cuttyhunk” jest przystosowany do takiej pogody. I nie wspominaj, broń Boże, że chwila nieuwagi z naszej strony, a wywróci nas do góry dnem. Takiego morza dawno już nie widziałem... fale wałą na nas ze wszystkich stron, licho wie, jaki kurs obrać. Powiedz im, że niedługo schronimy się za wyspy... tam będzie zaciszniej.

Naukowcy przebywający pod pokładem nie pracowali. Drobny, noszący okulary profesor Henry Townsend siedział ze swoim zespołem w przestronnej kabinie gościnnej, którą konstruktorzy usytuowali pośrodku statku dla zminimalizowania efektu kołysania na wzburzonym morzu. Mimo to starszy oceanograf, Roger Deakins, przyzwyczajony do pracy na dużych głębokościach w batyskafach badawczych, odczuwał już lekkie mdłości.

Nagle załamanie pogody zaskoczyło wszystkich. I teraz Kate Goodwin, wysoka, poważna blondynka z doktoratem, który zrobiła w ramach wspólnego programu badań oceanograficznych MIT/Woods Hole, hojnie rozdelała potrzebującym tabletki przeciw chorobie morskiej.

–Dla mnie pół funta tego specyfiku – wyjęczał Deakins.

–Jedna w zupełności ci wystarczy – odparła Kate.

–Gdybyś czuła się tak jak ja... – stęknął Deakins.

–Ale się nie czuję – odparła cierpko Kate. – 1 dzięki Bogu... -Tę wymianę zdań przerwał im podmuch lodowatego chłodu, który wpadł przez otwierające się drzwi od strony rufy, i pojawienie się śnieżnego bałwana z wesołą twarzą Boba Landera.

–Wszystko w porządku, koledzy i koleżanki – powiedział Bob, strzepując śnieg na dywan. – To tylko jeden z tych nagłych sztormów, z których słyną te okolice, ale przed wieczorem powin-

niśmy znaleźć jakąś osłonę. Do tej pory siedźcie lepiej tu, na dole, aż przestanie bujać... i nie przejmujcie się tym łomotem i stukami, które dolatują od przodu – morze jest bardzo wzburzone i fale nacierają ze wszystkich stron. Pamiętajcie, że ta łajba to istny lodołamacz. Przebije się przez wszystko.

–Dzięki, Bob – powiedziała Kate. – Może kawy?

–Też pytanie – podchwycił Bob. – Bez śmietanki i z cukrem, jeśli można. Nie dałoby się wyfasować drugiej takiej dla kapitana?

–Oczywiście – odparła Kate. – Może weźmiesz od razu cały dzbanek? Zamknę pokrywkę na zatrzask. Żebyś jej nie rozchlapał po pokładzie.

Bob Lander, czekając na kawę, wdał się w pogawędkę z profesorem Townsendem, ale tak naprawdę nie interesował go wywód tego uznanego amerykańskiego eksperta na temat niestabilnej warstwy ozonowej nad biegunem południowym. Wsłuchiwał się w łomoty dochodzące od strony dziobu, w głuchy łoskot fal rozbijających się o kadłub, który pod naporem posępnego antar-ktycznego sztormu dygotał w jakimś niepokojącym rytmie.

Częstotliwość tych drgań wydawała się Bobowi zbyt duża. I chociaż w tej części statku dochodzące z zewnątrz odgłosy były stłumione, to wyczuł kilkakrotnie jakiś inny głuchy szcęk. Jednak bardziej od samych dźwięków niepokoił go ich rytm. Pożegnał się pośpiesznie, powiedział Kate, że zaraz wróci, wyszedł na pokład i zmagając się z wichurą, jął się pięć po schodkach prowadzących na mostek.

Tu, na zewnątrz, ryk sztormu wprost ogłuszał: wiatr świstał między nadbudówkami i jęczał nad wodą, a z każdym porywem jego zawrodożenie narastało do upiornego wycia. Przez ten hałas przebijał się niesamowity łomot, z jakim „Cuttyhunk” taranował dziobem fale, oraz werbel stalowej topenanty Jłukającej o tylny maszt. Poręcze relingów i osłony wind pokrywały się lodem. Gdyby to była zima, trzeba by go skuwać toporkami, żeby nie obciążył zbyt ciężko pokładu dziobowego. Ale o tej porze roku po ustaniu sztormu temperatura szybko wzrośnie.

–Pięknym letnim dzionkiem nazwać tego nie można – fuk-nął Bob, zatrzaskując za sobą drzwi mostku. Nastawił ucha, nasłuchując tego niepokojącego szcęku, który zwrócił jego uwagę w kabinie naukowców.

Tutaj, w zamkniętej sterówce, wysoko nad pokładem, dźwięk ten nie był już tak wyraźny. Ale Tug Mottram też coś usłyszał.

Odwrócił się do Boba Landera i wyczytał z jego miny, że nie musi mu niczego tłumaczyć.

–Idź sprawdzić, co się tam dzieje, Bob – mruknął. – To chyba gdzieś z przodu, "tylko uważaj, na miłość boską. Weź ze sobą dwóch chłopaków.

Bob Lander zlął po schodkach na rozchwiany pokład i wstąpił po drodze do pomieszczeń załogi po dwóch marynarzy. Wszyscy trzej przebrali się w kombinezony nieprzemakalne, na nie wciągnęli podbite futrem arktyczne kurtki sztormowe, wzuli ocieplane gumowe buty i nałożyli szelki zabezpieczające. Potem przypięli się do stalowych lin bezpieczeństwa, wyszli na zewnątrz i ruszyli w stronę dziobówki. Hałas był teraz wyraźny. Ilekroć dziób się unosił, dawał się słyszeć głośny łomot.

–Kurwa mać! – ryknął Bob Lander, przekrzykując wycie wichru. – To znowu ta kurewska kotwica. Obluzowała się jak wtedy, w Kapsztadzie. – I odwracając się do Billy'ego Wrightso-na i Brada Arnolda wyrzeszczał: – Dokręcimy stoper na bębnie! Potem schodzimy do forpiku, żeby ocenić uszkodzenia!

W tym momencie nad dziobem załamała się w zwolnionym tempie ogromna fala. Trójka mężczyzn znalazła się po pas w lodowatej wodzie. Nie zmyło ich za burtę tylko dzięki temu, że byli przypięci za szelki do liny bezpieczeństwa. Przez następne pięć minut walczyli zażarcie z drągiem, którym dokręcało się stoper. Uporawszy się z tym, dobrnęli do drzwi dziobówki i na łeb na szyję zjechali po schodkach na dół, żeby sprawdzić, jakich spustoszeń dokonała półtonowa kotwica obijająca się bezwładnie o kadłub.

Bob Lander otworzył drzwi forpiku i ze środka na dolny pokład runęły tony morskiej wody, porywając ze sobą trójkę mężczyzn. Pozbierawszy się, Lander posłał Wrightsona do głównego mechanika z poleceniem uruchomienia pomp, a sam wszedł do forpiku.

Wielka dziura w sterburcie, pół metra nad pokładem, była wystarczająco wymowna. Obluzowana kotwica, tłukąc o kadłub, rozpruła stalowe poszycie. Na domiar złego puściła spoina między dwiema płytami poszycia. Bóg jeden wiedział, jak daleko polecą to pęknięcia przy tak wzburzonym morzu.

Bob Lander wiedział, że trzeba zrobić dwie rzeczy. I to szybko. Po pierwsze, prowizorycznie załatać dziurę. Po drugie, nie było teraz innego wyjścia, „Cuttyhunk” musiał szukać schronienia przed sztormem, umykać czym prędzej z tych rozszalałych

wód ku najbliższemu bezpiecznemu kotwiczowisku, by w jego zaciszu dokonać stosownych napraw.

Ale na razie Bob kazał Bradowi Arnoldowi zebrać ekipę złożoną z sześciu mężczyzn z głównym mechanikiem, iść na dziób, załatać dziurę w forpiku i odpowiednio zabezpieczyć pomieszczenie.

–Kotwica jest na razie umocowana, a więc sprężaj się, Brad. Twoja w tym głowa, żeby to rozdarcie nie powiększyło się ani trochę i żeby woda nie zdała innych pomieszczeń. Jak skończycie, postaw przy drzwiach dziobówki wachtowego.

Wydawszy te polecenia, Bob Lander wrócił na mostek i podzielił się z Tugiem Mottramem swoimi ustaleniami.

–Znowu ten stoper, Bob?

–Tak. Unieruchomiliśmy już kotwicę, ale musimy szybko znaleźć jakąś dobrą osłonę. Dziobówka nabiera wody. Szpara w kadłubie taka, że niebo przez nią widać... Brad podstemplowuje teraz dziurę, ale trzeba ją będzie porządnie zaspawać, i to jak najszybciej, bo inaczej oczko poleci dalej po szwie. A w tych warunkach nie da się tego zrobić.

–Dobra... Kit! Ile jeszcze do Kerguelena?

–Jakieś osiemdziesiąt mil, sir. Przy tej szybkości powinniśmy tam być około 4.00 rano.

–Rozumiem, sprawdź kurs.

–Obecny kurs jest w porządku... Przejdziemy dwanaście mil na północ od wyspy Rendezvous, potem możemy dopłynąć zawietrzną stroną wyspy do zatoki Choiseul i z Bożą pomocą schronić się tam przed tym cholernym sztormem.

–Ta pogoda potrwa jeszcze ze dwa dni. Podejrzewam, Kit, że będziemy się musieli zmagać z boczną falą, ale po wschodniej stronie grzbietu {»winno być trochę spokojniej, jeśli uda nam się po niej utrzymać. Jajogłowi nie będą chyba zachwyceni, że zmieniamy kurs i opuszczamy ich ukochany rejon badań.

–Też tak myślę, sir. Ale byliby chyba jeszcze mniej zachwyceni, gdybyśmy poszli na dno z rozprutym dziobem.

–Sytuacja nie jest jeszcze taka tragiczna, Kit – wtrącił cicho Bob Lander. – To po prostu małe kłopoty, z których chcielibyśmy jak najszybciej wybrnąć... Zejdę na dół i sprawdzę, jak im idzie to łatanie w dziobówce.

O 19.57 Tug Mottram przesłał za pośrednictwem satelity zwięzy meldunek do centrali w Woods Hole:

Pozycja 48,25S, 67,25E. Zamierzony kurs 117 – 12 węzłów. Płyniemy do brzegu. Kontynuujemy inspekcję i naprawę drobnego uszkodzenia dziobu powstałego na skutek niesprzyjającej pogody.

O godzinie 19.58 obrał kurs na północno-zachodni cypel Wyspy Kerguelena, która praktycznie leży na końcu świata, w zasadzie nie jest zamieszkana, a na jej pokrytej śniegiem i skutej lodem powierzchni nie powstała ludzka noga, jeśli nie liczyć Francuzów, którzy na południowo-wschodnim wybrzeżu, w Port-aux-Français, założyli stację meteorologiczną. Tego zapomnianego przez Boga i ludzi skrawka lądu nie odwiedzają miesiącami żadne statki. Nie przelatują nad nim żadne rejsowe samoloty pasażerskie. Żadna potęga militarna nie jest zainteresowana jego kontrolowaniem.

Nikt nie słyszał, żeby w ciągu ostatniego półwiecza przepływał tamtędy jakiś zabłąkany okręt podwodny. Tego skalistego pustkowiecia mającego osiemdziesiąt mil z zachodu na wschód i pięćdziesiąt pięć mil z północy na południe nie zaszczycają nawet jednym zerknięciem wszytkowidzące amerykańskie satelity szpiegowskie. Gdyby nie ogromne kolonie pingwinów cesarskich i niewy tłumaczalna plaga królików, Wyspę Kerguelena można by wziąć za Księżyc. Jest to skupisko zmrożonych, sterczących z Oceanu Południowego skał, kto wie, czy nie najbardziej odludny zakątek naszej planety. Leży dokładnie na przecięciu 69 południka długości wschodniej z równoleżnikiem wyznaczającym 49 stopień i 30 minutę szerokości południowej. Wiatry wieją tu nieprzerwanie przez dwanaście miesięcy w roku, co dowodzi, że Ryczące Czterdziestki są tak naprawdę Ryczącymi Pięćdziesiątkami.

Wyspa Kerguelena to w rzeczywistości archipelag małych wysepek okalających wyspę główną mającą z grubsza kształt litery L i reprezentującą jedynie wierzchołek ogromnego podwodnego grzbietu górskiego, który ciągnie się na długości tysiąca dziewięciuset mil mniej więcej w kierunku południowo-wschodnim, od 47 stopnia szerokości geograficznej południowej poczynając, a na wschodnim skraju Lodowca Szelfowego Shackletona kończąc. Ocean na zachód od tego olbrzymiego grzbietu ma ponad trzy mile głębokości, a po stronie wschodniej ponad cztery.

Tugowi Mottramowi, kiedy przypominał sobie w myślach charakterystykę tego akwenu, ciarki chodziły po grzbiecie. Znał jednak swoje obowiązki i rozumiał, dlaczego naukowcy z Woods

Hole, których miał na pokładzie, przywiązują taką wagę do tego niewidocznego pasma podwodnych gór zwanego formalnie Grzbietem Kerguelena-Gaussberga.

Otóż nad urwistymi podwodnymi szczytami grzbietu unoszą się ogromne chmury maleńkich, przypominających krewetki stworzonek zwanych krylem, które stanowią krytyczne ogniwo łańcucha pokarmowego Antarktyki – ogniwo tak krytyczne, że bez niego załamałby się cały ekosystem. Bo krylem żywią się nieprzeliczone rzesze morskich zwierząt – ryby, kałamarnice, foki oraz kilka odmian wielorybów, w tym humbaki. Wieloryby i foki padają z kolei ofiarą orek – wielorybów zabójców. Małymi rybami i kałamarnicami pozostającymi na kryłowej diecie żywią się pingwiny. Inne ptaki również mają w swoim jadłospisie kryla, ryby i kałamarnice.

Zespoły naukowców z Woods Hole od kilku lat obserwowały drastyczny spadek populacji kryla. Profesor Townsend zyskał światową sławę, ogłaszając, że analiza długoletnich badań skłania go do przyjęcia hipotezy, iż kryla niszczy promieniowanie ultrafioletowe przedostające się przez dziurę w warstwie ozonowej, która pojawia się nad Antarktyką we wrześniu każdego roku. Co więcej, z prowadzonych przez niego badań wynikało, że sytuacja z roku na rok się pogarsza, a to dlatego, że dziura ozonowa, podobnie jak ta w forpiku „Cuttyhunka”, ciągle się powiększa.

Oświadczenie to stało się przyczynkiem do zorganizowania obecnej ekspedycji. Profesor zamierzał przez sześć dni pobierać próbki kryla znad Grzbietu, a następnie zatrzymać się na miesiąc w Amerykańskiej Antarktycznej Stacji Badawczej McMurdo. Za cel stawiał sobie znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy podwyższony poziom promieniowania szkodzi również planktonowi, którym żywi się kryl, a jeśli tak, to jaki ma to wpływ na życie wszystkich gatunków zwierząt morskich? Stwierdzenie dalszego spadku populacji kryla świadczyłoby, że dziura ozonowa nadal się powiększa. „New York Times” wydał specjalny dodatek poświęcony temu zagrożeniu i teraz oczu agencji ochrony środowiska z całego świata zwrócone były na naukowców z „Cuttyhunka”.

Oczy Tugą Mottrama zwrócone były na rozszalałe morze za sterburką. Płaty białej piany porywane przez wicher z grzyw fal tworzyły w dolinach groteskowy koronkowy wzór.

Kotwica była jako tako zabezpieczona, ale ludzie w foipiku mieli niemałe kłopoty z zatamowaniem przecieku. Zatkali już dziurę dwoma dużymi materacami, które podparli stemplami z grubych,

j

przyciętych na wymiar drewnianych belek. Trzej młodzi marynarze, brodząc po pas w lodowatej wodzie, wbijali młotami kowalskimi kliny pod stemple, żeby je unieruchomić, ale ziąb był taki, że co trzy minuty musieli robić sobie przerwę. A kiedy statek zapadał się dziobem w dolinę między falami, głowy znikaly im pod wodą. Przy spokojnym morzu czynność ta zajęłoby im co najwyżej dziesięć minut, jednak w tych warunkach na prowizoryczne uszczelnienie statku zmitrężyli ponad godzinę. Kolejne dziesięć minut trwało wypompowywanie wody z pomieszczenia. A dwie godziny odmrażanie rozdygotanych, przemarzniętych do szpiku kości marynarzy.

O północy nastąpiła zmiana wacht. Służbę na mostku objął Bob Lander, a wyczerpany kapitan, który od początku sztormu trwał na posterunku, udał się na spoczynek. Tug dobiegał pięćdziesiątki i nie czuł się już taki niezniszczalny jak przed dwudziestu paru laty. Do tego tęsknił za swoją uderzająco piękną drugą żoną Jane, która czekała na niego na Cape Cod. W antarktyczne noce miewał często kłopoty z zaśnięciem i dręczony poczuciem winy rozpamiętywał wtedy swój rozwód z Annie oraz straszne, okrutne półprawdy, które wygłaszał, byle tylko odzyskać wolność i móc poślubić o wiele młodszą kobietę. Ilekroć jednak pomyślał o Jane, zaczynał sobie wmawiać, że patrząc na to z perspektywy czasu, chyba jednak warto było.

Na zewnątrz zaczynało się rozjaśniać i chociaż wyjący wicher nadal dął z szybkością około pięćdziesięciu węzłów, to śnieg przestał sypać i zdarzały się przerwy w pokrywie chmur. Zimny front przeszedł. Najgorsze mieli za sobą.

Bob Lander od czasu do czasu dostrzegał z mostku przebłyski ognistej kuli wynurzającego się za horyzontu słońca. „Cuttyhunk” parł teraz przed siebie z szybkością siedemnastu węzłów południowo-wschodnim kursem jeden-trzy-pięć. Wkrótce ich oczom powinna się ukazać wielka skała wyspy Rendezvous, która wystaje z morza na wysokość siedemdziesięciu kilku metrów i przywodzi na myśl potężnego granitowego centuriona strzegącego północno-za-chodniego podejścia do Wyspy Kerguelena. Niektórzy nazywają tę skałę Bligh's Cap (Czapka Bligha). Tak w roku 1776, podczas swej czwartej wyprawy, ochrzcił ją kapitan Cook na cześć swojego żaglomistrza z „Resolution” – Williama Bligha, służącego później na „Bounty”. Jednak prawo morskie uznaje, że to Francuzi, nie wiadomo kiedy, pierwsi nadali skale nazwę, co znajduje swe odbicie na oficjalnych mapach.

I

Bob Lander wypatrzył ją tuż przed 3.00 rano po prawej, w odległości około pół mili od załatanego dziobu. Powiadomił natychmiast Kita Berensa, który o 2.00 nad ranem wrócił do kabiny nawigacyjnej.

–Zgadza się, sir – odparł Kit. – Mam ją na radarze. Trzymajmy kurs jeden-trzy-pięć. Za czterdzieści minut powinniśmy zobaczyć na wprost Cap d'Estaing. Woda przy brzegu jest głęboka, możemy spokojnie opłynąć przylądek w odległości pół mili.

–Dzięki, Kit. Może kawy?

–Chętnie, sir. Wytyczę tylko kurs przez Choiseul i zaraz u pana będę. Z mapy wynika, że w zatoce jest parę pół wodorostów. Wolę ominąć je z dala. Nie cierpię tego świństwa.

–Ja też, Kit. Lepiej posiedź nad tym kursem. Mną się nie przejmuj. Nie umję z pragnienia.

Kit Berens zachichotał. Był zachwycony swoją pierwszą wielką wyprawą oceaniczną i głęboko wdzięczny Tugowi Mottramowi, że dał mu tę szansę. Tug przypominał mu ojca. Obaj mieli około metra osiemdziesięciu wzrostu, swobodny sposób bycia, ciemne, falujące włosy i ogorzałe twarze. Tyle że Tug przemierzał oceany świata, a ojciec Kita całe życie spędził na słonecznych polach naftowych południowego Teksasu, gdzie pracował jako wiertacz. W opinii Kita obaj zaliczali się do facetów, na których naprawdę można polegać, jeśli oni są pewni, że mogą polegać na tobie. Coś w tym rodzaju.

Młody nawigator wbił znowu w mapę cyrkiel i przyłożył do niego stalową linijkę.

–Na przylądku wznosi się cholernie duża góra z płaskim wierzchem – zawołał do Boba. – Zaznaczono ją tutaj jako Ptasi Stół. Prawdopodobnie ją pierwszą zobaczymy. Zmienimy wtedy kurs o parę stopni na południe i będziemy mieli na wprost Przystań Bożego Narodzenia. Ale nie sądzę, żebyśmy znaleźli tam wystarczającą osłonę przed wiatrem. Chyba trzeba będzie popłynąć kawałek dalej.

–Jaka znowu Przystań Bożego Narodzenia? Myślałem, że wszystkie nazwy są tutaj francuskie. Dlaczego nie nazywa się Baie Noël czy jakoś tak?

–Z moich notatek wynika, że zatokę nazwał tak kapitan Cook, bo zawinął tam w dzień Bożego Narodzenia 1776 roku. Mniej więcej w tym samym okresie Francuzi nazwali ją Baie de l'Oiseau. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby od tamtego czasu nikt tam nie zajrzał. Mówię panu, to zupełnie odludzie.

O 3.37 Bob Lander przeprowadził „Cuttyhunka” obok Cap d'Estaing. Było już zupełnie jasno, ale wiatr dął nadal od Antarktyki, omywając wielki północno-zachodni przylądek Wyspy Kerguelena. Piętnaście minut później oczom Kita Berensa ukazała się spieniona kipiela wodna w Przystani Bożego Narodzenia.

–Nic z tego – powiedział. – Wiatr, nie dość że wieje zza d'Estaing, to jeszcze dostaje się jakoś do zatoki z drugiej strony, omywając tę wielką górę. Utworzyło się tam coś w rodzaju przeciągu. Prądy zstępujące przysporzą nam problemów. Będzie trzeba wejść w któryś z tych fiordów.

–Fiordów? – spytał Bob. – Myślałem, że one występują raczej na północy.

–Jeśli wierzyć tej mapie, więcej tu fiordów niż w Norwegii -odparł Kit. – Od paru godzin ją studiuję. Przez tę wyspę musiał kiedyś przechodzić cały korowód lodowców. Fiordy wrzynają się w ląd tak głęboko, że na całej wyspie nie mogę znaleźć jednego miejsca, z którego do słonej wody byłoby dalej niż jedenaście mil. Idę o zakład, że gdyby tak zmierzyć jej obwód wzdłuż linii brzegowej, okazałoby się, że jest równy obwodowi Afryki!

Lander się roześmiał. Lubił tego żądnego przygód młodego Teksańczyka. I imponowała mu jego rozległa wiedza o miejscach, do których pływali. Wiedza wykraczająca daleko poza znajomość kursu, pozycji, szybkości i odległości. Od Kita można się było, na przykład, dowiedzieć, że przed dwustu laty po tych wodach żeglował kapitan James Cook ze swoim żaglomistrzem Williamem Blighem.

Na mostek wrócił jak zawsze punktualny Tug Mottram.

–Dzień dobry, koledzy – powiedział. – Czy ta przekłeta wichura kiedyś ucichnie?

–Jeśli nawet, to nie szybko – odparł Lander. – Front zimny nadal tu jest. Dobrze, że przynajmniej ustała śnieżycy. Wciąż północno-zachodni wiatr i trzaskający mróz.

–Kit, wybrałeś nam już jakieś zaciszne miejsce? – spytał kapitan.

Teksańczyk wpatrywał się w mapę.

–Chyba tak – powiedział powoli, nie podnosząc wzroku. – Osiem mil na południowy zachód stąd jest wcinająca się głęboko w ląd zatoka o nazwie Baie Blanche – to właściwie fiord, ma dziesięć mil długości. Milla szerokości, głębokość do stu trzydziestu metrów. Na końcu rozwidla się, przechodząc w Baie des Français po lewej i Baie du Repos po prawej. Ta ostatnia powinna

być według mnie dobrze osłonięta. Ma około ośmiu mil długości, jest wąska, ale bardzo głęboka. Pasma górskie ciągnące się wzdłuż zachodniej strony powinno nam dać dobrą osłonę. Fale tak daleko nie dotrą i nie mam tu żadnych zaznaczonych pól wodorostów. Moim zdaniem tam powinniśmy się schronić.

–Nie widzę przeciwwskazań. Aha, Bob, idąc spać, przekaż mechanikom, żeby około 8.00 rano byli gotowi do rozpoczęcia naprawy kadłuba, dobrze?

–Zrobi się. To ja się teraz trochę zdrzemnę, a za godzinę wrócę podziwiać widoki.

Kit Berens oderwał w końcu wzrok od mapy i poinformował kapitana, że zamierza przesłać przez satelitę komunikat określający ich pozycję i uprzedzający, że zatrzymują się na część dnia, żeby dokonać drobnych napraw.

W kabine łączności usytuowanej po lewej stronie szerokiego mostku Dick Elkins, były technik telewizyjny z Bostonu, właśnie rozmawiał ze stacją meteorologiczną, kiedy Kit Berens podrzucił mu na biurko karteczkę z komunikatem:

„Międzykontynentalna – bezpośrednio do Woods Hole”.

Nareszcie wchodzili za zawietrzną. Woda była tu spokojniejsza i „Cuttyhunk”, osłaniany przez wzgórza wznoszące się po prawej stronie Baie Blanche, już się tak nie kołysał.

Kit Berens pochylał się znowu nad mapami, suwając stalową linijką po białych, błękitnych i żółtych arkuszach.

–Sir – zwrócił się w pewnej chwili do kapitana – może zainteresują pana trzy fakty...

–Wal – mruknął kapitan.

–No więc tak. Gdyby odbił pan od tej wyspy i skierował się na północ, to na ląd natknąłby się pan dopiero po przepłynięciu ośmiu tysięcy pięciuset mil, i byłoby to południowe wybrzeże Pakistanu. Gdyby skierował się pan na zachód, to po przepłynięciu ośmiu tysięcy pięciuset mil dotarłby pan do wschodniego wybrzeża Argentyny. A gdyby skierował się pan na wschód, to po przepłynięciu sześciu tysięcy mil minąłby pan od południa Nową Zelandię, a po przepłynięciu kolejnych sześciu tysięcy pięciuset mil natknąłby się pan na wybrzeże Chile. W związku z powyższym śmiem twierdzić, że znajdujemy się obecnie na zadku naszej cholernej Ziemi.

Tug Mottram parsknął śmiechem.

–A co z południem?

–To, panie kapitanie, już zupełny koszmar – pięćset mil

w głąb Lodowca Szelfowego, który strzeże Wybrzeża Księżnej Astrid. To rzeczywista linia brzegowa Antarktyki. Jeszcze tam zimniej i wietrzniej niż tu. Ale Wyspa Kerguelena i Antarktyda mają ze sobą coś wspólnego.

–Doprawdy? Co takiego?

–Ani tu, ani tam nie przyszedł nigdy na świat żaden człowiek.

–Jezu.

O 6.00 wpłynęli w pierwszy szeroki fiord Baie Blanche i wiatr ustał jak nożem uciął; woda była tu spokojna i nieruchoma. Mieli jej sto trzydzieści metrów pod kilem. Tug Mottram od razu zmniejszył szybkość, bo w tych bardzo zimnych, głębokich antarktycznych zatokach można się nadziać na najniebezpieczniejsze z małych gór lodowych – te uformowane z przezroczystej wody pochodzącej z topniejącego lodu, które pływają tuż pod powierzchnią, przyjmując posępne, smutne odcienie otaczającego je morza, przez co dla oka mają barwę niebieskawoczną i w odróżnieniu od białego lodu lodowcowego są prawie niemożliwe do wypatrzenia.

Cztery mile dalej ster przejął Bob Lander, kapitan zaś wyszedł na zewnątrz w mroźne, ale czyste powietrze i rozejrzał się po poszarpanych brzegach szlaku wodnego. Przed sobą widział Pointę Bras w rozwidleniu fiordu. Na drugim planie wznosił się na ponad trzysta metrów pokryty śniegiem szczyt Mount Richards. Tug widział przez lornetkę tumany białego pyłu zdmuchiwane ze zboczy przez wciąż wiejący wiatr.

Na razie było tu zacisznie, ale gdyby wiatr zmienił się nagle na północny, to wdarłby się do Baie Blanche. Dlatego właśnie Kit Berens radził, żeby przed wyciągnięciem sprzętu spawalniczego płynąć dalej do zapewniającego lepszą osłonę fiordu Baie du Repos.

O godzinie 6.55 weszli do fiordu Repos, wkrótce potem, mając blisko sto trzydzieści metrów wody pod kilem, minęli zakręt w lewo i znaleźli się na spokojnych wodach zatoki omywającej podnóże Mount Richards.

Bob Landers zmniejszył szybkość do czterech węzłów i rozglądali się właśnie za najdogodniejszym miejscem do rzucenia kotwicy, kiedy Tug Mottram zauważył dwie stare, szare, rdzewiejące boje kołyszące się na wodzie w odległości pięćdziesięciu metrów od zawietrznego brzegu i kilkunastu metrów od siebie.

–A to ci dopiero – mruknął pod nosem, bo w pierwszej

chwili przyszło mu na myśl, że boje zostawił tu kapitan Cook. Jednak w chwilę potem, lustrując przez lornetkę okolicę, zobaczył coś, co kompletnie go zaskoczyło. Nie wierzył własnym oczom.

Z szybkością czternastu węzłów pędził na nich kuter desantowy produkcji amerykańskiej, jeden z tych starych 130 LCVP* uzbrojony w dwa ciężkie karabiny maszynowe kalibru 7,62 zamontowane na dziobie. Tugowi brzydko to wszystko pachniało, a szczególny niepokój budził w nim rząd wielkich, czerwono-białych smoczyc zębów wymalowanych artystycznie na przedniej części niskiego kadłuba. Na pokładzie naliczył dziesięciu ludzi w białych wojskowych hełmach. W hełmach strzelców obsługujących karabiny maszynowe odbijało się słońce.

–A tych skąd diabli przynieśli? – mruknął pod nosem kapitan Mottram, stojąc na opuszczonym pokładzie. Według niego mogli to być tylko Francuzi. Zawołał jednak do Kita i Boba, żeby też rzucili okiem.

–To stary typ 272 – powiedział Lander, trąc z namysłem brodę. – Od lat takiego nie widziałem.

Ale młody Berens, bystrzejszy z natury i obdarzony wrodzonym instynktem teksaskiego pogranicznika, spojrział tylko raz, po czym chwycił klucze i dopadł szafki z bronią.

–Szybko! – krzyknął.

Kapitan sięgnął do szuflady po swój pistolet służbowy, a Bob Lander zatrzymał statek. W chwilę potem kuter desantowy dobił do burty i dowódca z lekkim cudzoziemskim akcentem poprosił o pozwolenie wejścia na pokład. Duży hełm ocieniał mu twarz, ale Tugowi mężczyzna ten wyglądał na Japończyka.

Ośmiu uzbrojonych żołnierzy z LCVP przelazło przez reling. Kapitan Mottram wyciągnął na powitanie rękę, ale gest ten został zignorowany. Goście wymierzili w kapitana i Boba gotowe do strzału karabiny i kazali im stanąć z podniesionymi rękami pod dziobówką, twarzami do ściany. Mottram doszedł do wniosku, że swoim pistoletem niewiele zwojuje w konfrontacji z uzbrojonymi w kałasznikowy napastnikami.

Bob Lander obejrzał się, żeby spytać, z czyjego upoważnienia przeprowadzana jest ta akcja, ale nie zdążył nawet otworzyć ust. Uderzony w głowę kolbą karabinu osunął się na pokład.

* Landing Craft, Vehicle, Perssonel – kuter desantowy przystosowany do przewozu pojazdów i ludzi.

W tym samym momencie zza narożnika nadbudówki wypadł Kit Berens i otworzył ogień z pistoletu maszynowego.

Siedzący w kabinie radiooperatora Dick Elkins, słysząc dwie serie z broni maszynowej, podbiegł do okna mostku, żeby sprawdzić, co się dzieje. Oцениwszy jednym rzutem oka sytuację, wpadł z powrotem do kabiny, ryglując za sobą drzwi. Pół minuty później przebiło je ostrze pierwszej siekiery.

Dickowi na działanie pozostał ułamek sekundy. Uruchomił międzykontynentalne łącze satelitarne i zaczął nadawać desperacki komunikat:

MAYDAY... MAYDAY... MAYDAYL. „Cuttyhunk” na 49 południowej, 69... NAPADNIĘTO NAS... Japończycy...

W tym miejscu komunikat urywał się kierowany do centrali w Woods Hole. Przerwał go trzonek siekiery spadający na głowę Dicka Elkinsa.

I od tamtej pory słuch po statku badawczym amerykańskiego Instytutu Oceanografii zaginął. Ani wraku. Ani ciała. Cisza w eterze. Brak jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Kamień w wodę.

Upłynęło jedenaście miesięcy.

II

Freddie Goodwin w wieku lat czterdziestu jeden pogodził się już z myślą, że, do końca życia pozostanie dziennikarzem lokalnej gazety. W głębi duszy zawsze pragnął zostać inżynierem okrętowym albo biologiem morskim, ale pewne błędy młodości spędzonej na Cape Cod sprawiły, że oblał większość ważnych egzaminów uniwersyteckich. Potem, studiując już na Uniwersytecie Duke'a, nie zdołał uzyskać takiej średniej ocen, która zapewniłaby mu miejsce w programie doktoranckim organizowanym wspólnie przez MIT i Instytut Oceanografii w Woods Hole.

W związku z tym Freddie postanowił, że skoro nie dane mu badać wielkich oceanów świata, to chociaż będzie o nich pisał. Natomiast robienie kariery naukowej zostawi swojej o wiele zdolniejszej kuzynce Kate Goodwin, w której potajemnie i bez wzajemności się podkochiwał; od pierwszego spotkania na pogrzebie jej ojca, a swojego wuja, kiedy miała zaledwie dziewiętnaście lat.

Tak więc Freddie wstąpił na bardziej wyboiste, bardziej konkurencyjne ścieżki dziennikarstwa. Błyskotliwy wywiad z greckim kapitanem na tyle nieostrożnym, że podczas

sztoru wprowadził dwudziestotysięcznotonowy frachtowiec z ładunkiem cukru na Nauset Beach, niedaleko domu rodzinnego Freddiego, przyniósł mu ofertę pracy w lokalnej gazecie „Cape Cod Times”. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata.

Zwrócił na siebie uwagę wydawcy nieco pompatycznym stylem pisania oraz bezwzględną nieustępliwością, z jaką ciągnął kapitana za język na zapleczu cypryjskiej restauracji w południowym Bostonie. Sprawne pióro, które nie okazało się niestety bronią wystarczającą do zrobienia wrażenia na profesorach z MIT, gdyż ci z uporem maniaka domagali się f a k t ó w, na „Timesa*’ było w sam raz.

Gazeta z Hyannis również ceniła sobie fakty, ale nie było w tym nic z misjonarskiej surowości i zacierzenia naukowców. W ciągu kilku lat Freddie Goodwin wyrobił sobie opinię czołowego dziennikarza gazety, co dało mu pewną swobodę w doborze tematów, chyba żeby akurat działo się coś naprawdę doniosłego w siedzibie Kennedych w Hyannisport, gdzie zawsze był mile widzianym gościem.

Był z natury trochę popędliwy, ale ze swoją aparycją i talentem prawdopodobnie zaszedłby daleko w Bostonie albo w Nowym Jorku, gdyby tylko potrafił wyrzec się Cape Cod. Jednak w pełni go satysfakcjonowało, że jego co lepsze artykuły przedrukowują inne gazety, z „Washington Post” włącznie. Owszem, myślał kiedyś o wypłynięciu na szersze wody, jednak po głębszym zastanowieniu doszedł do wniosku, że bardziej odpowiada mu bezpretensjonalna atmosfera mniej ambitnych peryferii dziennikarstwa.

Poza tym nie miał zamiaru zrywać z Cape Cod, z tym skrawkiem lądu, gdzie przyszedł na świat i spędził młodość, gdzie od czterech pokoleń mieszkała jego rodzina. Nie ożenił się – według niektórych dlatego, że nie znalazł jak dotąd kobiety, która mogłaby się równać z jego ukochaną, nieosiągalną Kate – ale miał swoją łódź, a nawet licencję poławiacza homarów, i na pęczki przyjaciółek. W lecie brał udział w lokalnych wyścigach samochodowych w klasie Wianno Senior i śledził rozgrywki ligi baseballowej Cape Cod, kibicując drużynie Hyannis Mets. Zimą, kiedy populacja Cape Cod spada na łeb na szyję o osiemdziesiąt procent, miewał skłonności do nadużywania alkoholu.

Freddie Goodwin, kiedy zdarzało mu się czasami wyjechać

poza Cape w poszukiwaniu materiału do jakiegoś artykułu, szybko zaczął tęsknić za atmosferą rodzinnych stron – nie tylko za barem Mulligana w Dennisport, ale również za wielkimi słono-wodnymi stawami, mokradłami i piaszczystym wybrzeżem, za płytkimi, spokojnymi wodami cieśniny Nantucket, za łagodnymi, ciepłymi bryzami Prądu Zatokowego, które przez sześć miesięcy w roku omywają zachodnie rejony Cape Cod.

Brakowało mu tego wszystkiego zwłaszcza teraz, kiedy stał samotnie w cieniu wysokich, smaganych wiatrem lodowych klifów, które otaczają Przystań Bożego Narodzenia na Wyspie Ker-guelena. Oplakiwał znowu swoją zaginioną Kate i w jakimś sensie wszystkich dwudziestu trzech marynarzy z Cape Cod oraz sześciu naukowców, którzy tamtego feralnego grudniowego poranka przed blisko rokiem jakby się pod ziemię zapadli.

Wielu z nich znał osobiście, najlepiej zaś Boba Landera. Przed dwoma laty na pogrzeb zmarłej na raka żony Boba przyszła cała rodzina Freddiego. Jej śmierć była dla Goodwinów niemal takim samym ciosem jak dla męża i trójki dzieci. Landerowie od pięćdziesięciu lat mieszkali w Brewster, niecałą milę od rodziców Freddiego.

Przez Kate poznał wielkiego Tuga Mottrama i Henry'ego Townsenda, i Rogera Deakinsa, i dwie asystentki Kate, Gail i Barbarę. Społeczność oceanografów z Woods Hole, pomimo ogromu tego nadbrzeżnego kompleksu, tysiąca czterystu zatrudnionych i pięciuset studentów, jest ze sobą zżyta jak personel kancelarii prawniczej. Ci, którzy wyruszają na długie i niebezpieczne wyprawy oceaniczne do Arktyki i Antarktyki, by prowadzić tam badania naukowe, pozostają potem przyjaciółmi do końca życia.

Freddie Goodwin nie mógł uwierzyć, że cała załoga „Cuttyhun-ka” zginęła. Od miesięcy domagał się na łamach „Cape Cod Times” wszczęcia przez władze dochodzenia. Emocjonalnie i intelektualnie nie potrafił się pogodzić ze słowami oficjalnego raportu...

Nie istnieją żadne przesłanki, które dawałyby nadzieję, że „Cuttyhunk” nie zatonął, trzeba zatem przyjąć, że statek poszedł na dno Oceanu Południowego ze wszystkimi na pokładzie. Szanse przetrwania na tych nieuczęszczanych wodach, przy tak niskich temperaturach, są praktycznie zerowe.

Freddie niejednokrotnie, zarówno na łamach swojej gazety, jak i w listach do rozmaitych departamentów waszyngtońskich władz,

domagał się odpowiedzi na pytanie, jak w takim razie wyjaśnić treść ostatniego odebranego komunikatu: stwierdzenia, że statek został napadnięty... i że napastnikami są prawdopodobnie Japończycy.

Wydział Prasowy Pentagonu cierpliwie odpowiadał, że Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych od trzech miesięcy prowadzi intensywne, szeroko zakrojone poszukiwania „Cuttyhunka”. „Szanowny Panie Goodwin, pozwalam sobie przypomnieć panu, że w kilka godzin po odebraniu ostatniego komunikatu ze statku badawczego sam prezydent Stanów Zjednoczonych wydał rozkaz wysłania w tamten rejon fregaty wchodzącej w skład Siódmej Floty”.

Paru innych urzędników odpisało mu w suchym, beznamiętnym tonie właściwym biurokratom, że „zapytania w sprawie, kierowane przez Departament Stanu do najwyższych władz Japonii, jak również do najwyższego dowództwa wojskowego tego kraju, wywołały konsternację”.

„Wszystko wskazuje na to – pisał jeden z nich – że Japończycy nie mają pojęcia, o co chodzi”.

Po przeczytaniu tego listu Freddie, wychyliwszy przedtem dwie spore szklaneczki bourbona, zadzwonił do autora i zapytał:

–No dobrze, a co z Chińczykami, Wietnamczykami, co z resztą nacji tamtego rejonu świata, z których odróżnieniem przeciętny Amerykanin ma spore kłopoty?

Ale nikt nie potrafił mu pomóc. No i stał teraz pod tymi ciemnymi, ponurymi klifami zapatrzony w szare, lodowate wody zatoki Choiseul i dygocząc z zimna pomimo ciepłej ochronnej odzieży, rozpamiętywał ze ściśniętym sercem stratę swojej ukochanej Kate.

Przez cały trudny ubiegły rok największe oparcie miał w swoim wydawcy, Frahicu Markhamie. To właśnie życzliwy i współczujący głęboko Frank zaproponował mu wyprawę na koszt gazety na Wyspę Kerguelena, w celu napisania paru artykułów o tym skrawku lądu na końcu świata w kontekście tajemniczego zniknięcia „Cuttyhunka”.

–Znajdź tylko sposób dostania się tam, a my już pokryjemy koszty i pomożemy ci w sprawach organizacyjnych. Powęszyłbyś tam trochę na własną rękę i może coś byś znalazł.

Następnie Frank otoczył Freddiego ramieniem i powiedział, że gdyby udało mu się natrafić na jakiś ślad, to wspaniale, ale niezależnie od wyników wyprawy stałaby się ona pewnie dla niego swoistym katharsis.

–Może pogodziłbyś się wreszcie z odejściem Kate.

Czołowy publicysta „Cape Cod Umes” stał więc teraz na

tym wietrznym wybrzeżu i przygnębiony, ocierając z policzków zamarzające łzy, patrzył na inny, zakotwiczony sto metrów od brzegu statek badawczy, którym przyплыł z Miami na Wyspę Kerguelena.

Punktem docelowym rejsu była Stacja McMurdo, skąd na najbliższe lotnisko miał następnie zabrać Freddiego helikopter. Frank Markham zapłacił właścicielom statku cztery tysiące dolarów za to, żeby zatrzymali się po drodze na jakieś dwa, trzy dni, których jego dziennikarz potrzebuje na zebranie materiałów.

Prawdopodobnie zrobiliby to również za darmo. Wszyscy polubili dziennikarza z Cape Cod. Przez całą długą podróż na południe opowiadał załodze o „Cuttyhunku” i ludziach, którzy na nim płynęli. Kiedy statek badawczy wchodził do Przystani Bożego Narodzenia, na pokładzie nie było już nikogo, kto by wątpił, że cała prawda wyjdzie na jaw. Freddie przekonał wszystkich, że jego kuzynka prawdopodobnie nadal żyje, tylko nie wiadomo gdzie.

Dzisiaj morze wreszcie się uspokoiło i Freddiemu pozwolono wybrać się w pojedynkę na ląd w gumowym zodiaku. Dobił do brzegu, uniósł silnik zaburtowy i wyciągnął ponton z wody -ćwiczył to od dziecka, tyle że w trochę cieplejszym klimacie.

Ponownie sam na sam z myślami i wspomnieniami, Freddie spoglądał to na krajobraz, to na mapę wyspy. Wzorem swojej ulubionej postaci literackiej, stworzonego przez Agathę Christie belgijskiego detektywa Herkulesa Poirot, powtarzał sobie, że odpowiedzi, jeśli istnieją, należy szukać w „małych szarych komórkach”. Z ostatnich zgłaszanych pozycji „Cuttyhunka”, które zaznaczył, wynikało, że statek musiał zbliżyć się do Wyspy Kerguelena na wysokości północno-zachodniego przylądka, mijając w niewielkiej odległości skałę Bligh's Cap.

Wiedział, że statek miał uszkodzony dziób, że morze było bardzo wzburzone i że szukali schronienia. Tylko gdzie? W Przystani Bożego Narodzenia? Przy silnym wietrze nie znaleźliby go tutaj, musieli popłynąć dalej. Nawet przy lekkiej listopadowej bryzie, która teraz wiała, Freddie czuł, że wiatr cofa się na klifach.

–Założę się, że przy silnym zachodnim wietrze robi się tu cholerny kocioł – wymruczał pod nosem. – Wiatr nadlatuje z wyciem zza tamtego cypla... jak on się nazywa?... Tak... mamy go tutaj... d'Estaing. Tug za nic by tu nie zawinął. Minałby zatokę i popłynął dalej, żeby poszukać czegoś zaciszniejszego. Bez dwóch zdań.

Wysoko w górze szybował majestatycznie wielki albatros

wędrowni. U wylotu zatoki, nisko nad wodą przelatywały petrele. Poza tym panował całkowity bezruch. Na takim wygwizdowie Freddie Goodwin nigdy jeszcze nie był. Długą kamienistą plażę zaścielały wielkie, spękane kry. Jedynym przejawem życia było tu morskie ptactwo.

Ale sterczenie nad Przystanią Bożego Narodzenia nic mu nie da. Najchętniej przeszedłby się na cypel południowego przylądka i rzucił okiem na leżące za nim zatoki, ale nie chciał zostawiać zodiaka. Poza tym obawiał się zmiany pogody, która mogła tu nastąpić błyskawicznie. Wrócił do łodzi, zepchnął ją na wodę i wskoczył do niej zwinnie, nie moczając butów.

Opuścił silnik, uruchomił go za pierwszym razem i dopłynawszy do wylotu zatoki, skręcił w prawo. Do Pointe D'Aničres miał dwie mile w miarę spokojnej wody. Wiedział, że w drodze do niego minie wejścia do dwóch innych zatok, z których obie będą, jak się domyślał, jeszcze bardziej odsłonięte niż Przystań Bożego Narodzenia. Nie mylił się. Tug Mottram z pewnością w żadnej z nich by się nie schronił.

Trzecią zatoką, tą za cypem, był długi na trzynaście mil fiord Baie de Recques. Z mapy wynikało, że jest wąski, głęboki i wcina się w ląd tak daleko, że jego koniec od przeciwnego brzegu wyspy dzieli niespełna trzy tysiące metrów. Po obu jego stronach wznosiły się strome granitowe ściany, a w głębi Freddie, który uważał się za niezłego eksperta od ptactwa morskiego, wypatrzył przez lornetkę grupę burzyków krążących jakieś dziesięć metrów nad powierzchnią wody. Jego zdaniem, fiord Baie de Recques również nie był dla uszkodzonego „Cuttyhunka” zbyt atrakcyjnym azylem, bo ciągnął się prosto jak strzelił na południowy zachód i nic nie odgradzało jego zimnych wód od oceanu.

–Założę się, że nawet zachodni wiatr się tu wciśnie – wymruczał – ...okrążając tamtą górę na końcu. Zaraz, jak ją zwą? Tak... Mount Lacroix, na samym zachodnim brzegu, wysokość dwieście pięćdziesiąt metrów.

Krążył przez kilka minut przed wejściem do zatoki, potem opłynął Pointe Pringle i przywitały go ogromne, czarne, niedostępne klify ciągnące się aż do odległego o jakieś półtorej mili przylądka Féron.

Oglądane z dołu przytłaczały swym ogromem jak transatlantyk, na który patrzy się z łódki wiosłowej. A jeśli „Cuttyhunk” rozbil się o nie tamtej sztormowej nocy?

•«-,

–Katie... – szepnął Freddie, kręcąc głową, i łzy znowu napłynęły mu do oczu.

Szybko jednak wziął się w garść i zaczął analizować na chłodno fakty: a) gdyby „Cuttyhunk” rzeczywiście wpadł na te klify, to na pewno znaleziono by jakieś szczątki, a nic nie znaleziono, b) Tug Mottram mijalby takie skały w dużej odległości nawet na tych głębokich wodach, i c) Bob Landers utrzymywał, że ten młody Teksasńczyk, Berens, jest jednym z najlepszych nawigatorów, z jakimi przyszło mu pływać.

Tak czy inaczej kończyło się paliwo. Freddie z ulgą zawrócił spod czarnego urwistego przylądka Fcron i otwierając do oporu przepustnicę, skierował zodiaka ku swojej pływającej bazie, by jeszcze przed kolacją porobić notatki z odbytego rekonesansu. Nie natrafił, co prawda, na żaden ślad „Cuttyhunka”, ale miał przecież do napisania serię tematycznych artykułów. Fiord znajdujący się za przylądkiem Fcron będzie musiał poczekać do jutra. Zerknął na mapę. Co o nim wiemy? – pomyślał. – Jezu. Długi przynajmniej na dwadzieścia mil. Jak się nazywa? O, jest nazwa... Baie Blanche.

Była już 7.40 wieczorem, kiedy siedząc w ciepłej kabinie w spodniach, koszuli i cienkim swetrze, skończył spisywać poczynione obserwacje dotyczące morskich ptaków, krajobrazów, gór wznoszących się nad fiordami i niezgłębionych czarnych wód, które być może pochłonęły „Cuttyhunka”. Nie wierzył jednak, że statek zatonął.

Nalał sobie pół szklanki bourbona, rozcieńczył go taką samą ilością wody z kranu i pociągnął długi łyk. Bursztynowy płyn rozgrzał natychmiast wnętrzości i przed oczyma stanęła mu znowu wysoka, smukła Kate Goodwin; łagodny uśmiech, długie blond włosy, niezwykła, spokojna uroda.

Od kilku miesięcy widywał jej twarz codziennie przy pierwszym drinku. Nie potrafił się uwolnić od tej skrywanej obsesji na punkcie dziewczyny, która nigdy nie będzie jego i która być może już nie żyje. Pięknej córki dawno zmarłego brata swojego ojca.

Zdarzało się, że Freddie poważnie się zastanawiał, czy nie odchodzi od zmysłów. Ale widok tych zmrożonych, odpychających okolic, w których teraz się znalazł, działał na niego otrzeźwiająco. Upił kolejny łyżeczek bourbona i powiedział głośno do pustej kabiny:

–Jeśli żyjesz, to albo sam cię odnajdę, albo stanę na głowie, żeby ktoś to zrobił.

Sięgnął po notatnik i po raz nie wiadomo który napisał wielkimi literami: „DLACZEGO RADIOOPERATOR «CUT-TYHUNKA» MIAŁBY TWIERDZIĆ, ŻE ZOSTALI NAPADNIĘCI, GDYBY TAK RZECZYWIŚCIE NIE BYŁO? A JEŚLI STATEK POSZEDŁ NA DNO W KTÓRYMŚ Z FIORDÓW, TO DLACZEGO NIC NIGDY NIE WYPŁYNEŁO NA

POWIERZCHNIĘ?".

–Myście sobie o mnie, co chcecie – wymruczał. – Ale według mnie „Cuttyhunk” nie zatonął. I według mnie ktoś wie, gdzie jest jego załoga i pasażerowie.

Tego wieczoru, przy kolacji w męskim gronie, Freddie, układając plan swojej porannej wyprawy, namawiał kapitana, żeby wpłynął do Baie Blanche.

–Nie do samego końca – mówił – najwyżej na jakieś trzy, cztery mile, albo najlepiej do miejsca, gdzie fiord się rozwidła. Wątpię, żeby kapitan Mottram zpuścił się dalej. Jeśli pozostały tam po nich jakieś ślady, znajdziemy je. A jeśli nie, to sfotografuję przynajmniej to osłonięte kotwiczowisko przy wyspie Foch. Po południu wrócimy do zatoki Choiseul i jeśli dopisze pogoda, spenetruję w zodiaku te cieśniny między wysepkami.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu i wszyscy powrócili do delektowania się prawdziwie wykwintną kolacją, której głównym daniem był kurczak w winie, przygotowany specjalnie dla oficerów statku przez jednego- z bawiących gościnnie na pokładzie profesorów francuskich. Ponieważ monsieur le Professeur wlał do rondla całą butelkę Margaux Premier Reserve rocznik '86, potrawa smakowała jak kurczak przyrządzony dla Króla Słońce. Nie słychać było też protestów, kiedy profesor postawił na stole kolejne trzy butelki Margaux. Freddie zaproponował toast za Kate Goodwin i wszyscy wzniesli go z powagą.

–Rzecz sprowadza się do tego – perorował Freddie z rozwlekłością charakterystyczną dla tego stanu, który poprzedza bezpośrednio przejście w stan upojenia alkoholowego – że nie da się zatopić statku tak, żeby nic nie wypłynęło na powierzchnię. Weźmy taką dużą stalową balię jak „Cuttyhunk” ... żeby posłać ją na dno oceanu, trzeba by wywalić wielką dziurę w kadłubie pod linią wodną. W tym celu należałoby się posłużyć albo torpedą wystrzeloną z okrętu podwodnego... albo cholernie dużą bryłą TNT, który robi dużo huk, sieje wielkie spustoszenie i jest niebezpieczny w użyciu.

Kiedy statek tonie, urywa się wiele rzeczy. Cały górny pokład pełen jest obiektów, które mogą się oderwać – gumowe tratwy ratunkowe, osłony wind, kamizelki ratunkowe... to wszystko unosi się potem na wodzie. We wnętrzu statku znajdują się ubrania załogi, drewniane elementy wyposażenia i meble, plastikowe wieszaki łazienkowe, walizki. Nie wspominając już o galonach- oleju ~ i benzyny. Coś z tego musi wypłynąć, kiedy statek zatonie.

Freddie obracał przez chwilę w palcach kieliszek z winem. Potem podniósł wzrok i dużo wolniej ciągnął:

–Ale nic nie wypłynęło. Nie znaleziono żadnego śladu... a przecież marynarka przeczesła te wody najnowocześniejszym sprzętem do przeszukiwania morskich głębin. I co znaleźli? GÓWNO... ot co. Panowie, idę się położyć, dziękuję za cierpliwe wysłuchanie... – I wrócił nieco chwiejnym krokiem do swojej kabiny, by zapaść tam w niespokojny, ale pozbawiony sennych marzeń sen.

Obudził się wcześniej rano, wyrzucając sobie ostatnie dwa kieliszki Margaux. Jego zdaniem kunszt gorzelników destylujących bourbona w Kentucky i winiarzy z Bordeaux był porównywalny, nie uważał jednak, by ich znakomite, lecz różniące się gatunkowo produkty nadawały się idealnie do mieszania ze sobą, co uczynił poprzedniego wieczoru. Tym bardziej jeśli przesadzi się z ilością.

Statek nadal stał na kotwicy na płytkich wodach za południowym cyplem przylądka Feron. Pomimo dobrej pogody kapitan podjął standardowe środki bezpieczeństwa i na wypadek nadciągnięcia jakiegoś kapryśnego antarktycznego frontu, który zbiłby ciśnienie barometryczne, wystawił na noc dwuosobową wachtę.

Freddie zażył dwa alka-seltzery, podziękował za śniadanie i przygotował się do penetracji Baie Blanche. Ruszyli przed siódmą. Opłynęli wystający w morze, skuty lodem cypel i skręciwszy ostro w prawo, weszli do długiego fiordu. Kapitan zmniejszył szybkość do czterech węzłów i postawił dwóch obserwatorów na prawej burcie. Freddie z jeszcze jednym marynarzem zajęli miejsca na dolnym pokładzie przy lewej burcie, by obserwować stamtąd wybrzeże wyspy Gramont. Wszyscy czterej zaopatrzeni byli w lornetki, przez które lustrowali linię brzegową w nadziei Wypatrzenia jakichś szczątków świadczących, że był tu przed nimi amerykański statek antarktyczny „Cuttyhunk”.

Posuwając się powoli kursem południe-południowy zachód,

przebyli sześć mil i, jak dotąd, nic nie dostrzegli poza skałami i okruchami lodu. Słońce świeciło jasno, ale nie przygrzewało. Temperatura nie przekraczała zera i Baie Blanche nie odkrywała przed nimi żadnych tajemnic. Minęli po lewej występ lądu przy Saint Lanne i ich oczom ukazał się Pointę Bras. Kapitan pomyślał, że dalej nie ma sensu płynąć. Nie sądził, żeby Tug Mottram potrzebował jeszcze lepszej osłony dla wykonania prostych prac spawalniczych. Ale ten kapitan nie doświadczył jeszcze na własnej skórze potęgi szalejącego sztormu antarktycznego.

Freddie spojrzął na mapę i jego wzrok przyciągnęła mała zatoka wcinająca się w półwysep Loranchet tuż pod 49 równoleżnikiem, jakieś dwie mile od wejścia do odbiegającego w prawo fiordu Baie du Repos.

–Dalej Tug Mottram nie musiałby się już zapuszczać -powiedział. – Popłynę tam zodiakiem i rzucę okiem. Zaczekacie tu na mnie z godzinę?

Kapitan kiwnął głową i Freddie wyruszył na samotny rekonesans, rozglądając się bacznie po nieruchomych, cichych wodach i zastanawiając, czy Kate również patrzyła na te zmrożone klify. Skręcił w zatoczkę, zwolnił i płynąc z najmniejszą możliwą szybkością, przeszukiwał wzrokiem linię brzegową. Przytłaczającą ciszę mącił jedynie stłumiony pomruk silnika i plusk rozcinanej dziobem wody. Po jakimś czasie zniechęcony Freddie spojrzął na odległą o cztery mile Mount Richards. Żeby tak ten wielki, biały skubaniec potrafił mówić, pomyślał. Nic tu nie dostrzegął. Absolutnie nic.

Wróciwszy na statek, zasugerował kapitanowi wyjście z fiordów przez Baie de Londres po przeciwnej stronie wyspy Gramont. Ruszyli z szybkością czterech węzłów, prowadząc wciąż obserwację. Nadal nic. Północno-wschodni cypel wyspy musieli opłynąć szerokim łukiem, żeby uniknąć rozciągającego się przy nim na dwie mile kożucha wodorostów.

Przepływali właśnie między wyspą a odległą o pięćdziesiąt metrów, sterczącą z morza, niesamowitą Skałą Coxa i wychodzili na czystą wodę, kiedy coś przykuło wzrok stojącego na dziobie Freddiego Goodwina. Prawie już to minęli. Zagapił się. Ale teraz widział wyraźnie. Między głazami u podnóża skały utknęło coś w kolorze spłowiałej czerwieni, współczesnej fluorescencyjnej czerwieni.

–CO TO? – krzyknął, pokazując palcem.

–GDZIE?... GDZIE?... FREDDIE... GDZIE? – Posypały się pytania. I nagle wszyscy dojrzelili tę czerwoną plamkę wśród gładów. Sternik zatrzymał statek, spuszczone na wodę zodiaka i Freddie Goodwin w towarzystwie trzech marynarzy popłynął na pełnej szybkości do Skały Coxa. Zbliżywszy się stwierdzili, że tajemniczy obiekt to nowoczesny styropianowy sztywny pas ratunkowy. Tkwił zaklinowany mocno między gładami i mógł się pokruszyć przy próbie przyciągnięcia bosakiem. Trzeba będzie odrzucić kilka kamieni. Pas leżał tu od dosyć dawna.

Czterdzieści metrów dalej znajdowała się płaska, w miarę sucha półka. Sternik podpłynął do niej i nie gasząc silnika, docisnął wzmocniony, gumowany dziób łodzi do załomti skały. Pozostała trójka wygramoliła się na brzeg i dotarła po kamieniach do czerwonego pasa ratunkowego. Wydostanie go spomiędzy gładów w jednym kawałku zajęło dziesięć minut. Odwrócili pas i Freddie-mu Goodwinowi serce omal nie pękło, kiedy zobaczył trzy duże czarne litery. C-U-T.

Do tego instykt żeglarza podpowiadał mu, że nie czuje już na twarzy zachodniego wiatru. Pas ratunkowy został zniesiony na nawietrzną stronę skały, co znaczyło, że nie przyplłynął tu z otwartego morza, lecz z któregoś z fiordów.

I Freddie wszystko zrozumiał. Wiedział już, że „Cuttyhunk” niemal na pewno spoczął na dnie jednego z tych głębokich, złowrogich kanałów. Tak długo wmawiał sobie, że brak szczątków oznacza, że statek z Woods Hole nie zatonął. Teraz jednak znaleźli obiekt pochodzący z jego górnego pokładu. Miał go w rękach.

Kate odeszła. Teraz był już tego pewien.

Całe następne trzy dni spędził na rozmyślaniach, szukając choćby najslabszego promyka nadziei. I znalazł go wreszcie, wątlutki, bo wątlutki, ale zawsze. Chyba że podczas napadu któryś z członków załogi „Cuttyhunka” nie stracił głowy i ukradkiem wyrzucił za burtą pas ratunkowy jako ostatni rozpaczliwy sygnał dla świata zewnętrznego...

Hipoteza była tak naciągnięta, że dopiero po tygodniu dojrzała i zadowowiła się w jego umyśle jako logiczna dedukcja – jako ewentualne rozwiązanie, które może ukierunkować jego dalsze zabiegi.

I ukierunkowało, zanim jeszcze Freddie zasiadł w Hyannis do pisania pierwszego z serii płomiennych artykułów o groźnej, skutej lodem wyspie na końcu świata.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przestronność nowego gabinetu w Białym Domu, do którego przeniósł się w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, drażniła, a zarazem śmieszyła wiceadmirala Arnolda Morgana. Dla człowieka, który swego czasu służył na atomowych okrętach podwodnych, a ostatnio dyktował Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, kierując jej tajnymi, zdecydowanymi operacjami z małego funkcjonalnego pokoiku w Fort Meade w stanie Maryland, dostojna cisza wyłożonych dywanami pomieszczeń wydzielonych w domu prezydenta dla wyższego personelu stanowiła szok kulturowy.

Po latach spędzonych w marynarce Stanów Zjednoczonych, z czego siedem upłynęło mu na dowodzeniu atomowym okrętem podwodnym, ten mający metr osiemdziesiąt wzrostu, postawny Teksaszczyk po długich rozterkach rozstał się ostatecznie z mundurem – by przyjąć zaproponowane mu przez prezydenta stanowisko doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Tę trudną decyzję pomogła mu podjąć sympatia, jaką darzył obecnego lokatora Gabinetu Ovalnego, republikanina z południowego zachodu. – Podczas kiedy inni prezydenci zwykli odsuwać wojskowych od polityki, ten był profesorem prawa na Harvardzie, pochodzący z Oklahomy, od początku hołubił Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych, wciągając do jądra swojej administracji admirałów i generałów.

Arnold Morgan i prezydent współdziałali ze sobą ściśle poprzedniego roku podczas szczególnie drażliwej „czarnej operacji”. A niespełna trzy tygodnie po jej zakończeniu prezydent powiedział swoim najbliższym współpracownikom, że brakuje mu regularnych rozmów z Arnoldem:

–Wiem, straszny z niego zrzęda. Nie ufa żadnemu obcemu państwu z wyjątkiem Wielkiej Brytanii, a i Brytyjczykom nie do końca; wzywa do siebie ludzi nad ranem, podczas rozmów telefo-

50

nicznych jest przeważnie w tak podłym nastroju, że na zakończenie nie raczy się nawet pożegnać, ale to naprawdę wybitny umysł. I chodząca encyklopedia światowych sił morskich.

Sekretarz obrony, Robert MacPherson, również cenił sobie admirała i pomimo pewnych obaw wyrażanych przez bardziej ostrożnego Harcourta Trvisa, sekretarza stanu, uznano, że należy ściągnąć admirała Morgana do Białego Domu. Nie sprzeciwił się temu nawet Travis, przyznając żartem, że Neville Chamberlain „z pewnością spisałby się znacznie lepiej w 1939 na spotkaniu z Hitlerem w Monachium, gdyby zabrał tam ze sobą admirała Morgana”.

Wyplątywanie admirała z pierwszej linii amerykańskich służb wywiadowczych trwało blisko rok. Teraz Arnold Morgan, zapuściwszy już korzenie w wyłożonym grubymi, dywanami

wewnętrznym sanktuarium Skrzydła Zachodniego, siedział za swoim biurkiem i zastanawiał się, co, u diabła, począć z tymi przeklętymi chińskimi okrętami podwodnymi.

Admirał instynktownie nie ufał Pekinowi, a jeszcze mniej okrętom podwodnym obcych państw. Fakt, że te zbudowane zostały w Rosji, w kraju, który przysporzył mu już tylu zgryzot, podnosił jego rozdrażnienie do trzeciej potęgi.

–Żeby ich tak wszyscy diabli – warknął do siebie. – Ale nie z nami te numery.

Wstał zza biurka i włożył marynarkę od nowego, ciemnoszarego cywilnego garnituru, który uszył mu na miarę wojskowy krawiec. Błyskając wypucowanymi na glans czarnymi, sznurowanymi butami, wyszedł zdecydowanym krokiem z gabinetu. Jego przeszłość zdradzał tylko charakterystyczny sprężysty chód starszego oficera marynarki. Ten chód oraz przystrzyżone na zapalną siwe włosy i skierowany na wprost wzrok. Wypływając pod pełnymi żaglami ze swojego gabinetu w Białym Domu, admirał Morgan przywodził na myśl okręt wojenny idący do bitwy z gotowymi do odpalenia torpedami. Tego dnia nie było inaczej.

–Cholerne Chińczyki – burknął, mijając nowy portret prezydenta Eisenhowera, który pewnie by się z nim zgodził. – Napoleon miał rację, mówiąc, że świat się zatrząsie, kiedy obudzi się chiński olbrzym – burczał dalej poirytowany. – Ciekawe tylko, kto się będzie trząsł, bo na pewno nie USA...

Przed wejściem do Skrzydła Zachodniego czekał na niego samochód z kierowcą.

nicznych jest przeważnie w tak podłym nastroju, że na zakończenie nie raczy się nawet pożegnać, ale to naprawdę wybitny umysł. I chodząca encyklopedia światowych sił morskich.

Sekretarz obrony, Robert MacPherson, również cenił sobie admirała i pomimo pewnych obaw wyrażanych przez bardziej ostrożnego Harcourta Trvisa, sekretarza stanu, uznano, że należy ściągnąć admirała Morgana do Białego Domu. Nie sprzeciwił się temu nawet Travis, przyznając żartem, że Neville Chamberlain „z pewnością spisałby się znacznie lepiej w 1939 na spotkaniu z Hitlerem w Monachium, gdyby zabrał tam ze sobą admirała Morgana”.

Wyplątywanie admirała z pierwszej linii amerykańskich służb wywiadowczych trwało blisko rok. Teraz Arnold Morgan, zapuściwszy już korzenie w wyłożonym grubymi, dywanami wewnętrznym sanktuarium Skrzydła Zachodniego, siedział za swoim biurkiem i zastanawiał się, co, u diabła, począć z tymi przekłętymi chińskimi okrętami podwodnymi.

Admirał instynktownie nie ufał Pekinowi, a jeszcze mniej okrętom podwodnym obcych państw. Fakt, że te zbudowane zostały w Rosji, w kraju, który przysporzył mu już tylu zgryzot, podnosił jego rozdrażnienie do trzeciej potęgi.

–Żeby ich tak wszyscy diabli – warknął do siebie. – Ale nie z nami te numery.

Wstał zza biurka i włożył marynarkę od nowego, ciemnoszarego cywilnego garnituru, który uszył mu na miarę wojskowy krawiec. Błyskając wypucowanymi na glans czarnymi, sznurowanymi butami, wyszedł z zdecydowanym krokiem z gabinetu. Jego przeszłość zdradzał tylko charakterystyczny sprężysty chód starszego oficera marynarki. Ten chód oraz przystrzyżone na zapalną siwe włosy i skierowany na wprost wzrok. Wypływając pod pełnymi żaglami ze swojego gabinetu w Białym Domu, admirał Morgan przywodził na myśl okręt wojenny idący do bitwy z gotowymi do odpalenia torpedami. Tego dnia nie było inaczej.

–Cholerne Chińczyki – burknął, mijając nowy portret prezydenta Eisenhowera, który pewnie by się z nim zgodził. – Napoleon miał rację, mówiąc, że świat się zatrzęsie, kiedy obudzi się chiński olbrzym – burczał dalej poirytowany. – Ciekawe tylko, kto się będzie trząsł, bo na pewno nie USA...

Przed wejściem do Skrzydła Zachodniego czekał na niego samochód z kierowcą.

–Czołem, Charlie – mruknął admirał. – Pentagon. Tam gdzie zawsze. Biuro szefa operacji morskich. Musimy być na 10.30.

–Ta-je, sir! – rzucił służbiście Charlie, który do pojawienia się admirała w Białym Domu nie woził jeszcze tak wysokiego stopniem wojskowego. Nie ochłonął jeszcze po pierwszym spotkaniu z admirałem w dniu objęcia przezeń urzędu i nadal zachowywał się jak zastraszonego uczeń szkoły morskiej. Charlie podjechał wtedy spóźniony o dwie minuty i nie wierzył własnym uszom, kiedy Arnold Morgan skomentował to cichym, lecz zdecydowanie złowróżbnym głosem: „Leser z was, obibok, oferma i w ogóle dno. Jeśli to się powtórzy, wylatujecie. Zrozumiano, dupku? Jestem admirał Arnold Morgan, mam cholernie dużo na głowie i nie będę tolerował takiego olewania u nikogo, nawet u pracownika tego pieprzonego Białego Domu”.

Charlie Patterson omal nie umarł wtedy na zawał. I chociaż od tamtego dnia minął już miesiąc, nadal panicznie bał się admirała. Na wszelki wypadek podjeżdżał teraz zawsze po nowego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego dwadzieścia minut wcześniej. Opowieść o jego konfrontacji z tyranem z Fort Meade, z cytowaną słowo w słowo reprimendą Morgana, rozeszła się po Białym Domu lotem błyskawicy. Dotarła nawet do uszu prezydenta, który uznał incydent za najzabawniejsze wydarzenie tygodnia.

Charlie Patterson, kierując się na wschód, przeprowadził wielką limuzynę ulicami Waszyngtonu i skręcił z Maine Avenue w międzystanową 1-395. Mknąc pasmem szybkiego rechu, przecięli Potomac i znaleźli się przed wojskową kwaterą główną Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

Admirał Morgan znał te utarte szlaki na pamięć, bo przemierzał je przez ostatnie cztery lata, tyle że sam. Osobisty kierowca był jednym z aspektów jego nowego życia, z którymi musiał się jeszcze oswoić. Do innych należały wyraźnie określone godziny urzędowania i częstsze spotkania towarzyskie, w których musiał uczestniczyć. Najbardziej brakowało mu tych nocnych godzin, kiedy krążył po swojej centrali w Fort Meade, analizując sygnały z amerykańskich punktów obserwacyjnych rozsianych po całym świecie, śledząc na bieżąco wydarzenia, nasłuchując i czuwając.

Poważnie zaczął rozważać możliwość znalezienia sobie nowej towarzyszkę życia. Lata spędzone na okrętach podwodnych, a potem w wywiadzie marynarki wojennej wywarły druzgocący

wpływ na oba jego małżeństwa. Był wtedy zbyt zaabsorbowany, by koncentrować się na czymś tak przyziemnym jak rodzina, i chyba przez to zaniedbanie nie miał teraz kontaktu ani z obiema swoimi byłymi żonami, ani nawet z dwojgiem dorosłych dzieci. Obecnie, zajmując wysoko opłacane stanowisko u boku prezydenta, stawał się jedną z najatrakcyjniejszych „partii z odzysku” w waszyngtońskich kręgach. Niebezpieczne wody dla bezbronnego byłego dowódcy starającego się dopiero odbudowywać swój urok osobisty z lat, kiedy był jeszcze młodym porucznikiem. • Ale wszystko to były rzeczy wtórne. Zwłaszcza teraz. Admirał Morgan, od lat najbardziej nieustraszony i wzbudzający największy postrach poszukiwacz prawdy, jakiego miała marynarka wojenna, próbował powiązać w jeden logiczny ciąg wiele z pozoru oderwanych i nie przystających do siebie faktów. Ale za kilka godzin będzie je miał uporządkowane i prawie na pewno podejmie skryte, lecz zdecydowane działania wymierzone przeciwko dwóm z najpotężniejszych państw świata.

Charlie skręcił do podziemnego garażu pod gmachem Pentagonu. Zatrzymał wóz przed prywatną windą, którą wjeżdżało się do biura przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, admirała Scotta Dunsmore'a, byłego szefa operacji morskich. Admirał Morgan miał tam spędzić przy kawie piętnaście minut, a następnie udać się na naradę do nowego szefa operacji morskich, admirała Josepha Mulligana, byłego dowódcy sił podwodnych Floty Atlantyku.

Przed-windą czekali już dwaj marines, którzy mieli go eskortować do biura przewodniczącego Komitetu. Admirał, zanim wszedł do kabiny, odwrócił się jeszcze do Charliego i powiedział:

–Mogę wypaść z tych drzwi w każdej chwili, poczynając od teraz, a na 16.30 kończąc. Waruj tutaj.

Jeden z marines zaryzykował kpiący uśmiezek. Admirał prześwidrował go wzrokiem.

–Bez nawalanki, dobrze? – burknął.

–Tak jest, sir – odparł żołnierz, nie bardzo kojarząc, co konkretnie miał na myśli admirał.

Spotkanie przy kawie ze starym przyjacielem przewodniczącym przebiegło w luźnej, nieformalnej atmosferze. Jego celem było jedynie zapoznanie pokrótce Dunsmore'a z aktualnym stanowiskiem prezydenta wobec problemu chińskiego. Obyło się bez rewelacji. Admirał Dunsmore i tak się gp domyślał. Narada

z admirałem Mulliganem i z jeszcze jednym zaproszonym gościem miała być o wiele bardziej szczegółowa. Admirał Dunsmore jeszcze przed wieczorem oczekiwał jasno sformułowanych postanowień. Wszystko wskazywało na to, że nie obejdzie się bez kolejnej czarnej operacji (której nie będzie można przypisać nikomu konkretnemu, nawet gdyby zakończyła się pełną klapą). I im mniej osób będzie o niej wiedziało, tym lepiej.

Młody porucznik flagowy pełniący służbę przed drzwiami biura szefa operacji morskich poinformował admirała Morgana, że szef spóźni się jakieś dziesięć minut. Wynikł jakiś problem z lotniskowcem w Norfolk. Admirał Mulligan odleciał przed chwilą helikopterem z portu marynarki wojennej i był już w drodze.

–Właśnie z nim rozmawiałem, sir. Powiedział, że bym pana wpuścił, a on postara się jak najszybciej tu dotrzeć.

Arnold Morgan wszedł do biura szefa operacji morskich. Czekał tam już umundurowany oficer marynarki zagłębiony w lekturze „Washington Post”. Na jego piersi, nad rzędem medali, widniała mała naszywka podwodniaka z dwoma delfinami, legendarnymi sługami boga morza, Posejdon. Rękaw munduru zdobiły trzy złote paski i jedna gwiazdka.

–Witam, komandorze – powiedział admirał, wyciągając rękę. – Arnold Morgan.

Mężczyzna podniósł się szybko z fotela i uścisnął dłoń admirała.

–Dzień dobry, sir – powiedział. – Cale Dunning, „Columbia”.

Admirał Morgan uśmiechnął się.

–Oho, Boomer Dunning, we własnej osobie. Rad jestem pana poznać. Wie pan zapewne, że też pływałem kiedyś na okrętach podwodnych.

–Tak, panie admirale. Wiem. Kiedy ja w 1982 kończyłem Annapolis, pan był dowódcą „Baltimore”, prawda?

–Zgadza się. To był wtedy ostatni krzyk techniki. Z pańską „Columbią” nie mógłby się, rzecz jasna, równać, ale to był cholernie dobry okręt. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby jeszcze takim podowodzić. Mile wspominał tamte lata. Niech się pan stara wykorzystać swój czas do maksimum, Boomer. To dla takich jak my najlepszy okres w życiu i nie będzie do tego powrotu, kiedy postanowią przesunąć pana na wyższe stanowisko albo awansować.

Dwaj podwodniacy usiedli naprzeciwko siebie w fotelach.

Obaj powstrzymywali się od poruszania kwestii, która ich tu sprowadzała. Z wnioskiem o zwołanie tej narady wystąpił admirał Morgan i to on miał jej przewodniczyć. On też zasugerował admirałowi Mulliganowi zaproszenie komandora Dunninga, którego jednak nie znał osobiście.

Teraz z postanowieniem, że do przybycia szefa operacji morskich będzie unikał tematu dnia, spojrzął na rozpostartego „Posta” i spytał komandora Dunninga, czy dużo dzisiaj w gazecie wyssanych z palca bzdur.

–Na żadną jeszcze nie natrafiłem, sir – odparł z uśmiechem Boomer. – Zainteresował mnie długi artykuł o tym statku z Woods Hole, który zaginął bez wieści w zeszłym roku. Czytałem już kiedyś o tej sprawie. Pisuje o niej od jakiegoś czasu dziennikarz Frederick J. Goodwin. Gość jest najwyraźniej dobrze zorientowany w temacie.

–To niespotykane u żurnalisty – mruknął admirał. – Zazwyczaj wiedzą akurat tyle, żeby cholernie namącić.

Boomer zachichotał.

–W tym wypadku jest inaczej, sir. Facet pofatygował się nawet na tę francuską wyspę, przy której zaginął statek. Natrafił tam na pierwszy ślad – kawałek jasnoczerwonego styropianowego pasa ratunkowego. Były na nim litery C-U-T. Sprawdził w bazie. „Cuttyhunk” miał takie pasy na wyposażeniu.

–To chyba dowód, że statek poszedł jednak na dno, prawda?

–Facet jest innego zdania. Twierdzi, że gdyby „Cuttyhunk” zatonął, to pływałyby tam więcej szczątków. A fregata, którą marynarka skierowała kilka dni po wypadku na miejsce zdarzenia, niczego nie znalazła.

–Tak. To dziwne. O ile dobrze pamiętam, nasza fregata przeczesywała tamten rejon przez trzy miesiące. I nic nie znaleźli. A co ten Goodwin ma do powiedzenia na temat napaści, o której wspomina ostatni komunikat?

–W tym sęk, panie admirale. Facet utrzymuje, że naprawdę zostali zaatakowani i że któryś z członków załogi „Cuttyhunka” w desperackiej próbie pozostawienia jakiegoś śladu dla tych, którzy będą ich szukali, wyrzucił za burtę pas ratunkowy. Goodwin twierdzi, że nie ma innego wyjaśnienia całkowitego braku innych szczątków.

–Owszem, jest.

–Jakie?

–Ci, którzy zatopili statek, zostali tam jeszcze kilka dni, żeby skrzętnie po sobie posprzątać. Kiedy nasza fregata dotarła na miejsce, było już czyściutko.

–Fakt. Ostał się tylko kawałek pasa ratunkowego.

–Właśnie... A swoją drogą, gdzie go znaleźli?

–Z tym też wiąże się interesujący wątek dedukcji pana Goodwina. Napisał, że tkwił zaklinowany między kamieniami po zachodniej stronie jakiejś wielkiej skały, wielkiej, ale nie ha tyle, by zasługiwała na miano wyspy. Jego zdaniem miejsce znalezienia pasa sugeruje, że nie zniosło go tam od strony otwartego morza, lecz z fiordu. *

–Kapitan naszej fregaty był zdania, że „Cuttyhunk” nie zatonął we fiordzie. Absolutnie nic tam nie znaleźli. Zastanawiam się, jak mogli przeoczyć ten pas?

–Goodwin jest niemal przekonany, że kapitan fregaty ominął ten właśnie fragment wody. Podobno mnóstwo tam wodorostów, a przejście jest wąskie i usiane skałami. Jego zdaniem żaden kapitan marynarki wojennej przy zdrowych zmysłach nie wprowadziłby tam swojego okrętu.

–Też tak sądzę, Boomer. Lepiej przeoczyć jakiś tam pas ratunkowy, niż zaplątać się w wodorosty i czekać parę tygodni na wyholowanie.

–Właśnie, sir. Będąc na miejscu kapitana fregaty, postąpiłbym tak samo.

–I do jakich wniosków dochodzi ten Goodwin? Według niego „Cuttyhunk” zatonął czy nie?

–Jego zdaniem – nie. Uważa, że statek nadal gdzieś tam pływa; tyle że nie ma żadnej teorii co do losów załogi i naukowców, którzy znajdowali się na pokładzie. Nie wierzy, żeby nasza fregata, krążąc nad miejscem domniemanego zatonięcia „Cutty-hunka”, niczego nie znalazła.

–Wygląda na to, że gość bardzo się zaangażował, co? Rozumiem go, bo sam nie cierpię tajemnic. Ale swego czasu dosyć wnikliwie przestudiowałem ten raport. Istnieje możliwość, że „Cuttyhunk” zatonął w zatoce, gdzie głębokość wody przekracza dwieście metrów. Jeśli tak, to nic dziwnego, że niczego nie znaleźli.

–To prawda, panie admirale. Ale Goodwin utrzymuje, że gdyby statek rzeczywiście zatonął w zatoce, to przy tamtejszych prądach morskich i przeważających zachodnich wiatrach ten pas

ratunkowy nie mógłby się w żaden sposób znaleźć tam, gdzie się znalazł.

–Nie wydaje mi się, żeby wobec szalejącego na morzu sztormu znaczenie miał kierunek, w jakim dmucha wiatr nad lądem. I uważam, że sprawę należy zamknąć. Przykro mi.

–Nie sędzę, panie admirale, żeby ten Goodwin tak łatwo dał za wygraną. To dopiero pierwszy z cyklu jego artykułów na ten temat. Przez najbliższe trzy dni drukowane będą następne. Jutrzejszy nosi tytuł „Klątwa Kerguelena” ...

W tym momencie z impetem otworzyły się drzwi i do biura w rozpiętym płaszczu wkroczył admirał Joe Mulligan.

–Bardzo was przepraszam, panowie – rzucił od progu. – Czołem, Boomer... Admirale. Znowu problemy z tym nowym lotniskowcem. Ma wejść do służby w marcu, a Bóg jeden wie, czy termin zostanie dotrzymany. W połowie lata ma złuzować „Waszyngtona”, którego nie mogę już dłużej trzymać na Oceanie Indyjskim. Co prawda w odwodzie pozostaje jeszcze „Lincoln”, ale jemu zbliża się termin generalnego remontu. Że też nie mamy już „Waszyngtona”.

–Z ust mi to wyjąłeś, Joe – powiedział powoli admirał Morgan.

Uśmiechnął się do byłego podwodniaka piastującego teraz najwyższe stanowisko w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych. Arnold Morgan i Joe Mulligan, Irlandczyk z Bostonu, znali się od lat, jeszcze z akademii, i Arnold, przynajmniej od jakiegoś czasu, był przeświadczony, że przyjaciela od samego początku przygotowywano do objęcia tego urzędu.

Joe miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i twarz o ostrych rysach, pociętą siateczką zmarszczek w kącikach oczu i ust, bo lubił się śmiać. Był inteligentny, dowcipny, a jego szpakowate włosy i szare oczy przywodziły na myśl kolor, na jaki maluje się okręty wojenne. Zaczął siwieć w wieku trzydziestu jeden lat, co dawało świadectwo poważnemu, refleksyjnemu usposobieniu, które szło w parze z pasją do rozwiązywania złożonych zagadnień prowadzenia wojny na morzu.

W młodości Joe był niezłym futbolistą i grał na pozycji obrońcy w drużynie Nawigatorów na Igrzyskach Sił Zbrojnych w 1966 roku. Podwodniactwo miał we krwi, nigdy nie chciał pływać na okrętach nawodnych. Dowodził kiedyś podwodnym nosicielem pocisków Pofaris, stacjonującym w Holy Loch

w Szkocji, a potem objął jedno z najbardziej prestiżowych stanowisk w całej Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych -został kapitanem osiemnastoipółtysięcznotonowego okrętu podwodnego „Ohio”, nosiciela pocisków strategicznych Trident. Było to na początku lat osiemdziesiątych, w okresie kiedy prezydent Reagan wprowadzał w życie swoją politykę zastraszania Rosjan.

Dowódców podwodnych nosicieli pocisków Trident uważano za elitę Marynarki Wojennej USA – za ludzi stojących w hierarchii w pewnym sensie wyżej od admirałów dowodzących grupami uderzeniowymi lotniskowca. Każdy z nich obdarzony był tym niemal mistycznym darem nie tylko kierowania z beznamiętną sprawnością swoimi gigantycznymi okrętami podwodnymi, ale również postrzegania w szerszym kontekście zarówno świata podwodnego, jak i świata polityki, który ich otaczał. Byli ludźmi podstępnyimi, bezwzględnyimi i bez reszty wierzącyimi w swe umiejętności.

Kapitana Joego Mulligana uznawano powszechnie za najlepszego z nich. Ale mimo to szybkość, z jaką awansował na wiceadmirała, a zaraz potem objął stanowisko dowódcy sił podwodnych Floty Atlantyku, niejednego zaskoczyła. Kiedy admirał Scott Dunsmore awansował na przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, na zwolnione przez niego stanowisko szefa operacji morskich kandydowało trzech admirałów z linii. Joe Mulligan był wśród nich outsiderem, ale ku powszechnemu zaskoczeniu to op został następcą Scotta Dunsmore'a.

Arnold Morgan do grona zaskoczonych nie należał. Uważał admirała Mulligana za wybitnego stratega morskiego i administratora. Wiedział też, że Mulligan jest ekspertem w zakresie współczesnych systemów pocisków kierowanych i ma wyższe wykształcenie w dziedzinie fizyki jądrowej. Jednak u nowego szefa operacji morskich najbardziej podobało mu się cyniczne podejście do motywów, jakimi kierują się wszystkie obce państwa. Obu tych mężczyzn łączyła niezachwiana wiara w supremację Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i kiedy trzeba było zażegnywać jakieś kryzysy międzynarodowe, jednym głosem wołali: „Ma być tak a tak, bo Ameryka mówi, że tak ma być”.

Admirał Mulligan zaprosił nowego prezydenckiego doradcę do spraw bezpieczeństwa do swojego gabinetu, a komandorowi kazał jeszcze chwilę poczekać na zewnątrz. Oficerowi dyżurnemu

zapowiedział, że przeszkodzić im może wyłącznie w razie wybuchu wojny, buntu albo pożaru, poprosił go też o przyniesienie gorącej kawy i jakichś ciasteczek.

Biurko szefa Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych wcale nie wydawało się dla niego za duże. Admirał Mulligan wyglądał na człowieka stworzonego do zasiadania za nim.

–No, Arnie – mruknął – i co my zrobimy z tymi chińskimi kutasami?

Wyciągnął z szuflady biurka teczkę z tajnymi dokumentami, przekartkował je i poprosił swojego starego kumpla, żeby na wstępie naświetlił mu dokładnie i wyczerpująco polityczne tło problemu. Potem przejdą do omawiania możliwych rozwiązań.

–Jak sobie życzysz, Joe. Postaram się bardzo dokładnie wprowadzić cię w temat, bo odnoszę wrażenie, że występują tu jakieś zatory w przepływie informacji. Albo to, albo sprawy, które dla mnie mają znaczenie decydujące, innym się takie nie wydają, a to by znaczyło, że mamy do czynienia z bandą tępych baranów, zgoda?

–Zgoda.

–Trochę mi to zajmie, Joe, a więc uzbrój się w cierpliwość. Nie bardzo wiem, od czego zacząć, czy od informacji, które docierały do mnie jeszcze w Fort Meade, czy od tego, co wypłynęło ostatecznie, kiedy byłem już przy prezydencie. Niech się zastanowię... Cofnijmy się może do roku 1993, kiedy to chińska marynarka wojenna po raz pierwszy zwróciła się do dogorywającej marynarki sowieckiej z zamówieniem na jeden z tych ich okrętów podwodnych klasy Kilo.

Cóż, chińska marynarka wojenna już wówczas przejawiała postawę ekspansjonistyczną, a więc nikogo to specjalnie nie zdziwiło. Szczerze mówiąc, bardziej interesował nas fakt, że do zamówienia dwóch czy trzech jednostek tej samej klasy przymierzali się wtedy Irańczycy.

Jakiś czas potem, w roku 1995, zaczęło się dziać coś, co obudziło jednak naszą czujność. W styczniu Chiny odebrały swojego pierwszego Kilo. Został im dostarczony okrężną drogą jakimś statkiem transportowym zarejestrowanym na Cyprze. Zajęło to sześć tygodni, ale najważniejsze, że przesyłka dotarła do adresata.

Potem, w połowie września, Bałtyk opuścił drugi przeznaczony dla Chin Kilo, i on również dotarł na miejsce. Na początku roku 1996 Chińczycy przyznali, że oprócz tych dwóch pierw-

szych, zamówili jeszcze w sumie osiem okrętów klasy Kilo. Kilka tygodni później rozpoczęli serię ćwiczeń morskich w Cieśninie Tajwańskiej, najwyraźniej z zamiarem zagrania na nerwach tajwańskim siłom zbrojnym. Kiedy w pobliżu wybrzeży Tajwanu zaczęły spadać wystrzeliwane przez nich pociski kierowane, poczuliśmy się w obowiązku zareagować.

Pamiętasz chyba, że przypomnieliśmy im o naszych interesach, wysyłając tam grupę uderzeniową lotniskowca. Troszkę wtedy spasowali, a my od tamtego czasu bacznie śledzimy sytuację. Nie muszę ci tłumaczyć, jak zapatrujemy się na na wszelkie podejmowane przez Chiny działania mogące zagrozić nie tylko naszej własnej pozycji w Cieśninie Tajwańskiej, ale również bezpiecznemu ruchowi statków handlowych innych państw na tych szlakach dalekowschodnich.

Tak więc potem przez kilka lat było jakby spokojniej. Zapewne dlatego, że Rosjanie nie byli po prostu w stanie zbudować dalszych Kilo. Wiesz, w jakiej parszywej sytuacji się znajdują. Od czasu podziału dawnej sowieckiej marynarki wojennej ich stocznie, zwłaszcza te na Bałtyku, cienko przędą i, o ile nam wiadomo, budują bardzo mało okrętów podwodnych.

Istnieje też możliwość, że Rosjanie wzięli sobie do serca nasze ponawiane wielokrotnie ostrzeżenia, że nie powinni realizować chińskiego zamówienia, ale ja osobiście w to nie wierzę. Zwiększyliśmy presję w tym roku, bo Chińczycy znowu zorganizowali manewry swojej Floty Wschodniej o wiele za blisko Tajwanu – tak blisko, że, jak zapewne pamiętasz, omal nie doszło do incydentu międzynarodowego pomiędzy paroma naszymi niszczycielami a grupą chińskich podstarzałych fregat.

Od tamtego czasu chyba z sześć razy wzywaliśmy rosyjskiego ambasadora i tłumaczyliśmy mu, z jaką powagą potraktowalibyśmy sytuację, gdyby Chińczycy weszli nagle w posiadanie sporej flotyli okrętów podwodnych i zaczęli patrolować Cieśninę Tajwańską. Przekonałiśmy się na własnej skórze, jakich szkód może narobić dobrze wyszkolony dowódca takiego okrętu. Gdyby Chińczycy mieli ich w sumie dziesięć, to prawdopodobnie utrzymywaliby stale w cieśninie trzy albo i więcej, skutecznie nas stamtąd wypierając.

W marynarce, jak sam wiesz, panuje pogląd, że nie powinniśmy narażać naszych dużych lotniskowców na szwank be? naprawdę uzasadnionej przyczyny. A prezydent zdaje sobie sprawę,

że gdyby cieśninę patrolowało stale kilka chińskich Kilo, to nasze lotniskowce nie mogłyby się tam czuć bezpieczne.

–Tak, Arnie, z pewnością. Źle by to było dla marynarki, a co za tym idzie, źle dla Stanów Zjednoczonych. I prezydent wie to najlepiej.

–No widzisz, Joe. Sam to powiedziałeś. Pozwól, że zrelacjonuję ci teraz szczegółowo wydarzenia, do jakich doszło piątego września – dwa dni przed naszym pierwszym spotkaniem z prezydentem. Od początku trzymałem rękę na pulsie; zaczęło się około 1.00 w nocy naszego czasu. Jeden z naszych ludzi z południowych Chin zameldował poza ustalonym grafikiem łączności, że zaobserwował coś niezwykłego: otóż rano, na lotnisku w Xiamen – no wiesz, w tej bazie marynarki wojennej na południowym krańcu prowincji Fujian – wylądował duży rosyjski samolot wojskowy, najwyraźniej pusty.

Zatankował, a w niecałą godzinę później podjechał tam autobus marynarki wojennej z dwudziestoma facetami, bezsprzecznie chińskimi marynarzami z bagażem. Wsiadli do samolotu i ten od razu wystartował, biorąc kurs na północ.

W jakieś dwie godziny później do Fort Meade dociera następny meldunek. Rosjanin wylądował na lotnisku Hongqiao w Szanghaju. Inny z naszych ludzi widzi dwa duże autobusy marynarki wojennej podjeżdżające o godzinie 13.00 ich czasu pod samolot. Tym razem wysiada z nich i ładuje się do maszyny grupa sześćdziesięciu-siedemdziesięciu facetów.

O 5.00 naszego czasu dostajemy meldunek, że rosyjski samolot wojskowy pojawił się w Pekinie. Przyleciał bezpośrednio z Szanghaju. I wsiadło do niego kolejnych piętnastu facetów. Tyle że ci byli bezsprzecznie wyższymi rangą oficerami. W mundurach. Potem przycichło. I było cicho aż do wczesnego popołudnia, kiedy to pracownik CIA z ambasady powiadamia Fort Meade, że parę minut po 19.00 rosyjski samolot wojskowy niemal z setką ludzi z chińskiej marynarki wojennej na pokładzie wylądował na lotnisku Szeremietiewo II pod Moskwą. Ten gość z ambasady twierdzi, że na lotnisku czekał spory komitet powitalny i że właśnie to wzbudziło jego zainteresowanie, bo wojskowych samolotów nie wita się na ogół z taką pompą.

Tak czy inaczej, przeprowadziłem rutynowe czynności -sprawdziłem numery samolotu, czas podróży i tak dalej. Nie ulegało wątpliwości, że to ta sama maszyna – i nie ulegało rów-

niez wątpliwości, że przyleciały nią załogi tych dwóch Kilo, których budowę kończono w Siewierodwinsku i o których od paru miesięcy było nam wiadomo.

Potraktowałem rzecz bardzo poważnie. Sporządziłem raport, wyszczególniając w nim powody, dla których uważam sprawę za wymagającą dokładnego zbadania. Ale mój poprzednik na stanowisku doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego schował chyba głowę w piasek. Podejrzewam, że nie przekazał prezydentowi moich obaw. Nie zrobił tego nawet wtedy, kiedy potwierdziliśmy fakt, że do Siewierodwinska przybyło stu Chińczyków, którzy zaczynają obsadzać oba okręty podwodne.

–Coś takiego. Mój poprzednik słowem mi o tym nie wspomniał.

–To się po prostu w głowie nie mieści, Joe. Od paru dobrych miesięcy ślęczę nad sprawą, a jakiś zasrany polityczny analfabeta, który nie odróżnia swojego łokcia od dupy, odkłada moje raporty na półkę. Nie ma palant pojęcia, jacy niebezpieczni mogą być ci przekłęci Chińczycy.

Tak czy inaczej w połowie października oba Kilo są jeszcze w Siewierodwinsku. Prawdopodobnie trwają próby eksploatacyjne i szkolenie załóg. I nagle słyszę, że zostały namierzone przez satelitę wywiadowczego, kiedy opuszczały Morze Białe i kierowały się na północny zachód. Wszystko wskazywało na to, że ruszają w drogę do domu.

Tu miarka się przebrała. Wziąłem sprawy w swoje ręce. Nie oglądając się na protokół, zadzwoniłem bezpośrednio do prezydenta i powiadomiłem go, że te sukinsyny się ruszyły i jeśli czegoś szybko nie zrobimy, to w niedalekiej przyszłości Chińczycy będą mieli w Cieśninie Tajwańskiej cztery Kilo i obudzimy się z ręką w nocniku. Bardzo się przejął i poprosił mnie, żebym informował go na bieżąco o rozwoju sytuacji.

Ale alarm okazał się przedwczesny. Oba Kilo, przepłynąwszy pięćset mil, wzięły kurs na Murmańsk. Prawdopodobnie uciekały tylko z Morza Białego, żeby nie ugrzęznąć na nim prawie na pięć miesięcy, kiedy zamarznie. Zawinęły do rosyjskiej bazy okrętów podwodnych Polamyj – to blisko wejścia do zatoki, po drodze do Murmańska i Siewieromorska.

I przebywają tam do dziś. Przeprowadzają próby eksploatacyjne. Ani razu się nie zanurzały, ani razu nie wychodziły w morze na dłużej niż czterdzieści osiem godzin, co według mnie

oznacza, że drogę do Chin, w którą wkrótce wyruszą, prawdopodobnie będą odbywały w wynurzeniu. Zasugerowałem prezydentowi, że najlepiej byłoby zadbać, żeby nigdy tam nie dotarły. Podstępne chińskie kutasy.

Tym razem admirał Joe Mulligan się nie uśmiechnął.

–Teraz rozumiem, dlaczego nalegałeś, żebym wezwał tu dzisiaj komandora Boomera Dunninga. Poproszę go, jeśli nie masz nic przeciwko.

–Nie mam. Proś. Bo dzisiaj wydarzyło się znowu coś, co chyba powinniśmy przedyskutować we trójkę.

Joe Mulligan podniósł słuchawkę telefonu i wezwał do swojego sanktuarium Boomera Dunninga. Dowódca atomowego okrętu podwodnego wszedł do gabinetu i zatrzymał się, czekając na pozwolenie zajęcia miejsca.

Admirał Morgan przystąpił do zwięzłego naświetlania sytuacji.

–Być może słyszałeś, Boomer – zaczął – że Chiny mają już u siebie dwa rosyjskie okręty podwodne klasy Kilo. Zamówiły osiem następnych. Dwa z tych ośmiu przechodzą teraz ostatnie próby na Morzu Barentsa w pobliżu Murmańska. Wkrótce ruszają w drogę do Chin. Przypatrujemy się temu ze spokojem, bo żaden z nich jeszcze się nie zanurzał i wygląda na to, że przygotowują się do odbycia tej podróży w wynurzeniu. To dobrze, bo będziemy je mogli obserwować. I w stosownym momencie wkroczyć do akcji.

Ale dzisiaj, 4 grudnia, wyszło coś nowego i śledzimy teraz z wielkim zainteresowaniem rozwój sytuacji. Otóż satelita namierzył właśnie, niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, bardzo podejrzanie wyglądający frachtowiec idący przez cieśninę Malakka. Zwróciliśmy na niego uwagę już wcześniej, kiedy płynął wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki na południe. Wzbudził wtedy nasze zainteresowanie, bo nie mogliśmy dociec, jaki ładunek przewozi ani dokąd się udaje. Teraz wiemy już, że to Holender, a pod tą wielką plandeką na głównym pokładzie znajduje się coś, co wygląda nam na okręt podwodny. Frachtowiec idzie kursem, który sugeruje, że nie zamierza zawijać do Singapuru, a więc kieruje się chyba do Chin.

–Jezu – wtrącił Mulligan. – Byłbyś mi łaskaw zdradzić, jak do tego wszystkiego doszedłeś?

–Wszystko jedno jak, najważniejsze, że za późno. Nie

oznacza, że drogę do Chin, w którą wkrótce wyruszą, prawdopodobnie będą odbywały w wynurzeniu. Zasugerowałem prezydentowi, że najlepiej byłoby zadbać, żeby nigdy tam nie dotarły. Podstępne chińskie kutasy.

Tym razem admirał Joe Mulligan się nie uśmiechnął.

–Teraz rozumiem, dlaczego nalegałeś, żebym wezwał tu dzisiaj komandora Boomera Dunninga. Poproszę go, jeśli nie masz nic przeciwko.

–Nie mam. Proś. Bo dzisiaj wydarzyło się znowu coś, co chyba powinniśmy przedyskutować we trójkę.

Joe Mulligan podniósł słuchawkę telefonu i wezwał do swojego sanktuarium Boomera Dunninga. Dowódca atomowego okrętu podwodnego wszedł do gabinetu i zatrzymał się, czekając na pozwolenie zajęcia miejsca.

Admirał Morgan przystąpił do zwięzłego naświetlania sytuacji.

–Być może słyszałeś, Boomer – zaczął – że Chiny mają już u siebie dwa rosyjskie okręty podwodne klasy Kilo. Zamówiły osiem następnych. Dwa z tych ośmiu przechodzą teraz ostatnie próby na Morzu Barentsa w pobliżu Murmańska. Wkrótce ruszają w drogę do Chin. Przypatrujemy się temu ze spokojem, bo żaden z nich jeszcze się nie zanurzał i wygląda na to, że przygotowują się do odbycia tej podróży w wynurzeniu. To dobrze, bo będziemy je mogli obserwować. I w stosownym momencie wkroczyć do akcji.

Ale dzisiaj, 4 grudnia, wyszło coś nowego i śledzimy teraz z wielkim zainteresowaniem rozwój sytuacji. Otóż satelita namierzył właśnie, niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, bardzo podejrzanie wyglądający frachtowiec idący przez cieśninę Malakka. Zwróciliśmy na niego uwagę już wcześniej, kiedy płynął wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki na południe. Wzbudził wtedy nasze zainteresowanie, bo nie mogliśmy dociec, jaki ładunek przewozi ani dokąd się udaje. Teraz wiemy już, że to Holender, a pod tą wielką plandeką na głównym pokładzie znajduje się coś, co wygląda nam na okręt podwodny. Frachtowiec idzie kursem, który sugeruje, że nie zamierza zawijać do Singapuru, a więc kieruje się chyba do Chin.

–Jezu – wtrącił Mulligan. – Byłbyś mi łaskaw zdradzić, jak do tego wszystkiego doszedłeś?

–Wszystko jedno jak, najważniejsze, że za późno. Nie

uwierzysz, Joe, ale pod moją nieobecność w Fort Meade, a nie trwała ona dłużej niż półtorej godziny, pewien bezmózgi dureń odebrał przez satelitę meldunek o jaldmś okręcie podwodnym klasy Kilo opuszczającym Sankt Petersburg na pokładzie holenderskiego frachtowca. Powiadomiono o tym sekretarza obrony i biuro sekretarza stanu, i przypuszczalnie kogoś stąd.

–Nie mnie – zastrzegł się admirał Mulligan.

–Tak czy inaczej, zwołano konferencję na wysokim szczeblu i zdecydowano, że skoro ten Kilo płynie na pokładzie holenderskiego frachtowca, to prawdopodobnie przeznaczony jest dla któregoś z państw Środkowego Wschodu albo dla Indonezji. Uznano, że niewiele możemy w tej sprawie działać i odłożono ją ad acta.

A wiecie, co należało zrobić? Należało krzyknąć „Chiny” -i zatopić skubańca. Ot, co należało zrobić.

–Tak, Amie, święte słowa – przyznał admirał Mulligan. – To właśnie należało zrobić.

–Tak więc – ciągnął Morgan – musieliśmy potem bez twojej wiedzy śledzić ten przeklęty statek przez cały Ocean Indyjski. Widzieliśmy, jak wchodzi do cieśniny Malakka, a to, jak wiesz, piekielnie długi pas wody – oddziela całe tysiąc milowe wybrzeże Sumatry od Półwyspu Malajskiego. Stanowi bramę na Wschód i trzymamy tam wartę. Nie musicie wiedzieć, kim są ani jak zostali pozyskani, w każdym razie mamy tam przyjaciół... no, powiedzmy, pracowników. Ludzi, którzy specjalizują się w tego rodzaju działalności.

–Czyżbyś miał na myśli pilotów, których trzeba brać na pokład w okolicach Singapuru? – zapytał admirał Mulligan, unosząc lekko brwi.

–W tym wypadku, Joe, im mniej zostanie powiedziane... Tak czy inaczej, kiedy ten frachtowiec minie Singapur i obierze kurs na północny zachód, to znajdzie się wkrótce na wodach Morza Południowochińskiego. Jeszcze tysiąc pięćset mil – jakieś cztery i pół dnia dla dużego statku płynącego z szybkością piętnastu węzłów – i jest już w pierwszej chińskiej bazie marynarki wojennej, czyli w Haikou na wyspie Hainan. Przypuszczamy, że właśnie tam zawinie nasz frachtowiec, i za późno już, żeby coś na to poradzić. Nie możemy przecież załatwić skubańca na oczach całego pieprzonego świata, u progu Chin. Powiedziałem dziś rano ludziom z Fort Meade, że powinni się spodziewać jakiejś chiń-

skiej eskorty z Floty Morza Południowochińskiego, która wypłynie na spotkanie i odprowadzi frachtowiec do samego Haikou. Podstępne chińskie sukinsyny.

–Rad cię widzę w tak dobrodusznym nastroju, Arnoldzie -mruknął z uśmiechem szef operacji morskich.

–Tutaj nie ma nic do śmiechu – odburknął admirał Morgan. – Nie rozumiem, jakim cudem ten statek zdołał się przemknąć przez sieć. Ale dojdę do tego – i w przyszłym tygodniu w moim byłym departamencie posypią się głowy. Jezu! To będzie już trzeci chiński Kilo... i mam nadzieję, że ostatni.

Joe Mulligan poprawił się w fotelu.

–Wiesz co, Arnoldzie – powiedział – tak sobie pomyślałem, czy ty aby nie przesadzasz z tymi Kilo. Naprawdę są takie groźne? Przecież to średniej wielkości jednostka ó ograniczonej żywotności, dosyć powolna, jeszcze sowieckiej konstrukcji. Gdybym wiedział, gdzie są, mógłbym wyeliminować w trzy minuty wszystkie trzy.

–Admirale – zaczął formalnym tonem Arnold Morgan -prawdopodobnie mógłby pan wyeliminować i dziesięć, gdyby tylko wiedział dokładnie, gdzie są. Ale proszę nie zapominać, że to jednostki o napędzie dieslowsko-elektrycznym, nie jądrowym, i przy szybkości poniżej pięciu węzłów zupełnie ich nie słychać. Poza tym należy się spodziewać, że będą operowały w niewielkiej odległości od bazy, na bardzo specyficznych, płytkich wodach, gdzie skuteczność naszego sprzętu do zwalczania okrętów podwodnych jest najmniejsza.

–No dobrze, ale obtcny tu Boomer jakoś sobie z jedną z nich poradził, dobrze mówię?

Kapitan „Columbii” podniósł wzrok.

–Tylko raz miałem do czynienia z Kilo i muszę przyznać, że poniżej siedmiu węzłów ten okręt jest cichy jak grób. Wykryliśmy go tylk-) dzięki temu, że chrapał na głębokich otwartych wodach. Odebraliśmy wtedy sonarem pasywnym wyraźne krzywe silnika pracującego w odległości jakichś dwunastu mil. Na tej podstawie udało nam się określić jego dokładną pozycję i ustalić punkt odniesienia dla systemów kierowania ogniem. Kiedy jednak wyłączył swoje diesle i ruszył cicho na motorach elektrycznych, zaczął się problem. Mogliśmy śledzić jego manewry tylko sonarem aktywnym. Całe szczęście, że byliśmy na to przygotowani. Jeśli jednak Kilo nie okaże się na tyle uprzejmy, by uruchomić

swoje diesle, to jesteśmy bezradni. I nasza sytuacja nie przedstawia się wtedy różowo.

–Otóż to – warknął admirał Morgan. – Cholernie trudno je wykryć, kiedy płyną powoli, a tam, na wodach chińskich, mogą sobie pływać tak wolno, jak tylko chcą. Dla doładowania akumulatorów muszą się wynurzać najwyżej raz na dwa dni, a w tej sytuacji ni cholery ich nie dopadniemy.

Całe chińskie wybrzeże – wzdłuż Morza Południowochińskiego, Cieśniny Tajwańskiej, Morza Wschodniocińskiego, aż po Morze Żółte – usiane jest bazami marynarki wojennej. Co krok, to baza. Od Haikou i Zhanjiang poprzez Kanton i Shantou. Do tego Flota Morza Wschodniocińskiego, z rozbudowywaną bazą w Xiamen – dokładnie naprzeciwko Tajwanu – i jeszcze jedną w Ping Tan, niecałe sto mil przez cieśninę od Tajpej. Na tym nie koniec. Ich bazy morskie ciągną się aż do Szanghaju i wielkiej bazy okrętów podwodnych w Huludao; to prawie Mandżuria.

Admirał Morgan zawiesił na chwilę głos, by zebrać myśli. Jak zawsze zakładał, że wszyscy są tak samo jak on zorientowani w problematyce sił morskich świata.

–Wchodząc w posiadanie tych Kilo, Chińczycy staliby się panami tamtych wód. Nie moglibyśmy chronić naszych interesów na Tajwanie, bo balibyśmy się utraty kolejnego lotniskowca. I nie sądzę, żeby ktoś odważył się wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

–Te Kilo potrafią też porządnie ukąsić. Przekonaliśmy się o tym – mruknął admirał Mulligan.

–Owszem. Są przystosowane do wystrzeliwania torped z głowicami jądrowymi – podchwycił admirał Morgan. – A to bardzo niebezpieczne. Chińczycy potrafią sami wyprodukować takie głowice. Nie wiem, czy mają je na wyposażeniu, ale czy na tym zakichanym świecie można być czegokolwiek pewnym? Zresztą do załatwienia naszego lotniskowca wystarczą im torpedy z głowicami konwencjonalnymi. Myślę, że gdyby nas zaatakowali, moglibyśmy w odwecie posłać na dno dwie, może trzy ich jednostki, ale Jezu! Moim zdaniem byłoby to już troszkę po fakcie. Prawda jest taka, że Kilo dowodzony przez dobrze wyszkolonego człowieka może praktycznie zniknąć. I jak nam wiadomo, potrafi porządnie dokopać.

–I podejrzewam, że Rosjanie wciąż je unowocześniają -wtrącił Mulligan.

–A żebyś wiedział. Nawet te na eksport. Ta żmija jest ich wielką szansą na zgarnięcie dużej kasy i chcą zadowolić klientów. Czytałem gdzieś, że realizują teraz kilka projektów modernizacji. Nowy typ 877EKM jest znacznie lepiej uzbrojony – ma dwie wyrzutnie przystosowane do odpalania torped kierowanych prze-wodowo, wprowadzono też na wyposażenie nowe, udoskonalone torpedy, które ci przekłęci Rosjanie bez mrugnięcia okiem opylą każdemu chętnemu.

Chyba ci już kiedyś mówiłem, że nowy Kilo typ 636 wyposażony jest w zautomatyzowany system informacji bojowej. Może teraz prowadzić ogień do dwóch celów jednocześnie. Starsze typy tego nie potrafiły. I to pieprzone pudło jest jeszcze cichsze niż dotychczas, jeśli to w ogóle możliwe.

–No pięknie. Akurat tego nam brakuje w Cieśninie Tajwańskiej. Ale czy to naprawdę takie zaskakujące, Amie? Przecież oni od paru lat modernizują wszystkie swoje okręty podwodne. Jakoś znajdują na to pieniądze i mają już sporo jednostek o napędzie atomowym cichszych podobno niż nasze. Podejrzewam, że równoległe prowadzili modernizację Kilo. Klientami Moskwy są z reguły kraje zacofane gospodarczo, które albo nas nienawidzą, albo za nami nie przepadają. Albo, jak w przypadku Chińczyków, chcą nam dorównać.

Rosjanie, cokolwiek twierdzą, budowali dotąd Kilo głównie z myślą o tych właśnie klientach – dla Iranu, Libii i innych krajów dysponujących marnie wyszkolonymi kadrami podwodniaków. Przyjęcie chińskiego zamówienia sygnalizuje zdecydowaną zmianę w rosyjskiej polityce i stwarza poważny problem. Wątpię, by udało nam się nakłonić Rosjan do odstąpienia od realizacji tego zamówienia. Nie uda nam się też nakłonić Chińczyków do jego wycofania. Tych siedem pozostałych jednostek o napędzie dies-łowski-elektrycznym trafi w końcu do Szanghaju, a potem do Xiamen w Cieśninie Tajwańskiej. Czy nam się to podoba, czy nie.

Przez blisko minutę w gabinecie panowała niczym nie zmacona cisza. Pierwszy przerwał ją wiceadmirał Arnold Morgan.

–Nie, Joe – powiedział, wolno cedząc słowa. – Nie trafią

tam.

W tonie jego głosu nie było niczego złowróżbnego. On po prostu wyrażał swoją opinię. Boomera Dunninga przeszedł dreszcz. Już wiedział, po co go tu wezwano. Zachowując pozory obojętności, zerknął spod oka na szefa operacji morskich, który

– także siedział z kamienną twarzą. Wydało mu się jednak, że admirał Mulligan ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Mówię to, bo jestem przekonany, że nigdy nie uda nam się przekonać Rosjan do rezygnacji z tego kontraktu – podjął Arnold Morgan. – Za wielkie nadzieje z nim wiążą. I nie tylko o gotówkę tu chodzi.

— A o co jeszcze? – spytał admirał Mulligan.

– Pora wspomnieć o jeszcze jednym wydarzeniu, Joe. Pamiętasz ten rosyjski lotniskowiec „Admirał Kuzniecowa”?

– Naturalnie. To ich najważniejszy okręt nawodny na północy, prawda? Wielkością nie dorównuje naszym Nimitzom, ani nawet JFK, czy lotniskowcom klasy Enterprise, ale mimo wszystko jest spory. Ma, o ile dobrze pamiętam, trzysta metrów długości?

– Dobrze pamiętasz. Jest duży, groźny i Rosjanie postanowili zbudować całą klasę takich. Kiedy jednak w roku 1993 runął ich domek z kart i zrobiło się cienko z funduszami na kontynuowanie takich ambitnych przedsięwzięć, zostali na lodzie z dwoma wspaniałymi, na wpół ukończonymi lotniskowcami budowanymi w ukraińskiej stoczni, która na dokładkę już do nich nie należała. Byli bliscy zupełnego krachu. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nim. Doszło nawet do tego, że miasto zagroziło wstrzymaniem dostaw energii elektrycznej do stoczni. Ludziom przestano wypłacać pensje i naturalną kolejną rzeczą prace przy tych nowych lotniskowcach zamarły.

– Tak, pamiętam. Jak one się nazywały?

– „Wariag”, i tego udało im się jakoś opchnąć na miejscu, oraz „Admirał Gudenko”. Ten z kolei stoi nadal w Stoczni Czarnomorskiej w Nikołajewie, a rządy Rosji i Ukrainy spierają się, kto właściwie jest jego właścicielem i kto zapłaci za jego ukończenie. Odpowiedzi na oba te pytania brzmią tak samo: nikt. A cierpi na tym miejscowy przemysł stoczniowy. Ludzie w tym mieście niemal przymierają głodem.

– Do czego zmierzasz?

– Przez długi czas nic się nie działo. Nie ukończonego „Admirała Gudenkę” co prawda zwodowano, ale tylko po to, żeby odholować go do któregoś z nie wykorzystywanych pirsów w południowej części stoczni, gdzie prawie nikt nie zagląda. I nagle ktoś wpadł na genialny pomysł: sprzedajmy go krajowi, który wyłoży pieniądze na dokończenie budowy. Komu pierwszemu złożono ofertę?

–Wiadomo, Chinom.

–Zgadza się. Chińczycy chętnie sprawiliby sobie lotniskowiec, ale dzięki Bogu nie za bardzo było ich na niego stać. I sprawa znowu przycichła. Ale wczoraj dowiedzieliśmy się, że uzgodniono w końcu warunki transakcji i Chiny kupią "Admirała Gudenkę" za blisko dwa miliardy dolarów. Jak się pewnie domyślasz, ta sensacyjna wiadomość obiegła lotem błyskawicy cały Nikołajew. Mieszkańcy cieszą się, bo oznacza to ratunek dla stoczni i zachowanie miejsc pracy... Dowiedzieliśmy się jednak, że ten ogromny kontrakt zostanie podpisany pod jednym warunkiem.

–O nie – jęknął Joe Mulligan. – Rosjanie muszą im najpierw dostarczyć te siedem pozostałych Kilo?

–Otóż to. „

Admirał Mulligan pokręcił głową.

–Podejrzewam, że Departament Stanu uwija się teraz jak w ukropie?

–A jakże. Dzisiaj rano Travis wezwał do siebie rosyjskiego ambasadora i dwóch attache morskich. Zagroził im w zawołowa-nej formie zastosowaniem sankcji, zerwaniem umów handlowych i Bóg jeden wie, czym jeszcze. O ile mi wiadomo, próbował wszystkich metod perswazji. I zdaje się, żadna nie poskutkowała.

–Kiedy odlatywałem do Norfolk, Bob MacPherson rozmawiał przez telefon z kimś z Moskwy – przypomniał sobie admirał Mulligan.

–Ja też o 4.00 nad ranem przeprowadziłem telefoniczną rozmowę ze starym sparingpartnerem z rosyjskiej marynarki wojennej – podchwycił Morgan – admirałem Witalijem Rankowem. Był do niedawna szefem ich wywiadu – teraz zajmuje wysokie stanowisko na Kremlu i zna problem od podszewki. Powiedział mi nawet, że gdyby to od niego zależało, nie ryzykowałby pogorszenia stosunków ze Stanami Zjednoczonymi w imię realizacji tego zamówienia na Kilo. Niestety nie od niego to zależy.

–Jak wiele rzeczy w Rosji jest to problem polityczny -mruknął szef operacji morskich. – Tylko że tego rodzaju awantury nabierają w końcu ogromnego znaczenia militarne go. Arnoldzie, jak oceniasz szanse przemówienia Rosjanom do rozumu?

–Myślę, że możemy grać przez jakiś czas na zwłokę, prowadząc z nimi rozmowy. Ale przecież żaden rosyjski prezydent nie będzie zrażał do siebie Ukraińców, odmawiając Chińczykom

sprzedaży dużego lotniskowca. Moim zdaniem od ukończenia „Admirała Gudenki” zależy w znacznym stopniu zachowanie dobrosąsiedzkich stosunków między Rosją a Ukrainą.

I Rosjanie zrobią wszystko, żeby ich nie popsuć. A co za tym idzie, muszą dostarczyć Chińczykom te przeklęte Kilo. Bez oglądania się na nasze protesty. Słyszałem, że Chińczycy płacą im po trzysta milionów dolarów za sztukę. To smakowity kąsek dla zubożalego rosyjskiego przemysłu stoczniowego. Wiemy, że dwa z nich – te z Murmańska – są już prawie gotowe do odbioru, a w dwóch stoczniach dobiega końca budowa pięciu dalszych.

Joe Mulligan ściągnął brwi.

–Tak, a na sytuację nie wpływają najkorzystniej te nie kończące się targi o podział między Rosję i Ukrainę resztek Floty Czarnomorskiej. Ciągną się już od dziesięciu lat i chyba będą się tak wlec, dopóki ostatniego okrętu nie zeżre rdza. Nie pamiętam, żeby udało im się dojść do porozumienia chociaż w jednej kwestii poza tą, że Rosjanie będą na jakichś tam warunkach dzierżawić tę dużą bazę w Sewastopolu, a Ukraińcy wybudują sobie inną w zatoce Balakława.

–Masz rację, Joe. Od kiedy Ukraina postanowiła, że będzie miała własną marynarkę wojenną, co parę miesięcy dochodzą nas słuchy o zawarciu między obiema marynarkami wiążącego porozumienia, które torpedują potem politycy. I Moskwa z Kijowem znowu wchodzi w klincz. Mamy tu dwa splukane niemal do nitki kraje wyklócające się zażarcie o okręty wojenne, na których eksploatację żadnego nie stać.

–To prawda, Arnie. Ale oba te kraje zdają sobie również sprawę, że nie wolno im zaprzepaścić ducha woli porozumienia i współpracy, i dlatego zgodzę się z tobą: budowa tego lotniskowca dla Chińczyków będzie w Nikołajewie kontynuowana. Jedyne ratunek dla marynarek Rosji i Ukrainy oraz ich przemysłów stoczniowych, to sprzedaż okrętów za żywą gotówkę.

–Właśnie. A największym popytem cieszy się okręt podwodny klasy Kilo. Każdy będący teraz u władzy despota z Trzeciego Świata chce mieć jeden taki. A jeszcze lepiej trzy.

–Albo dziesięć.

–Otóż to. Tyle zamierza kupić najbogatszy z krajów Trzeciego Świata.

W tym momencie zadzwonił telefon. Admirał Mulligan podniósł słuchawkę i po chwili przekazał ją Morganowi, zerkając

i

sprzedaży dużego lotniskowca. Moim zdaniem od ukończenia „Admirała Gudenki” zależy w znacznym stopniu zachowanie dobrosąsiedzkich stosunków między Rosją a Ukrainą.

I Rosjanie zrobią wszystko, żeby ich nie popsuć. A co za tym idzie, muszą dostarczyć Chińczykom te przeklęte Kilo. Bez oglądania się na nasze protesty. Słyszałem, że Chińczycy płacą im po trzysta milionów dolarów za sztukę. To smakowity kąsek dla zubożałego rosyjskiego przemysłu stoczniowego. Wiemy, że dwa z nich – te z Murmańska – są już prawie gotowe do odbioru, a w dwóch stoczniach dobiega końca budowa pięciu dalszych.

Joe Mulligan ściągnął brwi.

–Tak, a na sytuację nie wpływają najkorzystniej te nie kończące się targi o podział między Rosję i Ukrainę resztek Floty Czarnomorskiej. Ciągną się już od dziesięciu lat i chyba będą się tak wlec, dopóki ostatniego okrętu nie zeżre rdza. Nie pamiętam, żeby udało im się dojść do porozumienia chociaż w jednej kwestii poza tą, że Rosjanie będą na jakichś tam warunkach dzierżawić tę dużą bazę w Sewastopolu, a Ukraińcy wybudują sobie inną w zatoce Balakława.

–Masz rację, Joe. Od kiedy Ukraina postanowiła, że będzie miała własną marynarkę wojenną, co parę miesięcy dochodzą nas słuchy o zawarciu między obiema marynarkami wiążącego porozumienia, które torpedują potem politycy. I Moskwa z Kijowem znowu wchodzi w klincz. Mamy tu dwa splukane niemal do nitki kraje wyklócające się zażarcie o okręty wojenne, na których eksploatację żadnego nie stać.

–To prawda, Arnie. Ale oba te kraje zdają sobie również sprawę, że nie wolno im zaprzepaścić ducha woli porozumienia i współpracy, i dlatego zgodzę się z tobą: budowa tego lotniskowca dla Chińczyków będzie w Nikołajewie kontynuowana. Jedyny ratunek dla marynarek Rosji i Ukrainy oraz ich przemysłów stoczniowych, to sprzedaż okrętów za żywą gotówkę.

–Właśnie. A największym popytem cieszy się okręt podwodny klasy Kilo. Każdy będący teraz u władzy despota z Trzeciego Świata chce mieć jeden taki. A jeszcze lepiej trzy.

–Albo dziesięć.

–Otóż to. Tyle zamierza kupić najbogatszy z krajów Trzeciego Świata.

W tym momencie zadzwonił telefon. Admirał Mulligan podniósł słuchawkę i po chwili przekazał ją Morganowi, zerkając

przy tym na komandora Dunninga. Obaj parsknęli stłumionym chichotem, kiedy nowy doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego wyburczał:

–Dobra, dobra, George. Daruj sobie ten wykład z geografii. Wiem, gdzie to jest... – W tym miejscu admirał Morgan stracił swoją wrodzoną cierpliwość. – Wal prosto z mostu, George. Bez owijania w bawełnę. Mamy tu do czynienia z wydarzeniem tygodnia, jeśli nie roku.

–Tak... Rozumiem... Kurwa mać. – Z tymi słowami admirał Morgan odłożył słuchawkę i zwracając się do szefa operacji morskich, zameldował: – Chodzi o ten pieprzony frachtowiec, który wytropiliśmy w cieśninie Malakka.

Idzie teraz kursem północno-zachodnim, wpłynął czterysta mil w Morze Południowochińskie i ma już eskortę. Dokonałiśmy pewnych pomiarów. To tajemnicze coś pod plandeką na pokładzie ma dokładnie osiemdziesiąt metrów długości – tak się składa, że tyle samo ma okręt podwodny klasy Kilo.

Tym razem udało im się nas przechytrzyć.' Tyle że i tak niewiele moglibyśmy na to poradzić, nie wywołując przy tym wojny. Żeby wyeliminować okręt podwodny, trzeba sukinsyna dopaść pod wodą. Wtedy nikt nie wie co i jak.

–Tak czy inaczej – zawyrokował Joe Mulligan – Chińczycy mają teraz trzy Kilo. Trzeba się z tym pogodzić i skoncentrować na pozostałych siedmiu. A ponieważ wszystko wskazuje na to, że szykuje się kolejna czarna operacja, proponuję nadać im kryptonimy. Te dwie z Polarnyj... możemy chyba nazwać K-4 i K-5.

Boomer Dunning już wiedział, że Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych wybrała jego „Columbię” na okręt podwodny, który ma tę czarną operację przeprowadzić – na okręt, o którego pozycji i zadaniu nikt nie będzie wiedział. Jeśli zaginie, upłynie wiele czasu, zanim opinia publiczna zostanie poinformowana o losie, jaki go spotkał. A może nawet nigdy to nie nastąpi. Wybiegł myślami do mrocznych głębin, w których w służbie swojemu krajowi musiała operować jego załoga. Do rzeczywistości przywołał go głos Arnolda Morgana.

–Moim zdaniem doszliśmy do punktu, w którym trzeba pomyśleć o jakimś planie – mówił admirał. – Ponieważ wprowadzanie tego planu w życie zamierzamy powierzyć obecnemu tu Boomerowi, to chyba najlepiej będzie, jeśli jemu pierwszemu oddamy głos.

–Proszę bardzo, sir – powiedział Boomer. – Widzę tutaj trzy realne możliwości. Po pierwsze, te okręty podwodne nigdy się nie zanurzały, co może oznaczać, że chińskie załogi zamierzają odbyć podróż do domu w wynurzeniu pod kierunkiem paru rosyjskich instruktorów, co bardzo ułatwiałoby nam zadanie.

Możliwość druga: planują przeprowadzenie w najbliższej przyszłości prób zanurzeniowych i poświęcenie około trzech tygodni na szkolenie załóg w zakresie bezpieczeństwa oraz na doskonalenie procedur obsługi, a potem popłyną do domu, przebywając część trasy w zanurzeniu. To też nie powinno nam przysporzyć większych problemów.

Możliwość trzecia: to podejście bardziej wyrafinowane: Chińczycy zamierzają przeczekać zimę na Morzu Barentsa, które nie zamarza, a potem skierować się do domu na w pełni sprawnych operacyjnie jednostkach gotowych podejmować walkę i odpierać ataki ewentualnego nieprzyjaciela. Ta trzecia możliwość nie leży mi już tak, jak dwie pierwsze.

–Dobrze to ująłeś, Boomer – pochwalił go admirał Morgan. – Bardzo dobrze. W przypadku pierwszej możliwości sprawa jest prosta. Bez większych problemów możemy ich dopaść gdzieś na Atlantyku. Jeśli chodzi o możliwość drugą, to trzeba zachować czujność i mieć na pozycji gotową do ataku „Columbię”. Możliwość trzecia, to możliwość druga podniesiona do dziesiątej potęgi. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Joe, proponowałbym, żeby Boomer zajął się zastawianiem pułapki na K-4 i K-5. Niedoczekanie, żeby jeszcze jedno z tych przeklętych pudeł dotarło do chińskich wód. Trzy to i tak za dużo. I na tym koniec.

–Dobrze. Boomer tu zostanie, sporządzi wstępny szkic planu i przedstawi mi go, kiedy skończy – zdecydował admirał Mulligan. – Ty wracaj do Białego Domu i powiedz prezydentowi, że potrzebna nam teraz jego formalna zgoda.

–Z tym nie powinno być kłopotu. Bardziej niż my pali się do działania. No, na razie.

Arnold Morgan wyszedł na korytarz siódmy i dotarłszy do jego końca, skręcił w lewo w Pierścień E, wielką zewnętrzną obwodnicę Pentagonu, przy której mieściły się siedziby wyższych dowództw wszystkich trzech rodzajów służb – na trzecim poziomie Wojsk Lądowych, a na czwartym Marynarki Wojennej i Sił Powietrznych. Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa na-

rodowego znał ten labirynt tak samo dobrze, jak zakamarki okrętu podwodnego klasy Los Angeles. Bez problemów trafił z powrotem do biura przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów i spytał oficera dyżurnego, czy może skorzystać z prywatnej windy, którą tu wcześniej wjechał.

Młody porucznik o mało ze skóry nie wyskoczył, szukając wartownika, który zwiózłby legendarnego admirała wywiadu do garażu.

Charlie, któremu miłe jeszcze było życie, posada i pensja, czekał na admirała dokładnie tam, gdzie ten mu przykazał. Wyjechali z mrocznego, ponurego garażu w równie mroczny i ponury waszyngtoński grudniowy dzień. Kierowca wyczuł, że pasażerowi śpieszy się teraz jeszcze bardziej niż poprzednio, pędził więc najszybciej, jak się dało. Wkrótce Potomac mieli już za sobą i wjeżdżali w zatłoczone ulice miasta. Lało jak z cebra i nad jezdnią unosił się wodny pył wzbijany przez opony samochodów przekraczających dozwoloną szybkość, ale nie o tyle, co Charlie.

Charlie prowadził limuzynę na złamanie karku pasem szybkiego ruchu, zdopingowany słowami admirała, „Gazu, gazu. Po głębszych wodach już się pływało”.

W swoim gabinecie w Skrzydle Zachodnim Białego Domu admirał znalazł na biurku karteczkę z poleceniem bezzwłocznego stawienia się w Gabinetie Owalnym. Zadzwoił do prezydenta, żeby się upewnić, czy ten jest wolny, i w odpowiedzi usłyszał: „Przyjdź tu natychmiast”. Urodzaj na problemy wymagające rozwiązania był tej zimy wielki, ale obecny prezydent potrafił odróżnić zwyczajny problem od śmiertelnie poważnej, potencjalnie wybuchowej sytuacji międzynarodowej.

Admirał Morgan zastał go zapatrzonego na tonący w strugach deszczu południowy trawnik. Prezydent twarz miał zafrasowaną, ale na widok wchodzącego doradcy uśmiechnął się i powiedział:

–Czołem, Arnoldzie. Dobrze, że już jesteś. Wyszło coś nowego w sprawie cieśniny Malakka?

–Tak, sir. To bezsprzecznie trzeci Kilo. Ma już za sobą czterysta mil Morza Południowochińskiego, płynie pod chińską eskortą kursem północno-zachodnim i zmierza chyba do Haikou.

–Cholera... – szepnął prezydent Stanów Zjednoczonych, zawahał się, a potem spojrzał na swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Nie da się już temu zaradzić, prawda?

rodowego znał ten labirynt tak samo dobrze, jak zakamarki okrętu podwodnego klasy Los Angeles. Bez problemów trafił z powrotem do biura przewodniczącego Połączonego Komitetu

Szefów Sztabów i spytał oficera dyżurnego, czy może skorzystać z prywatnej windy, którą tu wcześniej wjechał.

Młody porucznik o mało ze skóry nie wyskoczył, szukając wartownika, który zwiózłby legendarnego admirała wywiadu do garażu.

Charlie, któremu miłe jeszcze było życie, posada i pensja, czekał na admirała dokładnie tam, gdzie ten mu przykazał. Wyjechali z mrocznego, ponurego garażu w równie mroczny i ponury waszyngtoński grudniowy dzień. Kierowca wyczuł, że pasażerowi śpieszy się teraz jeszcze bardziej niż poprzednio, pędził więc najszybciej, jak się dało. Wkrótce Potomac mieli już za sobą i wjeżdżali w zatłoczone ulice miasta. Lało jak z cebra i nad jezdnią unosił się wodny pył wzbijany przez opony samochodów przekraczających dozwoloną szybkość, ale nie o tyle, co Charlie.

Charlie prowadził limuzynę na złamanie karku pasem szybkiego ruchu, zdopingowany słowami admirała, „Gazu, gazu. Po głębszych wodach już się pływało”.

W swoim gabinecie w Skrzydle Zachodnim Białego Domu admirał znalazł na biurku karteczkę z poleceniem bezzwłocznego stawienia się w Gabinetie Ovalnym. Zadzwoił do prezydenta, żeby się upewnić, czy ten jest wolny, i w odpowiedzi usłyszał: „Przyjdź tu natychmiast”. Urodzaj na problemy wymagające rozwiązania był tej zimy wielki, ale obecny prezydent potrafił odróżnić zwyczajny problem od śmiertelnie poważnej, potencjalnie wybuchowej sytuacji międzynarodowej.

Admirał Morgan zastał go zapatrzonego na tonący w strugach deszczu południowy trawnik. Prezydent twarz miał zafrasowaną, ale na widok wchodzącego doradcy uśmiechnął się i powiedział:

–Czołem, Arnoldzie. Dobrze, że już jesteś. Wyszło coś nowego w sprawie cieśniny Malakka?

–Tak, sir. To bezsprzecznie trzeci Kilo. Ma już za sobą czterysta mil Morza Południowochińskiego, płynie pod chińską eskortą kursem północno-zachodnim i zmierza chyba do Haikou.

–Cholera... – szepnął prezydent Stanów Zjednoczonych, zawahał się, a potem spojrzał na swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Nie da się już temu zaradzić, prawda?

–Bez rozpętania międzynarodowej wrzawy nie – odparł admirał. – Pozostaje nam jedno...

–Tak?

–Musimy zrobić wszystko, żeby ten przeklęty Kilo na tym przeklętym holenderskim frachtowcu był ostatnim Kilo, jakiego dostaną.

–Co do tego nie ma żadnych wątpliwości, admirale. Jaka jest moja w tym rola?

–Musi pan oficjalnie poinformować mnie jako swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, admirała Mulligana jako naczelnego dowódcę Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych oraz swojego przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, że pan oraz pańscy bezpośredni współpracownicy polityczni, Bob i Harcourt, upoważniacie marynarkę do podjęcia kroków mających na celu niedopuszczenie do znalezienia się w jakimkolwiek chińskim porcie żadnego z tych siedmiu pozostałych Kilo z kontraktu zawartego między Chinami i Rosją. Ponadto musi pan zobowiązać Joego Mulligana, by wypełnił to zadanie z zastosowaniem, z prezydenckiego upoważnienia, wszelkich niezbędnych środków, jakimi dysponuje. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, wypowiedania bądź wywołania nowej wojny światowej. Będzie to, oczywiście, czarna operacja.

–Dobrze. Masz jakieś sugestie co do drogi dyplomatycznej?

–Na razie zachowałbym w tej sprawie milczenie, sir. Lepiej, żeby jak najmniej osób wiedziało, jak jesteśmy zaniepokojeni.

–Tak... naturalnie. Za godzinę mam spotkanie z sekretarzem obrony i sekretarzem stanu. Pod wieczór do ciebie i do admirała Mulligana zostanie wystosowane ściśle tajne memorandum.

–Tak jest, sir.

–Aha, Arnoldzie... Mam dwa pytania. Po pierwsze, co wiemy o tych pozostałych pięciu Kilo?

–Jakieś dwa kadłuby budowane są w Siewierodwińsku, dalsze trzy w Niżnym Nowgorodzie nad Wołgą. Prace przy wszystkich pięciu są już dobrze zaawansowane. Można założyć, że pod koniec przyszłego lata będą gotowe do drogi. Jeśli to rzeczywiście te zakontraktowane przez Chińczyków Kilo, to mielibyśmy zlokalizowane wszystkie siedem... A to drugie pytanie, sir?

–Ach, tak... Arnoldzie, co ryzykują nasze okręty podwodne?

–Pewne ryzyko zawsze istnieje, sir. Ale mamy wszystkie możliwe atuty. Nie przewiduję większych problemów.

–Dziękuję ci. Czy po wszystkim dacie się z Joem zaprosić na kolację?

–Będziemy zaszczyceni, sir.

*

Osiem dni później, rankiem 12 grudnia, do admirała Morgana zatelefonowano z Fort Meade z pytaniem, czy nie zechciałby rzucić okiem na pewne zdjęcia satelitarne, które właśnie nadeszły. Za tą sugestią mogła się kryć tylko jedna sprawa. Admirał wybiegł zza biurka, otworzył drzwi na korytarz i krzyknął, żeby ktoś czym prędzej sprowadził mu przed wejście Charliego z samochodem.

Dotarcie do zjazdu z autostrady Baltimore-Waszyngton w kierunku Fort Meade zajęło, wliczając czterominutową zwłokę na odwołanie pewnego spotkania przy lunchu, czterdzieści jeden minut, czyli o pięć więcej, niż wynosił własny rekord admirała w pokonywaniu trasy Biały Dom-Fort Meade. Admirał zżymał się trochę, że trwało to tak długo, ale chyba zżymałby się jeszcze bardziej, gdyby Charliemu udało się pobić jego rekord.

Zatrzymali się przed wejściem i admirał Moigan powiedział Charliemu, żeby zorganizował sobie jakiś lunch.

–Zabawię tu minimum godzinę, a może i trzy. Czekaj na mnie. – To mówiąc, wmaszerował do środka, gdzie co najmniej czterech członków personelu na widok byłego szefa przyjęło postawę zasadniczą.

Biuro dyrektora Fort Meade, reprezentujące pierwszą linię amerykańskiej globalnej sieci wywiadu wojskowego, miało już w swej historii paru dociekliwych szefów, ale żaden z nich nieustępliwością w tropieniu prawdy nie mógł się równać z Arnoldem Morganem.

Morgan, przed odejściem do Białego Domu, wybrał osobiście aktualnego dyrektora. Wybrańcem tym był nowojorczyk, kontradmirał George R. Morris. Wcześniej admirał Morris patrolował Daleki Wschód, dowodząc grupą uderzeniową lotniskowca z pokładu, Johna C. Stennisa", okrętu klasy Nimitz o wyporności stu tysięcy ton, który wszedł do służby w grudniu 1995 roku.

Admirał Morris, osobnik o lekko obwisłych policzkach, zawsze poważny i zatroskany, znany był powszechnie ze swojego pesymizmu. Teraz, na widok Arnolda Morgana wkraczającego do

gabinetu, nowy dyrektor Fort Meade upodobił się do zakochanego bez wzajemności basseta.

–Sytuacja na Morzu Barentsa nie przedstawia się najlepiej -powiedział. – Obejrzyj tę serię zdjęć. Są ułożone w kolejności.

Admirał Morgan spojrział na zdjęcia. Zsunął je bliżej jedno drugiego. Popatrzył na godziny ekspozycji.

–Jezu! – wyrwało mu się. – To nasze Kilo. Zanurzyły się. Ile mają te zdjęcia?

–Parę godzin, ściągnąłem je z Wielkiego Ptaka. Pięć minut przed twoim przybyciem dostałem wiadomość, że wynurzyły się dwadzieścia mil od brzegu i płyną teraz z powrotem do portu.

–Przynajmniej nie wyszły z niego na dobre.

–Nie. Raczej nie. Wygląda na to, że kontynuują próby eksploatacyjne i szkolą chińskie załogi.

–Ten zestaw ćwiczeń szkoleniowych od samego początku nas frapował. Nie wiem, z jakimi umiejętnościami chińscy pod-wodniacy rozpoczęli kurs, ale jeśli chcą bezpiecznie dopłynąć tymi pudłami do domu, to muszą jeszcze sporo popracować. Sama nauka pływania na Kilo w zanurzeniu trwa co najmniej trzy tygodnie. A zanim zaczną schodzić pod wodę, muszą opanować do perfekcji obsługę sterów głębokości, diesli, motorów elektrycznych, czujników, sonaru, radaru i ESM. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie zanurzał okrętu podwodnego, nie znając od podszewki zasady jego działania i procedur postępowania na wypadek wszelkich możliwych do przewidzenia awarii.

Nie chce mi się wierzyć, żeby w ciągu tych trzech miesięcy zdążyli się wprawić w obsłudze wszystkich systemów bojowych, ale sądzę, że do pierwszego albo drugiego tygodnia stycznia przyuczą się już na tyle, żeby płynąć do domu w zanurzeniu, choć daleko im jeszcze będzie do jednostek bojowych pierwszej linii.

–Po mojemu, Arnoldzie, im dłużej zostaną w Rosji, tym bardziej się staną kompetentni i niebezpieczni.

–Słuszna uwaga, George. W naszym interesie leży, żeby jak najszybciej ruszyli w drogę. I podejrzewam, że skoro tak im śpieszno z próbami zanurzania tych Kilo, to zamierzają opuścić Polarny przed upływem najbliższych trzech tygodni. Musimy się na to nastawić.

–Chyba nie pozwolimy tym Kilo dopłynąć do Chin?

–Naturalnie, że nie, George. Ale będzie to czarna opera-

cja. Ty, naturalnie, musisz o tym wiedzieć, ale nikomu więcej nie mów.

–Rozumiem.

Admirał Morgan podniósł słuchawkę jednego z telefonów, aparatu bezpiecznej linii łączącej Fort Meade bezpośrednio z biurem szefa operacji morskich; uprzedził admirała Joego Mulligana, że w ciągu godziny będzie u niego w sprawie najwyższej wagi. Następnie, rzucając do Charliego, żeby wcisnął gaz do dechy, opuścił Fort Meade tak samo szybko, jak się tam pojawił.

Wróciwszy do Pentagonu, wszedł bez pukania do gabinetu Joego Mulligana.

–To chyba już, Joe – powiedział od progu. – K-4 i K-5 dzisiaj po raz pierwszy się zanurzały. Ćwiczyły jakiś czas na pełnym morzu, potem wróciły do portu. Niewykluczone, że chcą tam prezimować, ale na mój nos najdalej za trzy tygodnie ruszą o własnych siłach w drogę do domu. Wyjście z portu, ostry skręt w lewo i Atlantykiem na południe. Każdy z sześcioma rosyjskimi podwodniakami w charakterze instruktorów na pokładzie. Po sześciu tygodniach zawiną do Kantonu. A to będzie oznaczało realizację pierwszej połowy kontraktu na dziesięć Kilo.

Fort Meade śledzi w tej chwili rozwój sytuacji niemal na bieżąco. Musimy działać szybko. Zakładam, że plan już mamy.

–Owszem – przytaknął admirał Mulligan. – Brakuje tylko daty rozpoczęcia operacji. W jakies negocjacje z Pekinem chyba nie ma sensu się wdawać, prawda?

–Cóż, może udałoby się nam ich zaszantażować jakimiś sankcjami gospodarczymi, ale nie zrobimy tego, bo nie chcemy, żeby wiedzieli, jak bardzo jesteśmy zaniepokojeni. Tylko byśmy obudzili ich czujność. – Admirał Morgan przechadzał się nerwowo po gabinecie. – Mam nadzieję – ciągnął – że nie będziemy zmuszeni eliminować wszystkich siedmiu... Ci Chińczycy nie są w ciemni bici. Myślę, że szybko zorientują się, co w trawie piszczy. Owszem, kupią „Admirała Gudenkę”, co też nie jest nam w smak. Ale jeśli załatwimy K-4 i K-5, to prawie na pewno wycofają zamówienie na pozostałych pięć Kilo.

–Nie byłbym tego taki pewien, Arnoldzie.

–Wcale nie jestem pewien. Tylko przypuszczam. No nic, zadzwonię do Harcourta i powiem mu, żeby wezwał natychmiast rosyjskiego ambasadora, uprzedzając go z góry, o czym będzie mowa; niech przyprowadzi ze sobą właściwego doradcę.

Admirał podszedł do telefonu i połączył się z biurem sekretarza stanu. Po kilku minutach zakończył rozmowę słowami: „Okay... jadę”.

Czterdzieści minut później admirał Morgan, przełączywszy się w tryb polityczny, rozmawiał już z sekretarzem, który wyrażał całkiem uzasadnioną obawę, „że Rosjanie mogą z kolei wprowadzić w temat Chińczyków. Powiedzieć im, jak się niepokoiny. A tego właśnie staramy się uniknąć”.

–Nie zrobią tego, Harcourt. Bo to nie będzie w ich interesie. Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby Chińczycy odpowiedzieli im na to: „No dobrze, w takim razie odstępujemy od kontraktu”? Powiem ci, co by się stało. Zamówienie na lotniskowiec powędrowałoby do kosza, a to wywołałoby prawdopodobnie wojnę handlową z Ukrainą; a Moskwa straciłaby największe do tej pory zamówienie na okręty podwodne opiewające w sumie na blisko trzy miliardy dolarów, nie wliczając w to „Admirała Gudenki”.

–Hmmm. Może więc damy pocziwemu Nikołajowi jakiś nieprzekraczalny termin, powiedzmy dwa dni, na podjęcie kroków, które zapewnią, że te okręty podwodne nie trafią do Chin. Choć ja osobiście zbytnio bym nie liczył, że on je podejmie, a ty?

–Ja wcale na to nie liczę. Ale taką trzeba przyjąć taktykę. A kiedy odmówi?

–Znasz stanowisko prezydenta, Arnoldzie. On chce, żeby operacja została przeprowadzona możliwie jak najdyskretniej.

–Wiem. Gdzie przyjmujemy ambasadora?

–Na tę rozmowę najlepszy będzie chyba twój gabinet. Panuje tam naturalnie nieprzyjazna, quasi-wojskowa atmosfera. Może łatwiej go tam będzie nastraszyć.

–W porządku. A więc spotykamy się u mnie o 17.00, tak? Powinien tu do tej pory dotrzeć.

–Tak, o 17.00. Mam nadzieję, że zachowasz się przyzwoicie i poczęstujesz nas filiżanką dobrej kawy.

–Być może, ale specjalnie na to nie licz! – odkrzyknął przez ramię admirał. Maszerował już korytarzem do swojego legowiska, gdzie miał niebawem wyprowadzać z równowagi przedstawiciela rosyjskiego rządu w Waszyngtonie. Był dobry w tego rodzaju wojnie nerwów.

Harcourt Travis zjawił się o umówionej godzinie, spytał, co z jego kawą, i potwierdził, że rosyjski ambasador, Nikołaj Riabinin, jest już w drodze do Białego Domu.

Pan Riabinin był niskim, krępy, siwowłosym dyplomatą mającym sześćdziesiąt sześć wiosen czy raczej, w jego przypadku, zim. Pochodził z Leningradu, obecnie Sankt Petersburga, i przetrwał jakoś wpadkę na samym początku swojej politycznej kariery, w latach sześćdziesiątych, kiedy to po przepracowaniu trzech miesięcy w sowieckiej ambasadzie w Londynie w charakterze młodszego attache kulturalnego, w ramach czystki przeprowadzonej przez sir Aleca Douglasa-Home'a, został wraz z dziewięćdziesięcioma starszymi stażem kolegami wydalony z Wielkiej Brytanii pod zarzutem szpiegostwa.

Incydent ów nie wpłynął jednak znacząco na dalsze losy Nikołaja. Reprezentował potem Kreml na rozmaitych placówkach dyplomatycznych na Środkowym Wschodzie, w tym w Kairze, piastował funkcję ambasadora Rosji w Paryżu, Tokio, a obecnie w Waszyngtonie. Miał opinię przebiegłego, wyrachowanego i bardzo inteligentnego negocjatora.

Wszedł teraz do Skrzydła Zachodniego w towarzystwie swojego attache morskiego, potężnie zbudowanego kontradmirała Wiktora Skuratowa, który do niedawna był szefem szkolenia marynarki wojennej na Bałtyku.

Wkraczając do wspaniałego nowego gabinetu admirała Morgana, wyraźnie się obaj stropili. Nikołaj tak się przejął spotkaniem z byłym Lwem z Fort Meade, że zadał sobie ten trud i skontaktował się telefonicznie z admirałem Witalijem Rankowem, rezydującym obecnie na Kremlu szefem Sztabu Głównego Marynarki Wojennej, i poprosił go o krótką charakterystykę Amerykanów, z którymi miał się spotkać.

Ponieważ w Moskwie było już po północy, rosyjski admirał odebrał telefon w nastroju wyrwanego z zimowego snu niedźwiedzia, lubił jednak Riabinina, z którym pracował kiedyś przez dwa lata w waszyngtońskiej ambasadzie. Przeszedł od razu do rzeczy i schrypniętym, zaspanym głosem wyrecytował:

–Arnold Morgan bez żadnych skrępowań wywali cię ze Stanów, jeśli tylko wyczuje, że nie grasz uczciwie. To bezwzględna swolocz i nie chciałbym być teraz w twojej skórze. Pamiętaj jedno: on nigdy nie rzuca słów na wiatr. Niech ci do głowy nie przyjdzie, że blefuje, jeśli usłyszysz z jego ust jakieś pogrożki. Bądź z nim szczery, na tyle szczery, na ile to tylko możliwe. Ten człowiek jest strasznie wyszczekany, a kasa jeszcze gorzej.

Powyższa opinia bynajmniej nie podniosła Riabinina na du-

chu. A teraz stał w jaskini lwa i ścisnął wyciągniętą rękę gospodarza.

–Proszę spocząć – mówił admirał Morgan. – Zaraz będzie kawa.

Czterej mężczyźni usiedli przy wielkim wypolerowanym stole po tej stronie gabinetu, której nie zajmowało ogromne biurko admirała. Rozmowę zagaił Harcourt Travis, wysuwając przypuszczenie, że ambasador i jego attaché wiedzą, w jakiej sprawie zostali wezwani.

Przytaknęli, ale wyrazili obawę, że dojście do porozumienia może się okazać bardzo trudne. Ukraiński problem jest skomplikowany, a gdyby Chińczycy nie dostali zamówionych okrętów podwodnych, to nie zostałyby ukończony lotniskowiec. Niepokoje społeczne, jakie wywołałyby to na Ukrainie, nie wspominając już o pogorszeniu nastrojów w wielkich rosyjskich miastach stoczniowych, mogłyby poważnie wstrząsnąć pozycją aktualnego przywódcy rosyjskiego. Zdaniem Riabinina, obecny prezydent woli mieć raczej do czynienia z rozsierdzoną Ameryką, niż zostać bez pracy.

–A zdaje pan sobie sprawę, jak rozsierdzoną, panie ambasadorze?

–Owszem, zdaję. Mało tego, rozumiem nawet dlaczego. Osobiście jestem zdania, że powinniśmy tę sprawę bardzo dokładnie przemyśleć. Ale w końcu to prezydent Rosji będzie musiał zdecydować, czy wybiera dobre stosunki z wami i ryzykując przegraną w następnych wyborach, nie sprzedaje tych okrętów. Należy również pamiętać, że taka decyzja spowodowałaby pogorszenie stosunków z naszym największym klientem.

–Niech mi wolno będzie zauważyć, że jeśli zignorujecie nasze protesty, to stosunki między Wschodem i Zachodem mogą się bardzo ochłodzić, a nawet wrócić do stanu z mrocznego okresu zimnej wojny, a to byłoby dla Rosji jeszcze bardziej bolesne niż utrata zamówienia na pół tuzina małych okrętów podwodnych.

–Bardzo dobrze to rozumiem, panie Travis. Ale to mnie przypadnie w udziale wątpliwa przyjemność przedstawiania mojemu prezydentowi waszego stanowiska, a chyba nie muszę panom mówić, że większość ludzi na bardzo wysokich urzędach ma niezbyt chwalebłą skłonność do dbania o własny interes.

–Cóż, panie ambasadorze, z pewnością rozumie pan, że my twardo obstajemy przy swoim stanowisku i jeśli będziecie konty-

nuowali realizację chińskiego zamówienia, to w najbliższej przyszłości odczujecie na własnej kieszeni, ile kosztuje działanie wbrew naszym interesom. Zdaje pan sobie zapewne sprawę, że potrafimy uprzykrzyć życie każdemu rosyjskiemu prezydentowi, z obecnym włącznie. Z kolei, potrafimy też być waszymi bardzo dobrymi przyjaciółmi.

–Obawiam się, że to samo można powiedzieć o Chińczykach.

Admirał Morgan, który do tej pory nie zabierał głosu, uznał, że

już czas posłać kilka ostrzegawczych salw nad rosyjskimi dziobami.

–A co by było, ambasadorze – odezwał się – gdybyśmy tak posłali na dno te dwa Kilo, a Chińczykom powiedzieli, że od samego początku wiedzieliście, co się święci, ale z rozmysłem ich nie ostrzeżliście, bo chcieliście położyć łapę na pokaźnym worze chińskich juanów i uchronić swojego prezydenta przed utratą posady?

Ten frontalny atak wstrząsnął Nikołajem Riabininem. Równie zaskoczony Harcourt Travis wypuścił z palców drogie złote pióro, które upadło ze stukotem na blat stołu.

Doświadczony rosyjski dyplomata, mając w pamięci przestrożę admirała Rankowa, powiedział cicho nienaganną angielszczyzną:

–Zostałoby to uznane przez społeczność międzynarodową za nie mający żadnego uzasadnienia akt wojny. Niegodny Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Śmierć wielu marynarzy, obojętnie jakiej narodowości, nie spotkałaby się, co tu ukrywać, z aprobatą ogromnej rzeszy widzów na całym świecie.

–A gdybyśmy zrobili to w tajemnicy, a pot«m w jakiś sposób dali chińskiej marynarce do zrozumienia, że to wasz okręt podwodny zatopił te Kilo, żeby z jednej strony zadowolić nas, a z drugiej nie stracić zamówienia eksportowego? Taki fortel.

Harcourt Travis pobladł. Ambasador zaniemówił, a attaché morski tylko kręcił głową.

W końcu ambasador odzyskał głos.

–Admirale Morgan – powiedział – nie wierzę, żebyście do czegoś takiego się posunęli.

–Założymy się? – warknął admirał.

Było już oczywiste, że ta rozmowa do niczego nie doprowadzi. Ambasador nie zamierzał przekonywać swojego prezydenta do ustępstwa pod naciskiem stanowczych ostrzeżeń Harcourta Travisa. Ale czy groźba rzucona przez admirała Morgana odniosła skutek, można było jedynie spekulować.

Amerykański sekretarz stanu zakończył spotkanie, informując rosyjskiego ambasadora, że znajduje się w posiadaniu oficjalnej noty, „w której prezydent Stanów Zjednoczonych składa oficjalną skargę i prosi prezydenta Rosji o poważne rozważenie wycofania się z realizacji chińskiego zamówienia na okręty podwodne”.

–Wysyłamy ten dokument formalnie, poprzez wasze biuro dyplomatyczne, i chcielibyśmy, żeby w ciągu pół godziny trafił do rąk waszego prezydenta.

–Może być pan tego pewien, panie Travis, pomimo niezbyt fortunnej pory. W Moskwie jest teraz 2.00 nad ranem.

–Dziękuję, panie ambasadorze. Czytając ten dokument, dowie się pan, że dajemy waszemu prezydentowi czterdzieści osiem godzin na poinformowanie nas, że anulował zamówienie. Jeśli tego nie uczyni, będziemy zmuszeni zastanowić się nad innymi opcjami.

–Rozumiem, panie Travis. I żywię szczerą nadzieję, że nie popsuje to naszych osobistych stosunków w przyszłości.

–Gorzej niż popsuje – wtrącił kwaśno admirał Morgan, kiedy ambasador odbierał od TVavisa białą kopertę – jeśli ci przekłęci Chińczycy spróbują wyprzeć nas z Cieśniny Tajwańskiej, wykorzystując w tym celu zbudowane w Rosji okręty podwodne, które wy im dostarczycie, znając sytuację i ignorując nasze ostrzeżenia.

Ambasador opuścił Biały Dom o godzinie 18.10.

–Teraz pozostaje nam tylko czekać – powiedział Harcourt. – Może zjemy kolację?

–Ja dziękuję. Jadę do Fort Meade zobaczyć, co się dzieje na świecie. Kupię tam kanapkę z wołowiną. Skoro kości zostały rzucone i zaczęło się odliczanie, to pałeczkę przejmuje szef operacji morskich. Prezydent, jak wiesz, nie chce być od tej pory o niczym informowany, a w nocy prosi, żeby odpowiedź kierować bezpośrednio do dowództwa marynarki wojennej.

–Wiem, Arnoldzie. Niezbyt to zręczna próba umycia rąk. Ale lepsza taka niż żadna. Zresztą nie spodziewam się odpowiedzi. Chciałbym z tobą jutro porozmawiać. W cztery oczy.

–Załatwione, Harcourt. Dam ci znać, gdyby w tym czasie wydarzyło się coś ważnego.

Upłynęły dwa dni. Był 14 grudnia, cyfrowy zegar na ścianie gabinetu szefa operacji morskich wskazywał 18.30. Odpowiedź

rosyjskiego rządu do tej pory nie nadeszła. Admirał Morgan sprawdzał już w Białym Domu i w Departamencie Stanu. Nic. Admirał Mulligan przechadzał się tam i z powrotem po swoim gabinecie. Komandor Dunning siedział w fotelu. Podobnie jak rosyjski prezydent, zachowywał milczenie. Miał wiele do przemyślenia.

–No dobrze – powiedział szef operacji morskich, kiedy zegar wskazał 18.36. – Idziemy do przewodniczącego.

Wyszli szybkim krokiem z gabinetu na całkowicie wyludniony Pierścień E. Krokiem marszowym zeszli na drugi poziom.

Wartownik przed biurem przewodniczącego wprowadził ich natychmiast do gabinetu admirała Scotta Dunsmore'a.

–Dobry wieczór, panowie – przywitał ich gospodarz. – Coś nowego?

–Nic, sir – odparł admirał Joe Mulligan. – Żadna odpowiedź na notę prezydenta nie nadeszła.

–Bardzo dobrze – powiedział admirał Dunsmore – stanowisko prezydenta jest nam wszystkim znane. Przystępujemy do działania. Nie muszę chyba przypominać, że to czarna operacja. Wiedzą o niej tylko prezydent, Harcourt, Bob i dyrektor z Fort Meade.

Joe Mulligan, Arnold Morgan i Boomer Dunning kiwnęli bez słowa głowami. Admirał Mulligan zrobił w tył zwrot i ruszył do drzwi pierwszy, za nim szedł admirał Morgan. Pochód zamykał komandor Dunning. Kiedy przekraczał próg gabinetu, dobiegł go ledwie dosłyszalny głos przewodniczącego:

–Boomer... powodzenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jo Dunning, próbującej dzielnie wprowadzić tyłem rodzinnego bostona whalera do garażu na zimę, niezbyt to wychodziło. Najechała już na drogą wędkę do połowów morskich i prawdopodobnie ją zniszczyła, teraz udało jej się jakoś grzmotnąć o prawą ścianę drewnianego garażu białym, czterdziestokon-nym silnikiem Johnsona zwisającym z rufy łodzi. Woląla nie ruszać jeepem w przód, żeby ponownie nie przejechać po wędce. Zresztą co tam wędka, cały garaż mógł się jej zawalić na głowę. Co robić?

Wybawił ją dzwonek telefonu dobiegający* domu. Z ogromną ulgą wyskoczyła z jeepa i czmychnęła z pobojowiska. Miała cichą nadzieję, że to Boomer. Nawet zafrasowana i zła, w starych dżinsach i rozciągniętym białym swetrze rybackim, Jo Dunning prezentowała się

wspaniale. Ta ciemnowłosa kobieta o długich smukłych nogach i isticie hollywoodzkiej urodzie wyglądała raczej na aktorkę niż na żonę oficera marynarki.

I rzeczywiście Jo była kiedyś aktorką telewizyjną, jednak przed piętnastu laty, w dniu, kiedy poznała Boomera Dunninga, swojego obecnego męża i dowódcę atomowego okrętu podwodnego, zrezygnowała z kariery. Nie było w tej decyzji niczego romantycznego. Jo pauzowała już wtedy od kilku miesięcy i na próżno wyglądała nowych propozycji.

Teraz, biegnąc do telefonu dzwoniącego w dużym domu, który pewnego dnia stanie się ich własnością, próbowała sobie wmawiać, że dzisiejszy pech w końcu ją opuścił, że to Boomer chce jej powiedzieć, iż dostał trzy dni urlopu na Święta Bożego Narodzenia i że będą je mogli spędzić wspólnie z dziećmi w swoim domu na północy Cape Cod.

Pech jednak nadal ją prześladował. W słuchawce usłyszała głos młodego porucznika z kwatery głównej sił podwodnych

Floty Atlantyku SUBLANT w Norfolk w stanie Wirginia, gdzie, jak wiedziała, przebywał teraz Boomer.

–Pani Dunning?

–Przy aparacie.

–Mówi porucznik Davis z SUBLANT. Chciałem panią powiadomić, że komandor Dunning otrzymał zadanie specjalne, w związku z czym nie mógł sam do pani zatelefonować. Pani może tu oczywiście dzwonić o każdej porze, a my postaramy się informować panią, jak długo go jeszcze nie będzie. Ale w tej chwili komandor jest bardzo zajęty – spróbuje skontaktować się z panią wieczorem.

Jo Dunning nieraz już odbierała taki telefon, wiedziała więc z doświadczenia, że wypytywanie o szczegóły mija się z celem. Tak jednak zależało jej na tych Świątach Bożego Narodzenia, które po raz pierwszy od trzech lat mieli spędzić razem, że jednak zapytała:

–A zdąży wrócić do domu przed świętami?

–Nie, proszę pani.

Serce się jej ścisnęło.

–A ile to patrwa, poruczniku?

–Wstępnie przewiduje się, że gdzieś do końca stycznia. Około pięciu tygodni.

–Około pięciu tygodni – powtórzyła cicho. – No nic, dziękuję, poruczniku. Proszę przekazać mężowi, że będę z nim myślami.

–Przekażę, proszę pani.

–Aha, poruczniku, pan z nim płynie?

–Tak, proszę pani.

–To proszę mu przekazać, żeby na siebie uważał, dobrze?

–Dobrze, proszę pani.

Jo Dunning odłożyła słuchawkę i rozplakała się. Tak samo płakała zeszłego lata, kiedy wszystkie ich plany runęły z powodu innej operacji przeprowadzanej daleko na południowym Atlantyku. Tyle że wówczas nie wiedziała, że akurat tam.

Siedząc teraz w drewnianym bujanym fotelu teścia, patrzyła na zalane słońcem wody zatoki Cotuit i myślała o strasznych głębiach, w których pracował jej mąż, oraz o monstrialnej, czarnej, siedmiotysięcznotonowej atomowej maszynie do zabijania, której Boomer Dunning był kapitanem. W całej historii wojskowości nie było nikogo, kto nienawidziłby czegoś tak bardzo, jak

85

piękna Jo Dunning nienawidziła w tej chwili Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Łzy płynące jej po policzkach wyrażały to rozżalenie. I strach. Każdy, choćby luźno związany ze służbą na okrętach podwodnych, wie, jaka jest niebezpieczna i jak o marynarzy pływających na tych jednostkach niepokoją się rodziny.

Ale z tym potrafiła sobie jeszcze jakoś poradzić. Najbardziej drażniła ją ta rażąca niesprawiedliwość. Dlaczego właśnie Boomer, dlaczego jej cudowny mąż-marynarz, a nie ktoś inny? Znała odpowiedź. Często ją słyszała. Dlatego że był najlepszy. I pewnego dnia zostanie kapitanem, potem admirałem, a potem, kto wie...

–A choćby nawet prezydentem Wszechświata – powiedziała głośno.

Minęła godzina, a ona jeszcze nie mogła dojść do siebie. Miała trzydzieści osiem lat, była wciąż piękna i nadal poza swoim mężem świata nie widziała. Uwielbiała tego przystojnego, wysokiego, władczygo mężczyznę o blond włosach, szerokich barach i muskularnych nogach. Boomer wyglądał na wytrawnego żeglarza, prawdziwego człowieka morza, którym w istocie był, i kiedy tylko czas mu na to pozwalał, przemierzał oceany na pokładzie jachtu. Odziedziczył te cechy po ojcu, który po drugiej wojnie światowej, w stopniu komandora porucznika, odszedł jednak z marynarki, by założyć w Bostonie świetnie prosperującą firmę maklerską.

Teraz blisko osiemdziesięcioletni Jefferson Dunning wydawał zarobione w cywilu pieniądze, spędzając zimy na pewnej karaibskiej wysepce. Dom na Cape Cod, który przed laty przepisał na Boomera, by uciec przed bardzo wysokim podatkiem spadkowym obowiązującym w stanie Massachusetts, rodzina uważała nadal za własność jego, Jeffersona. Boomer był trochę lepszym od ojca marynarzem, ale nie miał takiej głowy do interesów. Ale nie była mu potrzebna. W przyszłości i tak odziedziczy pokaźną sumkę, natomiast Jo i jej dwie siostry dostaną pewnego dnia w spadku rodzinną stocznnię jachtową w New Hampshire.

Pani Boomerowa Dunning wykazywała osobliwą dwoistość talentów. Od dziecka pływała na dinghy, była niepokonana w lokalnych wyścigach jednoosobowych łodzi wiosłowych na zatoce Cotuit i potrafiła poprowadzić każdą motorówkę, jednak za kierownicą samochodu była do niczego. Dlatego właśnie boston whaler stał teraz wpasowany w ścianę garażu. Jo lepiej sobie radziła z oceną odległości na wodzie niż na lądzie.

Tak naprawdę to nie była stworzona do zawodu aktorki, choć ze swoją urodą mogłaby w nim daleko zajść. Owszem, życie w Nowym Jorku nawet jej odpowiadało, chętnie uczęszczała na kursy aktorstwa. Ale jej pierwsza rola w telewizyjnej mydlanej operze była, skromnie mówiąc, trochę drętwa. Na hollywoodzkim producencie, który napisał kiedyś o Fredzie Astairze „Nie potrafi grać, nie potrafi śpiewać i żaden z niego tancerz”, młoda Jo Donaghue, gdyby zobaczył ją na ekranie, prawdopodobnie nie zrobiłaby najmniejszego wrażenia.

Dostała jeszcze dwie szanse, w tym rolę w kolejnej mydlanej operze, która leciała w telewizji przez osiem tygodni, a potem zrobiło się cicho. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata i żadnych perspektyw. Aż wiosną 1988 roku na potańcówce w jachtklubie w Maine przedstawiono ją młodemu porucznikowi marynarki wojennej, który kompletował właśnie załogę dużego keca z Che-sapeake. Nazywał się Cale Dunning i pochodził z Cape Cod. Pobrali się pięć miesięcy później, a wkrótce on zdecydował, że będzie służył na okrętach podwodnych.

Nawet teraz, w ten przygnębiający, choć słoneczny poniedziałkowy poranek, Jo nie zamieniłaby ani jednego dnia swego małżeństwa z Boomerem na główną rolę w żadnym filmie. Pragnęła jedynie, żeby przyjechał do domu na święta. Ale nic z tego.

Na stałe mieszkali w Groton, w stanie Connecticut, niedaleko dużej amerykańskiej bazy okrętów podwodnych w New London. Ale w zimie Jo przyjeżdżała często z dwiema córeczkami, trzynastoletnią Kathy i jedenastoletnią Jane na Cape Cod do domu dziadków, który o tej porze roku stał pusty.

Byli tu całą rodziną miesiąc temu, w Święto Dziękczynienia, a w ten weekend Jo miała przygotować dom do wypadających za tydzień Świąt Bożego Narodzenia; zamówić olej opałowy i zapas drewna do kominka, podłączyć na miesiąc kablówkę, uzgodnić terminy kilku specjalnych wywozek śmieci, ustawić termostat na dwadzieścia stopni.

Teraz było to już nieaktualne. Zostanie z dziećmi w Groton, gdzie dziewczynki mają szkolne koleżanki i gdzie mieszkają inne marynarskie rodziny, starzy znajomi, z którymi spędzą święta. I przy stole nikt nie zapyta o powód nieobecności komandora Dunninga. Tak to już było z operacjami specjalnymi. Nie mówiło się o nich nawet w gronie przyjaciół. Całkiem możliwe, że będzie

Tak naprawdę to nie była stworzona do zawodu aktorki, choć ze swoją urodą mogłaby w nim daleko zajść. Owszem, życie w Nowym Jorku nawet jej odpowiadało, chętnie uczęszczała na kursy aktorstwa. Ale jej pierwsza rola w telewizyjnej mydlanej operze była, skromnie mówiąc, trochę drętwa. Na hollywoodzkim producencie, który napisał kiedyś o Fredzie Astairze „Nie potrafi grać, nie potrafi śpiewać i żaden z niego tancerz”, młoda Jo Donaghue, gdyby zobaczył ją na ekranie, prawdopodobnie nie zrobiłaby najmniejszego wrażenia.

Dostała jeszcze dwie szanse, w tym rolę w kolejnej mydlanej operze, która leciała w telewizji

przez osiem tygodni, a potem zrobiło się cicho. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata i żadnych perspektyw. Aż wiosną 1988 roku na potańcówce w jachtklubie w Maine przedstawiono ją młodemu porucznikowi marynarki wojennej, który kompletował właśnie załogę dużego kecza z Che-sapeake. Nazywał się Cale Dunning i pochodził z Cape Cod. Pobrali się pięć miesięcy później, a wkrótce on zdecydował, że będzie służył na okrętach podwodnych.

Nawet teraz, w ten przygnębiający, choć słoneczny poniedziałkowy poranek, Jo nie zamieniłaby ani jednego dnia swego małżeństwa z Boomerem na główną rolę w żadnym filmie. Pragnęła jedynie, żeby przyjechał do domu na święta. Ale nic z tego.

Na stałe mieszkali w Groton, w stanie Connecticut, niedaleko dużej amerykańskiej bazy okrętów podwodnych w New London. Ale w zimie Jo przyjeżdżała często z dwiema córeczkami, trzynastoletnią Kathy i jedenastoletnią Jane na Cape Cod do domu dziadków, który o tej porze roku stał pusty.

Byli tu całą rodziną miesiąc temu, w Święto Dziękczynienia, a w ten weekend Jo miała przygotować dom do wypadających za tydzień Świąt Bożego Narodzenia; zamówić olej opałowy i zapas drewna do kominka, podłączyć na miesiąc kablówkę, uzgodnić terminy kilku specjalnych wywozek śmieci, ustawić termostat na dwadzieścia stopni.

Teraz było to już nieaktualne. Zostanie z dziećmi w Groton, gdzie dziewczynki mają szkolne koleżanki i gdzie mieszkają inne marynarskie rodziny, starzy znajomi, z którymi spędzą święta. I przy stole nikt nie zapyta o powód nieobecności komandora Dunninga. Tak to już było z operacjami specjalnymi. Nie mówiło się o nich nawet w gronie przyjaciół. Całkiem możliwe, że będzie

rozmawiała z jakimś kolegą Boomera, który orientuje się mniej więcej, gdzie jest w tym czasie Boomer, ale żadne z nich nie poruszy tego tematu. Tak musiało być, a ona nie jest jakąś kapryśną aktorką telewizyjną. Jest żoną dowódcy amerykańskiego atomowego okrętu podwodnego, człowieka, który być może zostanie kiedyś admirałem. Zatem musi trzymać fason.

Jo wyszła z domu, żeby wyciągnąć spod jeepa tę głupią wędkę i odciągnąć jakoś boston whalera od prawej ściany garażu, nie wjeżdżając przy tym w lewą. Grudniowy poranek był chłodny i pogodny. Popatrzyła na wody North Bay. Jesień tego roku była ciepła i przedłużona, i drzewa na brzegu przeciwnym do Oyster Harbors nie straciły jeszcze wszystkich liści. Ale czerwienie i brązy po stronie Cotuit były w blasku słonecznego poranka jakby jaśniejsze, a widok spokojnego, pustego kanału za otwartym portem sprawił, że to miejsce po raz nie wiadomo który skojarzyło jej się z rajem.

Do portu zawinęły już na zimę wszystkie łodzie żaglowe i rybackie z wyjątkiem należących do Cotuit Oyster Company, a w tej chwili jedyną jednostką na wodzie był wypływający z ujścia rzeki Seapuit duży, należący do Gillmore Marine holownik „Eileen” prowadzony pewną ręką samego George'a Gillmore'a, mistrza budowy portów i przewoźnika.

Wkrótce nadejdzie zima; North Bay być może zamrze, lód zagrozi nabrzeżom i George Gillmore będzie harował od świtu do nocy, zabezpieczając pomosty i pirsy wokół wszystkich zatok. Od północnego wschodu, od strony Kanady nadlecą silne wiatry, śnieg przykryje letnie ogrody, a potem przyjdzie chłodna, deszczowa i spóźniona wiosna. Ale kaprysy pogody nie miały dla Jo Dunning znaczenia. To miejsce było dla niej rajem i przy porywistym wietrze, i w deszczu, i w słońcu. Myślała o nim codziennie i wyobrażała sobie lata, które spędzą tu razem z Boomerem, kiedy ten odejdzie w końcu z marynarki.

Zdarzało się, że kiedy Boomer był na morzu, a dziewczynki poszły do szkoły, wsiadała w samochód i przyjeżdżała na Cape Cod na jedno przedpołudnie, by posiedzieć i poczytać w tym trochę zaniedbanym pustym drewnianym domu, w którym dorastał jej mąż. Czowała się tu bliżej niego niż gdziekolwiek indziej, a już na pewno bliżej niż w Groton, gdzie mieszkali tylko przejściowo, dopóki „Columbia” stacjonowała w New London. Zdawała sobie sprawę, że z czasem, podobnie jak wiele marynarskich

rodzin, będą może zmuszeni przenieść się do Wirginii albo do Kalifornii, ale nie bała się tego. Najważniejsza była świadomość, że pewnego dnia wrócą tu wszyscy.

Czasami szła na brzeg i wyobrażała sobie Boomera jako małego chłopca uczącego się na tych zdradliwych wodach żeglarstwa. Niektórzy mieszkańcy Cotuit do dzisiaj wspominali jego żeglarski wyczyn z lat młodości. Jeszcze teraz Boomer Dunning potrafił przeprowadzić piętnastometrową łódź żaglową nieoznakowanym wąskim, płytkim przesmykiem między brzegiem a dwu-ipółmilową Succunnesset Shoal, piaszczystą łachą strzegącą południowo-zachodniego podejścia do Cotuit Anchorage.

Jo pobiegła wzrokiem ku horyzontowi, gdzie za Deadneck Island widać było prowadzącą na ocean cieśninę Nantucket. Wkrótce, gdzieś tam, dowiedzona przez jej męża „Columbia” zmierzać będzie ku nieznanemu przeznaczeniu, rozcinając straszne, przepastne głębie północnego Atlantyku, które, nie tak znowu daleko od tych spokojnych zatok, pochłonęły „Titanica” i setki innych statków.

Najgorsze, że nie wiedziała, gdzie on jest ani kiedy wróci. Jedyne pocieszenie znajdowała w tym domu, w tej nadmorskiej, otoczonej drzewami wiosce na Cape Cod, gdzie wszyscy znali Boomera od dziecka. Spojrzała znowu w kierunku portu i pomachała do przepływającego holownika. George odpowiedział jej krótkim, podwójnym rykiem syreny, płosząc kormorany w porcie. Nie było właściwie wiadomo, po co George wyposażył swoją „Eileen” w tak donośną, godną krążownika syrenę. Boomer mówił zawsze, że z wysokiego, brodatego Gillmore'a mógłby być całkiem niezły kapitan okrętu wojennego.

Podczas gdy Jo snuła te rozważania, Boomer znajdował się w kwaterze głównej sił podwodnych Floty Atlantyku SUBLANT i brał tam udział w prywatnej konferencji zorganizowanej w specjalnie wyposażonej i ściśle strzeżonej sali operacyjnej, nazywanej eufemistycznie Pomieszczeniem Ograniczonego Dostępu, która miała pełnić funkcję centrum dowodzenia podczas wszystkich działań podejmowanych przez Stany Zjednoczone wobec chińskich okrętów podwodnych.

Tutaj Zespół Marynarki Wojennej do spraw Czarnych Operacji będzie ustalał wszystko, co niezbędne do efektywnego zarządzania małymi siłami podwodnymi wykonującymi zadanie specjalne: ich rozmieszczenie na oceanie; rejony patrolowania; cykle

operowania; daty; rozkazy; zasady włączania się do walki; sposoby namierzania celu; mapy.

Wszystkie sygnały wychodzące z tego pomieszczenia były starannie zaszyfrowane. Jeśli wnosilo się tam jakieś dokumenty - obojętne jakie - to nie wolno ich było wynieść bez specjalnego upoważnienia i skrupulatnego odnotowania tego faktu. Przed drzwiami stali uzbrojeni wartownicy. Nie można tam było wejść bez specjalnej przepustki. A te wydawano tylko nielicznej garstce osób, które „muszą wiedzieć”. Nawet zastępców dowódców i oficerów nawigacyjnych wpuszczano do środka jedynie na odprawy przed patrolem i po nim. Przez całą dobę służbę za tymi drzwiami pełniło czterech łącznościowców.

Następcą admirała Mulligana, a teraz nowym dowódcą atlantyckich sił podwodnych, był admirał John F. Dixon, srogie, ponury mężczyzna o wąskiej, poważnej twarzy, znany ze zwyczaju drobiazgowego przygotowywania się na każdą okoliczność. Jednak za tym parawanem surowości krył się przed podwładnymi człowiek za młodu niesforne, który o mało nie wyleciał z Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych: poszło o wielki brązowy pomnik nieżyjącego admirała, napelniony w tajemniczych okolicznościach wodą przez jakiegoś niezidentyfikowanego eksperta z małą wiertarką... pomnik przez trzy dni sikał przez małą dziurkę wywierconą w rozporku spodni.

Admirał Mulligan nazywał zawsze admirała Dixona John-nym. O incydencie z pomnikiem wspominało rzadko, jeśli w ogóle, ale niektórzy odnosili wrażenie, że ten wybryk sprzed lat pozostaje nadal w pamięci starszych oficerów, którzy byli jego świadkami, i być może to on jest powodem, że superkompetentny szef sił podwodnych nie został jeszcze szefem operacji morskich.

Przed dzisiejszym spotkaniem komandor Dunning poprosił o zapewnienie, że bez względu na czas trwania misji, której ma się podjąć, w lutym dostanie przysługujący mu miesięczny urlop.

Admirał Dixon nie widział przeszkód. „Columbia” i tak miała iść w lutym na okresowy przegląd, a wiedział, że dowódca z Cape Cod będzie w morzu najwyżej przez cztery tygodnie. Ściganie przez „Columbię” ofiary naokoło świata w razie niepowodzenia na północnym Atlantyku nie wchodziło w rachubę, a zresztą admirał Dixon nie przewidywał niepowodzenia.

–Wybierasz się gdzieś z Jo? – spytał.

–Tak. Płyniemy dwudziestometrowym keczem z Cape Cod

na Tasmanię. Zabieramy ze sobą zaprzyjaźnione małżeństwo, dwóch marynarzy i dla wygody kucharza. Nie możemy się już doczekać. Nigdy nie byłem na morzach południowych. I od lat nie mieliśmy porządnego urlopu.

–Trochę dmucha tam na południu.

–To i lepiej. Szybciej dotrzemy do celu.

Admirał Dixon uśmiechnął się i obaj podwodniacy podeszli do mapy rozpostartej na blacie dużego, pochylonego, wysokiego, polerowanego stołu, który admirał odziedziczył po dziadku. Na biegnącej dołem półeczce leżały zestawy cyrkli, stalowe linijki i kalkulator. Światło lampy biurkowej padało na szczegółową mapę północno-wschodniego Atlantyku nałożoną na wielką mapę świata.

–Dobrze, panowie – zagał admirał Dixon tonem człowieka, który dogłębnie przemyślał temat. – Podsumujmy: jeszcze kilka dni temu zakładaliśmy, że te dwa Kilo odbędą podróż do Chin w wynurzeniu. Teraz mamy jednak powody, by odejść od tego założenia i przyjąć, że okręty podwodne zanurzą się zaraz po wyjściu ze swojej obecnej bazy, a następnie popłyną najprawdopodobniej Morzem Barentsa wzdłuż rosyjskiej linii brzegowej i okrążywszy Przylądek Północny, wyjdą na północno-wschodni Atlantyk, obierając kurs wzdłuż wybrzeży Norwegii.

Dalej na dwoje babka wróżyła. Mogą też przejść przez Cieśninę Gibraltarską, gdzie je zauważymy, ale niewiele będziemy mogli na to poradzić. Następnie, nie pozostawiając nam nadal wielkiego pola do manewru, przetną Morze Śródziemne i Kanałem Sueskim wydostaną się na Morze Czerwone.

Mogą też ominąć Gibraltar i popłynąć dalej na południe. To mniej kręta, choć dłuższa trasa. Opłynęliby potem Przylądek Dobrej Nadziei, przecięli Ocean Indyjski, a potem przeszli przez cieśninę Malakka albo Cieśninę Sundajską. Gdzieś na trasie mogliby dostać silną eskortę okrętów nawodnych. Dlatego skoncentrujemy się na wyeliminowaniu ich skutecznie i wcześnie, jeszcze w Przewężeniu GIUK. Bo jeśli Chińczycy postanowią przebyć całą drogę do ojczyzny w zanurzeniu i zgubimy ich, to rejon poszukiwań beznadziejnie się poszerzy. Musimy ich dopaść, zanim opuszczą Przewężenie GIUK.

Admirał mówił o jednym z najważniejszych na tej planecie wąskich gardeł: o wielkim zwężeniu wód północnego Atlantyku, tam gdzie Grenlandia, Islandia i północne wybrzeża Wysp Brytyj-

skich wytyczają biegnący bezpośrednio z północy na południowy zachód lub, jak kto woli, z południa na północny wschód kanał szerokości zaledwie tysiąca trzystu mil morskich – najwęższy odcinek na całym Oceanie Atlantyckim. Ale pośrodku tego kanału leży szeroka na pięćset mil wyspa Islandia, co utrudnia znacznie nawigację. Te głębokie, lodowate wody to wielkie tereny łowieckie uderzeniowych sił podwodnych Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, na których od pokoleń szkoli się dowódców okrętów podwodnych.

Tędy w okresie zimnej wojny wypływały na Atlantyk wszystkie rosyjskie okręty podwodne. Przechodziły Przewężeniem GIUK w głębokim zanurzeniu, pod czujnym okiem swoich amerykańskich i angielskich adwersarzy. Dzień i noc, miesiąc po miesiącu, rok za rokiem ci dwaj wielcy sprzymierzeńcy morscy obserwowali i czuwali. Niewielu rosyjskim okrętom podwodnym przechodzącym przez Przewężenie GIUK udało się uniknąć wykrycia.

Przez przewężenie wiodą trzy główne szlaki: pierwszy -najbliższy Wielkiej Brytanii, przebiegający po wschodniej stronie Wysp Owczych, jakieś czterysta mil morskich na północny wschód od przylądka Wrath w Szkocji; drugi – przebiegający na zachód od Wysp Owczych nad grzbietem Aegir; trzeci – przebiegający Cieśniną Duńską między Islandią a górą lodową Gunnbjórna na Grenlandii. Są to rzadko uczęszczane, posępne wody, w których w maju 1941 roku z zatopionego przez „Bismarcka” brytyjskiego krążownika HMS „Hood” przeżyło tylko czterech rozbitków.

Admirał Dixon przyłożył stalową linijkę do mapy na wysokości przewężenia.

–Gdzieś tutaj, Boomer – powiedział. – Najchętniej wyeliminowałbym je, zanim wejdą w przewężenie.

–Tak. Im wcześniej, tym lepiej. Jeśli mam być szczery, to myślałem nawet o zdjęciu ich jeszcze na Morzu Barentsa, zaraz za strefą Murmańska.

–Nie jestem za tym. Trochę za blisko punktu wyjściowego. Najlepiej byłoby je dopaść zaraz za Przylądkiem Północnym... o, tutaj. Woda głęboka i to już Norwegia, nie Rosja. Muszą tedy przechodzić w drodze do Chin.

Sęk w tym, że nie mamy czasu. Dotrą do Przylądka Północnego dwa dni po wyjściu w morze, co prawie na pewno nastąpi

w poniedziałek rano. Dopiero w piątek zyskamy pewność, że już nie wracają do portu. A do tego czasu przebędą większą część drogi do Wysp Brytyjskich. Nie ma rady, co do nawiązania pierwszego kontaktu trzeba się będzie zdać na SOSUS.

Admirał mówił o ultratajnym amerykańskim podwodnym systemie dozoru akustycznego (SOund Surveillance System) obejmującym swym zasięgiem większość oceanów świata, zwłaszcza zaś superwrażliwe strefy, takie jak Przewężenie GIUK.

–Kiedy SOSUS je wykryje, wyślemy na miejsce samolot morskiego patrolu lotniczego, żeby ustalił dokładną pozycję. Zajmie to trochę czasu i będzie wymagało odrobiny szczęścia, ale innego wyjścia nie mamy. Powinniśmy się chyba zastanowić nad wyborem miejsca, w którym zasadzisz się na ofiarę. Myślę, że najlepiej będzie tu... – Admirał wskazał punkt o współrzędnych 59,70N, 2W, leżący na południe od Wysp Szetlandzkich i sto osiemdziesiąt mil na północ od granitowego szkockiego miasta Aberdeen, gdzie głębokość oceanu wynosi sto metrów.

–To jakieś cztery tysiące mil od New London, Boomer -ciągnął admirał Dixon. – Przy szybkości dwadzieścia pięć węzłów dotrzesz tam w sześć i pół dnia. Na razie wszystko wskazuje na to, że Kilo ruszą w drogę w pierwszym tygodniu stycznia. Powinieneś zająć pozycję na południowy wschód od Szetlandów 31 grudnia.

–Tak jest. Nie ma co, piękny sposób na spędzenie sylwestra. Ale zanim przejdziemy do omawiania szczegółów planu, chciałbym zadać jedno pytanie...

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł admirał Morgan.

–Czołem, Johnny... Boomer... jak leci?

–Dopiero zaczęliśmy – powiedział Dixon. – Wybrałem dla „Columbii” miejsce zasadzki, ale Boomer ma jakieś pytanie. Słucham, komandorze.

–Zakładamy, że te Kilo będą uzbrojone czy traktujemy je jako statki wycieczkowe, na których zgraja Chińczyków wojażuje dookoła świata?

Odpowiedział admirał Morgan:

–Musisz zakładać, Boomer, że są uzbrojone. W pełni uzbrojone. Czyli że oba mają na pokładzie komplety torped – po dwadzieścia cztery sztuki każdy. Te dwie jednostki są starsze od pozostałych pięciu, ale moim zdaniem należy przyjąć, że wyposa-

zono je w najnowszy rosyjski system. A to oznacza, że prawdopodobnie mają torpedy kierowane przewodowo, które można odpalać parami do dwóch różnych celów jednocześnie.

–Rozumiem, admirale. Wygląda na to, że idą z nami łeb w łeb. Układając plan, będę chyba musiał założyć najgorsze – między innymi to, że do spotkania dojdzie pod wodą. Jak pan sądzi? Będą się wynurzali czy też całą podróż odbędą w zanurzeniu?

–Trudno powiedzieć. Z tych trzech Kilo, które Chińczycy już mają, wszystkie transportowano frachtowcami. Nowe okręty podwodne płyną zazwyczaj do odbiorcy w wynurzeniu, bo to bardziej ekonomicznie, jeśli chodzi o zużycie paliwa i maszyn, i na pewno bezpieczniejsze. Ale w tym wypadku jest trochę inaczej: mamy dwie chińskie załogi, które szkoliły się przez kilka miesięcy w Rosji, a teraz ćwiczą zanurzanie na Morzu Barentsa... Coś mi mówi, że zamierzają podróżować pod wodą.

Boomer kiwnął głową.

–Tak czy inaczej mamy dwie opcje – ciągnął w zamyśleniu Morgan. – Wracam właśnie od prezydenta. Jego stanowisko nie zmieniło się i jest jednoznaczne. Nie możemy dopuścić do tego, by wyparto nas z Cieśniny Tajwańskiej i żeby inna potęga zdominowała morza w tamtym rejonie świata. Mam tu na myśli nie tylko Tajwan, gdzie zainwestowaliśmy miliardy dolarów, ale również naszych przyjaciół z Korei Południowej oraz naszych partnerów handlowych z Japonii. Jedni i drudzy niepokoją się bardziej od nas. Ta cholerna chińska marynarka wojenna jest zagrożeniem dla całego świata. Służy w niej przecież dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Zdaniem prezydenta chodzi o utrzymanie równowagi sił na tych wodach. Dysponując flotą okrętów podwodnych, Chiny dyktowałyby tam warunki we wszystkim. W Cieśninie Tajwańskiej bylibyśmy bezradni ze względu na zbyt duże ryzyko dla naszych okrętów i ludzi. Oni nie mogą dostać tych okrętów podwodnych. Nie wolno do tego dopuścić.

„Columbia” będzie na nie czekała. Twoje zadanie to uderzyć zdecydowanie i szybko. Jeśli uda ci się ich załatwić, czternaście procent tego zakichanego problemu będziemy mieli od razu z głowy. Zostanie nam pięć jednostek. I nie wszystkimi ty będziesz się musiał zajmować. Może nawet żadną.

–Rozumiem, sir. Ale trudno będzie chyba zlikwidować obie jednocześnie. Nie mogę uaktywnić pierwszej torpedy zbyt wcześnie-

nie, bo zaalarmuje to drugi okręt Kilo i ten będzie miał czas ucichnąć i odpowiedzieć ogniem. Może nawet zdąży powiadomić bazę, co się dzieje. Mam jednak dobrze wyszkoloną załogę i jeśli te dwa Kilo nie będą od siebie oddalone więcej niż o cztery do pięciu mil, albo mniej niż pięćset metrów, powinniśmy sobie poradzić. Trzeba będzie tylko poczekać, aż zblizą się na tyle, by rozdzielić się na ekranie.

–Spodziewam się, że będą płynęły w luźnym szyku, jakieś dwa tysiące metrów jeden od drugiego, bo taki jest mniej więcej zasięg podwodnego telefonu małej mocy, a poza tym przy tej odległości nie muszą się obawiać zderzenia. Nie chce mi się wierzyć, że zdążą odpalić torpedy.

–Ja bym na to nie liczył, sir. Tamten, na południowym Atlantyku, zdążył. I to szybko.

–Tak – wtrącił admirał Dixon – ale na jego pokładzie znajdował się ten iracki komandor.

–Według Baldrige'a to nie on wydał rozkaz. Torpedę odpalił rosyjski kapitan.

–Hmmm. Miejmy nadzieję, że dobrze to rozegrasz, Boomer. Wolałbym, żeby „Columbia” nie stała się obiektem ataku – powiedział admirał Dixon. – A najlepiej, żeby nikt nie wiedział o jej obecności. To ma być cicha, niespodziewana, śmiertelna zasadzka, z której nie ma ucieczki. Myślę, że teraz, skoro mamy tu już admirała Morgana, powinniśmy przejść do nakreślenia planu poszukiwań.

Na początek proponuję wysłać tam nasz specjalnie wyposażony trawler rybacki. Niech podejdzie najbliżej jak to możliwe do wejścia do zatoki, w której leży Polarnyj, nie narażając się jeszcze na aresztowanie. To na wypadek gdyby Kilo, mimo wszystko szły w wynurzeniu. Będzie nam też potrzebny atomowy uderzeniowy okręt podwodny patrolujący Morze Barentsa – chociaż nie chcę zatapiać ich już tam. To mimo wszystko rosyjskie podwórko, za wiele uszu w wodzie.

Chłopcy z morskiego patrolu lotniczego będą pracowali według własnego planu. Ale nie wolno im zapuszczać się zbyt daleko na wschód, bo Rosjanie zorientują się, o co chodzi. Nie mogą też zaczynać zbyt daleko na zachód ani na południe, bo nawet zrzucając przez tydzień dwuletni zapas boi akustycznych, mogliby ich nie wykryć. Co do jednego jesteśmy chyba zgodni, nie wolno ich przepuścić przez Przewężenie GIUK.

Arnold Morgan pochylił się nad mapą.

–W pełni się z tobą zgadzam, Johnny – powiedział. – Musimy załatwić facetów najszybciej, jak to możliwe i po cichu. Jeśli się zanurzą, trzeba ich dopaść zaraz za Przylądkiem Północnym. Jeśli nasz okręt podwodny z Morza Barentsa przegapi ich albo zgubi, co wydaje mi się bardzo prawdopodobne, to zostaną namierzeni przez chłopców z samolotu morskiego patrolu lotniczego, którego obecność tam nie powinna wzbudzać niczyich podejrzeń.

Aha, Johnny, i jeszcze jedno... będzie im potrzebne solidne wsparcie z pobliza strefy operacyjnej. Masz jakiś pomysł, skąd moglibyśmy go dostarczać?

–Cóż, najlepsza byłaby Wielka Brytania. Zazaczyłem takie idealne miejsce na mapie, ale potrzebna nam będzie zgoda White-hallu.

–Spokojna głowa, Johnny. Ja to załatwię.

–Świetnie. Mam na myśli Machrihanish, starą, nie wykorzystywaną już byłą bazę sił powietrznych NATO na przylądku Muli of Kintyre, naprzeciwko Campbeltown Loch – to zachodnie wybrzeże Szkocji, dawne legowisko okrętów podwodnych. Ale zacisznie tam teraz.

Potrzebujemy sześć samolotów patrolowych lotnictwa morskiego na dwa tygodnie. Więcej maszyn wzbudziłoby podejrzenia, mniej nie dałoby sobie rady. Muszą prowadzić obserwację pasywnie, z wyłączonymi radarami – Iwan nie może się zorientować.

Wyberzemy oriony P-3C; te maszyny mogą pozostawać w powietrzu przez piętnaście godzin. Poza tym będą nam potrzebne transportowce Galaxy do przewiezienia około ośmiu tysięcy boi akustycznych i całego niezbędnego sprzętu. Potrzebna nam też tona paliwa lotniczego. Ale NATO ma tu na miejscu zbiorniki. Powinni nam odsprzedać. Tylko co powiemy Angolom? I co powiemy NATO?

–NATO nic. Im nic nie musimy mówić. Co do Angoli, to oni i tak już za dużo wiedzą. Ale z paliwem mogliby nam pomóc.

–Rozumiem, Arnoldzie. Masz jakieś propozycje załatwienia sprawy od strony dyplomatycznej?

–Skontaktuję się z naszą ambasadą w Londynie, poproszę o przydzielenie do tej operacji attache morskiego i wysłanie go bezpośrednio do Ministerstwa Obrony. A sam postaram się wcześniej dotrzeć swoimi kanałami najwyżej, jak się da, i przygotować mu grunt.

–Jaką historyjką ich uraczymy?

–No właśnie. Oznajmimy oficjalnie, że rozpoczynamy wielkie manewry, które mają udowodnić, że nadal jesteśmy w stanie wysłać w każdy zakątek świata morski patrol lotniczy, który korzystając z małych, prowizorycznych lotnisk, może operować co najmniej przez dwa tygodnie. Nie czynimy tego często, ale celowo zaplanowaliśmy te ćwiczenia w Europie, w środku zimy, tysiące mil od bazy macierzystej, żeby nie posądzano nas, że idziemy na łatwiznę.

–Wiesz, to jest myśl. Tylko czy Angole uwierzą?

–Każdy by uwierzył. Z wyjątkiem Angoli. To cyniczne sukinsyny. Zaczną podejrzewać najgorsze, i fędą mieli rację. Ale współpracy nie odmówią.

O godzinie 16.00 naradę zawieszono i Arnold Morgan zatelefonował do Londynu, do swojego starego przyjaciela, zastępcy ministra obrony Wielkiej Brytanii (wywiad), kontradmirała Jacka Burnby'ego, człowieka, który przed dwudziestu laty, podczas bitwy o Falklandy, miał wątpliwą przyjemność odprowadzania wzrokiem swojego okrętu idącego w płomieniach na dno Atlantyku, i którego o tej porze można było zwykle zastać w jego londyńskim klubie.

Kontradmirał był właśnie po obiedzie i zgodnie z oczekiwaniami Arnolda Morgana znajdował się w błogim nastroju. Bardzo się ucieszył, rozpoznawszy w słuchawce głos starego amerykańskiego alianta, którego znał jeszcze z czasów jego dyrektorowania w Fort Meade. Wysłuchał uważnie zwięźle sformułowanej prośby nie zobowiązującej go do niczego, poza tym, że przymknie oko na sześć amerykańskich samolotów patrolowych oraz chmurę transportowców Galaxy C5A sfruwających za dwa tygodnie z nocnego nieba na przylądek Mull of Kintyre.

–Nie widzę przeszkód – rzekł w końcu admirał Royal Navy. – Porozmawiam jutro z paroma osobami i za czterdzieści osiem godzin będziesz miał zezwolenie. Wasz attaché morski dostanie je na Grosvenor Square bezpośrednio z Ministerstwa Obrony. Może wam w czymś pomóc, Arnie?

–Nie, dziękuję, Jack. Wystarczy przychylnie nastawienie. Jak zawsze.

–Dzwoń śmiało, gdybyście jednak czegoś potrzebowali.

–Nie omieszka, Jack.

–A skoro już o tym mowa, nie zechciałbyś mi zdradzić, po co wam ta od dawna nie wykorzystywana baza na Kintyre?

Admirał Morgan wznosił oczy do nieba.

–Lepiej, żebyś nie wiedział, Jack – powiedział cicho.

–No nic. Skoro tak, to będę się starał nie snuć domysłów. Bo jeszcze bym zgadł, hmmm?

–Na pewno byś zgadł, Jack. Zawsze zgadujesz.

–Cóż, w takim razie, żegnam, stary. Mam nadzieję, że zobaczymy się w lecie. Aha, poucz swoich chłopaków, że w związku z naszym wejściem do Europy przestawiamy się na metryczny system miar; przeliczamy tu teraz wszystko na metry i... i na kilo.

Nacisk położony na to ostatnie słowo nie uszedł uwagi Arnolda.

–Doprawdy, Jack? Niech mnie diabli. W każdym razie bywaj... i dzięki.

W tym momencie znowu otworzyły się drzwi i wartownik oświadczył służbiście, że helikopter szefa operacji morskich właśnie wylądował i admirał Joe Mulligan już tu idzie. Cztery minuty później do pomieszczenia wkroczył admirał Joe Mulligan.

–Czołem, panowie – rzucił od progu. – Johnny... Arnoldzie... Boomer. Jak wyglądamy?

–Nieźle – odparł admirał Dixon. – Ale dobrze, że jesteś. Zaczynamy właśnie dogadywać szczegóły eliminacji tych Kilo. Lepiej nie mogłeś trafić.

–W porządku. Pozwólcie, że zerknę na mapę. Aha, można prosić o kawę? Nie miałem czasu zjeść lunchu.

Oficer nawigacyjny komandora Dunninga, najmłodszy z obecnych na sali mężczyzn, podniósł słuchawkę telefonu i zamówił kawę, a potem, przypominając sobie o upodobaniu admirała, którego nie pochwalala jego żona Diana Mulligan, dorzucił pośpiesznie: „I ciasteczka dla szefa operacji morskich”.

Następnie stanęli nad wielką mapą północnego Atlantyku i Joe Mulligan zaznajomił się z przypuszczalną trasą dwóch Kilo oraz z nakreślonym przez Johnny'ego Dixona wstępnym planem zastawienia na nie pułapki przy założeniu, że będą płynęły w zanurzeniu.

Admirał Dixon przyjmował, że Kilo będą szły pod wodą z szybkością od siedmiu do dziewięciu węzłów i że dopiero po pięciu dniach amerykański wywiad nabierze całkowitej pewności, że rzeczywiście są już w drodze do Chin.

–Pierwszy kontakt niemal na pewno uzyskamy poprzez

SOSUS – mówił. – Mając ich przybliżoną pozycję, wyślemy tam morski patrol lotniczy, który przystąpi do lokalizacji jednostek przy użyciu pasywnych boi akustycznych.

Najgorsze, że te Kilo zmuszone są chrapać tylko co dwa dni i najwyżej przez dwie godziny. A wykryć możemy je tylko podczas chrapania. Godzina to bardzo mało do dokonania rzetelnej lokalizacji... zwłaszcza kiedy samolot patrolowy nie może korzystać z radaru.

–Trudno, będziemy się musieli z tym pogodzić – przerwał mu szef operacji morskich. – I przygotować się na to, że dopiero po kilku dniach poznamy z grubsza ich szybkość, przebytą odległość oraz przybliżony kurs. Ale przy odrobinie szczęścia uda nam się ustalić jakąś prawidłowość manewrów, co przyspieszyłoby sprawę i pozwoliło na czas je przygwoździć. Cholernie wielki ten ocean, prawda?

–Nie da się ukryć. Ale najdalej do szóstej nocy powinniśmy zebrać tyle danych, by skierować „Columbię” do następnego rejonu doładowywania akumulatorów.

Wszyscy wiedzieli, co ma na myśli admirał Dixon: tym razem Kilo, wynurzając się na głębokość chrapania, zdradzą swoją pozycję i pojawią się na ekranie sonaru współczesnego wojownika – komandora Boomera Dunninga z Cape Cod, czającego się w szybkim atomowym okręcie w mrocznych głębiach gdzieś na północ od Wysp Owczych, by wykonać rozkaz swojego prezydenta, a zarazem zwierzchnika sił zbrojnych.

Joe Mulligan był zadowolony z tego, co usłyszał.

–Bardzo dobrze, Johnny – powiedział. – Wystarczy, by zadziałał SOSUS, a znajdziemy ich. Jedyna luka, jaką w tym widzę, to założenie, że będą się wynurzali na głębokość chrapania co noc mniej więcej o tej samej porze. A jeśli nie będą się trzymali żadnego schematu? Jeśli będą się wynurzali co drugą noc w różnych godzinach?

–Wtedy – odparł admirał Dixon – będziemy musieli jeszcze raz przemyśleć całą operację. Ale aktywnego sonaru mimo wszystko bym nie używał. Odkrylibyśmy się i obudzili ich czujność. Mogliby zupełnie się wyciszyć i uciec do brzegu, w Cieśninę Duńską, albo nawet zawrócić na Morze Barentsa.

–Tak. To by nam skomplikowało zadanie. „Columbia” w niewłaściwym miejscu. Na satelity nie ma co liczyć. Morski patrol lotniczy miotający się między Islandią a Norwegią. Kiepska

skuteczność SOSUS-a przy samym brzegu. Mielibyśmy tu niezły orzech do zgryzienia.

–Zgadza się – przytaknął admirał Dixon. – Gdyby do tego doszło, trzeba by podwoić siły i środki.

–To nie wchodzi w rachubę, Johnny. Gdybyśmy powiedzieli prezydentowi, że zgubiliśmy te Kilo i potrzebujemy więcej jednostek, wpadłby w szal, bo sprawy nie dałoby się już chyba utrzymać w tajemnicy. Ja też bym się prawdopodobnie wściekł. Nie, trzeba to rozegrać według obecnego planu. Myślmy więc pozytywnie, chłopcy... ci przekłeci Chińczycy nie wiedzą przecież, że się na nich szykujemy i do ostatniej chwili się nie dowiedzą, jeśli tylko zachowamy należyta ostrożność. Pamiętajcie, że cel operacji musi zostać osiągnięty za pierwszym podejściem. Inaczej wdepniemy w wielkie gówno. Największe z możliwych gównien.

Dwudziestego trzeciego grudnia w kwaterze głównej sił podwodnych Floty Atlantyku SUBLANT zebrała się kadra dowódcza z „Columbii”, ludzie, których komandor Dunning uznał za najważniejszych dla misji. Przylecieli z bazy w New London. Pracowali teraz odcięci od reszty świata w Pomieszczeniu Ograniczonego Dostępu, szlifując plan zniszczenia chińskich okrętów podwodnych.

Był tam szef systemów bojowych, komandor porucznik Jerry Curran, wysoki mężczyzna w okularach, którego uważano powszechnie za najlepszego brydżystę w marynarce. Był zastępca Boomera, komandor porucznik Mike Krause z Vermont, oraz oficer nawigacyjny, dwudziestodwujęcioletni porucznik David Wingate, od którego pracy wiele miało zależeć podczas długich mrocznych dni spędzonych w głębinach Przewężenia GIUK.

Był tam porucznik Bobby Ramsden, dwudziestodwujęcioletni Marylandczyk, szef sonaru. Kto jak kto, ale on musiał dokładnie wiedzieć, czego szukają. Tak więc, w izolowanym pomieszczeniu wywiadu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych przebywali jedynie ludzie, którzy musieli znać w szczególach cel misji. Każdy z nich złożył przysięgę dochowania tajemnicy. Żadnemu nie wolno się było kontaktować ze światem zewnętrznym.

Na ostatnią odprawę przylecieli jednym helikopterem admirałowie Morgan i Mulligan. Tego samego wieczoru komandor Dunning oraz Mike Krause, Jerry Curran, David Wingate i Bobby Ramsden odlecieli helikopterem marynarki z powrotem do Connecticut, gdzie czekała na nich wielka, czarna „Columbia”.

Okręt cumował u nabrzeża, gotów do wyjścia w morze. Był już po przeglądzie, technicy przez kilka dni sprawdzali skrupulatnie każdy ruchomy element, każdy wspornik i wymieniali wszystko, co wzbudziło ich podejrzenia. Najmniejszy stukot na pokładzie skradającego się okrętu podwodnego zdradzi jego pozycję. Każdy wiaoział, że ta misja, czegokolwiek dotyczyła, może spalić na panewce przez jedno drobne niedopatrzenie.

Trzykrotną kontrolę przeszły elektroniczne systemy bojowe. „Columbia” zabierała do Przewężenia GIUK czternaście kierowanych przewodowo torped Gould Mk 48 ADCAP. Miała też na pokładzie ęsiem pocisków Tomahawk o zasięgu tysiąca czterystu mil oraz cztery pociski Harpoon z głowicami bojowymi wyposażonymi w aktywny radiolokacyjny układ naprowadzania na cel. Boomer żywił nadzieję, że te ostatnie nie będą mu potrzebne; i nie powinny, chyba żeby z odsieczą chińskm okrętom podwodnym pośpieszyła cała rosyjska Flota Północna.

Za to niezbędny mógł się okazać zabierany przez „Columbię” mały arsenał wabików z generatorem hałasu. Zadaniem tych urządzeń było odciąganie nieprzyjacielskich torped od amerykańskiego okrętu podwodnego. Boomer nie wykluczał, że któryś z chińskich Kilo odpowie ogniem w momencie, kiedy „Columbia” uaktywni odpalone przez siebie torpedy. Wiedział, skąd należałoby się spodziewać takiej wielkiej, śmiertcionośnej rosyjskiej torpedy: nadpłynęłaby po śladzie torpedy amerykańskiej, który doprowadziłby ją jak po sznurku do „Columbii”. Klasyczna w podwodnej wojnie procedura operacyjna. I wtedy trzeba by było wypuścić wabiki. I to szybko.

„Columbia” wyposażona była ponadto w IBM-owskie pasywno/aktywne sonary BQQ 5D/E mogące pracować w trybie przeszukiwania lub ataku. Po zajęciu wyznaczonej pozycji „Columbia” miała nasłuchiwać bicia serc zbliżających się Kilo za pomocą pasywnej holowanej anteny niskiej częstotliwości.

Pojedynczy wał tego siedmiotysięcznotonowego okrętu podwodnego napędzały dwie zasilane z reaktora atomowego turbiny o mocy trzydziestu pięciu tysięcy koni mechanicznych. Jeśli zachodziła taka potrzeba, okręt mógł operować na głębokości trzystu metrów. Z bazy w New London miał wyjść 24 grudnia o godzinie 20.30.

Dwudziestego pierwszego grudnia, po przeprowadzeniu pewnych prac konserwacyjnych przy jednej z turbin napędowych,

uruchomiono reaktor i „Columbia” wyszła w morze na krótki rejs próbny. Próby wypadły zadowalająco i okręt wrócił do portu, gdzie miał już pozostać do 24 grudnia.

I tak nadeszła Wigilia. Boomer domyślał się, że Jo nie pojechała z dziewczynkami do domu na Cape, lecz została na całe święta w Groton. Siedział więc przy wigilijnym stole ze swoimi oficerami, mając świadomość, że od ukochanej Jo i dzieci dzieli go zaledwie trzy mile, a nie może im nawet kupić prezentów pod choinkę.

Późnym popołudniem, kiedy mrok zaczął gęstnieć, komandor porucznik O'Brien i jego ekipa przystąpili do wyciągania prętów, zapoczątkowując tym samym powolną, żmudną procedurę doprowadzania reaktora do nominalnej temperatury i ciśnienia, po których osiągnięciu zaspokojone zostanie całe zapotrzebowanie „Columbii” na energię elektryczną. Reaktor atomowego okrętu podwodnego klasy Los Angeles to mała elektrownia będąca w stanie zasilac średniej wielkości miasteczko.

O 18.50 byli właściwie gotowi do drogi. Ostatni członek załogi znalazł się już dawno na pokładzie, kończono sporządzanie listy najbliższych krewnych, czyli osób, z którymi marynarka powinna się w pierwszej kolejności skontaktować, gdyby „Columbia” została trafiona i nie wypłynęła na powierzchnię. Na czele tej listy figurowało nazwisko pani Jo Dunning, numer jej telefonu oraz adres domu na stoku wzgórza, domu z widokiem na morze, choć od brzegu dzieliły go dwie mile lądu.

Niektórzy z młodszych członków załogi pisali listy do domu; gdyby „Columbia” nie wróciła, nabiorą one charakteru ich ostatniej woli.

Nad wybrzeżem Connecticut prószył śnieg. Mijała właśnie 19.30 i baza była praktycznie wyludniona, jeśli nie liczyć kilku cumowników i ich oficera dyżurnego na nabrzeżu oraz dowódcy wachty „Columbii” na mostku. Śnieg tłumiał wszystkie odgłosy, wirował w świetle latami portowych, które otaczały wielki okręt.

O godzinie 20.10 na mostku, w towarzystwie porucznika Wingate'ego, zjawiał się komandor Dunning i polecił rzucić cumy. Holowniki zaczęły odciągać okręt od nabrzeża. Kilka minut później odczepiono liny holownicze i Boomer, odczekawszy, aż holowniki usuną się z drogi, wydał rozkaz „Wolno naprzód”.

„Columbia” ruszyła o własnych siłach i sunąc powoli przez basen portowy, pokonywała pierwsze metry swojej niebezpiecznej

wyprawy do Przewężenia GIUK. Sam widok jej ciemnej, rozplywającej się w mroku sylwetki przyprawiał o dreszcz.

Boomer, opatulony w ciepły płaszcz, nadal stał na mostku, dotrzymując towarzystwa swojemu nawigatorowi. Zostawili za sobą kanał portowy, wypłynęli na Zatokę Gardinera i obrali kurs prowadzący między wyspą Block na północy i cyplem Montauk na południu. Tędy wychodziły w morze i wracały z niego okręty podwodne stacjonujące w bazie New London. Z nieba opadały teraz wielkie, prawie nieważkie płatki śniegu. Na poszyciu „Columbii”, bez wysiłku tnącej dziobem wody zatoki, tworzyła się już warstewka szronu.

Było tu stosunkowo płytko i okręt płynął w wynurzeniu, ale kawałek na południowy wschód od Wyspy Martha's Vineyard Boomer wydał rozkaz zejścia na głębokość peryskopową. Głębiej zanurzą się dopiero po dotarciu na skraj szelfu kontynentalnego, tam też zejść z początkowego kursu wschodniego, skręcając nieco na północ.

O świcie pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia „Columbia” miała już za sobą trzysta mil podróży. Boomer nawiązał rutynową łączność z satelitą. Potem wydał rozkaz zejścia na większą głębokość, na której okręt miał przebyć kursem północno-wschodnim całą trzyipółtysięcznomilową drogę do Wysp Szetlandzkich. Płynęli na głębokości stu sześćdziesięciu metrów z szybkością dwudziestu pięciu węzłów, pokonując w ciągu doby sześćset mil. Wielki Grzbiet Atlantycki przecięli nad strefą uskoku, na wysokości 50 równoleżnika, ale przez większą część trasy mieli pod kilem dwie i pół mili oceanu.

W nocy, dwie doby przed dotarciem do Szetlandów, nad idącą w zanurzeniu „Columbią” przeleciało sześć maszyn Orion P-3C. Niedługo potem, nad irlandzkim hrabstwem Donegal, samoloty morskiego patrolu lotniczego skręciły nieco na północ, zostawiły za sobą postrzępioną północną linię brzegową Irlandii i wzięły kurs na przylądek Mull of Kintyre: długą wypustkę lądu, która na mapie przypomina uschniętą pałkę z tarniny zwisającą z zachodniego wybrzeża Szkocji.

Do lądowania w Machrihanish podchodziły o świcie -i dobrze się składało, bo światła lądownicze przy pasie startowym

tej nie wykorzystywanej bazy lotniczej od dawna nie działały i dopiero przywracano je do stanu używalności. Na lotnisku stała już pierwsza gigantyczna maszyna transportowa Galaxy C5A. Wylądowała dobie wcześniej, za dnia. Amerykańscy technicy, którzy nią przylecieli, pracowali na zmiany, doprowadzając w pocie czoła energię elektryczną, ciepło i wodę. Przywieźli ze sobą własną żywność, części zapasowe, broń i dwa wojskowe jeepy.

Tymczasem „Columbia” pod dowództwem Boomera minęła wzniesienie Rockall i zmniejszając szybkość, skierowała się ku wodom omywającym południowe wybrzeża Wysp Sztetlandzkich. Osiągnąwszy punkt wyczekiwania, kapitan kazał wyłączyć motory i ponownie nawiązał łączność z amerykańskim satelitą komunikacyjnym. Był 1 stycznia, godzina 16.00. W ciągu pięciu sekund z satelity nadeszła pozostawiona tam wiadomość.

O 5.00 rano tego dnia Kilo opuściły port w Polarnyj i już do niego nie wróciły. Początkowo płynęły Morzem Barentsa na północ, bez eskorty, z szybkością siedmiu węzłów, w wynurzeniu. Zanurzyły się jednak, zanim dotarły do specjalnie wyposażonego trawlera, który czekał na nie piętnaście mil od brzegu. A szkoda, bo na pokładzie trawlera znajdowało się więcej aparatury śledzącej na metr kwadratowy niż w Fort Meade. Kiedy Kilo zniknęły pod powierzchnią, „trawler rybacki” natychmiast stracił z nimi kontakt. A amerykański okręt podwodny patrolujący rutynowo ten obszar był jeszcze za daleko, by podjąć trop.

Mówiąc językiem powieści kryminalnych, rybacy zgubili Kilo, zanim zdążył je od nich przejąć okręt podwodny. I teraz nikt nie wiedział, gdzie dokładnie są. Tak więc „Columbii” pozostawało tylko czekać na jakiś sygnał z systemu SOSUS.

Tę niepomyślną wiadomość, która nadeszła do dowództwa SUBLANT w Wirginii późnym popołudniem, admirałowie Mulligan, Morgan i Dixon skwitowali chóralnym „Kurwa!”. Zaciśnieli jednak zęby i poprzez satelitę przekazali komunikat „Columbii”.

–Bez paniki – powiedział admirał Morgan, który był znowu w swoim żywiole tropienia obcych przez całą dobę na okrągło. – Jutro w nocy oba Kilo będą zmuszone zachrapać. Wtedy je przydybiemy.

1 czekali. Trzeciego stycznia, w trzecią noc podróży przez Morze Barentsa, Kilo wyszły na głębokość peryskopową, by zachrapać, i zostały wykryte przez SOSUS. Sygnał był słabutki, sieć odebrała go pod sam koniec cyklu doładowywania akumula-

tej nie wykorzystywanej bazy lotniczej od dawna nie działały i dopiero przywracano je do stanu używalności. Na lotnisku stała już pierwsza gigantyczna maszyna transportowa Galaxy C5A. Wylądowała dobie wcześniej, za dnia. Amerykańscy technicy, którzy nią przylecieli, pracowali na zmiany, doprowadzając w pocie czoła energię elektryczną, ciepło i wodę. Przywieźli ze sobą własną żywność, części zapasowe, broń i dwa wojskowe jeepy.

Tymczasem „Columbia” pod dowództwem Boomera minęła wzniesienie Rockall i zmniejszając szybkość, skierowała się ku wodom omywającym południowe wybrzeża Wysp Szetlandzkich. Osiągnąwszy punkt wyczekiwania, kapitan kazał wyłączyć motory i ponownie nawiązał łączność z amerykańskim satelitą komunikacyjnym. Był 1 stycznia, godzina 16.00. W ciągu pięciu sekund z satelity nadeszła pozostawiona tam wiadomość.

O 5.00 rano tego dnia Kilo opuściły port w Polamyj i już do niego nie wróciły. Początkowo płynęły Morzem Barentsa na północ, bez eskorty, z szybkością siedmiu węzłów, w wynurzeniu. Zanurzyły się jednak, zanim dotarły do specjalnie wyposażonego trawlera, który czekał na nie piętnaście mil od brzegu. A szkoda, bo na pokładzie trawlera znajdowało się więcej aparatury śledzącej na metr kwadratowy niż w Fort Meade. Kiedy Kilo zniknęły pod powierzchnią, „trawler rybacki” natychmiast stracił z nimi kontakt. A amerykański okręt podwodny patrolujący rutynowo ten obszar był jeszcze za daleko, by podjąć trop.

Mówiąc językiem powieści kryminalnych, rybacy zgubili Kilo, zanim zdążył je od nich przejąć okręt podwodny. I teraz nikt nie wiedział, gdzie dokładnie są. Tak więc „Columbii” pozostawało tylko czekać na jakiś sygnał z systemu SOSUS.

Tę niepomysłną wiadomość, która nadeszła do dowództwa SUBLANT w Wirginii późnym popołudniem, admirałowie Mulligan, Morgan i Dixon skwitowali chóralnym „Kurwa!”. Zaciśnęli jednak zęby i poprzez satelitę przekazali komunikat „Columbii”.

–Bez paniki – powiedział admirał Morgan, który był znowu w swoim żywiole tropienia obcych przez całą dobę na okrągło. – Jutro w nocy oba Kilo będą zmuszone zachrapać. Wtedy je przydybiemy.

1 czekali. Trzeciego stycznia, w trzecią noc podróży przez Morze Barentsa, Kilo wyszły na głębokość peryskopową, by zachrapać, i zostały wykryte przez SOSUS. Sygnał był słabutki, sieć odebrała go pod sam koniec cyklu doładowywania akumula-

torów. Amerykański atomowy okręt podwodny patrolujący tamte rejony znajdował się za daleko, by dotrzeć na miejsce, zanim Kilo ucichną. Ale dowództwo SUBLANT przynajmniej z grubsza poznało pozycję Chińczyków i mogło już wstępnie oszacować, że Kilo płyną z szybkością siedmiu węzłów. Lepsze to niż nic.

Admirał Dixon polecił „Columbii” zmienić miejsce wyczekiwania i przenieść się bliżej Wysp Owczych. Ani on, ani admirał Mulligan nie sądzili, by Chińczycy zwietrzyli pismo nosem, ale obaj brali pod uwagę możliwość, że Kilo miną Wyspy Owcze od zachodniej strony.

I teraz Boomer czekał cierpliwie na następny sygnał z systemu SOSUS, żywiąc nadzieję, że ten nadejdzie przed upływem kolejnych dwudziestu czterech godzin.

I doczekał się. Kilo zachrapały następnej nocy, 4 stycznia, punkt 23.00. SOSUS wskazał operatorom z P-3C przybliżone miejsce, od którego powinni rozpocząć poszukiwania za pomocą boi akustycznych. Ale pogoda się popsowała i morze było wzburzone, co utrudniało prowadzenie nasłuchu sonarem. Ludzie z morskiego patrolu lotniczego potrafili określić pozycję Kilo jedynie z dokładnością do około dwóch tysięcy mil kwadratowych, przy założeniu, że jednostki poruszają się z szybkością nie większą niż siedem i nie mniejszą niż pięć węzłów.

Na rozkaz admirała Dixona samolot patrolu morskiego wzbił się w powietrze piątej nocy stycznia z zadaniem weryfikacji każdego kontaktu, jaki zasygnalizuje system SOSUS, obojętne, po której stronie Wysp Owczych to będzie. Wszystko na nic. Kilo się nie ujawniły. Zgubili je.

Szóstej nocy mieli więcej szczęścia. O 23.15 SOSUS złapał kontakt. Niedługo po północy samolot patrolu morskiego namierzył oba chrapiące okręty podwodne. Teraz był czas na dokładne określenie ich pozycji. Okazało się, że Kilo płyną wzdłuż wybrzeży Norwegii i najwyraźniej zamierzają minąć Wyspy Owcze od wschodu. Tego właśnie spodziewał się i na to liczył admirał Dixon. Z dowództwa SUBLANT wysłano poprzez satelitę komunikat dla „Columbii”. Podano w nim pozycję Kilo, ich kurs i szybkość o godzinie 1.00, 6 stycznia. Komunikat kończył się poleceniem: „Przygotować się do przechwycenia za dwie noce”.

Siódma noc upłynęła w niepokojącej niewiedzy. Nikt nic nie słyszał.

Ósmej nocy Boomer Dunning wyszedł na spotkanie Kilo

i zajął pozycję w przypuszczalnym rejonie ataku. Określił go, wiedząc, że okręty od czterdziestu ośmiu godzin nie były słyszane i że płyną z szybkością siedmiu węzłów. Czuwający w dowództwie SUBLANT admirał Morgan był przekonany, że Kilo lada godzina wynurzą się na głębokość peryskopową, by doładować akumulatory. *

–Kończą im się baterie – powiedział, waląc pięścią w stół. – Muszą zachrapać.

Ale minęła godzina 21.00, potem 22.00, nadeszła 23.00 i nic. Zdenerwowanie rosło nie tylko w dowództwie SUBLANT, ale również w centrali USS „Columbia”, gdzie komandor Dunning usiłował zebrać myśli.

–Muszą wkrótce zachrapać, bo inaczej baterie całkiem im siądą. Niemożliwe, żeby się obok nas niepostrzeżenie prześlizgnęli. Mogli celowo zwolnić. Tak czy inaczej są nadal przed nami, a więc podejźmy jeszcze trochę do przodu. Akumulatorów starczy im najwyżej do 4.00, tego jestem pewien.

O 1.00 nadal nie było kontaktu. O 3.00 również. Boomer zaczynał podejrzewać, że na którymś z Kilo mogło dojść do awarii i oba zawróciły ku Morzu Barentsa.

Minęła 4.00, i nadal nic.

4.10.,,

–Kapitanie. Komunikat. Z SUBLANT. SOSUS wykrył dynamiczny rozruch. Wstępna klasyfikacja, kilka silników klasy Kilo – prawdopodobieństwo natknięcia się na okręty bardzo duże. Samolot patrolu morskiego już tam leci.

–Sonar, tu kapitan... Kilo chrapią. Co mamy?

–Nic, sir. Szukamy.

Boomer myślał gorączkowo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowali się na kursie Kilo. Nie chrapały od pięćdziesięciu dwóch godzin, a więc spóźniały się z przystąpieniem do doładowywania akumulatorów. Stąd wniosek, że musiały zejść poniżej siedmiu węzłów. Pytanie, o ile zwolniły? Jeśli od jakiegoś czasu płynęły z szybkością sześciu węzłów, to są teraz ponad pięćdziesiąt mil na północ od „Columbii”. Gdyby ruszył im naprzeciw z szybkością zapewniającą dobre działanie sonaru, dotarłby tam najwcześniej o 6.30. Za późno. Będzie już jasno. A Kilo zdążą doładować akumulatory, zanurzyć się głębiej i znowu ucichnąć. Jeśli chce je dopaść, musi płynąć w ich kierunku

skokami, najpierw ruszyć z kopyta, godząc się z tym, że jego sonar na jakiś czas praktycznie ogłuchnie, potem zwolnić i nasłuchiwać; potem, jeśli za pierwszym razem niczego nie usłyszy, znowu przyśpieszyć. I tak na przemian, aż pokona cały pięćdziesięciosięciomilowy dystans.

Przemknęło mu przez myśl, że chwilowo nie ma sensu brać pod uwagę możliwości, że Kilo zmniejszyły szybkość mniej niż do sześciu węzłów, bo zanim pokonałby, nawet skokami, odległość, jaka by go wtedy od nich dzieliła, one i tak przestałyby już dawno chrapać. I musiałby zaczynać od początku, za jakieś dwa dni, w innym miejscu Przewężenia GIUK. Nie warto było się nad tym zastanawiać, a już na pewno nie w tej chwili.

Musiał również pamiętać, że przyśpieszając, może zostać wykryty przez Kilo. Ale innego wyjścia nie było.

Wyliczył, że jeśli Kilo teraz chrapią i SOSUS je słyszy, a on nie, to muszą się w tej chwili znajdować co najmniej dwanaście mil od niego – jeśli płynęły z szybkością nie mniejszą niż sześć i trzy czwarte węzła – będzie więc bezpieczny, kiedy ograniczy czas trwania skoków do piętnastu minut. Dla zwiększenia zasięgu zaryzykuje nawet skoki dwudziestominutowe. Wydał stosowne rozkazy:

–Ster standardowy w lewo. Wszystkie maszty w dół. Dwudziestominutowe skoki. Dwieście pięćdziesiąt metrów. Szybkość trzydzieści węzłów. Kurs zero-trzy-zero.

A potem zwrócił się do załogi:

–Słuchajcie. Mam powody przypuszczać, że faceci są od dwunastu do pięćdziesięciu mil od nas i zbliżają się, chrapiąc. Chrapać będą co najmniej do 6.00. Powinniśmy ich usłyszeć, kiedy zwolnimy po pierwszym skoku. Ale może być potrzebny jeszcze jeden skok, a to już grozi wykryciem. Trzymajcie przez cały czas w pogotowiu cztery Mk 48 i wabiki. Mam nadzieję, że nie będą potrzebne, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Mogą pierwsi otworzyć do nas ogień. Przewagę mamy tylko wtedy, kiedy zwalniamy.

Jeśli zajdzie taka potrzeba, nie przebieramy w środkach. Strzał z bliskiej odległości, z użyciem sonaru aktywnego. Wszystkie chwytły dozwolone. Dziękuję, panowie.

4.31.

–Zwolnić do pięciu węzłów. Ster standardowy w prawo. Kurs 100. Głębokość dwadzieścia metrów. Radio, przygotować się

108

na odbiór komunikatów satelitarnych. Sonar, kontynuować nasłuch. Przygotować się na przejście w tryb aktywny.

–Sonar, gotów.

–Radio, gotowe.

4.37.

–Kapitanie, tu sonar... nowy kontakt, tylko z czujników dziobowych. Pozycja obiektu jeszcze nie ustalona. Namiar czerwony 83. Analiza w toku. Bardzo słaba słyszalność. Dosyć daleko. Ślad 2307. Określanie śladu w toku.

–Tu kapitan, zrozumiałem. Przygotować się na przejście w tryb ataku. Ster standardowy w lewo. Kurs zero-jeden-siedem. Nastawić w komputerze przybliżoną odległość dwudziestu tysięcy metrów. Sonar, tu kapitan, zakładam, że to kontakt bezpośredni, kurs dwa-jeden-zero, szybkość sześć i pół węzła.

–Kapitanie, tu sonar... Analiza zakończona. Silniki klasy Kilo. Brak kawitacji, słabe, ale stabilne sygnały. Namiar przesuwa się powoli w lewo, zero-jeden-pięć.

Tu Boomer zwrócił się do nawigatora i kazał mu przesłać do dowództwa SUBLANT komunikat:

Klasa Kilo, chrapie, namiar 017, odległość dziesięć mil na północ od nas. Kurs 210, szybkość 6,5. Podchodzimy w celu dokonania weryfikacji lub ataku.

„Columbia” sunęła teraz z szybkością ośmiu węzłów, co zapewniało najcichsze i najszybsze pokonanie dystansu dzielącego ją od celu. Uwagę kapitana przykuł kolejny meldunek z sonaru, że na namierzonej pozycji wychwytuje niewyraźną rozmowę prowadzoną przez podwodny telefon.

–To nie rosyjski, tłumacz mówi, że chyba chiński.

Aha – pomyślał Boomer – skoro w użyciu jest podwodny telefon, to jednostki muszą być dwie i najwyraźniej nie obawiają się wykrycia. Wątpię, że mnie usłyszeli, ale kto wie, czy się nawzajem nie ostrzegają.

Ale teraz nie było czasu na spekulacje. Boomer zmienił nieco kurs, żeby zająć lepszą pozycję do przeprowadzenia ataku. Z sonaru nadchodziły pomyślne wieści – kontakt pewny, bezpośredni, pewny zamiar, żadnych zmian w charakterystyce. 70 chyba bliżej niż dwadzieścia tysięcy metrów.

–Tu kapitan, zrozumiałem. Przygotować wyrzutnie jeden i dwa. Trzymam ten kurs jeszcze przez trzy minuty do zakończenia określania śladu.

4.56.

–Kapitanie, komputer zakończył określanie. Ślad 2307, kurs dwa-jeden-dwa, szybkość 6,4, odległość dwanaście i pół tysiąca metrów. Jesteśmy dwa tysiące dwieście metrów od śladu.

Była to sytuacja, na której możliwość wystąpienia Boomer zwrócił uwagę swoim zwierzchnikom z Pentagonu. Dwa okręty podwodne płynące blisko siebie. I w tej chwili sonar nie był w stanie ich rozróżnić.

Nie będę strzelał do jednego, bo zaalarmuję drugi – myślał gorączkowo Boomer – i jeśli sukinsynowi uda się nam wymknąć, rozgłosi na cały świat, co tu się stało. Muszę załatwić oba naraz albo w odstępie co najwyżej trzydziestu sekund. Podpuszczę je więc bliżej, na odległość, z której sonar potrafi je rozróżnić. Ale jestem trochę za blisko śladu, a nie wiem, kiedy przestaną chrapać i ucichną. No nic, dam im czas do 6.00.

–Ster standardowy w prawo – rzucił – kurs zero-osiem-ze-ro. Dajcie mi natychmiast znać, kiedy zdołacie rozróżnić kontakt do jednoczesnego ataku dwoma Mk 48.

–Sonar, zrozumiałem.

5.08.

–Kapitanie, tu sonar... Mam dwa kontakty. Ślady 2307 i 2310, obecny namiar 011 i 014.

–Kapitan, zrozumiałem. Zdjąć 2307 torpedą z wyrzutni jeden, a 2310 torpedą z wyrzutni dwa. Podprowadzić je pasywnie na małej szybkości na odległość tysiąca metrów, potem opuścić i uaktywnić obie. Przed odpaleniem zwrócę dziób w kierunku celu.

–Kierowanie ogniem, zrozumiałem.

–Komputer, tu kapitan... ustaw ten sam kurs i szybkość dla 2310. Myślę, że są mniej więcej na wprost Odległość między nimi ustaw na dwa tysiące metrów.

–Tu komputer, zrozumiałem... Ustawione.

Boomer Dunning starał się trzymać nerwy na wodzy.

Mam mnóstwo czasu – myślał. – Odejdziemy teraz dalej od

śladu, a potem zawrócimy. Znajdziemy ich od tyłu, gdzie rozciągają się łuki rufowe – mniejsze

tam prawdopodobieństwo, że usłyszą

110

stany przejściowe przy odpalaniu. Może trochę to przyspieszyć, zawracając za nimi za pięć minut. Da mi to dodatkowe tysiąc pięćset metrów luzu od wschodu i sprawi, że szybciej znajdę się w ich łukach rufowych.

5.17.

–Kapitanie, tu sonar... 2307 namiar 341, 2310 namiar 352. Oba na wysokiej częstotliwości. Dobra słyszalność. Namiary pewne. Bez zmian.

–Ster standardowy w lewo. Kurs zero-trzy-zero. Za jedenaście minut zawracamy i ustawiamy się do ataku.

5.27.

–Kapitanie, tu sonar... 2307 namiar 265, 2310 namiar 381. Bez zmian.

–Kapitanie, komputer określił ślad.

5.28.

–Ster standardowy w lewo, kurs dwa-siedem-zero. PRZYGOTOWAĆ WYRZUTNIE JEDEN I DWA.

–Jest dwa-siedem-sero, sir.

–PIERWSZA PAL!

–Torpeda numer jeden odpalona.

–DRUGA PAL!

–Torpeda numer dwa odpalona.

„Columbia” po raz drugi w swej karierze zadrżała, kiedy wielkie torpedy Mk 48 ADCAP wyprysnęły z wyrzutni w ocean i pomknęły szukać zbudowanych w Rosji okrętów podwodnych.

–Kapitanie, obie torpedy pod kontrolą.

5.36.

–Pierwsza torpeda tysiąc metrów od 2307... PRZEŁĄCZAM NA AKTYWNE NAPROWADZANIE... MAŁA GŁĘBOKOŚĆ... DUŻA SZYBKOŚĆ.

W chwilę potem nadszedł tej samej treści meldunek dotyczący drugiej torpedy, a następnie komunikat, na który Boomer czekał:

–Torpedy namierzają cel... trzymają... bez zmian.

–Kapitan, zrozumiałem.

m

–Pierwsza torpeda aktywny kontakt, sir.

–Spuścić pierwszą torpedę na 2307.

–Druga torpeda aktywny kontakt, sir.

–SPUŚCIĆ!

Dwie torpedy „Columbii” uderzyły w chińskie Kilo w odstępie kilku sekund 9 stycznia o godzinie 5.37, na krótko przed pierwszym brzaskiem na wschód od Wysp Owczych. Przez wielkie dziury w kadłubach wdarła się lodowato zimna woda Oceanu Atlantyckiego, wpychając obie jednostki w dwumilową głębię. Echa, samotne, straszne echa eksplozji jeszcze przez minutę docierały do sonarów amerykańskiego okrętu podwodnego. Chińscy torpedyści nie zdążyli nawet pomyśleć o odpowiedzi ogniem.

Śmierć spadła zniecka na stu członków chińsko-rosyjskich załóg. Okręty ani ciała poległych nigdy nie zostaną znalezione. Kilo były w trakcie ataku niewidoczne i pozostaną takie po wsze czasy. Dopiero za półtora dnia w Chinach zrodzi się podejrzenie, że mogło dojść do jakiegoś wypadku.

Jo Dunning nie poznałaby chyba swego męża, gdyby zobaczyła go stojącego nieruchomo, bez mrugnięcia powieką, w centrali „Columbii”. Dla niego było to coś normalnego. Zachowywał niewzruszony spokój w obliczu śmierci, którą sprowadził na tyłu ludzi; robił to już wcześniej i jeśli zajdzie taka konieczność, zrobi znowu. Był gotów służyć swemu krajowi nawet za cenę życia. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych takich właśnie ludzi wybiera do wykonywania tego typu zadań.

„Columbia” wynurzyła się, żeby sprawdzić, czy po Kilo nie pozostał żaden ślad. Boomer wyszedł na mostek i obserwował świt nad wschodnim Atlantykiem. Kiedy na dobre się rozwidniło, stwierdził, że po powierzchni pływają tylko niewielkie plamy oleju. „Columbia” zeszła ponownie pod wodę i obrała kurs na New London.

Być może incydent ten skłonił Boomera Dunninga do głębszych przemyśleń. Ale nie płacono mu za snucie filozoficznych rozważań. Był lojalnym sługą rządu Stanów Zjednoczonych. Wpojono mu bezwzględne posłuszeństwo wobec przełożonych. I on wykonał tylko ich rozkaz.

Boomer przesłał poprzez satelitę do dowództwa SUBLANT meldunek „misja zakończona”. Miał nadzieję, że ktoś powiadomi Jo, że jest cały i zdrowy. I że wraca do domu.

Dwie wyeliminowane. Do wyeliminowania jeszcze pięć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Była mroźna noc 12 stycznia. Kąśliwy, północno-zachodni wiatr wdzierał się przez Bramę Najwyższej Harmonii. Przynosił ze sobą, wprost znad wyżyn Mongolii, pierwszy tej zimy śnieg; śnieg bielił wspaniałe dachy Zakazanego Miasta, odwiecznego strażnika Tronu Smoka. Szeroką fosę Złotego Strumienia za ogromną bramą skuwał lód. Cichy plac Tiananmen przykrywała dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu. Dochodziła druga nad ranem. Cały Pekin spał. Prawie cały.

Po zachodniej stronie placu, w średniej wielkości rządowej sali konferencyjnej na drugim piętrze kolosalnej Wielkiej Hali Ludowej, paliło się światło. Salę wypełniał dym z papierosów przypalanych jeden od drugiego przez wysokiego, przygarbionego przewodniczącego Chińskiej Republiki Ludowej. Korytarze na zewnątrz patrolowało ośmiu uzbrojonych strażników z jego gwardii przybocznej.

Przed przewodniczącym, przy ogromnym stole, który zajmował prawie całą powierzchnię sali, siedzieli przedstawiciele najwyższych władz kraju, a wśród nich sekretarz generalny partii komunistycznej, z racji swego urzędu pełniący również funkcję szefa Komisji do spraw Wojskowych, płatnika Ludowej Armii Wyzwoleńczej i Marynarki Wojennej. Miejsce obok zajmował Qiao Jiyun, szef sztabu generalnego.

W drugim końcu stołu siedzieli przedstawiciele najwyższego dowództwa chińskiej marynarki wojennej, wśród nich jej komisarz polityczny, wiceadmirał Yang Zhenying. Trzej zastępcy głównodowodzącego, wiceadmirałowie Xue Qing, Pheng Lu Dong i Zhi-Heng Tan, rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Szef sztabu marynarki wojennej, wiceadmirał Sang Ye, przybył przed godziną z Szanghaju. Dowódca Floty Morza Wschodnio-chińskiego, wiceadmirał Yibo Yunsheng, bawił już w Pekinie od poprzedniego dnia, tak samo dowódca Floty Morza Południowo-

ROZDZIAŁ CZWARTY

Była mroźna noc 12 stycznia. Kąśliwy, północno-zachodni wiatr wdzierał się przez Bramę Najwyższej Harmonii. Przynosił ze sobą, wprost znad wyżyn Mongolii, pierwszy tej zimy śnieg; śnieg bielił wspaniałe dachy Zakazanego Miasta, odwiecznego strażnika Tronu Smoka. Szeroką fosę Złotego Strumienia za ogromną bramą skuwał lód. Cichy plac Tiananmen przykrywała dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu. Dochodziła druga nad ranem. Cały Pekin spał. Prawie cały. '

Po zachodniej stronie placu, w średniej wielkości rządowej sali konferencyjnej na drugim piętrze kolosalnej Wielkiej Hali Ludowej, paliło się światło. Salę wypełniał dym z papierosów przypalanych jeden od drugiego przez wysokiego, przygarbionego przewodniczącego Chińskiej Republiki Ludowej. Korytarze na zewnątrz patrolowało ośmiu uzbrojonych strażników z jego gwardii przybocznej.

Przed przewodniczącym, przy ogromnym stole, który zajmował prawie całą powierzchnię sali, siedzieli przedstawiciele najwyższych władz kraju, a wśród nich sekretarz generalny partii komunistycznej, z racji swego urzędu pełniący również funkcję szefa Komisji do spraw Wojskowych, płatnika Ludowej Armii Wyzwoleńczej i Marynarki Wojennej. Miejsce obok zajmował Qiao Jiyun, szef sztabu generalnego.

W drugim końcu stołu siedzieli przedstawiciele najwyższego dowództwa chińskiej marynarki wojennej, wśród nich jej komisarz polityczny, wiceadmirał Yang Zhenying. Trzej zastępcy głównodowodzącego, wiceadmirałowie Xue Qing, Pheng Lu Dong i Zhi-Heng Tan, rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Szef sztabu marynarki wojennej, wiceadmirał Sang Ye, przybył przed godziną z Szanghaju. Dowódca Floty Morza Wschodnio-chińskiego, wiceadmirał Yibo Yunsheng, bawił już w Pekinie od poprzedniego dnia, tak samo dowódca Floty Morza Południowo-

t

v

chińskiego, wiceadmirał Zu Jicai z kwatery głównej floty w Zhan-jiang. Wśród obecnych panował nastrój głębokiego skupienia i powagi. Wyłamywał się z niego tylko jeden człowiek.

Admirałowi Zhang Yushu, głównodowodzącemu Marynarki Wojennej Ludowej Armii Wyzwoleńczej, wzburzenie nie pozwalało zagrześć miejsca. Spacerował nerwowo tam i z powrotem wąską wstęgą dywanu wystającą spod ogromnego politurowanego stołu.

Ale z całych sił starał się opanować emocje, jakie nim targaly. Mówił powoli, stonowanym głosem. Zbyt stonowanym, takim, jakim nauczyciel tłumaczy zawilosci algebry bezdennie głupiemu synalkowi żadnego krwi cesarza.

–Niewiarygodne... – mówił. – Od trzech dni nie udaje się nawiązać z nimi łączności. Coś niebywałego. Już jeden dzień daje podstawy do obaw. Dwa, to coś niesłychanego. Trzy, murowane kłopoty... I to, panowie, w przypadku jednego okrętu, a my mówimy przecież o dwóch. Czy ktoś na tej sali jest zdania, że takie jednoczesne zamilknięcie może być sprawą przypadku...?

–Och, admirał Zhang – odezwał się Zu Jicai. – Być może zderzyły się pod wodą.

–PRZECIEŻ OBA PŁYNEŁY W TYM SAMYM KIERUNKU! – ryknął Zhang, tracąc w końcu resztki samokontroli. – ZRESZTĄ, NAWET GDYBY JAKIMŚ CUDEM DO TEGO DOSZŁO, KTÓRYŚ Z NICH Z PEWNOŚCIĄ ZDAŻYŁBY NADAĆ KOMUNIKAT... CZY NIKT TEGO NIE ROZUMIE? – Tu admirał opamiętał się, skłonił z szacunkiem przewodniczącemu i spokojniej już dodał: – Proszę o wybaczenie... swoim zachowaniem przynoszę sobie ujmę i obrażam obecne na tej sali szacowne grono. – Bliski płaczu z wściekłości i frustracji usiadł wreszcie i chwycił się rękami'za głowę.

Nikt się nie odzywał. Admirał Zhang podniósł w końcu głowę i podjął cicho:

–Skoro zgadzamy się co do tego, że na obu jednostkach nie mogło dojść jednocześnie do identycznej, katastrofalnej w skutkach awarii mechanicznej, to trzeba chyba rozważyć ewentualność kolizji. Ale jest mało prawdopodobne, a z naukowego punktu widzenia wręcz niemożliwe, żeby dwa okręty podwodne płynące dokładnie w tym samym kierunku, dokładnie z tą samą prędkością wpadły na siebie z taką siłą, by na skutek powstałych w wyniku tego zderzenia uszkodzeń poszły na (Oto oceanu z całymi załogami, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

II

Mogło być tak, że okręt płynący przodem zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni w celu nawiązania kontaktu telefonicznego i wykonał ten manewr tak niefortunnie, że wpadł na okręt płynący za nim. Ale moim zdaniem prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest jak jeden do kilku milionów.

W związku z powyższym stawiam tezę, że cokolwiek spotkało nasze dwa okręty, nie było to z pewnością sprawą przypadku. Przypomnę tu panom stare powiedzenie: Kiedy wyeliminowałeś już wszystko, co niemożliwe, to cała reszta, jakkolwiek mało prawdopodobna by ci się wydawała, jest prawdą. To nie był przypadek.

Admirał zawiesił na chwilę głos, jakby oczekiwał protestów ze strony ludzi, którzy nie chcą spojrzeć w oczy tej niewygodnej prawdzie. Ale się nie doczekał. Podniósł się znowu z krzesła i potoczył wzrokiem po twarzach obecnych.

–Przyjaciele i koledzy – podjął – musimy chyba zadać sobie pytanie, kto mógłby się dopuścić takiej straszliwej zbrodni. A odpowiedzi nie jest wiele. Żeby skrycie zaatakować i zatopić dwa okręty podwodne, trzeba dysponować szybkim, większym okrętem podwodnym wyposażonym w wyrafinowane systemy uzbrojenia i śledzenia. Jestem więcej niż pewien, że wytropić i zniszczyć taki cel jak nasze Kilo, na tym ogromnym obszarze wodnym, mógłby tylko okręt o napędzie jądrowym i nieograniczonym zasięgu.

Stąd wniosek, że naszym wrogiem jest Rosja, Francja, Wielka Brytania albo Stany Zjednoczone. Bo tylko one dysponują takimi jednostkami. Wielką Brytanię i Francję skłonny jestem wykluczyć jako państwa nie mające wystarczającego motywu. Bardzo poważnie zastanawiam się nad Rosją, która, jak wiemy, znajduje się pod silną presją Stanów Zjednoczonych, starających się ją odwieść od dostarczenia nam okrętów podwodnych klasy Kilo. Wydaje mi się jednak, że jesteśmy zbyt bliskimi partnerami w interesach, jeśli chodzi o sprawy morskie, by Rosja chciała się wdawać w taką awanturę. Zwłaszcza że na pokładach tych jednostek znajdowało się kilku ich najlepszych oficerów podwodniaków.

Nie, panowie, stwierdzam to z wielką przykrością, ale w tym wypadku wszystko wskazuje na Amerykanów. I Z TEGO MIEJSCA OZNAJMIAM, ŻE NIE WOLNO NAM TAK TEGO ZOSTAWIĆ!

Przewodniczący podniósł wzrok, zaciągnął się głęboko papierosem, uśmiechnął i powiedział:

–Dziękuję, Zhang. Traktuję was jak syna i doceniam waszą

niezachwianą lojalność oraz zaangażowanie w tę sprawę. Ale może mój dobry przyjaciel Yibo Yunsheng z Floty Morza Wscho-dniochińskiego raczyłby wyjaśnić staremu człowiekowi, który lata walki ma już za sobą, na czym polega tajemnica zniknięcia tych okrętów podwodnych i z czego się bierze całe to zamieszanie?

Admirał Yibo, były dowódca chińskiego atomowego okrętu podwodnego „Xia”, starego typu 092, wyporności ośmiu tysięcy ton, nosiciela pocisków strategicznych, wstał i złożył formalny ukłon.

–To dla mnie wielki zaszczyt, panie przewodniczący – powiedział. – Być może nie będę w stanie dodać niczego do waszej rozległej wiedzy, ale problem z okrętami podwodnymi wynika zawsze z prostego faktu, że niełatwo się z nimi porozumiewać, kiedy znajdują się pod wodą. Nie widać ich i nie można z nimi rozmawiać.

Łączność nawiązywana jest zawsze z ich inicjatywy. W tym wypadku utrzymywali z nami kontakt za pośrednictwem centrum łączności rosyjskiej Floty Północnej, które poprzez łącze satelitarne przekazywało ich meldunki do centrum dowodzenia naszej Floty Morza Południowochińskiego. Ustaliliśmy, że będą nawiązywali łączność z satelitą co czterdzieści osiem godzin, w okresach, kiedy wychodzą na głębokość peryskopową w celu doładowania baterii akumulatorów. <

Założmy najbardziej prawdopodobny scenariusz. O godzinie 4.05 wynurzyli się na głębokość peryskopową i przesłali nam meldunek określający godzinę, pozycję, szybkość, kurs i tak dalej. Amerykanie czekali gdzieś w pobliżu i zatopili oba Kilo dwoma równocześnie kierowanymi torpedami pół godziny później, kiedy na okrętach pracowały wciąż diesle i łatwo je było wykryć.

Następnego dnia nie dochodzi, rzecz jasna, do nawiązania łączności. Wiemy, że Kilo płyną z szybkością, powiedzmy, ośmiu węzłów, zakładamy więc, że są teraz jakieś sto osiemdziesiąt mil na południowy zachód od swojej ostatniej znanej pozycji i albo mają problemy z masztem radiowym, albo stało się coś złego. Następnego dnia nanosimy ich pozycję na mapę w odległości trzystu sześćdziesięciu mil od miejsca, w którym zostały zaatakowane... ale nie znamy dokładnie kursu, co znaczy, że obszar, w którym mogą się znajdować, to teraz jakieś sześćdziesiąt pięć tysięcy mil kwadratowych.

A ocean ma dwie mile głębokości. Teraz minął kolejny dzień i nasz obszar poszukiwań jeszcze się powiększył, i nawet gdyby ktoś nam powiedział, gdzie spoczywają okręty, to co by nam to

dało? Spuścilibyśmy na dno nurka? Oczywiście, że nie. Bo i po co? Wszyscy zginęli. Te okręty podwodne nie tylko zatoneły, ale znajdują się również poza zasięgiem naszej marynarki. Nawet potężne Stany Zjednoczone niewiele mogłyby tu poradzić.

Z największą przykrością muszę panu zakomunikować, panie przewodniczący, że nic nie możemy zrobić w sprawie okrętu podwodnego, który zaginął tak daleko od domu. I dlatego lepiej nie przyznawać się, że go straciliśmy. Mamy tu do czynienia z najbrutalniejszą, podstępłą formą prowadzenia wojny na morzu. Nikt się nie przyzna, że to zrobił. Nikt się nie przyzna do straty. W przypadku okrętów podwodnych zawsze tak się postępowало. Z pewnością rozumie pan w swojej wielkiej mądrości, panie przewodniczący, że nie możemy nigdy oświadczyć oficjalnie, że nasze dwa nowe okręty klasy Kilo zostały zaatakowane i zatopione przez imperialistyczne siły Stanów Zjednoczonych.

–Dziękuję, admirale Yibo. Jestem wam wdzięczny za tę mądrą radę... ale, towarzysze, robi się późno, a ja jestem zmęczony i muszę udać się na spoczynek. Sądzę, że jutro powinniśmy porozmawiać z Rosjanami. Jestem przekonany, że są tak samo jak my zaniepokojeni. Może nawet wiedzą coś więcej. Proponuję spotkać się ponownie jeszcze dzisiaj przed południem, powiedzmy o godzinie 11, i zastanowić się, co dalej.

Wstał ciężko z krzesła i w asyście dwóch sekretarzy wyszedł z sali. Salę opuścili również komisarz polityczny, sekretarz generalny partii oraz szef sztabu. Oficerowie marynarki zostali; admirał Zhang podszedł do telefonu i jeszcze raz połączył się z kwaterą główną Floty Morza Południowochińskiego w nadziei, że zaginione okręty podwodne w końcu się jednak odezwą. Ale odpowiedź brzmiała tak samo jak przez trzy ostatnie dni. Nadal nic.

Admirał Zhang Yushu w wieku pięćdziesięciu sześciu lat był chyba najlepszym głównodowodzącym marynarki wojennej w dziejach Chin. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, a w jego rysach, choć twarz miał smagłą i okrągłą, można się było dopatrzeć jakby czegoś europejskiego. Gęste czarne włosy nosił trochę dłuższe, niż to było przyjęte w kręgach chińskiego politycznego i wojskowego establishmentu, a świat oglądał przez grube szkła okularów w rogowej oprawie. Był synem kapitana frachtowca z wielkiego południowo-wschodniego portu Xiamen. Właściwie to urodził się na frachtowcu zaraz po drugiej wojnie światowej, w okresie wielkiej biedy. W wieku dwunastu lat potrafił z zawiązanymi oczami rozłożyć na części

dało? Spuścilibyśmy na dno nurka? Oczywiście, że nie. Bo i po co? Wszyscy zginęli. Te okręty podwodne nie tylko zatoneły, ale znajdują się również poza zasięgiem naszej marynarki. Nawet potężne Stany Zjednoczone niewiele mogłyby tu poradzić.

Z największą przykrością muszę panu zakomunikować, panie przewodniczący, że nic nie możemy zrobić w sprawie okrętu podwodnego, który zaginął tak daleko od domu. I dlatego lepiej nie przyznawać się, że go straciliśmy. Mamy tu do czynienia z najbrutalniejszą,

podstępną formą prowadzenia wojny na morzu. Nikt się nie przyzna, że to zrobił. Nikt się nie przyzna do straty. W przypadku okrętów podwodnych zawsze tak się postępowало. Z pewnością rozumie pan w swojej wielkiej mądrości, panie przewodniczący, że nie możemy nigdy oświadczyć oficjalnie, że nasze dwa nowe okręty klasy Kilo zostały zaatakowane i zatopione przez imperialistyczne siły Stanów Zjednoczonych.

–Dziękuję, admirale Yibo. Jestem wam wdzięczny za tę mądrą radę... ale, towarzysze, robi się późno, a ja jestem zmęczony i muszę udać się na spoczynek. Sądzę, że jutro powinniśmy porozmawiać z Rosjanami. Jestem przekonany, że są tak samo jak my zaniepokojeni. Może nawet wiedzą coś więcej. Proponuję spotkać się ponownie jeszcze dzisiaj przed południem, powiedzmy o godzinie 11, i zastanowić się, co dalej.

Wstał ciężko z krzesła i w asyście dwóch sekretarzy wyszedł z sali. Salę opuścili również komisarz polityczny, sekretarz generalny partii oraz szef sztabu. Oficerowie marynarki zostali; admirał Zhang podszedł do telefonu i jeszcze raz połączył się z kwaterą główną Floty Morza Południowochińskiego w nadziei, że zaginione okręty podwodne w końcu się jednak odezwą. Ale odpowiedź brzmiała tak samo jak przez trzy ostatnie dni. Nadal nic.

Admirał Zhang Yushu w wieku pięćdziesięciu sześciu lat był chyba najlepszym głównodowodzącym marynarki wojennej w dziejach Chin. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, a w jego rysach, choć twarz miał smagłą i okrągłą, można się było dopatrzeć jakby czegoś europejskiego. Gęste czarne włosy nosił trochę dłuższe, niż to było przyjęte w kręgach chińskiego politycznego i wojskowego establishmentu, a świat oglądał przez grube szkła okularów w rogowej oprawie. Był synem kapitana frachtowca z wielkiego południowo-wschodniego portu Xiamen. Właściwie to urodził się na frachtowcu zaraz po drugiej wojnie światowej, w okresie wielkiej biedy. W wieku dwunastu lat potrafił z zawiązanymi Toczami rozłożyć na części

dało? Spuścilibyśmy na dno nurka? Oczywiście, że nie. Bo i po co? Wszyscy zginęli. Te okręty podwodne nie tylko zatoneły, ale znajdują się również poza zasięgiem naszej marynarki. Nawet potężne Stany Zjednoczone niewiele mogłyby tu poradzić.

Z największą przykrością muszę panu zakomunikować, panie przewodniczący, że nic nie możemy zrobić w sprawie okrętu podwodnego, który zaginął tak daleko od domu. I dlatego lepiej nie przyznawać się, że go straciliśmy. Mamy tu do czynienia z najbrutalniejszą, podstępłą formą prowadzenia wojny na morzu. Nikt się nie przyzna, że to zrobił. Nikt się nie przyzna do straty. W przypadku okrętów podwodnych zawsze tak się postępowало. Z pewnością rozumie pan w swojej wielkiej mądrości, panie przewodniczący, że nie możemy nigdy oświadczyć oficjalnie, że nasze dwa nowe okręty klasy Kilo zostały zaatakowane i zatopione przez imperialistyczne siły Stanów Zjednoczonych.

–Dziękuję, admirale Yibo. Jestem wam wdzięczny za tę mądrą radę... ale, towarzysze, robi się późno, a ja jestem zmęczony i muszę udać się na spoczynek. Sądzę, że jutro powinniśmy porozmawiać z Rosjanami. Jestem przekonany, że są tak samo jak my zaniepokojeni. Może nawet wiedzą coś więcej. Proponuję spotkać się ponownie jeszcze dzisiaj przed południem, powiedzmy o godzinie 11, i zastanowić się, co dalej.

Wstał ciężko z krzesła i w asyście dwóch sekretarzy wyszedł z sali. Salę opuścili również komisarz polityczny, sekretarz generalny partii oraz szef sztabu. Oficerowie marynarki zostali; admirał Zhang podszedł do telefonu i jeszcze raz połączył się z kwaterą główną Roty Morza Południowochińskiego w nadziei, że zaginione okręty podwodne w końcu się jednak odezwą. Ale odpowiedź brzmiała tak samo jak przez trzy ostatnie dni. Nadal nic.

Admirał Zhang Yushu w wieku pięćdziesięciu sześciu lat był chyba najlepszym głównodowodzącym marynarki wojennej w dziejach Chin. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, a w jego rysach, choć twarz miała smagłą i okrągłą, można się było dopatrzeć jakby czegoś europejskiego. Gęste czarne włosy nosił trochę dłuższe, niż to było przyjęte w kręgach chińskiego politycznego i wojskowego establishmentu, a świat oglądał przez grube szkła okularów w rogowej oprawie. Był synem kapitana frachtowca z wielkiego południowo-wschodniego portu Xiamen. Właściwie to urodził się na frachtowcu zaraz po drugiej wojnie światowej, w okresie wielkiej biedy. W wieku dwunastu lat potrafił z zawiązanymi oczami rozłożyć na części

i złożyć z powrotem silnik okrętowy. Szybko przyswoił sobie sztukę nawigowania po Morzu Południowochińskim i jako piętnastolatek mógł już dowodzić każdym ze średniej wielkości frachtowców, które uwijały się wzdłuż gęsto zaludnionych wybrzeży na zachód od Cieśniny Tajwańskiej.

Zdał egzamin na uniwersytet w Xiamen i ukończył z wyróżnieniem wydział mechaniki okrętowej. Studiował również na dwóch innych fakultetach fizykę jądrową, potem, w wieku dwudziestu dwóch lat, wstąpił do marynarki wojennej, gdzie bardzo szybko, jak na chińskie standardy, awansował. W trzydziestym dziewiątym roku życia był już dowódcą nowego, zbudowanego w Szanghaju niszczyciela rakietowego klasy Luda „Nanjing”. Jako czterdziesto-czterolatek objął stanowisko dowódcy Floty Morza Wschodniocchińskiego, a cztery lata później został szefem sztabu marynarki wojennej. Wielki reformator, nie żyjący już Deng Xiaoping, który wówczas zachowywał jeszcze fotel przewodniczącego Komisji do spraw Wojskowych i w admirałe Zhangu upatrywał człowieka zdolnego zmodernizować chińską marynarkę wojenną, awansował go na głównodowodzącego Ludowej Armii Wyzwoleńczej i Marynarki Wojennej.

Deng podjął tę decyzję po pewnej rozmowie z młodym admirałem, w trakcie której usłyszał od niego: „Kiedy byłem mały, ojciec uchodził za najlepszego kapitana frachtowca w Xiamen. Pracował ciężiej od innych i był od innych inteligentniejszy, ale nasz statek do najnowszych nie należał i wciąż się na nim coś psuło. Ojciec był chyba jedynym człowiekiem na całym wybrzeżu, który potrafił utrzymać go na chodzie... ale w walce z konkurencją nie mieliśmy szans, bo byliśmy biedni, i najlepsze ładunki, zwłaszcza owoców i warzyw, odbierali nam ludzie z nowszymi, szybszymi i niezawodnymi statkami. Na morzu liczy się tylko najlepszy sprzęt. Wolałbym mieć dziesięć najwyższej klasy, nowoczesnych okrętów podwodnych niż sto przestarzałych. Dajcie mi dziesięć nowych niszczycieli rakietowych, pięćdziesiąt nowoczesnych fregat i nowy lotniskowiec, a na pół wieku zabezpieczę ten kraj przed atakiem z morza”.

Dengowi spodobaly się te słowa. Nawet bardzo. Był człowiekiem światłym, myślącym perspektywicznie. Wiedział, że podstarzałej kadrze oficerskiej z najwyższego dowództwa Ludowej Armii Wyzwoleńczej nie spodoba się to, co od niego usłyszą, bo ich większość preferowała rzesze kiepsko wyszkolonych ludzi - dwa miliony dwieście tysięcy żołnierzy – oraz ogromną flotę

nadających się właściwie na złom okrętów wojennych. Jednak w admirale Zhangu wyczuwał instynktownie swojego człowieka.

Decyzję o wyposażeniu chińskiej marynarki w dziesięć Kilo rosyjskiej produkcji podjął w końcu Zhang, i to on naciskał na płatników marynarki, by wyłożyli pieniądze na zakup nie ukończonego jeszcze sześćdziesięciosiedmiotysięcznika, lotniskowca „Admirał Gudenko”, budowanego w ukraińskiej stoczni Nikoła-jew. Teraz jego plany legły w gruzach, waliła się jego strategia na XXI wiek i starał się hamować rozdrażnienie narastające pod pełnymi dezaprobaty spojrzeniami podstarzałych admirałów -siedemdziesięcioletniego Pheng Lu Donga i sześćdziesięcioośmioletniego Zhi-Heng Tana.

Zdawał sobie sprawę, że to jemu przypisuje się całą winę za doprowadzenie do obecnej sytuacji. Starsze pokolenie uważało, że Chiny nie muszą już dążyć do rozszerzania swoich granic, chyba żeby w przyszłości nadarzyła się sposobność odzyskania Tajwanu. Państwo obejmowało wszystkie terytoria, na jakich kiedykolwiek mu zależało, od rozpadu imperium sowieckiego nie miało w zasadzie żadnego naturalnego wroga i w najgorszym wypadku mogło się jedynie obawiać mało znaczących, pogranicznych utarczek na północy. A teraz zupełnie niepotrzebne kupienie od Moskwy wartych trzy miliardy dolarów okrętów podwodnych wciągało ich w wojnę ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. A przynajmniej tak to widzieli Pheng Lu Dong i Zhi-Heng Tan.

Admirał Zhang i jego przyjaciele, szef sztabu marynarki, wiceadmirał Sang Ye, oraz dowódca Floty Morza Południowo-chińskiego, wiceadmirał Zu Jicai, patrzyli na sprawę nieco inaczej. Wszyscy trzej uznawali incydent za straszliwy policzek wymierzony Chinom i za niepowetowaną utratę twarzy przed międzynarodową społecznością. Chiny mają największą na świecie armię i trzecią co do wielkości – jeśli nie jakościowo, to przynajmniej liczebnie – marynarkę wojenną. I cała trójka była zdania, że za tę zniewagę trzeba odplacić Stanom Zjednoczonym z nawiązką.

Admirał Sang Ye gotów był sfinansować i zorganizować terrorystyczny atak na terytorium USA, coś w stylu zamachu bombowego w Oklahomie w 1995 roku. „W Stanach mieszka milion sześćset,tysięcy Chińczyków – powiedział. – Jestem przekonany, że bez trudu znaleźlibyśmy wśród nich dwudziestu ochotników do przeprowadzenia akcji terrorystycznej w Nowym Jorku albo w Waszyngtonie, a po fakcie moglibyśmy im wysłać jed-

-119

nowyrazową depezę – «KILLO» – żeby wiedzieli. W ten sposób zmazalibyśmy tę plamę na honorze”.

Nikt z tej trójki nie zaproponował ataku na amerykański okręt wojenny. Ale admirał Zhang powtórzył coś, co mówił już wiele razy:

–Musimy zadbać o to, żeby reszta tych Kilo do nas dotarła Tylko one zapewnią nam dominację w Cieśninie Tajwańskiej. Tylko z ich pomocą będziemy mogli ustanowić blokadę morską Tajwanu. – A potem dodał: – Obawiam się jednak, że nasi polityczni zwierzchnicy wykażą się brakiem zdecydowania, całe zamówienie zostanie anulowane i na zawsze pozostaniemy bezsilni. Stany Zjednoczone boją się tych Kilo, wiedzą, że z dziesięcioma takimi jednostkami bez trudu moglibyśmy wyprzeć stąd amerykańskie lotniskowce.

–No, trzy już mamy – zauważył admirał Pheng. – Czy nie moglibyśmy zbudować reszty sami, dajmy na to, kupując od Rosjan licencję? Na zachodzie często tak się robi.

–Owszem, admirale, podejmowane są takie próby – odparł Zhang. – Ale rzadko przynoszą zadowalające rezultaty. Okręty podwodne to kapryśne bestie. Żeby je budować, trzeba mieć doświadczenie. Składają się z milionów elementów. I wystarczy, że jeden z nich, w jakimś krytycznym podzespołe, nie zostanie prawidłowo zamontowany, a całość nie działa jak trzeba i okręt nie zachowuje się jak należy, co więcej, usterki nie można już naprawić i jednostka nigdy nie będzie w pełni sprawna. Niemal wszystkie kraje Trzeciego Świata budujące okręty podwodne na licencji mają z nimi kłopoty. Środkowy Wschód roi się od ambitnych państw, którym wydawało się, że do szczęścia potrzebne im są siły podwodne, a nigdy nie wyprowadziły swoich okrętów w morze, nie mówiąc już o zanurzeniu. Moim zdaniem, ktoś, kto chce mieć w swojej flocie w pełni sprawne konwencjonalne okręty podwodne, musi je nabyć w Wielkiej Brytanii, Rosji, Francji, Holandii, Szwecji albo w Niemczech. Stany Zjednoczone takich jednostek już nie produkują.

–To może dać sobie spokój z okrętami podwodnymi, a zamiast nich budować niszczyciele i fregaty – podsunął admirał Pheng. – Są o wiele tańsze, a potrafią być skuteczne.

–Admirale, przyjaźnimy się, od kiedy wstąpiłem do marynarki, i jestem zaszczycony, że to pan był moim nauczycielem – odparł Zhang. – Ale przez lata studiowałem zdolność bojową Amerykanów i proszę mi wierzyć, że gdyby marynarka Stanów Zjednoczonych zaatakowała nas na Morzu Południowochińskim dwiema grupami

uderzeniowymi lotniskowca, to te w ciągu jednego dnia potrafiłyby unicestwić całą naszą Flotę Południową. Jedyne sposoby na ich zwalczanie, to zatopienie lotniskowca, a może tego dokonać tylko okręt podwodny uzbrojony w torpedy z głowicami jądrowymi. O innych sposobach nie warto nawet wspominać.

Admirał Zhang zawiesił na chwilę głos, a potem dodał, łagodniejszym już tonem:

–Wszystko sprowadza się w końcu do Tajwanu i odzyskania tej wyspy. Kiedy będziemy dysponowali flotą Kilo, nikt nie śmie nam w tym przeszkodzić, nawet Amerykanie. Można więc powiedzieć, że kupując te Kilo, zapobiegamy otwartemu konfliktowi międzynarodowemu.

–Chylę głowę przed wielką mądrością młodego dowódcy marynarki – powiedział z uśmiechem admirał Pheng. – Jak zawsze może pan liczyć na moje poparcie.

Admirał Zhang również się uśmiechnął. Ale przyszło mu to z pewnym trudem. Potem wstał i oznajmił, że on też udaje się na spoczynek i radzi uczynić to samo pozostałym.

–Chodź ze mną, Jicai – zwrócił się do dowódcy Floty Morza Południowochińskiego. – Zatrzymałem się na dzisiejszą noc w kwaterach marynarki, pojedziemy tam moim samochodem. Musimy tu być z powrotem za sześć godzin, a według mnie ważą się teraz losy całej chińskiej marynarki wojennej.

W Alei Chang'an, przy bocznym wyjściu, czekało na nich pięć samochodów marynarki. Była 4.00 nad ranem i śnieg przestał sypać, ale zdążył pokryć grubym korzuchem ulice. Temperatura spadła dwanaście stopni poniżej zera, wiał przenikliwy wiatr. Admirał Zhang i wiceadmirał Zu wsiedli do pierwszej limuzyny mercedes-benz. Pozostali skłonili im się na pożegnanie. Szerokie opony mercedesa potoczyły się z cichym chrzęstem po świeżym śniegu zalegającym białą krystaliczną warstwą płaszczyznę placu Tiananmen.

*

Tego samego dnia, punktualnie o 11.00, przewodniczący, zaciągając się łapczywie papierosem, wszedł rozchwianym krokiem do sali konferencyjnej na drugim piętrze Wielkiej Hali Ludowej. Na czas, kiedy on i sekretarz generalny partii uczestniczyli w „ważnej naradzie w sprawach wojskowych”, zawieszono

obradę parlamentu. Nikt z pozostałych członków rządzącego po-litbiura nie miał pojęcia, co się stało. I nigdy nie mieli się tego dowiedzieć. Wszyscy obecni w prywatnej sali konferencyjnej złożyli przysięgę dochowania tajemnicy.

Teraz uklonili się przewodniczącemu, ten powitał ich ciepło i wyraził nadzieję, że wszyscy czują się dobrze, a potem oznajmił, że na początek chciałby wysłuchać opinii swojego głównodowodzącego, admirała Zhanga Yushu. Admirał wstał i powiedział, że jest zaszczycony takim wyróżnieniem.

–Chyba nikt z tu obecnych nie wątpi już, że nasze okręty podwodne zostały zaatakowane i zatopione przez Marynarkę Wojenną Stanów Zjednoczonych – zaczął. – Nie ma sensu rozmawiać z nimi na ten temat, bo w żywe oczy wyprą się wszystkiego i będą udawali oburzenie takim niesłychanym aktem barbarzyństwa.

Dzisiaj rano skontaktowałem się osobiście z Rosjanami i dowiedziałem się, że doszli do identycznego wniosku. Okazuje się, że przed niecałym miesiącem Stany Zjednoczone postawiły im ultimatum, żądając zerwania umowy na dostarczenie nam tych Kilo. Ale Rosjanie nie ugięli się pod presją. Wychodzili z założenia, że nawet taki nie przebierający w środkach i zapatrzony we własny interes kraj, jak Stany Zjednoczone, nie waży się posunąć do czegoś podobnego. Założenie to, co odczuliśmy na własnej skórze, było błędne.

Rosjanie są tak samo jak my wstrząśnięci i oburzeni. Jeszcze dzisiaj przystąpimy do wspólnego opracowywania planu, który zagwarantuje bezpieczną dostawę pozostałych pięciu Kilo...

–O ile – wpadł mu w słowo wiceadmirał Yang Zhenying, komisarz polityczny marynarki wojennej – nie zerwiemy kontraktu. Jeśli się nie mylę, musieliśmy zapłacić za te zaginione Kilo, zanim opuściły rejon Murmańska...

–Owszem, poniekąd – odparł admirał Zhang. – Rosja nie udziela, niestety, kredytu. Nawet nam.

–No właśnie. Sześćset milionów dolarów amerykańskich za nic to bardzo drogo – zauważył admirał Yang. – A istnieje ryzyko, że utopimy w oceanie jeszcze półtora miliarda tychże, jeśli w ten sam sposób stracimy pozostałe pięć okrętów. t

–Z całym szacunkiem, admirale – odparł Zhang. – Na razie zapłaciliśmy tylko czterysta milionów dolarów. I trudno obciążać mnie odpowiedzialnością za niczym nieusprawiedliwiony, bezprecedensowy akt wojny ze strony Stanów Zjednoczonych.

–No to musi się pan jeszcze wiele nauczyć, admirale. W sprawach wojskowych, podobnie jak na bokserkim ringu, obowiązuje zasada, Ani na chwilę nie zapominaj o obronie". Ci, którzy tę zasadę lekceważą, popełniają wielki błąd. Obawiam się, że jako głównodowodzący Marynarki Wojennej Ludowej Armii Wyzwoleńczej jest pan odpowiedzialny za bezpieczeństwo wszystkich chińskich okrętów wojennych, i z całym szacunkiem zmuszony jestem zauważyć, że nie wywiązał się pan należycie ze spoczywającego na panu obowiązku zabezpieczenia naszej poważnej inwestycji.

Admirał Zhang nie dał się zbić z tropu.

–A jak, według pana, miałbym to zrobić? – zapytał chłodno.

–Przykro mi, ale nie jestem od rozwiązywania pańskich problemów – odparł admirał Yang. – Mam dosyć własnych. Wolałbym jednak, żeby stanowisko to zajmował człowiek, który do niego dorasta i który, mając na uwadze wrogość okazywaną nam przez USA, potrafiłby się wykazać zdolnością przewidywania.

–Pozwolę sobie przypomnieć panu – wycedził przez zaciśnięte zęby Zhang – że nigdy nie uznano pana za dostatecznie kompetentnego, by powierzyć mu choćby dowództwo regionalnej floty. Był pan czwartorzędnym kapitanem starej fregaty, która oddając salwę z jednego działka, przełamałaby się na pół. I to pan śmie mnie oceniać... został pan komisarzem politycznym, bo dobrze się pan ożenił, a nie sprawdził jako dowódca...

Przewodniczący uderzył lekko drobną pięścią w stół.

–Panowie, ta wasza wymiana zdań jest gorsząca i bezproduktywna. Admirale Yang, jesteście teraz członkiem znacznej marynarskiej rodziny i zabraniam wam podawać w wątpliwość kompetencje mojego głównodowodzącego. Nie najlepiej to o was świadczy i nie wnosi nic do sprawy, w której się tu zebraliśmy. Ja patrzę w przyszłość i jeśli nie macie żadnych konstruktywnych propozycji, admirale, to może nie powinno was z nami być – ale lubię was i prosiłbym, żebyście zastanowili się dobrze, zanim coś powiecie. Proszę kontynuować, Zhang.

–Tak jest... uważam, że powinniśmy się skoncentrować na dwóch obszarach: po pierwsze, czy zamierzamy podjąć jakieś poważne kroki odwetowe wobec USA, do czego gorąco namawiam, oraz po drugie, jak zagwarantować bezpieczeństwo dostawie pozostałych pięciu Kilo?

–Tak, tak, rozumiem nastroje panujące w marynarce, ale widzicie, Zhang, mamy tu do czynienia z szerszym obrazem i nie

wolno nam przymykać na to oczu. Chcemy być postrzegani jako państwo „zadowolone”, nie zgłaszające żadnych roszczeń terytorialnych. Mamy stałe miejsce i prawo weta w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Mamy również status kraju najbardziej uprzywilejowanego w stosunkach gospodarczych ze Stanami Zjednoczonymi – i to nie dorocznie odnawiany, lecz stały.

Pozwolę sobie przypomnieć słowa Deng Xiaopinga, którymi podsumował naszą politykę zagraniczną. Otóż powiedział, że powinniśmy ukrywać nasze możliwości, grać na zwłokę, wyzbyć się ambicji i nigdy nie pretendować do roli przywódcy. Chodziło mu o to, Zhang, że powinniśmy unikać niepotrzebnych awantur. A coś mi się wydaje, że to jest właśnie taka niepotrzebna awantura... no, ale mówcie dalej.

–Panie przewodniczący – podjął Zhang – czyż przez ostatnie czterdzieści lat na wszystkich naszych wielkich naradach nie jest uchwalana rezolucja, że powinniśmy dążyć do przyłączenia Tajwanu z powrotem do Chin? Czyż nie wnioskuje się na nich w nieskończoność, że należy ukrócić amerykańskie wpływy w tym rejonie, tak jak ukróciliśmy brytyjskie, pozbywając się Anglików z Hongkongu?

–Tak, Zhang, to prawda.

–A zatem, z całym szacunkiem, przemawiając z punktu widzenia wojskowego, chciałbym zwrócić uwagę, że nigdy nie osiągniemy tych celów, jeśli nie przepłoszymy z naszych wód amerykańskich lotniskowców. Wiemy teraz lepiej niż przed miesiącem, że Stany Zjednoczone dążą do własnych celów, nie przebierając w środkach. Pragną zdominować morskie szlaki handlowe wiodące wzdłuż naszej wschodniej granicy morskiej i z każdym rokiem wbijać coraz większy klin między nas a Tajwan.

Kiedy tylko nasza marynarka przejawia jakąś większą aktywność w Cieśninie Tajwańskiej, zaraz pojawia się tam ogromny amerykański lotniskowiec, który, spójrzmy faktom w oczy, gdyby tylko chciał, mógłby z łatwością wymazać z mapy świata nasze wschodnie prowincje. I kto zdołałby temu zapobiec? Nikt. Naszą jedyną szansą, panie przewodniczący, są te Kilo, i apeluję do pana, by w swojej wielkiej mądrości pozwolił na kontynuowanie programu wyposażania w nie naszej floty, naturalnie przy podjęciu dodatkowych środków ostrożności, których domaga się ode mnie admirał Yang. I których sam nie jest oczywiście w stanie zapewnić.

Przewodniczący uśmiechnął się i pokręcił głową.

–Nie jesteście łatwym przeciwnikiem w walce, Zhang -powiedział. – Ale wdzięczny wam jestem za klarowne wyłuszczenie swojego punktu widzenia... chciałbym tu tylko dodać coś od siebie. Jak wiecie, w 1991 roku podpisaliśmy traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Widzicie, nie chcę, żeby Zachód powziął podejrzenie, że kupujemy od Rosjan te Kilo tylko po to, by dysponować jednostkami zdolnymi do przenoszenia głowic jądrowych.

Nie jesteśmy z nikim w stanie wojny, Zhang, i chcę, żeby tak zostało. Pragnę, by nasz kraj otwierał się na świat, brał czynny udział w wielkiej wymianie towarowej i nawiązywaniu nowych kontaktów gospodarczych. Chiny nic nie zyskają, wklajając się w konflikt wojskowy ze Stanami Zjednoczonymi. Czy nie byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy po prostu zapomnieli o całej sprawie i pozwolili Amerykanom buszować po Cieśninie Tajwańskiej, ile dusza zapragnie? Przecież to nasi najwięksi klienci, Zhang, bogacimy się na nich. Mglista wizja odzyskania Tajwanu jest bardzo odległa i zastanawiam się, czy warto ją pielęgnować.

Admirał Zhang uśmiechnął się.

–Zawsze byłem pełen podziwu dla pańskiej przenikliwości, wiedzy i erudycji, panie przewodniczący. Ośmielam się jednak prosić o poświęcenie paru chwil na spojrzenie na kwestię Tajwanu od nieco innej strony – od strony samego Tajwanu. Otóż ta chińska wyspa coraz bardziej zbliża się do Ameryki i chcąc nie chcąc, musimy wziąć pod uwagę fakt, że jest tylko kwestią czasu, kiedy Tajwańczycy będą mieli własną broń jądrową. Każdy kraj na świecie, który dostatecznie się wzbogacił i poczuł wystarczająco zagrożony, starał się stworzyć własny niezależny arsenał jądrowy.

–Widzicie, Zhang – odezwał się przewodniczący – nie wolno nam zapominać, że Tajwan nie jest państwem samym w sobie. Mimo wszystko pozostaje częścią Chin. Jeszcze nie tak dawno groził aneksją Chin kontynentalnych.

–Wiem, panie przewodniczący. Jestem w pełni świadom sytuacji. Ale niech mi wolno będzie przypomnieć, że nie tak dawno Stany Zjednoczone, podejrzewając, że komunistyczne Chiny chcą podjąć próbę aneksji Tajwanu, wysłały tu okręty wojenne Siódmej Floty. Linie interesów są bardzo wyraźnie zarysowane.

–Owszem, Zhang, są – powiedział przewodniczący. – I powinniśmy wreszcie przyznać, że wszystkie nasze wysiłki mające na celu uniemożliwienie dostaw broni Tajwanowi spełzły na

niczym. Wyspa coraz bardziej się bogaci i zgadzam się z waszą opinią, że wkrótce zamarzy jej się własna broń jądrowa.

–Moim zdaniem – powiedział Zhang – Tajwan osiągnął już ów etap i jestem przekonany, że poważnie się nad tym zastanawia. Jedyne sposoby na niedopuszczenie, by pod bokiem wyrosła nam bogata, wroga potęga nuklearna, to włączyć Tajwan z powrotem do Chin. Dobrowolnie do nas nie wrócą. Żeby jednak osiągnąć ten cel, musimy najpierw uniemożliwić amerykańskim grupom uderzeniowym lotniskowca swobodne poruszanie się po naszych wodach.

Do tego właśnie potrzebne nam rosyjskie Kilo. Jednak czas nie pracuje na naszą korzyść. Tajwańczycy, jak dobrze wiemy, są czujni. Uważam tę wyspę za bombę z opóźnionym zapłonem, której nie potrafimy rozbroić i nie rozbroimy, dopóki pozostawać będzie pod ścisłą ochroną Amerykanów.

Przewodniczący pokiwał głową.

–A więc twierdzicie, Zhang, że waszym zdaniem kupno tych okrętów podwodnych należy traktować nie tyle w kategoriach przejawu agresji z naszej strony, czego staramy się unikać, ile realizacji ważnego elementu chińskiej polityki obronnej?

–Właśnie, panie przewodniczący. To niespokojny świat, i kraj tak wielki i bogaty jak nasz, naród reprezentujący jedną piątą populacji planety, musi mieć środki na oczyszczenie swoich wód terytorialnych z okrętów wojennych obcych państw. A nasza liczna marynarka wojenna nie potrafi obecnie sprostać temu zadaniu. Te dziesięć Kilo zmieni układ sił na naszą korzyść.

Tu głos po raz pierwszy zabrał drugi zastępca głównodowodzącego, wiceadmiral Zhi-Heng Tan:

–Rozumiem, dlaczego tak panu zależy na tych Kilo, admirał Zhang – powiedział. – Rozumiem również młodzieńczą żądzę odwetu na Stanach Zjednoczonych. Ale jest takie powiedzonko zachodnich prawników, które ma zastosowanie i tutaj: nie idź nigdy do sądu szukać zemsty, lecz pieniędzy.

Maksyma ta rozciąga się, moim zdaniem, na rozmaite akty wojny. Nigdy nie atakuj niczego ani nikogo z zemsty. Jeśli już, to tylko dla pieniędzy, ewentualnie innych korzyści. A ślepy odwet na USA nie przysporzy nam ani pieniędzy, ani żadnych innych korzyści. Wprost przeciwnie, przyniesie same problemy, ból głowy i rozlew krwi, a na dodatek pociągnie za sobą pogorszenie stosunków handlowych. Na co dzień Stany Zjednoczone uśmiechają się do całego świata szeroko i przyjaźnie, ale kiedy przychodzi co do

czego, potrafią pokazać ostre, białe zęby. Ludzie z Pentagonu zajądłością dorównują samemu Dżingis-CHANOWI, a na dodatek są od nas dziesięć razy silniejsi i ten stan rzeczy utrzyma się prawdopodobnie przez najbliższe półwiecze. Jeśli przedsięwzięmy przeciwko nim jakieś kroki odwetowe, na pewno się odgryzą. Zginą ludzie, a co gorsza, stracimy twarz.

Jestem takim samym jak pan patriotą, admirale Zhang, i zapewniam, że zastosuję się bez zastrzeżeń do postanowień, jakie zapadną na tej naradzie. Ale zwracam się do wszystkich tu obecnych z gorącym apelem o rezygnację z podejmowania jakichkolwiek bezpośrednich działań wymierzonych przeciwko Stanom Zjednoczonym. Bo będą one z góry skazane na niepowodzenie i nic w ich wyniku nie osiągniemy.

–Rozumiem pańskie obawy, admirale – odparł Zhang – i słyszę wielką mądrość wypływającą z pańskich słów, tak jak słyszę ją w słowach pana przewodniczącego. Usunęły one z moich myśli wiele jadu. Ale z całą pokorą będę nalegał, byśmy rnie rezygnowali z budowy naszej floty okrętów podwodnych klasy Kilo. Bo tylko ona zagwarantuje nam bezpieczeństwo i zapewni panowanie na Morzu Południowochińskim oraz na wodach otaczających Tajwan.

–Naturalnie, jeśli tylko marynarka amerykańska nie wytłucze wszystkich tych Kilo, zanim skompletujemy z nich flotę -wtrącił z przekąsem admirał Pheng.

–Niech mi wolno będzie zwrócić panu uwagę, że w pierw musieliby je wytropić, a to nie takie proste.

–Przed czterema dniami nie sprawiło im to większych trudności: wyeliminowali dwie jednostki za jednym zamachem -wyrzucił z siebie admirał Yang.

–Ale ja wziąłem już sobie do serca waszą krytykę, admirale – odparował Zhang – i zapewniam, że to się więcej nie powtórzy.

–Pańskie zapewnienia, admirale, bynajmniej nie rozwiewają moich wątpliwości – powiedział Yang.

–A we mnie budzą się w tym momencie wątpliwości co do pańskich intencji – warknął Zhang. – Pewne jest dla mnie tylko to, że swoimi wypowiedziami daje pan dowód, że nie leży mu na sercu interes Chin...

Tu wyniosłemu, butnemu admirałowi floty puściły nerwy. Przeszył płomiennym wzrokiem człowieka, który dorastał wśród nabrzeży Xiamen, twardego, doświadczonego ulicznika, którego

inteligencja wyniosła tak wysoko i który nawet teraz nie bał się nikogo.

–Jesteś albo głupcem, albo tchórzem, Yang – dokończył Zhang.

Rządzący Chinami starzec zerwał się z miejsca jak lampart, przewracając przy tym krzesło, na którym siedział.

–DOSYĆ! – krzyknął. Ale jego gniew skierowany był na komisarza. – Ostrzegałem was, admirale Yang, żebyście nie podawali w wątpliwość kompetencji mojego głównodowodzącego. Zignorowaliście to ostrzeżenie i postąpiliście bardzo nierozważnie, bo tak się składa, że ja zgadzam się z admirałem Zhangiem. Obrażając jego, obrażacie również mnie oraz obecnych tutaj wybitnych i szanowanych dowódców marynarki wojennej, którzy także się z nim zgadzają i którzy mogą się poszczycić błyskotliwymi karierami, śmiem twierdzić, że wspanialszymi niż wasza.

Myślę, że nie potrzeba nam na tej sali komisarza politycznego, który podważa punkt widzenia najwyższego dowództwa. Wystarczy, że jest tu z nami sekretarz generalny partii, a zresztą to sprawa typowo wojskowa. Narada dotyczy ewentualnego podjęcia kroków odwetowych wobec wroga oraz budowy własnej floty okrętów podwodnych. Bądźcie łaskawi uwolnić nas od swojego towarzystwa.

Admirał Yang, drobny mężczyzna pod pięćdziesiątkę, wstał bez słowa, skłębnił się sztywno przewodniczącemu i wyszedł. Admirał Zhang zaczekał, aż przewodniczący z powrotem usiądzie, a potem przeprosił pokornie za rolę, jaką odegrał w wyprowadzeniu go z równowagi. Ale przewodniczący spojrział na niego z przychylnością i powiedział:

–Synu, dzielnie dźwigasz na swych barkach cały ten straszliwy ciężar. Wrogów Chin traktujesz zawsze jak własnych. Taki sam byłem za młodu. Jak mogę żywić urazę do lojalnego, wybijającego się oficera, który tak przeżywa utratę tych okrętów podwodnych? Zhang Yushu, tym różnisz się od innych ludzi, że ufam ci bezgranicznie.

Mężczyźni siedzący przy stole pokiwali zgodnie głowami. Admirał Zhang odparł:

–Dziękuję, panie przewodniczący, i pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że zawsze będzie pan rozumiał, że nie powodują mną żadne motywy natury osobistej i kieruję się zawsze dobrem narodu.

Głos w imieniu kolegów zabrał dowódca Floty Morza Wschodniochińskiego, admirał Yibo Yunsheng. Powiedział, że nie

zna nikogo, kto uważałby admirała Zhanga za niekompetentnego, ani nikogo, kto krytykowałby jego politykę.

Potem przewodniczący poprosił o herbatę, a kiedy ją podano, zakomunikował swoje stanowisko:

–Nie podejmiemy żadnych kroków odwetowych wobec Stanów Zjednoczonych. Będziemy się zachowywali tak, jakby nic się nie stało. Zobowiązuję admirała Zhanga do uczynienia wszystkiego, co w jego mocy, by pozostałe pięć Kilo dotarły bezpiecznie do kraju... będę myślnami z nim i ze wszystkimi jego dowódcami.

Narada była skończona. Dopili w milczeniu herbatę i zaczęli się rozchodzić. Admirałowi Zhangowi w drodze do wyjścia ciągnącymi się w nieskończoność korytarzami Wielkiej Hali Ludowej, która powierzchnią bije chyba na głowę wszystkie inne budynki rządowe na świecie, i tym razem towarzyszył dowódca Floty Morza Południowochińskiego, admirał Zu Jicai.

–Dobrze pan to rozegrał – powiedział Zu. – Myślałem, że odwoła zamówienie na dostawę tych pięciu pozostałych.

–Doprawdy? A wie pan, co ja myślałem? Myślałem, że będę mu może musiał przypomnieć słowa Mao Tse-tunga, który powiedział: „Prawdziwa siła tkwi w lufie karabinu”.

–Gdyby żył, musiałby przyznać, że w dwudziestym pierwszym wieku prawdziwa siła tkwi w marynarce wojennej wyposażonej w najnowocześniejsze okręty wojenne.

–Macie rację, Jicai. I przyznam się panu do czegoś. Z najwyższą rozkoszą zatopiłbym któryś z tych 'amerykańskich lotniskowców, a potem z niewinną miną powiedział: „My? Raczycie żartować. Jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Takie coś do głowy by nam nie przyszło. Jak możecie nas o to podejrzewać?”.

–Kiedyś, Zhang, pańska nienawiść do amerykańskich sił zbrojnych wydawała mi się nieuzasadniona. Ale już tak nie myślę. Zadaję sobie tylko pytanie: „Za kogo oni się mają?”.

–W tym sęk, Jicai. Mają się za światowego policjanta, a są zbyt silni, zbyt bezwzględni i zbyt przebiegli, by ktoś odważył się zakwestionować tę pozycję. Ale kiedy zgromadzimy tyle Kilo, by utworzyć z nich flotę patrolującą stale Morze Południowochińskie, rzucę im wyzwanie. Zaczaję się i zatopię któryś z lotniskowców. Z utęsknieniem wyczekuję tego dnia.

–Zachowaj jednak ostrożność, mój wielce szanowny przyjacielu Yushu. I pamiętaj o wojnie w Zatoce w 1990. Uzbroiliśmy Irakijczyków w naszą najlepszą broń, a i tak wyglądali przy Ame-

rykanach jak dzieci w świecie dorosłych. Oni są bardzo, ale to bardzo niebezpieczni.

–Ja również, Jicai.

Wyszli na śnieg ubity już milionem stóp i kołami miliona rowerów. W tle wznosiło się Zakazane Miasto, nad placem Tiananmen dął wciąż północny wiatr. Utrzymywała się niska temperatura i zapowiadano dalsze opady śniegu. Mężczyźni, owijając się szczelniej płaszczami, wsiedli do czarnego służbowego samochodu.

–Odwiozę pana na lotnisko – powiedział admirał Zhang. – Porozmawiamy po drodze o rozlokowaniu tych następnych okrętów podwodnych i o sposobie ich sprowadzenia, który musimy uzgodnić jeszcze z Rosjanami. Ja ze swej strony spróbuję nie tracić nad sobą panowania na każdą myśl o Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych. Ale gdybym miał do wykorzystania jedno życzenie, to zażyczyłbym sobie, żeby w powietrze wyleciał Pentagon ze wszystkimi, którzy tam pracują. Po prostu nie chce mi się wierzyć, że bez ostrzeżenia i bez żadnego uzasadnionego powodu zatopili dwa nowe okręty podwodne z całymi załogami. To zwyczajne piractwo, ale nikt się o tym nigdy nie dowie.

–My wiemy, Yushu – zauważył admirał Zu. – I to chyba wystarczy. *

*

Kiedy samochód służbowy Ludowej Armii Wyzwoleńczej wiozący dwóch admirałów skręcał na południowy wschód, kierując się w stronę odległego o trzynaście mil pekińskiego lotniska, znowu zaczął prószyć śnieg. Była 1.00 po południu. Po drugiej stronie świata, dziesięć tysięcy mil na wschód, wybiła właśnie dziewiąta wieczorem poprzedniego dnia, ale pogoda na preriach środkowego Kansas niczym się właściwie nie różniła.

Wielkie stada bydła brnęły przez śnieg, kowboje dowożący paszę do odleglejszych pastwisk przedzierali się przez zamiecie. To był długi dzień i na wielkim ranczu, które leży między rzeką Pawnee a Buckner Creek w okręgu Hodgeman, wszyscy padali z nóg.

W głównym domu, za szeroką bramą z kutego żelaza z wyeksponowanym charakterystycznym symbolem B/B, wciąż paliły się światła. Ale nie spał tam jeszcze tylko jeden człowiek, nowy prezes rodzinnego interesu, czterdziestoletni Bill Baldridge,

były komandor porucznik Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Siedział samotnie przed kominkiem i zastanawiał się, czy dokupić półmilowy pas ziemi nad południowym brzegiem Pawnee. Cena, jakiej żądał właściciel, była wysoka, bardzo wysoka, ale działka zapewniała dostęp do rzeki, a Bill nosił się z zamiarem powiększenia w lecie jednego ze stad herefordów. Wpatrywał się właśnie w prospekt i kalkulował, do jakiej rozsądnej stawki może wylicytować te sześćset akrów na aukcji w przyszłym tygodniu, kiedy w drugim kącie pokoju zadzwonił telefon.

Podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

–Baldrige, słucham.

–Bill? Cześć, to ja, Boomer Dunning.

–Boomer! Stary. Jak leci?

–Nie narzekam. Jest trochę roboty, ale da się wytrzymać. A co u ciebie? Odpoczywasz na zasłużonej emeryturze?

–Akurat – mruknął Bill. – Nigdy w życiu tak ciężko nie harowałem. Od trzech tygodni pogoda daje nam tu nieźle w kość: śnieg, wiatr i lód. Całe dni spędzamy z mamą i bratem poza domem. Mój kierownik złapał grypę, mój najlepszy koń Freddie okulał i to cud, że sobie jeszcze czegoś nie odmroziłem. Jeśli tak ma wyglądać stan spoczynku, to ja już wolę służyć na atomowym okręcie podwodnym.

Boomer roześmiał się.

–Widzę, że trafiłem na dobry moment. Bo dzwonię, żeby cię stamtąd wyrwać.

–Zaraz, chyba nie chcesz zaproponować mi pracy?

–Skądże znowu. To coś lepszego. Proponuję wakacje.

–Wakacje? Jakie wakacje?

–Trochę nietypowe. Ale może być fajnie. Znajomy mojego ojca – taki jeden australijski bankier – poprosił mnie, żebym mu przyprowadził łódkę. Widziałem ją tylko na zdjęciach, ale to nowiutka dwudziestometrowa łódź, bermudzkie ożaglowanie, pokłady z drewna tekowego, elektryczne windy, duży silnik Perkins Sabre, cacuszko. Wygląda na bardzo wygodną. Wnętrza wyłożone tekiem. Ma dwa foki i jest chyba diabelnie szybka. Nazywa się „Yonder”.

–Tak? A gdzie stoi?

–W tej chwili w Port Elizabeth w RPA. Bankier dopłynął tam sam z Hamble w Anglii, gdzie jacht został zbudowany. Zajęło

r

mu to sześć tygodni; miał na pokładzie czworo gości, trzech żeglarzy z prawdziwego zdarzenia i kucharza. W liście, który od niego dostałem, pisze, że w Zatoce Biskajskiej przy złej pogodzie łajba sprawowała się bez zarzutu.

–I gdzie mamy ją dostarczyć?

–Do Hobart na Tasmanii. Południowo-zachodni narożnik Australii. Facet buduje tam hotel. Nad samą Zatoką Sztormów.

–Jezu, Boomer. Przecież to kawał drogi z Port Elizabeth. Jakies dziesięć tysięcy mil.

–Bez przesady. Niecałe sześć. Gość mówi, że pięć tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt trzy. Popłyniemy Kołem Wielkim, ale w rozsądnej odległości od Antarktyki. Od samego początku będziemy mieli przewagę wiatrów zachodnich, niemal przez całą drogę prosto w rufę. Facet mówi, że łajba potrafi się rozpędzić do dwudziestu węzłów i lubi taką szybkość. Ale żeby tyle z niej przez całą drogę wyciągać, trzeba by załogi złożonej z tuzina zawodowców. My nie powinniśmy mieć trudności z utrzymaniem średniej szybkości dziewięciu węzłów, a więc pokonanie całej trasy zajmie nam jakies dwadzieścia osiem dni. Facet mówi, że robi ją regularnie na mniejszych łodziach w dwadzieścia sześć dni.

–Ryczące Czterdziestki, powiadasz?

–Otóż to. Hobart leży na 42 stopniu i 53 minucie szerokości południowej. No i tam jest teraz pełnia lata.

–Cholera, atrakcyjnie to się zapowiada. Kiedy chciałbyś ruszać?

–W lutym. „Columbia” idzie wtedy na przegląd i mam miesiąc urlopu. Planuję wyjść z Port Elizabeth 1 lutego. Z powrotem w New London mam się stawić 4 marca. Jo płynie ze mną. Dziewczynkami pod naszą nieobecność zajmie się jej mama. No, Bill, jak się na to zapatrujesz?

Były komandor porucznik Baldrige zawahał się. W ręku trzymał wciąż prospekt aukcji ziemi. Trzy tysiące dolarów za akr pastwiska było jego zdaniem ceną mocno wygórowaną.

–A ile by to nas kosztowało?

–Nic. Łódź jest zaopatrzona w prowiant i napoje. Zatankowana. Załoga opłacona, składa się z trzech osób i kucharza, który mieszka w osobnej kajucie. Dla nas zostają trzy z dużymi podwójnymi kojami, do tego dwie łazienki. Żyć nie umierać.

–No tak, ale trzeba tam za coś dolecieć. A potem wrócić.

–Mam rozwiązać twoje wątpliwości?

–Wal.

–To też nic nas nie będzie kosztowało. Przelot z dowolnego miejsca w Stanach do Port Elizabeth facet nam funduje. Powrót z Tasmanii przez Melbourne też. Do Melbourne podrzuci nas własnym samolotem. To zaledwie czterysta mil.

–Kurczę, z minuty na minutę robi się coraz ciekawiej.

–Powiedziałem mu, że to bardzo poważne przedsięwzięcie. I że chętnie przyprowadzę mu łódź. Ale musiałbym zabrać ze sobą znajomego amerykańskiego żeglarza, o którym wiem, że jest wspaniałym nawigatorem. Uprzedziłem, że kosztowałyby go to cztery przeloty tam i z powrotem. Nawet okiem nie mrugnął. Powiedział, że skoro chce, żeby mu bezpiecznie przeprowadzono przez pół świata jacht wart siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, to nie będzie skąpił pięciu tysięcy na bilety lotnicze.

–To brzmi za pięknie, żeby było prawdziwe – rzekł Bill. – Ale muszę zabrać ze sobą Laureę.

–Nie ma sprawy. Jo będzie miała damskie towarzystwo. Zaraz, a kto to jest Laura?

–To kobieta, z którą się ożenię, jak tylko się rozwiedzie, czyli w maju.

–Czy to czasem nie ta, o której wspominałeś półtora roku temu – ta, z którą widziałeś się raptem dwa razy przez w sumie jakieś półtorej godziny?

Bill zachichotał.

–Ta sama.

–Córka tego szkockiego admirała, tak?

–Zgadza się.

–Jezu. Słowny z ciebie człowiek. Gdzie jest teraz?

–Śpi.

–No tak, ale gdzie?

–Tutaj. W żółtej sypialni, tej na górze, po prawej, z widokiem na strumień. Jeszcze jakieś szczegóły?

–Tak. Gdzie jest twój pokój?

–Kawałek na południe stamtąd. Ściśle biorąc, następne drzwi. Dalej od pokoju mojej matki już się nie dało. Nie pozbędę się jej stąd, dopóki się nie pobierzemy.

Boomer parsknął śmiechem. Rozmawiali jeszcze kilka minut o marynarce, wspólnych znajomych, i umówili się, że wylecą z Nowego Jorku do Johannesburga 29 stycznia, tak żeby znaleźć

133

się w Republice Południowej Afryki 30 rano. W ten sposób będą mieli dwa dni na ostateczne przygotowanie jachtu do rejsu.

Boomer, odłożywszy w New London słuchawkę, natychmiast przesłał na Tasmanię faks, że podejmuje się przeprowadzenia łodzi. Zaraz potem z Hobart do Port Elizabeth poszedł faks, który wprowadził w przygnębienie angielską załogę jachtu.

Pierwszy oficer pokładowy, Roger Mills, odczytał z ponurą miną treść.

–Okazuje się, że jeden z nich jest dowódcą atomowego okrętu podwodnego, drugi służył przez piętnaście lat w marynarce jako ekspert od broni podwodnej, a teraz siedzi na ranczo w Kansas i kosi grube miliony. Obaj są wytrawnymi żeglarzami... Tacy raczej nie dadzą sobie w kaszę dmuchać.

Następnego ranka w Kansas było pogodnie i zimno. Bill wyszedł z domu o siódmej rano, a o 8.30 wrócił na śniadanie. Matki nie było, a zgrabna, piękna Laura Anderson rozlewała właśnie kawę do filiżanek. Ostukał buty ze śniegu, ściągnął z siebie kurtkę z owczej skóry i podszedł do wielkiego kominka w sieni, w którym palono przez całą zimę.

Bill miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i barczystą sylwetkę, którą wyrobił sobie jeszcze w młodszych latach, machając młotem przy naprawie ogrodzeń na ranczu ojca, i do tej pory budową przypominał zawodnika drużyny futbolowej. Laura pocałowała go w policzek i podała mu kawę – „czarną z kozimi bobkami”, jak mawiał jego były przełożony z Fort Meade, admirał Arnold Morgan, mając na myśli pastylki sacharyny, które wrzucał do naparzu z niebieskiego pojemniczka z dozownikiem.

Bill uśmiechnął się na to wspomnienie i otoczył Laurę ramieniem.

–Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział.

–Naprawdę? – Zielone oczy Laury zabłyśły.

–Naprawdę. Pod koniec miesiąca jedziemy na długie wakacje. I nie uwierzysz na jakie. •

-No?

-Najpierw wsiadamy w samolot i lecimy do RPA, a stamtąd ruszamy dużym, dwudziestometrowym słupem do Australii. Płynie z nami mój stary przyjaciel, komandor marynarki, Boomer Dunning z żoną. To nowa łódź, pięknie wykończone wnętrza, mocny silnik i trzyosobowa załoga plus kucharz.

-Cudownie. Ale jesteś pewien, że mam przygotowanie do

żeglugi po tamtych wodach? Tam są te Ryczące Czterdziestki, prawda? Tato mawia, że to chyba najstraszniejszy zakątek świata.

–I ma rację. Ale w środku lata, który przypada tam w lutym, da się wytrzymać. Przez całą drogę będzie dmuchał nam w rufę zachodni wiatr, dzięki czemu podróż nie zajmie więcej niż cztery tygodnie. Dwaj członkowie załogi to bardzo doświadczeni żeglarze, a Boomer jest regatowym sternikiem oceanicznym klasy światowej. Żeglowałem z nim we wrześniu zeszłego roku w Newport, kiedy ty byłaś w Szkocji.

–Aha, już wiem. To ten dowódca atomowego okrętu podwodnego, o którym mi opowiadałeś, tak?

–Zgadza się – przytaknął Bill.

Pocałował ją w policzek i zauważył, nie po raz pierwszy zresztą, zmęczenie malujące się na jej twarzy, ten rodzaj zmęczenia, jakie objawia się u ludzi, którzy, tak jak teraz Laura, biją się z myślami. Wiedzieli oboje, że tak będzie, już wtedy kiedy rozpoczęli swoją przygodę.

Wiedzieli, że nie będzie łatwo. Ale rzeczywistość przerosła wszelkie oczekiwania. Już sam rozwód był koszmarem, a dochodziła do tego bitwa o prawo do opieki nad dziećmi. Bill nie wiedział, na jak długo jeszcze starczy Laurze sił, by to wszystko znieść. Obawiał się, że w końcu podda się, zostawi go i wróci do Szkocji. Chociaż od samego początku zarzekała się, że tego nie zrobi.

W tej sytuacji propozycja Boomera wydawała się Billowi Baldrige'owi darem niebios. Stwarzała pretekst do oderwania Laury od napływającego nieprzerwanym strumieniem listów od prawników, pism urzędowych i protokołów z postępowania sądowego toczącego się po drugiej stronie świata. Każdy z tych chłodnych, formalnych dokumentów zdawał się utwierdzać ją w przekonaniu, że w oczach prawa porzuciła obie córki i jest osobą niezdolną do wychowywania dzieci.

Oboje z Billem wiedzieli, że cała ta korespondencja to prawnicze śmieci. Ale niewiele to pomagało. Z treści listu, który przyszedł w tym tygodniu, wynikało na przykład, że nie ma żadnych szans, by przed końcem maja zezwolono jej chociażby na widzenie z dziewczynkami.

Ale decydowali się na ten związek z pełną świadomością konsekwencji. Laura, zaledwie po trzech spotkaniach z amerykańskim oficerem marynarki, zostawiła dzieci pod opieką niani i ich

ojca, i poleciała do Billa do Nowego Jorku. Bill Baldrige był pierwszym i zarazem ostatnim mężczyzną, którego naprawdę pokochała. Zatrzymali się w Pierre Hotel przy Piątej Alei, naprzeciwko Central Parku, poszli do łóżka przed kolacją i spędzili w nim całą noc. Rano Bill Baldrige oznajmił suchym tonem, że zamierza ją poślubić. Nie wiedziała, że po raz pierwszy w swoim poniekąd rozpustnym kawalerskim życiu wydusił z siebie tego rodzaju oświadczenie.

Zostali w Nowym Jorku jeszcze kilka dni, zaliczając wieczorami kolejne opery, a potem Bill zabrał Laurę do Kansas, żeby przedstawić ją rodzinie. Z matką Billa, Emily, od razu przypadły sobie do serca i po tygodniu Laura wróciła do Edynburga, by oznajmić swemu mężowi, Douglasowi Andersonowi, właścicielowi ziemskiemu i bankierowi, że chce się z nim rozwieść, i nic nie zmieni jej postanowienia.

Douglas Anderson był ogłuszony. Równie wstrząśnięci byli jego rodzice, nieprzyzwoicie bogaci właściciele ziemscy – sir Hamish i lady Barbara Andersonowie. Co do rodziców Laury, admirała sir Iaina i lady MacLeanów, to ci nie mogli uwierzyć w to, co się stało, chociaż już podróż córki do Kansas powinna im dać do myślenia.

Jednak największym problemem miała się okazać kweflia dzieci. Walka o nie przeniosła się na forum publiczne. Douglas Anderson, zastępca prezesa Szkockiego Banku Narodowego, skonsultował się z szanowaną kancelarią prawniczą MacPherson, Roberts i Gould. Powiedziano mu tam bez ogródek, że jeśli nie chce, by dwie córki, czteroletnia Mary i sześćioletnia Tessa, zniknęły mu na zawsze z oczu na amerykańskim środkowym zachodzie, to ma tylko jedno wyjście. Musi natychmiast, z własnej inicjatywy, wystąpić o rozwód, oskarżając żonę o zdradę z tym oficerem marynarki Stanów Zjednoczonych. Następnie musi dołożyć wszelkich starań, by wyrobić Laurze opinię kobiety kompletnie niezrównoważonej, rozpustnej, romansującej na prawo i lewo, i całkowicie pozbawionej instynktu macierzyńskiego.

Nikt w to tak naprawdę nie wierzył, ale tak zostało zapisane w złożonych w sądzie dokumentach. Prasa brukowa ochoczo podchwyciła sprawę, ledwie ta weszła na wokandę, i radośnie roz-trąbiła na cały kraj pod nagłówkiem: „CÓRKA ADMIRAŁA MACLEANA UCIEKA Z KANSASKIM KOWBOJEM – dyrektor edynburskiego banku przybity zdradą żony”.

Od tej pory sytuacja wciąż się pogarszała. Kancelaria Mac-Pherson, Roberts i Gould wystąpiła z wnioskiem o objęcie dziewczynek nadzorem szkockiego sądu, co praktycznie uniemożliwiłoby im opuszczenie kraju przed ukończeniem osiemnastego roku życia. Posiadłość Andersonów oblegały dzień i noc tabuny fotoreporterów czatujących z aparatami na dzieci. Inna banda fotoreporterów czatowała z aparatami na „upadłą kobietę”, Laurę Anderson, pod wielką rezydencją MacLeanów nad brzegiem Loch Fyne.

Rozprawa, na której miało zapaść postanowienie w kwestii przyznania prawa do opieki nad dziećmi, charakteryzowała się bezwzględnością. Ponieważ sprawa o separację była już w toku, Bill Baldrige przyleciał z Kansas, żeby być w tych trudnych chwilach z Laurą. Oni siedzieli w ławach obrony, a admirał i lady MacLeanowie ze swoimi starymi przyjaciółmi Andersonami.

Laurze, opuszczonej przez przyjaciół i znajomych, mającej przeciwko sobie opinię publiczną, pozostał tylko Bill. Płakała, kiedy Urquhart MacPherson, człowiek, którego od lat znała, przedstawiał ją jako osobę niewiele się różniącą od taniej dziwki, która przynosi hańbę swojej rodzinie, rodzinie Andersonów oraz łamie serca mężowi i dzieciom.

•– I teraz ta... ta... pani... chce zabrać dzieci do jakiegoś szalasu na zapadłym Dzikim Zachodzie. Przypominam, że mowa tu o wnuczkach zasłużonego szkockiego admirała i szanowanych powszechnie szkockich właścicieli ziemskich. W grę wchodzi naturalnie kwestie dziedziczenia, nabytych praw tych dzieci, ale chyba najważniejsza jest kwestia moralności... mam tu na myśli środowisko, do którego pani Anderson zamierza wprowadzić te dwie niewinne córki Szkocji.

–Mów sobie, co chcesz o starym Urquharcie – szepnął Bill – ale przyznać trzeba, że gość ma gadane.

Wystąpienie adwokata Laury opisującego nieudane małżeństwo, podkreślającego szacunek, jakim cieszy się w Kansas rodzina Baldrige'ów, przekonującego sąd, że to właśnie Laurze powinno zostać przyznane prawo do opieki nad dziećmi, a przynajmniej prawo do widzeń w okresie długich szkolnych wakacji, przeszło, jak to było zresztą do przewidzenia, bez echa.

Decyzja przystrojonego w perukę i powłóczystą szkarłatną togę sędziego była jednoznaczna. Jeśli Laura Anderson będzie kontynuowała pozamałżeński związek z mężczyzną wymienio-

nym w pozwie rozwodowym, i rzeczywiście wyjedzie z nim do Stanów Zjednoczonych, to dużo czasu upłynie, zanim znowu zobaczy Mary i Tessę. Prawo do opieki nad dziećmi zostanie przyznane ich ojcu pod warunkiem, że cała rodzina Andersonów, jak również MacLeanów, zobowiąże się do pełnego dożywotniego zaspokajania potrzeb dzieci. Do osiągnięcia pełnoletności dziewczynki będą pozostawać formalnie pod opieką sądu, czyli nie będą mogły opuszczać kraju bez zgody sędziego. Dla Laury był to cios.

Odtrącona przez obie rodziny, wychodziła z sali sądowej, trzymając się kurczowo ramienia komandora porucznika Billa Baldrige'a.

Jeszcze tego samego wieczoru wylecieli do Nowego Jorku i całą noc spędzili na lotnisku Kennedy'ego, czekając na pierwsze połączenie do Kansas City. Stamtąd zabrał ich wysłany przez matkę Billa prywatny samolot, dwusilnikowy beechcraft.

I wydawało się, że w tej sprawie kłamka już zapadła. Aż tu pewnego wrześniowego wieczoru do drzwi frontowych rancza Baldrige'ów ktoś zapukał. Bill otworzył i stanął oko w oko z admirałem sir Iainem MacLeanem.

–Czołem, Bill – powiedział cicho admirał. – Wpadłem z butelką przedniej whisky. Nie zabiorę ci dużo czasu. Kierowca na mnie czeka.

Ta niespodziewana wizyta rozciągnęła się na cztery dni, w czasie których admirałowi udało się oczarować Emily Baldrige. Trzeciego dnia sir Iain zdobył się wreszcie na wyznanie, że przyjechał dręczony wyrzutami sumienia, że na sali sądowej nie kiwnął palcem w obronie ukochanej córki.

–Poza tym – zwrócił się do niej – bardzo lubię twojego... eee... narzeczonego. Jeśli chodzi o ścisłość, to lubię go o wiele bardziej niż młodego Douglasa... i chcę naprawić teraz to, co się między nami popsulo.

Admirał przyjechał z pewną nową poradą prawną – propozycją strategii, która zastosowana wobec połączonych sił rodów Andersonów i MacLeanów nie miałaby szans powodzenia, ale rokowała nadzieje, gdyby sir Iain opowiedział się teraz po stronie Billa i Laury.

Zaproponował im mianowicie złożenie nowego odwołania od decyzji sądu zakazujące dziewczynkom opuszczania Szkocji i przyznającej wyłączne prawo do opieki nad nimi ojcu.

–Bo widzicie, odkryłem, że Douglas ma nową przyjaciółkę,

dziewczynę z bogatą przeszłością, aktorkę z Londynu, która przyjechała do Edynburga ze swoim teatrem na gościnne występy. I wydaje mi się, że to daje nam pewną szansę... Fakt, moja córka odchodzi od męża, by związać się z wysoce cenionym oficerem marynarki Stanów Zjednoczonych, dyplomowanym absolwentem MIT w dziedzinie fizyki jądrowej, człowiekiem, który szczyści się przyjaźnią samego prezydenta. A co na to Douglas? Zadaje się z aktoreczką z londyńskiego Notting Hill Gate. Jeśli mam być szczery, moi drodzy, to wolałbym, żeby moje - wnuczki mieszkały tutaj. I jestem przekonany, że sąd, jeśli nawet tego nie usankcjonuje, to na jakieś ustępstwa na pewno pójdzie.

Od tamtej wizyty upłynęło już kilka tygodni. Ich apelacja rozpatrywana była w tym czasie dwa razy w obecności samych prawników, w tym raz wezwano na świadka admirała. Potem sprawę odroczonego do marca na wniosek Douglasa Andersona, który argumentował, że musi mieć czas na przygotowanie obrony. Ale w opinii sir Iaina wszystko było na dobrej drodze i jeszcze w czerwcu należało się spodziewać cofnięcia orzeczenia sądu pierwszej instancji.

Teraz Laura Anderson czekała na uprawomocnienie się orzeczenia o rozwodzie. Z Billem mieli się pobrać 20 maja i wkrótce koszmar poprzedniego roku będzie już za nimi. Ale wszystko to odcisnęło swoje piętno na ciemnowłosej córce sir Iaina. Wyglądała teraz na swoje trzydzieści pięć lat, straciła na wadze i często popadała w zadumę. Swoje robiło również pogorszenie stosunków z matką.

Bill zdawał sobie sprawę, że musi wywieźć ją w jakieś ciekawe, ciepłe i relaksujące miejsce. Nie miał pewności, czy Ryczące Czterdziestki są tu ideałem – ale lepsze one niż ranczo na zamarzniętych o tej porze roku Wielkich Równinach. I był niezmiernie wdzięczny dowódcy USS „Columbia” za propozycję wyprawy na puste południowe wody.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pierwszego lutego o pierwszym brzasku Boomer Dunning stanął za sterem „Yondera”. Niebo było bezchmurne, wody zatoki Algoa głębokie, błękitne i krystalicznie czyste. Boomer kazał swojemu pierwszemu oficerowi, Rogerowi Millsowi, „postawić żelaznego spinakera”, co w żargonie amerykańskich żeglarzy znaczy „uruchomić silnik”. Młody Anglik nie rozumiał w pierwszej chwili, czego od niego chcą.

Szybko jednak zaskoczył i wdusił przycisk budzący do życia wielkiego perkinsa sabre. Boomer, lawirując wprawnie wśród zacumowanych w przystani jachtów, wyprowadził „Yondera” na otwarte wody wielkiej południowoafrykańskiej zatoki.

Zejściówką ze znajdującej się bezpośrednio pod nim kabiny nawigacyjno-radiowo-radarowej dobiegło wołanie Billa Baldrige'a:

–Idź przez dwadzieścia pięć mil kursem zero-dziewięć-zero, potem kursem jeden-trzy-pięć do

Great Fish Point... będziesz go miał po sterburcie. Z mapy wynika, że stoi tam latarnia morska mrugająca co dziesięć sekund. Minąwszy ją, znajdziemy się na otwartym oceanie i będzie można siadać do lunchu.

Pogodny ton kansaskiego hodowcy bydła obudził w Millsie i jego kolegach, Gavinie Batesie i Jeffie Hewitcie, nadzieję, że ta podróż nie będzie może taka najgorsza – pomimo że od komandora Dunninga usłyszeli na wstępie, że aż do Hobart pod żadnym pozorem nie wolno im tknąć alkoholu.

Wygłosił to ostrzeżenie nie znoszącym sprzeciwu tonem najważniejszego i najpotężniejszego człowieka na pokładzie. Żaden z trzech członków załogi nie ośmielił się zaprotestować, głównie dlatego że zgadzali się z Gavinem Batesem, który scharakteryzował Boomera następująco: „Facet wygląda na takiego, co dałby radę jedną ręką wygarnąć całą naszą trójkę za burte”.

Boomer mówił zwięźle, z nutką pogroźki w głosie:

–Pogoda tu jest bardzo kapryśna. Potrafi się zmienić szybciej, niż myślicie... dajmy na to w niecałe dwadzieścia minut z lekkiej bryzy w wyjąca, porywistą wichurę. W związku z tym uprzedzam, że jeśli zdarzy nam się wpaść nagle w szalejący sztorm, a ja stwierdzę, że któryś z was znajduje się w stanie wskazującym na spożycie, to bez wahania zdzielę go między oczy za narażanie życia nas wszystkich, a w szczególności życia mojej żony i Laury.

Jeśli więc macie parę butelczyn poupychanych pod kojami, to lepiej oddajcie mi je od razu w depozyt. Zwrócę wam wszystkie w Hobart. Jak sam coś znajdę, wyleję zawartość do morza. Ma się rozumieć ani ja, ani komandor porucznik Baldrige przez całą drogę też nie weźmiemy kropli do ust.

Roger, Gavin i Jeff nie obrazili się. Mieli ze sobą pół tuzina butelek rumu i szkockiej i oddali mu je. Żaden z nich nie żeglował dotąd z naprawdę srogim kapitanem i chociaż zanosilo się na to, że nie będą z nim mieli lekkiego życia, wszyscy trzej radzi byli, że płyną pod komendą człowieka, który zna się na rzeczy -co rzadko się zdarza zawodowym załogom prywatnych jachtów, bo ich właściciele są przeważnie niedzielnymi żeglarzami.

–Dobra, chłopaki – zawołał Boomer o 6.30, kiedy przystań mieli już daleko za sobą – stawiamy grot, potem wciągamy spinaker. Mamy lekki północno-zachodni wiatr od lądu... powinien się utrzymać. Jak tylko chwycimy go w żagle, wyłączamy silnik... No, Masta, do roboty.

Gavin Bates nie dał po sobie poznać, czy nowy przydomek przypadł mu do gustu, czy nie. Wziął się ostro do pracy i po chwili „Yonder” pruł już fale pod pełnymi żaglami z szybkością dziewięciu węzłów.

O 7.30 Boomer przekazał ster Rogerowi i usiadł z Billem do śniadania podanego w mesie przez uśmiechniętego promiennie, dwudziestoczteroletniego kucharza Thwaitesa Mastersa z Antigui.

O 11.00 ujrzeli Great Fish Point. Jo i Laura siedziały z Boomerem w kokpicie, popijając kawę, Bill prowadził łódź. Na morzu – w przypadku Boomera i Billa, w jego głębinach -rodzą się dozgonne przyjaźnie, ale nic sympatii między Jo Dunning i przyszlą panią Baldrige zawiązała się podejrzenie szybko. Już po dwóch dniach pobytu na ciepłym południu Laura wyraźnie się ożywiła, przybrała nawet trochę na wadze.

W przeddzień wyjścia w morze do późnej nocy raczyli się lodowato zimnym west peak chardonnay ze słynnej Rustenberg

–Pogoda tu jest bardzo kapryśna. Potrafi się zmienić szybciej, niż myślicie... dajmy na to w niecałe dwadzieścia minut z lekkiej bryzy w wyjąca, porywistą wichurę. W związku z tym uprzedzam, że jeśli zdarzy nam się wpaść nagle w szalejący sztorm, a ja stwierdzę, że któryś z was znajduje się w stanie wskazującym na spożycie, to bez wahania zdzielię go między oczy za narażanie życia nas wszystkich, a w szczególności życia mojej żony i Laury.

Jeśli więc macie parę butelczyn poupychanych pod kojami, to lepiej oddajcie mi je od razu w depozyt. Zwrócę wam wszystkie w Hobart. Jak sam coś znajdę, wyleję zawartość do morza. Ma się rozumieć ani ja, ani komandor porucznik Baldrige przez całą drogę też nie weźmiemy kropli do ust.

Roger, Gavin i Jeff nie obrazili się. Mieli ze sobą pół tuzina butelek rumu i szkockiej i oddali mu je. Żaden z nich nie żeglował dotąd z naprawdę srogim kapitanem i chociaż zanosilo się na to, że nie będą z nim mieli lekkiego życia, wszyscy trzej radzi byli, że płyną pod komendą człowieka, który zna się na rzeczy -co rzadko się zdarza zawodowym załogom prywatnych jachtów, bo ich właściciele są przeważnie niedzielnymi żeglarzami.

–Dobra, chłopaki – zawołał Boomer o 6.30, kiedy przystań mieli już daleko za sobą – stawiamy grot, potem wciągamy spinaker. Mamy lekki północno-zachodni wiatr od lądu... powinien się utrzymać. Jak tylko chwycimy go w żagle, wyłączamy silnik... No, Masta, do roboty.

Gavin Bates nie dał po sobie poznać, czy nowy przydomek przypadł mu do gustu, czy nie. Wziął się ostro do pracy i po chwili „Yonder” pruł już fale pod pełnymi żaglami z szybkością dziewięciu węzłów.

O 7.30 Boomer przekazał ster Rogerowi i usiadł z Billem do śniadania podanego w mesie przez uśmiechniętego promiennie, dwudziestoczteroletniego kucharza Thwaitesa Mastersa z Antigui.

O 11.00 ujrzeli Great Fish Point. Jo i Laura siedziały z Boomerem w kokpicie, popijając kawę, Bill prowadził łódź. Na morzu – w przypadku Boomera i Billa, w jego głębinach -rodzą się dozgonne przyjaźnie, ale nic sympatii między Jo Dunning i przyszlą panią Baldrige zawiązała się podejrzenie szybko. Już po dwóch dniach pobytu na ciepłym południu Laura wyraźnie się ożywiła, przybrała nawet trochę na wadze.

W przeddzień wyjścia w morze do późnej nocy raczyli się lodowato zimnym west peak chardonnay ze słynnej Rustenberg

Estate w dolinie Stellenbosch. Jo dostrzegła w historii romansu Laury i Billa wspaniałą materiał na powieść.

–Ale kiedy po raz pierwszy przyszło ci na myśl, że go kochasz? – zapytała. – Przed czy po tym, jak wspólnie słuchaliście oper?

–Chyba w trakcie – odparła z uśmiechem Laura.

–A ty, Billy?

–Ja wiedziałem to już wcześniej.

–Boże, jak cudownie – westchnęła Jo. – Tak samo było ze mną i z Boomerem. Czy ktoś ma jakieś kompaktki z muzyką operową?

–Ja – powiedziała Laura. – Następnego dnia zabrałam z domu rodziców te płyty z Cyganerią i z Rigoletto, i od tamtego czasu nigdzie się bez nich nie ruszam. Noszę je w torebce.

–Chcesz przez to powiedzieć, że to te same kompaktki, których słuchaliście wspólnie w Inverary?

–Te same.

–O Boże... ja nie wytrzymam. – Jo jęknęła teatralnie. – Niech ktoś puści tę muzykę, zanim serce mi pęknie.

W tym miejscu Boomer Dunning zachłysnął się południowoafrykańskim chardonnay ze słynnej Rustenberg Estate, bo błazenada żony, bardziej przystająca komediantce niż poważnej aktorce, zawsze przyprawiała go o atak niepohamowanego śmiechu. Wsunął jednak płytę kompaktową do kieszeni odtwarzacza i zaraz potem po południowym Oceanie Indyjskim poniósł się boski głos Mirelli Freni. Nawet Boomer, u którego gust muzyczny przestał się rozwijać z chwilą, kiedy usłyszał Boba Dylana, a potem Erica Claptona w akcji, siedział oczarowany płynącą z głośników arią.

–Szkoda, że nie rozumiem słów – mruknął w pewnej chwili.

–Ona siedzi w zimnej, nie ogrzewanej mansardzie w Paryżu, ma suchoty i śpiewa, że marznie jej malutka dłoń – wyjaśnił Bill.

–Przekonasz się na własnej skórze, jakie to uczucie, kiedy zapuścimy się trochę dalej na południe. – Boomer się roześmiał. – Będziesz tam śpiewał, że marznie ci malutki tyłeczek.

Rubaszna uwaga Boomera sprawiła, że czar prysł, ale ciekawości Jo Dunning daleko było

jeszcze do zaspokojenia. Przez całą następną godzinę wypytywała Laurę o szczegóły słodko-gorzkiej historii jej romansu z Billem, o walkę o dzieci, o wojnę z prawnikami męża, o publiczne upokorzenie w Szkocji, które prawdopodobnie popchnęłoby ją do samobójstwa, gdyby nie Bill.

–Trzeba zacząć od tego, że gdyby nie Bill, to nic z tego by się nie wydarzyło – zauważył Soomer. – Nie zmienia to jednak faktu, że facet wykazał się cechami, o które nigdy go nie podejrzewaliśmy: zrównoważeniem, odpowiedzialnością, zdecydowaniem, lojalnością...

–Zejdiesz ty ze mnie? – krzyknął ze śmiechem Bill.

Jo mu zawtórowała:

–Właśnie, zamknij się, Boomer. Bill przechodzi przez straszny okres.

–Jako kapitan statku chcę ogłosić wszem wobec, że na mocy przysługującego mi prawa gotów jestem udzielić im ślubu -powiedział uroczyście komandor Dunning. – Choćby w tej chwili. Poważnie.

–Jezu, wierzyć mi się nie chce – parsknął Bill. – Płynę na koniec świata z szyprem poganinem. Laura jest jeszcze mężatką.

–Cóż – odparł formalnie Boomer, stając na baczność i unosząc kieliszek – w takim razie zmuszony jestem stwierdzić, że postrzegasz Dziesięcioro Przykazań... eee... oportunistycznie.

–Nie zwracaj na niego uwagi, Bill – wtrąciła Jo. – Jest pijany władzą.

–I prawdopodobnie bardziej pijany przez najbliższe cztery tygodnie nikt tu nie będzie – dorzucił Boomer. – Strzelę więc sobie, póki można, jeszcze jeden kieliszeczek tego smacznego winka. Wypływamy wcześniej rano...

Ale to wszystko działo się poprzedniego wieczoru. Teraz wiatr wydymał żagle, słońce stało wysoko nad masztem, a temperatura powietrza, choć nie odczuwało się tego w chłodnej bryzie, dochodziła do trzydziestu pięciu stopni Celsjusza.

Thwaites podał lunch w mesie o pierwszej po południu i dostał brawa za wspaniale przyrządzone hiszpańskie omlety z frytkami i sałatką. Załoga jadła kanapki z szynką w kokpicie, gdzie za sterem stał Roger Mills. Płynęli wyznaczonym przez Billa Baldrige'a kursem południowo-wschodnim jeden-trzy-pięć, a ponieważ wzmógł się wiatr, szybkość wzrosła do dwunastu węzłów. Byli już daleko na południe od Port Elizabeth, ale jeszcze nie na tyle, by znaleźć się w strefie silnych wiatrów zachodnich.

O czwartej po południu zobaczyli pierwszego wieloryba. Wynurzył się niecałe dziesięć metrów od prawej burty, by wypuścić powietrze, miał ponad piętnaście metrów długości i ma-

sywną kwadratową głowę, z której pod kątem czterdziestu pięciu stopni tryskała fontanną struga oleistej wody.

–Kaszalot – orzekł Boomer. – Spory samiec migrujący z Antarktyki na północ.

–Skąd to, u licha, wiesz? – zdziwił się Bill.

–Z kształtu głowy widać od razu, że to kaszalot – nie można go pomylić z żadnym innym tak dużym wielorybem. A do tego strzyka wodą pod kątem, przed siebie. Poza tym wiadomo, że migrują tylko samce kaszalotów. Samice nie opuszczają tropików. Ten gość obżerał się przez całe lato w Antarktyce, a teraz wraca do domu. Znam się na wielorybach tak jak ty na krowach... paru moich znajomych z Cape pływa na łodzi do obserwacji wielorybów.

Olbrzymi wieloryb sunął równo z łodzią w niewielkiej odległości od burty, jakby dla towarzystwa. Stanowił demonstrację potęgi i majestatu. Było też coś ujmującego w tym łagodnym olbrzymie. Bill i kobiety wpatrywali się w niego jak zahipnotyzowani.

–Jezus, Maria – mruknął Bill. – Potraficie sobie wyobrazić dwóch facetów z harpunami, wiosłujących za nim w małej łodzi wielorybniczej?.-Potraficie sobie wyobrazić, co musiało się dziać, kiedy harpun dosięgnął celu i taki rozdrażniony skubaniec zaszar-żował?

–Kiedyś upolowanie takiego olbrzyma było nie lada wyczynem – burknął Boomer. – Dzisiaj ci japońscy rzeźnicy nie dają mu żadnych szans – ustrzelą ze statku, zanim zdąży zanurkować. Faceci z dawnych statków wielorybniczych sporo ryzykowali -taki duży kaszalot potrafi zanurzyć się na dwa tysiące metrów i pozostawać na tej głębokości przez dobre pięć kwadranów.

Jakby na potwierdzenie jego słów, wieloryb wybił się majestatycznym łukiem w powietrze, wydał z siebie głębokie, przeciągłe westchnienie – SAAAAARRH – i znikł im z oczu; jego masywna płetwa ogonowa wzniosła się dziesięć metrów ponad powierzchnię i zsunęła pod wodę, nie wywołując na niej ani jednej zmarszczki. Ocean dziwnie opustoszał.

Długo przeczesywali wzrokiem wodę i dziesięć minut później zobaczyli go znowu, jak wypływa dla zaczerpnięcia powietrza. Jeszcze cztery razy wynurzał się, tryskając fontanną wody, zanim znikł ostatecznie na horyzoncie, kierując się na północ – jeden z ostatnich przedstawicieli zagrożonego gatunku, jedno z największych stworzeń na tej planecie, które niemal zostało wytrzebione przez ludzi.

–Kiedyś, na Atlantyku, miałem wielką ochotę posłać torpedą na dno jeden z tych wałęsających się tam, japońskich statków wielorybicznych – powiedział Boomer. – Dla mnie są to statki śmierci... tłuką wieloryby bez żadnego racjonalnego powodu, z samej tylko żądzy zabijania. Ale w końcu się opamiętałem. Ładnie by wyglądała taka plama w moich aktach, prawda?

–O, nadzwyczaj – przyznał Bill. – Ale chyba dałoby się ją jakoś zatuszować. Podciągnąć pod czarną operację.

Jednak Boomer wyraźnie nie był w nastroju do żartów.

–Mam nadzieję, że tego poczwierca nie dostaną – mruknął.

Zmieniając się przy sterze, płynęli tym samym kursem przez

cały wieczór. O 1.00 po północy wachtę objął Roger, a o 4.00 nad ranem zmienił go Jeff.

–Budźcie mnie natychmiast, gdyby wiatr się wzmógł -brzmiała ostatnia instrukcja Boomera.

Nazajutrz o ósmej rano byli już dwieście osiemdziesiąt mil od Port Elizabeth i szli dalej kursem południowo-wschodnim. Głębszy tutaj ocean falował leniwie, pogoda pozostawała w zasadzie bez zmian, tyle że wiatr wykręcił i wiał teraz z zachodu z szybkością dochodzącą do dwudziestu węzłów.

Boomer kazał postawić drugi spinaker, żeby to wykorzystać, ale parę minut po dziewiątej ciśnienie zaczęło spadać. Według Billa zwiastowało to całą serię niżów barycznych, w wyniku których wiatr mógł się znowu zmienić na północno-zachodni, a nawet przejść w gwałtowny szkwał. Nie mylił się. Wkrótce niebo zaczęło się zaciągać chmurami.

Zastąpili spinaker kliwrem i Boomer kazał uszczelnić wszystkie pokrywy luków. Bill Baldrige wyszedł na górę w ubraniu sztormowym i poprosił o zejście pod pokład wszystkich, z wyjątkiem Rogera i Jeffa, którzy mieli zrefować grot. Gavin jeszcze spał.

–Bądźcie gotowi do opuszczenia grota, gdyby prędkość wiatru przekroczył trzydzieści pięć węzłów – powiedział Bill.

Byli przygotowani na wszystko, tylko nie na szybkość, z jaką zmieniła się pogoda. Z północnego zachodu nadleciał z wyciem wicher osiągający w porywach czterdzieści węzłów i niosący ze sobą deszcz. „Yonder”, przyśpieszając gwałtownie do czternastu węzłów, pomknął przed siebie po silnie rozkołysanym oceanie. Fale nie były jeszcze wysokie, ich grzbiety nie wykazywały tendencji do załamывania, a więc nie stwarzały większego zagro-

zenia. Bill, stojąc samotnie za sterem najwyższej klasy jachtu żaglowego, który w jego opinii potrafi przetrwać niemal wszystko, rozkoszował się ślizgiem po tych górach wody.

Zgodnie z jego oczekiwaniami szkwał ustał tak samo szybko, jak się zerwał. Wkrótce potem niebo się przetaiło, a wiatr zmienił z powrotem na zachodni. Ocean się uspokajał. Zerkając przez lewe ramię, Bill ujrzał nowe zwały chmur formujące się na północnym zachodzie. Oceniał, że nadciągną za jakieś dwie godziny. Ale ogólnie rzecz biorąc, ten pierwszy poważny szkwał nie był taki znowu straszny. Szybkość wiejącego w rufę wiatru nie przekraczała teraz piętnastu węzłów, kazał więc wciągnąć z powrotem spinaker. Chociaż słońce stało wysoko, wyraźnie się ochłodziło. Temperatura spadła do dwudziestu stopni Celsjusza.

Na pokład wyszli Boomer z Laurą. Jo spała. Bill przekazał ster Boomerowi, zdjął kurtkę i oznajmił, że schodzi pod pokład trochę poczytać.

Był nałogowym czytelnikiem gazet i czasopism i na lotnisku Kennedy'ego zaopatrzył się w cały ich stos, między innymi w lokalną gazetę kansaską „Garden City Telegram”, „New York Times”, „Washington Post”, „Time Magazine”, „Sports Illustrated” i kilka wychodzących na środkowym zachodzie gazet farmerskich. Ale jego uwagę przykuł artykuł zamieszczony w „Washington Post”.

Choć był długi, przeczytał go uważnie, a potem zawołał do Boomera:

–Hej, czytałeś coś ostatnio o tym statku badawczym „Cutty-hunk”, który zaginął jakiś rok temu w Antarktyce?

–Ostatnio nie, ale znam sprawę. Znalazłeś coś nowego?

–Żadnych rewelacji, tylko niezły artykuł w „Poście”. Facet uważa, że statek wciąż gdzieś tam pływa.

–Tak, czytałem przed paroma miesiącami coś na ten temat. Autor nazywał się Goodyear czy jakoś tak.

–Pomyliło ci się z oponami. Gość nazywa się Goodwin.

–O, właśnie. Goodwin. Napisał całą serię artykułów o „Cut-tyhunku”. Czytałem wszystkie. Argumentuje w nich, że gdyby statek naprawdę poszedł na dno na swojej ostatniej znanej pozycji, czyli w jakiejś antarktycznej zatoczce, to na powierzchnię wypłynęłoby coś więcej niż sam kawałek pasa ratunkowego.

–Zgadza się. Nadal tak twierdzi. Pisze też, że gdyby statek naprawdę został zaatakowany, to należałoby to uznać za masowe morderstwo, bo jak dotąd nie natrafiono na ślad ani jednego

rozbitka, a jest nie do pomyślenia, żeby we współczesnym świecie nikt niczego nie znalazł. Kamień w wodę. Facet uważa, że za tym kryje się jakaś grubsza afera.

–To samo pomyślałem, kiedy o tym ostatnio czytałem. Ale admirał Morgan jest odmiennego zdania. Uważa, że statek zatonął ze wszystkimi na pokładzie. Tak czy inaczej odłóż dla mnie tę gazetę, dobrze, Bill? Chętnie to przeczytam.

–Zrobię więcej. Przyniosę ci ją teraz, potrzymam ster, a ty sobie poczytasz. To naprawdę tajemnicza historia.

Bill wrócił do kokpitu z „Washington Post”. Lektura długiego artykułu zajęła Boomerowi piętnaście minut.

–Tak – mruknął, skończywszy. – To na pewno ten sam facet. Pracuje w „Cape Cod Times”. Jak sobie przypominam, wybrał się osobiście na Wyspę Kerguelena.

–Od razu widać, że wie, o czym pisze. I ma rację. W dzisiejszych czasach nie tak łatwo sprzątnąć w całkowitej tajemnicy dwadzieścia dziewięć osób, tak żeby wszelki słuch o nich i statku, na którym płynęli, zaginął. Zwłaszcza że wiadomo dokładnie, kim wszyscy byli i gdzie to się stało.

–Właśnie, a do tego sygnalizowali, że są atakowani przez Japończyków, którzy jednak stanowczo zaprzeczają, jakoby mieli z tym coś wspólnego.

–Idą w zaparte jak ci ich przekłęci wielorybnicy – wyburczał Boomer.

–Z jego opisu wynika, że to jakaś zakazana wyspa, nie sądzisz? – powiedział Bill.

–Bo tak jest. To cholerny wygwizdów na samym końcu świata.

–Może to i koniec świata dla faceta z Hyannis, ale nie dla nas. Będziemy przepływali w odległości dwustu mil od niej.

–A może – odezwała się Laura, która do tej pory słuchała w milczeniu – wpadniemy tam, odnajdziemy statek, uratujemy ludzi i wrócimy do domu w glorii chwały? Jo mogłaby wystąpić w programie „Today” i opowiedzieć wdzięcznemu narodowi o dwóch dzielnych oficerach marynarki wojennej, z którymi żeglowała.

Boomer zachichotał.

–A wiesz – powiedział – że chętnie obejrzałbym sobie te Kergueleny. Jak stoimy z czasem, Bill?

–Dokładnie ci nie powiem. Ale skoczę zaraz na dół, sprawdzę na mapie, a potem wrócę tu z kawą i z Przewodnikiem po Antarktyce, i razem przestudujemy problem.

–Dziękuję, Lauro – powiedziała za śmiechem Jo, wynurzając się spod pokładu. – Namówiłaś właśnie tych dwóch postrzelenców na małą wycieczkę do najbardziej nagiej, odizolowanej i najmroź-niejszej wyspy na półkuli południowej – tam nie ma nic, prócz pingwinów. Czytałam ten artykuł o Wyspie Kerguelena w „Cape Cod Times”. I jedno wryło mi się w pamięć: codziennie wieją tam huraganowe wiatry. Autor pisał, że nadlatują z południowego zachodu, przedzierają się przez góry i z rykiem wpadają we fiordy.

–Tak, ale my prawdopodobnie nie będziemy wpływali do żadnego fiordu – powiedział Boomer.
– Może nawet nie podejździemy do brzegu, jeśli pogoda będzie zła, i schronimy się tylko po zawietrznej.

Wrócił Bill z kawą i biblią nawigatora po morzach południowych.

–To dwa tysiące mil stąd – oznajmił. – Przy szybkości, jaką teraz rozwijamy, będziemy tam za najdalej osiem dni. Nie nadłożymy zbytnio drogi. W tej chwili kierujemy się na południowy cypel Tasmanii leżący na 43 stopniu i 30 minucie szerokości południowej, i płyniemy Kołem Wielkim, czyli najkrótszą trasą. Północny cypel Wyspy Kerguelena leży na 48 stopniu i 51 minucie szerokości południowej... to około dwustu mil na południe od naszej trasy. Jeśli teraz zmienimy kurs o kilka stopni, prawie tego nie zauważymy. A może być ciekawie.

–Dobra – zdecydował Boomer – załatwmy to w sposób demokratyczny. Czy ktoś jest przeciwny temu pomysłowi?

–Owszem, ja – powiedziała Jo. – Ale widzę, że jestem w mniejszości. Zmieniaj kurs, kapitanie i szukajmy tego „Cutty-hunka”.

Unieśli kubki z kawą i Boomer demonstracyjnie zmienił kurs o dwa stopnie. Laura przysunęła się do Billa studiującego w kącie kokpitu Przewodnik.

Przez jakiś czas żeglowali w milczeniu. Przerwał je komandor porucznik Baldrige.

–Wierzyć się nie chce – mruknął, podnosząc wzrok znad książki. – Posłuchajcie tylko: idąc dalej tym kursem, miniemy najpierw Wyspy Księcia Edwarda, które są na tyle duże, że w Przewodniku poświęcono im dwie strony. Potem miniemy Wyspy Crozeta, dwie spore grupy wysepek leżące na 46 stopniu szerokości południowej i oddalone od siebie o pięćdziesiąt mil -im poświęcono trzy strony.

Kergueleny to ponad trzysta wysp i niezliczona liczba zatoczek i fiordów. W przewodniku wymieniono wszystkie punkty orientacyjne, zagrożenia, zatoki, potencjalne kotwicowiska -i zajmuje to bite dziewiętnaście stron, z czego piętnaście to nazwy i opisy najważniejszych miejsc. Wyobrażacie sobie szukanie tam zatopionego statku? To by zajęło z tysiąc lat.

–Tak – mrukną! Boomer. – Chyba tak. Tyle że ja wolałbym nie podchodzić naszym jachtem zbyt blisko. Po pierwsze, nie należy do nas i gdybyśmy się nadziali na jakąś skałę czy coś podobnego, to zarobiłbym w aktach płamę porównywalną z zatopieniem japońskiego wielorybnika. Przede wszystkim jednak nie robiłbym tego dlatego, że są to najwyraźniej bardzo odizolowane, niebezpieczne wody. Jest tam w ogóle jakiś ruch, Bill? Jakież bazy wojskowe w okolicy?

–Nie widzę żadnych szlaków żeglugowych. Nikomu nie jest tam po' drodze. Chyba że jakimś specjalście od dokarmiania pingwinów czy komuś takiemu. Nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby się tam zapuszczać, nie licząc naukowców, takich jak ci z Woods Hole.

Bazy wojskowe? Jezu, tam nie ma do kogo strzelać! To chyba nie zamieszkane wyspy. Co armia by tam robiła? Poza tym nie ma miejsca nadającego się na lądowisko dla samolotów. Może tam co najwyżej dobić okręt wojenny, ale zdziwiłbym się bardzo, gdyby w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat jakiś się na te wody zabłąkał.

W przewodniku piszą, że w ubiegłym wieku znajdowała się tam duża baza wielorybnicza, ale Ahab i jego harpunnik Quee-queg dawno się stamtąd wynieśli. Co do wojska, to podczas drugiej wojny światowej miały tam swoją bazę wypadową trzy niemieckie okręty wojenne, rajdery „Pinguin”, „Atlantis” i „Komet”. Brytyjczycy wypłoszyli je, a potem zaminowali okolicę na wypadek, gdyby wróciły. Przewodnik ostrzega przed minami, ale nie przed pływającymi. Wszystkie zostały odcięte i zdetonowane, chociaż hydrografowie są zdania, że parę turla się jeszcze po dnie.

–No to sprawa jasna – orzekł Boomer. – Trzymamy się z dala od brzegu. Nie lubię głośnych huków. Zaraz! Nie sądzisz, że właśnie to mogło się przytrafić „Cuttyhunkowi”?

–Wykluczone. Tu wierzę Goodwinowi. On twierdzi, że statek musiał zostać zaatakowany, bo załoga nie zrobiła sobie raczej głupiego kawału, nadając taką informację przez satelitę. Zresztą, gdyby wpadli na minę, wszędzie tam pływałyby pełno szczątków.

–Racja. Takie draństwo potrafi rozerwać statek na kawałki.

Kergueleny to ponad trzysta wysp i niezliczona liczba zatoczek i fiordów. W przewodniku wymieniono wszystkie punkty orientacyjne, zagrożenia, zatoki, potencjalne kotwicowiska -i zajmuje to bite dziewiętnaście stron, z czego piętnaście to nazwy i opisy najważniejszych miejsc. Wyobrażacie sobie szukanie tam zatopionego statku? To by zajęło z tysiąc lat.

–Tak – mruknął Boomer. – Chyba tak. Tyle że ja wolałbym nie podchodzić naszym jachtem zbyt blisko. Po pierwsze, nie należy do nas i gdybyśmy się nadziali na jakąś skałę czy coś podobnego, to zarobiłbym w aktach płamę porównywalną z zatopieniem japońskiego wielorybnika. Przede wszystkim jednak nie robiłbym tego dlatego, że są to najwyraźniej bardzo odizolowane, niebezpieczne wody. Jest tam w ogóle jakiś ruch, Bill? Jakież bazy wojskowe w okolicy?

–Nie widzę żadnych szlaków żeglugowych. Nikomu nie jest tam po' drodze. Chyba że jakiemuś specjaliście od dokarmiania pingwinów czy komuś takiemu. Nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby się tam zapuszczać, nie licząc naukowców, takich jak ci z Woods Hole.

Bazy wojskowe? Jezu, tam nie ma do kogo strzelać! To chyba nie zamieszkane wyspy. Co armia by tam robiła? Poza tym nie ma miejsca nadającego się na lądowisko dla samolotów. Może tam co najwyżej dobić okręt wojenny, ale zdziwiłbym się bardzo, gdyby w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat jakiś się na te wody zabłąkał.

W przewodniku piszą, że w ubiegłym wieku znajdowała się tam duża baza wielorybnicza, ale Ahab i jego harpunnik Quee-queg dawno się stamtąd wynieśli. Co do wojska, to podczas drugiej wojny światowej miały tam swoją bazę wypadową trzy niemieckie okręty wojenne, rajdery „Pinguin”, „Atlantis” i „Komet”. Brytyjczycy wypłoszyli je, a potem zaminowali okolicę na wypadek, gdyby wróciły. Przewodnik ostrzega przed minami, ale nie przed pływającymi. Wszystkie zostały odcięte i zdetonowane, chociaż hydrografowie są zdania, że parę turla się jeszcze po dnie.

–No to sprawa jasna – orzekł Boomer. – Trzymamy się z dala od brzegu. Nie lubię głośnych huków. Zaraz! Nie sądzisz, że właśnie to mogło się przytrafić „Cuttyhunkowi”?

–Wykluczone. Tu wierzę Goodwinowi. On twierdzi, że statek musiał zostać zaatakowany, bo załoga nie zrobiła sobie raczej głupiego kawału, nadając taką informację przez satelitę. Zresztą, gdyby wpadli na minę, wszędzie tam pływałyby pełno szczątków.

–Racja. Takie draństwo potrafi rozerwać statek na kawałki.

–*.

\

Kiedy w młodości pływałem na fregacie, w pewnej zatoczce na Azorach znaleźliśmy cztery miny unoszące się tuż pod powierzchnią. Royal Navy przysłała dwa trałowce. Odcięli je z minlin i urządziliśmy sobie zawody, kto pierwszy trafi z karabinu w czop i detonuje którąś. Trafiłem jedną z odległości stu metrów i do dziś pamiętam te kaskady wody, które zalały okręt po wybuchu.

–Tak, do brzegu rzeczywiście lepiej się nie zbliżać – przyznał Bill. – Ja też nie lubię głośnych huków.

–Cóż – odezwała się Jo – skoro obaj boicie się podwodnych wybuchów, to my z Laurą będziemy się chyba musiały zadowolić długim podziwianiem romantycznych widoków z pełnego morza. Puścimy na cały regulator płytę kompaktową i ogłuszymy króla pingwinów Pavarottim.

–Nie liczcie na zbyt wiele – uprzedził ją Boomer. – Nie wiadomo, czy w ogóle coś zobaczymy. Może tylko tumany mgły, chmury sunące tuż nad wodą, a kto wie, czy nawet nie śnieg. Dobrze, że zabraliśmy ciepłe ubrania. Temperatura może bardzo szybko spaść poniżej zera.

–A góry lodowe? – spytała Laura.

–Będziemy wciąż daleko na północ od antarktycznej konwergencji – odparł Bill. – Góry lodowe o tej porze roku tam nie docierają. Zdziwiłbym się, gdybyśmy na taką natrafili. Co innego w czerwcu.

Tymczasem pogoda znowu się psuła. Boomer kazał ściągnąć spinaker i kiedy wkładał ubranie sztormowe, wiatr od północnego zachodu przybrał gwałtownie na sile. Boomer krzyknął do Rogera i jego chłopaków, żeby ściągnęli grot i zastąpili go gaflem, ale zaczekali z jego podniesieniem na silniejszy wiatr.

–Na razie uszczelnijcie wszystkie pokrywy włazów i przygotujcie dwa hole na długich linkach. W razie czego wyrzucimy je za rufę; ustabilizują jacht i trochę go przyhamują. Wszyscy pozostający na górze niech włożą pełną uprząż i przypną się! Reszta pod pokład i zamknąć za sobą właz. Nie ma sensu, żebyście tu mokli. Dam sobie radę.

Poprosił tylko Rogera Millsa o pozostanie, na wypadek gdyby pogoda jeszcze bardziej się popsuła. Czuł, że nadciąga silny wiatr i coś mu mówiło, że ten szkwał będzie gorszy od porannego. Intuicja go nie myliła. Runął na nich huraganowy wiatr z deszczem, wypiętrzając morze w dziesięciometrowe fale. „Yonder” sunął między nimi dosyć gładko, ale Boomer nie wciągał wciąż

i

gafla, bo wicher dmący im w rufę i tak osiągał w porywach czterdzieści węzłów.

Utrzymał kurs południowo-wschodni, Roger Mills stał obok niego. Po czterdziestu pięciu minutach zobaczył za rufą wielką, załamującą się falę z białą grzywą na szczycie.

Wiatr wciąż przybierał na sile i wkrótce osiągnął prędkość pięćdziesięciu węzłów. Ale „Yonder” dobrze sobie radził z wysoką falą. Zapadał już zmierzch, kiedy Boomer wyczuł, że wiatr zmienia kierunek.

W tym momencie na pokład wyszedł Bill Baldrige w ubraniu sztormowym.

–Niedobrze – powiedział do Boomera. – Wiatr zmienia się na południowo-zachodni. Czuję... a według moich pomocy nawigacyjnych oznacza to, że przybierze na sile, stanie się chłodniejszy i zakotłuje trochę morzem.

–Wiem. To samo sobie właśnie pomyślałem. "Pod pokładem wszystko w porządku?"

–Tak. Jo i Laura czytają. Jak dotąd żadna się nie pochorowała. Laura twierdzi, że nigdy nie miała choroby morskiej. Może i nie, ale dotąd żeglowała tylko po szkockich jeziorach.

Boomer roześmiał się.

–Dobra, Bill, przejmij ster, a ja zejść na dół. Roger z Gavi-nem zjedzą wcześniej i odpoczną trochę. Zaraz przyślę ci tu do pomocy Jeffa. Około ósmej oddaj mu ster i zjedź na kolację. Chłopaki obejmą wachtę około północy... No, chyba żeby się pogorszyło; wtedy wrócimy tu po kolacji.

Przez całą noc wiatr to się wzmacniał, to słabł, zmieniając dwa razy kierunek na północno-zachodni i przynosząc deszcz. Ale za każdym razem z powrotem przechodził w chłodny południowo-zachodni. Boomer z Billem zaglądali co jakiś czas do kokpitu i kiedy szybkość wiatru niebezpiecznie wzrosła, zastanawiali się nawet, czy nie ściągnąć wszystkich żagli. Ale Boomer orzekł, że duży, nowoczesny „Yonder” sprawuje się tak dobrze, że nie jest to konieczne. Posługując się odbiornikiem GPS, Boomer obliczył, że w ciągu szesnastu godzin, od 4.00 po południu do 8.00 rano, przebyli dwieście mil.

–Ile czasu zajmie nam dopłynięcie do Wysp Kerguelena? – spytała Jo.

–W tym tempie będziemy tam jeszcze przed lunchem. – Boomer zachichotał. – Jesteśmy na morzu dopiero dwa dni, a mamy

–

już za sobą prawie pięćset mil. Nieźle. Ale wątpię, żeby ten wiatr się utrzymał. Już słabnie. I zmienia się na zachodni. Ale chyba nikt nie ma nic przeciwko spędzeniu spokojnego dnia, który nam się zapowiada. Bill szacuje, że jutro po południu znajdziemy się w strefie Ryczących Czterdziestek, korzystajmy więc z tej chwili wytchnienia – lato jest tu bardzo zmienne. Pogoda nigdy się nie stabilizuje, ale przynajmniej nigdy nie psuje się dłużej niż na dwa dni.

I żeglowali tak przez kapryśny południowy ocean w zmieniających się zachodnich wiatrach, które to narastały do huraganu, to słabły do łagodnej bryzy. Słońce na przemian wychodziło i kryło się za chmurami, ale w sumie podróż przebiegała bez większych zakłóceń. Ósmego lutego niebo było bezchmurne. Po lunchu Bill oznajmił:

–Sądzę, że jutro o świcie zobaczymy Wyspę Kerguelena. W tej chwili dzieli nas od niej sto pięćdziesiąt mil, mamy stały, zachodni wiatr i rozwijamy dziesięć węzłów. Według GPS jesteśmy na 66,50 stopnia długości wschodniej i załamanie pogody raczej nam nie grozi, chociaż tutaj nigdy nic nie wiadomo.

–Dziś wieczorem ster przejmują chłopcy, możemy więc zaryzykować szklaneczkę tego dobrego południowoafrykańskiego char-donnay – powiedział Boomer. – Chłopakom też pozwolimy się napić. Zasłużyliśmy sobie wszyscy. Odwaliliśmy kawał dobrej żeglarskiej roboty. Mam nadzieję, że wam się podobało – bo mnie tak. Potrzebne mi to było, żeby oderwać się myślami od tego i owego.

–Mnie też – podchwyciła Laura. – Byliście wszyscy wspaniali. Po raz pierwszy od miesiący czuję się naprawdę dobrze. Nie mogę się już dóczeekać, kiedy zobaczę tę przeklętą wyspę, o której od tygodnia rozmawiamy.

–Wkrótce ją zobaczysz – obiecał jej Boomer, odkorkowując butelkę. – No, podstawiajcie szkło. – Rozlał wino do czterech kubków tak szcudrze, że na dnie nic nie zostało. Sięgnął do lodówki i otworzył drugą butelkę. – To na mało prawdopodobny wypadek, gdyby ktoś prosił o dolewkę. – Zachichotał. – A swoją drogą – dodał – kiedy już twój rozwód stanie się faktem, nadal jestem gotów połączyć ciebie i Billa węzłem małżeńskim, chociaż zaczynam dochodzić do wniosku, że on nie jest ciebie wart.

Bill pokręcił z uśmiechem głową.

–Przyjdziecie 20 maja na ślub? – spytał. – Odbędzie się w Kansas, bo w Szkocji nie jesteśmy z Laurą mile widziani. Jej matka z nami nie rozmawia, a klan Andersonów najchętniej wtrąciłby nas na resztę życia do jakiegoś lochu.

–Jasne, że przyjedziemy. A co z twoim tatą, Lauro? Będzie na ślubie?

–Obiecał, że będzie – rzekł Bill. – I mam nadzieję, że dotrzyma słowa. Zapewniam cię, Boomer, że będziesz nim zachwycony. To bez wątpienia najbardziej doświadczony podwodniak, jakiego znam. Nawet prezydent pytał mnie przed kilkoma tygodniami, czy sir Iain przyjeżdża. Dobrze mu się gawędzi z admirałem. Powiedział, że sam też się zjawi, bo gdyby nie on, Laura i ja nigdy byśmy się nie spotkali – i to prawda!

I tak nadeszła noc. Dopili kawę i rozeszli się do swoich kabin. W krystalicznie czystym powietrzu południa żeglarze szybko się męczą i o jedenastej wszyscy nie mający wachty spali już w ciepłych kojach, oddzieleni poszyciem kadłuba jachtu od ciemnego, mroźnego piekła oceanu.

Boomer i Bill obudzili się o szóstej rano, ubrali i kilka minut później byli już na pokładzie. Ku ich rozczarowaniu nad lekko sfalowaną wodą unosiła się gęsta mgła. Roger trzymał wciąż zadany kurs, ale nic nie było widać. Bill odczytał z odbiornika GPS, że znajdują się dwadzieścia dwie mile na wschód-północny wschód od wyspy Rendezvous, wielkiej skały, której Cook nadał nazwę Bligh's Cap.

–Minęliśmy ją przed dwoma godzinami – powiedział Bill. – W tej chwili jesteśmy jakieś dwadzieścia trzy mile na północ od przylądka d'Estaing. To wysunięty najdalej na północ cypel największej z Wysp Kerguelena; Goodwin tam był i twierdzi, że to za nim przed piętnastoma miesiącami szukał schronienia „Cutty-hunk”. Jeśli chcemy rzucić okiem na te okolice, powinniśmy płynąć teraz na południe... miejmy tylko nadzieję, że ta mgła za dwie godziny się podniesie. Wiatr wieje teraz z północnego zachodu. To co, może postawimy z powrotem grotzagiel?

–Słyszałeś, co powiedział – zwrócił się Boomer do Rogera. – Kurs jeden-osiem-zero. Jak tylko wciągniecie grot, przejmę ster, a wy będziecie się mogli przespać.

Dwie godziny później odczytali z GPS, że znajdują się trzy mile na północ od przylądka d'Estaing, ale mgła nadal wisiała w powietrzu i Boomer zaczął podejrzewać, że spowija całą Wyspę Kerguelena. Bez pomocy radaru nie mogli podejść bliżej.

–Zmień kurs na jeden-trzy-zero – poradził Bill. – Nie ma sensu kierować się prosto na przylądek: lepiej wpłynąć do zatoki Choiseul, dzięki temu, jeśli powieje od zachodu albo od południo-

J

wego zachodu i rozpędzi to mleko, będziemy mieli osłonę i zobaczymy wyspę. Jeśli nie znajdziemy „Cuttyhunka” do lunchu, wynosimy się stąd.

–Nasza fregata szukała go bez powodzenia przez trzy miesiące – zauważył Boomer. – Powiedzmy lepiej dziewczynom, żeby nie robiły sobie wielkich nadziei.

O dziesiątej trzydzieści „Yonder” był już o milę od wejścia do Baie Blanche; budził się północno-zachodni wiatr, mgła zaczynała się przerzedzać, prześwitywało przez nią słońce. Ale słupek rtęci wskazywał zaledwie cztery stopnie Celsjusza i na pokładzie było wilgotno i panował przenikliwy ziąb.

Kiedy mgła w końcu się rozwiała, stało się to nagle. Przetarło się w jednej chwili i ujrzeli przed sobą linię brzegową Wysp Kerguelena, od której oddzielał ich dwukilometrowy pas jasnoniebieskiej lodowato zimnej wody. Widok robił niezwykłe wrażenie. Wznoszący się na sto pięćdziesiąt metrów, między Baie Blanche i Baie Londres, masyw Gramont wciąż był przykryty czapą śniegu, milę w lewo piętrzyło się mniejsze wyniesienie wyspy Howe.

–Nie podejźmy tam – powiedział Bill. – Zaplątaliśmy się w wodorostach.

Rysująca się w głębi główna Wyspa Kerguelena prezentowała się nie mniej widowiskowo, przyciągając wzrok swoimi niedostępnymi górami, poszarpaną linią brzegową i pozostałościami zimowego śniegu. Bill wskazał na sterczącą z morza skałę na północ od wyspy Gramont.

–Według mojej mapy, to Skała Coxa – powiedział. – Przy niej właśnie Goodwin znalazł pas ratunkowy z „Cuttyhunka”.

Jo i Laura podziwiała widoki przez lornetki, a tymczasem Boomer kazał opuścić żagle i uruchomić silnik.

–Pokręcimy się tu trochę – oznajmił – a żagle by nam tylko przeszkadzały. Prądy zstępujące muszą tu być silne, ani się człowiek obejrzy, kiedy na niego spadną. Bill, patrz z łaski swojej na mapę i dyktuj mi głębokości. Wolalbyśmy się nie nadziać na podwodną skałę.

–Ja też – odparł Baldridge. – Bez obawy, trzymamy się głębokiej wody. Jeśli zobaczą jakąś skałę w odległości mniejszej niż dwieście metrów, biorę kurs na Hobart.

Laura zeszła pod pokład zaparzyć kawę. Jo chciała posterować.

–Proszę bardzo – powiedział Boomer, ustępując jej miej-

I

sea – tylko nie przyspieszaj i stosuj się do wskazówek Billa, rób dokładnie to, co mówi.

Jo zatoczyła w zatoce wielki, powolny krąg i skierowała jacht na północ.

–Z prawej burty mamy przez cały czas zbity kożuch wodorostów – zameldował Bill. – Trzymaj się blisko lądu, tam woda jest głębsza i czystsza.

Jo, nie odrywając wzroku od wody przed dziobem, wychyliła jednym chaustem kubek kawy. Laura wyczarowała talerzyk posmarowanych masłem tostów. Żuli je we czworo ze smakiem, a tymczasem Gavin z Rogerem zwijali wielki grot. Jeff sortował żagle w forpiku.

O 11.40 Boomer poszedł na dziób, żeby pomóc Jeffowi i dopilnować, by kliwer sztormowy znalazł się na wierzchu stosu. Wszystko działo się tu w przyspieszonym tempie i żagiel mógł być w każdej chwili potrzebny.

O 11.42 Bill Baldrige zobaczył coś niebywałego. Nie wierzył własnym oczom. Dwieście metrów przed nimi, na prawo od dziobu, po gładkiej powierzchni wody sunęła charakterystyczna zmarszczka w kształcie litery V. Nie, niemożliwe... może to płetwa rekina?

–BOOMER! – ryknął Bill ile sił w płucach.

Wypadł za burzę, przemknęło przez myśl kapitanowi „Columbii”. Obejrzał się na kokpit i zobaczył przyjaciela pokazującego na coś palcem i wrzeszczącego: „BOOMER! BOOMER!”.

Komandor Dunning przesunął wzrok w kierunku wskazywanym przez Billa i to, co zobaczył, zapało mu dech w piersiach.

–JEZUS, MARIA! – wykrztusił.

Wpatrywali się w coś, czego nie można było z niczym pomylić, w coś, co z szybkością pięciu węzłów sunęło na południowy zachód.

Spokojne wody zatoki Choiseul ciął peryskop okrętu podwodnego wystający niecały metr ponad powierzchnię.

Po dwudziestu sekundach znikł w głębinach tak samo szybko, jak się z nich wynurzył. Laura i Jo niczego nie zauważyły. No,

ale one nie były przecież podwodniaczkami.

Admirał Arnold Morgan wprost tryskał wybournym humorem.

–Proszę, proszę – szczebiotał. – A więc to jest ta słynna córka admirała MacLeana, która zawładnęła sercem tego gałgana... i półtora roku temu wyświadczyła nam tysiąc nieocenionych przysług.

Laura uśmiechnęła się.

–Tak, to ja, admirale. I chyba winna jestem panu podziękowanie za to, że w wyniku pańskich wyrafinowanych zabiegów poznałam Billa.

–Do usług, szanowna pani – odparł dwornie admirał. – To biuro to tylko przykrywka dla moich słynących na cały kraj usług z zakresu kojarzenia par.

Bill nie wierzył własnym uszom. Arnold Morgan przekomarzający się? Gawędzący z kobietą? Dowcipkujący? Coś takiego! Polityka go uczyłowicza! Prezydent powinien się mieć na bacności. Admirał jakby zatracił swoją wyrazistość.

Ale były Lew z Fort Meade dopiero się rozgrzewał.

–Lauro, nie posiadam się ze szczęścia, że wreszcie cię poznałem. Od lat jestem zagorzałym wielbicielem twojego ojca. A między nami mówiąc, twoje informacje o pewnym izraelskim dowódcy niezmiernie nam pomogły. Zastanawiałem się często, jak możesz wyglądać. Mimo wszystko usidliłaś dwóch wybitnych oficerów marynarki wojennej. Teraz już wiem, że mógłbym polegać na ich ocenie sytuacji... nie tylko w zakresie wojny podwodnej.

Laura roześmiała się.

–Pochlebia mi pan, admirale. Tak naprawdę niczym szczególnym się nie wyróżniam. A przynajmniej nie wyróżniałam się, dopóki nie podesłał nam pan swojego oficera dochodzeniowego; teraz jestem bardzo szczęśliwa.

–On też. – Admirał zachichotał, wskazując ruchem głowy Billa. – I rad jestem niezmiernie, że do mnie wpadliście. Zapraszam na lunch w prywatnej jadalni. Zajrzą tam prezydent i Bob MacPherson, żeby się przywitać. Potem mój kierowca odwiezie was na lotnisko. Nie mogę się już doczekać relacji z waszego rejsu z Boomerem. Musiało być wspaniale.

–Opowiem o tej podróży przy lunchu – obiecał z uśmiechem Bill. – Ale o pewnym, według mnie ważnym incydencie, chciałbym poinformować pana już teraz.

-Doprawdy? Cóż to takiego?

-Zboczyliśmy trochę z trasy, żeby rzucić okiem na tę poło-

żoną na końcu świata Wyspę Kerguelena, przy której zaginął „Cuttyhunk”, wie pan, ten statek badawczy z Woods Hole. Boome-ra bardzo intryguje to zniknięcie.

–Tak. Rozmawiałem z nim na ten temat. Owszem, jest zaintrygowany – jak chyba wszyscy z Cape. Tylko mi nie mów, że go znaleźliście?

Roześmieli się.

–Nie, nie znaleźliśmy. Ale 9 lutego, tuż przed południem, wydarzyło się coś dziwnego.

Admirał kiwnął głową. Podobała mu się ta precyzja wypowiedzi Billa, zdradzająca byłego oficera wywiadu.

–Spojrzałem przed dziób jachtu i przed nami, po prawej, w odległości dwustu metrów zobaczyłem peryskop okrętu podwodnego przesuwający się z szybkością pięciu węzłów na południowy zachód. Bommer też go widział.

Admirał Morgan spojrzał na niego przenikliwie.

–Jesteś tego absolutnie pewien?

–Na sto procent.

–Przecież tam nie mogło być żadnego okrętu podwodnego. Nie miałby tam czego szukać. Tamtędy nawet samoloty nie przelatują. Pod względem wojskowym to w promieniu tysięcy mil pustynia. Nie przebiega tamtędy ani jeden szlak żeglugowy, nie wspominając już o przepływających statkach. Co najwyżej zabłądzi tam czasem paru nawiedzonych naukowców z Woods Hole.

–To był okręt podwodny, admirale – powiedział spokojnie Bill. – Na mur. Pierwszy go zobaczyłem i od początku nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

–Boomer też jest o tym przekonany czy może uległ tylko twojej sugestii?

–Niczego mu nie sugerowałem. Krzyknąłem tylko do niego i pokazałem palcem.

–Co powiedział?

–Najpierw go zatkało, a potem wykrztusił, JEZUS, MARIA”.

–I co dalej?

–Krzyknął: „O, cholera, okręt podwodny!”. Nie było cienia wątpliwości, panie admirale. Niech

mi pan wierzy. Obaj widzieliśmy go wyraźnie.

–Ty też, Lauro?

–Nie. Patrzyłam w inną stronę. Ale słyszałam krzyk Billa i jak Boomer mówi „O, cholera, okręt podwodny”. Tam jest

157

bardzo cicho. Oprócz mnie musiało to słyszeć ze trzy miliardy pingwinów.

Admirał zanotował coś w małym notesie leżącym na biurku. Potem podniósł słuchawkę telefonu i wydał polecenie, które tyle razy już wydawał:

–Połączcie mnie z Fort Meade. Z gabinetem dyrektora. Czekam. Pośpieszcie się... – Cekał chwilę ze słuchawką przy uchu. – Halo... Jest tam gdzieś admirał Morris?... Morgan, Arnold Morgan z tej strony... Czołem, George, jak leci?... Tak, świetnie... Chciałem cię prosić o przeprowadzenie pewnej szczegółowej, ale w zasadzie rutynowej weryfikacji... tak, natychmiast... Sprawdź mi, czy 9 lutego około dwunastej okolice Wyspy Kerguelena na Oceanie Południowym patrolował okręt podwodny jakiegoś państwa... Tak, wiem, że to straszne zadupie, George, i dlatego właśnie mnie to interesuje. Sprawdź każdego. Zrób mi zestawienie wszystkich okrętów podwodnych, które kręciły się wtedy w tamtych okolicach, z sojuszniczymi włącznie, i oddzwon... tak... w tej chwili jestem u siebie, ale gdybym wyszedł, to operator centralki będzie wiedział, gdzie mnie szukać. Dzięki, George.

Admirał odłożył słuchawkę i spojrzał na Billa.

–Komandorze poruczniku – powiedział – chociaż dobrze was znam i ufam wgm, to gdybyście przyszli do mnie z tą informacją sami, nie przedstawiając żadnych dowodów na jej potwierdzenie, nie uwierzyłbym. Dokładnie to samo odnosi się do komandora Dunnin-ga, którego uważam za najlepszego dowódcę okrętu podwodnego w całej marynarce wojennej. Jemu też bym nie uwierzył.

Ale obaj nie moglibyście się przecież pomylić. Tego jestem pewien. Wierzę, że widzieliście tam jakiś okręt podwodny, tylko czego on tam, na miłość boską, szukał? Tam nie ma nic do roboty poza karmieniem pingwinów i liczeniem gór lodowych. A jednak ktoś tam jest, a przynajmniej był, i mam nadzieję, że Fort Meade powie nam wkrótce, kto to taki. A na razie chodźmy coś zjeść.

Przeszli do małej, prywatnej jadalni, gdzie nakryto już elegancko dla trzech osób. Ale zanim na stół wjechało pierwsze danie w postaci wędzonego łososia, zajrzał tam prezydent Stanów Zjednoczonych, żeby przywitać się z Billem. Wszedł bez pukania, z uśmiechem na ustach. j

–Nie wstawajcie... miło cię widzieć, Bill... Jak tam, Arnoldzie, trzymasz wroga w szachu?... A pani jest pewnie tą Laurą,

0 której tyle słyszałem... podziwiam zarówno pani ojca, jak i pani przyszłego męża. Obu uważam za swoich przyjaciół, czego nie mogę powiedzieć o jednym z pani byłych znajomych!

Roześmieli się wszyscy. Prezydent usiadł obok Laury i nalał sobie szklankę wody sodowej. Bill nie pierwszy raz podziwiał swobodny sposób bycia tego człowieka i jego dar rozładowywania atmosfery.

Laura, zamiast spieszyć się obecnością najpotężniejszego człowieka świata, wdała się z nim w pogawędkę o długim rejsie po morzach południowych.

–Sam chętnie bym się wybrał w taką podróż – powiedział prezydent. – Zabrałbym na pokład paru dobrych przyjaciół

1 uciekł na miesiąc od cywilizacji. Bez telefonów, bez faksów, bez spotkań, bez zmartwień. Pięknie by było. Ale to marzenie ściętej głowy... no, muszę wracać do pracy. Szkoda, że nie mogę posiedzieć z wami dłużej, ale na ślubie będę. Dwudziestego maja, tak? Lauro, powiedz tacie, że mam nadzieję go tam spotkać...

Prezydent dopił wodę i wyszedł.

–Co za człowiek – zdziwiła się Laura, kręcąc głową. – Podobają mi się ci Amerykanie.

Trzydzieści minut później, kiedy jedli średnio wysmażony befsztyk, w rogu pomieszczenia zadzwonił telefon.

–To pewnie George – mruknął Arnold Morgan.

Nie mylił się. Telefonowano z Fort Meade.

–Chwileczkę, George, zaczekaj, wezmę tylko coś do pisania.

Rozmowa trwała piętnaście minut. Laura i Bill słyszeli tylko

jej strzępy, w rodzaju: „A Rosjanie?... Chińczycy?... Nie, to raczej wyklucza ważniejszych graczy”.

W końcu admirał Morgan odłożył słuchawkę i z poważną miną wrócił do stołu.

–Szybko się z tym uwinęli – powiedział. – Przejrzeli wszystkie skomputeryzowane wykazy, wszystkie najnowsze zdjęcia satelitarne i wyciągnęli kilka bardzo ciekawych wniosków. Sprawdzone każdy okręt podwodny pływający pod banderą Stanów Zjednoczonych, Rosji i Chin. Tak samo każdą jednostkę ze Środkowego Wschodu, co było łatwe, bo niemal wszystkie stoją w portach z jakimiś defektami technicznymi. Sprawdzone też wszystkie małe floty

europeskie.

Zostały trzy okręty. Od miesiąca nie mamy żadnych informacji o brytyjskim atomowym okręcie podwodnym „Triumph”

klasy Trafalgar, ale jesteśmy niemal pewni, że patroluje wybrzeża Argentyny w rejonie Falklandów. Nie informują nas na razie o jego ruchach, co według wszelkiego prawdopodobieństwa oznacza, że robi coś, czego nie powinien. Jeśli zajdzie taka potrzeba, możemy to szybko potwierdzić, ale od czasu zakończenia wojny o Falklandy Royal Navy często wysyła tam jakiś okręt podwodny, nie zaskakuje nas więc to ani nie wzbudza naszych podejrzeń.

Francuzi mają duży dwunastoipółtysięcznotonowy podwodny nosiciel pocisków strategicznych. Nazywa się „Le Triomphant” i ma numer S616. Jego portem macierzystym jest Brest. Ostatni raz widziano go 30 stycznia, czyli dziesięć dni przed 9 lutego, w Zatoce Biskajskiej. Ale stamtąd do Wysp Kerguelena jest około dwunastu tysięcy mil – nie pokonałby takiej odległości nie tylko w dziesięć, ale i w czternaście dni, nawet płynąc w zanurzeniu z szybkością trzydziestu węzłów. Obie te jednostki wykluczam.

–Została jeszcze jakaś? – spytał Bill.

–Tylko jedna. Aż się wierzyć nie chce. Pozostaje jednak faktem, że od jakiegoś czasu nie mamy żadnych informacji o pewnym okręcie podwodnym tajwańskiej marynarki wojennej. To mała jednostka o napędzie dieslowsko-elektrycznym klasy Hai Lung. Nazywa się „Hai-Hu”, czyli „Tygrys morski”. Hai Lung znaczy po chińsku „Smok morski”. Tak czy inaczej, jest to okręt zbudowany w Holandii i ma już osiemnaście lat. Nie widziano go od półtora miesiąca. Ma zasięg dziesięciu tysięcy mil, mógł więc dopłynąć do Wysp Kerguelena, które od Tajwanu dzieli siedem tysięcy mil. Nie potrafię sobie tylko wyobrazić, czego by tam szukał, jeśli to jego widzieliście z Boomerem.

–Właśnie – mruknął Bill.

–Wiem tylko jedno – ciągnął admirał. – Jeśli ktoś szwenda się po oceanach świata w okręcie podwodnym, o którym ja nic nie wiem, to znaczy, że coś knuje. A ja nie lubię, kiedy knuje się za moimi plecami. A kiedy mnie, jako reprezentantowi tego rządu, coś się nie podoba, ktoś będzie mi musiał udzielić wyjaśnień. Bo jeśli nie, moje zaciekawienie może się przerodzić w irytację.

–A co czuje pan teraz? – spytała Laura.

–Zaciekawienie. I muszę się dowiedzieć, gdzie jest ten tajwański okręt podwodny i kiedy wraca do bazy. Wątpię, czy zdradzą mi miejsce jego pobytu, ale będę ich bacznie obserwował.

O trzeciej lunch dobiegł końca i kierowca z Białego Domu

odwiózł Billa i Laurę na lotnisko, skąd odlatywali do Kansas City. Tam czekała ich przesiadka na samolot lokalnych linii do Wichita, a z Wichita lecieli prywatnym beechcraftem do Burdett. Na lotnisko w Burdett miał po nich wyjechać ciężarówką brat Billa, Ray.

Zaraz po ich wyjściu z Białego Domu Arnold Morgan zadzwonił do CIA, żeby zasięgnąć informacji o datach wychodzenia w morze i powrotów do bazy dwóch tajwańskich, zbudowanych w Holandii okrętów podwodnych klasy Hai Lung. Miał nadzieję, że znajdzie w tym jakąś prawidłowość. Jednostki nosiły widoczne z daleka, wymalowane białą farbą na kioskach numery 793 i 794. Łatwo je było zidentyfikować. Oficer z wydziału dalekowschodniego obiecał, że w ciągu godziny przydzieli kogoś do sprawy.

Słowa dotrzymał. Ale na pierwsze istotne informacje wywiadowcze trzeba było poczekać pięć tygodni. W drugim tygodniu kwietnia pewne fakty zaczęły się zazębiać i układać w pewną całość. Całość trochę tajemniczą, ale spójną.

W morze wychodził zawsze tylko jeden z, Hai Lungów. A kiedy już wyszedł, to wracał dopiero po upływie jedenastu tygodni. Po każdym takim powrocie następował dziesięciodniowy okres, kiedy oba okręty podwodne cumowały obok siebie w porcie, potem w morze, też na jedenaście tygodni, wychodził drugi. Nie było wiadomo, dokąd pływają. Zanurzały się zawsze trzydzieści mil od portu i słuch o nich ginął do czasu powrotu do bazy.

Te małe Hai Lungi podczas długiego rejsu nie mogą rozwijać szybkości większej niż osiem do dziewięciu węzłów, rozumował Arnold Morgan, czyli pokonują od dwustu do dwustu dwudziestu mil dziennie, co daje nam od siedmiu tysięcy do siedmiu i pół tysiąca mil w pięć tygodni. Załóżmy, że podróż w tamtą stronę trwa pięć tygodni, drugie tyle zajmuje podróż powrotna; pozostaje nam tydzień na pobyt na pozycji. Tak, całkiem możliwe, że okrętem podwodnym, który Boomer i Baldrige widzieli u wybrzeży Wyspy Kerguelena był „Hai Hu”. Ale czy to na pewno był on? Ten diesel w ciągu pięciu tygodni mógłby dotrzeć gdziekolwiek.

Admirał podszedł do komputera i uruchomił program z mapą świata. Odmierzył siedem tysięcy mil i zakreślił tym promieniem szeroki łuk wyznaczający granicę strefy, w której mógł się poruszać okręt podwodny.

Wynik był dosyć zniechęcający, głównie z uwagi na wielkość strefy. Hai Lung mógł w ciągu pięciu tygodni dotrzeć niemal wszędzie, od Cieśniny Beringa po Przylądek Dobrej Nadziei –

mijając po drodze wybrzeża Mozambiku, Australii, Nowej Zelandii, Japonii i niemal każdej z wysp południowego Pacyfiku. Mógł dopłynąć do Antarktyki.

–Tak, prawie wszędzie – burknął pod nosem Morgan. – Ale logika mi podpowiada, że jego celem była Wyspa Kerguelena. Bo tam widzieli go moi chłopcy.

Admirał podszedł do telefonu i wybrał numer rancza Bald-ridge'ów. Odebrała służąca.

–Pan Bill i panna Laura są teraz w terenie – poinformowała go. – Wczoraj wieczorem nad zachodnimi granicami rancza przeszła burza i parę sztuk bydła odłączyło się od stada. Pojechali konno zaraz po lunchu. Nie wiem, kiedy wrócą. Wszystko zależy od tego, jak szybko je znajdą.

Admirał uśmiechnął się.

–No nic – powiedział. – Proszę przekazać, że dzwoniłem i że wieczorem spróbuję jeszcze raz.

Połączył się z Billem dopiero o dwudziestej pierwszej. Był to dzień poszukiwań, z jednej strony krów, z drugiej okrętów podwodnych, i Arnold Morgan nadal nie miał stuprocentowej pewności, dokąd pływają Tajwańczycy. Ale poinformował Billa o swoich ustaleniach i zakończył rozmowę słowami:

–Wiem, Bill, że ty, w odróżnieniu ode mnie, byłeś na miejscu osobiście. Czy twoim zdaniem dzieje się tam coś podejrzanego? t

–Cóż, nie mam pewności, czy coś tam się dzieje. Ale wiem na pewno, że mamy do czynienia z dwoma poważnymi tajemnicami: jedna to zaginiony statek badawczy, który został jakoby zaatakowany; druga – tajwański okręt podwodny odbywający podejrzaną rejsy. Może istnieć jakiś związek.

–Historia uczy, że dwa dziwne wydarzenia, do których dochodzi dokładnie w tym samym miejscu, muszą mieć jakiś związek – powiedział admirał. – Posłałbym tam okręt podwodny, gdybym miał chociaż jakiegokolwiek pojęcie, czego szukać. Ale go nie mam i jakoś nie przychodzi mi do głowy żaden pretekst do podejmowania takiej akcji.

Chyba trzeba będzie bardziej zainteresować nasze służby wywiadowcze Tajwanem – instynkt mi podpowiada, że coś tu się kroi. Błędzimy na razie po omacku. A ja potrzebuję światła. Najlepiej laserowego.

M

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Admirał George Morris do żwawych się nie zaliczał. Był to mężczyzna wielki, ociężały, niezgrabny w ruchach, obdarzony jednak wybitnym intelektem. Miał zwyczaj sypiać na wznak, z szeroko rozrzuconymi ramionami, na co mógł sobie pozwolić, gdyż był wdowcem, spał zaś jak zabity; gdyby nie donośne chrapanie, którym zagłuszyłby chyba parowóz nadrabiającego opóźnienie pociągu, można by pomyśleć, że zapadł w przedśmiertny letarg. Nocnych telefonów nie słyszał, w związku z czym ich nie odbierał. Większą wrażliwość na bodźce zewnętrzne przejawiają czasem pogrążone w zimowym śnie grizzly.

I dlatego właśnie na niczym spełzały wysiłki młodego porucznika marynarki wojennej, Johna Harrisona, który pozapalawszy uprzednio wszystkie światła, stał nad ranem 21 kwietnia w sypialni admirała w Fort Meade i próbował go obudzić. Zdesperowany, sięgał już po szklaneczkę zimnej wody, by polać nią czoło dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – co było zatwierdzoną procedurą na wypadek, gdyby zawiodło wszystko inne – kiedy George Morris ocknął się wreszcie.

–Co, do cholery? – wysapał, mrugając powiekami. – Wojna? Ktoś wypowiedział?

–Nie, panie admirale. Ale mamy chyba coś ważnego.

–Rany. Lepiej dla was, żeby to faktycznie było coś ważnego. Która godzina?

–Eeee... trzecia, panie admirale.

–No, o co chodzi, poruczniku? Wyduście z siebie wreszcie, na miłość boską.

–Chodzi o te okręty podwodne Kilo dla Chin.

Admirał Morris był na nogach, zanim porucznik skończył mówić. Przed oczyma stała mu sroga twarz Arnolda Morgana.

–Jezu, człowieku! Czemuś od razu nie powiedział?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Admirał George Morris do żwawych się nie zaliczał. Był to mężczyzna wielki, ociężały, niezgrabny w ruchach, obdarzony jednak wybitnym intelektem. Miał zwyczaj sypiać na wznak, z szeroko rozrzuconymi ramionami, na co mógł sobie pozwolić, gdyż był wdowcem, spał zaś jak zabity; gdyby nie donośne chrapanie, którym zagłuszyłby chyba parowóz nadrabiającego opóźnienie pociągu, można by pomyśleć, że zapadł w przedśmiertny letarg. Nocnych telefonów nie słyszał, w związku z czym ich nie odbierał. Większą wrażliwość na bodźce zewnętrzne przejawiają czasem pogrążone w zimowym śnie grizzly.

f dlatego właśnie na niczym spełzały wysiłki młodego porucznika marynarki wojennej, Johna Harrisona, który pozapalał wszystkie światła, stał nad ranem 21 kwietnia w sypialni admirała w Fort Meade i próbował go obudzić. Zdesperowany, sięgał już po szklaneczkę zimnej wody, by polać nią czoło dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – co było zatwierdzoną procedurą na wypadek, gdyby zawiodło wszystko inne – kiedy George Morris ocknął się wreszcie.

–Co, do cholery? – wysapał, mrugając powiekami. – Wojna? Ktoś wypowiedział?

–Nie, panie admirale. Ale mamy chyba coś ważnego.

–Rany. Lepiej dla was, żeby to faktycznie było coś ważnego. Która godzina?

–Eeee... trzecia, panie admirale.

–No, o co chodzi, poruczniku? Wyduście z siebie wreszcie, na miłość boską.

–Chodzi o te okręty podwodne Kilo dla Chin.

Admirał Morris był na nogach, zanim porucznik skończył mówić. Przed oczyma stała mu sroga twarz Arnolda Morgana.

–Jezu, człowieku! Czemuś od razu nie powiedział?

–Czekałem, aż się pan wybudzi, admirale.

–Wybudzi! Wybudzi! Przecież nie śpię, nie widzicie? Za trzy minuty tam będę. Samochód czeka?

–Tak jest, panie admirale.

–To skocz dc» kierowcy i powiedz mu, żeby grzał silnik.

Blat biurka w jego gabinecie zasłany był zestawem najnowszych zdjęć satelitarnych. Dwaj pochyleni nad nimi oficerowie pełniący nocną służbę porównywali szczegóły przez szkła powiększające.

–Nie ma większych wątpliwości, panie admirale – odezwał się jeden z nich do podchodzącego admirała Morrisa. – Te trzy Kilo ze stoczni w Niżnym Nowgorodzie są już na ukończeniu. Sądząc z tych zdjęć, wkrótce opuszczą stocznię. – Oficer się wyprostował. – Proszę rzucić okiem, admirale. To zdjęcia okrętów numer jeden i numer dwa zrobione przed tygodniem. Widzi pan te rusztowania oplatające kioski? A teraz proszę spojrzeć na zdjęcia, które dostaliśmy wczoraj wieczorem. Rusztowania zostały w dwóch trzecich rozebrane... widać też, że pokład trzeciego okrętu nie jest już tak zagracony jak przed tygodniem. To ostatni etap prac, panie admirale. Próby eksploatacyjne przeprowadzone zostaną dopiero po przetransportowaniu tych jednostek na wybrzeże. Wkrótce już ich tu nie będzie.

Admirał Morris patrzył na zdjęcia, które dramatycznie przybliżyły termin wprowadzenia w życie awaryjnej wersji planu opracowanego przez prezydenckiego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli prace w stoczni nadal będą przebiegały w tym tempie, to najdalej za dwa tygodnie okręty zostaną załadowane na barki transportowe. I prawdopodobnie ruszą natychmiast w długą podróż na północ. Wyglądało na to, że wszystkie trzy jednostki popłyną jednym transportem i prawdopodobnie pod eskortą.

CIA przechwyciła kilka depeesz Pekin-Moskwa. Z treści dwóch wynikało, że ze względu na niefortunny wypadek, w wyniku którego w drodze na Daleki Wschód zaginęły dwa poprzednie Kilo, środki bezpieczeństwa mają ulec silnemu wzmocnieniu. Nie było jednak do końca jasne, czy to wzmocnienie obejmie również lądowy etap podróży.

Porucznik Harrison podał admirałowi trzy następne zdjęcia. Te również zostały zrobione przez satelitę, a przedstawiały Wołgę siedemset mil na południe od Niżnego Nowgorodu, a konkretnie

ten jej odcinek, który przebiega przez przemysłowe miasto Wołgograd (dawniej Stalingrad), oblegane przez dwieście dni mroźnej zimy 1942-43 przez armię niemiecką. Dzisiaj odbudowany z ruin Wołgograd ciągnie się prawie przez sześćdziesiąt mil wzdłuż brzegów Wołgi, tam gdzie rzeka zakręca szerokim łukiem na południowy wschód ku Morzu Kaspijskiemu.

Właśnie tam, na łagodnym zakręcie rzeki, satelity sfotografowały gigantyczną, dwuczłonową, przegubową barkę transportową sunącą powoli pod prąd. Tolkacz, bo tak się ona nazywała, ma ładowność dziesięciu tysięcy ton, i chociaż po największych rosyjskich rzekach pływa wiele dużych barek transportowych, to takie niemal trzystumetrowe olbrzymy spotyka się stosunkowo rzadko. Tolkacz to po rosyjsku pchacz. Barki te mają wielką sterówkę na pokładzie dziobowym i masywny ster z przodu, bez którego nie byłyby w stanie pokonywać ostrych zakrętów.

Za tą potężną barką płynęła w szyku torowym druga, nie tak już długa, ale i tak mająca blisko dwieście metrów. Obie były klasy XXII Zjazd, obie posuwały się po ruchliwej w tym przemysłowym regionie rzece z szybkością nie przekraczającą pięciu węzłów. Obie były typu, który Rosjanie wykorzystują do transportowania okrętów podwodnych.

Jak powszechnie wiadomo, na Zachodzie przyjęło się budować okręty podwodne, i w ogóle wszystkie jednostki pływające, w stoczniach położonych nad morzem, ewentualnie w ujściu dużej rzeki. Rosjanie chcieli być oryginalniejsi i rozwinęli mamuci przemysł stoczniowy w dawnym mieście Gorki, które nazywa się obecnie Niżny Nowgorod i leży w samym środku dawnego Związku Radzieckiego, prawie tysiąc mil na południe od Murmańska, portu nad Morzem Barentsa, i prawie tysiąc mil na północ od Sewastopola, byłej bazy marynarki wojennej nad Morzem Czarnym.' W rezultacie sowieckie okręty wojenne są od pokoleń jak te atlantyckie łososie, które przychodzą na świat w płytkich rzekach. To tak jakby okręty podwodne klasy Trident budować pośrodku Kansas albo w Bedfordshire.

Ale mroźne serce Rosji pod jednym względem góruje zarówno nad środkowym Kansas, jak i środkową Anglią; ma długą na dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiąt mil Wołgę, piętnastą pod względem długości rzekę świata, która tworzy kręgosłup Komunistycznego Marzenia o budowie wielkiego systemu szlaków wodnych łączącego wszystkie rejony sowieckiego imperium.

Marzenie to nie zostało, jak wiadomo, w pełni urzeczywistnione, a w trakcie prób jego realizacji komuniści wytępiłi niemal do szczytu wszystkie żywe stworzenia zamieszkujące Wołgę, udało im się jednak zbudować wiele imponujących kanałów, dzięki którym Rosjanie mogą teraz transportować duże okręty podwodne oraz inne okręty wojenne pomiędzy Morzem Czarnym na południu a Morzem Białym na północy. Szlak ten bierze początek w Cieśninie Kerczeńskiej po wschodniej stronie Półwyspu Krymskiego i przecinając Morze Azowskie, biegnie na północny wschód, by kanałem Wołga-Don, jeziorami i kolejnym kanałem dotrzeć do Wołgi tuż przed Wołgogradem.

Od tego miejsca ta wielka rzeka, tocząc swe wody na północ, poszerza się i przechodzi raz po raz w zapierające dech w piersiach długie rzeki-jeziora, z których niejedno ciągnie się przez dwieście mil. Minąwszy Kazań, Wołga skręca na zachód i dociera do Niżnego Nowgorodu. Tutaj, od południowego wschodu, wpada do niej Oka. Na wielkim klinie lądu między Wołgą i Oką, który nosi nazwę Strielka, znajduje się stu pięćdziesięcioletnia stocznia Czerwone Sormowo. Na betonowym nabrzeżu wymalowano wielkimi czerwonymi literami rosyjskie słowo Strielka.

W ciągu ostatnich lat stocznia ta wypuściła całą serię statków handlowych i małych statków pasażerskich, ale ma ona również długą tradycję w budowaniu okrętów podwodnych, które transportuje się następnie barkami albo na Morze Czarne, albo na Morze Białe, gdzie wchodzi w skład Floty Północnej. To tutaj budowano atomowe okręty podwodne klasy Charlie II oraz stare Julietty. Tutaj powstawały Barracudy klasy Sierra II i uderzeniowe Victory o napędzie jądrowym oraz cała seria okrętów podwodnych o napędzie dieslowsko-elektrycznym klasy Tango. Nie jest również tajemnicą, że stocznia ta jest w stanie budować najnowocześniejsze Kilo. Ze względu na izolowany charakter Morza Czarnego i praktyczne odcięcie od Morza Śródziemnego, większość okrętów podwodnych budowanych w Niżnym Nowgorodzie transportowana jest na północ gigantycznym szlakiem wodnym, którego pomysłodawcą był Józef Stalin.

Szlak ten prowadzi najpierw wielką rzeką Wołgą, która meandrami toczy swe wody na północ. Zaraz za miasteczkiem Juriewietsk, siedemdziesiąt pięć mil w górę rzeki od Niżnego Nowgorodu, Wołga skręca w lewo i płynąc leniwie na zachód, dociera do ogromnego Zbiornika Rybińskiego. Tu wykręca ostro

na południe i napotyka na swej drodze zdumiewający twór Stalina, Kanał Moskiewski.

Tak więc w tym miejscu Rosyjska Matka, jak nazywają Wołgę Rosjanie, odwraca się plecami do mroźnej północy i okręty podwodne muszą kontynuować podróż ku Arktyce po zimniejszych wodach. Wielkie barki Tolkacze płyną dalej na północ długim na siedemdziesiąt mil Zbiornikiem Rybińskim, omijają systemem szerokich szlaków wodnych i kanałów Jezioro Białe i po przebyciu stu pięćdziesięciu mil wypływają na spokojne wody jeziora Onega, które ma sto dwadzieścia mil długości i jest drugim z największych jezior Europy.

To najpiękniejszy etap podróży, bo jezioro jest dzikie, usiane malowniczymi wysepkami, na których wznoszą się zachwycające drewniane cerkiewki z pięknie rzeźbionymi kopułami w kształcie cebuli. Cerkiew Przemienienia na wyspie Kiży ozdobiona jest dwudziestoma dwoma takimi kopułami wykonanymi w osiemnastym wieku przez miejscowych rzemieślników. Przy wznoszeniu tych budowli nie użyto ani jednego gwoźdźdza.

Sunące po tych cichych wodach Tolkacze załadowane ogromnymi okrętami podwodnymi wprowadzają nieprzyjemny dysonans w jeden z najpiękniejszych krajobrazów Rosji.

Na końcu jeziora wrażenie idylli i spokoju pryska i okręty podwodne wpływają w Kanał Białomorski, ucieleśnienie naj-okrutniejszych ambicji Stalina. Jego budowa została okupiona życiem tysięcy niewolników zmuszanych przez komisarzy do nadludzkiego wysiłku w mroźnym piekle północy.

W rezultacie powstał majstersztyk techniki: prosty, stuczterdzie-stomilowy szlak wodny łączący jezioro Onega z Morzem Białym, a co za tym idzie, Morze Białe z Bałtykiem; wojskowa droga na skróty odzwierciedlająca wszystkie chorobliwe ambicje bezwzględnego komunistycznego dyktatora. Ale nieprzeliczone ofiary wśród więźniów politycznych i intelektualistów, którzy tworzyli niewolniczą armię budującą kanał, położyły się mrocznym cieniem na ten cud techniki. Maksym Gorki, który, biorąc w roku 1933 udział w propagandowej wycieczce stu dwudziestu literatów na miejsce budowy, nie napiętnował ogromu cierpień, w jakich powstawał kanał, został za to po latach zaatakowany przez Aleksandra Sołżenicyna.

Dzisiaj nie wpływają tam statki turystyczne. A pieczę nad konserwacją i eksploatacją kanału sprawuje wojsko. Jednak czarne kadłuby okrętów podwodnych, które wyglądały tak obco, tak niestosow-

nie na pięknych wodach jeziora Onega, w Kanale Białomorskim wydają się na miejscu. Są przecież narzędziami zadawania śmierci, a nad kanałem unosi się piętno śmierci, którego nic nie zmaże.

Powolna osiemsetmilowa podróż z Wołgogradu do Niżnego Nowgorodu po ruchliwych przemysłowych wodach powinna zająć pustym Tolkaczom sporo czasu. Admirał George Monis obejrzał zdjęcia przedstawiające Wołgę w rejonie Wołgogradu, a potem znowu zdjęcia trzech Kilo. Nie było większych wątpliwości. Prace przy rosyjskich okrętach podwodnych o napędzie dieslowsko-elektrycznym są na ukończeniu, a te dwa gigantyczne transportowce płyną by odebrać je ze stoczni. Admirał szacował, że uwzględniając postoje, rozmaite zatory, czas spędzony w śluzach i spory ruch towarowy na rzece, Tolkacze mogą pokonać sześćdziesiąt mil dziennie, czyli dotrą do stoczni Czerwone Sormowo za jakieś dwa tygodnie.

Podszedł do wielkiego skomputeryzowanego ekranu, wywołał mapę centralnej Rosji i powiększył ten jej wycinek, który przedstawia górny bieg Wołgi, na północ od Niżnego Nowgorodu. Trudno było określić szacunkową szybkość Tolkaczy z ładunkiem, ale prawdopodobnie będzie to średnio pięć węzłów, czyli pokonując dziennie sto dwadzieścia mil, dotrą do Kanalu Białomorskiego w tydzień po opuszczeniu Niżnego Nowgorodu. Załadunek w Czerwonym Sormo-wie może zająć od dwóch do czterech tygodni przy założeniu, że wystąpi konieczność wprowadzania ostatnich poprawek i dokonywania jakichś napraw. Admirał domyślał się, i słusznie, że Chińczycy wydelegowali do stoczni swoich najlepszych techników, by ci dokonali na miejscu drobiazgowego odbioru, zanim Chiny uiszczą kolejną ratę z dziewięciuset milionów dolarów, czyli z tego, ile muszą w sumie zapłacić za trzy Kilo.

Po chwili zastanowienia uznał, że załadunek przeciągnie się raczej do czterech tygodni, czyli okręty podwodne ruszą z Niżnego Nowgorodu na północ mniej więcej w pierwszym tygodniu czerwca. Były dowódca grupy uderzeniowej lotniskowca ściągnął brwi. Ciekawe, czy Chińczycy i Rosjanie domyślili się już, że przyczyną straty K-4 i K-5 nie był wcale wypadek, a winowajca pływa prawdopodobnie pod banderą Stanów Zjednoczonych.

Takich niewiadomych było sporo. Na przykład, jak silnej eskorty zażądają od Rosjan Chińczycy, kiedy Kilo wyjdą w końcu w morze i ruszą w długą drogę ku Morzu Południowochińskie-mu? Czy płynąć będą o własnych siłach, czy też odbędą podróż na pokładzie frachtowców, tak jak pierwsze trzy chińskie Kilo?

Ale dla dyrektora Fort Meade jedno nie uległo wątpliwości: USA nie mogą dopuścić, by te okręty dotarły do Chin.

No dobrze, ale jak temu zapobiec? Można przypuszczać, że jeśli Kilo popłyną o własnych siłach, to prawdopodobnie pod szczelną rosyjską eskortą. Że będą w pełni uzbrojone i nie ma co liczyć na to, by dało się wyeliminować wszystkie trzy w drodze jakiejś tajnej operacji. Admirał nie widział takiej możliwości. Tego rodzaju przedsięwzięcie wymagałoby zaangażowania znacznych środków. A George Morris wiedział, że dowództwo sił podwodnych Roty Atlantyku SUBLANT będzie się z całych sił broniło przed udostępnieniem do takiej misji więcej niż jednego ze swoich okrętów podwodnych klasy Los Angeles.

Zdaniem admirała Morrisa, gwarancję zniszczenia wszystkich trzech nowiutkich Kilo płynących pod silną rosyjską eskortą, która składać się będzie co najmniej z dwóch okrętów podwodnych plus kilka fregat, dawałoby tylko wysłanie przeciwko nim grupy uderzeniowej do zadań specjalnych marynarki wojennej.

–Jezu – mruknął pod nosem. – Głowa mała. To mi pachnie drugą bitwą o Midway. Nie, takie rozwiązanie zupełnie nie wchodzi w rachubę. Ale to już zmartwienie Arnolda.

Admirał podszedł do biurka. Zegar wskazywał 7.15 rano, ale wytyczne były jasne. Admirał Morgan kazał się informować bezzwłocznie o wszystkim, co dotyczy budowanych Kilo. Morris podniósł więc słuchawkę i wybrał domowy numer byłego szefa wywiadu w Montpelier. Arnold Morgan, który nie spał już od piętnastu minut, odebrał natychmiast.

–Morgan. Czego? – burknął tonem, który; zaskarbił mu w przeszłości sympatię wielu wysokiej rangi polityków i oficerów czynnej służby.

–Czołem, admirale. Mówi George Morris. Przepraszam za porę.

–Gdybym się teraz albo w przeszłości przejmował porę -wywarczał Morgan – świat bez wątpienia już dawno zszedłby zupełnie na psy. Wal.

–Chodzi o trzech pana podopiecznych, admirale. Mam tu kilka fotek, które na pewno pana zainteresują. U pana czy u mnie?

–Za piętnaście minut jestem – uciął Morgan i rozłączył się, pozostawiając zakłopotanego admirała Morrisa z głuchą słuchawką przy uchu w pokoju pełnym ludzi.

Ochłonawszy nieco, admirał zrobił to, co robiło wiele osób

stawianych w podobnej niezręcznej sytuacji przez jego poprzednika, który rzadko przestrzegał telefonicznej etykiety i usłyszawszy już, co chciał usłyszeć, bezceremonialnie przerywał połączenie.

–Rozumiem, admirale – powiedział, tak jakby nadal miał Morgana na linii. – No to czekam. Czolem.

Tymczasem Arnold Morgan ruszał już z piskiem opon spod swojego domu. Trasę do Fort Meade pokonał, wciskając gaz do dechy.

Wpadł jak bomba w drzwi Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Jego widok, jak zwykle, postawił na nogi całą nocną zmianę. Dwaj ludzie odprowadzili go do gabinetu admirała Morrisa, gdzie czekały już dwa kubki kawy zamówionej przez aktualnego dyrektora, w tym „czarnej z kozimi bobkami" dla Wielkiego Człowieka.

George Morris ustąpił Arnoldowi Morganowi miejsca za swoim biurkiem. Ten usiadł i w milczeniu obejrzał zdjęcia satelitarne.

–Tak – powiedział – Tak, George. Masz rację. Te cacuszka wkrótce ruszają w drogę.

Admirał Morris zwierzył mu się ze swoich obaw związanych z poważną konfrontacją na Atlantyku, w której mała flotylla amerykańskich okrętów stacza bitwę z Rosjanami.

Morgan wysłuchał go z niespotykaną cierpliwością. Ani myślał wyjawiać, że plan ma już od kilku tygodni gotowy. Im mniej ludzie będzie o nim wiedziało, tym lepiej.

–O szczegóły się nie martw, George – powiedział ponuro, kiedy Morris skończył. – Trzymam rękę na pulsie od dnia, w którym dowiedzieliśmy się, że Rosjanie sprzedają Chińczykom te Kilo. – Podniósł wzrok i spojrzał na dyrektora Fort Meade. – Chciałbym podziękować tobie i twojemu zespołowi za czujność, jaką wykazujecie w tej sprawie. Ale na razie nie musisz więcej wiedzieć. Informuj mnie tylko na bieżąco o rozwoju sytuacji.

Tu twarz mu się trochę wypogodziła.

–George, stary, dobrze wiesz, że w tej grze każdy z nas musi się trzymać swojego podwórka. Ty swojego, ja swojego. – Fakt, że znajdował się w tej chwili na podwórku George'a, a do tego siedział za jego biurkiem, obaj mężczyźni uznali za nieistotny.

Kiedy admirał opuszczał Fort Meade, zegarek dyrektora popiskiwaniami informował, że jest godzina 8.00. Morgan postanowił nie wracać już do domu, lecz jechać prosto do Białego Domu. Dotarł tam o 9.30. Zgasił silnik i wydał dyspozycję, żeby

zajął się jego samochodem oraz przekazano szoferowi Charlie-mu, by skontaktował się z nim telefonicznie.

Szofer zadzwonił do niego z garażu, kiedy wchodził do swojego gabinetu w Skrzydle Zachodnim.

–Charlie – powiedział. – Weź mój samochód stamtąd, gdzie teraz stoi, i odprowadź go do mojego domu w Montpellier. Potem wróć tutaj samochodem służbowym. O 12.30 masz na mnie czekać przed wejściem.

–Tak jest. Ale zaraz, panie admirale. Jak ja wrócę z pańskiego domu w Montpellier?

–Charlie – powiedział ciepłym, cierpliwym tonem admirał Morgan – mam w tej chwili na głowie dwie, a może nawet i trzy palące sprawy naraz. Robię, co mogę, żeby północno-zachodni Pacyfik pozostał bezpieczny dla światowej żeglugi; staram się utrzymać naszą dominację w Cieśninie Tajwańskiej; kto wie, czy nie będę musiał kopnąć Chińczyków w zadek... Charlie, mój złociutki Charlie, wiem, że ty też masz masę problemów... ale zrób to dla mnie, odprowadź ten cholerny samochód do Montpellier. A POTEŃ WRACAJ W TE PĘDY, I GÓWNO MNIE OBCHODZI, JAK TO ZROBISZ. DLA MNIE MOŻESZ NAWET WY-CZARTEROWAĆ PROM KOSMICZNY, ALE O 12.30 MASZ TU BYĆ!

Przerażonemu Charliemu słuchawka omal nie wypadła z ręki.

–Daj z siebie wszystko, Charlie – ciągnął łagodniejszym już tonem admirał. – Właśnie do rozwiązywania tego rodzaju zawiłych problemów zatrudnia się takich jak ty.

Ż tymi słowy admirał Morgan rozłączył się zadowolony, że w tak kulturalny sposób załatwił sprawę. Atmosfera Białego Domu wyraźnie łagodziła nieco jego choleryczną naturę. No, prawie.

Podniósł znowu słuchawkę i poprosił operatora centralki o połączenie z gabinetem dyrektora Fort Meade. Niestety, admirał Morris wyjechał już do Pentagonu i miał wrócić dopiero po lunchu. Ale można go złapać u admirała Joego Mulligana.

Arnold Morgan nie chciał, żeby cała marynarka wojenna dowiedziała się, z jakim zaangażowaniem podchodzi do sprawy Kilo. Zrezygnował więc z przerywania narady toczącej się w gabinecie szefa operacji morskich. Było to coś niezwykłego, bo admirał nie zawahałby się przerwać rozmowy Pana Boga z papieżem, gdyby tylko uznał, że leży to w wojskowym interesie jego ukochanych Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Zerknął na zegarek- 9.45. W Kalifornii 6.45. Za wcześnie. Admirala Johna Bergstroma nie będzie jeszcze w biurze.

–Gnuśny palant – warknął ze zniecierpliwieniem Morgan. – Trzeba dać mu jeszcze godzinę.

Wdusił jeden z przycisków na obudowie swojego „kosmicznego” telefonu i zażądał kawy. Odpowiedział mu gniewny męski głos. Admirał, z nieodpartym wrażeniem, że zamówił „czarną z kozimi bobkami” u samego prezydenta, odłożył czym prędzej słuchawkę. I wybuchnął śmiechem, śmiechem człowieka, który wie, że w osobie głowy państwa ma dozgonnego przyjaciela.

Sięgnął po szkło powiększające z jadeditową rączką, pochylił się nad mapą i przyjrzał dokładnie rosyjskiemu jezioru Onega, które na kierunku północ-południe ma sto dwadzieścia mil długości i przez które przepłynąć muszą Kilo, żeby dotrzeć do Kanału Białomorskie-go. Poprosił Fort Meade o przejrzenie archiwów i wszystkich zdjęć i poszukanie jakiejś prawidłowości w tych dziwacznych podróżach rosyjskich okrętów podwodnych śródlądowymi szlakami wodnymi.

–Musi się coś znaleźć – mruknął do siebie. – Musi być jakieś miejsce, gdzie się zatrzymują albo tankują, albo wymieniają strażę... miejsce, gdzie najłatwiej się do nich dostać. – Zatrzymał na chwilę wzrok na wyspie Kizy, a potem spojrzął na największy port nad jeziorem, Pietrozawodsk. Wiedział, co oznacza ta nazwa – Fabryka Piotra. Wiedział też, że Piotr Wielki założył tam na początku osiemnastego wieku odlewnię dział i ogołocił miasto oraz okolice z metalu, by przetopić go na lufy armat. Dzięki tym armatom zmusił Szwedów do podpisania traktatu pokojowego, kończącego wielką wojnę północną 1700-1721.

–Jeśli wszystko pójdzie dobrze, podrzucę im jeszcze trochę złomu – warknął. – Byle tylko znaleźć jakąś prawidłowość w tych śródlądowych wożach okrętów podwodnych.

Admiral Morgan sam nie wiedział, kto najbardziej działa mu na nerwy: admiral Morris, admiral Bergstrom czy „ci cholerni Rosjanie”. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że prawdopodobnie oni wszyscy. Z szoferem Charliem na czwartym miejscu.

Usiadł za biurkiem i zaczął od nowa analizować sytuację z Kilo.

–Jedno jest pewne – wymruczał – te trzy małe gnojki nie mogą dotrzeć do Morza Południowochińskiego. Ani tam, ani nigdzie indziej.

Wychodząc z tego założenia, mamy do wyboru trzy, i tylko trzy militarne opcje. Pierwsza: Organizujemy nalot i rozwalamy je

z powietrza na kawałki jeszcze w stoczni, gdzie satelity od dwóch lat śledzą postępy prac przy ich budowie. Oczywiście zaraz potem wybuchłaby trzecia wojna światowa.

Możemy też wybrać opcję drugą: Czekamy, aż Rosjanie je załadują, a potem rakieta dalekiego zasięgu zatapia barki wraz z ładunkiem. To również rozpętałoby trzecią wojnę światową.

Opcja trzecia jest jeszcze prostsza. Niszczymy z powietrza odcinek Kanału Białomorskiego, co położyłoby kres wożeniu na północ okrętów podwodnych, a przy okazji wszelkim innym podróżom w tamtym kierunku. Może trzeba by do tego użyć głowicy atomowej, ale kto wie, czy nie wystarczyłaby odpowiednio duża bomba albo pocisk kierowany. W obu przypadkach trzecią wojnę światową mamy jak w banku.

Z powyższego wypływa wniosek, że opcje pierwsza, druga oraz trzecia nie wchodzą w rachubę. Pozostaje zatem rozwiązanie, które chodzi mi po głowie od chwili pojawienia się tego problemu. To robota dla sił specjalnych. I nie będzie łatwo, ale istnieją szanse powodzenia. Byle tylko rzecz nie wyszła na jaw.

Admirał znowu podszedł do dużego stołu i spojrzał na kanał.

–Cała sztuka w tym – myślał głośno – żeby zamydlić oczy tym przeklętym Rosjanom. Może skierować ich podejrzenia na kogoś innego. A to oznacza, że będziemy musieli działać w białych rękawiczkach. Największy problem stwarzają technika i organizacja. Kiedy ten Bergstrom zwlecze się wreszcie z wyra? I kiedy Morris zamierza wrócić z tych pogaduszek w Pentagonie?

Jego dezaprobata dla admirała Bergstroma była uzasadniona. Szef dowództwa sił specjalnych marynarki wojennej SPECWAR-COM zarwał sporą część nocy i miał się zjawić w swoim biurze dopiero o 8.00, czyli o 11.00 czasu Morgana. Co zaś się tyczy admirała Morrisa, to prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego go nie docenił.

George Morris zaraz po przekroczeniu progu sekretariatu biura szefa operacji morskich zadzwonił do Fort Meade i wydał polecenie informowania admirała Morgana na bieżąco o wynikach poszukiwania „prawidłowości” w podróżach rosyjskich okrętów podwodnych. I teraz John Harrison czekał na linii, a operator centrali Białego Domu łączył go z gabinetem doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

–Morgan. Czego?

–Eee... panie admirale... Mówi porucznik Harrison z Fort

Meade. Na bezpiecznej linii. Dzwonię z polecenia admirała Morgana, który kazał nam informować pana od razu o wszystkim, co ustalimy w sprawie prawidłowości występujących podczas transportowania na północ tych rosyjskich okrętów podwodnych.

–I dobrze zrobił, że kazał. Walcie.

–Tak jest. No więc, przestudiowaliśmy dokumentację dotyczącą okrętów podwodnych, które w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat transportowano śródlądowym szlakiem wodnym z Gorki na Morze Białe. Wszystkich transportów oczywiście nie śledziliśmy, ale mamy sporo danych o pięćdziesięciu – i w oczy rzuca się jeden fakt. Otóż wszystkie transporty zatrzymują się zawsze w tym samym miejscu na jeziorze Onega, w jego północnej części, przy lewym brzegu, kawałek za Pietrozawodskiem. Początkowo mieliśmy trudności z ustaleniem przyczyny tego postoju, ale w końcu okazało się, że jest bardzo prosta. Otóż barki zatrzymują się zawsze, kiedy nasila się za nimi ruch na jeziorze. Sądzymy, że skręcają w stronę brzegu, żeby nie blokować drogi innym, szybszym jednostkom płynącym na północ. A przy okazji załogi mogą odpocząć i trochę się przespać. Z naszych danych wynika, że w lecie robią postój o 21.00, a w dalszą drogę ruszają o 5.00 rano.

–Interesujące. Bardzo mi pomogliście, poruczniku. Dziękuję. Napisaliście już raport?

–Kończymy, panie admirale. Za godzinę będzie gotowy.

–Bardzo dobrze, poruczniku. Przyślę po niego kuriera. Rutynowe środki bezpieczeństwa: neseser z kajdankami, koperta z nadrukiem, ograniczona dystrybucja, ściśle tajne... tylko do wiadomości Stanów Zjednoczonych. Przyjedzie po nią mój osobisty szofer z Białego Domu. Charlie. Taki wysoki, siwy facet około pięćdziesiątki. Nie jest specjalnie rozgarnięty, więc zwracajcie się do niego po imieniu, bo inaczej mógłby się pogubić.

Porucznik się roześmiał. Ale nim zdążył się zdziwić, dlaczego admirał wspomina o czymś tak nieistotnym jak inteligencja jego szofera, słuchawkę po drugiej stronie linii z trzaskiem odłożono, a on został ze swoją przy uchu, tak jak niedawno jego szef.

Dochodziła 11.00. Arnold Morgan poprosił sekretarkę, żeby znalazła mu szczegółową mapę jeziora Onega i połączyła go ze SPECWARCOM w San Diego, konkretnie z admirałem Bergstro-mem, a gdyby admirała jeszcze nie było, zostawiła wiadomość, by po zjawieniu się w miejscu pracy natychmiast oddzwonił. Admi-

Meade. Na bezpiecznej linii. Dzwonię z polecenia admirała Morgana, który kazał nam informować pana od razu o wszystkim, co ustalimy w sprawie prawidłowości występujących podczas transportowania na północ tych rosyjskich okrętów podwodnych.

–I dobrze zrobił, że kazał. Walcie.

–Tak jest. No więc, przestudiowaliśmy dokumentację dotyczącą okrętów podwodnych, które w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat transportowano śródlądowym szlakiem wodnym z Gorki na Morze Białe. Wszystkich transportów oczywiście nie śledziliśmy, ale mamy sporo danych o pięćdziesięciu – i w oczy rzuca się jeden fakt. Otóż wszystkie transporty zatrzymują się zawsze w tym samym miejscu na jeziorze Onega, w jego północnej części, przy lewym brzegu, kawałek za Pietrozawodskiem. Początkowo mieliśmy trudności z ustaleniem przyczyny tego postoju, ale w końcu okazało się, że jest bardzo prosta. Otóż barki zatrzymują się zawsze, kiedy nasila się za nimi rucha na jeziorze. Sądzymy, że skręcają w stronę brzegu, żeby nie blokować drogi innym, szybszym jednostkom płynącym na północ. A przy okazji załogi mogą odpocząć i trochę się przespać. Z naszych danych wynika, że w lecie robią postój o 21.00, a w dalszą drogę ruszają o 5.00 rano.

–Interesujące. Bardzo mi pomogliście, poruczniku. Dziękuję. Napisaliście już raport?

–Kończymy, panie admirale. Za godzinę będzie gotowy.

–Bardzo dobrze, poruczniku. Przyślę po niego kuriera. Rutynowe środki bezpieczeństwa: neseser z kajdankami, koperta z nadrukiem, ograniczona dystrybucja, ściśle tajne... tylko do wiadomości Stanów Zjednoczonych. Przyjedzie po nią mój osobisty szofer z Białego Domu. Charlie. Taki wysoki, siwy facet około pięćdziesiątki. Nie jest specjalnie rozgarnięty, więc zwracajcie się do niego po imieniu, bo inaczej mógłby się pogubić.

Porucznik się roześmiał. Ale nim zdążył się zdziwić, dlaczego admirał wspomina o czymś tak nieistotnym jak inteligencja jego szofera, słuchawkę po drugiej stronie linii z trzaskiem odłożono, a on został ze swoją przy uchu, tak jak niedawno jego szef.

Dochodziła 11.00. Arnold Morgan poprosił sekretarkę, żeby znalazła mu szczegółową mapę jeziora Onega i połączyła go ze SPECWARCOM w San Diego, konkretnie z admirałem Bergstro-mem, a gdyby admirała jeszcze nie było, zostawiła wiadomość, by po zjawieniu się w miejscu pracy natychmiast oddzwonił. Admi-

Meade. Na bezpiecznej linii. Dzwonię z polecenia admirała Morgana, który kazał nam informować pana od razu o wszystkim, co ustalimy w sprawie prawidłowości występujących podczas transportowania na północ tych rosyjskich okrętów podwodnych.

–I dobrze zrobił, że kazał. Walcie.

–Tak jest. No więc, przestudiowaliśmy dokumentację dotyczącą okrętów podwodnych, które w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat transportowano śródlądowym szlakiem wodnym z Gorki na Morze Białe. Wszystkich transportów oczywiście nie śledziliśmy, ale mamy sporo danych o pięćdziesięciu – i w oczy rzuca się jeden fakt. Otóż wszystkie transporty zatrzymują się zawsze w tym samym miejscu na jeziorze Onega, w jego północnej części, przy lewym brzegu, kawałek za Pietrozawodskiem. Początkowo mieliśmy trudności z ustaleniem przyczyny tego postoju, ale w końcu okazało się, że jest bardzo prosta. Otóż barki zatrzymują się zawsze, kiedy nasila się za nimi ruch na jeziorze. Sądzymy, że skręcają w stronę brzegu, żeby nie blokować drogi innym, szybszym jednostkom płynącym na północ. A przy okazji załogi mogą odpocząć i trochę się przespać. Z naszych danych wynika, że w lecie robią postój o 21.00, a w dalszą drogę ruszają o 5.00 rano.

–Interesujące. Bardzo mi pomogliście, poruczniku. Dziękuję. Napisałiście już raport?

–Kończymy, panie admirale. Za godzinę będzie gotowy.

–Bardzo dobrze, poruczniku. Przyślę po niego kuriera. Rutynowe środki bezpieczeństwa: neseser z kajdankami, koperta z nadrukiem, ograniczona dystrybucja, ściśle tajne... tylko do wiadomości Stanów Zjednoczonych. Przyjedzie po nią mój osobisty szofer z Białego Domu. Charlie. Taki wysoki, siwy facet około pięćdziesiątki. Nie jest specjalnie rozgarnięty, więc zwracajcie się do niego po imieniu, bo inaczej mógłby się pogubić.

Porucznik się roześmiał. Ale nim zdążył się zdziwić, dlaczego admirał wspomina o czymś tak nieistotnym jak inteligencja jego szofera, słuchawkę po drugiej stronie linii z trzaskiem odłożono, a on został ze swoją przy uchu, tak jak niedawno jego szef.

Dochodziła 11.00. Arnold Morgan poprosił sekretarkę, żeby znalazła mu szczegółową mapę jeziora Onega i połączyła go ze SPECWARCOM w San Diego, konkretnie z admirałem Bergstromem, a gdyby admirała jeszcze nie było, zostawiła wiadomość, by po zjawieniu się w miejscu pracy natychmiast oddzwonił. Admi-

rała Bergstroma jeszcze nie było, ale o 8.15 czasu pacyficznego oddzwonił z kwatery głównej SEAL.

Admirał Morgan siedział już nad wyszperaną w bibliotece bardzo dokładną mapę jeziora. Zrędlwym tonem zapytał szefa SEAL, czy to w porządku, że on odwala całą robotę, podczas gdy tamten wyleguje się do późna w wyrku.

–Gdybyś miał takie pieskie szczęście jak ja wczoraj wieczorem, Arnie, nie żałowałbyś mi tych paru chwil zapomnienia -odparł admirał Bergstrom.

Admirał Morgan zachichotał.

–Co u ciebie, John? – zapytał. – Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem, ale czekałem na jakieś konkrety, i już je mam.

–Czy podstawowe założenia planu pozostają takie, jak ustaliliśmy?

–Tak. Musimy się jak najszybciej spotkać.

–Nie widzę przeszkód. Mam przylecieć do Waszyngtonu czy ty pofatygujesz się do mnie?

–To drugie. Pojutrze. Prezydent leci na jeden dzień do Los Angeles. Zabiorę się z nim. Wysadzą mnie w San Diego.

–Jezu. Jesteś pewien, że wolno ci wykorzystywać ten samolot w charakterze taksówki?

–Spokojna głowa, John. Będę w San Diego około 9.00 rano. Wyślij kogoś po mnie, dobrze? I o 16.00 ktoś będzie mnie musiał odwieźć z powrotem na lotnisko. Przed północą chcemy być z powrotem w domu.

–Załatwione. Na co kładziemy nacisk?

–Na synchronizację w czasie i na rozpoznanie.

–Rozumiem. Mam postawić chłopaków w stan gotowości? Są już na miejscu.

–Postaw. Trzej muszą być gotowi do drogi za trzy dni. Zaraz po naszej rozmowie.

–Dobrze, Arnie. Zajmę się tym. Do zobaczenia pojutrze o 10.00.

Punkt 9.00 rano Air Force One wylądował na lotnisku Lindbergh Field w San Diego i pokołował na stanowisko postojowe. Na czterdzieści pięć sekund opuszczono schody. Admirał Morgan zbiegł po nich, wsiadł na tylne siedzenie czekającego tam służbo-

wego samochodu marynarki wojennej i odjechał. Kiedy wóz włączył się do ruchu na autostradzie łączącej lotnisko z miastem, Air Force One był już w powietrzu i brał kurs na Los Angeles.

Kierowca skręcił na południe w Pacific Highway przed łukowatym mostem zawieszonym czterdzieści metrów nad wodami zatoki San Diego na wysokich, betonowych słupach i przywodzącym na myśl olbrzymiego krocionoga. Przekroczywszy najwyżej położony punkt tego mostu, jezdnie opadają stromo ku wyspie Coronado, na której, zaraz za plażą, mieści się ogrodzona grubą drucianą siatką i strzeżona przez patrole diabłów w ludzkiej skórze kwatera główna SEAL. Intruzi nie są tu mile widziani.

SPECWARCOM to w wojskowym żargonie dowództwo Sił Specjalnych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Szef, kontradmirał John Bergstrom, tak jak wielu jego poprzedników od początku służył w formacji SEAL i brał udział, często z narażeniem życia, w niejednej tajnej operacji. Formacja SEAL to odpowiednik brytyjskich służb SAS czy może Specjalnych Służb Morskich Royal Navy. Służący w niej ludzie to...wspaniale wyszkoleni zabójcy, eksperci od materiałów wybuchowych, wybitni znawcy dziesiątków typów broni, systemów i technik dywersyjnych. Działają na tyłach nieprzyjaciela, tam gdzie nie ośmieliliby się zapuścić najodważniejsi. Komandosi z SEAL nigdy nie idą do akcji z myślą, że mogą zginąć. To zmartwienie pozostawiają, jak to ujął generał Patton, „tamym żalonym, durnym sukinsynom”.

Łatwiej ukończyć wydział prawa na Harvardzie, niż zostać członkiem SEAL. Nawet kiedy osiągnie się już prawie ten cel, pozostaje jeszcze do przebrnięcia brutalny kurs indoktrynacyjny, BUD/S (Basic Underwater Demolition/SEAL – Podstawy Dywersji Podwodnej/SEAL), nazywany popularnie Szlifiernią. By się na niego dostać, człowiek musi być okazem siły fizycznej oraz sprawności intelektualnej i emocjonalnej. Jeśli chce pozostać przy życiu, to prócz szybkości, reakcji zawodowego wojownika i wrodzonych umiejętności pływackich, musi się również odznaczać fenomenalną pamięcią.

Celem kursu BUD/S jest wyeliminowanie wszystkich kandydatów podejrzanych o brak odpowiednich predyspozycji zarówno psychicznych, jak i fizycznych. Polega on na forsownym bieganiu w skwarze dnia po ciągnących się milami plażach nad zatoką San Diego. Co jakiś czas instruktorzy wpędzają rekrutów do lodowatego oceanu, a potem każą im wytarzać się w piasku i biegać dalej

po wydmach pomimo niewysłowionych katuszy, jakie zadaje piasek, który dostał się do mokrych szortów... „Tempo, tempo, synku, prawdopodobnie ratuję ci życie”.

Kiedy zmordowani nieszczęśnicy padają już na nosy, instruktorzy zdwajają tempo. Kiedy napięcie sięga zenitu, następuje „Piekielny Tydzień” i ludzie znajdujący się na skraju załamania jeszcze raz są przepędzani przez podwodny tunel, raz jeszcze po wydmach, raz jeszcze zagania się ich do oceanu. Połowa z rozpoczynających „Piekielny Tydzień”, odpada w jego trakcie. Instruktorzy wyłuskują z tłumu tych, którzy pomimo że skonani nie poddają się, tych, którzy zdają sobie sprawę, że osiągnęli już kres wytrzymałości, a jednak desperacko wykrzesują z siebie jeszcze tę resztkę sił. Taka jest formacja SEAL Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

I USA mają sześć takich zespołów: trzy – numer Dwa, numer Cztery i numer Osiem – w Little Creek w stanie Wirginia. Trzy - numer Jeden, numer Trzy i numer Pięć – w Coronado. Admirał Bergstrom, weteran Zespołu Dwa, był teraz dowódcą wszystkich zespołów SEAL. Ze swojego gabinetu w Coronado nadzorował operacje SEAL w każdym zakątku świata.

W skład każdego zespołu SEAL wchodzi dwustu dwudziestu pięciu ludzi, z czego stu sześćdziesięciu to aktywni członkowie plutonów szturmowych. W sumie dwadzieścia pięć osób liczą służby pomocnicze, logistyczne, techniczne i elektroniczne, a pozostałe czterdzieści osób zajmuje się szkoleniem, dowodzeniem i nadzorem. Każdy z batalionów szturmowych SEAL wymaga olbrzymiego wsparcia. Służą w nich ludzie nieocenieni, kierujący się własnym kodeksem honorowym. W całej swojej stosunkowo krótkiej, ale chlubnej historii nie zostawili na polu walki żadnego kolegi. Czy to rannego, czy poległego, nawet w Wietnamie.

Admirał Morgan wszedł do gabinetu admirała Johna Bergstroma parę minut po 10.00. Przywitali się serdecznie. Byli starymi przyjaciółmi i szanowali się wzajemnie. Obaj odznaczyli się twardością i bezwzględnością podczas pełnienia obowiązków służbowych, obaj bardzo dbali o podwładnych. Ale podczas gdy Arnold Morgan dopuścił, by kariera rozbiła jego dwa małżeństwa, to John Bergstrom przed dwoma laty patrzył z bezsilną rozpaczą, jak na raka umiera jego żona, od trzydziestu lat towarzysząca życia.

Owdowiały admirał Bergstrom postrzegany był teraz przez pozostające w stanie wolnym kobiety z Zachodniego Wybrzeża jako

bardzo dobra partia. Jak wszyscy członkowie SEAL miał w sobie coś mistycznego. Był wysoki, dobrze zbudowany i zachował wysportowaną sylwetkę dowódcy plutonu, miał bary kulturysty, wielkie dłonie i smutne, szare oczy. Chociaż kończył już pięćdziesiąt siedem lat, na jego skroni nie uświadczyło się jednego siwego włosa. Śmiał się rzadko, za to często chichotał. Był to głęboki, wesoły chichot człowieka, który nieraz zaglądał śmierci w oczy i dla którego wszystkie obecne wyzwania są dziecinną igraszką.

Arnold Morgan nie tylko go lubił, ale też ufał mu, a niewielu było ludzi, którzy w oczach prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego kwalifikowali się do obdarzenia takim przywilejem.

–Miło cię widzieć, John – powiedział. – Sporo czasu upłynęło. Ale mam dla ciebie parę prezencików... i myślę, że właściwie możemy już puszczać maszynę w ruch.

Admirał Bergstrom uśmiechnął się i pokręcił głową.

–Mówię ci, Arnie, że to wcale nie jest takie proste, jakby się mogło wydawać. Nie będę ukrywał, że nigdy nie brałem udziału w operacjach specjalnych w głębi terytorium Rosji". Widzę tu całe pole minowe problemów, a jeśli złapią naszych chłopaków, będzie to największa plama, jaką dadzą Stany Zjednoczone od czasów pilota U2 zestrzelonego w latach sześćdziesiątych.

–Chcesz usłyszeć o większej plamie? – zapytał Morgan. – Damy ją, jeśli Chińczycy dostaną te dziesięć pieprzonych Kilo i przegonią nas z Cieśniny Tajwańskiej. A wtedy chyba nie obejdzie się bez wojny, jeśli będziemy chcieli przywrócić marynarkom handlowym wszystkich krajów Zachodu prawo do bezpiecznego poruszania się po tych wschodnich wodach.

–Tak. Wiem. Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Bergstrom. – Mam tylko nadzieję, że dysponujemy wystarczającą ilością danych, by plan się powiódł. *

Admirał Morgan poklepał swój płaski neseser.

–Mam tu trochę smakowitych kąsków – powiedział. – Zaraz ci pokażę, tylko nalej mi kawy. Aha, prezydent prosił, żebym cię od niego pozdrowił.

–To miło, że mnie pamięta – mruknął John Bergstrom. – Spotkaliśmy się zaledwie dwa, góra trzy razy.

–Ten prezydent o wiele większą sympatią darzy wojskowych niż polityków. Stara się utrzymywać przyjacielskie stosunki ze wszystkimi wyższymi dowódcami. Szczyci się tym, że zna imię

swojego głównodowodzącego formacją SEAL. Kiedy wysiadałem z samolotu, powiedział: „Pozdrów ode mnie Johna”.

–Zobaczymy, co powie za dwa miesiące – mruknął szef SEAL.

Arnold Morgan otworzył neseser i wyjął z niego szarą kopertę, którą przed dwoma dniami przywiózł mu z Fort Meade eksploatowany bez skrupułów Charlie. Podszedł do szczegółowej mapy północnoeuropejskiej części Rosji, rozpostartej na dużym uchylnym stole i oświetlonej przykręconą do niego lampą z zielonym kloszem.

Przyłożył palec do mapy tam, gdzie po lewej stronie jeziora Onega, na północ od Pietrozawodska, w jezioro wrzynają się głęboko dwa wielkie półwyspy, zmuszając statki do trzymania się wschodniej strony szlaku wodnego. Następnie przesunął palec wyżej i wskazał wąską zatoczkę między dwoma innymi półwyspami, dwadzieścia pięć mil od leżącego nad jeziorem miasteczka Kuzaranda.

–Jakieś dwadzieścia pięć mil stąd – powiedział – tu, po lewej, mamy najodludniejsze miejsce na całej trasie. Widzisz to miasteczko o nazwie Unika? Wydaje się, że leży nad samym jeziorem, prawda?... Ale tak nie jest... w rzeczywistości leży około ośmiu mil na zachód od brzegu. Wszędzie tutaj nie ma nic prócz paru gospodarstw rolnych prowadzonych przez biednych jak myszy chłopów.

A tutaj – wskazał nakłuwaczem przenośnika – zatrzymują się barki z okrętami podwodnymi. Gdybyś, poczynając od Uniki, wykreślił linię prostą biegnącą na północny wschód przez jezioro do Powienieca,.-gdzie od jeziora odchodzi kanał, o tu, w jego prawym górnym rogu, to przejdzie ona przez oddalony jakąś milę od brzegu punkt, w którym zatrzymują się barki.

Przenieśmy się wzdłuż zachodniego brzegu jeziora jakąś milę na północ od punktu, w którym nasza linia po raz pierwszy wchodzi w wodę... o, tutaj... i natykamy się na coś jeszcze bardziej interesującego. W tym miejscu, do tego odludnego brzegu przybijają duże statki wycieczkowe. Nazywają to Zielonym Przystankiem. Statki podpływają tutaj, zatrzymują się w pewnej odległości od porośniętego wysoką trawą brzegu i opuszczają kilkumetrową pochylnię, taką jak na promie samochodowym, po której pasażerowie schodzą na ląd, by podziwiać dziewiczy rosyjski krajobraz.

–Jezu, Arnie. Ty masz zadatki na geniusza. Mówiłem ci to już kiedyś?

–Cóż, Zielony Przystanek nie ja wymyśliłem, ale ustalenie, że istnieje, to już bezsprzecznie moja zasługa.

swojego głównodowodzącego formacją SEAL. Kiedy wysiadałem z samolotu, powiedział: „Pozdrów ode mnie Johna”.

–Zobaczymy, co powie za dwa miesiące – mruknął szef SEAL.

Arnold Morgan otworzył neseser i wyjął z niego szarą kopertę, którą przed dwoma dniami przywiózł mu z Fort Meade eksploatowany bez skrupułów Charlie. Podszedł do szczegółowej mapy północnoeuropejskiej części Rosji, rozpostartej na dużym uchylnym stole i oświetlonej przykręconą do niego lampą z zielonym kloszem.

Przyłożył palec do mapy tam, gdzie po lewej stronie jeziora Onega, na północ od Pietrozawodska, w jezioro wrzynają się głęboko dwa wielkie półwyspy, zmuszając statki do trzymania się wschodniej strony szlaku wodnego. Następnie przesunął palec wyżej i wskazał wąską zatoczkę między dwoma innymi półwyspami, dwadzieścia pięć mil od leżącego nad jeziorem miasteczka Kuzaranda.

–Jakieś dwadzieścia pięć mil stąd – powiedział – tu, po lewej, mamy najodludniejsze miejsce na całej trasie. Widzisz to miasteczko o nazwie Unika? Wydaje się, że leży nad samym jeziorem, prawda?... Ale tak nie jest... w rzeczywistości leży około ośmiu mil na zachód od brzegu. Wszędzie tutaj nie ma nic prócz paru gospodarstw rolnych prowadzonych przez biednych jak myszy chłopów.

A tutaj – wskazał nakłuwaczem przenośnika – zatrzymują się barki z okrętami podwodnymi. Gdybyś, poczynając od Uniki, wykreślił linię prostą biegnącą na północny wschód przez jezioro do Powienieca, gdzie od jeziora odchodzi kanał, o tu, w jego prawym górnym rogu, to przejdzie ona przez oddalony jakąś milę od brzegu punkt, w którym zatrzymują się barki.

Przenieśmy się wzdłuż zachodniego brzegu jeziora jakąś milę na północ od punktu, w którym nasza linia po raz pierwszy wchodzi w wodę... o, tutaj... i natykamy się na coś jeszcze bardziej interesującego. W tym miejscu, do tego odludnego brzegu przybijają duże statki wycieczkowe. Nazywają to Zielonym Przystankiem. Statki podpływają tutaj, zatrzymują się w pewnej odległości od porośniętego wysoką trawą brzegu i opuszczają kilkumetrową pochylnię, taką jak na promie samochodowym, po której pasażerowie schodzą na ląd, by podziwiać dziewiczy rosyjski krajobraz.

–Jezu, Arnie. Ty masz zadatki na geniusza. Mówiłem ci to już kiedyś?

–Cóż, Zielony Przystanek nie ja wymyśliłem, ale ustalenie, że istnieje, to już bezsprzecznie moja zasługa.

–Trudne to było?

–Jak cholera. Kazałem jednemu takiemu zadzwonić do przedstawicielstwa Odessa-American Line tu, w Stanach, podać się za obserwatora ptaków i zapytać, czy będzie mu wolno zejść na ląd na północnym krańcu jeziora Onega. Byłem na tyle przezorny, że zanim zadzwonił, wykupiłem mu miejsce na jednym z tych statków turystycznych... skubaniec myśli teraz, że pojedzie na dziesięciodniową wycieczkę na koszt państwa.

–Rozumiem, Arnie – powiedział admirał Bergstrom – że zamierzasz umieścić naszych chłopaków na którymś z tych statków, ale widzę tu jeden problem: skąd będziemy wiedzieli, że wsadzamy ich akurat na ten statek, który dobije do brzegu jeziora Onega tego samego wieczoru co barki? A w ogóle, to skąd wyruszają te statki wycieczkowe?

–Większość z Sankt Petersburga.

–Z Sankt Petersburga? A jak docierają stamtąd do jeziora Onega?

–Rzeką Swir, która łączy je z jeziorem Ładoga. Na południowej części jeziora Onega trasa statku wycieczkowego praktycznie pokrywa się z trasą barek. Przypuszczam, że nasz statek wycieczkowy wyprzedza barki gdzieś po drodze. Potem statek i barki zatrzymują się na noc niecałe półtorej mili od siebie.

–No dobrze, ale skąd będziemy wiedzieli, na który statek wsadzić naszych chłopaków? Jak często one kursują?

–To akurat najmniejszy problem. Od kiedy Rosja otworzyła się na świat, na tej trasie zaroilo się od statków wycieczkowych. W każdy dzień powszedni z Sankt Petersburga wypływa jeden, a zdarza się, że trzy albo i cztery w weekendy. Z reguły wszystkie docierają do północnego krańca jeziora Onega i dobijają wczesnym wieczorem do rozmaitych Zielonych Przystanków. Nie, zapominaj, że tam w lecie nigdy nie zapadają ciemności... no wiesz, białe noce i w ogóle.

–No dobrze. Ale nadal nie bardzo rozumiem, skąd będziemy mieli pewność, że wsadzamy naszych chłopaków na właściwy statek.

–Jeśli ty nie rozumiesz, to może i Ruskim nie przyjdzie do głowy, że wytypowanie właściwej jednostki jest bardzo proste. Statki turystyczne płyną mniej więcej cztery razy szybciej od barek, które trasę z Niżnego Nowgorodu do jeziora pokonują ze stałą szybkością pięciu węzłów, nie zatrzymując się po drodze. A to oznacza, że możemy dokładnie wyliczyć, kiedy dobiją do

brzegu na wysokości Uniki. Satelity nie spuszczają barek z obiektywu, a w odpowiednim momencie chłopcy wsiadają na pokład statku wycieczkowego, o którym wiemy, że ostatniego dnia rejsu o godzinie 17.00 wyprzedzi barki z okrętami podwodnymi gdzieś w północnej części jeziora Onega. Zielony Przystanek jest dla turystów końcem trasy. Statek zawraca tam i nazajutrz rusza w drogę powrotną do Sankt Petersburga.

–No tak, ale nie można tak po prostu dołączyć do wycieczki trwające} kilka dni – zauważył admirał Bergstrom. – Trzeba zarezerwować kabiny i licho wie, co jeszcze.

–To prawda, John. Ale o to niech cię głowa nie boli. Przez kilka dni z rzędu rezerwujemy dwie kabiny na górnym pokładzie ruszającego w rejs statku, co do którego istnieje prawdopodobieństwo, że spotka się na jeziorze Onega z barkami. Rezerwacji dokonujemy stąd, w Stanach.

–No tak, ale odwołując dzień po dniu rezerwacje, wzbudzimy podejrzenia.

–A kto ci powiedział, że je odwołujemy? Niczego nie odwołujemy. Podstawiamy ludzi, którzy zajmują zarezerwowane kabiny. Sekretarki, gońców z ambasad i amerykańskich korporacji z całej Europy. Fundujemy im kilkudniowe wakacje. Na tych statkach roi się od Amerykanów. Mam tu zestawienie... Z 300 pasażerów trzech ostatnich statków Odessa-American Line, 284 było Amerykanami. Najgorsze, co nam się może przytrafić, to konieczność zmiany czterech czy pięciu nazwisk, kiedy będziemy podstawiali właściwy zespół. Ale zrobimy to siedem dni naprzód, bo będziemy już znali dzień, w którym barki znajdą się na północnym krańcu jeziora... będziemy go znali od chwili sfotografowania przez satelitę barek opuszczających Niżny Nowgorod.

–Jezu, Amie. To naprawdę może się udać.

–Też tak sędzę. W każdym razie próbować musimy. Nie mamy wyboru.

Dwaj admirałowie siedzieli przez chwilę w milczeniu, obaj oszołomieni chwilowo rozmiarami i konsekwencjami operacji, którą mieli wkrótce wprowadzić w życie.

–Musicie tu mieć sporo roboty z doborem sprzętu i pakowaniem go – odezwał się w końcu Arnold Morgan.

–Jest z tym trochę zachodu – mruknął zdawkowo admirał Bergstrom, nie wdając się w skomplikowane szczegóły przygotowań do tego rodzaju misji: skompletowanie osobistego ekwipunku

dla każdego z uczestników misji; cztery aparaty Draeger, hełmy, maski, pletwy i skafandry; cztery deski bojowe. Lekkie, dobrze wyważone, celne pistolety maszynowe RPD rosyjskiej produkcji, wydające przy prowadzeniu ognia charakterystyczny trzask, który zmyli być może rosyjskie straże, gdyby doszło do walki. Pistolety Sig Sauer kalibru 9 mm. Stosy magazynków do broni palnej. Noże bojowe Kaybar. Zestaw medyczny z kodeiną i morfiną oraz battledresy. Tabletki do oczyszczania wody, radia plus baterie, plus odbiorniki nawigacji satelitarnej GPS. I pięć ocieplanych pałatek z podłogami na wypadek, gdyby członkowie drużyny SEAL zostali zdemaskowani, wycofali się i w warunkach polowych musieli czekać na ewakuację.

–Wprowadziłem do naszego pierwotnego planu jedną innowację – podjął admirał Bergstrom. – Wysyłamy dodatkową osobę, która będzie się opiekowała drużyną SEAL i w razie potrzeby udzieli jej wsparcia. Nazywa się Angela Rivera.

–ANGELA?! – wrzasnął admirał Morgan. – Kobieta?! Do takiej misji?

–Tak, kobieta. Specjalistka od makijażu i kamuflażu. Jest agentką CIA, pracowała w latach osiemdziesiątych za żelazną kurtyną. Twarda sztuka. Ukończyła z pierwszą lokatą kurs CIA w Camp Peary. Bardzo dobrze wyszkolona, a przy tym skromna.

–A jak zostanie ranna albo da się złapać Rosjanom?

–Pamiętasz, Arnie, tego sukinsyna Aldricha Amesa, który sprzedał dwudziestu pięciu najlepszych agentów amerykańskich pracujących w Niemczech Wschodnich, Rosji i Rumunii?

–Nigdy go nie zapomnę.

–Otóż wydał on między innymi sprytną i inteligentną pannę Angelę Riverę, mieszkającą podówczas w pewnym berlińskim hotelu. KGB posłało do jej pokoju dwóch zbirów. Jeden wszedł do środka, drugi został pod drzwiami na czatach. Kiedy ten pierwszy długo nie wracał, drugi postanowił sprawdzić, skąd ta zwłoka i też tam dureń wszedł. Znalazł swojego kumpla na podłodze, martwego. Zaraz potem podzielił jego los. Zgarotowała obydwóch. I wróciła do Stanów. Jest teraz w Langley. Da sobie radę.

–Jezu – jęknął Arnold Morgan i na wszelki wypadek zmienił temat. – Dużo materiału wybuchowego potrzebujemy?

–Według moich obliczeń wystarczy, żeby każdy z czterech pletwonurków miał przy sobie osiem małych, pięcioletowych ładunków kumulacyjnych. Robią mało huk, ale potrafią wywalić

sporą dziurę. Sita eksplozji rozchodzi się cylindrycznie, w jednym kierunku, a nie jak w przypadku ładunków konwencjonalnych na wszystkie strony. Każdy ładunek ma własny zapalnik czasowy... bardzo, ale to bardzo dokładny. To nam daje czterdzieści funtów materiału wybuchowego na jednego człowieka i myślę, że więcej nie byliby skłonni dźwigać.

–Zwłaszcza że będą mieli milę albo i więcej do przepłynięcia... Czy ktoś sprawdził już, jak tam głęboko?

–A jak mieliśmy to sprawdzić, skoro dopiero przed siedmioma minutami flowiedziałem się o miejscu akcji.

–Jezu, ależ wy się, chłopaki, guzdrzecie – fuknął Morgan z udawaną powagą.

–Pozwól teraz – mruknął Bergstrom, puszczając tę uwagę mimo uszu – że cię zapytam, jak sobie wyobrażasz przerzut całego naszego majdanu do Rosji, a potem jego transport na te północne bezdroża? Zaznaczam, że mowa tu o siedmiuset pięćdziesięciu funtach sprzętu – to ponad jedna trzecia tony. Bez ciężarówki z podnośnikiem widłowym się nie obejdzie.

–No... Zakładałem, że przesmuglujemy to jakoś przez granicę z Finlandii, w rejonie Laani.

–Arnoldzie, tam nie ma dróg przecinających granicę z Rosją. Jest jedna długa nadgraniczna droga północ-południe, ale ona nie zahacza o terytorium Rosji. I dwie drogi, które dochodzą wprawdzie do granicy, ale tam się urywają. Jest jeszcze Unia kolejowa, ale nawet teraz Rosjanie mają ją na oku. Nie będziemy przecież przenosić tego cholernego semteksu na plecach przez zieloną granicę.

Owszem, jest szosa biegnąca z Sankt Petersburga do Pietro-zawodska. Ale wątpię, czy udałoby się nam przemycić tak wielki ładunek przez rosyjską komorę celną i wywieźć go z portu. A gdyby nas nakryli, podniósłby się wielki krzyk.

–Masz rację... To może samolotem z jakiegoś odludnego miejsca we wschodniej Finlandii prosto na miejsce akcji?

–Nie wolno nam podejmować takiego ryzyka, Amie. Rosjanie są wciąż bardzo uczuleni na wszelkie samoloty transportowe naruszające ich przestrzeń powietrzną. Zwłaszcza po tej czeczeńskiej awanturze.

–To może drogą wodną.

–Zbyt ryzykowne. Statki płynące kanałami są wielokrotnie kontrolowane. A prawda jest taka, że nie możemy sobie pozwolić na wpadkę.

–No to co byś proponował?

–Chyba helikopter... przecina granicę na małej wysokości, tuż poza zasięgiem radarów... tylko jeśli zostanie namierzony przez ich wojskowe stacje nasłuchowe, to go bez pardonu zestrzelą. Ale może trzeba będzie podjąć to ryzyko, jeśli nic lepszego nie wymyślimy.

–Jezu... To by dopiero było, gdybyśmy wpadli.

–Wiem. Ale trudno obejść ten problem.

Zatopieni w myślach krążyli po pokoju. Przez kilka minut żaden się nie odezwał. Nagle John Bergstrom zatrzymał się i odwrócił do Morgana.

–Coś mi świta, Arnie – powiedział. – Czytałeś o tym nowym wynalazku o nazwie HALO. Nie jest jeszcze do końca dopracowany, ale moi ludzie oddelegowani do firmy, która nad nim pracuje, twierdzą, że już działa.

–HALO – powtórzył Morgan. – W rozwinięciu: High Altitude, Low Opening, tak? To taki baniak zrzucający z wysokości sześciu tysięcy metrów? Chcesz gdzieś nad Rosją wyrzucić z samolotu chłopaków uwieszonych czegoś takiego? No, ja nie wiem, John.

–Nie, Arnie. Ani mi to w głowie. HALO to zasobniki nowej generacji, duże metalowe zasobniki działające na podobnej zasadzie co bomby naprowadzane laserowo na cel. Zrzucimy je z wojskowego samolotu wysoko nad Rosją – powiedzmy z dziesięciu tysięcy metrów – i naprowadzimy na cel wiązką.

–Czym naprowadzimy?

–Wiązką. Posyłamy tam naszych chłopaków – wybierają na ziemi, gdzieś na odludziu, niedaleko jeziora, miejsce zrzutu i czekają na samolot – o umówionej godzinie włączają swoje urządzenie naprowadzające. Załoga samolotu po wykryciu wiązki zrzuca zasobniki. Skomputeryzowany układ sterowania włącza małe jednostki napędowe w zasobnikach i naprowadza je prosto na miejsce zrzutu. •

–Kurczę. Sprytne. Ale mam kilka pytań.

–Słucham.

–Czy te cudeńka wbijają się w ziemię jak bomby?

–Nie. Przez większą część drogi faktycznie spadają jak kamienie. Ale nad samą ziemią otwiera się spadochron i ostatnie dwieście pięćdziesiąt metrów pokonują z szybkością około dwunastu mil na godzinę. Od momentu otwarcia spadochronu do dotknięcia ziemi upływa

zaledwie czterdzieści pięć sekund. Nawet przy silnym wie-

—

trze lądują najwyżej trzydzieści metrów od punktu, z którego wysyłana jest wiązka naprowadzająca. Jedynie huragan może je znieść dalej. Chłopcy nie tylko będą je widzieli w ostatniej fazie opadania, ale również usłyszą, jak uderzają o ziemię.

–A radar?

–Zasobniki mkną pionowo z wysokości dziesięciu tysięcy metrów z taką szybkością, że niewielkie jest prawdopodobieństwo, by Rosjanie zdążyli je porządnie namierzyć, zanim znikną im z ekranów. Podejrzewam, że uznaliby je za meteoryt albo coś w tym rodzaju.

–A ile ważą?

–Zdaje się, że po dwieście pięćdziesiąt funtów każdy. Naturalnie, są zaopatrzone w uchwyty, za które dwóch ludzi może je bez trudu przenosić.

–I co potem? Zakopuje się je na skraju lasu?

–Jakbyś zgadł. Chłopcy otwierają zasobnik i na początek wyjmują z niego tylko dwie łopaty, po czym zamykają zasobnik z powrotem, zakopują go i odchodzą. Czeka tam na nich, aż pewnej nocy po niego wrócą.

–Widzę jeszcze jeden problem, John. Jak wytłumaczymy Rosjanom, że wysyłamy wojskowy samolot transportowy w ich przestrzeń powietrzną?

–To bardzo proste. Jeśli zachowane są odpowiednie środki ostrożności, nie da się odróżnić samolotu wojskowego od zwykłego, chyba że wyśle się myśliwiec przechwytyjący w celu dokonania identyfikacji wzrokowej. A wątpię, żeby to zrobili.

Dowódca SEAL podszedł do wielkiego stojącego w kącie globusa i połączył dwa leżące po jego przeciwnych stronach punkty elastyczną taśmą mierniczą, przeprowadzając ją przez wierzch.

–Spójrz tylko – powiedział. – Trasa polarna z Los Angeles do Emiratów Arabskich nad Zatoką Perską przebiega dokładnie nad prawą stroną jeziora. Zwracamy się do dyrektora jednej z linii lotniczych, której samoloty latają tą trasą, i każemy mu wystąpić do Rosjan o wydanie pozwolenia na przelot danej nocy samolotu pasażerskiego. Nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, żeby węszyć w tym jakiś podstęp. A zamiast pasażerskiego boeinga na pułapie pięciu mil poleci wojskowy transportowiec.

–Czy już ci mówiłem, że masz zadatki na geniusza? – spytał Arnold Morgan.

–Nie przypominam sobie – odparł admirał Bergstrom.

–Naprawdę przetestowali już ten zasobnik? – spytał Morgan. – Na przykład gdzieś na pustyni? I osiągnęli rezultat, o którym mówisz?

–Nie mam jeszcze raportu na piśmie, ale byli przy tym dwaj moi ludzie i mówią, że to istny cud. Zasobniki spadły z dziesięciu tysięcy metrów i wylądowały kilka metrów od generatora wiązki.

–No to mamy już plan, John. Tą drogą pójdziemy. Gdzie są w tej chwili chłopcy?

–W hotelu w śródmieściu Helsinek. Czekają na sygnał. Kiedy nadejdzie, przepłyną na drugą stronę Zatoki Fińskiej do Sankt Petersburga i wsiądą na wskazany przez nas statek wycieczkowy. Mają bardzo dobre dokumenty i paszporty.

–Świetnie. Poproszę CIA, żeby zajęło się rezerwacją miejsc na te statki. Myślę, że najbezpieczniej będzie zacząć czwartego dnia od przybycia Tolkaczy do stoczni Czerwone Sormowo. Bo teoretycznie mogą od razu przystąpić do załadunku i ruszyć w drogę. Chociaż w to wątpię.

–Masz rację. Chyba wyślę do Helsinek jakiegoś doświadczonego podoficera. Niech bierze dwóch chłopaków z SEAL i wsiada z nimi na pierwszy statek płynący na jeziora.

Musimy działać szybko. Za dwa dni zasobniki powinny już tutaj być. Jeszcze tego samego dnia załadujemy je sprzętem i przygotujemy do drogi. Tego podoficera jutro wyślę samolotem do Helsinek. Co prawda mamy prawdopodobnie dwa tygodnie czasu, ale lepiej dmuchać na zimne.

–Jeszcze jedno, John. Czy nie trzeba czasem opracować dokładnego harmonogramu operacji, żeby grupa rozpoznawcza wiedziała, kiedy ma zejść ze statku wycieczkowego i udać się na miejsce zrzutu? *

–Właściwie nie. Przecież rejs przebiega według ustalonego rozkładu, będziemy zatem wiedzieli dokładnie, którego dnia i o której godzinie dotrą do Zielonego Przystanku, zanim jeszcze statek ruszy w drogę. Wystarczy zadbać, by samolot transportowy pojawił się nad miejscem zrzutu dwie godziny później. Chłopcy zejść ze statku pod pozorem odbycia spaceru, wybiorą miejsce zrzutu i włączą wiązkę, a my już dopilnujemy, żeby samolot pojawił się tam o właściwej porze. Jeśli się spóźni, to najwyżej chłopcy poczekają godzinę dłużej. To bez znaczenia. Najważniejsze, żeby nie nadleciał za wcześnie, bo nie może zbyt długo

przebywać w rosyjskiej przestrzeni powietrznej. Ale do tego raczej nie dojdzie.

–Ja też tak myślę, John. Musimy to zorganizować bez pudła. Reszta w rękach twoich fok... A właśnie, jak ich stamtąd ewakuujemy? Przecież nie wsiądą z powrotem na statek, prawda?

–Grupa rozpoznawcza owszem. Powrót do Sankt Petersburga trwa bardzo krótko. Statek płynie z szybkością od dwudziestu do dwudziestu pięciu węzłów, nie zatrzymując się już nigdzie po drodze. Grupa dywersyjna oczywiście na statek nie wróci. Zabierzemy ich znad jeziora jakąś małą ciężarówką. Będą się podawać za turystów wędrujących po ziemi swoich przodków. Nie zwrócą niczyjej uwagi. To zupełne odludzie. Czujność rosyjskich władz na te tereny się nie rozciąga.

–Sytuacja może się nieco zmienić, kiedy eksplodują ładunki.

–To prawda, Arnie, ale wtedy nas już tam dawno nie będzie.

–A co potem? Cokolwiek się stanie, rozpęta się wielka wrzawa.

–To już twój problem. Ja mam tylko wysadzić w powietrze trzy małe rosyjskie okręty podwodne o napędzie dieslowsko-elektrycznym. I sldzę, że potrafię tego dokonać. Wrzawa będzie natury politycznej. A to twoja działka. Może niech CIA nad tym popracuje.

–Tak. Chyba tak. Oburzymy się... wyrazimy ubolewanie, zasiejemy u Rosjan ziarno wątpliwości, czy to aby nie robota tych Czeczenów albo jakiejś grupy fundamentalistycznej. Nie jesteśmy przecież jedynym krajem, któremu nie zawsze w smak polityka Moskwy.

–Tak, Arnie. Nie jedynym. Ale tylko my daliśmy wyraźnie do zrozumienia, że nie życzymy sobie, by te Kilo dotarły do Chin. Mam przecucie, że właśnie to wzmoże czujność Rosjan.

–Nie przypuszczam też, by chińska marynarka wojenna wydała przyjęcie na cześć personelu ambasady amerykańskiej w Pekinie.

«

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jezioro miało w tym miejscu szerokość pięćdziesięciu mil. „Michaił Lermontow” płynął samym jego środkiem na północ z szybkością dwudziestu pięciu węzłów. Było wczesne popołudnie pierwszego maja, wiosenne niebo zasnuwała gruba warstwa szarych chmur spychanych na północny wschód przez lekką bryzę, co zwiastowało rychłe nadejście deszczu znad zimnego Bałtyku, gdzie lało jak z cebra zarówno w Helsinkach, jak i Sankt Petersburgu.

–Ta pogoda – burknął komandor porucznik Rick Hunter -może nam cholernie namieszać. –

Skulony siedział z dwoma kolegami w kącie małego barku na pokładzie trzecim, na samej rufie dużego, niebiesko-białego statku wycieczkowego. – Jeśli lunie tak, jak się na to zanoszą, to diabli wezmą ten nasz wypad w plener. Ale nie da się już zawrócić.

Rick Hunter był człowiekiem nieprzeciętnym. Wybrano go na dowódcę drużyny SEAL z grona równie nieprzeciętnych ludzi, bo instruktorzy i dowódcy dostrzegli w nim coś wyjątkowego. Uznali, że ten pochodzący z Kentucky komandor porucznik o chłodnych, jasnoniebieskich oczach potrafi wyrobić sobie autorytet u podwładnych i będzie traktował problemy swoich ludzi jak własne.

W Coronado i w macierzystej bazie Little Creek w Wirginii cieszył się wielką popularnością. Między innymi dlatego, że jak nikt inny znał się na koniach wyścigowych. W ciągu ostatnich czterech lat trzy razy bezbłędnie wytypował zwycięzcę Kentucky Derby: dwa z tych koni były co prawda faworytami, ale na trzeciego przyjmowano zakłady 20:1. Dla młodych komandosów z SEAL komandor porucznik Hunter był idolem.

Jego ojciec, Bart Hunter, właściciel stadniny koni pełnej krwi w Versailles Pike, niedaleko Lexington, do tego fanklubu nie należał. Nie mieściło mu się w głowie, że najstarszy syn ani myśli wracać do domu i tak jak on, a przed nim jego ojciec, poświęcić

się hodowli koni. Nie potrafił zrozumieć trzydziestopięcioletniego Ricka, który od ukończenia piętnastego roku życia powtarzał mu rok w rok: „Tato, to nie dla mnie. Nie będę przez cały rok chodził przy źrebakach i z duszą na ramieniu czekał na doroczną aukcję w Keeneland, bo od niej zależy, czy będziemy mieli co do garnka włożyć. Ja muszę działać. W końskim interesie mógłbym być co najwyżej dżokejem. Ale to niemożliwe”.

Rzeczywiście nie było to możliwe. Rick Hunter miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył dwieście piętnaście funtów, czyli tyle, co dwaj dżokeje. Od dziecka czuł się w wodzie jak ryba; na Uniwersytecie Vanderbilta w pływaniu nie miał sobie równych, mało brakowało, a znalazłby się w reprezentacji kraju na olimpiadę 1988 roku – ale porzucił niespodziewanie studia i rok później został przyjęty do Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis.

Odziedziczona po przodkach farmerska krzepa połączona ze zmysłem orientacji i oswojeniem z wodą czyniły z niego naturalnego kandydata do służby w formacji SEAL. To, że był świetnym strzelcem i człowiekiem od młodych lat nawykłym do kierowania ludźmi na dwutysięcznoakrowej farmie w Kentucky, sprawiło, że od samego początku dostrzeżono w nim potencjalnego dowódcę drużyny. Rick Hunter nie zawiódł tych oczekiwań.

Siedział teraz w barku „Michała Lermontowa” i patrzył ponuro przez wielkie okno rufowe na ołowiane niebo. Szlag by to trafił – myślał – zapowiada się ciemna noc. Nawet księżyc w pełni nie przebije się przez te chmury. Diabli nadali.

Nie było to może słownictwo młodego intelektualisty, którego nazwiskiem ochrzczono statek, ale Rick Hunter cholernie dobrze rozumiał tego romantycznego, dziewiętnastowiecznego autora pierwszej rosyjskiej powieści psychologicznej Bohater naszych czasów, który zmagał się głównie z bliźniaczymi demonami frustracji i osamotnienia. A rozumiał go zwłaszcza teraz.

Zwiedził z tiwoma kolegami małe muzeum poświęcone krótkiemu życiu Lermontowa – każdy rosyjski statek wycieczkowy jest obecnie czymś w rodzaju kulturalnego parku tematycznego przybliżającego pasażerom osobę, której nazwisko nosi. Trzech komandosów SEAL zainteresowała zwłaszcza ilustrowana rekonstrukcja śmierci Lermontowa, który zginął w pojedynku w wieku dwudziestu sześciu lat.

Po oddaniu pierwszego strzału powinien był paść na ziemię i odtoczyć się w prawo – pomyślał starszy bosman Fred Cernic –

a potem zerwać się i skoczyć na tamtego z nożem, odbijając się z prawej nogi... ostrze w przód, jedno pchnięcie...

–Gdyby odpowiednio go wyszkolono, żyłby prawdopodobnie do dzisiaj – powiedział głośno.

–Tak, na pewno – mruknął Rick. – Miałby teraz ze dwieście lat.

Trzecim z tej trójki był porucznik Ray Schaeffer, szczupły, ciemnowłosy dwudziestoosmiolatek z Marblehead w Massachusetts, gdzie jego rodzina mieszkała od czasów wojny o niepodległość. Przodek Schaeffera siedział przy jednym z wiosł w łodzi, którą mieszkańcy Marblehead wieźli generała Waszyngtona uchodzącego na Manhattan po przegranej bitwie o Long Island. Ray szczycił się swoim dziedzictwem. Jego ojciec był szyprem na łodzi rybackiej, a głęboko religijna katolicka rodzina Schaefferów mieszkała od pokoleń niedaleko portu w sporym, pomalowanym na biało domu w stylu kolonialnym.

Ray przyszedł do Annapolis prosto ze szkoły średniej. Ten doskonały, od małego zżyty z morzem nawigator, pływak i bokserki mistrz plutonu w wadze średniej był urodzonym komandosem SEAL. Podobnie jak Rickowi Hunterowi, i jemu wróżono błyskotliwą karierę w tym nietypowym rodzaju amerykańskich sił zbrojnych.

Wszyscy trzech podróżowali rosyjskimi szlakami wodnymi na fałszywych paszportach i pod przybranymi nazwiskami. By uniknąć głupich wpadek, zachowali jednak prawdziwe imiona. Nikt nie rozpoznałby w nich wojskowych. Starali się unikać kontaktu z innymi pasażerami, choć nie do końca im się to udawało. Taka, na przykład, pani Jane Westenholz, szczupła, ciemnowłosa rozwódka i jej sarnooka, dziewiętnastoletnia córka Cathy z Greenwich w stanie Connecticut interesowały się wyraźnie Rickiem i jego kolegami. Pani Westenholz zwracała się do nich jak do trójki fryzjerów, per drodzy Ricky, Freddie i Rayu, co z pewnością ubawiłoby setnie admirała Bergstroma.

Komandor porucznik Hunter spojrział na zegarek. Do Zielonego Przystanku, gdzie mieli dotrzeć o 19.30, pozostało jeszcze cztery godziny drogi. Wieczór zapowiadał się ponury i wilgotny. Statki kursujące według wiosennego rozkładu cumowały przy molo, a pasażerowie schodzili na ląd dopiero rano i jeśli pogoda na to pozwalała, przed powrotem na południe, do Sankt Petersburga, spożywali na brzegu posiłek przy ognisku.

Rick wyczuł, że statek zmienia kurs na zachodni, by zgodnie z programem wycieczki przepłynąć obok wyspy Kizy, która stała się skarbem narodowym, swego rodzaju muzeum drewnianej architektury. Część statków zatrzymuje się tam na długi, czterogodzinny postój, podczas którego pasażerowie mogą zwiedzić trzy osiemnastowieczne cerkwie oraz inne historyczne budowle znajdujące się na wyspie oraz pooddychać atmosferą wyspy, gdzie przed trzystoma laty czas w zasadzie się zatrzymał. „Michaił Lermontow” nie dobijał do Kizy, przepływał tylko obok, ale wyspa ta jest miejscem jedynym w swoim rodzaju i w fotografii cebulowatych kopuł cerkwi, które się na niej wznoszą, zdobią każdy przewodnik po wielkim jeziorze Onega.

Trzej komandosi z SEAL włożyli kurtki, wcisnęli na głowy czapeczki baseballowe, zapłacili młodemu rosyjskiemu kelnerowi, dorzucając spory napiwek, i wyszli na pokład, by popatrzeć na wyspę. Fred miał ze sobą aparat fotograficzny. Stanęli przy relingu po prawej burcie i bosman zaczął im pstrykać zdjęcia. Ray orzekł, że przy tym kiepskim oświetleniu nic z nich nie wyjdzie. Pani Westenholz, która pojawiła się na pokładzie w jaskrawoczerwonym płaszczu przeciwdeszczowym i jasnożółtych kaloszach, upomniała trzech „chłopców”, że nie powinni moknąć na deszczu, bo, jeszcze się przeziębą w tej okropnej rosyjskiej pogodzie.

–Bez obawy, proszę pani – odparł uprzejmie Ray – u siebie, w Kentucky, od małego chodziłem po polach w strugach deszczu. Uodporniłem się, tylko czasami powieki mi trochę rdzewieją.

Pani Westenholz zaniósła się piskliwym śmiechem i otworzyła szeroko ciemne oczy.

–Ale to nie jest nasz poczciwy amerykański deszcz – powiedziała. – To deszcz rosyjski, który jest zimniejszy i nadciąga z Arktyki. Przemarzniez na nim do szpiku kości.

–Niech się pani o niego nie martwi – wtrącił się drogi Ray. – Zimno naprawdę się go nie ima. Jest na nie nieczuły.

–Oooh – westchnęła Jane Westenholz. – A mnie się wydaje, że on potrafi być#bardzo czuły... ale wracajmy może do środka. Rozgrzejemy się kawą i kieliszkiem brandy.

Bosman Cernic przyznał w duchu, że nie miałby nic przeciwko temu. Przyznawał też po cichu, że nie miałby nic przeciwko zawarciu bliższej znajomości z panią Westenholz. Niestety ona wyraźnie upatrzyła sobie wielkiego, jasnowłosego dowódcę drużyny z Kentucky. Fred zdawał sobie również sprawę, że ze

swoimi czterdziestoma czterema latami nie ma raczej szans u ładnej córeczki. Żona i trzej synowie, których zostawił w San Diego, zapewne by się z tego ucieszyli.

Rick uśmiechnął się do Jane Westenholz.

–Dobrze... niech nam pani zajmie miejsca w barku na rufie. Będziemy tam za pięć minut. Ale brandy proszę nie zamawiać. Zapomniałem pani powiedzieć, że nasz kolega Fred jest właśnie na odwyku. Robił się nie do zniesienia już po jednym kieliszku... A my z Rayem staramy się pomóc mu przez to przebrnąć i nigdy nie pijemy w jego obecności.

Bosman Cemic uniósł brwi zbulwersowany tym bezczelnym łgarstwem.

–Och, mój drogi Freddie – zatroskała się pani Westenholz -nie wolno nam dopuścić, żebyś wrócił do nałogu, prawda?

Ray Schaeffer pokręcił głową.

–Jezu – mruknął pod nosem – to babsko może nam jeszcze porządnie namieszać. Kto wie, czy nie skończy się na tym, że będziemy musieli wyrzucić ją razem z córeczką za burtę.

To samo przemknęło przez myśl Rickowi Hunterowi, choć prawdę mówiąc wolałby wypełnić tę misję, nikogo nie eliminując.

–Musimy się jakoś od niej odczepić, i to najlepiej jeszcze dzisiaj – powiedział cicho.

Dziesięciotysięcznotonowy „Michaił Lermontow” zawrócił na południowy wschód, kierując się ku wąskiej cieśninie oddzielającej Cypel Bodzaskina od Wyspy Kurgenica, za którą znajduje się wejście do głównego, pięćdziesięciomilowego kanału północ-południe prowadzącego do Kanału Białomorskiego.

Kiedy odwrócili się rufą do Kiży, deszcz ustał i powierzchnia jeziora zalśniła w bladych promieniach zachodzącego słońca. Ale na południowym zachodzie nadal wisiały zwały chmur. Zamierająca popołudniowa bryza przyhamowała trochę przesuwaną się na północny wschód układ niżowy, ale komandor porucznik Hunter miał złe przeczucia co do pogody i już wzdrygał się na samą myśl o warunkach, w jakich w nocy prawdopodobnie przyjdzie pracować drużynie.

Dla Ricka ta obca okolica była tylko strefą operacji i starał się patrzeć na nią bez emocji. Ale widok wzgórz na zachodnim brzegu połyskliwie srebrnego jeziora, spowitych w całun purpurowej mgiełki, musiał zachwycać każdego, kto pierwszy raz oglądał ich dziewicze piękno. Komandor porucznik, któremu nieobce były

zapierające dech w piersiach dzikie krajobrazy, pokręcił głową na myśl o trzech rosyjskich okrętach podwodnych, które sunęły gdzieś po tych wodach niczym wstrętne czarne ślimaki.

Światło dnia znowu zaczęło przygasać i zrobiło się chłodniej. Trzej komandosi z SEAL opuścili pokład i poszli do bado na rufie, gdzie nad dwoma wielkimi dzbanami kawy i talerzem małych pasztecików siedziały już Jane Westenholtz i Cathy. Rick i Fred, którzy w miarę zbliżania się do Zielonego Przystanku coraz bardziej się denerwowali, sączyli tylko kawę. Ray, przeświadczony, że potrafi wyjść cało z każdej opresji, pochłonął w imponującym tempie siedem pasztecików.

O godzinie 18.00 bar był już zapełniony i bardzo zadymiony. W powietrzu unosiły się aromatyczne zapachy kawy i alkoholu. Wielu ze stu czterdziestu Amerykanów znajdujących się na pokładzie zachodziło tu wieczorem na drinka przed kolacją, którą w wiosennych tygodniach podawano wcześniej i w jednej turze. Latem, kiedy turyści zajmowali wszystkie trzysta miejsc, były dwie tury. Jeszcze większy tłok panowi w dużym barze – w kształcie końskiej podkowy – na dziobie, gdzie później miał występować rosyjski zespół folklorystyczny, a potem przewidywano dyskotekę dla młodszych pasażerów, których na statku było szesnaścioro.

Na zewnątrz znowu siąpił deszcz, trzy jasno oświetlone górne pokłady lśniły w zacinającej mżawce. Rick Hunter dostrzegł zapalające się latarnie ostrzegawcze u wejścia do szerokiego kanału. Martwił się o stan terenu w strefie zrzutu, o błoto i kałuże, w których zapewne przyjdzie im brodzić. A jeszcze bardziej martwił się o powrót na statek, bo przecież będą musieli wyglądać w miarę normalnie. Zapowiadała się długa, ciężka noc.

Rozszczebiotana Jane Westenholtz zaproponowała trzem Amerykanom zjedzenie kolacji z nią i z córką w dużej stołówce. Zaskoczony Rick, nie mogąc się już wykręcić alkoholizmem Freda, przyjął zaproszenie i umówił się z panią Westenholtz na 19.30. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że mniej więcej o tej godzinie statek ma przybić do mola na Zielonym Przystanku i że spóźni się na tę kolację, bo musi przecież wyznaczyć odbiornikiem GPS współrzędne „miejsca postoju... i ustaliwszy, że są właściwe, rozejrzeć się dobrze po okolicy.

Kiedy już zupełnie się ściemni, będą się mogli orientować tylko według cyferek wyświetlanych przez GPS. Na podstawie danych zebranych przez Fort Meade, miejsce postoju „Michała

Lermontowa" powinno mieć współrzędne 62,38N i 34,47E. Takie wskazanie musi ujrzeć Rick po włączeniu odbiornika nawigacji satelitarnej. Cztery godziny później, jakieś pięć mil na północny zachód od tego miejsca, trzej komandosi z SEAL muszą „zapalić” pośrodku jakiegoś rosyjskiego wygwizdowa swoją elektroniczną latanę i modlić się, żeby zauważyło ją laserowe urządzenie naprowadzające zainstalowane w zasobnikach. I to zauważyło dokładnie o 23.30. Czyli za pięć godzin od tej chwili.

W czasie gdy płynący jeziorem statek wycieczkowy mijał nadbrzeżne miasteczko Sunga, dwustudwudziestotonowy bombowiec dalekiego zasięgu B-52H amerykańskich sił powietrznych mknął z szybkością czterystu czterdziestu mil na godzinę na wysokości trzynastu i pół tysiąca metrów nad arktycznym kręgiem polarnym.

Siedzący za sterami podpułkownik Al Jaxtimer, doświadczony pilot z 5 Skrzydła Lotnictwa Bombowego stacjonującego w bazie sił powietrznych Minot w Dakocie Północnej, koncentrował się na utrzymaniu zadanej prędkości w silnych prądach powietrza. Dla niego i dla załogi – drugiego pilota majora Mike'a Parkera, oficera walki elektronicznej kapitana Charliego Ullmana oraz dwóch nawigatorów, poruczników Chucka Rydera i Sama Segala (radarowca) – był to długi, trudny dzień.

Najpierw przeprowadzili swojego B-52H z Minot do bazy sił powietrznych Edwards na północ od Los Angeles. Wylecieli stamtąd rankiem o 10.00 czasu moskiewskiego; w Kalifornii była wtedy 23.00 poprzedniego wieczoru. Wysoko w powietrzu czekał na nich samolot-cysterna z bazy Edwards. Zatankowali i z pełnymi zbiornikami skierowali się na północ. Do przelecenia mieli dziesięć tysięcy mil z niewielkim obciążeniem – na cały ładunek składał się sprzęt o wadze siedmiuset pięćdziesięciu funtów plus ważące sto osiemdziesiąt funtów spadochrony. W luku bombowym znajdowały się tylko trzy dwustupięćdziesięciofuntowe zasobniki w kształcie bomb, przymocowane do czarnych pokrowców ze złożonymi spadochronami. Każdy z zasobników został załadowany przez starszych podoficerów z Coronado według szczegółowego wykazu pozycji; w skład każdego zestawu, prócz broni i materiałów wybuchowych, wchodziły również dwie łopaty, latarki oraz ręczniki w szczelnych plastikowych torbach.

Trasa do punktu zrzutu na zachodnim brzegu jeziora Onega wiodła nad lodową czapą bieguna północnego i przez kilka stref

czasowych. Żaden z pięciu członków załogi nie odczuwał znużenia ani zmęczenia, bo nie pozwalał na to wysoki poziom adrenaliny. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że najmniejszy błąd może doprowadzić do bardzo kłopotliwego dla USA kryzysu międzynarodowego i nawet nie dopuszczali do siebie myśli, że ich bombowiec mógłby się stać tego przyczyną.

Teraz była 18.30 czasu moskiewskiego. Stratoforteca B-52H -olbrzymia szara maszyna długości pięćdziesięciu metrów, rozpiętości skrzydeł pięćdziesięciu sześciu metrów i charakterystycznym spłaszczonym dziobie przywodzącym na myśl pysk rekina – przelatywała właśnie nad północnym wybrzeżem Grenlandii.

Pułkownik Jaxtimer prowadził samolot ze stałą szybkością w kierunku Morza Barentsa. Ze wskazań komputera wynikało, że trzymają się ściśle rozkładu, chociaż celowo lecieli trzy i pół tysiąca metrów wyżej, żeby oszczędzać paliwo. Spodziewany czas przybycia do strefy zrzutu przy zachowaniu obecnej szybkości: 23.36, sześć minut spóźnienia. Za cztery godziny i sześć minut B-52H wejdzie w rosyjską przestrzeń powietrzną.

Major Mike Parker miał w torbie oficjalny plan lotu zgłoszony formalnie przez linie American Airlines poprzedniego dnia. Plan ten opisywał rutynowy rejs pasażerski numer AA294 trasą polarną z międzynarodowego portu lotniczego w Los Angeles do Bahrajnu. Wymieniano w nim boeinga 747, który o godzinie 23.00 wystartuje z LA i weźmie kurs na norweski Przylądek Północny. Spodziewany czas wejścia z fińskiej w rosyjską przestrzeń powietrzną, czterysta mil na zachód od Murmańska: 22.30 czasu moskiewskiego. Dalej następował krótki opis przelotu nad Rosją. Maszyna miała minąć od wschodu Moskwę, a następnie, lecąc nad Kaukazem i Iranem, dotrzeć do Zatoki.

Podczas przelotu nad północną Europą major Parker będzie się meldował służbom kontroli ruchu powietrznego w każdej kolejnej strefie. Najpierw norweskim. Potem fińskim. Wreszcie rosyjskim. B-52H nie włączy swojego wojskowego radaru. Po zejściu na wysokość dziesięciu tysięcy metrów zostaną uznani za kierujący się na południe duży odrzutowiec pasażerski z oficjalnie zgłoszonym planem lotu. A przynajmniej tak powinno się stać. Rejsowe samoloty pasażerskie nie są z reguły identyfikowane nad Rosją wzrokowo, a już na pewno nie w nocy.

Jane Westenholz dołała trzem komandosom z SEAL kawy, po czym wstała i oznajmiła, że idą z Cathy przebrać się do

kolacji i że o 19.30 oczekuje ich przy stoliku w stołówce. Rick też wstał i zapewnił ją, że przyjdą na pewno, i zapytał, czy ma uprzedzić personel stołówki, że zmieniają stolik... bo konserwatywny rosyjski szef kelnerów „Lermontowa” zaskoczony takim poważnym odstępstwem od normy gotów się zupełnie pogubić.

Jane uśmiechnęła się i powiedziała, że sama to załatwi. Odprowadzili ją wzrokiem, przy czym Fred Cemic nieco bardziej poządlwym niż koledzy. Jak się z tego, cholera, wyplatać? – zachodził w głowę porucznik Schaeffer.

Ale nie zamienili ze sobą na ten temat ani słowa. Komandosom z SEAL wpaja się od początku, że wszędzie mogą być ukryte mikrofony. W uszach dźwięczą im zawsze słowa instruktorów z Coronado: „Jeśli stoicie w trzyosobowej grupce pośrodku prerii i wydaje wam się, że waszej uwagi nie ujdzie żadne poruszenie w promieniu pięciu mil, TO NAWET WTEDY ZAKŁADAJCIE ZAWSZE, ŻE W JAKIEJŚ PIEPRZONEJ NORZE O DWA KROKI OD WAS SIEDZI ZASRANY ROSYJSKI SZPIEG Z MIKROFONEM... ZROZUMIANO?”.

I teraz, na pokładzie rosyjskiego statku, pamiętali na każdym kroku o konieczności zachowania milczenia. Wiedzieli instynktownie, że nie mogą rzucać się w oczy i że muszą zachowywać się w miarę normalnie; że ta kierująca się dobrymi intencjami, ale irytująca dama, opowiadając potem komuś o wycieczce, nie może ich źle wspominać.

Fakt, trochę mieszała im szyki, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby poskarżyła się komuś, że byli w stosunku do niej gburowa-ci i jacyś dziwni, albo że fiodejrzanie się zachowywali, i w ten sposób zwróciła na nich czyjąś uwagę. Na statku było kilku oficerów, co do których istniało uzasadnione podejrzenie, że służyli kiedyś w siłach zbrojnych byłego Związku Radzieckiego.

Odnosiło się to zwłaszcza do pewnego wyższego urzędnika, którego zachowanie sugerowało, że jest przedstawicielem armatora i w hierarchii stoi wyżej od samego kapitana statku. Zwracano się do niego per pułkownika Karpow i Rick podejrzewał, że to były funkcjonariusz KGB. Mężczyzna ten był szczupły, miał gładką skórę, jasne oczy i jasną cerę. Prezentował się bardzo elegancko w cywilnym ubraniu i był wobec wszystkich przesadnie ugrzeczniiony. Stanowił wzorzec „nowego rosyjskiego mężczyzny”, który dobrze się czuje w postkomunistycznej rzeczywistości, był całkowitym przeciwieństwem dawnych, bladoliczych

lumpenurzędników, którzy w latach sześćdziesiątych przyporzyli temu krajowi złej sławy.

Pułkownik Karpow miał około czterdziestu pięciu lat i mógłby uchodzić za bożyszczę kobiet, gdyby czegoś mu nie brakowało. Niby flirtował z najatrakcyjniejszymi pasażerkami, włączając w to panią Westenholz, ale robił to jakoś bez przekonania, jakby na siłę. Cathy Westenholz, która jesienią rozpoczynała studia na wydziale psychologii Uniwersytetu Yale, zwierzyła się matce, że pułkownik Karpow wygląda jej na „seksualnie podejrzanego”.

Rick Hunter zaś widział w nim osobnika „cholernie niebezpiecznego”, czujnego, ostrożnego i przebiegłego. Pozdrawiał go zawsze, kiedy się spotykali, ale wolał obserwować pułkownika z daleka. Podejrzał, że uwagi tego człowieka nie uchodzi nic, co dzieje się na pokładzie „Michała Lermontowa”.

Zdawał sobie sprawę, że nie wolno im nawet rozważać możliwości pozbycia się go, nawet gdyby zaczął wtykać nos w nie swoje sprawy. Bo po takim zabójstwie na statku zarięłyby się od razu od ludzi z KGB. A wtedy byłoby po nich. Nie, muszą jak zawsze zachowywać jak najdalej idącą ostrożność. Pułkownik nie może zobaczyć, usłyszeć ani wywęszyć niczego podejrzanego. I komandor porucznik Rick Hunter będzie dalej wałęsał się po statku, udając gapowatego cywila, i z całych sił będzie się starał unikać pułkownika Karpowa. Spróbuje również nie zrazić do siebie pani Westenholz.

O 19.40 Fred Cernic wyczuł zmianę w pracy silników. Statek wycieczkowy zwalniał. Zapadł już zmierzch i przez duże kwadratowe okna niewiele było widać, ale Ray Schaeffer domyślał się, że zbliżają się do lądu. Lampy na pokładzie podświetlały zacinającą wciąż mżawkę. Trzej komandosi z SEAL nałożyli kurtki i czapeczki baseballowe – na czapce Ricka widniało duże „C”, symbol Cincinnati Reds, Fred miał czapkę w barwach drużyny Dodger Blue, a czapkę Raya zdobiła czerwono-biała litera „B” na granatowym tle, godło Boston Red Sox.

Po obu stronach drugiego z górnych pokładów biegły zadaszone galeryjki, ale ławeczek na rufie nic nie osłaniało przed padającym deszczem. Na pokładzie nie było żywej duszy. Oparli się o reling, udając, że wpatrują się w spienioną wodę bijącą o burty statku, ale tak naprawdę próbowali przeniknąć wzrokiem ciemności i wypatrzeć linię brzegową.

Ray Schaeffer nie miał wątpliwości, że dzieli ich od niej co

najwyżej dwieście metrów. Silniki przycichły, statek praktycznie już samą siłą rozpędu sunął ku Zielonemu Przystankowi. Nadal nie widzieli brzegu, ale nie było w tym nic dziwnego, bo tereny przyległe do północnych brzegów jeziora Onega to płaskie pastwiska i pola uprawne. Poza tym nie dość, że padało, to jeszcze bardzo wysokie trawy i szuwary rozmywały kontury brzegu.

Wszyscy trzej spojrzeli w górę, kiedy kapitan zapalił dwa silne reflektory na dziobie. Wychylając się przez reling, Ray dostrzegł szare, niskie molo wybiegające z brzegu w jezioro; wznosiło się najwyżej metr ponad sieczoną deszczem wodą.

–No, jesteśmy – mruknął. – Dobijamy. Mam nadzieję, że opuszczą zaraz trap i będzie można zejść po nim na ląd.

„Michaił Lermontow” dobił łagodnie do mola. Prawy silnik ryknął na wstecznym biegu i statek znieruchomiał.

–Skubaniec nie pierwszy raz to robi – mruknął porucznik Schaeffer.

Cofnęli się pod ścianę nadbudówki. Rick Hunter wyciągnął z kieszeni mały, czarny odbiornik GPS i włączył go. W ciemnościach rozjaśniło się bladą zielenią okienko wyświetlacza. Rick wyciągnął rękę. Generowana przez aparacik wiązka szukała wiszącego na wysokości dwudziestu dwóch mil satelity. Upłynęła minuta, potem jeszcze trzydzieści sekund i na wyświetlaczu pojawiło się wskazanie: „62,38N, 34,47E”.

–Jak w pysk dał – stwierdził Rick, wyłączając GPS i chowając go z powrotem do kieszeni. – No i co my tu widzimy?

–Niewiele – odparł Ray. – Tylko to światełko jakieś pięćdziesiąt metrów w lewo od miejsca, gdzie opadnie trap. Widzicie? Tam... – Pokazał palcem nad wysokimi trawami i teraz wszyscy dostrzegli słabą poświatę, która to się pojawiała, to znów znikiała, przesłaniana prawdopodobnie przez rozkołysane gałęzie drzewa.

–To chyba jakiś dom – powiedział bosman Cernic. – Albo sklepik. Zabudowań tu raczej niewiele. Mówią, że to rezerwat przyrody, dzikie ptactwo, lasy, łąki i w ogóle... i każdy może tu poddychać prawdziwą naturalną atmosferą Rosji.

–Tak – mruknął Rick. – Ale ktoś tu chyba handluje pamiątkami dla turystów; jest też podobno kafejka, gdzie pasażerowie mogą się napić kawy, brandy, zjeść kielbasę...

–Nawet jeśli, to przy tej pogodzie i tak wszystko jest pewnie pozamykane – powiedział Ray. – Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby nikt poza nami nie zszedł dzisiaj ze statku.

–Obyś się mylił – burknął Fred i w tym momencie usłyszeli metaliczny łomot, z jakim trap opadł na brzeg. Przeszli na lewą burłę. W poświacie sączącej się z okien statku zobaczyli drogę gruntową, a na niej gromadkę ludzi, prawdopodobnie pracowników przystani i miejscowych, którzy zbiegli się tu zarobić na turystach parę dolarów. Marynarze ze statku pozdrawiali ich okrzykami.

–Mogłoby przestać padać – powiedział Rick, odwracając się. – I jak tu się urwać Jane o dziewiątej? Nigdy nie uwierzy, że idziemy się przejść... Trzeba coś wymyślić.

–Zaraz. Zrobiłeś ze mnie alkoholika. Może powie jej, że zapadłem na tropikalną gorączkę albo coś równie egzotycznego i muszę się wcześniej położyć? – zaproponował Fred. – A wy nie chcecie mnie zostawiać samego.

–A nie lepszy byłby AIDS? – podsunął Ray.

–Wypchaj ty się ze swoimi radami. Pijaka mogę jeszcze odstawić, ale pijaka i cioty ze mnie nie zrobisz. Do tego stopnia się nie upokorzę. Moja żona dostałaby zawału.

–Dobrze już, dobrze – powiedział z uśmiechem Ray. – Zostawcie to mnie. Wykombinuję coś wiarygodnego.

Ruszyli w stronę stołówki. Przeprosili Jane i jej córkę za spóźnienie, bo dochodziła już 19.45. Kolacja, jak wszystkie posiłki na statku, była niewyszukana i obfita, o całe lata świetlne lepsza niż to, czym karmiono w byłym Związku Radzieckim w latach 70. i 80., ale nadal wiele jej brakowało do kolacji amerykańskiej. Młoda rosyjska kelnerka ze wszystkich sił starała się dogodzić pasażerom. Pani Westenholz zamówiła butelkę czerwonego bułgarskiego wina, ale Rick pokręcił głową i nachylając się do niej, szepnął konspiracyjnie:

–My dziękujemy... nie przy Fredzie. Może później. Chłopak nie czuje się dzisiaj najlepiej.

Porucznik Schaeffer z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Fred dał mu sójkę w bok. A rozwódka z Connecticut szepnęła do dowódcy drużyny SEAL:

–Oczywiście, Ricky. – Tu przelotnie musnęła palcami jego dłoń i dodała: – Może później.

Zamówili ukraińską wodę mineralną, a po chwili na stolik wjechał posiłek: duże porcje dobrze wypieczonego kurczaka z tłuczonymi ziemniakami i kapustą. Jane i Cathy jadły bez apetytu, za to komandosi z SEAL pałaszowali, aż im się uszy trzęsły, świadomi, że czeka ich długa, zimna noc i muszą zaopatrzyć swoje

organizmy w paliwo, zwłaszcza w węglowodany. Wszyscy trzej poprosili o dokładkę ziemniaków polanych sosem. Ray dobrał sobie jeszcze jedną pierś kurczaka.

Pochłonęli też we zrójkę wielki bochtfn czarnego rosyjskiego chleba. Byli jedynymi na sali, którzy go jedli. Reszta pasażerów preferowała biały chleb, bo krążyła opinia, że czarnym żywi się pospólstwo. Oni jednak dostali wyraźne wytyczne prosto z Białego Domu. Sam admirał Morgan przekazał admirałowi Bergstro-mowi zalecenie dla biorących udział w misji komandosów SEAL: Powiedz im, żeby przed wyruszeniem na akcję zjedli dużo rosyjskiego czarnego chleba – jest z czystej pszenicy i pożywny. To białe gówno, które pieką, smakuje jak «Washington Post» i jest tyle samo warte".

–Nie sprawiają wrażenia prymitywów – szepnęła Jane do Cathy – i wszyscy wyglądają krzepko... ale nie wiem, jak to możliwe, skoro jadają coś takiego.

Cała piątka podziękowała za deser składający się ze słodkiego jak ulepek tortu i lodów, ale obaj porucznicy z SEAL poprosili o ser i jeszcze parę kromek czarnego chleba z masłem.

–Gdybym tyle jadła, ważyłabym z dwieście funtów – zauważyła Jane Westenholz.

–Zgadza się, proszę pani – odparł bosman Cemic. – Tyle mniej więcej ważę. Muszę być silny.

Zegar wskazywał 20.40. Jane i Cathy sączyły wino. Rick Hunter siedział jaik na szpilkach, zachodząc w głowę, jak by tu wyprowadzić swoją drużynę ze stołówki. Przed zejściem na ląd musieli jeszcze wpaść do swoich kabin po kilka niezbędnych rzeczy. Nic nie mogło ich tu zatrzymać. Gdybyty nie dało się inaczej, po prostu wstaną i wyjdą, wolał jednak załatwić sprawę elegancko. Bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń.

–Jane – zwrócił się do pani Westenholz – przykro mi, ale musimy was opuścić. Ci dwaj hazardziści obstawiają co tydzień zakłady na wyniki meczów baseballowych... to straszny nałóg, któremu ja osobiście nigdy bym nie uległ. No ale jest, jak jest -te wyniki podaje tylko rozgłośnia amerykańskich sił stacjonujących w Europie i musimy koniecznie być na pokładzie przed dwudziestą pierwszą – to pierwsza po południu w Nowym Jorku.

–Ależ, Ricky, mój drogi, strasznie leje! Przemokniecie do nitki.

–Bez obawy. Schowamy się pod daszkiem na drugim pokła-

dzie. Radio dobrze tam odbiera. Często tak robimy – ci dwaj pajace postawili na tę kolejkę po trzysta dolarów każdy. Fred pewnie swoje straci, bo ubzdurał sobie, że Redsi przegrają z Dodgersami, a to przecież niemożliwe.

–To ja skoczę po długopis i kawałek papieru – zaofiarował się Ray. – Za pięć minut będę na pokładzie.

–Dobrze, idźcie – powiedziała Jane. – Czekamy na was potem w barku na rufie.

–Przyjdziemy na pewno – obiecał komandor porucznik Hunter. – Jak uda nam się położyć Freda do łóżka... to może skusimy się na kieliszeczek brandy.

Jane Westenholz roześmiała się, ale jej oczy zdradzały zaintrygowanie. – Nie potrafiła przejrzeć tego Ricky'ego. Z pozoru był prostym człowiekiem z prowincji, ale z jego spojrzenia przebijało czasami coś zimnego, twardego, coś, co w ogóle nie pasowało do prostodusznej powierzchowności. Ciekawa jestem, kim i czym on tak naprawdę może być? – zastanawiała się.

Komandor porucznik Hunter zabawił w kabinie numer 289 niespełna dziesięć minut. Przypiął do paska duży nóż myśliwski, który kupił w Sankt Petersburgu. Wyjął z walizki laserowy marker celu zaprojektowany tak, że przypominał radio tranzystorowe, i załadował baterie do gniazda. Wepchnął urządzenie wraz z odbiornikiem GPS do bocznej kieszeni obszernej kurtki. Do wewnętrznej kieszeni kurtki wsunął parę tenisówek rosyjskiej produkcji, a do drugiej bocznej kieszeni dwa duże, ciasno złożone, plastikowe worki na śmieci. Nacisnął na głowę czapkę i wyszedł na pokład.

Zobaczył z daleka Freda i Raya gawędzących z Cathy Westenholz przy oświetlonym trapie. Dziewczyna była ubrana jak na spacer. Zaklął w duchu, ale zawrócić już nie mógł, bo wszyscy troje go zobaczyli. Podeszedł do nich jak gdyby nigdy nic.

–Cześć, Cathy – powiedział. – Na tym statku pracuje jakieś urządzenie elektryczne, które zakłóca nam odbiór. Musimy zejść z radiem na brzeg i oddalić się poza zasięg generatorów statku.

Cathy roześmiała się.

To się dobrze składa, bo ja wybieram się właśnie do tej małej kafejki na lądzie. Zaraz za tamtymi drzewami... Idźcie ze mną?

–Raczej nie – mruknął Rick, szukając gorączkowo wyjścia z sytuacji. – A ty, Cathy, nie zostawiaj lepiej mamy samej w ba-

rze. Przechodziłem tamtędy przed chwilą i słyszałem paru awanturujących się Rosjan. Nawet obecność pułkownika ich nie hamowała.

–O, mama da sobie radę – odparła wesoło Cathy. – Chodźcie, przejdziemy się trochę. Już nie pada.

Rick otoczył ją ramieniem i odciągnął na stronę.

–Cathy – powiedział. – Wyświadczyć mi przysługę... Wyciągnij mamę z tego baru. Wiem, sam powinienem to zrobić, ale bałem się, że przegapimy komunikat totalizatora, a poza tym myślałem, że z nią jesteś... Proszę cię, Cathy, idź sprawdzić, czy wszystko tam w porządku... zrobisz to dla mnie?

–No dobrze. A zaczekacie na mnie? Może namówię mamę na spacer do tej kafejki.

–Jasne, zaczekamy – obiecał Rick. – Tylko się pośpiesz... i z góry dziękuję.

Cathy zawróciła do baru, a trzech komandosów z SEAL zeszli ze statku na drogę gruntową, skręcili z niej w prawo i znalazłszy się poza zasięgiem sztucznego światła, puścili się biegiem. Była 21.14. Po przebiegnięciu mili Rick skręcił ostro w las po lewej i zaczęli oddalać się od jeziora. Galopowali między wysokimi, ociekającymi deszczem sosnami. Z fotografii satelitarnych, które pilnie przestudiował, wynikało, że za tym lasem, milę od jeziora, znajduje się duża polana, na której mogą bezpiecznie wylądować zasobniki.

Po przebyciu pięćdziesięciu metrów zatrzymali się w miejscu, gdzie drzewa jakby się przerzedzały. Tutaj zmienili obuwie: włożyli tenisówki, a wyjściowe buty wepchnęli do kieszeni kurtek. Potem wyjęli z za pazuch lekkie nieprzemakalne spodnie z Goreteksu i naciągnęli je na dżinsy.

Rick sprawdził w*skazanie GPS, a tymczasem bosman Cernic wyjął mały kompas i wyznaczył azymut trzy-dwa-zero. Postarają się utrzymywać ten kierunek, by wracając potem kursem jeden-cztery-zero, trafić jak po sznurku do przystani. Ale mila w gęstym lesie to nie to samo co mila na drodze. Nawet w jasny dzień trudno posuwać się między drzewami w linii prostej. W smolistych ciemnościach jest to zupełnie niewykonalne.

Idący przodem „alkoholik” starał się omijać gęste zarośla, a potem odpowiednio korygował kurs. Po piętnastu minutach marszu Rick ocenił, że przebyli nie więcej niż pół mili. Znowu zaczęło padać. Niebo było bezgwiezdne, ale poświata księżycyca

w pełni, co prawda przytłumiona i rozproszona, przesączała się jednak jakoś przez niewidzialne, wiszące nisko chmury. Widoczność nie przekraczała czterech metrów. Fred szedł z wyciągniętą przed siebie lewą ręką, wymacując zwisające nisko gałęzie. Rozmiękle podłoże klaskało im cicho pod stopami, od czasu do czasu pękał z trzaskiem nadepnięty patyk.

Trzy razy słyszeli nad sobą pohukiwanie sowy, a raz Fred krzyknął: „Jezu, ki czort?“, w reakcji na szelest łap umykającego mu spod nóg zwierzątka.

–Pewnie grizzly – burknął porucznik Schaeffer. – Spokojnie, powiem Rickowi... załatwi go gołymi rękami.

Las zdawał się nie mieć końca. Dopiero jakąś milę od jeziora zaczął się szybko przerzedzać. Bardziej to wyczuli, niż zobaczyli, bo zacinający deszcz siekł ich teraz od lewej. Było ciemno choć oko wykol. Nie wiedzieli nawet, czy wyszli już na polanę. Dopiero przytłumione „Kurwa mać!“ Freda wyjaśniło sytuację. Bosman nadział się na ścianę. Była to nie tyle ściana, ile niski kamienny murek, a Fred zaklął w zasadzie nie z bólu, tylko ze złości. Był zły na siebie, że zbczył nieco z kursu, który tak jednoznacznie wytyczyły im satelity.

Zatrzymali się. Wiatr przybierał na sile, deszcz coraz bardziej zacinał. Pozbawieni teraz osłony drzew przemokliby do suchej nitki, gdyby nie wodoszczelne kurtki i spodnie.

Ray postawił na murku jeden z jarzących się na czerwono chemicznych markerów i ruszyli dalej. Dzięki „podwójnym“ spodniom oraz grubym koszulom i swetrom, które włożyli pod kurtki, było im w miarę ciepło. Czapeczki baseballowe, choć mokre, chroniły przed wyziębieniem głowy.

Czas płynął, pogoda się pogarszała, ale przynajmniej już wiedzieli, że są na płaskim pastwisku, które w trakcie przygotowań do akcji pokazywano im na zdjęciach satelitarnych. Wokół rozciągały się pola uprawne, na których kielkowało zboże, a może warzywa, licho wie. Aż strach było pomyśleć, co tam się teraz dzieje, skoro tu, na twardszym gruncie pastwiska, zapadali się w błoto po kostki.

Takiej ulewy planujący operację zespół z Coronado nie przewidział. Satelity obfotografowały dokładnie okoliczne pola i na podstawie wykonanych przez nie zdjęć na strefę zrzutu wybrano to właśnie pastwisko. Dowództwo z Coronado zaryzykowało i założyło sprzyjające warunki pogodowe w nadziei, że w czasie

operacji nie będzie ciągłych opadów. Te nadzieje się nie spełniły. Gorszej pluchy nie można już sobie było wyobrazić. Rick Hunter wiedział, że ma prawo przerwać operację i nikt nie miałby do niego o to pretensji. Wierzył jednak głęboko, że bez względu na fatalne warunki potrafią wywiązać się z zadania.

I stali teraz w strugach deszczu na otwartej przestrzeni, trzysta metrów od skraju lasu. W dali majaczyło ledwie widoczne czerwone światełko chemicznego markera. Była 22.36; prawie pięćset mil od nich prowadzony przez podpułkownika Jaxtimera samolot przecinał właśnie granicę między Finlandią a Rosją w punkcie oddalonym o czterysta mil na zachód od starożytnego portu Murmańsk.

Wejście w rosyjską przestrzeń powietrzną odbyło się bez zgrzytów. Major Parker podał swoje numery identyfikacyjne i rosyjscy kontrolerzy natychmiast udzielili im pozwolenia na przelot, nie sprawdzając nawet zgodności tych numerów z planem lotu zgłoszonym przez American Airlines. I tak, z błogosławieństwem władz, B-52H leciał teraz na południe, w kierunku jeziora Onega.

Pułkownik Jaxtimer wiedział, że jeśli zasobniki mają przechwycić wiązkę naprowadzającą generowaną przez marker celu ustawiony na ziemi przez komandosów z SEAL i wylądować w pobliżu tego miejsca, musi je zrzucić w odległości nie większej niż cztery mile od punktu o współrzędnych geograficznych 62,38N, 34,46E.

Zarówno załoga samolotu, jak i komandosi z SEAL mieli na uwadze, że dokładność systemu nawigacji satelitarnej GPS wynosi pięć metrów. Jeśli foki będą tam na dole, to pułkownik Jaxtimer ich znajdzie. Czułe detektory w nosie B-52H wykryją wiązkę laserową generowaną przez marker z odległości dwudziestu mil, czyli na jakieś dwie i pół minuty przed znalezieniem się nad celem. Zasobniki zostaną zrzucone po przesłaniu specjalnego sygnału do celownika bombardierskiego. Od momentu odebrania laserowej wiązki markera wszystko odbywać się będzie automatycznie.

Porucznik Chuck Ryder, siedzący w kokpicie samolotu za pułkownikiem, zameldował, że za piętnaście minut będą nad punktem zrzutu. Porucznik Segal nie stwierdzał, jak dotąd, żadnej inwigilacji radarowej ani z ziemi, ani z powietrza. W oczach Rosjan amerykańska stratoforteca B-52H była jeszcze jednym z długodystansowych, zdążających na południe samolotów pasażerskich, których celem jest Środkowy Wschód.

Prawda zaś była taka, że ani jeden z punktów planu lotu nie pokrywał się z rzeczywistością. Samolot nie leciał wcale do Bahrajnu, lecz do wielkiej bazy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych pod Dahraniem, na wschodnim wybrzeżu Arabii Saudyjskiej. Mogło się też zdarzyć, że maszyna natrafi po drodze na przeciwny wiatr i nie wystarczy jej paliwa na całą podróż, a wtedy z bazy wyleci jej naprzeciw powietrzny tankowiec, by spotkać się z nią wysoko nad północną częścią Zatoki Perskiej.

O 23.10 komandosi z SEAL byli już porządnie 'przemarznięci. Dla rozgrzewki robili przysiady, leżący wciąż deszcz ściekał im z nieprzemakalnych spodni do tenisówek, sieczone nim twarze drętwiały z zimna i wilgoci. Rick Hunter modlił się, żeby samolot nadleciał o czasie i żeby przestało padać. Ale nadaremnie. Jednak żaden z nich nie poskarżył się słowem.

Tymczasem mknący na południowy wschód B-52H mijał właśnie od zachodu Białomorsk leżący nad Morzem Białym, u ujścia Kanału Białomorskiego. Chuck Ryder, nie odrywając oczu od wyświetlacza GPS, na którym co pół sekundy pojawiały się nowe, uaktualnione przez satelity wskazania pozycji samolotu oraz zmniejszającej się odległości do strefy zrzutu nad Zielonym Przystankiem, weryfikował na bieżąco kurs podejścia. W tej chwili wyświetlacz \y skazywał 65,30N. Przy wskazaniu 63,42N będą się znajdowali nieco na zachód od miasta Siegieża, zaledwie sześćdziesiąt mM od wysuniętego najdalej na północ punktu jeziora, niecałe jedenaście minut od strefy zrzutu. Siedzący za sterami pułkownik Jaxtimer miał tylko dwa zadania: nie dolecieć za wcześnie i utrzymywać ustalony kurs oraz szybkość, bo wszelkie odstępstwo od planu lotu podziałałoby jak czerwona płachta na rosyjskiego niedźwiedzia z wieży kontrolnej.

Z tym pierwszym nie powinno być kłopotów, bo mieli już sześć minut spóźnienia, z drugim również, bo każdy z członków załogi był mistrzem w swojej dziedzinie. W Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych nie mieli sobie równych. Zatrzeszczało radio majora Parkera. Kontrola naziemna znowu domagała się podania numerów identyfikacyjnych.

Moknący na pastwisku Rick Hunter wyteżał słuch, starając się wyłowić z szumu ulewy odgłos silników nadlatującego samolotu, chociaż zdawał sobie sprawę, że B-52H będzie za wysoko, by cokolwiek usłyszeć.

O 23.25 postawił na ziemi laserowy marker celu i włączył go,

kierując antenę ku północy. Następnie trzej komandosi z SEAL zajęli pozycje wokół urządzenia, zachowując między sobą odległość dwudziestu metrów. W takim ustawieniu prawdopodobieństwo, że zobaczą albo usłyszą lądujące zasobniki, było największe. Marker celu strzelał bezgłośnie laserową wiązką w nocne rosyjskie niebo. Ciszę, jaka zaległa na pastwisku, mącił jedynie plusk deszczu bombardującego rozmiętkłą ziemię. Rickowi przemknęło przez myśl, że zaraz oszaleje. Jak to możliwe, żeby ktoś albo coś odnalazło go na tym dzikim pustkowiu?

Spróbował sobie wyobrazić wielki nadlatujący od północy bombowiec dalekiego zasięgu. Zerknął na zegarek. Od jakiegoś czasu robił to co trzydzieści sekund. 23.34. Nie wiedział tego, ale pułkownik Jaxtimer był w tej chwili nad północnym krańcem jeziora A Chuck Ryder odliczał. Odbiornik samolotu wychwycił właśnie laserową wiązkę markera celu, od tego momentu przez ostatnie kilka sekund wszystko odbywać się miało automatycznie.

Porucznik Ryder, z profesjonalnym spokojem pomagający pułkownikowi utrzymać kurs, powiedział:

–Czerwone światło. Drzwi bombowe otwarte... Nieźle to wygląda... na kursie... lewo... lewo... na kursie... na kursie... sześć-dwa-trzy-osiem... teraz... bomby poszły. – Bez emocji, bez egzaltacji. Po prostu rzeczowa, sucha informacja.

Drzwi luku bombowego w podbrzuszu wielkiej stratofortecy, usytuowanego w centralnej części kadłuba, między kołami przedniego i tylnego podwozia, zamykały się już za zasobnikami, które spadały poprzez ciemność prowadzone wiązką lasera.

Osiem potężnych silników turbinowych Pratt and Whitney TF33 z ogłuszającym gardłowym rykiem niosło B-52H w kierunku Moskwy, ale czekający w błocie komandosi z SEAL ich nie słyszeli.

Komandor porucznik Hunter i jego ludzie, kuląc się w strugach zimnego, zacinającego deszczu i wyteżając wzrok, wypatrywali na północnym niebie lądujących zasobników. Ale widoczność nie przekraczała sześciu metrów i na razie widzieli tylko czerni.

Powinny były opaść już trzy minuty temu, myślał Rick. Gówniany szmelc. Czyżby chybiły? Jezu... ciemno jak u murzyna pod koszulą. Jeśli w porę nie zobaczę zasobnika, to gotów mnie jeszcze przygnieść, zanim zdążę uskoczyć. A jeśli nie spadną gdzieś blisko, to nigdy ich nie znajdziemy... Jezu.

I w tym momencie zobaczył jeden tuż nad sobą: widmowy

kształt opadający bezszelestnie, lekko pod kątem, jakby parł pod wiatr. Przywodził na myśl zakapturzonego wampira wylaniającego się z mroków nocy.

Uderzył z głuchym pacnięciem w rozmiękle pastwisko niespełna dziesięć kroków od miejsca, w którym stali. Ziemia zadrżała. Rick był tam w kilku susach. Spadochron wydymał się na wietrze i szeleścił, kiedy go zwijał.

–Mam jeden – zawołał cicho w ciemność. – Uważajcie na następne. – A potem wymruczał do siebie. – Jasna cholera! Coś niesamowitego.

–Jest drugi – krzyknął bosman Cernic. – Tam, po lewej.

W ziemię grzmotnął drugi zasobnik, a pięć sekund później, dwadzieścia kroków dalej, trzeci.

No nie, pomyślał komandor porucznik Hunter, czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Wierzyć się nie chce.

Pobiegł pomóc Rayowi przy drugim zasobniku.

–No i co, szefie? – spytał porucznik z Massachusetts. – Otwieramy je i zaglądamy, co jest w środku, czy od razu taskamy wszystkie do lasu?

–To drugie – szepnął Rick. – Wynosimy się jak najszybciej z tego wygwizdowa. Ty, Fred, odczepiaj spadochrony i leć z nimi do lasu. Rozejrzyj się za odpowiednim miejscem na zakopanie towaru. Ustaw ńa skraju drugi marker chemiczny. Będziemy tam zaraz z pierwszym zasobnikiem. Jak wyglądają te uchwyty?

–Nieźle – odparł bosman. – Są pośrodku, dobrze się będzie niosło. Długie, obciążnięte skórą, w razie czego jest miejsce na dwie ręce. – Chwycił oburącz za uchwyt i spróbował unieść zasobnik. – Jezu – jęknął. – Czego oni tam nakładli?

Rick ściągnął brwi. Czyżby ci z Coronado przesadzili? Czy zdołają udźwignąć we dwóch zasobnik? Schylił się i spróbował. Nie napotkał specjalnego oporu.

–Nie jest tak źle – orzekł. – Doniesiemy je jakoś do lasu, chociaż nie będzie lekko, bo trawa mokra i śliska.

–No – zawołał bosman. – Odczepiłem już spadochron od pierwszego zasobnika. Możecie go zabierać.

Łatwo powiedzieć, pomyślał Ray. Przepuklina murowana... umrę w cierpieniach, zanim zdążę wrócić po drugi.

Bosman zameldował, że wprowadził do GPS położenie wszystkich trzech zasobników i markera chemicznego ustawionego na murku.

–Teraz już się nie zawieruszają, chyba żeby wysiadł cały system GPS. Gdybyście stracili kontakt, huknijcie dwa razy jak sowa. Ale trzymajcie się sztywno kursu jeden-trzy-zero, zaprowadzi was prosto do markera na murku. W razie jakichś kłopotów trzy huknięcia sowy i wszyscy się tam spotykamy.

Ja pędzę przodem z tymi spadochronami. Zanim znajdę miejsce, gdzie by je można zakopać, i wrócę do markera, powinniście już przy nim być. Tylko nie wpadnijcie na murek, jak ja niedawno.

–Dobrze, bosmanie. No, Ray, łap się za lewy uchwyt. Zmieniamy się co sto kroków.

Unieśli we dwójkę dwustupięćdziesięciofuntowy zasobnik. Na myśl o dźwiganiu go w deszczu przez rozmiękle pastwisko Raya ogarnęło zwątpienie. Zamknął oczy i powiedział do siebie: „Nie ma co, będzie ciężko. Boże, daj mi siły”. Ta sama modlitwa podtrzymywała go na duchu podczas strasznej próby Piekelnego Tygodnia. Wtedy pomogła, pomyślał, może pomoże i teraz. I ruszył, próbując złapać rytm marszu.

Pierwsze dwadzieścia kroków pokonali stosunkowo szybko. Brnęli przez smolistą ciemność, ślizgając się w błocie. Rick starał się nie spuszczać wzroku z fosforyzującej tarczy kompasu i utrzymywać drgającą strzałkę na kursie jeden-trzy-zero. W pewnej chwili nogi mu się rozjechały i opadł na kolana.

Pociągnięty przez zasobnik Ray Schaeffer stracił równowagę. W ostatniej chwili podparł się prawą ręką, ratując się przed upadkiem. Uszli dopiero czterdzieści kroków. Rick pozbierał się z ziemi i huknął dwa razy, naśladując głos sowy.

–Co jest? – dobiegł z ciemności cichy okrzyk bosmana.

–Dawaj tu worek na ubrania. Kieruj się na mój głos. Trzeba skończyć z tym taplaniem się w błocku, Ray... musimy ściągnąć z siebie ciuchy, póki są jeszcze całe i w miarę czyste. Zdejmujemy spodnie, koszule, swetry i kurtki. Możemy wrócić na statek trochę zmoknięci, ale nie pokażemy się tam przecież obszarpani i utytlani w błocie. Dokończymy robotę w samych szortach i tenisówkach.

–Chcesz przez to powiedzieć, że prócz przepukliny mam się również nabawić zapalenia płuc? – spytał Ray. – No, fajnie. – Rozebrał się jednak i wrzucił garderobę do przyniesionego przez Freda plastikowego worka na śmieci. Potem znowu złapał uchwyt zasobnika i półnadzy pobrnęli z Rickiem dalej. Temperatura spadła do trzech stopni Celsjusza. Deszcz i wiatr potęgowały jeszcze

wrażenie chłodu. Nie skarżyli się jednak. Zaciskając zęby, brnęli wytrwale w stronę wysokiego na metr murka.

Sześćdziesiąt kroków dalej zamienili się miejscami. Ray pocił się i jednocześnie dygotał z zimna. Lodowaty deszcz ściekał po nim strużkami, przeforsowane lewe ramię pulsowało tęnym bólem. Chwycił uchwyt obiema rękami, ale prostując plecy, poślizgnął się i runął w błoto. Zasobnik przygniótł mu udo.

Usłyszał ciche „Jezu” wymruczane przez Ricka Huntera i poczuł, jak komandor porucznik, dając pokaz nadludzkiej siły, ściąga mu z nogi ciężki metalowy cylinder.

–W porządku, Ray?

–Tak. W najlepszym. Zaczekaj, niech dobrze uchwycę.

Pozbierał się z ziemi. Czuł, że z nogi cieknie mu krew, którą

próbuje zmyć deszcz. Miał nadzieję, że rozcięcie nie jest głębokie. Nie miał czasu tego sprawdzać. Złapał uchwyt lewą ręką i ruszył dalej, licząc kroki. Wiedział, że murek musi być już blisko i dźwigał z samozaparciem zasobnik, wyężdżając wszystkie siły i starając się nie zwracać uwagi na ból w ramieniu. Wolał nie myśleć, że czekają go jeszcze dwa takie kursy z pozostałymi zasobnikami.

–Boże, błagam, spraw, żebym wytrzymał – wyszeptał, mrużąc oczy przed zalewającym je deszczem.

–Jest murek, Ray – wysapał Rick Hunter. – Dobra, odpocznijmy chwilę. Potem wtaszczy my to świństwo na wierzch i ściągniemy z drugiej strony.

Z ciemności wynurzył się bosman Cernic i oznajmił, że wraca na środek pastwiska do dwóch pozostałych, zarytych w błoto zasobników.

Minutę później Ray Schaeffer przelazł przez murek. Zajęli z Rickiem miejsca po obu stronach zasobnika, dotaszczyli go do lasu i położyli na ziemi obok zielonego markera chemicznego, który zostawił bosman Cernic.

Powrót w samych szortach, pomimo lodowatego deszczu i porywistego południowo-zachodniego wiatru od Bałtyku, wydawał się im spacerkiem po rajskich ogrodach. Uwolnieni od strasznego brzemienia maszerowali dziarsko, rozpryskując tenisówkami błocko. Uszedłszy trzysta kroków, zawołali Freda po imieniu.

–Tutaj – rozległo się tuż obok.

Rick Hunter zdecydował, że dwa pozostałe zasobniki będą przenosili etapami: po przejściu pięćdziesięciu kroków z jednym

wrócą po drugi, potem znowu pięćdziesiąt kroków i powrót, i tak dalej.

–Dzięki temu odsapniemy trochę za każdym nawrotem, a do tego Fred będzie w pobliżu, gdybyśmy potrzebowali pomocy.

Był to psychologiczny majstersztyk. Perspektywa odpoczynku po przebrnięciu pięćdziesięciu kroków podbudowała Raya Schaeffera. Z nowym zapalem chwycił uchwyt kolejnego zasobnika, tym razem prawą ręką, i ponownie ruszył przez ciemność. Po odliczeniu pierwszych dwudziestu pięciu kroków ból w prawej ręce zaczął powracać. Grunt z minuty na minutę zdawał się coraz bardziej rozmiękać. Najpierw przewrócił się Ray, potem Rick, potem znowu, dwa razy z rzędu, Ray. Rick, padając, rozciął sobie paskudnie kolano.

Ale komandosi z SEAL nigdy się nie poddają. Żaden z nich nie poskarżył się słowem. Przewracali się i wstawali. Ignorowali ból i szli dalej. Ray, kiedy ogarniało go przeczucie, że nie ujdzie już ani kroku, odmawiał swoją modlitwę i szedł zdecydowany dotrzeć do celu albo umrzeć na tym straszliwym rosyjskim odludziu.

Trwało to jeszcze godzinę. I była to istic mordercza godzina. Nie przetrwałby jej żaden zwyczajny człowiek. Dwaj komandosi z SEAL, oblepieni błotem, z twarzami zalewanymi przez deszcz, gonili resztkami sił. Dygocząc konwulsyjnie z zimna, mokrzy, spoceni, półprzytomni z potwornego wysiłku wkładanego w taszczenie jednej trzeciej tony, dowlekli się wreszcie po raz kolejny do murka.

Teraz do szortów rozebrał się również bosman Cemic. Trzęsąc się z zimna, pomógł im przerzucić dwa ostatnie zasobniki przez murek. Na wpół je niosąc, na wpół wlokąc, dobrnęli we trójkę do lasu. Tam porucznik Ray Schaeffer padł na opadłe, namokłe liście.

–Kaź mu wstać, Rick – wysapał bosman. – Kaź mu wstać, bo za dwie minuty zeszywnieje. Podnieśmy go i opatulmy kurtkami.

Postawili zmordowanego porucznika na nogi i Rick Hunter narzucił mu na ramiona kurtkę. Bosman wygrzebał skądś pierśiówkę brandy i wetknął ją porucznikowi w usta. Ożywczy płyn, spływając przelykiem Raya, dokonał cudu. Ray oprzytomniał i potrząsnął głową.

–Jezu, przepraszam, chłopaki – wykrztusił. – Już w porządku. Dajcie mi tylko chwilę posiedzieć...

–Ruszaj się, Ray – powiedział Fred Cernic, który potrafił rozpoznać zbliżającą się hipotermię. – 1 mów przez cały czas. Nie

m)›

waż się ani na chwilę znieruchomieć – musisz być cały czas w ruchu.

Podszedł do pierwszego zasobnika i otworzył go. Bingo. Na samym wierzchu namacał dwie łopaty i latarkę. Wyciągnął je, zatrzasnął metalowe drzwiczki i podał jedną łopatę Rickowi.

–Wybierzmy miejsce i zabierajmy się do kopania... a ty, Ray?

–Tak, Fred, za chwileczkę wam pomogę. Dajcie mi jeszcze jedną chwileczkę.

Fred z Rickiem weszli głębiej w las, przyświecając sobie od czasu do czasu latarką. Bosman wybrał miejsce pod samotnie rosnącym rzadkim krzakiem.

–Wyrwiemy go, a po zakopaniu zasobników wetkniemy z powrotem w ziemię.

–Dobra myśl, Fred. Do roboty.

Nie zważając na zadrapania, odgarnęli gałęzie i wzruszyli łopatami ziemię przy korzeniu. Potem chwycili krzak u nasady i pociągnęli. Wyszedł z ziemi za pierwszym szarpnięciem. Odrzucili go bez komentarzy na bok i zaczęli kopać pierwszy z trzech dołów, każdy na dwa metry długi, na metr dwadzieścia szeroki i na półtora metra głęboki, czyli mniej więcej rozmiarów sporego grobu.

Fred Cernic nie był ułomkiem. Pochodził z New Jersey i znał się na kopaniu. Ale nie widział jeszcze, żeby ktoś machał łopatą tak, jak pracujący obok niego chłopak z Kentucky.

Wykopanie pierwszego „grobu” zajęło im czterdzieści minut. Ale drugiego już godzinę. Ulewa, jeśli w ogóle było to możliwe, przybrała na sile. Dochodziła 3.30 nad ranem, a oni mieli jeszcze od wykopania trzeci dół. Wszyscy trzej dygotali z zimna i krwawili od zadrapań. Łopaty wyslizgiwały się z drętwiejących dłoni. Fred Cernic miał już dosyć, Ray Schaeffer ledwie zipał, lecz Rick Hunter pracował dalej jak w transie. Nie poganiał kolegów, wiedział, że kiedy wspaniale wyszkolony komandos z SEAL daje za wygraną, to znaczy, że naprawdę nie jest już w stanie wykrzesać z siebie więcej sił.

Kopał, starając się robić to rytmicznie. Oddech miał krótki, chrapliwy, pierś chodziła mu ciężko, kwas mlekowy zbierający się w mięśniach przyprawiał o niehumanne katusze. Pracował na granicy omdlenia i zdawał sobie z tego sprawę. „RRRA.Z!” – powtarzał sobie w duchu za każdym wbiciem łopaty w ziemię.

Po trzech minutach tej harówki uświadomił sobie, że obok

waż „się ani na chwilę znieruchomieć – musisz być cały czas w ruchu.

Podszedł do pierwszego zasobnika i otworzył go. Bingo. Na samym wierzchu namacał dwie łopaty i latarkę. Wyciągnął je, zatrzasnął metalowe drzwiczki i podał jedną łopatę Rickowi.

–Wybierzmy miejsce i zabierajmy się do kopania... a ty, Ray?

–Tak, Fred, za chwileczkę wam pomogę. Dajcie mi jeszcze jedną chwileczkę.

Fred z Rickiem weszli głębiej w las, przyświecając sobie od czasu do czasu latarką. Bosman wybrał miejsce pod samotnie rosnącym rzadkim krzakiem.

–Wyrwiemy go, a po zakopaniu zasobników wetkniemy z powrotem w ziemię.

–Dobra myśl, Fred. Do roboty.

Nie zważając na zadrapania, odgarnęli gałęzie i wzruszyli łopatami ziemię przy korzeniu. Potem chwycili krzak u nasady i pociągnęli. Wyszedł z ziemi za pierwszym szarpnięciem. Odrzucili go bez komentarzy na bok i zaczęli kopać pierwszy z trzech dołów, każdy na dwa metry długi, na metr dwadzieścia szeroki i na półtora metra głęboki, czyli mniej więcej rozmiarów sporego grobu.

Fred Cernic nie był ułomkiem. Pochodził z New Jersey i znał się na kopaniu. Ale nie widział jeszcze, żeby ktoś machał łopatą tak, jak pracujący obok niego chłopak z Kentucky.

Wykopanie pierwszego „grobu” zajęło im czterdzieści minut. Ale drugiego już godzinę. Ulewa, jeśli w ogóle było to możliwe, przybrała na sile. Dochodziła 3.30 nad ranem, a oni mieli jeszcze od wykopania trzeci dół. Wszyscy trzej dygotali z zimna i krwawili od zadrapań. Łopaty wyslizgiwały się z drętwiejących dłoni. Fred Cernic miał już dosyć, Ray Schaeffer ledwie zipał, lecz Rick Hunter pracował dalej jak w transie. Nie poganiał kolegów, wiedział, że kiedy wspaniale wyszkolony komandos z SEAL daje za wygraną, to znaczy, że naprawdę nie jest już w stanie wykrzesać z siebie więcej sił.

Kopał, starając się robić to rytmicznie. Oddech miał krótki, chrapliwy, pierś chodziła mu ciężko, kwas mlekowy zbierający się w mięśniach przyprawiał o niehumanne katusze. Pracował na granicy omdlenia i zdawał sobie z tego sprawę. „RRRAZ!” – powtarzał sobie w duchu za każdym wbiciem łopaty w ziemię.

Po trzech minutach tej harówki uświadomił sobie, że obok

w ziemię zagłębia się raz po raz druga łopata. W ostrym świetle trzymanej przez bosmana latarki ujrzał kątem oka bladą twarz Raya Schaeffera. Chłopak jeszcze walczył, jeszcze próbował pomagać. Przypominał pięściarza, który podnosi się z desek po trzecim nokaucie, zresztą kiedyś uprawiał amatorsko boks.

Ale tu było niebezpieczniej. Umazany od stóp do głów błotem, krwią i płatkami białej śliny skapującej z ust, Ray Schaeffer był teraz sam na sam ze swoim Bogiem, szczerząc z wysiłku zęby, modlił się do ęiego cicho, by pozwolił mu wytrwać. Wbijali na przemian łopaty w ziemię, dodając sobie nawzajem otuchy samą swoją obecnością.

Po pięciu minutach pod Rayem Schaefferem znowu ugięły się kolana. Osunął się na dno dołu, wpadając twarzą w głęboką na dziesięć centymetrów kałużę deszczówki, która się tam zebrała. Bosman Cemic zeskoczył błyskawicznie do dołu i uniósł Rayowi głowę. Rick Hunter odrzucił łopatę i pomógł mu wywindować młodego porucznika na górę.

Posadzili nieprzytomnego pod drzewem i bosman opatulił go trzema kurtkami. Brandy nie mogła tu już pomóc. Ray potrzebował lekarza, może kwalifikował się nawet do szpitala, ale o tym nie było na razie co marzyć. Oddychał jednak równo. Fred zostawił go i złapał drugą łopatę.

Kopanie trzeciego z „grobów” zajęło jeszcze dwadzieścia minut. Podtoczyli do nich zasobniki i ustawili je tak, by po zepchnięciu do dołu drzwiczki każdego znalazły się na wierzchu. Rick Hunter padł wyczerpany na wznak, a tymczasem bosman Cemic sprawdził zawartość zasobników, wyjął z nich trzy ręczniki, zatrzasnął z powrotem drzwiczki i przystąpił do o wiele mniej wyczerpującego zasypywania metalowych cylindrów.

Ale i tu wynikł pewien problem. W dołach zmieściła się zaledwie jedna trzecia wykopanej ziemi. Bosman uporał się z ostatnim, wrzucił do niego łopatę i przykrył ją cienką warstwą gleby. Następnie, na zmianę z Rickiem, rozprowadzili równomiernie hałdę pozostałej ziemi po miejscu ubycia cennego sprzętu dywersyjnego i zarzucili je zbutwiałymi liśćmi, żeby wyglądało jak naturalny wzgórek. Na koniec wetknęli w środek wyrwany uprzednio krzak, maskując kryjówkę. Kiedy chowali pod krzakiem drugą łopatę, maskując ją glebą i liśćmi, dochodziła już 5.00 rano. Rick sprawdził współrzędne pochówku odbiornikiem GPS. Deszcz wciąż padał.

–Dobra, Fred, idziemy – rzucił do bosmana. – Zapakuj ciuchy i ręczniki do worka na śmieci i wracamy, jak się da najszybciej, do drogi. – Podszedł do Raya, zaplął mu kurtkę, a następnie, dając kolejny dowód swojej monstrualnej siły, dźwignął go z ziemi i zarzucił sobie na plecy. Ruszyli kursem jeden-cztery-zero.

Powrót zajął im mniej czasu, niż się spodziewali, głównie dzięki temu, że Ray jakimś cudem odzyskał przytomność i uparł się, że pójdzie o własnych siłach. Do drogi gruntowej dotarli o 5.34. W odległości pół mili widać było światła pozycyjne „Michała Lermontowa”. Stali przez dziesięć minut na deszczu, zmywając z siebie błoto i krew. Potem wytarli się pod starą sosną nowiutkimi ręcznikami, włożyli koszule i swetry, które nie były nawet wilgotne, wciągnęli spodnie i suche skarpetki, wzuli wyjściowe buty, a na koniec nałożyli kurtki i czapki. Mokra ręczniki i trzy pary ubłoconych tenisówek zapakowali do worka, obciążyli go kilkoma kamieniami, zawiązali i zanurzyli w jeziorze dwa metry od brzegu. Rick zanotował współrzędne GPS i punkt orientacyjny, po którym rozpoznają to miejsce podczas następnej wizyty.

O 6.15, prezentując się w miarę normalnie, wkroczyli po trapie na zaciemniony statek. Pełniący wachtę marynarz spał na wystawionym na pokład krzeselku. Przeszli obok niego na palcach i nie zauważeni przez nikogo z pasażerów ani członków załogi dotarli do swoich kabin.

Do drzwi kabiny numer 289, zajmowanej przez komandora porucznika Huntera, przypięta była koperta zaadresowana „Ricky”.

–Domyślasz się, kochasiu, od kogo to? – spytał z uśmiechem Fred Cernic.

Rick był zbyt zmęczony, by mu odpowiedzieć, zbyt zmęczony, by w ogóle się odzywać. Bez słowa oderwał kopertę od drzwi, wtoczył się do środka i zwałił na łóżko. Jego koledzy podeszli do drzwi kabin 290 i 291. Kiedy się przed nimi zatrzymali, porucznik Schaeffer zwrócił się do Freda:

–Przepraszam – powiedział. – Naprawdę przepraszam.

Bosman Cernic popatrzył na niego z powagą i ledwie dosłyszalnie wyszeptał:

–Nie masz za co przepraszać. Znam ludzi, których odznaczano za znacznie mniejsze wyczyny.

ROZDZIAŁ ÓMY

Fred Cernic został formalnie uwięziony w swojej kabinie. Zakazano mu opuszczania jej przez cały ranek. Steward przyniósł mu kartoflaną, stek z polędwicy wołowej z burakami ćwikłowymi, ser, czarny chleb i dzbanek kawy. Jadł w samotności, w odróżnieniu od swoich kolegów, którzy w tym czasie kłamali jak najęci, starając się udobruchać Jane Westenholz i jej córkę.

–...No i wtedy spotkaliśmy na tej drodze dwóch rosyjskich rolników... i zaprosili nas do swojej chaty na szklaneczkę wódki domowej roboty... Zanim się obejrzelśmy, Fred dorwał się do drugiej butelki i wydudlił całą... No i dostał małego rozumu... Musieliśmy go zamknąć w stodole... Awanturował się tam jeszcze, dopóki sen go nie zmorzył... Przywlekliśmy go tu z Rayem nad ranem... Ci rosyjscy chłopcy mają jednak tęgie głowy.

–Kto by pomyślał – zafrasowała się Jane. – A sprawia takie sympatyczne wrażenie...

–Mówię ci, Jane, nie poznałabyś go po paru głębszych. Zabraliśmy go na tę wycieczkę między innymi dlatego, żeby odciągnąć człowieka od knajp... nawet nam do głowy nie przyszło, że i na tym odludziu znajdzie butelkę samogonu.

–Gdzie on teraz jest? Jak się czuje?

–Dobrze. Odsypia występ. Nie ma na razie apetytu. Do wieczora powinien wydobrzeć... ale chyba lepiej będzie, jeśli dzisiejszą kolację zjemy osobno. Jeszcze wino by go skusiło, albo i coś mocniejszego.

–Tak, tak. Doskonale to rozumiem, Ricky. I, naturalnie, nie pisnę w jego obecności słówkiem, że coś na ten temat wiem... ale wdzięczna ci jestem, że mi powiedziałaś. Aha, dotarł do ciebie mój liścik?

–Oczywiście. I sprawił mi wielką przyjemność. Może spotkamy się dziś wieczorem na drinku, kiedy Fred już zaśnie?

ROZDZIAŁ ÓMY

Fred Cernic został formalnie uwięziony w swojej kabinie. Zakazano mu opuszczania jej przez cały ranek. Steward przyniósł mu kartoflaną, stek z polędwicy wołowej z burakami ćwikłowymi, ser, czarny chleb i dzbanek kawy. Jadł w samotności, w odróżnieniu od swoich kolegów, którzy w tym czasie kłamali jak najęci, starając się udobruchać Jane Westenholz i jej córkę.

–...No i wtedy spotkaliśmy na tej drodze dwóch rosyjskich rolników... i zaprosili nas do swojej chaty na szklaneczkę wódki domowej roboty... Zanim się obejrzelśmy, Fred dorwał się do drugiej butelki i wydudlił całą... No i dostał małego rozumu... Musieliśmy go zamknąć w

stodole... Awanturował się tam jeszcze, dopóki sen go nie zmorzył... Przywlekliśmy go tu z Rayem nad ranem... Ci rosyjscy chłopcy mają jednak tęgie głowy.

–Kto by pomyślał – zafrasowała się Jane. – A sprawia takie sympatyczne wrażenie...

–Mówię ci, Jane, nie poznałabyś go po paru głębszych. Zabraliśmy go na tę wycieczkę między innymi dlatego, żeby odciągnąć człowieka od knajp... nawet nam do głowy nie przyszło, że i na tym odludziu znajdzie butelkę samogonu.

–Gdzie on teraz jest? Jak się czuje? „

–Dobrze. Odsypia występ. Nie ma na razie apetytu. Do wieczora powinien wydobrzeć... ale chyba lepiej będzie, jeśli dzisiaj kolację zjemy osobno. Jeszcze wino by go skusiło, albo i coś mocniejszego.

–Tak, tak. Doskonale to rozumiem, Ricky. I, naturalnie, nie pisnę w jego obecności słówkiem, że coś na ten temat wiem... ale wdzięczna ci jestem, że mi powiedziałaś. Aha, dotarł do ciebie mój liścik?

–Oczywiście. I sprawił mi wielką przyjemność. Może spotkamy się dziś wieczorem na drinku, kiedy Fred już zaśnie?

i – y

Jane Westenholz uśmiechnęła się i musnęła palcami grzbiet dłoni dowódcy drużyny SEAL.

–Powiesz mi wtedy – wymruczała – jakie masz plany na przyszłość po powrocie do Stanów. Jak dotąd słówkiem o tym nie wspomniałeś.

–Bo i nie ma właściwie o czym, Jane – powiedział komandor porucznik. – Ale może znajdą się inne tematy.

Obdarzył ją szerokim uśmiechem i wyszli z Rayem Schaefferem ze stołówki. „Michaił Lermontow” odbił od przystani i z szybkością dwudziestu pięciu węzłów ruszył środkiem jeziora Onega na południe, w drogę powrotną do Sankt Petersburga. Następnego dnia po południu miał zacumować w Nabierużennoje.

Rick Hunter zajrzał do biura statku i spytał, czy istnieje możliwość nadania telefonicznej depeszy do USA.

–Chcę tylko zawiadomić rodzinę, że u nas wszystko w porządku – powiedział, uśmiechając się do ciemnowłosej operatorki centrali, i ta wręczyła mu druczek depeszy.

Wpisał do odpowiednich rubryk nazwisko Sally Harrison oraz numer telefonu, poprzedzony kierunkowym 301, a potem, drukowanymi literami, właściwy tekst: „Jest wspaniale. Freddie ma się dobrze. Rick”.

Wręczył dziewczynie pięciodolarowy banknot i poprosił, żeby nadała depeszę najszybciej, jak to możliwe.

Dwie godziny później, o 6.00 czasu wschodniego, w odległym o sześć tysięcy mil stanie Maryland, w gabinecie admirała Morrisa, porucznik John Harrison odebrał telefon podłączony do zastrzeżonej linii i zapisał wiadomość. Nie miał zielonego pojęcia, co oznacza, ale wytyczne mówiły wyraźnie, że w razie nadejścia depeszy podpisanej „Rick”, ma niezwłocznie powiadomić admirała Morgana.

Podniósł słuchawkę aparatu bezpośrednio łączności z prezydenckim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, który czekał już w swoim gabinecie.

–Przyszła ta depesza od Ricka, panie admirale – zameldował.

–Pięknie – mruknął admirał i z namaszczaniem odłożył słuchawkę. Potem wstał i rozpromieniony wyprowadził w powietrze kilka sierpowych. – Morowe chłopaki! – wykrzyknął. – Dostarczyli przesyłkę... Już ja pokażę tym ruskim popaprańcom, z kim lepiej nie zadzierać.

«W

Tymczasem statek wycieczkowy „Michaił Lermontow” tuż po lunchu, zmniejszając szybkość, wpłynął w koryto rzeki Swir, która łączy jeziora Onega i Ładoga. Lawirując tym stumilowym krętym, obfitującym w mielizny szlakiem wodnym, dotarł wieczorem do Ładogi.

Rick Hunter unikał pani Westenholz pod pretekstem, że musi się opiekować Fredem, któremu nie wolno opuszczać kabiny. Nazajutrz „Michaił Lermontow”, przeciąwszy jezioro Ładoga szerokie w tym miejscu na sto mil, wpłynął w Nową. Do Sankt Petersburga pozostało trzydzieści mil.

Drużyna komandora porucznika Ricka Huntera pożegnała się z Jane Westenholz i jej córką, umawiając się z nimi w porcie. Ale zaraz po zejściu ze statku wsiedli w czekający na nabrzeżu nie oznakowany samochód, który zawiózł ich na lotnisko.

Godzinę później siedzieli już w samolocie linii Finnair lecącym do odległych o sto osiemdziesiąt mil Helsinek. Jane Westenholz nigdy nie miała się dowiedzieć, kim była trójka jej przygodnych znajomych.

*

Dwie barki klasy Tolkacz sunęły majestatycznie powolnie w górę Wołgi pod baczynym okiem amerykańskiego satelity KH-111. Przodem płynęła dwuczłonowa barka dowodzona przez kapitana Igora Wołkova. Jego dwudziestoczteroletni syn Iwan stał za dziobowym sterem trzysta metrów od niego, czyli w odległości równej trzem długościami boiska futbolowego.

Dwudziestego piątego kwietnia wieczorem dotarli do miasta Wołsk najeżonego wysokimi kominami cementowni, z których walił w niebo żółtawy dym i pył. Wisząca wciąż nad miastem i je jo okolicami chmura zanieczyszczeń, podświetlana pomarańczową poświatą ulicznych latarni, była widoczna nawet na zdjęciach satelitarnych, które w odległym Marylandzie oglądał admirał Morris.

Przegubowa barka Tolkacz i jej stuosiemdziesięciometrowa towarzyszka płynęły statecznie Wołgą przez te uprzemysłowione regiony w kierunku carskiego miasta uniwersyteckiego Kazania.

Dwudziestego siódmego kwietnia minęły Syzrań, miasto porzewiałych kominów i wielkich fabryk pamiętających czasy rewolucji przemysłowej. Zdjęcia ze względu na padający deszcz były niewyraźne, ale KH-111 miał bystre oko.

–Szósteo maja będą w Niżnym Nowgorodzie – zapewnił George Morris Arnolda Morgana.

Cztery dni później, 1 maja, mniej więcej w czasie, kiedy komandosi z SEAL przedzierali się w deszczu przez las nad jeziorem Onega, gigantyczne barki dotarły do Uljanowska, miejsca urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina. Była noc i nad nową przystanią rzeczną kapitan Wołkow widział wyraźnie czerwony neon z nazwą miasta. Ponieważ nie zatrzymywali się tutaj, dał tylko krótki sygnał syreną. Wszyscy w porcie znali Igora Wołko-wa i każdy wziął ryk syreny Tolkacza za pozdrowienie przeznaczone specjalnie dla niego. Na brzeg wyległa grupka ludzi. Patrzyli nad piaszczystymi łachami w kierunku ciemnego, środkowego nurtu rzeki, gdzie na wodzie, po przepływających barkach, nie pozostała nawet zmarszczka.

Z Uljanowska do Kazania jest sto mil i na tym odcinku Wołga zamienia się praktycznie w śródlądowe morze, rozlewając się miejscami na szerokość osiemnastu mil. Na wysokości miasteczka Atabajewo barki skrzyły pod kątem prostym w lewo, biorąc kurs na port w Kazaniu, gdzie dotarły 3 maja nad ranem. Tam, nie zatrzymując się, znowu skrzyły w lewo i popłynęły dalej zwężającą się znowu Wołgą w kierunku odległego o dwieście pięćdziesiąt mil Niżnego Nowgorodu.

Amerykańskie satelity niemal przez cały czas śledziły ich podróż. George Morris i Arnold Morgan do późnej nocy przesiadywali w Fort Meade, studiując fotografie okrętów podwodnych klasy Kilo czekających na załadunek w Czerwonym Sormowie oraz płynących po nie Tolkaczy. Na jednym Kilo walały się jeszcze jakieś rusztowania, ale na dwóch pozostałych prace najwyraźniej dobiegły końca.

Na całej trasie do Niżnego Nowgorodu Wołga toczy swe wody wśród lasów i łagodnych zielonych wzgórz, w których dolinach usadowiły się wioski jaśniejące w pogodne poranki i prawie niewidoczne w mżawce co kilka dni siąpiącej w tych okolicach wiosną. Wschodni brzeg rzeki jest bardziej płaski od azjatyckiego, ale malowniczość krajobrazów po obu stronach zapiera dech w piersi. Obecność wielkich transportowców o zdecydowanie wojskowym przeznaczeniu wprowadzała w ten pejzaż taki sam nieprzyjemny zgrzyt, jakim byłoby gościnne pojawienie się Rambo w Jeziorze łabędzim.

Ale kapitan Wołkow robił tylko to, co do niego należało.

Siódmego maja nad ranem opłynął Strielkę i zacumował w Niżnym Nowgorodzie przy nabrzeżu ładunkowym u ujścia Oki do Wołgi. Obie barki wykręciły o trzysta sześćdziesiąt stopni na szerokim na milę szlaku wodnym i wsunęły się w cienie rzucane przez las portowych dźwigów, za którym wznosiła się wielka cerkiew Aleksandra Newskiego. Barki stały teraz dziobami skierowanymi na północny wschód, mając po lewej burcie Okę, a po prawej dok. Od trzech Kilo dzieliło je teraz niespełna czterysta metrów.

Admirałowie Morris i Morgan oglądali w Fort Meade najnowsze zdjęcia satelitarne.

–Ile to potrwa, George? Kiedy ruszą w drogę?

–Hmmm, jeśli założyć, że popłyną razem, to trzeba wziąć pod uwagę, że na jednym Kilo są jeszcze te rusztowania. Nie wiem, ile czasu zajmuje załadowanie na barkę i zamocowanie czegoś tak wielkiego, ale na pewno nie krócej niż dzień, a ich nie przetransportowano jeszcze do doku ładunkowego. Uwzględniając obecny stan rzeczy, można szacować, że tę transporter będą gotowe do drogi najwcześniej za jakieś dziesięć dni – powiedzmy, 17 maja. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to nadal twierdzę, że ruszą dopiero w pierwszym tygodniu czerwca.

–Orientujesz się, jak oni je ładują?

–Przesuwają okręty lądem w ten sam sposób co my, na wielokołowych lorach, które toczą się po szynach ułożonych na utwardzonym podłożu. Tylko że my spuszczały potem okręty windami hydraulicznymi na wodę, a oni ładują je na barki. Nigdy nie widziałem, jak to się odbywa, ale najwyraźniej istnieje taka możliwość. Jeśli satelita zrobi w odpowiednim momencie zdjęcie, to może się czegoś nauczymy.

Podejrzelśmy, jak odbywa się załadunek na oceaniczne frachtowce, którymi czasem przewożą okręty podwodne... zatapiają statek i wpływają okrętem na jego pokład. Przypomina to wprowadzanie okrętu do doku pływającego. Barki to nie frachtowce, ale metoda musi być ta sama. Nie widzę innej możliwości.

Spuszczą pewnie te Kilo na wodę i wpłyną nimi na zatopione barki. Potem odpompują wodę z barek i te wynurzą się już z okrętami na pokładzie. Cały proces może potrwać ze dwa dni.

Arnold Morgan zamyslił się.

–No więc tak – mruknął po chwili. – Wiemy, że przy prędkości pięciu węzłów droga na środek jeziora Onega zajmie im pięć dni... czyli najwcześniej będą tam 22 maja.

Obliczył w pamięci, że statek wycieczkowy, który 22 maja po południu minąłby okręty podwodne na jeziorze Onega i który miałby w rozkładzie dobiec do Zielonego Przystanku między godziną 19.00 a 21.00 tego samego wieczoru, musiałby wyruszyć z Sankt Petersburga w swój pięciodniowy rejs trzy dni wcześniej, czyli 19 maja rano.

–A więc rezerwujemy miejsca na tych statkach codziennie, poczynając od 19 maja – wymruczał pod nosem. – Potem wystarczy, że zmienimy tylko w biurze podróży nazwiska na ten konkretny dzień, w którym wyślemy nasz zespół.

*

Tę fazę przygotowań do operacji powierzono CIA. Agencja, poprzez kilka różnych biur podróży, na każdy dzień między 19 maja a 10 czerwca zarezerwowała dwie kabiny pierwszej klasy plus jedną kabinę turystyczną na jednym ze statków wycieczkowych wyruszających w rejs po rosyjskich jeziorach.

Rezerwacji dokonano w Stanach Zjednoczonych za pośrednictwem biur Odessa-American Line. Do chwili opuszczenia przez trzy Kilo Czerwonego Sormowa, na relaksujące, darmowe wycieczki po rosyjskich kanałach i jeziorach zamierzano wysłać młodych pracowników amerykańskich firm i placówek dyplomatycznych działających w Europie.

I tak, do "31 maja krajoznawczą podróż do wrót Kanału Białomorskiego odbyło blisko pięćdziesiąt osób z rozmaitych konsulatów, ambasad i korporacji. A w kolejce czekali następni. Lecz 1 czerwca sytuacja uległa gwałtownej zmianie. KH-111 sfotografował pierwszy okręt podwodny Kilo przewożony po szynach do doku załadunkowego. Na zdjęciu zrobionym dwadzieścia cztery godziny później widać go już było na pokładzie większego z Tolkaczy. Z trzeciego Kilo zniknęły z dnia na dzień wszelkie rusztowania.

–O Jezu – jęknął George Morris. – Szykują się do drogi. Moim zdaniem ruszą 3 albo 4 czerwca.

Arnold Morgan połączył się z admirałem Bergstromem z Coronado i ten zapewnił go, że drużyna SEAL czeka na sygnał w pełnej gotowości. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego miał mu tylko podać dzień, w którym komandosi mają wypłynąć z Sankt Petersburga, i powiedzieć, na który statek wycieczkowi

wy mają rezerwację. Admirał Bergstrom już wcześniej wysłał swoich ludzi z powrotem za Atlantyk i umieścił ich w hotelu w rojnym rosyjskim mieście portowym.

Drużyna komandora porucznika Ricka Huntera, czekająca na sygnał do rozpoczęcia operacji w sanktpetersburskim hotelu Pul-kowskaja niedaleko lotniska, miała teraz zupełnie inny skład. Był w niej porucznik Ray Schaeffer, ale starszy bosman Fred Cernic został w Kalifornii. Jego miejsce zajęli dwaj inni komandos z SEAL – trzydziestoletni bosman Harry Starek i dużo młodszy mat Jason Murray. Dwudziestego dziewiątego maja dołączyła do nich agentka CIA, Angela Rivera, szczupła, oliwkowoskóra, trzy-dziesięcioletnia weteranka z wielką torbą materiałów do teatralnego makijażu i pudłem pełnym peruk, których najwyraźniej nie zdążyła jeszcze obejrzeć.

Pod jedną z nich – rozwichrzonym wiechciem siwych włosów – podczas przymierzania znikła praktycznie cała jej mała głowa.

–O rany – skomentowała Angela. – Coś mi się wydaje, że wyglądam w tym jak zadek jaka.

Po południu 4 czerwca wszystkie trzy Kilo były już na Tol-kaczach, ale barki nie ruszyły tego dnia w drogę. Dopiero 5 czerwca o pierwszym brzasku cztery holowniki wyciągnęły z portu w Czerwonym Sormowie transportery z ich wartym dziewięćset milionów dolarów ładunkiem. Na środku Wołgi potężne śruby spieniły wodę za rufą barki kapitana Wołkowa i wielki król śródlądowych szlaków żeglugowych ruszył powoli o własnych siłach. Pięćdziesiąt metrów za nim sunął mniejszy, stuosiemdziesięcio-metrowy Tolkacz.

Na pokładzie znajdował się tradycyjny kontyngent rosyjskiego wojska: po trzech uzbrojonych, pełniących służbę na trzy zmiany strażników na każdej z trzech sekcji barek. Dowodzący nimi porucznik przez cały czas towarzyszył kapitanowi Wołkowi. Po dotarciu do Morza Białego Kilo miały popłynąć na własnych dieslach, w wynurzeniu, do Polarnego, w celu odbycia tam

w J› J

prób eksploatacyjnych i dokonania ostatnich poprawek. Potem ruszyłyby Atlantykiem w podróż do Chin, eskortowane przez całą drogę prawdopodobnie przez cztery rosyjskie fregaty do zwalczania okrętów podwodnych uzbrojone w pociski kierowane, torpedy, miotacze pocisków głębinowych, tak zwane jeże, o zasięgu sześciu tysięcy metrów plus całe stelaże bomb głębinowych.

Amerykański satelita KH-111 sfotografował barki wychodzące z Kilo na pokładach z Niżnego Nowgorodu. Po dwóch godzinach, o 23.46, George Morris miał już te zdjęcia w Fort Meade.

Admirał Morgan zadzwonił do Coronado i o 21.22 czasu pacyficznego admirał Bergstrom osobiście dał sygnał do rozpoczęcia operacji Północny Ślub. Siódmego czerwca rano komandosi SEAL mieli wejść w Sankt Petersburgu na pokład statku wycieczkowego, który o 8.00 odbije od nabrzeża.

Znaczyło to, że drużyna Ricka Huntera musi jeszcze dwa dni czekać bezczynnie w petersburskim hotelu. Tymczasem Tolkacze zostawiły za sobą stary, założony w trzynastym wieku Niżny Nowgorod, miasto z tradycjami mające milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i uważające się za trzecią stolicę Rosji.

Kapitan Wołkow prowadził swojego Tolkacza z szybkością pięciu węzłów wzdłuż ściany ciemnozielonych lasów, które porastają prawy brzeg i stanowią zaplecze dla przemysłu drzewnego, który rozwinął się w środkowym biegu Wołgi. Widok trzech atramentowoczarnych okrętów podwodnych sunących szeroką w tym miejscu rzeką przyciągał na brzeg dziesiątki miejscowych.

Zaraz za Juriewiecem Wołga skręca w lewo i zaczyna się zwężać. To jeden z jej najpiękniejszych odcinków. Najpierw mijamy małą, malowniczą, dziewiętnastowieczną osadę artystów pod Pliosem – skupisko białych, wzorowanych na szwajcarskich chatach, góralskich domków nad samym brzegiem. Potem pojawia się neoklasycystyczne, białe miasto Kostroma, ośrodek literatury, złotnictwa i sztuki, do którego o zesłanie bezskutecznie prosił car Mikołaj II i gdzie częstym gościem bywał Tołstoj.

Ale barki z okrętami podwodnymi płynęły dalej, minęły miasto Jarosław z jego upiorną fabryką opon usytuowaną, jak to sobie upodobali Rosjanie, w bezpośrednim sąsiedztwie tego historycznego, pełnego zabytków miasta.

Siódmego czerwca o 22.00 Tolkacze minęły wysoką na trzydzieści metrów statwę kobiety-żołnierza, która strzeże wejścia do Zbiornika Rybińskiego. Przebyły już pięćset mil i znajdowały się

teraz mniej więcej w połowie drogi z Niżnego Nowgorodu do środka jeziora Onega. Zapadła noc. Prowadzący barkę kapitan Wołkow komunikował się co jakiś czas przez telefon z synem, który pełnił wachtę w odległej o trzysta metrów sterówce dziobowej. Po pokładzie, ze słowiańską wytrwałością, przechadzali się

tam i z powrotem wartownicy z rosyjskiej marynarki wojennej.

*

s.

Tego samego dnia, 7 czerwca, w rejs wypływał dziewięcio-ipółtysięcznotonowy statek wycieczkowy „Jurij Andropow”, nazwany tak na cześć byłego szefa KGB, który po śmierci Leonida Breżniewa, na początku lat osiemdziesiątych przez krótki czas rządził rosyjskim imperium.

Statek był zapełniony do ostatniego miejsca. Wykupiono nawet drogie kabiny pierwszej klasy na górnym pokładzie, z których każda składała się z dwóch sypialni, łazienki i małego saloniku.

Pierwsze dwie zajmowała czwórka Amerykanów. W numerze 400 mieszkał siedemdziesięciosześcioletni Boris Andrews ze swoim o rok młodszym szwagrem Stenem Nicholsem, obaj z Bloomington na południowych przedmieściach Minneapolis. W 401 rezydował Andre Makiov, siedemdziesięcioośmioletni cukrzyk z White Bear Lake. Jego współlokatorem był brodaty Thomas Rabovitz, siedemdziesięcioletek z Coon Rapids na północ od Minneapolis.

Wszyscy czterej byli starymi znajomymi i przez wiele miesięcy zbierali pieniądze na tę wycieczkę, bo każdy miał w swojej rodzinie jakiegoś przodka z północnej Rosji. Wszyscy cieszyli się w miarę dobrym zdrowiem. Wyjątkiem był pan Andrews, który miał wkrótce przejść operację biodra, chodził o lasce i zażywał bez przerwy środki przeciwbólowe.

Tworzyli zgraną paczkę i solidarnie złożyli się na pielęgniarkę, która miała im towarzyszyć w tej wyprawie do kraju ojców. Mieszkała osobno, w kabynie turystycznej na drugim pokładzie. Do jej obowiązków należała opieka nad nimi przez całą podróż. Nazywała się Edith Dubranin, liczyła sobie pięćdziesiąt dwa lata i również miała rosyjskie korzenie, chociaż całe życie przepracowała w chicagowskim szpitalu i nigdy nie wychyliła nosa poza stany środkowego zachodu USA. Miała metr sześćdziesiąt wzro-

stu, jasną skórę i farbowane na blond włosy. Ubierała się w szarą spódnicę i biały żakiet.

Do swoich czterech podopiecznych odnosiła się formalnie i zwracała do nich per panie Andrews, panie Nichols, panie Maklov i panie Rabovitz. Miała im robić przepierki, pilnować, by na czas zażywali leki, oraz towarzyszyć podczas posiłków.

Pierwszego dnia rano, zaraz po śniadaniu, odbyli całą grupą spacer po statku, a potem podziwiali brzegi szerokiej Newy łączącej Sankt Petersburg z jeziorem Ładoga. Pan Andrews, wysoki, przygarbiony mężczyzna cierpiący na ból w biodrze, niewiele się odzywał, a jeśli już, to tylko do pana Nicholasa. Za to Bdith Dubranin wdała się w poważną konwersację z panem Rabovit-zem. Pana Maklova, który również chodził bardzo powoli, najwyraźniej zmęczyła przechadzka po górnym pokładzie.

Zauważywszy to, pielęgniarka załatwiła ze stewardem, żeby przed dwoma kabinami pierwszej klasy, na małym prywatnym kawałku pokładu wydzielonym dla pasażerów, którzy zapłacili najwięcej, stało zawsze pięć leżaków.

Po południu grupka leciwych Amerykanów ze środkowego zachodu nawiązała pierwszy kontakt ze światem zewnętrznym reprezentowanym przez starszego oficera statku, pułkownika Bor-sowa, który podszedł do nich, by nienaganną angielszczyzną złożyć wyrazy uszanowania swoim najcenniejszym pasażerom. Można w nim było wyczuć byłego wojskowego, nawet gdyby przedstawiając się, nie podał swojej rangi.

O dziwo, pierwszy konwersację podjął schorowany pan Andrews. Dokonał prezentacji, a potem starczym głosem zwierzył się komisarzowi statku, jak bardzo chcą zobaczyć jezioro i jakie to wspaniałe uczucie znaleźć się znowu w Rosji, z której przed czterema pokoleniami, w dziewiętnastym wieku wyemigrowała do USA jego rodzina. Pułkownik Borsow spytał, skąd pochodzili, i uśmiechnął się, kiedy usłyszał, że z tych okolic, z Archangielska nad Morzem Białym.

–A zatem wywodzimy się z przeciwległych krańców Rosji -powiedział. – Bo ja jestem z Ukrainy... jak Leonid Breżniew.

–Bardzo miły i uprzejmy z pana człowiek – wtrącił się pan Maklov, przyglądając siwego wąsa grzbietem prawego palca wskazującego. – Pan też powinien się ubiegać o prezydenturę.

–Prezydentura Rosji ani nawet Ukrainy nie wchodzi w moim przypadku w rachubę, panie Maklov – odparł z uśmie-

chem pułkownik – ale może któregoś dnia zostanę prezesem tej linii żeglugowej.

–Życzę powodzenia, pułkowniku – powiedział pan Andrews. – Odrobina ambicji nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

–To prawda – dorzucił stary pan Maklov. – Trzeba bić się o swoje, póki jest się młodym. Gdybym nie wyszedł z tego założenia, kiedy zaczynałem w ubezpieczeniach, nie byłoby mnie tu dzisiaj.

–A, Jurij Andropow" byłby uboższy o pana osobę – zauważył z galanterią pułkownik. – A tak na marginesie, zwiedzili już panowie izbę pamięci poświęconą panu Andropowowi? Znajduje się na drugim pokładzie... Nie?... To gorąco zachęcam. Na pewno wam się spodoba. Pochodził z centralnej Rosji, z nad Wołgi. Był wielkim człowiekiem, uwielbiał amerykański jazz, ale młodo umiał. – Pułkownik nie wspomniał, że pan Andropow był również twardogłowym komunistycznym aparaczką i bezwzględny szefem KGB. Próżno by też szukać o tym wzmianki w izbie pamięci.

–Na pewno zajrzemy tam przed kolacją – zapewnił go pan Andrews – i jesteśmy panu wdzięczni za wizytę.,

Panna Dubranin pobiegła za oddalającym się pułkownikiem, by podziękować mu za odwiedzenie jej podopiecznych.

–Będą bardzo dumni, że przyszedł pan zamienić z nimi kilka słów, pułkowniku. To tacy uroczy dżentelmeni starej daty. Panowie Andrews i Maklov mają wielkie kłopoty z chodzeniem, ale żaden z nich się nie skarży.

–Miło mi było ich poznać, panno Dubranin. Czym zajmowali się w Stanach?

–Pan Andrews prowadził hurtownię części zamiennych do samochodów. Pan Maklov był agentem ubezpieczeniowym. Pan Nichols, o ile się nie mylę, pracował u pana Andrews, a pan Rabovitz był czymś w rodzaju zaopatrzeniowca w sklepie odzieżowym w Minneapolis w Minnesocie.

–Czyli wszyscy są ludźmi z samego serca zachodniego systemu kapitalistycznego, tak? – mruknął pułkownik Borsow.

–Myślałam, że już was to nie obrusza – odparła pielęgniarka.

–Ależ skąd – powiedział pułkownik Borsow. – Ależ skąd. No, ale obowiązki wzywają. Mam nadzieję, że jeszcze nie raz będziemy mieli okazję porozmawiać.

Uklonił się i zszedł na niższy pokład. Panna Dubranin odprowadziła go wzrokiem. Potem wróciła zamyślona na swój leżak i usiadła.

–Bardzo miły człowiek – mruknęła pod nosem.

Tego wieczoru, po drodze na kolację, wstąpili do izby pamięci i obejrzelili fotograficzną ekspozycję poświęconą nieżyjącemu sekretarzowi generalnemu partii komunistycznej. Andropow w rodzinnym Rybińsku; Andropow na Kremlu; Andropow w mundurze oficera marynarki odbierający paradę elewów Akademii Marynarki Wojennej w Rybińsku. Jurij Andropow zmarły w 1984 roku, zanim wyszedł na jaw pełny horror walącej się gospodarki Związku Radzieckiego. Andropow, jeden z ostatnich Starych Strażników Komunizmu, zaślepiony człowiek, przekonany do końca, że inny idealista znad Wołgi, Włodzimierz Iljicz Lenin, miał jednak rację.

–Co za skończony dupek – mruknął Andre Maklov.

Po tym podsumowaniu czterej dżentelmeni ze swoją pielęgniarką zakończyli zwiedzanie i udali się do stołówki. Panu Andrewsowi musiało bardzo dokuczać biodro, bo coraz wyraźniej utykał.

Ten wieczór spędzili z innymi pasażerami na pokładzie, obserwując odległe brzegi jeziora Ładoga. Statek kierował się na północ, by przepłynąć obok znajdujących się tam wysepek. O 22.00, nie docierając do miejsca nawrotu, zmniejszył na noc szybkość prawie do zera.

Rankiem mieli opłynąć wyspy, a następnie zawrócić na południe ku odległemu o dziewięćdziesiąt mil ujściu rzeki Swir. Potem jeszcze sto mil w górę rzeki z szybkością nie przekraczającą ośmiu węzłów i znajdą się w porcie Wozniesienije w południowo-zachodnim narożu jeziora Onega. Według rozkładu mieli tam dotrzeć nad ranem 9 czerwca i rzucić na noc kotwicę na zacisznych południowych wodach jeziora.

Rano ruszą na północ ku wyspie Kiży, by obejrzeć jedyne w swoim rodzaju drewniane cerkwie, a stamtąd skierują się ku wysepkom, którymi usiany jest środek jeziora na północ od Pietrozawodska, i zatrzymają się między nimi na noc. Rankiem 10 czerwca wezmą kurs na Zielony Przystanek usytuowany w północno-zachodnim narożu jeziora Onega.

Czterej dżentelmeni z Minnesoty szybko zintegrowali się z innymi pasażerami statku. Posiłki jadali, co prawda, przy osob-

nym stoliku, ale przesiadywali często w małym barku na rufie statku, sącząc kawę i wychylając od czasu do czasu kieliszek armeńskiego koniaku. Rzadko wdawali się w rozmowy ze współpasażerami, ale słuchali z uznaniem rosyjskich pieśni, którymi po skonsumowaniu przez gości odpowiedniej ilości wódki zawsze rozbrzmiewał barek. Zaprzyjaźnili się z młodym, blondwłosym stewardem Pietią, który obsługiwał stoliki po południu i wczesnym wieczorem. Pietia lubił opowiadać małomównemu panu Andrewsowi o używanym amerykańskim samochodzie, który zamierza kiedyś kupić. Pielęgniarka Dubranin zawsze budziła podopiecznych o 6.30, zabierała rzeczy do prania i rozdawała im czyste ubrania.

Nastał wreszcie ranek 10 czerwca. Cała piątka ze środkowego zachodu siedziała na pokładzie, kiedy statek podnosił kotwicę i zostawiając za sobą wyspę Kurgienica, ruszał wolno ku głównemu szlakowi żeglugowemu północ-południe. Cały dzień płynęli wzdłuż przepięknego zachodniego brzegu jeziora, a przewodniczka opowiadała przez radiowęzeł o tym, co wydarzyło się na tych ziemiach przez ostatnie pięćset lat.

Przed południem „Jurij Andropow” zwiększył, szybkość, by zgodnie z rozkładem o wpół do siódmej wieczorem dotrzeć do Zielonego Przystanku. Na zegarku Borisa Andrews’a była 12.52, kiedy milę przed dziobem dostrzegli konwój kapitana Wołkowa, sunący wolno głębokim środkowym kanałem żeglugowym. Przez kilka ostatnich dni ruch na szlaku był wyjątkowo mały, ale i tak pięć dużych frachtowców próbowało wyprzedzić Tolkacze.

„Andropow” charakteryzujący się małym zanurzeniem nie musiał ustawiać się w kolejce za frachtowcami i bez trudu wysforował się przed barki. Wszyscy pasażerowie statku, włącznie z pielęgniarką Dubranin i jej czterema pracodawcami, wylegli na pokład i napawali się prawdziwie niesamowitym widokiem trzech rosyjskich okrętów podwodnych klasy Kilo przewożonych jeziorem na Morze Białe przez największe barki transportowe, jakie w życiu widzieli.

Przewodniczka wyjaśniła przez radiowęzeł, że w widoku tym nie ma niczego niezwykłego. Ze latem regularnie przewozi się tą trasą okręty wojenne zbudowane albo zmodernizowane w słynnej stoczni Czerwone Sormowo w Niżnym Nowgorodzie nad Wołgą. I że sowiecka marynarka wojenna przez ponad pół wieku wykorzystywała te „tajne” śródlądowe szlaki wodne do przemiesz-

czania okrętów wojennych. Oczywiście wyjąwszy zimę, bo od października do kwietnia rzeki i jeziora tu, na północy, są zamrożone.

Przewodniczka dodała, że ta „niezrównana” sieć kanałów łączących rzeki, jeziora i oceany świadczy o dalekowzroczności przywódców komunistycznych. Wspomniała również, że zaprojektowany dla dużych statków rosyjski wodny system transportowy nie ma swojego odpowiednika w zachodnim świecie. Nie wspomniała tylko o milionach ofiar wśród niewolniczej siły roboczej, którymi została okupiona budowa Kanału Białomorskiego.

Kiedy „Andropow” wyprzedzał Kilo z prawej strony, panowie Andrews i Maklov zwrócili uwagę na obecność na barkach trzech strażników, którzy machali wesoło do pasażerów statku wycieczkowego, podczas gdy kapitanowie pozdrawiali się syrenami. Panowie Nichols i Rabovitz gapili się oniemiałi na dwa ogromne, dwuipółtysięcznotonowe okręty podwodne ustawione na pokładzie dwustusiedemdziesięciometrowego Tolkacza.

Część tego popołudnia spędzili na pokładzie, a potem rozeszli się do swoich kabin. Ale o 18.00 wszyscy czterej znowu pojawili się przy relingu, by obserwować ostatni etap podejścia do Zielonego Przystanku. Kapitan dobił do mola wybiegającego w jezioro z zalanego słońcem brzegu, wyhamował na wstecznym biegu i statek zatrzymał się na płyciźnie.

Falujące w lekkiej bryzie szuwary ocierały się o burtę.

Pomarszczoną twarz Borisa Andrewsa rozjaśnił uśmiech, kiedy pan Maklov mruknął pod nosem:

–Jasny gwint! Znowu to déjń vu.

Pielęgniarka Dubranin pomaszzerowała na rufę i zapatrzyła się na jezioro, zachwycona jego czystym blaskiem, blaskiem, który nie zgaśnie przez całą noc, blaskiem, który tutaj, na północy Rosji, przez całe lato wypełnia białe noce.

Jeszcze nigdy nie widziała takiej jasnej wody. Stado rybitw kołyszących się na powierzchni zalewało światło tak czyste i padające pod takim kątem, że woda zmieniała się dosłownie w zwierciadło i trudno było orzec, co jest ptakiem, a co jego odbiciem.

Okręty podwodne zostały daleko z tyłu. Panna Dubranin rzuciła jeszcze okiem na marynarzy zakładających cumy na pachołki, a potem wróciła do swoich dżentelmenów. Nad sitowiem i trawami opuszczano właśnie wielki trap sięgający do drogi gruntowej.

Pierwsi pasażerowie zaczęli schodzić na ląd, gdzie czekała na nich mała armia drobnych handlarzy wystawiających na drewnianych stołach szeroki asortyment towarów: srebra, rzeźby (przeważnie w drewnie), wszelkiego rodzaju biżuterię, antyki, małe obrazki, słoiki z dżemem. Kapitalizm zapuścił tu już korzenie.

Pięćdziesiąt metrów w lewo, przy drodze, stała mała chata przerobiona na kawiamię-bar. Przylegała do niej duża biało-żółta weranda ze stolikami rozstawionymi w cieniu wielkiej wierzby. Ręcznie malowany szyld głosił: „WELCOME INN”. Na drewnianym kontuarze stały trzy mosiężne samowary z herbatą, dwa ogromne dzbany kawy oraz mnóstwo butelek brandy i likierów.

Kawałek dalej widać było kilka budynków w budowie, prawdopodobnie sklepów, bo ludzie mieszkający nad jeziorem spodziewali się tu latem co najmniej sześciu statków dziennie, pełnych zagranicznych turystów nie żałujących pieniędzy na pamiątki z Rosji.

Z radiowęzła popłynął komunikat, że korzystając z pięknego, ciepłego wieczoru, załoga przygotowuje na brzegu ognisko, a pasażerowie mogą to potraktować jako piknik albo wrócić ze świeżo upieczonymi kiełbaskami na statek. Ci, którzy chcą, będą mogli za drobną opłatą usiąść przy stołach ustawionych na polanie sąsiadującej z Welcome Inn. Najwyraźniej przyswojono już tu sobie jedną z naczelných zasad kapitalizmu, która głosi, że nie ma nic za darmo.

Pielęgniarka Dubranin zapłaciła bez szemrania dziesięć dolarów za stolik na skraju polany, za który żądano pięciu dolarów. O 19.30 odbyła ze swoimi podopiecznymi ostatni spacer po pokładzie. Dżentelmeni człapali wzdłuż prawej burty statku jeszcze wolniej niż zwykle, bo mieli stamtąd dobry widok na stojące już niecałą milę od nich na kotwicach dwa gigantyczne Tolkacze z okrętami podwodnymi, których sylwetki rysowały się ostro na tle odległego horyzontu: K-6, K-7 i K-8.

Boris Andrews kiwnął nieznacznie głową. I bez słowa zeszli po trapie na ląd, by raczyć się pieczonymi nad ogniskiem stekami oraz ziemniakami z masłem i zsiadłym mlekiem. Potem z apetytem skonsumują imponujące ilości rosyjskiego sera i czarnego chleba, popijając gorącą kawą. Bo ta noc będzie dla nich długa.

Kolacja skończyła się o 10.00, ale niebo było wciąż jasne, a nad zachodnim widnokretem nadal wisiała ognista kula słońca, zalewając różowawym blaskiem tafłę jeziora. Wid ciepły wie-

trzyk od południowego zachodu. Grupka dżentelmenów siedziała w towarzystwie pielęgniarki nad kawą i czekając na nadejście północy, obserwowała zapobiegliwość rosyjskiej załogi starającej się dorobić sobie do marnej pensji.

Stewardzi roznosili między pasażerami małe koperty, prosząc o datki dla mniej widocznych członków personelu – kucharzy, obsady kambuza, sprzątaczek. Nie byli zachłanni, nie oczekiwali wysokich darowizn, wystarczył symboliczny dolar od bogatego obywatela Zachodu dla klepiących biedę rosyjskich ludzi pracy. Koperty miały być zbierane w drodze powrotnej. O 10.30 Boris miał już w kieszeni pięć takich.

Kiedy minął kolejny kwadrans, a ponad pięćdziesięcioro pasażerów siedziało nadal przy stolikach na polanie i popijało brandy, pielęgniarka Dubranin wstała ostentacyjnie i oznajmiła swoim podopiecznym, że zabiera ich na krótki wieczorny spacer połą drogą w głąb lądu i z powrotem. A potem, zwracając się do osób przy sąsiednim stole, dodała z nutką irytacji:

–Najwyższa pora położyć ich do łóżek... dosyć już wypili tej brandy, czy jak to coś nazwać.

–Daj spokój, Edith – zawołał ktoś – niech się chłopaki zabawią... są przecież na wakacjach, nie?

Ale pielęgniarka z Chicago nie dała się udobruchać. Stanowczym tonem oświadczyła, że dosyć tego pijaństwa, idą odetchnąć świeżym powietrzem, zwłaszcza pan Nichols, który miewał napady astmy.

I noga za nogą powlekli się drogą na północ. Pochód zamykał utykający Boris Andrews.

–Biedny stary – powiedział Teksańczyk siedzący przy sąsiednim stole. – Czego się do niego przyczepiła? Tak dobrze się bawił.

Całe dziesięć minut zajęło im pokonanie sześciuset kroków do zakrętu drogi. Tam znikli wreszcie z oczu pasażerom pozostałym na polanie i dalsze dwieście kroków przeszli już znacznie szybciej. Było wciąż jasno – nie tak jak w dzień, ale jasno. W oddali, na wodzie, rysowały się sylwetki Tolkaczy.

Andre Malkov prowadził. Szedł lewą stroną drogi i przyglądał się uważnie drzewom. W pewnej chwili zatrzymał się przy wysokiej sośnie i powiedział cicho:

–Rozejrzyjcie się, chłopaki...

Cała piątka rozejrzała się dookoła. Żaden dźwięk nie mącił ciszy, w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

–W porządku – szepnął Boris Andrews, wpatrując się w mały kwadratowy aparacik ukryty w przewodniku turystycznym. – To tu. Idziemy.

Jednym skokiem pokonał trawiaste pobocze drogi i znikł w lesie. Pozostała czwórka ruszyła jego śladem. Biegająca na końcu pielęgniarka mocowała się „z tą pieprzoną peruką”, usiłując zerwać ją z głowy. Sadzili długimi susami za dowódcą prowadzącym ich pewnie dzięki odbiornikowi GPS.w dłoni. Kierowali się w miejsce, którego współrzędne przed kilkoma tygodniami zostały wprowadzone do pamięci urządzenia.

Było tu ciemniej niż na drodze, gdyż korony drzew tamowały dopływ światła i panowie Andrews, Nichols, Maklov i Rabovitz pomału wtopili się w półmrok. Po jakimś czasie przez las, rozgarniając w biegu gałęzie i zarośla, pędzili już czterej komandosi z SEAL komicznie wyglądający w staromodnych letnich ubraniach starsuszków. dzielnie dotrzymywała im kroku jeszcze niedawno ich pielęgniarka Edith Dubranin, a teraz "doświadczona agentka operacyjna CIA, Angela Rivera.

Dotarli do celu, którym był wzgórek pod rozłożystym krzakiem. Znowu zrobiło się jaśniej, bo las zaczynał się tu przerzedzać. Zatrzymali się bez słowa, z ulgą zdarli z siebie resztki kamuflażu i złożyli go na kupkę.

Ray Schaeffer ze zwinnością świstaka zanurkował pod krzak i po dwudziestu sekundach wypełził stamtąd z łopata. Chwycili z Rickiem Hunterem krzak i wyrwali go z ziemi. Komandor porucznik kazał młodemu Jasonowi, do niedawna panu Rabovitzo-wi, stanąć na czatach.

–Oczy i uszy szeroko otwarte – poinstruował go. – Gdyby ktoś nadchodził, huknij dwa razy jak sowa i kryj się. Jeśli się tu zbliży, załatw go nożem. Teraz nie możemy popełnić błędu. – Wręczył Jasonowi nóż, a potem zwrócił się do niedawnego astmatyka, Stena Nicholasa, obecnie Harry'ego: – Kop w tym miejscu... nie za głęboko. Drzwiczki zasobnika znajdują się na wierzchu, nie więcej niż pół metra pod ziemią.

Odkopanie zasobnika i otwarcie drzwiczek zajęło niecałe pięć minut. Bosman Harry Starek zabrał się do odkopywania drugiego z zasobników, a komandor porucznik Rick Hunter przystąpił do rozładunku pierwszego. Znalazł w nim cztery zamknięte hermetycznie plastikowe torby ze skafandrami pletwonurków, z których każda zawierała również parę opatrzonych numerami

pletw – takie pletwy z wymalowanym białą farbą numerem każdy komandos SEAL otrzymuje po ukończeniu kursu dywersji BUD/S, a ów numer ma mu od tej pory towarzyszyć przez całą służbę w elitarniej jednostce SEAL.

Angela rozłożyła torby w rzędzie, umieszczając na wierzchu każdej aparat do oddychania pod wodą Draeger Mk V, będący na wyposażeniu formacji SEAL, nie wydziela on pęcherzyków powietrza ani żadnych szmerów, które czujnemu wartownikowi mogłyby zdradzić obecność pletwonurka. Cylinder taki mieści trzysta pięćdziesiąt litrów tlenu, który wywiera nacisk dwóch tysięcy funtów na centymetr kwadratowy. Dobrze wyszkolony komandos SEAL, oddychając miarowo i spokojnie, ma w draegerze powietrza na cztery godziny, ale w stresie, zdenerwowany, może zużyć ten zapas w czasie o połowę krótszym. Aparat waży sporo, bo trzydzieści pięć funtów, ale pod wodą prawie nie czuje się jego ciężaru.

Razem ze skafandrami pletwonurków zapakowane były nowoczesne maski do nurkowania, które przylegają idealnie do twarzy, ale produkowane są we fluoryzujących zieleniach i czerwieniach, żeby były z daleka widoczne. Każdy komandos z SEAL swoją maskę okleja taśmą izolacyjną bądź maluje na czarno, i każda jest dokładnie sprawdzana i pakowana przez instruktorów z Coronado.

Pod sprzętem do nurkowania Rick Hunter znalazł cztery deski bojowe, małe pulpity z dwoma uchwytnymi, w których zainstalowane są kompas, głębokościomierz i zegarek. Deska pomaga pletwonurkowi utrzymać kurs, wskazuje godzinę i umożliwia oszacowanie zużycia tlenu. Wszystkie te informacje ma tuż przed oczyma. Jedna taka deska bojowa przypada zazwyczaj na dwóch komandosów SEAL, ale Rick Hunter uznał, że podczas tej akcji każdy powinien mieć swoją, bo całą drogę tam i z powrotem mieli odbyć pod powierzchnią, a po znalezieniu się pod barkami będą musieli się rozdzielić.

Na dnie pierwszego zasobnika znajdowały się dwa lekkie pistolety maszynowe RPD produkcji rosyjskiej oraz tuzin magazynków z amunicją, po sześć do każdego.

–Te rozpylacze bierzemy ja i Ray – mruknął Rick, otwierając drzwiczki drugiego zasobnika. – Gdzieś tu powinny być jeszcze pistolety dla całej naszej piątki.

W drugim zasobniku znajdowały się dwa brezentowe worki

z nie rzucającymi się w oczy cywilnymi ubraniami – dżinsy, koszulki, sportowe kurtki, skarpetki i tenisówki. Niżej leżały cztery paczki z semteksem; w tym zasobniku materiału wybuchowego było sto sześćdziesiąt funtów i podzielono go na zestawy po osiem ładunków, każdy o wadze pięciu funtów, każdy z własnym detonatorem czasowym i własną przyssawką magnetyczną.

Tymczasem Ray otworzył już trzeci zasobnik. Wydobył z niego resztę materiału wybuchowego i detonatorów, pięć pistoletów Sig Sauer kalibru 9 mm z zapasowymi magazynkami, pięć noży bojowych Kaybar w pochwach oraz standardowe środki medyczne i artykuły pierwszej potrzeby, plus pałatki z podłogami, na wypadek gdyby przyszło im spędzić jakiś czas pod gołym niebem. Na samym dnie tego pojemnika znajdowała się też latarka i silna lornetka oraz dziesięć tabliczek czekolady i pięć dużych butelek wody mineralnej. I na koniec mała mina-pułapka w postaci grudki semteksu przymocowanej wraz z bateryjnym detonatorem do drewnianej deszczułki.

Ściągnęli z siebie ubrania starsuszków i wrzucili je do zasobników. Nałożyli skafandry pletwonurków i przygotowali się do powrotu nad jezioro. Płetwy i draegery mieli nieść w rękach, dwa pistolety maszynowe, sig sauary, noże i materiały wybuchowe przypięli, tak jak ich uczono, do bandoletów. Osiągnięcie pełnej gotowości do walki pod wodą zajęło im nie więcej niż pięć minut.

Plan wielokroć weryfikowano i udoskonalano. Po akcji mieli tu wrócić i pozbyć się jak największej ilości wyposażenia, a następnie ruszyć przez pola do odległej o milę głównej drogi pół-noc-południe.

Angela, która na razie tu zostawała, zabrała się do porządkowania ich obecnej bazy wypadowej. Uzbrojona była w pistolet i nóż. Zgodnie z planem za godzinę miała podejść do brzegu jeziora, przyczać się na skraju lasu i wypatrywać ewentualnych intruzów. Gdyby w nieodpowiednim momencie, podczas powrotu grupy dywersyjnej, ktoś nadszedł, zabije go bez wahania i bez skrupułów.

Komandosi z SEAL uścisnęli sobie w milczeniu ręce, po czym ruszyli w szarówce przez las. Na jego skraju zatrzymali się i skryci w zaroślach zlustrowali wody jeziora. Była dokładnie 1.45.

Upewniwszy się, że brzeg jest czysty, podnieśli się, przeskoczyli na drugą stronę drogi gruntowej i nisko pochyleni do-

m~

jr

biegli do szuwarów na płyciźnie. Tam przykucnęli na chwilę i nasłuchiwali.

Poprzez szum kołyszących się na wietrze trzciny i monotonne brzęczenie komarów przebijał się jeszcze jakiś dźwięk. Jakby warkot silnika. Jasno oświetlony „Andropow” stał przycumowany do mola pół mili na południe od nich. Warkot zbliżał się z przeciwnego kierunku. Niedobrze. I akurat ten moment wybrał sobie Jason na oddanie Rickowi Hunterowi noża. Rzucił go dowódcy, ale zrobił to za mocno i nóż, mijając wyciągniętą rękę Ricka, wpadł z głośnym pluskiem do wody dobre trzy kroki od ściany szuwarów.

–Kurwa mać! – warknął Schaeffer. – To silnik zaburtowy... pięćdziesiąt metrów od nas. Któryś z tych małych pontonów ze statku... Widocznie Pietia znalazł chętnego na przejazdkę za dolara po jeziorze. Kurwa. Płynie tutaj... jest ich dwóch. Rick... musieli widzieć, jak ten nóż wpadał do wody... sterują prosto na nas. Pewnie wybrali się na ryby.

–Odlóż swój sprzęt – zdecydował natychmiast komandor porucznik Hunter. – Wstań i pozdrów ich. Zostaw sobie tylko nóż. Reszty się pozbądź. Jason, pomóż mu. Ray, wołaj do nich po rosyjsku. Uśmiechaj się i machaj ręką.

Wydawszy te polecenia, podpełzł ku głębszej wodzie i zniknął pod powierzchnią. Warkot silnika był już wyraźnie słyszalny. Ray wystawił gołą głowę ponad szuwały.

–Hej tam, Pietia – zawołał starczym głosem Andre Maklo-va. – Mam tu piękną rybę. Chodź, zobacz i pomóż. Usmażymy ją sobie na śniadanko.

–Kto tam...? – W głosie Rosjanina pobrzmiwało wahanie człowieka, który rozpoznał kogoś po głosie, ale ten głos nie pasuje mu do twarzy, którą widzi. – Pan Maklov? Tak? A gdzie pan Andrews?

Ponton zwolnił i podpływał do porucznika Schaeffera. W towarzystwie Pietii Ray rozpoznał teraz Torbina, pierwszego kelnera ze statku. Pozdrowił obu serdecznie, nie zważając na fakt, że nie wygląda już na siedemdziesiąt osiem lat.

–Czy my się znamy...? – zaczął znowu steward z „Andropowa”.

W tym momencie Rick, zapierając się nogami o dno, z całych sił wypchnął ponton w górę. Stojący w nim Pietia stracił równowagę, ale nie wypadł za burtę.

Ray Schaeffer chwycił Rosjanina za blond włosy, wciągnął do wody i pchnął nożem między piąte a szóste żebro, przebijając mu serce.

Trzymający się kurczowo tylnego siedzenia Torbin otwierał już usta, żeby krzyknąć, ale Harry Starek, odbiwszy się od dna, wskoczył szczupakiem do pontonu, chwycił Rosjanina od tyłu za szyję i zmiażdżył mu tchawicę. Ostrze wbitego w plecy noża dosięgnęło serca Torbina. Ponton przewrócił się do góry dnem, zalany silnik zgasł.

–Ty, Ray, łap ponton, ja biorę ciała – powiedział komandor porucznik Hunter z niewzruszonym spokojem i zdecydowaniem, które czyniły go jednym z najlepszych dowódców SEAL z Coronado. – Położymy ich w wodzie przy brzegu twarzami do dołu, odczepimy silnik, wypuścimy powietrze z pontonu, przykryjemy nim obu i przygnieciemy silnikiem. Minie parę tygodni, zanim znajdą ciała w tych cholernych szuwarach.

Ukrycie zwłok zajęło im sześć minut. Uporawszy się z tym, wrócili do Harry'ego i Jasona. Rick zerknął na zegarek. Była 2.10.

–Oczekamy parę minut, żebyście ochłonęli – powiedział -bo inaczej powietrze mogłoby się nam za szybko skończyć. Wiecie wszyscy, co robić: dopływacie do środkowego Tolkacza; tam się rozdzielacie i każdy bierze na siebie jedną barkę; na pierwszych dwóch mocujecie po osiem ładunków co piętnaście metrów wzdłuż prawej stępki przechyłowej, zaczynając piętnaście metrów od dziobu. To robota dla Harry'ego i Jasona. Tobie, Ray, przypada ostatnia barka – ta płynąca osobno. Rozmieszczasz ładunki po prawej stronie dna w tych samych odstępach, zaczynając trzydzieści metrów od dziobu. Detonatory czasowe są już nastawione na dwadzieścia cztery godziny i zsynchronizowane. Wszystko jasne?

–Tak jest.

–I pamiętaj, Jason: mierz odległość. Każdy wymach płetwy posuwa cię o trzy metry, czyli podczepiasz kolejne ładunki co pięć ruchów płetwami. Oddychaj powoli i spokojnie. Nie wiem, jaka jest tam głębokość i przejrzystość wody, ale lepiej nie wynurzaj się zbytnio. Droga w tamtą stronę powinna wam zająć czterdzieści minut, drugie czterdzieści rozmieszczenie ładunków pod barkami i trzecie czterdzieści droga powrotna. Tego, który nie zjawi się tutaj za dwie godziny i piętnaście minut, uznaję za martwego i osobiście po niego popłynę.

n WIm

Komandosi kiwnęli głowami. Ray oznajmił, że już ochłonął i jest gotów.

–Dobra, chłopaki – powiedział Rick Hunter. – No, to do roboty.

Była 2.20, kiedy porucznik Ray Schaeffer i jego dwaj koledzy wślizgnęli się bezszelestnie pod wodę. Płynęli kursem zero-cztery-cztery, trzymając przed sobą na wyciągnięcie ramion deski bojowe. Rick oszacował, że odległość do barek wynosi około trzech czwartych mili, czyli mniej więcej tysiąc trzysta pięćdziesiąt metrów. Oznaczało to, że aby do nich dotrzeć, każdy z komandosów będzie musiał wykonać czterysta pięćdziesiąt wymachów płetwami, po jedenaście na minutę. Płynąć mieli miarowym rytmem: WYMACH... raz... dwa... trzy... cztery. WYMACH... raz... dwa... trzy... cztery. Wymach i ślizg, wymach i ślizg, i tak aż do okrętów podwodnych admirała Zhanga.

Wszyscy trzej wiedzieli, że ani na moment nie wolno im wystawić głowy ponad powierzchnię. O tym, że są już przy barkach, powie im ściemnienie wody. Najważniejsze, to nie zboczyć z kursu. Trzy atramentowoczarne sylwetki sunęły obok siebie cicho na głębokości trzech i pół metra, żeby nie pozostawiać zmarszczek na gładkiej tafli jeziora.

Rick Hunter, najlepszy pływak z nich, został w szuwarach, skąd obserwował barki przez lornetkę. Jeśli któryś z jego ludzi nie wróci do 4.35, popłynie tam z dodatkowym kompletem ładunków i sprawdzi, czy barka została przez zaginionego zaminowana.

Gdyby okazało się to konieczne, rozmieści wzdłuż dna swoje ładunki, po czym poszuka brakującego kolegi.

Jeśli nie uda mu się go odnaleźć, wróci jak najszybciej na brzeg sam. Na razie jednak siedział w szuwarach i obserwował bacznie Tolkacze, ale jak dotąd nie zauważył na nich najmniejszego poruszenia.

Po dwudziestu minutach Ray Schaeffer naliczył dwieście czterdzieści wymachów płetwami – miał wyprzedzenie. Po obu jego stronach, z charakterystyczną dla komandosów z SEAL swobodą, płynęli koledzy. Strzałka kompasu wskazywała dokładnie kurs zero-cztery-cztery, pokonali już ponad połowę drogi. W trzydziestej minucie odliczył trzysta czterdzieści wymach. Zwolnili troszeczkę, ale wciąż mieli wyprzedzenie. Najgorsze będzie ostatnie dziesięć minut. Cała sztuka polegała na tym, żeby się nie forsować, nie robić niczego na siłę, bo zbyt szybko wyczerpie się zapas tlenu.

Ray Schaeffer zwolnił jeszcze trochę. Zaczynały go boleć uda, lecz to było normalne przy pływaniu na długich dystansach. Kwas mlekowy. Ale to dla niego nie nowina. O wiele gorzej było tamtej nocy, kiedy dźwigali zasobniki. Jeszcze tylko sto dziesięć wymachów. Pestka. Na tyle siły woli starczy mu aż nadto.

Ale czekała ich przyjemna niespodzianka. Rick Hunter trochę przesadził z oceną odległości i po trzydziestu sześciu minutach znaleźli się nagle w ciemnościach, co oznaczało, że wpłynęli w cień rzucany przez konwój gigantycznych Tolkaczy przewożących nowiutkie okręty podwodne zamówione przez marynarkę wojenną Chin.

Ray, tak jak się umówili, wyrzucił w bok prawą rękę. Popłyną teraz wzdłuż dna Tolkacza w prawo i albo natkną się na olbrzymi żelazny sprzęg spinający człony pierwszej przegubowej podwójnej barki, albo na jaśniejszą wodę między barkami dwu- i jedno-członową. Zorientują się wówczas, gdzie się znajdują, bo na razie tego nie wiedzieli.

A znajdowali się dokładnie pod środkową barką. I kiedy dotarli do jaśniejszej wody za rufą, stało się oczywiste, że Ray popłynie dalej w tym samym kierunku do jednoczłonowego stuosiemdziesięciometrowego Tolkacza, natomiast Jason i Harry zawrócą i rozdziela się pod sprzęgiem łączącym człony barki podwójnej. Tam Jason znowu zawróci, odliczy pięć wymachów płetwami i zejdzie niżej, by poszukać stępki. Harry popłynie dalej, by zająć się przednią barką. Ponownie zobaczą się dopiero na brzegu, do którego wrócą kursem dwa-dwa-cztery.

Ray Schaeffer pierwszy dotarł na pozycję. Płynąc pod dnem barki, tuż przy pionowej burcie, wykonał dziesięć wymachów płetwami. Tam zatrzymał się i sunąc dłonią po płytach poszycia jednostki, zaczął schodzić niżej, dopóki nie natrafił na grubą metalową ukośną listwę sterczącą z dna na dwa metry pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do pionu. Była to stępka przechyłowa barki, rodzaj olbrzymiego stabilizatora. Ray musiał teraz przepłynąć pod nią na drugą stronę i tam, po wewnętrznej stronie, przymocować ładunki. Opuścił się jeszcze głębiej i ku swemu przerażeniu natrafił nogami na dno. Stępkę dzielił od niego zaledwie niecały metr. Całe szczęście, że w północnym końcu jeziora Onega nie występowały odpływy. Zanurkował głową w dół, przepłynął pod stępką, stanął znowu na piaszczystym dnie jeziora i sunąc dłonią po jej wewnętrznej powierzchni, namacał

Ray Schaeffer zwolnił jeszcze trochę. Zaczynały go boleć uda, lecz to było normalne przy pływaniu na długich dystansach. Kwas mlekowy. Ale to dla niego nie nowina. O wiele gorzej było tamtej nocy, kiedy dźwigali zasobniki. Jeszcze tylko sto dziesięć wymachów. Pestka. Na tyle siły woli starczy mu aż nadto.

Ale czekała ich przyjemna niespodzianka. Rick Hunter trochę przesadził z oceną odległości i po trzydziestu sześciu minutach znaleźli się nagle w ciemnościach, co oznaczało, że wpłynęli w cień rzucany przez konwój gigantycznych Tolkaczy przewożących nowiutkie okręty podwodne zamówione przez marynarkę wojenną Chin.

Ray, tak jak się umówili, wyrzucił w bok prawą rękę. Popłyną teraz wzdłuż dna Tolkacza w prawo i albo natkną się na olbrzymi żelazny sprzęg spinający człony pierwszej przegubowej podwójnej barki, albo na jaśniejszą wodę między barkami dwu- i jedno-członową. Zorientują się wówczas, gdzie się znajdują, bo na razie tego nie wiedzieli.

A znajdowali się dokładnie pod środkową barką. I kiedy dotarli do jaśniejszej wody za rufą, stało się oczywiste, że Ray popłynie dalej w tym samym kierunku do jednoczłonowego stuosiemdziesięciometrowego Tolkacza, natomiast Jason i Harry zawrócą i rozdziela się pod sprzęgiem łączącym człony barki podwójnej. Tam Jason znowu zawróci, odliczy pięć wymachów płetwami i zejdzie niżej, by poszukać stępki. Harry popłynie dalej, by zająć się przednią barką. Ponownie zobaczą się dopiero na brzegu, do którego wrócą kursem dwa-dwa-cztery.

Ray Schaeffer pierwszy dotarł na pozycję. Płynąc pod dnem barki, tuż przy pionowej burcie, wykonał dziesięć wymachów płetwami. Tam zatrzymał się i sunąc dłonią po płytach poszycia jednostki, zaczął schodzić niżej, dopóki nie natrafił na grubą metalową ukośną listwę sterczącą z dna na dwa metry pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do pionu. Była to stępka przechyłowa barki, rodzaj olbrzymiego stabilizatora. Ray musiał teraz przepłynąć pod nią na drugą stronę i tam, po wewnętrznej stronie, przymocować ładunki. Opuścił się jeszcze głębiej i ku swemu przerażeniu natrafił nogami na dno. Stępkę dzielił od niego zaledwie niecały metr. Całe szczęście, że w północnym końcu jeziora Onega nie występowały odpływy. Zanurkował głową w dół, przepłynął pod stępką, stanął znowu na piaszczystym dnie jeziora i sunąc dłonią po jej wewnętrznej powierzchni, namacał

miejsce połączenia z dnem kadłuba. Było tam strasznie nierówno, jak pod kamieniem, wyczuwał pod palcami całe kolonie skorupiaków i glonów. Niedobrze. A co gorsza, pracował teraz w kompletnych ciemnościach.

Wziął do ręki pierwszą pięcioletnią paczkę materiału wybuchowego i dokręcił do niej mocno magnetyczną przyssawkę. Następnie zamocował detonator czasowy; na małym wyświetlaczu urządzenia jarzył się nastawiony czas: dwadzieścia cztery godziny. Przytknął do dna kadłuba gotowy ładunek, ale ten, tak jak się tego obawiał, nie chciał się trzymać. Przytrzymał go lewą ręką, a prawą, drugi raz tego wieczoru, sięgnął po nóż. Oskrobał do czysta mały kawałek dna Tolkacza i teraz magnes przywarł do niego pewnie, z cichym stukotem.

Ray popłynął dalej w smolistych ciemnościach wzdłuż wewnętrznej strony stępki w kierunku rufy barki. Po piątym wymachu płetwą zatrzymał się i powtórzył zabieg. Spojrzał na zegarek. Wychodziło na to, że założenie każdego ładunku zajmuje mu sześć minut. A miał ich jeszcze do założenia sześć. Ale on był tu, na dole, w miarę bezpieczny, bardziej obawiał się o młodego Jasona. Ciekawe, jak tam sobie radzi, myślał, nastawiając każdy kolejny detonator na zadziałanie o sześć minut wcześniej niż poprzedni.

Porucznik Schaeffer skończył dokładnie o 3.40. Praca zajęła mu czterdzieści osiem minut. Wypłynął pod stępką w jaśniejszą wodę. Odpiął deskę bojową, uchwycił ją oburącz i oddychając powoli, ruszył kursem dwa-dwa-cztery w drogę powrotną. Ciekaw był, jak poszło Jasonowi i Harry'emu.

Po każdym wymachu płetwą liczył do czterech i wykonywał następny wymach. Na piętnaście minut przed osiągnięciem brzegu zaczęło dawać o sobie znać potworne zmęczenie, uda omdlewały. Płynął jednak dalej, przełamując barierę bólu i odmawiając swoją modlitwę. Jego zdaniem nikt nie uwinąłby się z tym szybciej.

Jakież było jego zdumienie, kiedy wynurzywszy się w szuwarach, ujrzał Ricka Huntera gawędzącego w najlepsze z Jaso-nem i Harrym.

–Gdzieś ty, do cholery, przepadł? – zapytał Rick. – Myślałem już, że nie żyjesz.

–Jak widać, jeszcze zipię – warknął gniewnie Ray. – Wszystko przez dno tej drugiej barki. Było tak zafajdane, że ładunki nie chciały się trzymać. Musiałem oczyszczać każde miejsce ze skorupiaków.

–Naprawdę? – spytał Harry. – U nas było czyściutko jak po remoncie. Trzy minuty i ładunek miałem założony. Jason też. Ustawiliśmy detonatory tak, by zadziały co trzy minuty. Tak się złożyło, że skończyliśmy jednocześnie i razem wróciliśmy.

–Czyli znowu miałem pecha – mruknął Ray. – Po tym skrobaniu mój nóż chyba będzie do wyrzucenia... lepiej nie każcie mi już dzisiaj nikogo zabijać.

–Raczej ci to nie grozi... taką przynajmniej mam nadzieję -odparł Rick. – Ale zaraz zaczniesz się rozwidniać, a musimy jeszcze przeskoczyć przez drogę do lasu. Aha, Angela, tak jak to było planowane, odeszła. Spotkamy się z nią później.

Wyszli z wody, przykucnęli w zaroślach i obserwowali przez chwilę pustą drogę. Potem, lżejsi już o czterdzieści funtów materiału wybuchowego, trzymając pod pachami deski bojowe i płetwy, przesadzili ją w kilku susach i popędzili lasem do miejsca, w którym pod ziemią spoczywały zasobniki. Angela zostawiła jeden nie zasypyany. Znaleźli w nim swoje cywilne ubrania, czekoladę i wodę.

Ściągnęli skafandry płetwonurków i draegery, i wraz z dwoma pistoletami maszynowymi, magazynkami i deskami bojowymi wrzucili je do pustego zasobnika. Wciągnęli na nogi skarpetki, wzięli buty, włożyli dżinsy, koszule i kurtki. Zjedli po kilka cząstek czekolady, napili się wody, a to, co zostało, wrzucili z powrotem do zasobnika, żeby pozbyć się zbędnego balastu.

Następnie Rick Hunter w każdym zasobniku, pod uchwytem drzwiczek, umieścił minę-pułapkę i ostrożnie pozamykał wszystkie drzwiczki. Gdyby w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat ktoś znalazł zasobniki i próbował je otworzyć, mina rozerwałaby na strzępy zasobnik razem z jego zawartością. Ray Schaeffer wcisnął w spulchnioną glebę stary krzak, po czym wziął ostatnią łopatę i posypał miejsce ukrycia zasobników ziemią oraz suchymi liśćmi. Uzbrojeni tylko w noże i pistolety ruszyli skrajem lasu na zachód, zabierając ze sobą łopatę.

Milę dalej natknęli się na szosę. Przywarowali na stromej skarpie, która opadała ku lasowi. Na poboczu, dwieście metrów na prawo od nich, siedziała okutana w wielką chustę stara wieśniaczka, najwyraźniej czekała na okazję.

O 6.55 przy wieśniaczkę zatrzymał się rozklekotany volkswagen bus, zabrał ją, ruszył i zatrzymał się ponownie dokładnie nad kryjówką komandosów. Przez okno od strony pasażera wychyliła się Angela; to ona była tą wieśniaczką.

–W porządku, chłopcy – zawołała. – Wynosimy się stąd. Wyprysnęli błyskawicznie zza skarpy i wskoczyli do mikrobusu.

–To mój kolega Władimir – powiedziała Angela Rivera, wskazując ruchem głowy kierowcę. – Pracuje dla nas w Moskwie. Mamy tu ubrania, dokumenty i paszporty. Władimir podrzuci nas tym gruchotem do samego Sankt Petersburga. Aha, gdyby nas zatrzymano, mówimy, że jesteśmy pracownikami plantacji cytrusów z Florydy. Zapamiętajcie to sobie.

W Sankt Petersburgu Wołodia wysadzi nas przy lotnisku. Tam wsiądziemy do prywatnego samolotu lecącego do Londynu. Wszystko już załatwione – Rosjanie nie interesują się teraz przedstawicielami firm handlowych, którzy podróżują samolotami. Zwłaszcza jeśli są to Amerykanie.

–Wspaniale – mruknął komandor porucznik Hunter.

–A tak przy okazji, załatwiliście sprawę z tymi Kilo?

–A jakże – powiedział Ray Schaeffer.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jedenastego czerwca o 8.30 rano kapitan Wołkow kazał podnieść kotwice i barki z trzema Kilo na pokładzie ruszyły przez jezioro Onega w dalszą podróż na północ. Droga do Morza Białego powinna im zająć jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

O 10.30 wejdą do kanału, a następnego dnia wczesnym rankiem zawiną do Biłomorska, aby zatankować paliwo.

Wielkie barki Tolkacz zawsze o tej porze ruszały z miejsca nocnego postoju, tak więc w Fort Meade nikt się nie zdziwił, kiedy ze zdjęć satelitarnych dostarczonych tam o drugiej nad

ranem odczytano, że właśnie to uczyniły.

*

Admirał Morgan był w wyśmienitym humorze. Do północy nie nadszedł żaden meldunek od drużyny SEAL, Kreml też nie podnosił krzyku, a to oznaczało, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. W drodze powrotnej z Fort Meade do Waszyngtonu Arnold Morgan był nawet miły dla Charliego. A kiedy wybiegał myślami do pandemonium, jakie rozpęta się tego wieczoru około dziewiętnastej, zarówno w Moskwie, jak i w Pekinie, po jego wargach zaczynał się błąkać przekorny uśmieszek. – Bardzo dobrze prowadzisz, Charlie – zauważył. Komplement

ten tak wyprowadził z równowagi znerwicowanego szofera, że omal nie wjechał w tył autobusu Greyhounda.

*

O 13.00 czasu miejscowego komandor porucznik Hunter

1 jego ludzie, przebrawszy się po drodze, podjechali pod lotnisko w Sankt Petersburgu. Wyszli z mikrobusu, zostawiając swoje

241

stare ubrania, noże i pistolety Władimirowi, który miał je oddać w konsulacie Stanów Zjednoczonych przy ulicy Piotra Ławrowa.

O 15.00 drużyna SEAL siedziała już w amerykańskim learze, który przygotowywał się do startu do Londynu. Za pięć godzin będą na pokładzie rejsowego boeinga 747 American Airlines lecącego do Nowego Jorku. Rick wyliczył, że kiedy znajdą się nad Maine, gdzieś na wąskim północnym odcinku Kanału Białomorskiego dojdzie do eksplozji ładunków założonych pod barkami.

*

Steward Pietia i pierwszy kelner Torbin z „Jurija Andropo-wa” rozpoczynali pracę w porze lunchu. Kiedy nie pojawili się na swojej zmianie, zameldowano o tym kapitanowi i pułkownikowi Borsowowi. Oficerowie zarządzili dokładne przeszukanie całego statku, co zajęło blisko dwie godziny. O 14.00 ustalono ponad wszelką wątpliwość, że obu mężczyzn nie ma na pokładzie.

W tym czasie statek płynął już jeziorem Onega na południe i trudno się było zdecydować, czy o zaginięciu powiadomić po prostu najbliższy posterunek milicji, czy zawrócić do Zielonego Przystanku. Nikomu nie chciało się wierzyć, że w tej odludnej okolicy mężczyznom mogło się przytrafić coś złego. Ale podczas poszukiwań stwierdzono również brak jednego z pontonów na górnym pokładzie – a kilka osób wiedziało, że właśnie tym pontonem Pietia zabiera pasażerów na nocne przejażdżki po jeziorze.

Pułkownik Borsow uznał, że coś tu jednak jest nie tak, i kazał kapitanowi zawrócić. „Andropow” skierował się znowu ku Zielonemu Przystankowi, gdzie cia załoga miała wziąć udział w poszukiwaniu kolegów.

Na lunchu nie zjawili się również czterej dżentelmeni z Minnesoty ani ich pielęgniarka, Edith Dubranin. Stolik stał pusty. Nie było ich także na śniadaniu i nikt ich od rana nie widział. Kapitan Borsow, który pierwszy zwrócił uwagę na nieobecność piątki pasażerów, posłał na górny pokład jednego ze stewardów, żeby zajrzał do dwóch kabin pierwszej klasy, które zajmowali.

Steward otworzył drzwi kluczem uniwersalnym i stwierdził, że kabiny są puste. Po starszych panach zostało tylko kilka rzeczy osobistych. Do pułkownika Borsowa dotarło, że „Andropow”

jakimś cudem zostawił na Zielonym Przystanku siedem osób i to ostatecznie skłoniło go do podjęcia decyzji o zawróceniu.

*

Kapitan Wołkow przez cały dzień prowadził swoje barki na północ. Do Morza Białego nie było już żadnych przystanków i ten ostatni studwudziestomilowy etap trasy zawsze okropnie mu się dłużył. Pływał tędy wielokrotnie z różnymi ładunkami, ale najgorsze były kursy z okrętami podwodnymi na pokładzie. Rjkate kadłuby Kilo zasłaniały kapitanowi cały widok z przodu. Pozostawało mu tylko pilnować silników i zdać się na syna, który stał za sterem w sterówce na dziobie pierwszej barki. Całe szczęście, że młody Iwan znał się na robocie.

O zachodzie słońca, czy raczej w tej porze doby, która w sezonie białych nocy uchodzi za zachód słońca, mieli już za sobą spory kawał drogi i zbliżali się do miasta Siegieża. Dotarli tam około północy i skręcili w wąski kanał, do którego wejście znajduje się na południe od miasta Nadwojcy. Tym bardzo wąskim odcinkiem szlaku wodnego płynęło się do następnego jeziora cztery godziny i szyper Tolkacza był rad, że wieczorem przespali się z Iwanem, powierzając ster starszemu matowi i nawigatorowi.

Dwunastego czerwca o 2.58 Kilo znajdowały się już cztery i pół mili na południe od jeziora i sześć mil na południe od miasta Koczkoma. Niebo było jasne, powierzchnia wody gładka jak stół, nie marszczył jej najłżejszy powiew wiatru. I naraz kapitan Wołkow nie tyle usłyszał, ile wyczuł przeciągły, odległy rumor pod stępką pierwszej barki. Ten odgłos nie był mu obcy, wiedział, co się stało.

–JOB TWOJU MAC – krzyknął. – WESZLIŚMY NA MIELIZNĘ...

Porwał za słuchawkę radiotelefonu i wrzasnął na Iwana przekonany, że ten popełnił jakiś błąd w nawigacji. I w tym momencie usłyszał drugi wyraźniejszy już grzmot dochodzący znowu gdzieś spod prawej stępki przechyłowej.

–JEZU! WPADLIŚMY NA COŚ... JEZUSIE... IWAN! ODEZWIJ SIĘ, DO CHOLERY!

Ale odpowiedzi nie było. Niewiele myśląc, kapitan Wołkow zastopował maszyny, zeskokczył z mostku i popędził galeryjką,

która prowadziła pod lewą burzą Kilo. Dobiegł do dziobu i zatrzymał się jak wryty przy sprzęgu spinającym obie barki. Nie wierzył własnym oczom. Pierwsza barka przechylała się na prawą burzę i kąt tego przechyłu szybko się powiększał.

Wartownik wisiał uczepiony jednego z wielkich drewnianych klinów, którymi podparty był okręt podwodny. Spod stępki dobiegł kolejny grzmot i pierwsza barka położyła się jeszcze bardziej na prawą burzę. Okręt podwodny klasy Kilo o wyporności dwóch i pół tysiąca ton zachwiał się, a potem przewrócił na bok i miażdżąc krawędź pokładu barki, z potężnym pluskiem runął do wody, by po chwili zniknąć pod powierzchnią.

Ale zniknął tam tylko na moment. Potem ze straszliwym impetem wyprysnął w górę niczym gigantyczny wieloryb, lecz zaraz znowu zniknął wtłoczony z powrotem pod wodę przez przewracającą się do góry dnem i tonącą barkę. Woda wdarła się przez szerokie pęknięcie, które powstało w kadłubie w wyniku uderzenia o krawędź pokładu.

Ale kapitan Wołkow miał teraz większe zmartwienia. Jego Tolkacz też zaczynał się przechylać pod wpływem ogromnej siły skręcającej, która działała na sprzęg spinający obie barki. Tolkacz przewrócił się wolno do góry dnem, a kapitan wpadł pod jego dziób, ginąc między elementami rozrywanego sprzęgu. Drugi Kilo zsunął się z pokładu na wschodnią ścianę kanału.

Uderzył o nią z chrzęstem gnieczonego metalu, krusząc beton, odbił się od burty barki i tak jak pierwszy poszedł na dno. Spoczął tam wypełniony wodą, która wdarła się przez dziurę pod kioskiem, i przygnieciony wielkim Tolkaczem, na którym przepłynął pół Rosji. Iwan Wołkow przeżył jakimś cudem i nie wiedząc jeszcze o śmierci ojca, dopłynął wpław do lewego brzegu.

Drapiąc się na górę, usłyszał osiem następujących po sobie stłumionych podwodnych wybuchów. To eksplodowały ładunki założone przez porucznika Schaeffera, wyrywając dziury w dnie jednoczłonowego Tolkacza. Iwan podniósł się i patrzył bezradnie na przechylającą się i pogrążającą w wodzie stuosiemdziesięciometrową barkę.

Iwanowi zdawało się, że przewracała się ze straszliwą powolnością i jednocześnie skręcała, ustawiając się w poprzek kanału. W pewnym momencie znajdujący się na niej Kilo zachwiał się, przechylił i miażdżąc wbite pod niego drewniane kliny, runął do wody z wysokości sześciu metrów. Uderzył z hukiem o po-

wierzchnię Kanału Białomorskiego, odbił się od ściany i rozpruty od kiosku po rufę poszedł na dno. Woda wdzierająca się przez powstałą wyrwę zdała akumulatory, diesle, skomputeryzowane systemy prowadzenia ognia, całą elektronikę sonaru, radaru i mostku dowodzenia oraz wszystkie przedziały.

Żaden dźwig nie byłby w stanie podnieść z dna choćby jednego okrętu Kilo. W ciągu sześciu minut ładunki wybuchowe założone przez ludzi admirała Bergstroma zatopiły trzy z największych rosyjskich barek, trzy warte dziewięćset milionów dolarów okręty podwodne klasy Kilo oraz zablokowały na wiele miesięcy, a może nawet na rok Kanał Białomorski.

Iwan Wołkow stał na pokruszonym, betonowym brzegu kanału, dygocząc z zimna i zdenerwowania, od najbliższej siedziby ludzkiej dzieliło go wiele mil, woda wygładzała się powoli nad wrakami. Dochodziła 3.00 nad ranem. Nad północno-wschodnim horyzontem jarzyło się blade słońce, a jemu instynkt podpowiadał, że z całej załogi przeżył tylko on.

I wiedział dlaczego. Kiedy pierwszy Tolkacz zaczął się przechylać na prawą burtę, wyczuł niebezpieczeństwo, wybiegł ze sterówki i w ubraniu skoczył do wody przez dziób. Znalazłszy się w ciemnej wodzie, popłynął co sił w lewo, byle dalej od tonącej barki. Kiedy przewróciła się do góry dnem, był już czterdzieści metrów od niej... i nic mu nie groziło.

Na razie tylko on w całej Rosji wiedział, że nie był to wypadek. Słyszał stłumione podwodne wybuchy nie tylko pod barką dwuczłonową, za której sterem stał, lecz również pod płynącym za nią pojedynczym Tolkaczem. Tylko młody Iwan Wołkow wiedział, że ktoś wysadził konwój w powietrze. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Ponieważ nie pamiętał, żeby na odcinku kilku ostatnich mil rzuciły mu się w oczy jakieś oznaki cywilizowanego życia na brzegach kanału, postanowił skierować się na północ. Ściągnął z siebie przemoczoną koszulę i spodnie. Boso – buty zgubił w wodzie – to idąc, to podbiegając, żeby pobudzić krążenie, dotarł wreszcie do najbliższej wioski. Ale trwało to bardzo długo.

W tym czasie, jakieś dwadzieścia dwie mile na południe od miejsca katastrofy, kanałem sunął powoli tysiadciedmusettonowy rzeczny statek transportowy, "3ałyk" wyladowany po okrężnicę drewnem z nad środkowej Wołgi, przeznaczonym dla północnych stoczni. Cztery godziny później, o 7.30 rano, starszy mat dostrzegł

mię przed dziobem coś wystającego z wody. Wezwał na mostek kapitana.

–Niech no pan spojrzy... Co to, u diabła, tam, przed nami?

–Gdzie? – zapytał kapitan i w tym samym momencie dostrzegł wystające spod wody dno drugiego Tolkacza. – JEZU!... CAŁA WSTECZ!

Frachtowiec był zbyt masywny, by zatrzymać się na tak krótkim dystansie nawet bez ładunku. Nie było mowy, żeby teraz, obciążony setkami ton drewna, zdążył wytracić na czas szybkość. Stare motory zwolniły bieg, zatrzymały się i ruszyły ponownie w odwrotnym kierunku. Zdawało się to trwać całe wieki. Śruba usiłowała bez powodzenia przewyciężyć siłę bezwładności, statek dygotał, ale sunął dalej ku sterczącej spod wody rufie drugiego Tolkacza. Grzmotnął z impetem w przeszkodę; na szczęście siłę uderzenia zamortyzowały opony od traktora, które kapitan Pierow zawiesił na dziobie dla uniknięcia uszkodzeń w często zatłoczonych rosyjskich portach handlowych.

Widok, jaki roztaczał się przed oczyma kapitana i jego nielicznej załogi, był wstrząsający. Całą powierzchnię kanału zaścielały szczątki. Przed przewróconą barką, w którą uderzyli, leżała na boku jeszcze jedna, a za nią, do góry dnem, trzecia. Pod pokruszoną lewą ścianą kanału spod wody wystawała rufa okrętu podwodnego.

Po prawej, na boku, w poprzek kanału, leżał drugi okręt podwodny. Nad powierzchnię wystawała jego rufowa część ze sterami i śrubą. Wschodni brzeg kanału wyglądał tak, jakby rozerwała go mina. "Po tej samej stronie, ale nieco dalej stała trzecia jednostka, do góry dnem, nieruchomo niczym jacht, który wszedł na mieliznę. Kapitan Pierow mógł się tylko domyślać, że to też okręt podwodny, który zarył kioskiem w piaszczyste dno kanału. W sumie przypominało to krajobraz po bitwie.

Wokół nie było żywej duszy. Dla kapitana żeglugi śródlądowej jedno nie ulegało wątpliwości: Kanał Białomorski był całkowicie zablokowany. W obu kierunkach. I ta sytuacja przez jakiś czas się utrzyma. Kapitan Pierow sięgnął po radiotelefon i powiadomił milicję rzeczną. Była 7.36 rano 12 czerwca.

O 9.00 wieść o zablokowaniu kanału dotarła na Kreml. I w gabinecie szefa sztabu generalnego marynarki wojennej zapa-

246

nowała atmosfera z trudem tłumionej wściekłości. Jego wstrząśnięty lokator, Witalij Ranków, potężny mężczyzna, za młodu reprezentacyjny wioślarz byłego Związku Radzieckiego, był teraz admirałem i jako trzeci z najpotężniejszych ludzi w rosyjskiej marynarce wojennej skupiał w swoim ręku olbrzymią władzę. Będąc szefem sztabu generalnego, plasował się w hierarchii tuż za głównodowodzącym, który zajmował również fotel zastępcy ministra obrony, oraz za zastępcą głównodowodzącego marynarki wojennej.

Każdy z obu mężczyzn stojących nad admirałem Rankowem był politycznie zaangażowany w działania rozmaitych flot byłego Związku Radzieckiego na Bałtyku, Morzu Czarnym, Pacyfiku i na północy. Jednak w sprawach związanych z kierowaniem rosyjską marynarką na co dzień największy respekt wśród jej liczącego 270 000 osób personelu wzbudzało nazwisko admirała Rankowa. To na jego biurku lądowały sprawy wymagające natychmiastowej decyzji. To jemu meldowano bezzwłocznie o sytuacjach mogących stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. I teraz były szef wywiadu marynarki wojennej siedział wpatrzony w leżący przed nim na biurku zwięzły raport: zatopione barki Tolkacz, zniszczone okręty podwodne klasy Kilo, zablokowany kanał.

Pytań rodziło się bez liku i admirał nie miał wątpliwości, że większość ich na zawsze pozostanie bez odpowiedzi. Na jedno jednak potrafił odpowiedzieć już teraz, choć będą raczej kłopoty ze znalezieniem dowodu.

Kto maczał palce w tym akcie dywersji?

Odpowiedź: admirał Arnold Morgan, doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej do spraw bezpieczeństwa narodowego. To znaczy, człowiek ten jest w to jakoś zamieszany, ale w sposób tak przewrotny, że prawdopodobnie niczego nie da mu się udowodnić.

–Skąd to wiesz, Witalij?

–BO DOBRZE ZNAM SUKINSYNA! – ryknął admirał na cały wielki, pusty gabinet. – Praktycznie postawił naszemu ambasadorowi w Waszyngtonie ultimatum... ten pieprzony narwaniec zniszczył już w sumie pięć okrętów podwodnych klasy Kilo, dwa na północnym Atlantyku, a teraz trzy w kanale.

Admirał Ranków długo krążył po gabinecie, przy każdym kroku postukując o marmurową posadzkę żelaznymi blaszkami,

którymi podkute były obcasy jego butów. Dopiero po dziesięciu minutach udało mu się zapanować nad emocjami. Spróbował zebrać myśli. Nie miał pojęcia, jak politycznie zareagować na ten oburzający incydent. Absurdem byłoby epatowanie opinii publicznej wysuwaniem jakichś bezpodstawnych oskarżeń wobec USA. A przynajmniej bez poparcia ich dostatecznymi dowodami.

Nie, to nie wchodzi w rachubę. Sprawę trzeba chyba będzie potraktować jako nieszczęśliwy wypadek i nie nagłaśniać jej. Może wyda się tylko komunikat o tragicznej w skutkach kolizji, do jakiej doszło w kanale. Mimo wszystko ofiar w ludziach nie jest dużo, a do katastrofy doszło daleko od Moskwy. Do szewskiej pasji doprowadzał go jednak fakt, że właśnie na to liczy pewnie ta swółocz z Białego Domu.

W jeszcze większą furję popadał admirał Ranków na myśl, że Arnold Morgan może uwierzyć, że cała ta bandycka eskapada ujdzie mu na sucho. Ochłonawszy trochę, porwał za słuchawkę i kazał operatorowi kremlowskiej centrali łączyć się pilnie z centralą Białego Domu i żądać natychmiastowego kontaktu z admirałem Morganem w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

–Ośmielam się przypomnieć panu, admirale, że w Waszyngtonie jest teraz 1.00 nad ranem – zwrócił mu grzecznie uwagę operator. '

–Wiem – odparł admirał Ranków i perspektywa, że dla odmiany teraz on zakłóci admirałowi Morganowi nocny odpoczynek, sprawiła, że na jego wargach pojawił się złośliwy uśmiešek.

Centrala Białego Domu przełączyła rozmowę do Fort Meade, gdzie admirał Morgan gawędził jeszcze z George'em Morrisem i już po trzech minutach admirał Ranków usłyszał w słuchawce:

–Witalij! Jak się masz, stary druhu?

–Dzień dobry, Arnoldzie. Wybaczysz tę spóźnioną porę?

–Ależ, Witalij, powtarzam ci przecież od dłuższego czasu, że możesz dzwonić do mnie o dowolnej porze. My tu pracujemy na okrągło.

–No tak. Prawda. Zdążyłem już to zauważyć – wymruczał chłodno Rosjanin.

–No, stary, o co chodzi?

–Arnoldzie, Kanalem Białomorskim transportowaliśmy dzisiaj rano na barkach trzy okręty podwodne klasy Kilo, i te barki przewróciły się ni z tego, ni z owego. Totalna katastrofa. Szkód na ponad miliard dolarów, kanał zatkany na dobre sześć miesięcy.

–Poważnie? No nie, straszna sprawa.

–Pomyślałem sobie, Arnoldzie, że może coś ci o niej wiadomo. O ile pamiętam, dałeś wyraźnie do zrozumienia Nikołajowi Riabininowi, że nie w smak wam nasz kontrakt eksportowy z Chinami.

–Chcesz przez to powiedzieć, że jednak wysłaliście te trzy Kilo do Chin?

–Jakbyś zgadł.

–Cóż, ja, osobiście, nic w tym wypadku nie wiem... Dzisiaj praktycznie nie ruszałem się od biurka. Ale czy ja dobrze rozumiem? Podejrzewasz, że ktoś przewrócił wam barki razem z okrętami podwodnymi w samym środku Rosji, pod okiem waszych służb bezpieczeństwa? Kto jest na czele waszej listy podejrzanych? King Kong?

–Arnoldzie, znamy się nie od dziś. I czasami udaje ci się mnie rozbawić. Ale nie tym razem. Tym razem twierdzę, że Stanom Zjednoczonym zależało, by doszło do takiego „wypadku”. I ostrzegam cię w imieniu marynarki wojennej Rosji, że nie spocznę, dopóki nie znajdę winnego. A jeśli ustalę, że stoi za tym Ameryka, to osobiście dopilnuję, by przedstawić was całemu światu jako bandę dbających o własne interesy, kpiących sobie z prawa, podstępnych sukinsynów. Wystąpimy na forum ONZ z rezolucją, w której będziemy się od was domagali pełnej rekompensaty za śmierć naszych obywateli i szkody materialne oraz przeprosin za sprowadzenie świata na skraj wojny. Wiem, że uważacie nas za cofniętych w rozwoju, za kraj Trzeciego Świata w porównaniu z potężnymi Stanami Zjednoczonymi. Ale pamiętaj, że mimo wszystko lepiej z nami nie zadzierać.

–Daj spokój, Witalij. Wcale tak o was nie myślimy. Zapewniam cię, że nie uważamy was ani za cofniętych w rozwoju, ani za kraj Trzeciego Świata, ani też nie chcemy z wami zadzierać. Nie jesteście waszymi wrogami. To prawda, że nie chcieliśmy, by te Klio trafiły do odbiorcy. Ale nigdy nie posunęlibyśmy się do czegoś takiego. Zresztą jak mielibyśmy to zrobić? Czy jakieś obce państwo byłoby w stanie przeprowadzić podobną operację na waszym terytorium? Bo podejrzewasz, że ktoś wysadził te barki w powietrze, tak? •

–Nie, Arnoldzie. Nie ktoś. Podejrzewam, że to wasza sprawa.

–Nie. Nie. Nie. To byłby bezprecedensowy akt barbarzyństwa w stosunkach między dwoma zaprzyjaźnionymi narodami.

Może i rozważałem taką teoretyczną ewentualność... ale do głowy by mi nie przyszło, żeby zastosować ją w praktyce.

–Arnoldzie, oczekuję od ciebie formalnego zaprzeczenia.

–No to je masz, stary. Na twoim miejscu poszukałbym winnego między waszymi prawdziwymi nieprzyjaciółmi. Weźmy, na przykład, takich Czeczenów. Nadal macie ze sobą na pieńku. I zwróć uwagę, że im byłoby o wiele łatwiej podziurawić te barki niż nam. Moim zdaniem to klasyczny przypadek roboty wykonanej przez wroga wewnętrznego.

–Dziękuję ci, Arnoldzie, za cenne sugestie. Ale nie rób ze mnie idioty.

–Gdzieżbym śmiał, Witalij? Jesteśmy starymi przyjaciółmi i jeśli będę mógł w czymś pomóc, daj mi tylko znać. A przy okazji, macie nad tym kanałem jakieś służby bezpieczeństwa? Rozstawiacie tam jakieś posterunki, patrolujecie teren?

–Prawdę mówiąc, to nie. Nigdy nie mieliśmy w Rosji poważnego wroga wewnętrznego.

–Jezu, Witalij. Przejrzyj ty wreszcie na oczy. Żyjemy w niebezpiecznym świecie, ja ci to mówię. Wciąż coś się dzieje. Na przyszłość radzę wzmacniać środki bezpieczeństwa przynajmniej na czas transportowania drogich okrętów podwodnych przeznaczonych na eksport.

Admirał Ranków z najwyższą rozkoszą udusiłby Arnolda Morgana swoimi wielkimi rękoma. Stłumił jednak w sobie te mordercze zapędy i powiedział tylko:

–Dziękuję, Arnoldzie, że poświęciłeś mi swój cenny czas. I z pewnością zrozumiesz mnie, kiedy powiem, że ani trochę nie wierzę w waszą niewinność.

–Oczywiście, że cię rozumiem. Masz prawo do własnego zdania. Ale szczerze ubolewam nad tym, co się stało, i jeszcze raz powtarzam, że możesz na mnie liczyć.

–Kawał z ciebie sukinsyna, Arnoldzie Morgan – mruknął Rosjanin, odkładając słuchawkę i potrząsając wielką głową.

Musiał odbyć tę rozmowę. I rezultat był taki, jakiego się spodziewał. Morgan wyparł się wszystkiego, udawał obruszonego, że w ogóle można podejrzewać Stany Zjednoczone.

Teraz przyszedł czas na wszczęcie wnikliwego dochodzenia mającego na celu ustalenie, co właściwie zaszło w Kanale Biało-morskim. Faktów było na razie jak na lekarstwo. Admirał Ranków rozmawiał już z szefem milicji rzecznej, który potwi«rdził, że

najpierw przewróciła się barka stanowiąca pierwszy człon dużego, dwuczłonowego Tolkacza, a potem sprzęgnięty z nią „pchacz”, na którego pokładzie znajdowali się kapitan i załoga. Chwilę później przewróciła się trzecia barka. Szef milicji nie wiedział, czy ta ostatnia barka była w jakiś sposób połączona z pierwszymi dwoma, ale sądził, że nie.

–Przewrócenie się jednej – mamrotał pod nosem admirał Ranków – można by uznać za wypadek. Przewrócenie się dwóch szepionych ze sobą, za karygodne niedbalstwo. Ale skoro przewróciła się również trzecia, nie połączona z dwoma pierwszymi, to z pewnością mamy tu do czynienia z sabotażem. Z aktem terroryzmu.

Wstał zza biurka i zaczął się przechadzać od ściany do ściany. Czy ten numer mogli wykręcić Czeczeni? Niewykluczone, ale jaki cel by im przyświecał? Pomijając kwestię pieniędzy, prawdziwym poszkodowanym nie była Rosja, lecz Chiny.

–Motyw miały Stany Zjednoczone – wymruczał pod nosem. – Przyznać jednak muszę, że nie chce mi się w to wierzyć. Mieliby tyle tupetu, żeby przeprowadzić tego rodzaju operację w głębi terytorium Rosji, daleko od oceanu? Jak'by się tu niepostrzeżenie dostali? Jak wwieźliby materiały wybuchowe? Jak by się wycofali? Gdzie są teraz winowajcy? A może nadal w granicach Rosji? Może jeszcze coś knują?

Admirał Ranków wzdrygnął się. Nic tu nie pasowało. A poszlaki były mgliste. Jednak do głowy przychodziło mu tylko jedno nazwisko. Morgan.

Postanowił, że wstrzyma się jeszcze z zameldowaniem

o sprawie zastępcy głównodowodzącego marynarki i rozpocznie dochodzenie. Wezwał oficerów swojego sztabu, komandorów poruczników Lewickiego i Kazakowa. Kazał im usiąść, wziąć do ręki notatniki, sam zaś zaczął krążyć po gabinecie i dyktować. Kiedy skończy, oficerowie na podstawie tego, co zanotują, sporządzą raport.

Sytuacja w rejonie katastrofy jest już pod kontrolą. Milicja rzeczna otoczyła to miejsce kordonem o promieniu pięciu mil. Co dwie mile ustawiono blokady drogowe, na których zatrzymuje się

1 przeszukuje wszystkie pojazdy bez względu na kraj, z jakiego pochodziły. Z całej okolicy ściągnięto dodatkowe siły milicyjne. Z Siewierodwinska leci już helikopter z pletwonurkami marynarki wojennej» Kanalem płynie na południe mały, przystosowany do

akcji ratowniczych okręt pomocniczy z dowódcą Floty Północnej i całym jego sztabem na pokładzie?. Będzie stanowił centrum dowodzenia na czas prowadzenia przez marynarke śledztwa w sprawie przyczyn katastrofy.

Admirał Ranków kazał sporządzić i przedstawić sobie listę wszystkich bez wyjątku pasażerów i członków załóg każdego statku wycieczkowego i frachtowca, który w ciągu ostatnich trzech dni zatrzymywał się w dowolnym miejscu na jeziorze Onega. Kazał również przedstawić sobie bezzwłocznie zestawienie wszystkich osób zaginionych w tamtym rejonie w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Dochodzenie to miało objąć wszystkie okoliczne wioski i miasteczka oraz każdy statek wycieczkowy, miejscowy frachtowiec, każdą jednostkę wojskową, która znalazła się w pobliżu tego odcinka Kanału Białomorskiego. Jeśli ktoś w jakichkolwiek okolicznościach zaginął, on, admirał Ranków, chce znać dokładnie jego personalia.

Zażądał również listy wszystkich obcokrajowców, którzy w ciągu ostatnich trzech miesięcy przybyli do Rosji, i kazał ją porównać z listą obywateli obcych państw opuszczających jej granice.

–Chcę wiedzieć, kto z nich jeszcze tu jest, a jeśli tak, to gdzie jest i co robi – powiedział. – Jeśli znajdzie się delikwent, który wyjechał z kraju, a jego wjazd nie został oficjalnie odnotowany, namierzyć mi go, obojętne, gdzie mieszka.

Jeden z oficerów ośmielił się zauważyć, że do takiej operacji potrzeba z tysiąc ludzi. Admirał odparł, że „gównu go to obchodzi, niech ich będzie i dziesięć tysięcy”. On musi ustalić, i to bez cienia wątpliwości, kto zniszczył jego Kilo.

–Jakbym już tego nie wiedział – wymruczał pod nosem.

W Waszyngtonie Arnold Morgan starał się zapanować nad

euforią, jaka ogarniała go, ilekroć wspomniał konsternację przebijającą z tonu admirała Rankowa. Wielce interesujący pojedynek -powtarzał sobie w duchu. – Próbowaliśmy z Johnem Bergstro-mem pozacierać wszelkie ślady. Ale pozostało z pewnością sporo tropów, które podejmie Witalij Ranków. Mam nadzieję, że zaprowadzą go donikąd.

A admirał Ranków szukał punktu zaczepienia, gdzie się tylko dało. Przechadzając się po marmurowej posadzce gabinetu, stukał podkutymi obcasami i nie znoszącym sprzeciwu tonem wydawał kolejne polecenia: •*

akcji ratowniczych okręt pomocniczy z dowódcą Floty Północnej i całym jego sztabem na pokładzie. Będzie stanowił centrum dowodzenia na czas prowadzenia przez marynarkę śledztwa w sprawie przyczyn katastrofy.

Admirał Ranków kazał sporządzić i przedstawić sobie listę wszystkich bez wyjątku pasażerów i członków załóg każdego statku wycieczkowego i frachtowca, który w ciągu ostatnich trzech dni zatrzymywał się w dowolnym miejscu na jeziorze Onega. Kazał również przedstawić sobie bezzwłocznie zestawienie wszystkich osób zaginionych w tamtym rejonie w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Dochodzenie to miało objąć wszystkie okoliczne wioski i miasteczka oraz każdy statek wycieczkowy, miejscowy frachtowiec, każdą jednostkę wojskową, która znalazła się w pobliżu tego odcinka Kanału Białomorskiego. Jeśli ktoś w jakichkolwiek okolicznościach zaginął, on, admirał Ranków, chce znać dokładnie jego personalia.

Zażądał również listy wszystkich obcokrajowców, którzy w ciągu ostatnich trzech miesięcy przybyli do Rosji, i kazał ją porównać z listą obywateli obcych państw opuszczających jej granice.

–Chcę wiedzieć, kto z nich jeszcze tu jest, a jeśli tak, to gdzie jest i co robi – powiedział. – Jeśli znajdzie się delikwent, który wyjechał z kraju, a jego wjazd nie został oficjalnie odnotowany, namierzyć mi go, obojętne, gdzie mieszka.

Jeden z oficerów ośmielił się zauważyć, że do takiej operacji potrzeba z tysiąc ludzi. Admirał odparł, że „gównu go to obchodzi, niech ich będzie i dziesięć tysięcy”. On musi ustalić, i to bez cienia wątpliwości, kto zniszczył jego Kilo.

–Jakbym już tego nie wiedział – wymruczał pod nosem.

W Waszyngtonie Arnold Morgan starał się zapanować nad

euforią, jaka ogarniała go, ilekroć wspominał konsternację przebijającą z tonu admirała Rankowa. Wielce interesujący pojedynek -powtarzał sobie w duchu. – Próbowaliśmy z Johnem Bergstro-mem pozacierać wszelkie ślady. Ale pozostało z pewnością sporo tropów, które podejmie Witalij Ranków. Mam nadzieję, że zaprowadzą go donikąd.

A admirał Ranków szukał punktu zaczepienia, gdzie się tylko dało. Przechadzając się po marmurowej posadzce gabinetu, stukał podkutymi obcasami i nie znoszącym sprzeciwu tonem wydawał kolejne polecenia: *

–Sprawdźcie, czy mamy listę wszystkich statków, które płynęły ostatnio północnymi szlakami wodnymi i mogły przewozić materiały wybuchowe; sprawdźcie, czy radar nie wykrył jakiegoś nie zidentyfikowanego samolotu, który w ciągu ostatnich dwóch miesięcy przecinał rosyjską przestrzeń powietrzną nad okolicami jeziora Onega.

–Z pasażerskimi włącznie? – spytał komandor porucznik Lewicki.

–Włącznie z każdym zafajdanym pudłem, które potrafi latać – odwarknął Ranków. – Jeśli zrobiło to jakieś obce państwo, to powinniśmy znaleźć w dnach Tolkaczy parę dziur. I w związku z tym pytam, w jaki, u diabła, sposób tyle materiału wybuchowego mogłoby się przedostać przez granicę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ryzykowałby przewożenia go koleją, ciężarówką czy nawet drogą wodną. Konsekwencje wykrycia takiego przerzutu byłyby zbyt poważne. Nos mi mówi, że sabotażyści zostali zaopatrzeni z powietrza, nie pytajcie mnie jednak, jak to się odbyło.

–Ile mogło być tego materiału wybuchowego, panie admirale? Ile by go było trzeba?

–Trudno powiedzieć. Ale to ogromne barki. Ich łączna długość wynosi ponad pięćset metrów. Żeby mieć pewność, że szybko się przewrócą i zatoną, trzeba by założyć ładunki co jakieś dziesięć, piętnaście metrów. To mnóstwo materiału wybuchowego. Musieliby go zrzucić z powietrza. Nie widzę innego sposobu. Chyba że planowali akcję od wielu miesięcy, szmuglowali go małymi partiami i magazynowali gdzieś w pobliżu kanału. Ale w to wątpię. Zbyt to naciągane, zbyt ryzykowne i za trudne do przeprowadzenia.

–Chce pan przez to powiedzieć, że ktoś zrzucił osiemdziesiąt kilogramów materiałów wybuchowych z samolotu, a grupa pletwonurków przejęła je na ziemi, rozdzieliła między siebie, a potem wpłynęła pod barki i wywalila w nich po dwadzieścia, trzydzieści dziur?

–Cóż, przyznam, że tak sobie właśnie pomyślałem, ale słuchając teraz tego z waszych ust, dochodzę do wniosku, że to raczej mało prawdopodobne.

–Proszę też wziąć pod uwagę czynnik dokładności, panie admirale. Pojemniki zrucane z samolotów mogą nieraz wylądować sześć kilometrów od wyznaczonego punktu. Piętnastu, dwu-

dziestu ludzi musiałoby przez kilka dni biegać po spirali, coraz szerszymi kręgami, żeby je odnaleźć. Ktoś by ich zauważył.

–Tak, zdaję sobie z tego sprawę – odparł Ranków. – Ale sęk w tym, że nie wiemy, gdzie mógłby nastąpić taki zrzut. Nie wiemy nawet, kiedy i gdzie mogliby podczepić te ładunki wybuchowe pod barki. Nie zapominajcie, że mały ładunek plastiku można nastawić na detonację z opóźnieniem od jednej minuty do dwudziestu czterech godzin. Mogli to zrobić gdziekolwiek.

–Ale z pewnością nie wtedy, kiedy barki były w ruchu -zauważył komandor porucznik Kazakow.

–Tak, to raczej wykluczone – przyznał admirał, zatrzymując się. – Z raportu wynika, że za sterem dziobowym stał syn kapitana, Iwan Wołkow. Przeżył i powiadomił milicję rzeczną z Kocz-komy. Skontaktujcie mnie z nim. Zapytamy, gdzie mieli ostatni postój. I w ogóle przemaglujemy człowieka. Jeśli trzeba będzie, ściągnie się go do Moskwy.

–Nie można też wykluczyć, panie admirale – dodał komandor porucznik Kazakow – że podłożyli te ładunki wybuchowe już w Niżnym Nowgorodzie, gdzie barki przez kilka dni stały... mogli zastosować jakiś specjalny typ detonatora z siedmiodniową zwłoką.

–To prawda, Andriej – przyznał admirał. – Ale nie wydaje mi się. To by było za mało precyzyjne. Nie mieliby nad tym kontroli. Nie Siedzieliby, gdzie dokładnie wybuchną ładunki... ktokolwiek to zrobił, musiało mu zależeć na precyzji, a nie słyszałem o podwodnym detonatorze z dużą zwłoką czasową, który zapewniałby taką dokładność, a wy?

–Ja też nie, panie admirale. Wracamy więc do punktu wyjścia... jeśli zrobiło to wrogie nam obce państwo, to w jaki sposób udało im się przemycić niepostrzeżenie do Rosji taką ilość materiałów wybuchowych?

–Wiecie, słyszałem o pewnym nowym amerykańskim wynalazku. Zdaje się, że opracowali go w Kalifornii, a działa na podobnej zasadzie jak te ich sterowane laserem bomby. Czytałem o nim tylko w jakimś zachodnim czasopiśmie wojskowym i nie wiem, czy jest już dopracowany. Nazywa się chyba HALO – High Altitude, Low Opening. To rodzaj sterowanego spadochronu. Człowiek wyskakuje z samolotu na wysokości dziesięciu tysięcy metrów i spada swobodnie naprowadzany na cel wysyłaną z ziemi wiązką lasera. Na wysokości trzystu metrów otwiera się spado-

chronić i skoczek ląduje miękko dokładnie w wyznaczonym miejscu. Trzeba sporo trenować... chyba nie tak trudno zrzucić w ten sam sposób pojemnik ze sprzętem wojskowym i naprowadzić go wiązką na cel. Mówię tu o zrzucie z wysokości prawie pięciu mil na cel o średnicy dziewięciu metrów.

–Jezu! – westchnął komandor porucznik Lewicki. – Nie widziałem tego artykułu, panie admirale.

–Cóż, nie wiem nawet, czy ten wynalazek jest już wykorzystywany w praktyce, ale to jest myśl, co?

–Rzeczywiście, panie admirale. Pójdę tym tropem, może uda mi się o nim czegoś więcej dowiedzieć.

*

Dwunastego czerwca w porze lunchu, Jurij Andropow" cumował nadal przy Zielonym Przystanku i pasażerowie zaczęli się niecierpliwić. Wielu z nich pomagało załodze przeczesać okolice w poszukiwaniu stewarda Pietii, pierwszego kelnera Tor-bina i pięciu Amerykanów. Ale jak dotąd nie natrafiono na żaden ślad zaginionych, chociaż kilka grup poszukiwawczych przechodziło w odległości nie większej niż dziesięć kroków od ciał dwóch Rosjan ukrytych pod pontonem na płyciźnie w szuwarach. Sędziwi Amerykanie też jakby się pod ziemię zapadli.

Pułkownik Borsow, który kierował poszukiwaniami, doszedł w końcu do wniosku, że ma obowiązki wobec innych pasażerów, i oznajmił, że o drugiej po południu statek rusza ponownie w drogę powrotną do Sankt Petersburga. Później połączył się z milicją

rzeczną i zgłosił zaginięcie siedmiu osób z, Jurija Andropowa".

*

O 16.00 admirał Ranków wiedział już znacznie więcej o okolicznościach katastrofy w Kanale Białomorskim. Ocalały z niej Iwan Wołkow wskazał dokładne miejsce postoju konwoju w północnej części jeziora Onega w noc poprzedzającą tragedię. Potwierdził również, że trzecia barka nie była w żaden sposób spięta z pierwszym dwuczłonowym Tolkaczem. Zeznał również, że słyszał stłumiony grzmot dochodzący spod barek, a potem wyraźniejszą już eksplozję pod linią wodną trzeciej barki.

Powiedział, że widział, jak ta ostatnia się przewraca, a stojący

na niej okręt podwodny uderza najpierw o betonowy brzeg kanału, a potem wpada do wody i tonie. Dodał, że jego zdaniem dna barek bez wątpienia zostały rozerwane ładunkami wybuchowymi, wskutek czego jednostki transportowe szybko się przewróciły.

O 18.00 admirał Ranków wrócił do swojego gabinetu po rozmowie z głównodowodzącym i jego politycznymi zwierzchnikami. Nie mieściło im się w głowach, że Stany Zjednoczone mogły przeprowadzić tak szeroko zakrojoną operację w samym środku Rosji. Przez pierwsze pół godziny upierali się, że to po prostu niemożliwe. Ale admirał Ranków obstawał przy swoim, utrzymując, że doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa narodowego, chociaż wszystkiemu zaprzecza, jest bez wątpienia zdolny do takiego draństwa i że to na pewno on stoi za zniszczeniem Kilo.

W końcu zadecydowano, że admirał Ranków podejmie energiczne śledztwo mające na celu znalezienie dowodu przeciwko Stanom Zjednoczonym, a znalazłszy go, nie zostawi na Amerykanach suchej nitki, przedstawiając ich światu jako zwyczajnych gangsterów.

*

Admirał Zhang Yushu, głównodowodzący Marynarki Wojennej Chińskiej Republiki Ludowej, nie wierzył własnym uszom. Ale attache morski z rosyjskiej ambasady w Pekinie nie miał najmniejszych wątpliwości: trzy Kilo, które opuściły Niżny Nowgorod i rozpoczęły pierwszy etap swojej podróży do Chin, zostały zniszczone w wyniku jakiegoś wypadku, do którego doszło w Kanale Białomorskim. Sytuacja nie była alarmująca. Nie zostały ostrzelane ani trafione pociskiem czy bombą. Po prostu stoczyły się z pokładów rosyjskich barek, którymi je transportowano, i spoczywają teraz na dnie kanału. Chińskie zamówienie, przynajmniej na te trzy jednostki, nie może zostać zrealizowane.

Admirał Zhang słuchał monotonnego, wypranego z emocji głosu tłumacza. Sprawa była jasna. Trzy Kilo transportowane do Siewierodwinska, gdzie czekały na nich chińskie załogi i technicy, nigdy tam nie dotrą. Odłożył słuchawkę i zaklął pod nosem. Po stracie ostatnich dwóch okrętów podwodnych cała odpowiedzialność za sprowadzenie do kraju reszty zamówionych Kilo praktycznie spadła na niego. Bo chińscy szefowie służb i politycy

instynktownie dystansowali się od projektów, które mogły się nie udać, a ten z pewnością do takich należał.

Jednak Zhang ulepiony był z twardszej gliny. Nie miał wątpliwości, że to znowu Amerykanie skasowali trzy kolejne okręty. Wiedział od admirała Rankowa, że postawili takie ultimatum rosyjskiemu ambasadorowi. A więc Waszyngton był gotów na wszystko, byle tylko przeszkodzić w dostawie Kilo. A to stawiało głównodowodzącego chińskiej marynarki wojennej w bardzo delikatnej politycznej sytuacji.

Przewodniczący dał wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnego zatargu ze Stanami Zjednoczonymi, żadnej awantury, która mogłaby zaszkodzić stosunkom handlowym między oboma państwami; stosunkom, dzięki którym Chiny bogaciły się jak nigdy dotąd. Zhang mógł liczyć co najwyżej na zielone światło, jeśli chodzi o sprowadzenie do kraju dwóch ostatnich Kilo, na których tak bardzo mu zależało.

Ale najpierw musi przeanalizować problem'pieniędzy. Jego rząd zapłacił już za te trzy Kilo trzysta milionów dolarów zaliczki. Następna rata, również w wysokości trzystu milionów dolarów, miała zostać uiszczona tego lata, po zakończeniu prób eksploatacyjnych na Morzu Barentsa, a ostatnie trzysta milionów wypłacone po znalezieniu się okrętów na chińskich wodach terytorialnych. Rosjanie nie będą się palili do zwrotu pierwszych trzystu milionów. Ale chińska marynarka wojenna musi tego twardo żądać. Dopiero po spełnieniu tego warunku admirał Zhang będzie mógł przystąpić do negocjacji w sprawie odprowadzenia ostatnich dwóch Kilo pod silną eskortą okrętów wojennych aż do Szanghaju.

Na razie wiedział tylko, że wielu admirałów jest zdania, iż z rosyjskimi okrętami podwodnymi o napędzie dieslowsko-elektrycznym będzie więcej kłopotu niż to warte. W obecnej sytuacji projekt ich zakupu zawisnie na włosku.

Jeśli ostrożni starsi politycy postawią na swoim, stanie się tak, jak to przewidywał Arnold Morgan: „Przyłożyć im porządnie, a prawdopodobnie szybko się wycofają i po prostu przyjmą do wiadomości, że nie życzymy sobie, by mieli te okręty podwodne”.

Admirał Zhang chyba najlepiej ze wszystkich zdawał sobie sprawę, jak porządnie im przyłożono. I tak samo jak admirał Ranków nie miał najmniejszych wątpliwości, jaki kraj za tym stał.

Admirał Ranków szukał tymczasem niezmordowanie ewentualnego błędu, jaki mogli popełnić Amerykanie. Myślał już, że wpadł na trop, kiedy jego ludzie ustalili, że pięcioro członków kierownictwa dużej plantacji owoców cytrusowych z Florydy przyleciało rejsowym samolotem do Sankt Petersburga, ale nie opuściło granic Rosji w dniu zadeklarowanym w wizach wjazdowych.

Nie mógł, rzecz jasna, wiedzieć, że ta piątka Amerykanów wkrótce po przylocie, jeszcze tej samej nocy, odpłynęła niepozornym kutrem rybackim z małego portu Kurgolowo położonego osiemdziesiąt mil na wschód od Sankt Petersburga. Ich paszporty i wizy miały zostać w stosownym czasie wykorzystane przez piątkę innych Amerykanów, którzy nie znali się zupełnie na uprawianiu owoców.

Potem okazało się, że ta piątka Amerykanów opuściła jednak formalnie Rosję, tyle że dwadzieścia cztery godziny później i na pokładzie firmowego odrzutowca lecącego z Sankt Petersburga do Londynu. W ciągu ostatnich paru miesięcy żadni inni obywatele USA nie przedłużyli swojego pobytu ani nie zaginęli.

Dopiero 19 czerwca wyszło na jaw, że jacyś Amerykanie jednak zaginęli. Otóż w północnej części jeziora Onega z pokładu statku wycieczkowego, "Jurij Andropow" zniknęło czterech mężczyzn z okolic Minneapolis oraz kobieta z Chicago. Co więcej, do zniknięcia tego doszło na dwa wieczory przed zatonięciem barek w Kanale Białomorskim.

Admirał Ranków dowiedział się o tym za pośrednictwem ambasady USA w Moskwie, po złożeniu przez waszyngtoński Departament Stanu formalnego protestu zarzucającego rosyjskim władzom, że nic nie robią w sprawie pięciorga obywateli amerykańskich, którzy zaginęli na jakimś rosyjskim jeziorze.

Było to klasyczne zagranie Arnolda Morgana, mające na celu wywołanie u Rosjan poczucia winy w związku z jawnym zaniechaniem, którego się dopuścili. Poirytowanie Departamentu Stanu postawiło na nogi całe moskiewskie Ministerstwo Turystyki i wprawilo w wielką konsternację armatorów statków wycieczkowych, którzy dążyli zawsze do tuszowania podobnych incydentów, by zapobiec efektowi domina, czyli masowemu odwoływaniu rezerwacji przez amerykańskich urlopowiczów znanych z takich nerwowych reakcji.

Ale Witalij Ranków nie dał się wyprowadzić w pole. Wyczuł

tu znowu rękę admirała Morgana i natychmiast wezwał do swojego ogromnego kremłowskiego gabinetu byłego oficera KGB, pułkownika Borsowa.

Starszy oficer z „Andropowa” sporo wniósł do sprawy. Znał tych Amerykanów, rozmawiał nawet z nimi i to on odkrył ich zniknięcie i kazał przeszukać zajmowane przez nich kabiny.

–Co to byli za ludzie? – zapytał szef rosyjskiej marynarki.

–Starzy.

–Starzy? W jakim wieku?

–Bardzo podeszłym.

–Czyli w jakim? Sześćdziesiąt? Dziewięćdziesiąt lat?

–Jeden z nich, pan Andrews, był chyba pod osiemdziesiątkę. Chodził o lasce, bardzo powoli. Pan Maklov był starszy, na pewno miał już z osiemdziesiąt lat. Ledwie powłóczył nogami, ale był bardzo miły. Dwaj pozostali byli trochę młodszy, ale niewiele. Oceniam ich na siedemdziesiąt parę lat. Nie mam pojęcia, co się mogło z nimi stać.

–Przyglądaliście się im z bliska?

–Z takiej odległości, z jakiej patrzę teraz na pana, panie admirale.

–I nie odnieśliście wrażenia, że tylko udają starych?

–Najmniejszego, panie admirale. Naprawdę byli starzy. Często ich widywałem. Dwa razy dziennie na posiłkach, raz na pokładzie spacerowym, kilka razy w barze.

–Nie wyglądali czasem na dobrych pływaków? – Ranków uśmiechnął się.

–Na pływaków? Nie, panie admirale. To byli starzy ludzie, kto wie, czy nie na ostatnim w życiu urlopie. Wszyscy mieli rosyjskie korzenie.

–A ta piąta osoba?

–Ach, to była ich pielęgniarka. Edith Dubranin. Kobieta po pięćdziesiątce. Opiekowała się nimi. Opowiadała mi, że jest z Chicago, gdzie przez wiele lat pracowała w jakimś dużym szpitalu.

–Czy waszym zdaniem istnieje możliwość, że byli terrorystami?

–Terrorystami? Nie sądzę. Dwaj z nich ledwie chodzili.

–Domyślcie się, co mogło się z nimi stać?

–Nie. Nic mi nie przychodzi do głowy, panie admirale. A to jeszcze nie koniec tajemniczych wydarzeń... podczas tego samego

259

rejsu, w tym samym miejscu przy Zielonym Przystanku na jeziorze Onega, zaginęło dwóch członków załogi. Młody steward z rufowego barku kawowego, Pietia, oraz pierwszy kelner Torbin. Wybrali się na przejażdżkę po jeziorze małym pontonem i już nie wrócili.

Admirałowi Rankowowi podobały się zwięzłe, rzeczowe odpowiedzi pułkownika Borsowa. Uznał jego opis Amerykanów za wiarygodny i zobowiązał do natychmiastowego meldowania o wszelkich nowych ustaleniach w sprawie zaginionej siódemki.

Odprowadził pułkownika do wyjścia na ulicę i wracając długimi korytarzami do gabinetu, rozmyślał o bezspornej zbieżności wypadków z nocy 10 czerwca na „Andropowie” z tym, co stało się dwadzieścia dziewięć godzin później, niespełna sto trzydzieści pięć mil stamtąd, na Kanale Białomorskim. Nie miał wielkiego wyboru, musiał uwierzyć zapewnieniom byłego oficera KGB: ci sędziwi Amerykanie nie byliby w stanie popełnić takiego przestępstwa.

Co zaś do stewarda i kelnera, ludzi zatrudnionych na statku od ponad czterech lat, obywateli rosyjskich, cieszących się dobrą opinią u pracodawcy... cóż, Witalij Ranków nie podejrzewał ich o dopuszczenie się zdrady stanu. Ale mimo wszystko sprawdzi ten trop.

Dwa dni później, 22 czerwca, inny steward z innego statku wycieczkowego cumującego przy Zielonym Przystanku, znalazł zatopiony ponton z, "Andropowa". Zabrał podobnym pontonem na krótką wycieczkę po jeziorze, po dolarze od łebka, sześć Amerykanek. W pewnej chwili, półtora metra pod powierzchnią, dostrzegł biały silnik niewidoczny z łądu. Podpłynął bliżej i zobaczył nazwę wymalowaną na leżącym na dnie, sflaczałym pontonie. Było za głęboko, żeby ją odczytać, ale nie aż tak głęboko, żeby nie sięgnąć tam bosakiem.

Steward siedział przez chwilę w pontonie kołyszącym się na fali, którą sam wywołał. Postanowił w końcu, że odwiezie swoje pasażerki na statek i wróci tu z dwoma członkami załogi, aby przeprowadzić akcję ratowniczą i wydobyć spod wody drogi silnik zaburtowy wraz z pontonem.

Odbili od statku o 23.00. Formalnie była już późna noc, ale pod koniec czerwca słońce w tych okolicach praktycznie nie

260

zachodzi. Przesuwa się tuż pod północnym widnokregiem i przez całą noc zalewa niebo jasnorożową zorzą. Widoczność na tym ogromnym północnym jeziorze w europejskiej części Rosji jest doskonała, a noce piękne. Nie można pozostać obojętnym wobec zjawiska, które miejscowi nazywają białymi nocami.

Bystrooki steward Alek wraz z towarzyszącymi mu kelnerem z głównej stołówki Nikołajem i mechanikiem Antonem dopłynęli do przybrzeżnej płycizny szarym pontonem Zodiak. Stupięćdzie-sięciokonny silnik zaburtowy terkotał cicho na niskim biegu.

Wypatrywali pod wodą białego kształtu podobnego do ich własnego silnika. Zaopatrzyli się w trzy worki i dwa długie bosaki. Zamierzali wyłowić silnik, ukryć go w ładowni swojego statku wycieczkowego. "Aleksander Puszkina" i zabrać do Sankt Petersburga. Tam go osuszą, Anton doprowadzi do stanu używalności, a następnie sprzedadzą ją za jakieś cztery tysiące dolarów – sumkę całkiem pokaźną dla młodych Rosjan zarabiających niecałe sześćdziesiąt dolarów tygodniowo.

Alek nie zapamiętał niestety żadnego punktu orientacyjnego na łądzie, na który można by się było kierować, w związku z czym szukanie właściwego miejsca trwało dosyć długo. Ale było przynajmniej jasno. Kwadrans przed północą Nikołaj wypatrzył wreszcie coś białego w czystej wodzie na samym skraju szuwarów.

Alek podprowadził tam ponton, jego koledzy chwycili zatopiony silnik bosakami i napięli muskuły. Silnik drgnął, ale nie chciał oderwać się od dna.

– Cholera, przymocowany do pontonu – mruknął Anton. – Któryś z nas musi zejść pod wodę i

odczepić bydlaka. Wszystkiego naraz nie damy rady unieść.

–No to skacz – powiedział Alek. – Ja steruję pontonem, a Nikolaj jest z nas najrośniejszy i najsilniejszy... będzie wciągał silnik do pontonu. Założę się, że waży z tonę.

Mający metr dziewięćdziesiąt wzrostu Anton, niezadowolony, że jemu przypadła w udziale najczarniejsza robota, wzruszył ramionami, burknął coś pod nosem, ale w końcu zsuł buty, ściągnął koszulę, skarpetki i spodnie, i zsunął się w zimną wodę. Wziął głęboki oddech, przykucnął przy białym silniku i od razu zorientował się, w czym tkwi problem. Metalowy szpic obudowy pod śrubą przebił na wylot drewnianą podłogę zodiaka i zakleszczył się w niej, kiedy silnik upadł na bok.

•0~f

Anton wystawił głowę nad powierzchnię i poinstruował Nikołaja, żeby ustawił silnik bosakiem w pozycji pionowej, bo tylko tak będzie go można oderwać od pontonu. Następnie znowu przykucnął i wyszarpnął silnik z cienkiej drewnianej podłogi. Kiedy ponownie wystawił głowę z wody, Alek z Nikołajem wciągali go już do pontonu.

Podłoga i gumowana powłoka pontonu, nie przygniatane już do dna ciężkim silnikiem, zaczęły unosić się powoli ku powierzchni. Anton, uczepiony burty własnego pontonu, odsunął je nogą. Stracił przy tym równowagę i opuściwszy nogę, żeby zaprzeć się o dno, wydał z siebie okrzyk obrzydzenia.

–JASNA CHOLERA! Jakiś zdechły pies czy co tam uczepliło mi się do nogi... wyciągnijcie mnie!

–Spokojnie. – Alek parsknął śmiechem. – To wodorosty. Pełno ich tutaj.

–Jakie tam wodorosty! – zachnął się Anton. – Przecież czuję, że to coś włochatego i zdechłego. Obrzydlistwo.

–Zaraz ci pokażę, w coś wdepnął – wtrącił się Nikołaj. Zanurzył w wodzie trzymetrowy bosak i pomacał nim po dnie. – Mam. Pomóż mi ciągnąć.

Napięli znowu mięśnie. Obiekt z cichym cmoknięciem odlepił się od mulistego dna. Był duży, większy niż pies. W trakcie wynurzenia obrócił się wokół własnej osi. Przypominał długą, oblepioną szlamem kłodę. Tylko że ta kłoda miała oczy, białe wybałuszone oczy spozierające beznamiętnie spod błota pokrywającego twarz i włosy.

Był to upiorny, oślizły trup, czamoczerwone ubabrane w szlamie ciało udekorowane orderem małej, rozchylonej na krawędziach, pięciocentymetrowej czerwonej szramy po lewej stronie klatki piersiowej.

Antonowi żołądek podszedł do gardła; puścił bosak i odwrócił się. Ale Nikołaj był odporniejszy na takie widoki. Schylił się i spojrział w wodę. Wypatrzył na dnie drugą taką „kłodę”, odzianą na niebiesko.

Zahaczył ją drugim bosakiem i wyciągnął z mułu kolebie ciało. Ten trup się nie przekręcił. Unosił się grzbietem do góry, do jego pleców lgnęła odbarwiona denimowa kurtka.

Te zwłoki udekorowane były taką samą szramą jak pierwsze, tyle że widniała ona w połowie pleców, po ich lewej stronie.

Wyglądało to tak, jakby obaj mężczyźni stoczyli między sobą

jakiś potworny pojedynek na długie myśliwskie noże. Albo natknęli się na zawodowego

zabójcę, który pozbawił ich życia z precyzją i dokładnością chirurga pracującego na otwartym sercu.

Milicja rzeczna powiadomiona przez Aleka i jego kolegów była na miejscu po czterdziestu pięciu minutach. I sprawa jeszcze bardziej się zagmatwała.

Pułkownik Borsow, płynący swoim statkiem wycieczkowym, usłyszał o znalezionych ciałach przez krótkofalówkę i natychmiast dał znać admirałowi Rankowowi, że liczba zaginionych osób zmniejszyła się do pięciu. Los dwóch członków załogi został już wyjaśniony.

Ranków był teraz w kropce. Do tej pory podejrzewał po cichu, że dwaj Rosjanie mogli zamordować starych Amerykanów dla pieniędzy i zbiec. Przyznawał w duchu, że to trochę naciągana teoria, ale nic innego nie przychodziło mu jakoś do głowy.

Teraz stracił nawet ten mało obiecujący punkt zaczepienia. A pytań było więcej. Kto zabił członków załogi? I czy podstarzali Amerykanie mieli coś wspólnego ze zniszczeniem Kilo? Admirałowi Rankowowi nie chciało się w to wierzyć. Jak by to było możliwe? Konwój z okrętami podwodnymi stał kilometr od brzegu i taką operację mogliby przeprowadzić tylko wytrawni płetwonurkowie.

Admirał uznał, że to ślepa uliczka, ale nadal nie mógł się pozbyć wrażenia, że układny pułkownik Borsow, zapewniając go o wieku i kondycji czterech Amerykanów oraz ich pielęgniarki, mógł zwyczajnie chronić własny tyłek. Zapisał sobie, że trzeba przyjrzeć się bliżej życiorysom piątki zaginionych. Amerykanie mogli coś przeoczyć, konstruując przykrywkę dla swoich ludzi. Wątpił jednak, czy to coś da. Arnold Morgan, o ile go znał, był zbyt przebiegły, by popełniać takie szkolne błędy. Zaczynała go ogarniać rezygnacja.

Wziął się jednak w garść i przystąpił do analizy innych, bardziej obiecujących tropów. Na pierwszy ogień poszły samoloty.

Miał przed sobą niezbyt długi wykaz samolotów, które przelatując nad Arktyką, a następnie Rosją, zmierzały do Turcji lub państw położonych nad Zatoką Perską. Były to w zasadzie maszyny startujące z zachodniego wybrzeża USA albo z Kanady, które obierając trasę nad biegunem północnym, chciały sobie skrócić drogę na Środkowy Wschód. Ludzie Rankowa ustalili, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy było tylko osiem takich. Wszystkie

zwracały się wcześniej formalnie o pozwolenie na wejście w rosyjską przestrzeń powietrzną i wszystkie dotarły zgodnie z rozkładem do miejsca przeznaczenia. Z wyjątkiem jednej.

Na liście leżącej przed rosyjskim admirałem figurował boeing 747? linii American Airlines, rejs AA294 startujący 1 maja z Los Angeles (czasu rosyjskiego) i zmierzający, zgodnie z planem lotu, do Bahrajnu nad Zatoką Perską.

–Tak – mruknął admirał. – Aż do Rosji wszystko się zgadza... zgodnie ze zgłoszonym planem lotu około 22.30, z kilkuminutowym spóźnieniem, weszli w naszą przestrzeń powietrzną nad Murmańskiem, a potem na wysokości dziesięciu tysięcy metrów z szybkością około pięciuset mil na godzinę, ani na chwilę nie zwalniając, lecieli mniej więcej wzdłuż trzydziestego czwartego południka.

Ale nasi ludzie z Emiratów twierdzą, że przybycie tego samolotu na lotnisko międzynarodowe w Bahrajnie nie zostało odnotowane. Mało tego, wcale się go tam nie spodziewano. Żaden boeing 747 rano tam nie wylądował. W dokumentacji nic o tym nie ma.

Admirał sunął dalej palcem po meldunku.

–No, proszę... American Airlines upierają się, że samolot wylądował o czasie w Bahrajnie... rejs wyczarterowany przez arabskich biznesmenów... i nie rozumieją, dlaczego Arabowie tego nie odnotowali.

Na dodatek pewien rosyjski agent zameldował o swojej rozmowie telefonicznej z amerykańskim urzędnikiem, w której ten ostatni napomknął, że gównie ich to wszystko obchodzi, bo samolot wrócił bezpiecznie do Los Angeles... i co mu tu zawracają głowę bałaganem panującym na jakimś środkowowschodnim lotnisku. „Przepraszam, ale nie mam nic do dodania. Żegnam”.

–No i to by było na tyle – mruknął pod nosem admirał Ranków. – Samolot nie miał w Rosji międzylądowania. Przeleciał tylko nad nią. Nie mamy żadnych powodów do podejrzeń, że rejs AA294 oprócz przewiezienia arabskich biznesmenów miał do wykonania jeszcze jakieś inne zadania, na przykład zrzuć materiałów wybuchowych na brzeg jeziora Onega. To raczej ślepa uliczka... samolot wylądował przypuszczalnie w amerykańskiej bazie lotniczej w Dahraniu, ale tego nie da się potwierdzić... Nie byłbym jednak zaskoczony, gdyby ten sobaczy syn Morgan...

Ilekoć zwalisty były oficer wywiadu rosyjskiej marynarki

wojennej natrafił na jakiś z pozoru obiecujący trop, jakikolwiek trop, to po bliższej analizie zmuszony był go uznać za mało prawdopodobny albo prowadzący donikąd i zarzucić. Jednak za tym wszystkim wyczuwał wciąż rękę Arnolda Morgana. Nie rezygnował jeszcze. Ale zaczynało go ogarniać nieprzyjemne przeczucie, że niczego nie zdoła udowodnić; że ptaszki, których szuka, dawno już odfrunęły, nie pozostawiając po sobie jednego nawet piórka.

Dwudziestego czwartego czerwca do jego biura przyszedł wstępny raport komandora porucznika kierującego ekipą nurków badających przyczyny katastrofy w kanale. Prace posuwały się powoli, bo barki pierwsza i trzecia zaryły się głęboko w muliste dno. Dowodów dostarczyła leżąca do góry dnem barka stanowiąca drugi człon przegubowego Tolkacza. W jej dnie, wzdłuż nasady prawej stępki przechyłowej, nurkowie znaleźli osiem wielkich dziur w równych piętnastometrowych odstępach.

–No, ładnie – mruknął admirał Ranków, przebiegając wzrokiem resztę raportu i szukając w nim informacji, której się spodziewał. – Wyraźnie widoczne ślady osmalenia... fragment poszycia dna wycięto palnikami acetylenowo-tlenowymi do prac podwodnych i przesłano do laboratoriów KGB w Moskwie... wyników badań jeszcze nie ma.

A ja już wiem, jakie będą: „Semtex wyprodukowany w Republice Czech”. Jasna cholera.

Jego obowiązkiem było teraz poinformowanie przełożonego i wiceministra obrony, admirała Karła Rostowa, że barki zostały profesjonalnie zatopione przez nieznane osoby. Pozostawało pytanie, jak przekazać tę niemiłą prawdę narodowi. I czy w ogóle to uczynić.

Witalij Ranków podejrzewał, że katastrofa zostanie uznana oficjalnie za wypadek, co podchwycą, może nie na pierwszych stronach, ale zawsze, zagraniczne media. To jeszcze jakoś zniesie. Nie do zniesienia była jednak wizja tryumfującego, zadowolonego z siebie admirała Arnolda Morgana... No, stary, zacznij lepiej myśleć o wzmocnieniu ochrony. Nieszczęścia chodzą po ludziach...

–Jezu święty – jęknął admirał Ranków. Zaczynało do niego docierać, że Stanom Zjednoczonym może to ujść na sucho. Tak jak uszło im na sucho zatopienie dwóch pierwszych Kilo.

Sięgnął po słuchawkę i kazał komandorowi porucznikowi Kazakowowi dostarczyć sobie raport z sekcji zwłok dwóch człon-

ków załogi „Andropowa”. Marynarka przewiozła ich ciała do Sankt Petersburga i powinno już być przynajmniej wstępne rozpoznanie przyczyn śmierci.

Komandor porucznik Kazakow wszedł do gabinetu po trzydziestu pięciu minutach, niosąc przefaksowane notatki patologa, który przeprowadzał autopsję. Przyczyna śmierci była w obu przypadkach identyczna: ustanie akcji serca wskutek pchnięcia zadanego nożem o długim ostrzu. Wlot rany u jednego z zabitych znajdował się z przodu, u drugiego z tyłu. W płucach stewarda Pietii, tego z raną w klatce piersiowej, znajdowało się więcej wody niż w płucach jego kolegi. Ale żaden z mężczyzn nie utonął. Obaj zostali zasztyletowani.

–Klasyczna robota sił specjalnych – wymruczał admirał Ranków. – Pojedyncza, śmiertelna rana. Profesjoniści. Prawdopodobnie profesjonalni pletwonurkowie. Ci dwaj z „Andropowa” musieli ich przyuważyć, dlatego zostali wyeliminowani, zanim zabójcy popłynęli do barek, żeby założyć pod nimi ładunki wybuchowe.

Aż dziw, że tak dobrze sobie wyobrażam, jak to się musiało odbyć. Jeszcze dziwniejsze, że nie mam strzępka dowodu przeciwko tym, którzy popełnili obie zbrodnie. Wiem tylko o czterech sędziwych Amerykanach, z których dwaj ledwie chodzili, a wszyscy nie wzbudzili podejrzeń nawet takiego wytrawnego oficera KGB jak pułkownik Borsow. A ci przepadli jak kamień w wodę.

Admirał wstał, z irytacją odgarnął do tyłu gęste, falujące, ciemne włosy i zaczął się powoli przechadzać po wielkim gabinecie. Stukot jego podkutych obcasów o marmurową posadzkę przypominał tykanie wielkiego niewidzialnego zegara.

–Wiem wszystko – wymruczał pod nosem – a jednocześnie nic nie wiem...

Jednak Ranków też był profesjonalistą w każdym calu. Wezwał swoich dwóch komandorów poruczników i kazał im przystąpić bezzwłocznie do zorganizowania akcji przeszukania brzegu jeziora oraz pól i lasów w okolicach Zielonego Przystanku, przy którym cumował „Andropow”.

–Mogę wiedzieć, czego mamy szukać, panie admirale? – zapytał Kazakow.

–Możecie. Pięciu następnych ciał.

–Ttych Amerykanów?

–Mhm. Coś mi mówi, że grupa dywersyjna, która wysadziła barki, została zauważona przez tych dwóch członków załogi statku wycieczkowego i być może również przez naszych Amerykanów. Ci terroryści mogli zgładzić całą siódemkę. Każcie grupom poszukiwawczym przeczesać lasy przylegające do jeziora oraz sam brzeg zarówno od strony lądu, jak i wody. Poślijcie tam pletwonurków z marynarki. Gdyby ktoś zabił w środku nocy, na odludziu, czwórkę staruszków i ich pielęgniarkę, a miał pod bokiem wielkie jezioro, to chyba wrzuciłby ciała do wody, jakoś je przedtem obciążając. Ale niech też przetrząsną lasy.

Trzy godziny później w rejonie Zielonego Przystanku trwała już szeroko zakrojona akcja poszukiwawcza. Nie dopuszczano tam statków wycieczkowych, okolicę odgrodzono kordonem, który ciągnął się wzdłuż brzegu, drogi gruntowej i zachodził głęboko w las. Komendant milicji rzecznej współpracujący z dwoma komandorami porucznikami z Floty Północnej, którzy przylecieli helikopterem, chciał objąć poszukiwaniami cały las.

Szef miejscowej milicji gorąco przeciwko temu zaprotestował, bo las miał piętnaście tysięcy metrów długości i dwa tysiące szerokości.

–Jeśli musieli wlec przez chaszczę pięć trupów – powiedział – to nie uszli dalej niż sto metrów. Gdybyśmy mieli do dyspozycji stu ludzi, to każdy miałby szmat terenu do zbadania. Mamy, co prawda stu ludzi, ale pięćdziesięciu z nich prowadzi poszukiwania przy brzegu. Zeszłoby się nam tu do Bożego Narodzenia.

–Jeśli zawalimy sprawę, możemy wylądować gdzieś na

0 wiele dłużej – zauważył jeden z komandorów. – Będziemy szukać dopóty, dopóki ktoś z góry nie każe nam przerwać... w klasycznym, wypróbowanym komunistycznym stylu.

Szef milicji roześmiał się.

–Wy tu dowodzicie – powiedział. – Niech będzie cały las. Ruszamy. Będziemy korzystali z detektorów metali?

–Do szukania ciał nie są potrzebne. Wystarczą grabie, widły

1 ostre kije. Najlepiej chyba dobrać się parami. •

–Racja. Zwyczajnie tak robimy.

Upłynęło dziewięć dni, a oni nic nie znaleźli.

I nic dziwnego, bo ci, których zwłok szukali, żyli i znajdowali się ponad siedem tysięcy mil od rejonu poszukiwań. Nie odkryli też głęboko zakopanych i zaminowanych zasobników, na

których admirałowie Morgan i Bergstrom na wszelki wypadek kazali wybić napis „Sdzielano w Ukrainie”.

Sam admirał Ranków nie był specjalnie zawiedziony. Przez jakiś czas usiłował sobie wmawiać, że może znajdą martwych Amerykanów. Ale instynkt podpowiadał mu, że to właśnie zaginieni starszowie stanowili grupę dywersyjną, która wysadziła barki. I ten sam instynkt podpowiadał mu też, że nigdy nie znajdzie najmniejszej wskazówki, która rzuciłaby promyk światła na okoliczności katastrofy.

Powstawało pytanie, czy powinien przekazać prowadzenie śledztwa moskiewskiej agencji wojskowej, która specjalizuje się w terroryzmie? Uczyniłby to bez wahania, gdyby w grę wchodził jakikolwiek inny kraj. Ale tu szło o kraj szczególny. A siły specjalne działające w ścisłej tajemnicy pod pasiasto-gwiazdzystym sztandarem nie są zaliczane do ugrupowań terrorystycznych. Zarówno rangersi amerykańskich sił lądowych, jak i komandosi z SEAL byli w czasie pokoju poza zasięgiem wszelkich rosyjskich represji.

Admirał Witalij Ranków jeszcze nigdy nie czuł się tak bezsilny. Wiedział bardzo dobrze, co się stało, ale Kreml nigdy nie przyjmie tego do wiadomości. Wadze nigdy nie przyznają, że siły specjalne USA przeprowadziły udaną akcję dywersyjną na terytorium Rosji. Nie ujawnią, że stara żelazna kurtyna jest teraz z pajęczyny.

I Witalij Ranków przeklął ziemię, po której stąpa Arnold Morgan.

Była to czarna operacja. A admirał Ranków wiedział, że czarne operację planowane są tak, by nie pozostawić najmniejszego śladu, żadnego dowodu. W podobnych okolicznościach na północnym Atlantyku zatoneły dwa pierwsze Kilo. Chińczycy nie zgłaszali jak dotąd większych pretensji, ale żądali zwrotu trzystu milionów dolarów.

Rosyjski admirał był lojalnym członkiem najwyższego dowództwa marynarki wojennej, oddanym bez reszty służbie, w której spędził całe życie. Gdyby Chińczycy wycofali się teraz z kontraktu, byłby to cios dla rosyjskiego przemysłu stocznioowego i dla całej marynarki.

Jego zdaniem najwyższy priorytet należało teraz nadać ratowaniu pekińskiego zamówienia na nie. wykończony lotniskowiec budowany na Ukrainie oraz opracowaniu niezawodnego planu dostarczenia do Chin dwóch ostatnich Kilo.

Przy odrobinie szczęścia, myślał admirał, jeśli oddamy im te trzysta milionów, uda się może załatwić nowe zamówienie na więcej Kilo. Byle tylko obmyślić taką metodę ich dostarczenia, żeby ta swolocz Morgan i jego bandyci nie potopili ich po drodze.

Siedział sam w gabinecie i wpatrywał się w ogromną mapę niezgłęzionych północnych oceanów, tych na południe od arktycz-nych rubieży, które otaczają biegun północny. Sprawdził w kalendarzu, w jakich tygodniach lód cofa się do swych letnich granic.

Potem sprawdził, ile ma do dyspozycji największych na świecie atomowych okrętów podwodnych klasy Typhoon, budowanych w Rosji potężnych nosicieli międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Z Typhoonem nie zadrze nikt, nawet USA. Jeśli trzeba, może operować pod lodem, na głębokości trzystu metrów, i potrafi przebić sobie drogę na powierzchnię przez skorupę lodową grubości trzech metrów.

Admirał Ranków patrzył z satysfakcją na dobrze sobie znane dane techniczne: ten kolos podmorskiego świata ma na pokładzie blisko czterdzieści torped i pocisków do zwalczania okrętów podwodnych. Napędzany przez dwa potężne reaktory jądrowe porusza się w zanurzeniu z szybkością trzydziestu węzłów.

–Niech no ten Amerykaniec spróbuje wejść mu w drogę -warknął admirał Ranków. – Jasny gwint. Niech no tylko spróbuje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ponad trzystu krewnych i przyjaciół uczestniczyło wczoraj w mszy żałobnej za duszę doktor Kate Goodwin; mszę odprawiono w kościele świętego Franciszka w Brewster. Doktor Goodwin była jedną z dwudziestu dziewięciu Amerykanów uznanych za zmarłych po tym, jak przed osiemnastu miesiącami w pobliżu Wyspy Kerguelena na Oceanie Południowym zaginął statek badawczy z Woods Hole „Cuttyhunk”. Mowę żałobną wygłosił Frederick J. Goodwin, publicysta naszej gazety i kuzyn zmarłej.

„Cape Code Times”, 28 czerwca

Utrzymana w niezwykle ostrym tonie depesza pilnie wzywała admirała Zhanga Yushu z powrotem do Pekinu. Lot regularnym śmigłowcem z kwatery głównej Floty Morza Południowochińskiego w Zhanjiang do Kantonu, a potem zwykłym rejsem na północ trwałby zbyt długo.

I dlatego głównodowodzący chińską marynarką wojenną oraz towarzyszący mu dowódca Floty Morza Południowochińskiego, wiceadmirał Zu Jicai, siedzieli teraz ściśnięci w samolocie zwiadowczym lotnictwa morskiego Tq-16 Badger, który z prędkością pięciuset sześćdziesięciu mil na godzinę leciał na wysokości dwunastu tysięcy metrów nad doliną rzeki Jangcy.

Ton depeszy z Politbiura był tak ostry, że admirał Zhang, niewiele myśląc, wykorzystał jeden z siedmiuset samolotów marynarki w charakterze taksówki. Żaden z dwóch wyższych oficerów nie miał pojęcia, o co chodzi, ale narada, na którą zostali wezwani, miała się rozpocząć w południe, teraz mijała 7.00 rano, a oni byli jeszcze osiemset mil na południe od stolicy Chin. Z tej wysokości widok szlaków wodnych we wschodniej części pro-

wincji Syczuan bywa wyjątkowo piękny, ale dzisiaj nie mogli go podziwiać. Nad rolniczo-przemysłowym sercem Chin lało jak z cebra i imponującą sieć jezior, zapór wodnych, śluz oraz kanałów przesłaniały szare chmury.

–Jak pan myśli, admirale? Chodzi o te okręty podwodne? – zagaił admirał Zu.

–Nie, Jicai – odparł głównodowodzący, otrząsając się z zadumy. – Nie sędzę. Zaczynaliśmy z siedmioma Kilo, które trzeba było ściągnąć do Chin. Pięć już nam zniszczono, a pozostałe dwa nie są jeszcze gotowe do opuszczenia Rosji. Nie wiem, co może oznaczać to nagle wezwanie.

–W takim razie ma to pewnie coś wspólnego z Tajwanem. Zauważyłem, że gdy chodzi o Tajwan, politycy zawsze tracą zimną krew.

–To prawda. Ale ja nie byłbym taki pewien, czy sprawa rzeczywiście dotyczy Tajwanu... No nic, wkrótce się dowiemy.

–A jak wygląda kwestia zapłaty za okręty podwodne? – spytał admirał Zu. – Czy Rosjanie są skłonni do współpracy?

–Nie mają wielkiego wyboru – odparł admirał Zhang. – Chyba nie oczekiwali, że przeznaczmy nasze zdeponowane trzysta milionów dolarów na zaliczkę za trzy Kilo, które w nie wyjaśnionych okolicznościach pospadały im z barek w samym środku Rosji.

–Zażądaliśmy zwrotu tych pieniędzy?

–Nie, zgodziliśmy się je przesunąć na dwa ostatnie okręty, co oznacza, że kiedy te dotrą już bezpiecznie do chińskich wód terytorialnych, zapłacimy jeszcze trzysta milionów i będziemy kwita. Admirał Ranków pracuje nad koncepcją eskorty. Przysięga, że nikt jej nie przełamie, nawet ci amerykańscy bandyci.

–Sporo by to kosztowało jego rząd, gdyby znowu coś nie wyszło, prawda?

–Sporo. Zgodnie z umową musieliby zwrócić całe trzysta milionów, gdyby te okręty z jakiegokolwiek powodu nie dotarły do Chin.

–Czy po stracie tamtych pierwszych dwóch na północnym Atlantyku byli równie ustępliwi?

–Niezupełnie. Trzymali się ściśle litery kontraktu. Zapłaciliśmy im z góry dwieście milionów, drugie dwieście dostali, kiedy Kilo, po zakończeniu prób eksploatacyjnych, zanurzyły się i opuściły rosyjskie wody terytorialne. Ostatnią ratę mieli otrzy-

mać po znalezieniu się okrętów w Xiamen. Niestety drugą ratę wypłaciliśmy Moskwie automatycznie w wyznaczonym terminie poprzez bank Hongkong-Szanghaj. Cztery dni później te Kilo zaginęły bez wieści.

–Pech – mruknął admirał Zu.

–Tak. I Rosjanie twardo wyegzekwowali przysługujące im prawa. Powiedzieli, że źle się stało, ale nie robimy im żadnej łaski. W kontrakcie zapisano wyraźnie, że po pomyślnym zakończeniu prób eksploatacyjnych pieniądze są ich. Mimo wszystko zbudowali te okręty, a do „wypadku” doszło nie z ich winy.

–Czyli ten kontrakt kosztował nas jak dotąd siedemset milionów?

–Właśnie. I jeśli dostarczą nam bezpiecznie dwie ostatnie jednostki, to zapłacimy w sumie miliard dolarów za dwa okręty podwodne. Drogo, nieprawdaż?

–Owszem. A możemy się spodziewać jakiejś rekompensaty, jeśli Rosjanom uda się udowodnić w ONZ, że to Amerykanie maczali w tym palce?

–Tak, możemy. Osobiście dopisałem tę klauzulę do nowej umowy. Rosja zażąda pełnego odszkodowania za pięć zniszczonych okrętów podwodnych w wysokości półtora miliarda dolarów. My dostaniemy z tego czterysta milionów. Amerykanom również zostanie wystawiony ogromny rachunek za remont Kanału Białomorskiego, a do tego rosyjskie władze będą się przypuszczalnie domagały kolosalnej rekompensaty za ofiary śmiertelne, jakie pociągnęły za sobą rozmyślnie akty piractwa ze strony Stanów Zjednoczonych.

–A my zażądamy odszkodowania za śmierć ponad stu naszych obywateli, którzy zginęli na pierwszych dwóch Kilo?

–O, bez wątpienia... Jeśli Rosjanom uda się czegokolwiek dowieść, Amerykanie znajdą się w poważnych tarapatach.

–Są na to jakieś szanse, panie admirale? Jak im idzie śledztwo?

–Twierdzą, że jak dotąd bardzo dobrze. Ale tym rozbójnikom z Pentagonu nie brak sprytu. Osobiście sądzę, że niczego im się nie udowodni... Mam tylko nadzieję, że admirał Ranków zdoła przyprowadzić tu bez dalszych przeszkód te ostatnie dwa Kilo. Będziemy ich wtedy mieli pięć – to powinno wystarczyć, byśmy stali się poważnym zagrożeniem dla każdego amerykańskiego lotniskowca, który zapuści się na nasze wody terytorialne. Tego

Tli

właśnie pragnę – taki cel sobie wyznaczyłem. Trzy Kilo, które już mamy, to za mało. Dwa

stoją w doku, gdzie są naprawiane po kolizji. Trzeci czeka na remont kapitalny. Zostały nam tylko stare jednostki klasy Song, a na nich nie można polegać.

Wielki samolot marynarki wojennej z dwoma pasażerami na pokładzie wylądował na lotnisku w Pekinie tuż po 9.00 i pod-kołował do skraju pasa startowego, gdzie czekał już samochód służbowy. Sześć minut później dwaj admirałowie byli już w drodze do miasta. Samolot natychmiast po uzupełnieniu paliwa odleciał do Kantonu.

Admirał Zhang kazał kierowcy jechać prosto do swojej oficjalnej rezydencji. Tam wzięli z admirałem Zu prysznic, zmienili mundury i zjedli skromne śniadanie. Na 11.30 zamówili samochód, który miał ich zawieźć do Wielkiej Hali Ludowej. Przewodniczący nie lubił spóźnień i nie zrobiłby w tym względzie wyjątku nawet dla dwóch wysokich rangą wojskowych, którzy tego samego ranka przylecieli do Pekinu spod odległej o tysiąc trzysta mil południowej granicy Chin. '

O 11.50 byli na placu Tiananmen. Czekala tam już na nich osobista eskorta złożona z czterech marynarzy, którzy odprowadzili ich długim korytarzem do sali posiedzeń, gdzie miała się odbyć narada.

W sali było już kilka osób. Sekretarz generalny partii komunistycznej i siedzący obok niego szef sztabu generalnego rozmawiali z rzadko pokazującym się publicznie szefem chińskiej centralnej agencji wywiadowczej. Nowy komisarz polityczny chińskiej marynarki wojennej, wiceadmirał Lee Yung, prowadził ożywioną dyskusję z dowódcą Floty Morza Wschodniochińskie-go, wiceadmirałem Yibo Yunshengiem.

Dwie minuty po przybyciu Zhanga i Zu do sali wszedł przewodniczący w towarzystwie dwóch starszych asystentów. Wszyscy obecni wstali. Przewodniczący uśmiechnął się i powitał skinieniem głowy swoich najbardziej zaufanych kolegów. Ośmioosobowa uzbrojona eskorta osobista, która wszędzie mu towarzyszyła, zajęła już stanowiska na korytarzu.

Przewodniczący pozdrowił wszystkich i poprosił generała Fang Weia, szefa wywiadu, o zagajenie i krótkie wprowadzenie zebranych w rozwój sytuacji na Tajwanie. Admirał Zu posłał znaczące spojrzenie swojemu głównodowodzącemu. Generał Fang Wei wstał i zaczął referować obecnym treść raportu, który

dostał właśnie od tajnych agentów operacyjnych działających na Tajwanie.

Raport dotyczył serii tajemniczych zniknięć najwybitniejszych fizyków jądrowych, z których wielu współpracowało ściśle z najlepszymi tajwańskimi uniwersytetami. Profesorowie znikali nagle z takich akademickich twierdz, jak Narodowy Uniwersytet Centralny w Chungli; Narodowy Uniwersytet Chengchih w Taj-pej; Narodowy Uniwersytet Tsing Hua w Hsinchu; Narodowy Uniwersytet Chunghsing w Taichung; a nawet Narodowy Uniwersytet Tajwanu w Tajpej i Uniwersytet Tamkang w Tanshui.

–Z początku – mówił generał Fang – niczego nie zauważyliśmy. Nie informowano o tym. Nikt o niczym nie wiedział. Ani przyjaciele, ani koledzy, ani rodziny. Potem zauważyliśmy, że po dwóch albo trzech latach profesorowie nagle, w niewytłumaczalny sposób, jak gdyby nigdy nic, pojawiają się z powrotem w swoich uniwersytetach. I nadal nikt nie potrafił dociec, co się dzieje.

Wtedy – ciągnął generał – a było to mniej więcej rok temu, kazałem wziąć pod ściślejszą obserwację czołowych fizyków jądrowych, zarówno teoretyków, jak i praktyków, i sprawdzać co dwadzieścia cztery godziny dwudziestu pięciu tych najlepszych. No i proszę, przed trzema miesiącami tego samego dnia zniknęli dwaj z nich. Od tamtego czasu nikt ich nie widział. I nikt nie wie, gdzie są. A przynajmniej nam nie chce tego powiedzieć.

Naturalnie podjęliśmy wszystkie rutynowe czynności -sprawdziliśmy lotniska i porty morskie – i nic nie wskazuje na to, żeby opuścili kraj. Ale Tajwan to mała wyspa i zadziwiająco rozplotkowana. Niemożliwe, żeby ci ludzie nadal tam przebywali i nikt nic o tym nie wiedział. Trudno też sobie wyobrazić, żeby rodziny albo znajomi nie podnieśli alarmu po ich zniknięciu... chyba że poinstruowano ich, by tego nie czynili.

A przecież w pewnym okresie nie mogliśmy się doliczyć aż jedenastu naprawdę wybitnych tajwańskich naukowców, z których wszyscy byli fizykami jądrowymi.

Obecnie, jak panom wiadomo, jesteśmy świadomi tej sytuacji i badamy ją od paru lat pod rozmaitym kątem – bo zawsze podejrzewaliśmy, że nasz irytujący sąsiad może pracować nad własną bronią atomową. Tyle że nie mieliśmy na to dowodu. Były duże trudności z ustaleniem dokładnych dat wyjazdów i przyjazdów. Nadmienię tutaj, że słynny profesor Liao z Narodowego

Uniwersytetu Tajwańskiego znikał dwukrotnie, za każdym razem na osiemnaście miesięcy.

Ale przejdźmy teraz do rzeczy: tydzień temu dostaliśmy informację, że dwaj z profesorów, którzy zniknęli – sam Liao oraz niejaki Nhung z Tamkang – za dwa dni wrócą do pracy. Podjęliśmy obserwację każdego lądującego samolotu, każdego wchodzącego do portu statku. Sprawdzaliśmy każdą listę pasażerów. Bez rezultatu. I nagle, jakimś cudem, dwaj profesorowie pojawili się na swoich uniwersytetach dokładnie w dniu, który podał nasz informator.

Nie będę ukrywał, że wprowadziło to nas w wielką konsternację. Gdzie byli? Po długich dyskusjach doszliśmy do wniosku, że musieli korzystać z wojskowego środka transportu, tyle że w tym czasie z zagranicy nie przyleciał żaden wojskowy samolot ani nie przyplłynęła żadna jednostka. W grę mógł wchodzić tylko okręt podwodny. No i proszę, dostajemy informację, że trzy dni wcześniej, po jedenastotygodniowej nieobecności, do tajwańskiej bazy Suao wszedł okręt podwodny klasy Hai Lung.

Pasowało. To jedyna oceaniczna jednostka, która mogła przywieźć do kraju profesorów. Sprawdziliśmy datę jej wyjścia w morze. Okazało się, że wypłynęła w rejs 5 kwietnia. I tu natrafiliśmy na prawdziwy zbieg okoliczności. Pamiętacie, panowie, tych dwóch profesorów, o których wspominałem? Tych, których mieliśmy pod obserwacją i którzy zniknęli tego samego dnia... otóż obaj zniknęli 4 kwietnia.

General zawiesił głos, potoczył wzrokiem po twarzach obecnych, a potem dodał:

–Stąd wnioskuję, że wszyscy ci naukowcy opuszczają Tajwan i wracają na wyspę na pokładzie okrętu podwodnego. Gdyby udało nam się ustalić, dokąd pływają te Hai Lungi, wiedzielibyśmy, gdzie znikają fizycy jądrowi.

Przewodniczący pokiwał powoli głową.

–Mniemam, że wiemy coś niecoś o ruchach tych Hai Lun-gów? – zwrócił się do admirała Zhanga.

–Wiemy, panie przewodniczący. Ale, niestety, niewiele. Ustaliliśmy ich harmonogram rejsów – general Fang nie pomylił się, wspominając o jedenastotygodniowej nieobecności w porcie. Hai Lungi zanurzają się zaraz po wyjściu z bazy w Suao i ponownie widzimy je dopiero po jedenastu tygodniach, kiedy wracają z morza. Doszliśmy do wniosku, że pływając w zanurzeniu z szyb-

kością od ośmiu do dziewięciu węzłów, pokonują dziennie około dwustu mil. To daje tysiąc mil w ciągu pięciu dni.

Ale prawdziwą wskazówką jest ten jedenastotygodniowy okres nieobecności. Lokalny patrol okrętu podwodnego trwa zwykle o wiele krócej. Biorąc pod uwagę sam czas trwania rejsu, można od razu wykluczyć możliwość, że Hai Lungi krążą po prostu w okolicach Tajwanu, patrolują cieśninę albo obserwują Koreę. W takim wypadku wracałyby najdalej po sześćdziesięciu dniach. Ten jedenastotygodniowy okres nieobecności świadczy, że pływają gdzieś daleko i po drodze uzupełniają zapas paliwa.

Przez pięć tygodni są w stanie pokonać siedem tysięcy mil, może trochę więcej. Zakładamy, że tydzień spędzają w miejscu przeznaczenia i kolejnych pięć tygodni zajmuje im droga powrotna. Wygląda nam to na swego rodzaju wahadłowe usługi transportowe. Kłopot w tym, że kilka mil na południowy wschód od portu w Suao szelfy pacyficzne opadają bardzo stromo na blisko trzy tysiące metrów i nigdy nie udało nam się ustalić, jaki kurs obierają okręty, bo płyną w dużym zanurzeniu i cicho.

Jednak ta nowa informacja o znikających naukowcach pozwala przypuszczać, że Tajwańczycy pracują nad jakimś specyficznym projektem, najprawdopodobniej w miejscu odległym o siedem tysięcy mil.

–Chyba pora, żeby przyrzeć się temu bliżej – odezwał się przewodniczący. – Bo moim zdaniem nie ulega wątpliwości, że Tajwan wziął się poważnie do konstruowania własnej broni jądrowej. I tu pytanie. Jak? I gdzie? Gdzie nad tym pracują?

General Fang poprosił o głos i ujawnił jeszcze jedną obserwację poczynioną przez agenta operacyjnego.

–Nie dalej niż trzy lata temu dostaliśmy meldunek, że tajwańska marynarka wojenna złożyła u miejscowego kuśnierza z Tajpej zamówienie na wiele ciepłej odzieży, kurtek, czapek, spodni i wy-ściółek butów. Wszystko to z futer. Przed dwoma miesiącami sprawdziliśmy tę informację i okazało się, że zamówienie jest wciąż ponawiane. Jeden z naszych agentów ustalił, że skrzynia z gotową odzieżą jedzie od kuśnierza prosto do portu, na nabrzeże, przy którym odbywa się załadunek okrętów podwodnych.

–Co ponad wszelką wątpliwość dowodzi – wtrącił z uśmiechem przewodniczący – że te okręty prawdopodobnie nie płyną ani na wschód, ani na zachód, lecz albo na zimną północ, albo na zimne południe.

Wszyscy obecni uśmiechami nagrodzili żart sędziewego przywódcy Chin.

–Panie przewodniczący – odezwał się admirał Zhang – zgadzam się z panem, że musimy ustalić, czym zajmują się Tajwań-czycy. I rad jestem wielce, że zaszczycono mnie zaproszeniem na dzisiejszą naradę, bo wydaje mi się, że mam do zaproponowania pewien plan. A przynajmniej jego wstępny zarys. Już przy kilku okazjach zastanawiałem się nad trasą tych okrętów podwodnych i zawsze dochodziłem do wniosku, że z dwóch możliwości kierunek północny jest mniej prawdopodobny.

Zakładałem, że mogą pływać na Aleuty, bo to archipelag rozciągnięty na dużym obszarze i mnóstwo tam rzadko uczęszczanych zakątków. Ale przecież tuż obok mamy dokładnie patrolowane Morze Beringa ciągnące się aż po Cieśninę Beringa. Po lewej Rosjanie, po prawej Amerykanie, a pośrodku jedni i drudzy. Gdybym to ja szukał ustronnego miejsca do prowadzenia jakichś ściśle tajnych prac, to z pewnością nie w tamtych okolicach.

Na trasie północnej nie ma też żadnego wąskiego gardła, w którym moglibyśmy obserwować ruchy Hai Lungów... Skłaniam się zatem do wniosku, że powinniśmy uważać na Aleuty, ale skoncentrować się na bardziej prawdopodobnym założeniu, że tajwańskie okręty podwodne płyną na południe.

–A co z wąskimi gardłami? – zapytał nowy komisarz polityczny marynarki, admirał Lee Yung.
– Są tam jakieś nadające się do wykorzystania?

–I to kilka – odparł admirał Zhang. – Najbardziej oczywistym miejscem do prowadzenia obserwacji byłaby cieśnina Ma-lakka, ale w tym wypadku nie sędzę... Tajwańskie okręty podwodne prawie na pewno pokonują całą trasę w zanurzeniu, a w cieśninie Malakka znajduje się kilka zdradliwych płycizn. Moim skromnym zdaniem okręty przecinają Morze Południowochińskie, idąc przez dwa tysiące mil kursem południe-południowy zachód. Potem, w rejonie wysp Indonezji, zmieniają kurs na południowy i trzy dni później, przepływając między Sumatrą a Borneo, docierają do Cieśniny Sundajskiej, która oddziela Sumatrę od Jawy. Mogą tamtędy przejść w zanurzeniu i już są na otwartym oceanie.

Admirał przerwał na chwilę, by dać czas tym mniej obeznanym z takimi podróżami na przyswojenie sobie jego fachowego wyводу. Potem podjął:

–Jedyna trasa, jaką widzę, przebiega obok wyspy Bali.

Pomiędzy tą wyspą a Jawą jest dosyć wąski przesmyk, ale szczerze mówiąc nie wiem, czy okręt podwodny może tamtędy przejść w zanurzeniu. Nie słyszałem, żeby ktoś tego próbował.

–Admirale Zhang – odezwał się komisarz polityczny – chyba nie proponuje nam pan, żebyśmy urządzili tam zasadzkę i zaatakowali te tajwańskie okręty, prawda?

–Skądże znowu – zachnął się głównodowodzący. – Moja propozycja to czekać tam, namierzyć pierwszy przepływający Hai Lung i określić jego kurs oraz szybkość na podstawie odległości, jaką przebył od dnia wyjścia w morze. Byłby to pierwszy krok na drodze do wytypowania jego miejsca przeznaczenia... w którym być może odkryjemy rzeszę fizyków jądrowych pracujących nad jakimś łajdackim projektem.

–Czy nie prościej byłoby popłynąć jego śladem?

–To niemożliwe. Zorientowaliby się, że są śledzeni. Ale kiedy będą przechodzili przez wąskie gardło, możemy ich bezpiecznie namierzyć pewnym nowym urządzeniem, które od kilku miesięcy udoskonalamy.

Trochę to skomplikowane, ale postaram się objaśnić w prostych słowach... Znamy dobrze te rosyjskie i amerykańskie trawlerzy ELINT, które z zewnątrz wyglądają jak statki rybackie, ale wyposażone są w bardzo czuły sprzęt do prowadzenia elektronicznej inwigilacji – radar i radio. Każdy może się zorientować, że jest przez nie namierzany. My pracujemy w systemie ACINT, który polega na prowadzeniu inwigilacji akustycznej bardzo czułymi urządzeniami nasłuchowymi wykorzystującymi sonar pasywny. To nowe opracowanie. Urządzenie jest niewykrywalne i umieszcza się je pod linią wodną trawlerów marynarki wojennej. W zasadzie nie sposób odróżnić tych jednostek od zwyczajnych statków rybackich.

Dzięki nim wykryjemy każdego przepływającego w pobliżu Hai Lunga... proponuję posłać czym prędzej jeden taki trawler na wody indonezyjskie. Niech zajmie pozycję przy południowym wejściu do Cieśniny Sundajskiej i czeka tam w gotowości.

Damy mu znać, kiedy Hai Lung wyjdzie z portu w Suao. Ponieważ odległość wynosi dwa tysiące dwieście mil, będzie się mógł go spodziewać za jedenaście dni i odpowiednio przygotować...

–A jeśli Hai Lung się tam nie pojawi?

–Wtedy przeniesiemy się do cieśniny Malakka, a potem do

cieśniny Bali, a jeśli i tam się nie pojawi, skoncentrujemy się na trudniejszym, północnym kierunku. Ale nie sądzę, żeby do tego doszło.

–Powiedzcie mi, Zhang – odezwał się przewodniczący -dokąd, waszym zdaniem, oni mogą pływać?

–Panie przewodniczący, to dla mnie zaszczyt, że chce pan usłyszeć moją opinię, ale obawiam się, że w tym wypadku swoimi spekulacjami zabierałbym tylko wszystkim obecnym czas. Mam, oczywiście, pewne podejrzenia, ale to jedynie domysły.

–Mimo wszystko chciałbym posłuchać, Zhang – powiedział przewodniczący.

–Proszę bardzo. Tajwańczycy mogą pływać na wyspy Amsterdam albo St. Paul leżące cztery tysiące mil na południowy zachód od Cieśniny Sundajskiej. Ich celem mogą też być Wyspy Crozeta znajdujące się tysiąc osiemset mil dalej. Istnieją jednak trzy inne miejsca, które lepiej by pasowały do szacowanego przez nas pięcioletniego czasu podróży. Są to wyspa Heard i oddalona od niej dwieście trzydzieści mil na północny zachód duża Wyspa Kerguelena otoczona archipelagiem małych wysepek. Trzecie miejsce to Wyspy McDonalda leżące dwadzieścia trzy mile na zachód-południowy zachód od wyspy Heard. O ile mi wiadomo, wszystkie nie nadają się zupełnie do zamieszkania i na żadnej nie ma źródła energii. Wyjątkiem jest Wyspa Kerguelena, gdzie działa francuska stacja meteorologiczna mająca własny agregat prądotwórczy. Warunki pogodowe na każdej z tych wysp są skrajnie niesprzyjające. Jeśli nie przez cały rok, to przez większą jego część przykrywa je lodowo-śnieżna skorupa.

Jeśli Tajwańczycy są na południu i tam pracują nad jakimś programem nuklearnym, to musieli ulokować się na którejś z tych wysp. Przyznaję, panie przewodniczący, że nie wiem, jak ich odnaleźć. To bez wątpienia najbardziej odludne miejsca na Ziemi. I niemal niedostępne; brak lądowisk dla samolotów, bardzo złe warunki pogodowe utrudniające podejście statkiem. Trzeba by wysłać okręt wojenny z helikopterem, a taki zostałby wykryty na tydzień przed dotarciem do celu.

–To może okręt podwodny – podsunął przewodniczący.

–Owszem, panie przewodniczący. Można by spróbować z okrętem podwodnym – odparł admirał Zhang. Ale nie wyglądał na przekonanego.

–Czegoś tu nie rozumiem – odezwał się admirał Lee Yung. –

Jak Tajwańczycy mogliby umieścić swoje laboratorium w opisywanym przez pana miejscu, w którym nie ma ani źródła zasilania, ani żadnych budynków?

–Zasilanie nie stanowi specjalnego problemu – odparł admirał Zhang. – Energię można czerpać z reaktora okrętu podwodnego o napędzie jądrowym – jest on w stanie zaspokoić zapotrzebowanie na energię elektryczną małego miasteczka, a co dopiero zasilić dwa generatory dużej mocy.

–No tak – wtrącił przewodniczący – ale Tajwańczycy nie mają przecież okrętu podwodnego o napędzie jądrowym.

–To prawda, panie przewodniczący, nie mają. A przynajmniej takiego, o którym byśmy wiedzieli albo który wpłynąłby kiedykolwiek do tajwańskiego portu. Przed kilkoma laty krążyły pogłoski, że kupili coś tanio od Francji... podobno stary dwu-ipółtysięcznotonowy okręt podwodny o napędzie jądrowym klasy Rubis. Było to, o ile mnie pamięć nie myli, w 1999 roku. Ale sprawa jest trochę tajemnicza, bo jednostka nigdy nie dotarła do Tajwanu. Nie dostaliśmy nawet potwierdzenia, że wyszła w morze z Brestu, głównej francuskiej bazy atlantyckiej.

–A może popłynęła prosto na wyspę Heard i podjęła tam służbę w charakterze elektrowni – zasugerował przewodniczący.

–To niewykluczone, panie przewodniczący – przyznał admirał Zhang. – Ale żeby podczas dostarczania energii jakiejś usytuowanej na lądzie instalacji uniknąć wykrycia, okręt musiałby przez długie okresy pozostawać w zanurzeniu i być zakotwiczony pod wodą. '

–Czy któraś z tych wysp leży na szlakach żeglugowych?

–Nie, panie przewodniczący. A już na pewno nie Wyspy Kerguelena, Heard i McDonalda. Nad żadną z nich nie przebiega nawet korytarz powietrzny dla samolotów pasażerskich. To po prostu granitowe wypiętrzenia grzbietów podmorskich. Trudno mi sobie wyobrazić, czego ktokolwiek mógłby tam szukać. Moim zdaniem powinniśmy jak najszybciej wysłać nasz trawler do Cieśniny Sundajskiej. Wtedy uda nam się może zgromadzić trochę faktów.

–Zgadzam się z wami, Zhang. I jeśli nikt z obecnych nie ma żadnych poważniejszych zastrzeżeń wobec tej propozycji, to dopracowujcie z admirałem Zu szczegóły waszego planu i przedstawcie mi go do zatwierdzenia, kiedy będzie już gotowy.

Sekretarz generalny partii komunistycznej, który z urzędu

zasiadał w Komisji do spraw Wojskowych, skinieniem głowy wyraził swoją aprobatę i za przykładem tego najpotężniejszego płatnika marynarki wojennej poszli wszyscy pozostali. Wobec braku głosów sprzeciwu admirał Zhang Yushu oznajmił, że przejmuje dowodzenie nad operacją.

–Chciałbym również zauważyć, panie przewodniczący, że w tej sytuacji sprawa dostawy ostatnich dwóch Kilo staje się jeszcze bardziej paląca.

–Czekałem, kiedy o tym wspomnicie – powiedział z uśmiechem przewodniczący. – Wyjaśnijcie mi, proszę, skąd taki wniosek.

–Bo jeśli na jakiejś odludnej skale na Oceanie Południowym znajdziemy to, co spodziewamy się tam znaleźć, panie przewodniczący, to chyba zaczniemy rozważać możliwość ataku... a wolalbym go przeprowadzić najlepszym okrętem podwodnym, jaki mamy. Nowy Kilo nadawałby się do tego wprost idealnie.

–Jeśli znajdziemy tam coś, co spodziewamy się znaleźć -powiedział przewodniczący – to atak na pewno nastąpi. Moje rozkazy będą jednoznaczne. Wszelkie tajwańskie laboratoria, fabryki czy inne instalacje jądrowe muszą zostać zniszczone. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno... No a teraz napijmy się herbaty.

–Tak jest, panie przewodniczący – wyrzucił z siebie admirał Zhang, stając na baczność.

*

Od kilku dni biuro prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego naciskało mocno na CIA. Nie było godziny, żeby na biurku znękanego szefa wydziału dalekowschodniego, Franka Reidela, nie wylądowała jakaś nowa instrukcja, nowe żądanie, nowe memorandum... Admirał Morgan chce tego... Admirał Morgan chce tamtego... Admirał Morgan wzywa natychmiast do Białego Domu... Admirał Morgan chce wiedzieć, co się, u diabła, dzieje... Admirał Morgan grozi, że jeśli przed końcem dnia nie dowie się, «co kombinują te pieprzone Hai Lungi», to polecą głowy".

–Jezu – jęknął Reidel.

On z kolei wziął do galopu swoich dalekowschodnich agentów operacyjnych, zwłaszcza tych na Tajwanie, którym władze te-

go zaprzyjaźnionego państwa dawały niemal wolną rękę w zbieraniu informacji dla Stanów Zjednoczonych i praktycznie traktowały ich na równi z dziennikarzami, którymi dwóch zresztą

było.

Na Tajwanie znajdowało się jednak jedno miejsce, którego żadnemu agentowi nie wolno było odwiedzać ani obserwować - baza okrętów podwodnych Dowództwa Wschodniego na końcu nadmorskiej drogi Sutung Chung, prowadzącej tam z miasta Suao w okręgu lian, oddalonego o trzydzieści trzy mile na południowy wschód od Tajpej.

Droga ta urywa się nagle trzysta metrów od budynku poczty. Dużej wojskowej bramy, osadzonej w liczącym setki metrów ogrodzeniu z drucianej siatki, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pilnują uzbrojeni policjanci. Nikt bez stosownych dokumentów nie zostanie za tę bramę wpuszczony. Nie przejdzie przez nią nawet robotnik portowy, który zapomniał albo zgubił przepustkę.

Szef komórki CIA w Tajpej miał tam dwóch ludzi, którzy podejmowali ogromne ryzyko, aby zdobyć jakiegokolwiek informacje. Obu obiecano w przyszłości „ewakuację” do USA. Jednym z tej dwójki był Carl Chimei, czterdziestoczteroletni brygadzysta z nabrzeża załadunkowego okrętów podwodnych. Carl był człowiekiem zgorzkniałym i serdecznie nienawidził Chin oraz wszystkiego, co się z nimi wiąże, z Tajwanem włącznie. Ta nienawiść zżerała go od trzydziestu lat, kiedy to czerwonogwardziści Mao zamordowali jego rodziców nauczycieli. On sam zbiegł przed prześladowaniami na Tajwan. Miał wówczas osiemnaście lat.

Ludziom Reidela chyba jeszcze nikogo nie udało się tak łatwo zwerbować. Carl wyczekiwał z utęsknieniem dnia, kiedy odleci do Stanów. Żona z dziećmi wybierała się tam już na początku przyszłego roku, jeśli nie wcześniej.

Ale tej nocy, 28 czerwca, skulony w cieniu stosów skrzyń ustawionych na nabrzeżu, Carl Chimei ryzykował życie. Nie wrócił z kolegami do domu i nie podstemplowano mu przepustki na bramie. Jutro albo jeszcze dziś wieczorem spróbuje jakoś się z tego wytłumaczyć, a może nikt nie zwróci uwagi. Pracował w porcie od dwudziestu lat.

Paraliżował go strach. Co piętnaście minut, w odległości trzech kroków od niego i dziesięciu kroków od cumującego przy nabrzeżu Hai Lunga, przechodziła para uzbrojonych wartowników z marynarki. Gdyby go zauważyli, zastrzeliliby bez pytania. Na

go zaprzyjaźnionego państwa dawały niemal wolną rękę w zbieraniu informacji dla Stanów Zjednoczonych i praktycznie traktowały ich na równi z dziennikarzami, którymi dwóch zresztą było.

Na Tajwanie znajdowało się jednak jedno miejsce, którego żadnemu agentowi nie wolno było odwiedzać ani obserwować - baza okrętów podwodnych Dowództwa Wschodniego na końcu nadmorskiej drogi Sutung Chung, prowadzącej tam z miasta Suao w okręgu lian, oddalonego o trzydzieści trzy mile na południowy wschód od Tajpej.

Droga ta urywa się nagle trzysta metrów od budynku poczty. Dużej wojskowej bramy, osadzonej w liczącym setki metrów ogrodzeniu z drucianej siatki, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pilnują uzbrojeni policjanci. Nikt bez stosownych dokumentów nie zostanie za tę bramę wpuszczony. Nie przejdzie przez nią nawet robotnik portowy, który zapomniał albo zgubił przepustkę.

Szef komórki CIA w Tajpej miał tam dwóch ludzi, którzy podejmowali ogromne ryzyko, aby zdobyć jakiegokolwiek informacje. Obu obiecano w przyszłości „ewakuację” do USA. Jednym z tej dwójki był Carl Chimei, czterdziestoczteroletni brygadzysta z nabrzeża załadunkowego okrętów podwodnych. Carl był człowiekiem zgorzkniałym i serdecznie nienawidził Chin oraz wszystkiego, co się z nimi wiąże, z Tajwanem włącznie. Ta nienawiść zżerała go od trzydziestu lat, kiedy to czerwonogwardziści Mao zamordowali jego rodziców nauczycieli. On sam zbiegł przed prześladowaniami na Tajwan. Miał wówczas osiemnaście lat.

Ludziom Reidela chyba jeszcze nikogo nie udało się tak łatwo zwerbować. Carl wyczekiwał z utęsknieniem dnia, kiedy odleci do Stanów. Żona z dziećmi wybierała się tam już na początku przyszłego roku, jeśli nie wcześniej.

Ale tej nocy, 28 czerwca, skulony w cieniu stosów skrzyń ustawionych na nabrzeżu, Carl Chimei ryzykował życie. Nie wrócił z kolegami do domu i nie podstemplowano mu przepustki na bramie. Jutro albo jeszcze dziś wieczorem spróbuje jakoś się z tego wytłumaczyć, a może nikt nie zwróci uwagi. Pracował w porcie od dwudziestu lat.

Paraliżował go strach. Co piętnaście minut, w odległości trzech kroków od niego i dziesięciu kroków od cumującego przy nabrzeżu Hai Lunga, przechodziła para uzbrojonych wartowników z marynarki. Gdyby go zauważyli, zastrzeliliby bez pytania. Na

duchu podtrzymywała go tylko perspektywa życia w USA za ćwierć miliona dolarów, które obiecano mu w nagrodę za wielokrotne ryzykowanie życia. W spracowanej prawej dłoni trzymał półmetrowy łom. Najgorsze, że skrzynia, którą chciał nim otworzyć, stała na wierzchu sześciometrowego stosu, a będzie musiał szybko się z nią uwinąć, za jedyne oświetlenie mając odległe latarnie portowe.

Znał już marszrutę wartowników. Przechodzili obok piramidy skrzyń, a potem zatrzymywali się na chwilę przy oświetlonym trapie, który przerzucono z Hai Lunga. Podczas dwóch takich postojów wołali coś do wartownika na pokładzie okrętu podwodnego. Potem szli dalej nabrzeżem i dokładnie po piętnastu minutach wracali z przeciwnego kierunku. Carl postanowił już, że rozpocznie wspinaczkę na skrzynie, kiedy wartownicy zatrzymają się przy trapie.»

Teraz, przywierając do skrzyń, słyszał ich miarowe kroki. Zamknął oczy, serce waliło mu jak młot. Kroki przybliżyły się i zaczęły oddalać.

Carl policzył do dziesięciu, zatknął łom za pasek, podciągnął się na pierwszą wysoką na metr skrzynię i stanął na jej skraju. Skrzynie były nierówno poustawiane jedna na drugiej, a więc wspinaczka nie powinna sprawić większych trudności takiemu jak on silnemu, wysportowanemu mężczyźnie. Ale miał jeszcze do pokonania pięć, a jeden błąd mógł się okazać fatalny w skutkach. Wczepiając się palcami w drewniane krawędzie, wdrapał się na drugą, a potem na trzecią skrzynię, i zawisł trzy metry nad ziemią z noskami roboczych butów wciśniętymi w szpary. Po trzech minutach był już na wierzchu stosu. Wypatrzył wymalowany czerwoną farbą napis, o który mu chodziło: „HAI LUNG 793”. Fachowo wcisnął łom pomiędzy wieko a ścianę skrzyni i zaczął nań napierać z wyczuciem, żeby nie zaskrzypiały wychodzące z drewna gwoździe. Ale wieko ani drgnęło.

Obmacał powierzchnię skrzyni i zaklął. Była przepasana dwoma stalowymi taśmami. Sięgnął do kieszeni spodni po nożyce i przeciął taśmy. Zmartwiał, kiedy opadły, sprężynując z dźwięcznym, metalicznym pojękiwaniem. Myślał, że ten hałas nigdy nie zamrze.

Ale wieko ustąpiło teraz pod naporem łomu. Carl odchylił je i zajrzał do skrzyni. Siedem minut zajęło mu rozcinanie wodoszczelnej wyściółki. Uporawszy się z tym, rozpruł plastikowe

opakowanie i dopiero teraz zapalił małą latarkę punktową. Pod palcami wyczuł coś miękkiego i futrzastego. Przemknęło mu przez myśl, że to martwa panda. Ale przyświecając sobie latarką, stwierdził, że się pomylił. Skrzynia wypełniona była futrzaną odzieżą, a na dnie leżały ciepłe buty i czapki. Carl wiedział, na co się natknął – i wiedział, że tam gdzie pływają te okręty podwodne, musi być naprawdę zimno.

Docisnął na miejsce wieko skrzyni i płaskim końcem łomu powpychał gwoździe z powrotem w ich dziurki. Problemów nastęrczyły ponownie stalowe taśmy. Gdyby zostawił je zwisające luźno, rankiem wyszłoby na jaw, że ktoś włamał się do skrzyni.

Do powrotu wartowników pozostały tylko trzy minuty. Zdecydował, że przeczeka na skrzyni, a kiedy znowu się oddalą, usunie taśmy. Miał tylko nadzieję, że żaden z wartowników nie spojrzy w górę.

Szczęście nadal mu sprzyjało. Wartownicy nadeszli i oddalili się, nie zauważając go. Podważając skrzynię łomem najpierw z jednej, potem z drugiej strony, wyciągnął spod niej taśmy, zwinął je i zabrał ze sobą.

Na ziemi pociął obie na krótkie odcinki, które wrzucił do baniaka na śmieci. Przy odrobinie szczęścia jutro rano to on będzie nadzorował załadunek Hai Lunga. Ale teraz musi się stąd jakoś wydostać, a o jedenastej w nocy nie było to takie proste. Lecz Carl od dawna pracował w porcie i od wielu lat mieszkał w Suao. Jeśli poda jakiś w miarę wiarygodny powód, dla którego został do tak późna w pracy, uwierzą mu.

Włożył kurtkę, wziął zeszyt z notatkami i numerami skrzyń i pomaszerował śmiało nabrzeżem w kierunku alejki, która zaprowadzi go do odległej o osiemset metrów bramy Sutung Chung. Kiedy zbliżał się do wartowni, na spotkanie wyszedł mu oficer dyżurny.

–Hej, Carl, a co ty tu robisz o tej porze?

–A, zawieruszyła się jedna skrzynia, a jutro ładujemy. Pięć i pół godziny jej szukałem. Była nie w tym stosie, co trzeba. Tak mnie to zezłościło, że zapomniałem zostawić zeszyt w pakamerze. – Podał oficerowi zeszyt. – Przechowaj mi go do jutra na wartowni, dobrze? Rano odbiorę... o ile żona mnie nie zabije. Miałem ją dzisiaj zabrać na kolację do restauracji.

Oficer roześmiał się.

◁,t

–W porządku, Carl. Ale rano mnie już nie będzie. Powiedz oficerowi dyżurnemu, że twój zeszyt jest w szufladzie mojego biurka. Daj przepustkę do podstemplowania.

Gawędzili jeszcze przez kilka minut, a potem brygadzysta ruszył ciemną drogą Sutung Chung w kierunku miasta, nucąc pod

nosem hymn państwowy Stanów Zjednoczonych Ameryki.

*

Frank Reidel nie rozumiał, po co ten cały rwetes. Ale admirał Morgan powiedział wyraźnie: „Jak tylko dostaniesz jakiś cynk z Suao, daj mi natychmiast znać”. Przekazanie informacji zajęło Carlowi Chimei i jego opiekunowi z CIA prawie cały dzień, ale dotarła ona w końcu do adresata. Meldunek nadano z bezpiecznego domu w Tajpej do Pearl Harbor, a stamtąd, poprzez satelitę, do Langley. Był krótki i węzłowaty:

Otworzyłem skrzynię. Futrzane kurtki, czapki i buty. Zimne wakacje dla Holendra.

Odebrano go 29 czerwca o 18.00. Reidel połączył się natychmiast poprzez bezpieczną linię z Białym Domem i przedyktował admirałowi Morganowi dziesięć słów, które nadeszły z Tajwanu.

–Pięknie, Frank – powiedział doradca do spraw bezpieczeństwa. – Jestem ci wdzięczny. – I trzasnąwszy bez pożegnania słuchawką, wyprowadził w powietrze kilka sierpowych.

–No to sprawa jasna – wymruczał pod nosem. – Tajwańczy-cy kombinują coś na Kerguelenie. Odległość się zgadza. Czas się zgadza. Meldunek nadany z „Cuttyhunka” mówił prawdę, tyle że nie byli to Japończycy, lecz Tajwańczycy. A moi chłopcy widzieli tam, w zatoce Choiseul, peryskop zbudowanego w Holandii okrętu podwodnego klasy Hai Lung. Rodzą się dwa pytania: Co, u diabła, oni tam robią? I czy mnie to obchodzi? Odpowiedź na pierwsze brzmi, nie wiem, co tam robią. Na drugie odpowiadam: Tak, chyba mnie obchodzi.

Wstał i ryknął „KAWYYYYY!” do zamkniętych dębowych drzwi swojego gabinetu. Potem zerknął na zegarek i wetknął w usta wielkie cygaro. Przypalił je wytworną złotą zapalniczką podarunkiem na Gwiazdkę od drugiej żony, z którą dawno już się rozstał. Przypalając przedwieczorne cygaro, zawsze ją wspominał

if

i czasami żałował, że tak się stało. Ale zdawał sobie sprawę, że już się nie odstanie, bo niegdysiejsza Mary-Ann Morgan była teraz szczęśliwą żoną filadelfijskiego prawnika, którego admirał uważał za największego ponuraka, jakiego zdarzyło mu się poznać. Jeszcze teraz szlag go trafiał na samo wspomnienie, że podczas sprawy rozwodowej ta mimoza reprezentowała jego małżonkę.

Odłożył zapalniczkę i przeniósł się myślami na skutą lodem wyspę na drugim końcu świata, gdzie Boomer Dunning i Bill Baldrige wypatrzyli coś, co, jak się teraz okazywało, było tajwańskim okrętem podwodnym.

–Majstrują tam coś pod kołderką – orzekł stanowczo w momencie, kiedy do gabinetu weszła jego sekretarka, Kathy O'Brien, niosąc mu kawę.

–Pod kołderką? – powtórzyła zaskoczona Kathy.

–A pod kołderką, kobieto, pod kołderką. Cichcem. Za plecami. W tajemnicy. Zrozumiano?

–Zrozumiano – odparła Kathy, atrakcyjna, rudowłosa trzydziestoczteroletnia rozwódka z Chevy Chase, bezwarunkowo podziwiająca swojego szefa. Nie, bynajmniej nie w romantycznym tego słowa znaczeniu. Po prostu dlatego, że nie spotkała dotąd nikogo podobnego: nikogo tak obcesowego, tak inteligentnego, tak twardego, tak przez wszystkich poważanego. A przy tym z taką cierpliwością służącego wszelkimi wyjaśnieniami. Nawet kiedy w napadach szału, które czasem mu się zdarzały, nazywał ją najgłupszym babsztylem na całym wschodnim wybrzeżu, nie wyłączając wszystkich jego żon, brzmiało to jakoś pieszczotliwie. Talent admirała Morgana do ciskania obelg przyprawionych szczyptą humoru był niemal formą sztuki. Niemal wobec wszystkich zachowywał się porywczo, nietaktownie, niegrzecznie. Zawsze taki był, ale tylko nadwrażliwcy i ludzie z gruntu niekompetentni traktowali to poważnie.

–A kto majstruje coś pod kołderką? – spytała Kathy.

–Ci przekłęci Tajwańczycy.

–Jak to? Co zrobili?

–Na razie nic. Ale nie podoba mi się, że szwendają się licho wie gdzie swoim okrętem podwodnym, a ja nie wiem, co knują.

–A po co to panu wiedzieć? Chyba nie muszą się nam ze wszystkiego spowiadać... dobrze mówię?

Wargi admirała rozciągnęły się we wrednym uśmiešku. Zaciągnął się głęboko cygarem.

U

–Bo to są podstępne, wyrachowane kurduple, Kathy.

–No dobrze, panie admirale... ale co...?

W tym momencie na jej biurku zadzwoniły dwa telefony naraz. Kathy odwróciła się na pięcie i wybiegła z gabinetu, zostawiając otwarte drzwi, przez które wszedł sam prezydent.

–Dzień dobry, admirale – powiedział. – To nieoficjalna wizyta. Jak tam stoją sprawy na wschód od Himalajów?

–Witam, panie prezydencie. Nieźle, ale jestem przekonany, że Tajwańczycy ukrywają przed nami coś, co może się okazać dosyć ważne. Odbywają swoimi okrętami podwodnymi regularne kursy na Ocean Południowy i z powrotem. A jeśli ukrywają coś przede mną, to na pewno mają coś na sumieniu.

–A co, twoim zdaniem, na nim mają?

–Nie wiem. Ale kiedy się ma taki mały wyspiarski kraj jak Tajwan, który eksportuje rocznie więcej towarów niż całe kontynentalne Chiny, to lepiej na niego uważać, bo jest bogaty i stanowi potencjalne zagrożenie. Oni tam śpią na pieniądzach, a te ich okręty podwodne coś kombinują... na południu, w zamarznętej piekielnej dziurze zwanej Wyspą Kerguelena.

–Skąd wiesz?

–Dostaliśmy dwa meldunki o zaobserwowaniu tam dziwnej aktywności. A przecież Wyspy Kerguelena to miejsce, gdzie normalnie nie zapuściłby się nikt, kto nie ma nic do ukrycia. To takie odludzie, że wojskowy patrol nie wchodzi w rachubę. Muszą tam pływać albo z zaopatrzeniem, albo w ramach jakiegoś programu badawczego. Powinienem o tym wiedzieć, a nie wiem. Istnieje też możliwość, że to oni zaatakowali i zatopili „Cuttyhunka”.

–Ten statek badawczy z Woods Hole, który zaginął w tajemniczych okolicznościach?

–Ten, panie prezydencie.

–Jezu. Pytałeś ich o to?

–Nie ma sensu. Jeśli to zrobili, zaprzeczają. Jeśli nie zrobili, uznają mnie za wariata.

–A zrobili?

–Sądzę, że tak. Ale w tej chwili bardziej mnie interesuje, co, u diabła, wyprawia się na Wyspie

Kerguelena.

–A co się tam może wyprawiać? – spytał prezydent.

–Musi się pan wczuć w mentalność Tajwańczyków. To ciężko pracujący ludzie, którzy przez wieki cienko przędli. Teraz, dzięki pomocnej dłoni Wuja Sama, opływają w dostatki, o jakich

jeszcze pięćdziesiąt lat temu nawet im się nie śniło. Mają obecnie swój świat, który pragną pielęgnować i chronić. Rozumiem pod tym pieniądze, przemysł, rozrastającą się infrastrukturę, populację, która nie wie, co to bieda. Mają-własne banki, własną kulturę, własne uniwersytety. Niemal całkowicie zlikwidowali analfabetyzm. Z dwudziestu jeden milionów mieszkańców wyspy pół miliona studiuje, z czego jedna trzecia na kierunkach technicznych. Mają własne siły zbrojne. Armię lądową, marynarkę wojenną i lotnictwo. Równają do potęg współczesnego świata.

–Tak – mruknął prezydent. – Jeśli się dobrze zastanowić, to rzeczywiście znajdują się w dobrej kondycji. Tylko co to ma wspólnego z tymi tajemniczymi wycieczkami okrętów podwodnych?

–Panie prezydencie – powiedział łagodnie admirał. – Jak nam dobrze wiadomo, mają tuż za płotem, w odległości stu mil, zięjącego ogniem smoka zwanego Chinami, który ogromnie zazdrości im sukcesu, i gdyby zaistniała taka możliwość, najchętniej wchłonąłby ich i uczynił z powrotem prowincją rządzoną z Pekinu.

–Czego oni by nie chcieli. j

–Otóż to. Tak więc mamy tu ludzi gotowych bronić za wszelką cenę swej niezależności... i obawiających się, że Ameryka nie będzie się nimi wiecznie opiekowała. W takim rozwijającym się kraju jak Tajwan nastanie w końcu rząd, który spróbuje wypracować gwarancję bezpieczeństwa dla narodu i jego bogactwa.

–Na przykład w postaci bardzo dużej bomby.

–Właśnie. Ale bez przesady. Gdyby doszło do zaskakującej i uwięczonej powodzeniem napaści Chin, prawdopodobnie z powietrza, a może z morza, chcieliby zapewne ewakuować swoją elitę polityczną i kadrę oficerską. Te okręty podwodne, które usiłujemy wytropić, zwiędają być może odległe rejony świata, szukając miejsca odpowiedniego na zbudowanie tam bezpiecznych, luksusowo wyposażonych kryjówek. Ustanawiają systemy łączności.

Istnieje też możliwość, że Tajwan dowiedział się o jakiegoś rodzaju działalności Chin na Oceanie Południowym i te okręty podwodne krążą tam, by ustalić, do czego ona zmierza.

Niewykluczone też, że Tajwan prowadzi prace nad własną jądrową bronią odstraszającą, co byłoby niemożliwe na ich rodzimej wyspie. Wszystko by się wydało po kilku dniach. Może szukają miejsca pod budowę zakładów produkujących broń jądrową-

wą. Ale pozbawiona jakiegokolwiek źródła energii, odludna Wyspa Kerguelena najmniej się do tego nadaje... Mógłbym sypać jak z rękawa podobnymi hipotezami, ale w tej chwili nie mam pewności... Zapiszę sobie jednak, że trzeba tam jak najszybciej posłać okręt wojenny. Niech się rozejrzy. I to nie jakąś tam fregatę, lecz okręt podwodny o napędzie atomowym, który jest w stanie operować w nieskończoność i może dokładnie spenetrować tamtejsze wody... Może natrafi na coś interesującego.

–Dobry pomysł – powiedział prezydent. – Moja krótka wizyta okazała się jak zawsze bardzo pouczająca. Na razie, Arnie.

Po wyjściu prezydenta do gabinetu zajrzała Kathy.

–Potrzebuje pan jeszcze czegoś, panie admirale? Bo chciałabym już iść do domu.

–Idź – burknął admirał. – Złożę to na karb całkowitego braku zainteresowania. Tylko się jutro nie spóźnij. Jak zobaczysz Charliego, przekaz mu, żeby był o czasie. Posiedzę tu jeszcze godzinę.›

–Dobrze, panie admirale.

Arnold Morgan przez dziesięć minut krążył po gabinecie, zastanawiając się, czy sytuacja na Wyspie Kerguelena wymaga szybkiej interwencji. W końcu zdecydował, że nie. W najgorszym wypadku Tajwańczycy konstruują tam w ścisłej tajemnicy bombę wodorową, żeby wymazać Chiny z mapy świata. Ale on osobiście w to wątpił. Cokolwiek tam robili, był to prawdopodobnie projekt obliczony na lata, zarchiwizuje więc plik z raportem w swoim komputerze i będzie pamiętał o wysłaniu przy pierwszej nadarzającej się okazji okrętu podwodnego na Ocean Południowy.

Teraz sprawdzi lepiej u Morrisa, co się dzieje w Siewiero-dwinsku na dwóch ostatnich z siedmiu rosyjskich Kilo przeznaczonych dla Chin. Bo kiedy wyjdą w morze, trzeba będzie działać szybko, a tym razem Ranków już nie zaśni.

Gmach Prezydencki, który wznosi się w pełnym zieleni centrum administracyjnym Tajpej, po wschodniej stronie rzeki Tan-shui, rzadko bywał tak strzeżony. Głównego wejścia od ulicy i foyer pilnowały wojskowe patrole. Na każdym piętrze i w każdym korytarzu stali wartownicy z marynarki. Policja zamknęła

długi odcinek drogi Chungching South. W całej dzielnicy tworzyły się ogromne korki.

Był 29 czerwca, a te zaostrzone środki bezpieczeństwa wprowadzono w związku ze spotkaniem odbywającym się na pierwszym piętrze Gmachu Prezydenckiego, gdzie po obu stronach trzech zbiegających się korytarzy stało trzydziestu sześciu wartowników pilnujących jednego zamkniętego pomieszczenia, w którym przebywało zaledwie dziesięć osób.

Sala była duża, wyłożona dywanami, na ścianie wisiały portrety dwóch nieżyjących już prezydentów, Czang Kaj-szeka i jego syna, Czang Czing-kuo. Pod tymi portretami siedzieli obecny prezydent i jego premier, pan Chi-Chen Ku, głowa władzy ustawodawczej. Otaczali ich szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pan Chien-Pei Liu; nowo mianowany minister obrony narodowej, generał Jin-Chung Chou; oraz szef sztabu generalnego Marynarki Wojennej Republiki Chińskiej, admirał Shi-Ta Yeh.

Z takim zaangażowaniem ochraniało w zasadzie tylko tych pięciu mężczyzn. Ale w spotkaniu brało udział jeszcze pięć osób, którym również nie brakowało wrogów. Byli to dwaj profesorowie z Narodowego Uniwersytetu Tajwańskiego, George Long-chen i Liao Lee, obaj fizycy jądrowi, jeden z największych przedsiębiorców budowlanych w Tajpej, pan Chiang Yi, oraz dwaj wojskowi: dowódca regimentu desantowego wchodzącego w skład 66. Dywizji Korpusu Piechoty Morskiej i kapitan okrętu podwodnego.

Ci dwaj ostatni przylecieli tego ranka helikopterem z wielkiej tajwańskiej bazy marynarki wojennej w Tsoying, gdzie mają swoje siedziby kwatera główna dowództwa floty, kwatera główna lotnictwa morskiego, kwatera główna korpusu piechoty morskiej oraz tajwańska akademie marynarki wojennej. Tsoying to stosunkowo mała, ustronna enklawa na peryferiach drugiego co do wielkości tajwańskiego miasta Gaoxiang, czwartego co do wielkości portu kontenerowego na świecie. Ale z punktu widzenia wojskowych Tsoying, położone nad Cieśniną Tajwańską, na południowo-zachodnim wybrzeżu tej krnąbrnej wyspy, jest fortecą patrzącą prosto w oczy kontynentalnym Chinom. Jest to miejsce owiane taką tajemnicą i tak utajnione, że nie wspomina się o nim nawet w żadnym z przewodników turystycznych.

Dziesięciu mężczyzn zgromadzonych tego parnego czerwcowego poranka w sali Gmachu Prezydenckiego, ludzi zaangażowa-

nych w najtajniejszy program w dziejach Tajwanu, rzadko się spotykało. Dziś widzieli się w tym gronie po raz pierwszy od dwóch lat. Spotkanie miało przejść do historii jako Konferencja Czerwowa. Ale tylko biorącym w niej udział będzie wiadomo, nad czym tu radzono. Na sali nie było żadnych sekretarzy ani asystentów. Prezydent dobrze dobrał swój zespół. Mijał piąty rok, a na zewnątrz nie przeciekło jeszcze ani słowo o ich niezwykłym przedsięwzięciu.

Spotkanie trwało już godzinę i czterdziestosześcioletni przedsiębiorca budowlany, milioner Chiang Yi, kończył swój raport o bezpieczeństwie i solidności ogromnej sieci tuneli, które jego ludzie wydrążyli w nadbrzeżnej skale pod Guynemer Peak wznoszącą się na dziewięćset metrów nad osłoniętym zachodnim krańcem ośmiomilowej Baie du Repos na Wyspie Kerguelena. Masywne betonowe filary podpierające strop trzymały idealnie. Miały pół metra średnicy i wykonano je na miejscu z mieszanki cementowej dostarczonej okrętem podwodnym.

Przez pierwszy rok wierceń Chiang trwał na posterunku, nadzorując usuwanie tysięcy ton granitowego gruzu sypanego na taśmociągi i wrzucanego prosto w głęboką na dziewięćdziesiąt metrów wodę. Całe zapotrzebowanie na energię zaspokajał reaktor jądrowy francuskiego okrętu podwodnego klasy Rubis „Emeraude”, który przyplłynął na Wyspę Kerguelena z Brestu, nie wynurzając się po drodze ani razu. Teraz, od pięciu lat, tkwił zacumowany pod wodą pomiędzy dwoma rdzewiejącymi szarymi bojami, które kołysały się na powierzchni w odległości stu dwudziestu metrów od siebie i piętnastu metrów od zachodniego, zawietrznego brzegu. „Emeraude” wynurzał się od czasu do czasu, by uzupełnić zapasy albo przewentylować wnętrze.

Jego reaktor pracował jak dotąd bez zarzutu, zasilając generatory dostarczające fabryce-hotelowi o powierzchni szesnastu tysięcy metrów kwadratowych energii elektrycznej dla instalacji oświetleniowej, grzewczej, stacji uzdatniania wody, systemu wentylacji oraz dla maszyn drążących tunele. Zasiliał również obwody elektryczne dla przyszłego reaktora ciśnieniowego, który na koniec miał zastąpić reaktor Rubisa.

Podstarzały Rubis był w zasadzie koniem pociągowym całego projektu. Bo przede wszystkim zasiliał pięćdziesiąt wielkich metalowych separatorów, które powoli, mozolnie, niesamowicie wielkim nakładem kosztów, przez lata, oddzielają uran-238 od

uranu-235, tego złowrogiego pierwiastka o bardzo niestabilnym jądrze... produktu wyjściowego do budowy głowicy jądrowej.

Chiang był dla tajwańskiego rządu człowiekiem nieocenionym. Po ukończeniu drążenia „groty” i tuneli oraz położeniu instalacji elektrycznych, wodociągowych i klimatyzacyjnych, wrócił nad zatokę, by przez kolejnych sześć miesięcy osobiście nadzorować budowę zakładu wytwarzania U-235, jak również prace przygotowawcze pod instalację samego reaktora ciśnieniowego oraz ekranów zabezpieczających obsługę przed jego śmiertelnością zawartością. Podczas budowy długiego nabrzeża sam prowadził wielką betoniarkę. Zaprojektował specjalną metalową kurtynę w naturalnej barwie skały, która miała maskować nabrzeże, kiedy to nie będzie wykorzystywane. Za to wszystko Chiang Yi nie wziął od rządu ani centa – miał jednak zagwarantowane prawo pierwszeństwa we wszystkich przetargach na przyszłe rządowe projekty budowlane na Tajwanie.

Dzisiejszy raport Chianga zadowolili wszystkich zebranych w zamkniętej sali w Tajpej. Nic nie pękało. Wszystkie systemy działały bez zarzutu, nawet wygodne sypialnie dla profesorów znajdowały się nadal w idealnym stanie. Dwa holenderskie okręty podwodne, które co trzy miesiące dostarczały zaopatrzenie, czyniły warunki pobytu na wyspie znośnymi, jeśli nie luksusowymi. Jednak dzień pracy trwał długo, roboty posuwały się powoli i były trudne, i niewiele czasu pozostawało na wypoczynek. Nikomu nie uśmiechał się powrót na kolejną osiemnastomiesięczną turę. Ale profesorowie dostawali za każdy wyjazd po pół miliona dolarów. I nikt jeszcze nie odmówił pracy dla narodu tajwańskiego na tej bezludnej wyspie na końcu świata.

W zimie panowały ciężkie piekielne warunki. Rozwidniało się tylko na niewielką część dnia, a pogoda stawała się tak dokuczliwa, że nie było co marzyć nawet o krótkich spacerach po świeżym powietrzu, na które od czasu do czasu zezwalano. Podczas tak zwanego lata robiło się trochę znośniej, ale oddalanie się od bazy wiązało się ze sporym ryzykiem ze względu na szalejące nad fiordem śnieżyce i wichury, podczas których szybkość wiatru dochodziła w porywach do siedemdziesięciu mil na godzinę. Prądy zstępujące i wiry powietrzne, które spadały niespodziewanie ze szczytów gór i zasysały wszystko po drodze, mogły zniechęcić nawet doświadczonego polarnika.

Prezydent Tajwanu, z urzędu zwierzchnik wszystkich rodza-

›

jów sił zbrojnych Republiki Chińskiej, podziękował formalnie Chiangowi Yi za raport i przemówił do obecnych. Przypomniął, że w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy okręty chińskiej marynarki wojennej dwukrotnie zbliżyły się do wód przybrzeżnych Tajwanu, co wszyscy zgodnie uznali za demonstrację siły. Chiny przeprowadziły też dwie kolejne próby z uzbrojonymi śmiertelnościami pociskami powietrzno-powietrze HQ-61M odpalonymi z fregaty klasy Jiangwei. Wszystko to było obliczone na zastraszenie. Chińczycy, ciągnął prezydent, bez ustanku wysyłają swoje niszczyciele i fregaty w okolice wysp Spratly – tych pięćdziesięciu trzech skał i raf na Morzu Południowochińskim, do których Tajwan rości sobie prawo, na największej z nich utrzymuje nawet garnizon wojskowy.

–Wdzięczni jesteśmy, naturalnie, Stanom Zjednoczonym za teoretyczne poparcie w tych sprawach – kontynuował prezydent. – Ale od dwóch lat napotykamy zastanawiające trudności w tworzeniu własnej flotyli okrętów podwodnych. Próbowaliśmy je zamawiać we Francji, w Holandii, w Niemczech... za każdym razem stocznia przyjmowała zamówienie, a potem stosowne władze je anulowały. To oczywiste, że nie chcą sprzedawać nam tych okrętów, bo obawiają się pogorszenia stosunków handlowych z Chinami kontynentalnymi. Dotyczy to nawet Amerykanów, którzy nie chcą nam udostępnić swojego systemu pocisków Aegis, chociaż dobrze wiedzą, że stoimy nieustannie w obliczu groźby zmasowanego ataku powietrznego z kontynentalnych Chin. Znajdujemy się przecież w zasięgu ich samolotów myśliwsko-bombowych.

Musimy zatem radzić sobie sami. Te manewry wojskowe przeprowadzane przez Chiny to nic innego jak demonstracja siły, pokazanie nam, że jeśli tylko będą chepli, to zablokują cieśninę siłami podwodnymi i nawodnymi. W mojej ocenie takie zagrożenie jest bardzo realne.

Panowie, jak już wielokrotnie powtarzałem, na pomoc USA liczyć nie możemy. Czasy się zmieniają. Stany Zjednoczone mogą pewnego dnia uznać, że Chiny są dla nich partnerem cenniejszym od nas. Nowy amerykański prezydent może dojść do wniosku, że jego siły zbrojne nie mają żadnego interesu w militarnym angażowaniu się na Dalekim Wschodzie. Kto wie, co będzie za kilka lat?

Podczas studiów na Harvardzie poznałem niestałość Amerykanów. Jest to naród, który dostosowuje swoje poglądy do prądów historii. Z pewnością pamiętacie, jak pod koniec lat osiemdziesią-

tych Saddam Husajn w ciągu niespełna trzech lat z Wielkiego Amerykańskiego Bohatera Stabilizacji zmienił się we Wroga Publicznego Numer Jeden Środkowego Wschodu.

Panowie, powtarzałem to już wiele razy. Jeśli chcemy oprzeć się chińskim próbom aneksji, co w praktyce oznaczałoby okupację wojskową, musimy dysponować środkami, które by ich od takich zakusów skutecznie odwiodły. A ponieważ Zachód nie sprzeda nam nowoczesnego sprzętu bojowego, naszą jedyną gwarancją przetrwania jest posiadanie własnej jądrowej broni odstraszałej. Nie mam tu na myśli broni zaczepnej. Chodzi mi o broń nioską pokój. Nie użyjemy jej, ale chińskim politykom i dowódcom zawsze będzie towarzyszyła świadomość, że Tajwan dysponuje bronią o straszliwej sile niszczącej, zdolną zetrzeć z powierzchni ziemi duże miasto, i przyparty do muru może jej użyć.

Od czasów Hiroszimy nikt takiej broni jeszcze nie użył. I wątpię, by ktoś kiedykolwiek to uczynił. Nawet największe potęgi militarne świata od pół wieku ograniczają się do prowadzenia pomniejszych wojen... właściwie potyczek, którym daleko do starć na wielką skalę z setkami tysięcy ofiar. Dzieje się tak, bo każdy się boi. Panowie, powtarzam jeszcze raz, dla tego narodu nie ma większego priorytetu niż nuklearny projekt, który realizujemy na południowym Oceanie Indyjskim.

Mam osobisty dług wdzięczności wobec was wszystkich za wkład, jaki wnieśliście w to przedsięwzięcie, ale ten mój dług to nic w porównaniu z długiem, jaki mają wobec was wszyscy Tajwańczycy. A teraz czekam z niecierpliwością na raport o postępach prac. ęroszę o zabranie głosu profesora Liao, który, jak wiemy, niedawno stamtąd wrócił...

Fizyk jądrowy z Uniwersytetu Narodowego, blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna w tweedowej marynarce, koszuli w kratę i wąskim krawacie preferowanym przez akademików na całym świecie, wstał i skłonił się prezydentowi. Jego relacja była związłą do granic pedanterii. Mówił o trudnościach związanych z budową bomby atomowej i długim czasie, jakiego potrzeba do wyprodukowania nietrwałego uranu U-235, stosowanego w elektrowniach jądrowych, z którego najłatwiej uzyskać nadający się do celów wojskowych pluton.

Wyjaśnił pokrótce oficerom i politykom proces przemiany ciężkiego metalu w gaz, a następnie odseparowania cięższych dziewięćdziesięciu procent od bezcennego U-235.

tych Saddam Husajn w ciągu niespełna trzech lat z Wielkiego Amerykańskiego Bohatera Stabilizacji zmienił się we Wroga Publicznego Numer Jeden Środkowego Wschodu.

Panowie, powtarzałem to już wiele razy. Jeśli chcemy oprzeć się chińskim próbom aneksji, co w praktyce oznaczałoby okupację wojskową, musimy dysponować środkami, które by ich od takich zakusów skutecznie odwiodły. A ponieważ Zachód nie sprzeda nam nowoczesnego sprzętu bojowego, naszą jedyną gwarancją przetrwania jest posiadanie własnej jądrowej broni odstraszałej. Nie mam tu na myśli broni zaczepnej. Chodzi mi o broń nioską pokój. Nie użyjemy jej, ale chińskim politykom i dowódcom zawsze będzie towarzyszyła świadomość, że Tajwan dysponuje bronią o straszliwej sile niszczącej, zdolną zetrzeć z powierzchni ziemi duże miasto, i przyparty do muru może jej użyć.

Od czasów Hiroszimy nikt takiej broni jeszcze nie użył. I wątpię, by ktoś kiedykolwiek to uczynił. Nawet największe potęgi militarne świata od pół wieku ograniczają się do prowadzenia pomniejszych wojen... właściwie potyczek, którym daleko do starć na wielką skalę z setkami tysięcy ofiar. Dzieje się tak, bo każdy się boi. Panowie, powtarzam jeszcze raz, dla tego narodu nie ma większego priorytetu niż nuklearny projekt, który realizujemy na południowym Oceanie Indyjskim.

Mam osobisty dług wdzięczności wobec was wszystkich za wkład, jaki wnieśliście w to przedsięwzięcie, ale ten mój dług to nic w porównaniu z długiem, jaki mają wobec was wszyscy Tajwańczycy. A teraz czekam z niecierpliwością na raport o postępach prac. Proszę o zabranie głosu profesora Liao, który, jak wiemy, niedawno stamtąd wrócił...

Fizyk jądrowy z Uniwersytetu Narodowego, blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna w tweedowej marynarce, koszuli w kratę i wąskim krawacie preferowanym przez akademików na całym świecie, wstał i skłonił się prezydentowi. Jego relacja była zwięzła do granic pedanterii. Mówił o trudnościach związanych z budową bomby atomowej i długim czasie, jakiego potrzeba do wyprodukowania nietrwałego uranu U-235, stosowanego w elektrowniach jądrowych, z którego najłatwiej uzyskać nadający się do celów wojskowych pluton.

Wyjaśnił pokrótce oficerom i politykom proces przemiany ciężkiego metalu w gaz, a następnie odseparowania cięższych dziewięćdziesięciu procent od bezcennego U-235.

– Żeby {o osiągnąć, proces musi trwać długo i przebiegać w precyzyjnie dobranych warunkach – mówił – ale jesteśmy bliscy celu. Wyprodukowaliśmy już pokaźną ilość uranu U-235... wystarczy go na pierwszy rdzeń reaktora ciśnieniowego, który powinien być gotowy za sześć miesięcy.

Za mało go jeszcze na głowicę jądrową, a proces trwa niewiarygodnie długo. Jesteśmy jednak na dobrej drodze i szacuję, że za trzy lata przywieziemy pierwszą nie wypróbowaną jeszcze głowicę bojową do Tsoying. Wątpię, czy uda nam się ją kiedykolwiek {fletestować, ale robimy ciągle postępy. Jak panom wiadomo, profesor Longchen wraca w listopadzie na Wyspę Kerguelena...

Prezydent uśmiechnął się. Ale nie był to uśmiech tryumfu, lecz ulgi. Każdego dnia żył nerwami, zachodząc w głowę, co też planują wojskowe smoki po tamtej stronie cieśniny. Marzył o dniu, kiedy będzie mógł dać do zrozumienia wszystkim krajom zagrażającym Tajwanowi, że wyspa nie jest bezbronna i potrafi stawić czoło każdemu agresorowi, nawet takiemu jak Chiny z ich ogromną marynarką wojenną, w której na stu czterdziestu dużych okrętach wojennych i czterystu pięćdziesięciu szybkich kutrach bojowych służy dwieście osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi. Głowica jądrowa, pomyślał prezydent, najbardziej wyrówna szanse.

Przechodząc do następnego punktu narady, czyli do kwestii bezpieczeństwa na wodach otaczających Wyspę Kerguelena, poprosił o zabranie głosu dowódcę piechoty morskiej, który spędził na Wyspie Kerguelena cztery lata, organizując tam system ochrony oraz zakładając wojskowy posterunek obserwacyjny wysoko na Pointę Bras, głęboko we fiordzie odchodzącym od Baie Blanche – osiem mil na północ od laboratorium.

– To bardzo rzadko odwiedzana wyspa, panie prezydencie -zaczął – Przez sześć miesięcy, między listopadem a czerwcem, z wyjątkiem paru dalekomorskich kutrów rybackich, które się zapuściły na tamte wody, ale nie podpływały blisko, widywaliśmy tylko nasze okręty podwodne. Poza nimi, zgodnie z moimi danymi, pewnego ranka w lutym zaobserwowano w pobliżu wyspy jeszcze jakiś jacht żaglowy z australijską rejestracją. Prawdopodobnie schronił się przed złą pogodą panującą wtedy w cieśninie Choiseul. My sami go nie widzieliśmy, został dostrzeżony z Hai Lunga. Przez peryskop. Po południu odpłynął.

Prezydent kiwnął głową.

–Nie było innych incydentów w rodzaju niefortunnego wypadku z tamtym amerykańskim statkiem sprzed osiemnastu miesięcy?

–Nie, panie prezydencie. Od tamtego czasu nie widzieliśmy we fiordzie ani jednego statku... żaden tam nie wpłynął.

–O ile mnie pamięć nie myli, był pan osobiście zaangażowany w ten incydent?

–Tak, panie prezydencie. Byłem.

–Amerykanie zrobili z tego wielką aferę. Słyszał pan?

–Nie, panie prezydencie, nic mi o tym nie wiadomo.

–Tak, tak. Departament Stanu USA kontaktował się w tej sprawie z kilkoma krajami, w tym z nami, Japonią, Koreą Południową i chyba nawet z kontynentalnymi Chinami. Niepokoili się bardzo o los swojego statku badawczego i jego załogi. Wysłali nawet na Wyspę Kerguelena okręt wojenny z Siódmej Floty.

–Tak, panie prezydencie. Widzieliśmy go. Krążył tam przez kilka tygodni, a raz wszedł nawet do Baie Blanche. Ale w ostatniej chwili zawrócił. Obserwowaliśmy jego ruchy z Pointę Bras.

–Jak rozumiem, otworzyliście ogień na tamtym amerykańskim statku badawczym. Jak byście zareagowali, gdyby ten okręt wojenny wpłynął głębiej w Repos i zatrzymał się przed laboratorium?

–Trudno powiedzieć, panie prezydencie. Nie mamy żadnych procedur na taką okoliczność. Nikt chyba nie przewidział, że złoży nam kiedykolwiek wizytę okręt wojenny obcego państwa. Ale na pewno nie zaatakowalibyśmy w pełni uzbrojonej amerykańskiej fregaty. Byłoby to samobójstwo. Chyba próbowalibyśmy z nimi pertraktować, przedstawić swoje racje, a potem ewakuować się, gdyby tylko nadarzyła się taka możliwość.

–Tak. Musimy chyba przyjąć, że w razie zaistnienia tego rodzaju sytuacji trzeba uciekać się do środków dyplomatycznych... I dotąd nie mogę sobie darować, że otworzyliśmy ogień do załogi tego statku badawczego.

–Panie prezydencie, weszliśmy na pokład, ledwie zbliżył się do dwóch boi, które wskazują miejsce cumowania naszego okrętu podwodnego. Dowodziłem grupą abordażową i zamierzałem bez użycia siły skłonić załogę do zawrócenia pod pretekstem, że prowadzimy we fiordzie tajne eksperymenty, o których nie poinformowaliśmy władz francuskich. Wolimy więc, żeby nam nie przeszkadzano. Chyba rozumie pan, że nie mogliśmy wpuścić

tych Amerykanów dalej... zobaczyliby nabrzeże, które w owym czasie nie było akurat zakamuflowane.

Ale moi ludzie byli bardzo podenerwowani. W pewnym momencie jeden z Amerykanów wyskoczył zza nadbudówki i otworzył do nas ogień. Nim zdążyliśmy zareagować, położył trupem trzech moich ludzi. Ja pierwszy odpowiedziałem ogniem... ale on wcześniej zastrzelił jeszcze jednego z naszych. Potem sytuacja zupełnie wymknęła się spod kontroli. Musieliśmy powstrzymać ich radiooperatora, a mając czterech zabitych... cóż, moi ludzie niestety zastrzelili radiowca i kapitana, i pierwszego oficera, i w ogóle wszystkich, którzy próbowali stawiać opór.

Do tego czasu kilku innych członków załogi zdążyło zaopatrzyć się w broń. Opanowanie statku zajęło nam godzinę. Straciliśmy w sumie sześciu ludzi, dwóch odniosło lekkie rany.

–A co z Amerykanami? – *

–Spośród członków załogi nikt nie przeżył, panie prezydencie. Niestety zginęło również dwoje pasażerów. "Nie mogliśmy przecież pozostawić przy życiu żadnego świadka.

–To prawda. Ale o ile mi wiadomo, wzięliście kilku jeńców.

–Tak, panie prezydencie. W kabinie pod pokładem znaleźliśmy grupkę naukowców. Byli nie uzbrojeni i przerażeni. Nie potrafiłem zastrzelić ich z zimną krwią. Jestem żołnierzem, nie mordercą.

–I wziął ich pan do niewoli?

–Tak, panie prezydencie. Odholowaliśmy statek do małej zatoczki, tuż za głównym wejściem do laboratorium, i ukryliśmy go pod płachtą maskującą. Potem usunęliśmy ze statku wszystkie dokumenty, do ostatniego strzępka papieru, i wszystko to spaliliśmy.

Generatory i silniki nadal działały, wykorzystaliśmy je więc, żeby nie obciążać reaktora okrętu podwodnego. Paliwa i żywności mieli pod dostatkiem. Do pilnowania jeńców na statku wystarczył jeden strażnik. Pomyślałem sobie, że najlepiej mieć ich na oku, dopóki nie zakończymy robót i nie opuścimy wyspy. O ile wiem, żaden z nich nie wie, kim jesteśmy ani co tam robimy. Przesłuchaliśmy wszystkich i nikt z nich nie wie nawet, gdzie się znalazł.

–Rozumiem. Czyli nadal przebywają na pokładzie swojego statku?

–Tak, panie prezydencie.

–Będą kłopoty z ich uwolnieniem.

–Owszem, panie prezydencie. Ale jak pan sobie zapewne przypomina, środkowowschodni terroryści wzięli w ciągu ostatnich lat wiele prominentnych osób i w większości nie zostali ujęci, ponieważ zakładnicy nie wiedzieli, gdzie ich przetrzymywano. Nasza sytuacja jest identyczna... sprzeciwiam się stanowczo skazywaniu na śmierć nie uzbrojonych, nie mających nic wspólnego z wojskiem obywateli Stanów Zjednoczonych.

–Zgadzam się z panem. Ale gdyby sprawa wyszła kiedyś na jaw, to konsekwencje byłyby niewyobrażalne. Rząd Stanów Zjednoczonych zareagowałby gwałtownie. Kto wie, czy nie lepiej się ich pozbyć.

–Panie prezydencie, poruszałem już ten temat w rozmowie ze swoimi przełożonymi. I nie wydaje mi się, by którykolwiek z rodzajów tajwańskich sił zbrojnych był skłonny wziąć na siebie odpowiedzialność za przeprowadzenie takiej egzekucji.

–A admirał Shi-Ta?

–Nie, panie prezydencie. Wolałbym nie wydawać mu takiego rozkazu. Co innego, gdyby jeńcy byli wojskowymi.

–Ja też sądzę, że egzekucja amerykańskich cywili to zły pomysł. I doceniam rozsądek moich dowódców. Musimy się jednak dobrze zastanowić nad sposobem ich uwolnienia, kiedy przyjdzie już na to czas. Pomimo że nie wiedzą, gdzie są przetrzymywani ani kto ich przetrzymuje. Co przemawia na naszą korzyść.

–Tak, panie prezydencie.

–A swoją drogą, czy mamy jakiś plan postępowania na wypadek, gdyby Wyspę Kerguelena odwiedził chiński okręt wojenny?

–Nie, panie prezydencie, nie mamy. Ale uważam, że gdyby do czegoś takiego doszło, musielibyśmy go natychmiast zatopić.

–Tak, jestem tego samego zdania. A to oznacza, że przydałby się tam jeszcze jeden okręt podwodny, którego nie mamy... Admirale, powinniśmy to chyba przedyskutować z generałem Jin-Chungiem na zakończenie dzisiejszej konferencji.

–Tak jest, panie prezydencie.

Teraz o złożenie raportu poproszono kapitana okrętu podwodnego klasy Hai Lung. Jego wystąpienie było zwięzłe i rzeczowe. Żaden z dwóch okrętów podwodnych nie przysparzał jak dotąd problemów; pływały na Wyspę Kerguelena w zanurzeniu, docierały tam o czasie, do perfekcji opanowały sztukę wchodzenia w zanurzeniu do fiordu, i wynurzały się na głębokość

peryskopową dopiero w głębi Repos.

Sprawdzała się również taktyka wykorzystywania okrętów podwodnych w charakterze frachtowców, zwłaszcza jeśli chodzi o transport nie oczyszczonego uranu-238, który, pomimo istnienia międzynarodowych ciał nadzorczych, stosunkowo łatwo zdobyć. Radioaktywny uran, zapakowany w specjalnie zaprojektowane pojemniki z ołowiu i polietylenu, przewożono w najbezpieczniejszy z możliwych sposób – pod wodą, gdzie nie można go wykryć ani z powierzchni morza, ani z powietrza.

Naradę przerwano o pierwszej po południu i podano herbatę w przepięknie zdobionych filiżankach z chińskiej porcelany wytwarzanej na Tajwanie.

Prezydent i minister spraw zagranicznych, Chien-Pei Liu, stanęli przy wychodzącym na wschód oknie. Patrzyli w zadumie na wspaniałe ogrody, które otaczają mauzoleum Czang Kaj-szeka.

Warto było chronić tę malowniczą, górzystą, wyspę, gdzie rzeki spływają pieniędzmi, a wielkie oceany tłoczą co roku miliardy amerykańskich dolarów w gospodarkę kraju.

– Jesteśmy tu, na Tajwanie, bliscy stworzenia pierwszego na świecie autentycznego Shangri-la – odezwał się prezydent. – Mamy po temu warunki, jakich nie miał dotąd żaden naród w całej historii świata... a na drodze stoi nam tylko jeden kraj. Modłę się, żebyśmy zdążyli raz na zawsze ich odstraszyć.

Nie zdawał sobie, oczywiście, sprawy, że Chiny bardzo dobrze wiedzą, nad czym pracuje, choć nie ustaliły jeszcze gdzie. Nie zdawał sobie też sprawy, że Ameryka wie już, gdzie nad czymś pracuje, choć nie wie jeszcze nad czym.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ciepły podzwrotnikowy deszcz zalewał wąską, dwumilową groblę, którą biegnie droga prowadząca do położonego na wyspie chińskiego portu Xiamen. Walcząc z wiejącym od lądu południo-wo-zachodnim wiatrem, kroczył nią samotnie admirał Zhang Yushu. Był bez czapki i bez swoich okularów w rogowej oprawie, owijał się szczelnie połami nieprzemakalnego granatowego płaszcza. Minęła właśnie 7.00. Deszczowe chmury zasnuwały niebo aż po wschodni horyzont, za którym leżała zbuntowana wyspa Tajwan.

Jakiś robotnik przejeżdżający na rowerze pozdrowił go skinieniem głowy. Głównodowodzący chińskiej marynarki wojennej był w Xiamen znaną postacią. Spotkać go tu można było zwłaszcza w letnich miesiącach, kiedy wraz z żoną i rodziną próbował wieść normalne życie w dużej willi na wyspie Gulangyu, zwanej Wyspą Grzmiących Fal, która leży dokładnie naprzeciwko miasta, po drugiej stronie kanału Lujiang.

Na tych skąpanych w bujnej zieleni przedmieściach tętniącego życiem portu morskiego admirał Zhang spędził dzieciństwo. Urodził się na tych wodach, na należącym do ojca starym frachtowcu. Pierwsze kroki stawiał na pokładzie, ale od szkolnych lat uwielbiał spacerować tą długą groblą, mając po obu stronach morze, i obserwować powolne dżonki w ujściu Rzeki Dziewięciu Smoków.

Kiedy ojciec zmarł, statek sprzedano i Zhang, podówczas już młody oficer marynarki, zainwestował uzyskane pieniądze w zrujnowaną posiadłość po najładniejszej stronie wyspy Gulangyu, nieopodal południowej plaży, skąd roztaczał się widok na poszarpaną linię brzegową cieśniny. Od tamtego czasu doprowadził posiadłość do porządku, wybudował piękny dom z wygiętym czerwonym dachem pośród drzew i kwiatów. Gdyby go teraz

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ciepły podzwrotnikowy deszcz zalewał wąską, dwumilową groblę, którą biegnie droga prowadząca do położonego na wyspie chińskiego portu Xiamen. Walcząc z wiejącym od lądu południo-wo-zachodnim wiatrem, kroczył nią samotnie admirał Zhang Yushu. Był bez czapki i bez swoich okularów w rogowej oprawie, owijał się szczelnie połami nieprzemakalnego granatowego płaszcza. Minęła właśnie 7.00. Deszczowe chmury zasnuwały niebo aż po wschodni horyzont, za którym leżała zbuntowana wyspa Tajwan.

Jakiś robotnik przejeżdżający na rowerze pozdrowił go skinieniem głowy. Głównodowodzący chińskiej marynarki wojennej był w Xiamen znaną postacią. Spotkać go tu można było zwłaszcza w letnich miesiącach, kiedy wraz z żoną i rodziną próbował wieść normalne życie w dużej willi na wyspie Gulangyu, zwanej Wyspą Grzmiących Fal, która leży dokładnie naprzeciwko miasta, po drugiej stronie kanału Lujiang.

Na tych skąpanych w bujnej zieleni przedmieściach tętniącego życiem portu morskiego admirał Zhang spędził dzieciństwo. Urodził się na tych wodach, na należącym do ojca starym

frachtowcu. Pierwsze kroki stawiał na pokładzie, ale od szkolnych lat uwielbiał spacerować tą długą groblą, mając po obu stronach morze, i obserwować powolne dżonki w ujściu Rzeki Dziewięciu Smoków.

Kiedy ojciec zmarł, statek sprzedano i Zhang, podówczas już młody oficer marynarki, zainwestował uzyskane pieniądze w zrujnowaną posiadłość po najładniejszej stronie wyspy Gulangyu, nieopodal południowej plaży, skąd roztaczał się widok na poszarpaną linię brzegową cieśniny. Od tamtego czasu doprowadził posiadłość do porządku, wybudował piękny dom z wygiętym czerwonym dachem wśród drzew i kwiatów. Gdyby go teraz

sprzedał, stałby się bogatym człowiekiem. Żona, Lan, którą poznał na uniwersytecie, również pochodziła z Xiamen. Ich wspólnym marzeniem było spędzenie jesieni życia tutaj, na południu Chin, w zielonej, górzystej prowincji Fujian, gdzie od tysięcy lat żyły ich rodziny.

Zhang miał być za co wdzięczny marynarce wojennej -między innymi za to, że rozsądnie utrzymywała główną bazę marynarki wojennej tuż pod Xiamen. Baza ta przystosowana była również do obsługi okrętów podwodnych i Zhang tutaj założył swoje letnie biuro. Każdego ranka do przystani na Gulangyu przybijała motorówka marynarki wojennej, by zabrać głównodowodzącego do bazy w Xiamen. Przez resztę roku Zhang mieszkał z rodziną w Pekinie.

Dwudziestego pierwszego czerwca wczesnym rankiem odbył ośmiomilową podróż, najpierw promem, później samochodem, do grobli, specjalnie po to, by przejść się nią tam i z powrotem. Tutaj, na rześkiej oceanicznej bryzie, w samotności, najlepiej mu się myślało. Szedł jak maszerująca armia, zwodniczo szybko.

Jego dzisiejsze zadanie było natury tak tajnej, że postanowił spędzić dwie godziny, od 9.00, w swojej willi z dowódcą Floty Morza Południowochińskiego, admirałem Zu Jicai i ostatecznie dopracować plan ustalenia miejsca przeznaczenia, do którego pływają znikające tajwańskie Hai Lungi. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że władze wyspy po drugiej stronie cieśniny są w trakcie tworzenia własnej odstraszającej broni jądrowej. Pytanie tylko, gdzie to robią. Żeby znaleźć na nie odpowiedź, musi wpieryw obmyślić sposób na wytropienie dwóch tajwańskich okrętów podwodnych.

Szedł teraz groblą bardziej zdeterminowany niż kiedykolwiek, nie zwracając uwagi na zacinający deszcz. Był niemal pewien, że klucz do rozwiązania zagadki wypraw Hai Lungów leży w archipelagu nieprzeliczonych wysp i wysepek, które tworzą Indonezję. Wszystko wskazywało na to, że okręty podwodne pokonują całą trasę w zanurzeniu, a skoro tak, to muszą przedostawać się na Ocean Indyjski drogą omijającą płytkie wody wokół Malajów, Borneo, Sumatry, Jawy, Bali i reszty.

Przestudiował już i odrzucił hipotezę cieśniny Malakka: była za płytka, zbyt uczęszczana i nie dałoby się raczej przejść niepostrzeżenie między miriadami płycizn i wysepek, którymi usiany jest szlak wodny na południowy wschód od wielkiego portu Sin-

sprzedał, stałby się bogatym człowiekiem. Żona, Lan, którą poznał na uniwersytecie, również pochodziła z Xiamen. Ich wspólnym marzeniem było spędzenie jesieni życia tutaj, na południu Chin, w zielonej, górzystej prowincji Fujian, gdzie od tysięcy lat żyły ich rodziny.

Zhang miał być za co wdzięczny marynarce wojennej -między innymi za to, że rozsądnie utrzymywała główną bazę marynarki wojennej tuż pod Xiamen. Baza ta przystosowana była również do obsługi okrętów podwodnych i Zhang tutaj założył swoje letnie biuro. Każdego ranka do przystani na Gulangyu przybijała motorówka marynarki wojennej, by zabrać głównodowodzącego do bazy w Xiamen. Przez resztę roku Zhang mieszkał z rodziną w Pekinie.

Dwudziestego pierwszego czerwca wczesnym rankiem odbył ośmiomilową podróż, najpierw promem, później samochodem, do grobli, specjalnie po to, by przejść się nią tam i z powrotem. Tutaj, na rześkiej oceanicznej bryzie, w samotności, najlepiej mu się myślało. Szedł jak maszerująca armia, zwodniczo szybko.

Jego dzisiejsze zadanie było natury tak tajnej, że postanowił spędzić dwie godziny, od 9.00, w swojej willi z dowódcą Floty Morza Południowochińskiego, admirałem Zu Jicai i ostatecznie dopracować plan ustalenia miejsca przeznaczenia, do którego pływają znikające tajwańskie Hai Lungi. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że władze wyspy po drugiej stronie cieśniny są w trakcie tworzenia własnej odstraszającej broni jądrowej. Pytanie tylko, gdzie to robią. Żeby znaleźć na nie odpowiedź, musi wpieryw obmyślić sposób na wytropienie dwóch tajwańskich okrętów podwodnych.

Szedł teraz groblą bardziej zdeterminowany niż kiedykolwiek, nie zwracając uwagi na zacinający deszcz. Był niemal pewien, że klucz do rozwiązania zagadki wypraw Hai Lungów leży w archipelagu nieprzeliczonych wysp i wysepek, które tworzą Indonezję. Wszystko wskazywało na to, że okręty podwodne pokonują całą trasę w zanurzeniu, a skoro tak, to muszą przedostawać się na Ocean Indyjski drogą omijającą płytkie wody wokół Malajów, Borneo, Sumatry, Jawy, Bali i reszty.

Przestudiował już i odrzucił hipotezę cieśniny Malakka: była za płytka, zbyt uczęszczana i nie dałoby się raczej przejść niepostrzeżenie między miriadami płycizn i wysepek, którymi usiany jest szlak wodny na południowy wschód od wielkiego portu Sin-

gapur. Poprzedniego wieczoru, po powrocie z Pekinu, przesiedział dobrą godzinę w swoim biurze, analizując mniej oczywistą trasę przez Cieśninę Sundajską, ten szeroki na trzysta mil kanał, który oddziela północno-zachodni cypel Jawy od południowo-wschodniego wybrzeża Sumatry.

Głębokość kanału, wynosząca pięćdziesiąt pięć metrów, była wystarczająca, ale kilka płycizn również tam występowało. Wiódł też tamtędy uczęszczany szlak promowy, a mapy ostrzegały dodatkowo przed ćwiczącymi okrętami podwodnymi marynarki indonezyjskiej.

Na miejscu dowódcy tajwańskiego okrętu podwodnego odbywającego tajną misję prawdopodobnie bym się tam nie zapuszczał, zdecydował admirał Zhang. Poszukałbym innego przejścia. Był jednak zbyt zmęczony, by iść dalej tym tropem. Wrócił do domu z postanowieniem, że nazajutrz wybierze się na spacer groblą, a potem wypoczęty i odprężony spróbuje podejść do problemu na nowo w towarzystwie swojego przyjaciela Jicaia. Nie przewidział ulewy, ale ani myślał zmieniać przez nią planów.

I parł teraz przed siebie w ten deszczowy poranek z opuszczoną głową, wymachując dla rozluźnienia mięśni ramionami i układając w myślach plan zniszczenia hipotetycznej tajwańskiej fabryki broni jądrowej, która owiana była jeszcze mgiełką tajemnicy, ale ten stan rzeczy nie potrwa już długo. Jego w tym głowa.

Zbliżając się do wysepki na końcu grobli, dostrzegł po zawietrznej stronie jednego z domów czterech mężczyzn grających w karty pod wielkim parasolem. Między nimi stała butelka whisky.

–Gra – mruknął z niesmakiem. – Cóż za jałowe zajęcie polegające na zdawaniu się na przypadek. W taki sposób do niczego się nie dochodzi.

Ale po stronie grupki siedzących pod ścianą mężczyzn stała przynajmniej tradycja. Mimo wszystko to Chińczycy wynaleźli parasole, grę w karty i whisky.

Admirał Zhang sam był tradycjonalistą, jednym z tych zatwardziałych chińskich myślicieli, którzy wierzą święcie, że ich kraj położył podwaliny pod cywilizację. To przecież w Chinach narodziła się nauka, to tam w dziewiątym wieku powstała pierwsza drukowana książka Diamentowa Sutra, tam w jedenastym wieku pojawiła się pierwsza prasa drukarska, pierwszy sejsmograf, tam wytopiono pierwszą stal, zbudowano pierwszy most

wiszący, tam po raz pierwszy zastosowano na statku ster i, naturalnie, wprowadzono do obiegu pierwsze papierowe pieniądze. Admirał Zhang był przekonany, że Chiny przecierały szlaki współczesnej cywilizacji już wtedy, kiedy prymitywne plemiona Zachodu skakały jeszcze po drzewach, żywiły się korzonkami i drapały po owłosionym ciele.

Bolało go niewypowiedzianie, że jego ojczyzna postrzegana jest wciąż przez Zachód jako kraj Trzeciego Świata, któremu nie można ufać. Ale my wam jeszcze pokazemy, myślał, kiedy stworzymy własną flotę okrętów podwodnych klasy Kilo i przywołamy Tajwan do porządku.

Kiedy dotarł do swojego domu na Gulangyu, Jicai już tam na niego czekał, delektując się herbatą i pasztecikami w towarzystwie Lan i dzieci. Przeprosił Zhanga, że zjawił się ponad godzinę wcześniej, i wyjaśnił, że przyleciał z Kantonu helikopterem.

Obaj admirałowie przeszli od razu do prywatnego gabinetu Zhanga po zachodniej stronie domu, gdzie na biurku leżały już przygotowane mapy wysp indonezyjskich.

–Co myślisz o Cieśninie Sundajskiej? – spytał Zhang.

–Wątpię. Nie nadaje się do przejścia w zanurzeniu – odparł Jicai. – Po pierwsze panuje tam duży ruch, po drugie te podejścia od północy usiane są polami naftowymi. – Wskazał na mapie rejon oddalony pięćdziesiąt mil na wschód od wybrzeża Sumatry. – Spójrz tutaj... pola Cintra, Kitty, Nora i Rama; trochę dalej na północ Yvonne, Farida, Zelda i Tita. Mnóstwo tu platform wiertniczych, cumowisk dla tankowców, zbiorników na ropę, rurociągów... i tak całymi milami, a do tego wszędzie płytko. Tędy nikt nie odważyłby się przejść w zanurzeniu. Moim zdaniem Cieśnina Sundajska odpada.

–A ta następna... sześćset pięćdziesiąt mil na wschód, między Jawą a Bali? – Zhang cenił sobie bardzo opinię dowódcy Floty Morza Południowochińskiego, ponieważ admirał Zu dowodził kiedyś pięcioletnim atomowym okrętem podwodnym „Han 405” wyposażonym w najwyższej klasy francuski radar przechwytyjący oraz nowoczesne rosyjskie torpedy samonaprowadzające, i co za tym idzie, był doświadczonym podwodniakiem. Zu Jicai w połowie lat dziewięćdziesiątych, jeszcze jako komandor, zyskał sobie wielką sławę, wymykając się u wybrzeży Korei Północnej tropiącym go okrętom amerykańskiej grupy uderzeniowej lotniskowca.

Chińska propaganda wychwalała wówczas pod niebiosa jego mistrzostwo w dowodzeniu okrętem podwodnym oraz fakt, że przeżył spotkanie z drapieżnym amerykańskim orłem. Nie wspomniano słowem, że Amerykanie, gdyby tylko chcieli, mogli bez trudu zatopić Jicaia.

Tak czy inaczej, admirał Jicai rzeczywiście zaliczał się do najlepszych chińskich podwodniaków. Zgryźliwy Arnold Morgan nazwałby go pewnie najwyższym na świecie karzełkiem, ale w Chinach, kraju pozbawionym w zasadzie tradycji morskich, przynajmniej tych wojskowych, Zu Jicai uchodził za człowieka, który na okrętach podwodnych zna się jak nikt.

–Przesmyk Bali też mi się nie podoba – orzekł Jicai. – Za płytko na najwęższym odcinku, gdzie szerokość nie przekracza połowy mili. A na wylocie od południowej strony głębokość wynosi zaledwie dwadzieścia siedem metrów. Nie jest to jakiś specjalny problem, ale przechodzenie tamtędy w zanurzeniu jest zbyt niebezpieczne, zbyt ryzykowne, zwłaszcza kiedy ma się na pokładzie uran. Ja tej trasy nie brałbym nawet pod uwagę.

–Mam przez to rozumieć, że przepłynięcie pod wodą między wyspami indonezyjskimi nie jest możliwe? – Zafrasowany admirał Zhang spojrział pytająco na przyjaciela.

–Tego nie powiedziałem. Mogą przechodzić w zanurzeniu, przez cieśninę Lombok... o, tutaj. Osiem mil na wschód od

przesmyku, między wschodnim wybrzeżem wyspy Bali a wyspą Lombok. Szerokość dwadzieścia pięć mil, tor wodny rozwidła się na dwa dobre kanały. Jest głęboko, co najmniej sto osiemdziesiąt metrów na całej długości. Z mapy wynika, że nawet tutaj, na południowo-wschodnim wylocie, gdzie jest najpłycej, głębokość wynosi sto dwadzieścia metrów.

–To daleko na wschód – mruknął Zhang, pochylając się nad mapą. – Musieliby zrezygnować z krótszej drogi przez Morze Południowochińskie i obrać inną trasę.

–Owszem. Zgadza się. Zaraz po wyjściu z bazy na Tajwanie i zanurzeniu się musieliby skierować się na południowy wschód. Na wschód od Filipin zmieniliby kurs... i przecięli morze Celebes. Potem przez cieśninę Makassar, która jest nie tylko głęboka, ale ma również sto pięćdziesiąt mil szerokości... Widzisz te głębokości? Od tysiąca ośmiuset metrów do sześciuset na szelfie. Aż do cieśniny Lombok głębokość nie spada poniżej czterystu pięćdziesięciu.

Naturalnie nie mogę mieć pewności. Ale gdyby to mnie kazano przetransportować w zanurzeniu niebezpieczny ładunek z Tajwanu w ramach ściśle tajnej operacji, to właśnie tę trasę bym wybrał: opłynąłbym od wschodu Filipiny i wyszedł na ocean przez cieśninę Lombok.

–Jaką długość miałaby ta trasa, Jicai?

–Okolo tysiąca mil z Tajwanu do południowego cypla Filipin. Stamtąd jakieś tysiąc dwieście mil do cieśniny. Spójrz tutaj, u północnego wejścia do niej głębokość wynosi tysiąc dwieście metrów. Na całej trasie nie ma ani jednej płycizny, a więc nie trzeba się wynurzać. To dla nich wymarzona droga.

–Wiemy, kiedy następny Hai Lung wychodzi w morze z Suao?

–Wiemy. Za dwa dni. Dwudziestego trzeciego czerwca.

–To znaczy, że w cieśninie Lombok będzie za dwa tygodnie?

–Tak jest.

–Jak myślisz, Jicai? Dwa trawlerzy ACINT tutaj, u wejścia do cieśniny, wystarczą, by go wykryć? Kiedy uda nam się ustalić kierunek, w którym zmierza, będziemy o wiele mądrzejsi.

–Dwa by wystarczyły. Ale lepiej posłać trzy. Dowiemy się wreszcie, czy płynącemu na południe Hai Lungowi rzeczywiście pozostają stamtąd jeszcze trzy tygodnie drogi do miejsca przeznaczenia.

–Tak, Jicai. Wreszcie się tego dowiemy. Być może trzy tygodnie drogi stamtąd znajduje się jakaś fabryka broni jądrowej... którą musimy zlokalizować.

–ACINT-y mogą wyjść w morze w ciągu dwudziestu czterech godzin. Mamy trzy w bazie na południu wyspy Hainan. Zdążą spokojnie zająć pozycje i czekać na Hai Lunga.

–No to do roboty, Jicai. Lecę tam z tobą.

*

Ostatni tydzień czerwca był na Cape Cod przepiękny. Ciepłe wilgotne mgły, unoszące się nad morzem i przez większość miesiąca przesłaniające słońce, odpłynęły w końcu na północ, gdzie było ich miejsce. Wody cieśniny Nantucket połyskiwały w jasnym świetle letniego dnia.

Na różowym wieczornym niebie nie było ani jednej chmurki.

Słońce zachodziło za wieżę kościoła w Cotuit, a przynajmniej takie je widział w tej chwili komandor Boomer Dunning wracający z dwiema córkami z wycieczki żaglówką po zatoce.

Jego żona, a matka dziewczynek, pani Jo Dunning, stojąca przed frontem dużego rodzinnego domu, podziwiała inny widok. Zahipnotyzowana patrzyła na południowy wschód na piaszczystą plażę wyspy Deadneck pławiącą się w surrealistycznym blasku zachodzącego słońca.

Tego ciepłego letniego wieczoru zatoka Cotuit, gdziekolwiek spojrzeć, porażała wprost swym pięknem. Jo Dunning pomachała do załogi żaglówki. W chwilę później „Sneaker”, z uniesionym mieczem, prowadzony pewną ręką trzynastoletniej Kathy, zarył dziobem w piaszczysty brzeg. Boomer zeskoczył z łodzi i wyciągnął ją dalej na piasek. Potem, już w trójkę, wyciągnęli ją jeszcze dalej, i Kathy ze swą młodszą siostrą opuściły żagiel.

Dla Jo ten niedzielny wieczór i barbecue, które planowali, reprezentował jedną z nielicznych premii, jakie lał im przypadają jej w udziale. W piątkową noc Boomer zjawił się niespodziewanie w domu i oznajmił, że w bazie w New London ma się stawić dopiero w poniedziałek rano. Teściowie wyjechali na trzy tygodnie do Maine, byli więc sami w tym drewnianym domu nad zatoką. Właściwe wakacje mieli tu spędzić dopiero w sierpniu, kiedy Boomer dostanie dziesięciodniowy urlop, a więc Jo Dunning była teraz szczęśliwa jak nigdy.

Poprzedniego dnia, w długą, słoneczną sobotę, wygrały z Kathy regaty żaglówek. Boomer z Jane byli w tym czasie w Lo-well Park na meczu, w którym miejscowa drużyna baseballowa, słynni Cotuit Kettleers, rozgromiła 9:0 Hyannis Metsów.

Boomer kibicujący swojej drużynie nie wiedział, że w łoży dla gości siedzi niejaki pan Frederick J. Goodwin, publicysta gazety „Cape Cod Times”, i z ponurą miną obserwuje ten sam mecz. Nie znali się, a szkoda, bo łączyło ich to, że jako jedyni na stadionie odbyli podróż na Wyspę Kerguelena. Mało tego, byli chyba jedynymi na stadionie, którzy w ogóle słyszeli o Wyspie Kerguelena. I obaj czuli się też głęboko i osobiście związani z tym odległym strasznym miejscem.

Boomer, choć starał się tego nie okazywać, był w ten weekend nieswój. Nie mógł się zdobyć na odwagę i powiedzieć Jo, że z ich wspólnych wakacji wyszły nici. W poniedziałek rano wróci do bazy i następnym razem zobaczą się dopiero za kilka

tygodni. Może nawet miesięcy. Na domiar złego była to czarna operacja. Jo nie będzie wiedziała, gdzie jest jej mąż ani kiedy wróci. Boomerowi bynajmniej nie było śpieszno do poruszenia tego tematu.

Długo mozolił się z rozpalaniem pod grillem, podświadomie odwołując w czasie tę rozmowę. Potem zostawił grill, żeby rozgrzewał się do odpowiedniej temperatury, a sam wszedł do domu i przygotował drinki dla siebie i Jo: dwa koktajle z rumu i soku żurawinowego z lodem, w wysokich szklankach z matowego szkła. Następnie popsikał sobie opalone nogi, ręce i twarz specyfikiem do odstraszania komarów i wytarł dłonie o gęste blond włosy.

–Niech te małe niewidzialne sukinsyny trzymają się ode mnie z dala, kiedy będę zajęty – mruknął pod nosem i wyszedł przed dom. Cmoknął w policzek swoją piękną żonę, wręczył jej szklankę z drinkiem i powiedział, że gdziekolwiek rzuci go los, nie ma godziny, by nie pomyślał o niej i o tym, ile dla niego znaczy.

Jo знаła Boomera nie od dzisiaj. Wiedziała, że wygłaszanie tego rodzaju oświadczeń nie leży w jego naturze i jej radar natychmiast się włączył.

–Boomer – powiedziała z uśmiechem, popatrując na niego spod przymrużonych powiek. – Ty chyba chcesz mi coś powiedzieć... coś nieprzyjemnego, o ile się nie mylę.

Dowódca „Columbii”, zdając sobie sprawę, że przeszarżował, uznał, że 'lepiej wyłożyć kawę na ławę już teraz, niż tłamsić to w sobie przez całą kolację.

–Widzisz, Jo – powiedział powoli – muszę wyjechać... na parę tygodni.

Przyglądała mu się przez chwilę z posmutniałą nagle miną. Wiedziała, że to nie jego wina. Była żoną oficera marynarki wojennej. Powinna już do tego przywyknąć. Ale jakoś nie mogła.

–Kiedy?

–Jutro rano.

–Na długo?

–Nie potrafię ci powiedzieć. Trochę to potrwa.

–Mogę wiedzieć dokąd?

–Nie.

–Czarna operacja? \

–Mhm.

–O Boże.

308

Czekał ją znowu nie kończący się koszmar wszystkich żon oficerów. Te ciągnące się w nieskończoność tygodnie. Znikąd jakichkolwiek informacji. Jego osamotnienie, gdzieś tam, na mostku wielkiego okrętu podwodnego, stanie się w końcu jej samotnością. Będą oboje sami w obliczu niebezpieczeństwa, o którym lepiej nie myśleć.

Starła się powstrzymać łzy. Kolejne zrujnowane lato, a właściwie rok. Odwróciła się twarzą do grilla.

–Kocham cię, Boomer – powiedziała cicho.

Otoczył ją silnym ramieniem. Wtuliła się w jego potężny tors i rozplakała w blasku płonącego ognia, na oczach córek.

W oddali, nad hangarami dla łodzi przy moście w Osterville, wschodził księżyc w pełni. Niebawem w tę pogodną noc nad Atlantykiem wszędzie również najjaśniejsza na niebie konstelacja... ta przypisana samemu Orionowi. Też myśliwemu.

O 8.45 rano w poniedziałek komandor Dunning był już w bazie w New London. Droga z Cape między stanową 195 zajęła mu dwie godziny. Udał się natychmiast na nabrzeże, przy którym cumowała „Columbia”. Załoga kończyła przygotowania do długiego patrolu.

Ładowano sprawnie torpedy, pociski, podstawowe mechaniczne części zamienne, sprzęt spawalniczy, butle z acetylenem, komputery, drobnicę techniczną, taką jak uszczelki, armaturę, gumowe i plastikowe rurki, zawory, tuby ze smarem, farbami i lakierem, dwutlenek węgla do automatu z colą.

Zapasy żywności – steki, pieczoną wołowinę, szynkę, bekon, jaja, ziemniaki, owoce, sałatki, warzywa, ryby, kawę, herbatę i wodę mineralną – weźmie się na pokład przed samym wyjściem w morze. Chleb podczas patrolu kucharze wypiekali sami.

Reaktor atomowy osiągnie stan krytyczny za dwa dni i będzie gotowy do ostatnich prób w morzu. Okręt miał wyjść na patrol 7 sierpnia o 14.00.

Boomer zbiegł od razu pod pokład i przywitał się ze swoim zastępcą, komandorem porucznikiem Mikiem Krausem. Mike przeprosił, że nie powitał go przy trapie, ale Boomer machnął tylko ręką i zwołał na odprawę starszych oficerów – zastępcę, oficera systemów bojowych, komandora porucznika Jerry'ego

309

Currana, pierwszego mechanika, komandora porucznika Lee O'Briena oraz nawigatora, porucznika Davida Wingate'a. Powiedział im, ile mógł, a potem oznajmił, że wylatuje natychmiast helikopterem do dowództwa sił podwodnych Floty Atlantyku SUBLANT w Norfolk i wróci za dwa dni. Do tego czasu pozostawia „Columbię” pod ich fachową opieką.

Nikt nie miał czasu przyglądać się, jak śmigłowiec podrywa się z lądowiska i unosi ich dowódcę na południe, do wirginijskiej Komórki Czarnych Operacji, gdzie najtęższe umysły Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych obmyślały sposób wyeliminowania dwóch ostatnich, przeznaczonych dla Chin okrętów podwodnych klasy Kilo, którym nadano kryptonimy K-9 i K-10.

Cały trzystudziwiećdziesięciomilowy przelot po bezchmurnym niebie do Wirginii Boomer Dunning spędził zatopiony w myślach. Pilot wyprowadził maszynę nad Montauk Point nad ocean i obrał kurs południe-południowy zachód, by mijając od wschodu Long Island, Nowy Jork, Filadelfię, rozległe ujście rzeki Delaware, dolecieć do zatoki Chesapeake.

Z każdą przebytą milą Boomer czuł, że oddala się coraz bardziej od wszystkiego, co kocha. Starał się nie myśleć o Jo, dziewczynkach i spokojnych wodach Cape Cod. Usiłował koncentrować się na zadaniu, które go czekało; na mrocznych głębiach i dwóch rosyjskich

okrętach podwodnych. Oba będą się znajdowały w pełnej gotowości operacyjnej, oba będą wyposażone w najnowocześniejsze środki prowadzenia walki. W to nie wątpił. Będą również miały silną eskortę. Zdawał sobie sprawę, że przyjdzie mu w pojedynkę zaatakować mały rosyjski konwój i że jeśli dojdzie co do czego, każdy okręt wchodzący w skład tego konwoju bez skrupułów zatopi „Columbię” z całą załogą.

Wiedział, że jego ludzie tworzą zespół bardziej zgrany i doświadczony, a co za tym idzie, groźniejszy. Nikt tego nie kwestionował. Panowała opinia, że żaden niszczyciel, fregata, nawet krążownik nie miały szans w konfrontacji z dobrze dowodzonym amerykańskim uderzeniowym okrętem podwodnym o napędzie atomowym. Cóż, przyszła pora, żeby tego dowieść. Ale jego myśli mimo wszystko wracały uparcie do dużego białego domu nad zatoką Cotuit. I ogarniał go niepokój znany wszystkim podwodniakom: A jeśli nie wrócę? Co się stanie z Jo, kiedy mnie zabraknie? Czy wystarczająco ją kochałem? Czy dostatecznie często jej o tym mówiłem? Przymknął oczy i wyobraził sobie po raz nie

wiadomo który długonogą, rudowłosą dziewczynę z New Hampshire, która, wiedział o tym, tak go uwielbiała. Przygnębiało go jej osamotnienie. Ileż by dał, żeby móc jej teraz zaśpiewać ich ulubiony kawałek Williego Nelsona, nastrojowe *You Were Always On My Mind*.

Zdawał sobie sprawę, że musi się otrząsnąć z melancholijnego nastroju i przygotować psychicznie na naradę w SUBLANT, w której mieli uczestniczyć admirałowie Morgan, Dixon i prawdopodobnie Mulligan, sam szef operacji morskich. Po naradzie, na północny Atlantyk, a potem Bóg jeden wie gdzie jeszcze. Nie po raz pierwszy naszyły go wątpliwości, czy naprawdę nadaje się do wypełnienia misji, którą chciano mu powierzyć.

W dole widać już było południowy cypel Cape Charles. Maszyna opadła niżej i leciała teraz na wysokości trzystu metrów. Przed nimi rozciągał się port w Norfolk. Helikopter ustawił się nosem pod wiatr, zawisł na moment sześć metrów nad lądowiskiem, a potem miękko dotknął kołami ziemi. Boomer odpiął pasy, poklepał pilota po plecach i wyskoczył przez otwierające się drzwi maszyny. Przebiegł pod obracającym się wciąż wirnikiem i wszedł do czekającego samochodu, który miał go zawieźć do kwatery głównej dowództwa sił podwodnych Floty Atlantyku SUBLANT.

W Komórce Czarnych Operacji czekali już admirałowie Dixon i Arnold Morgan. Kiedy tam wszedł, obaj wstali i powitali go ciepło. Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego rozlał mocną czarną kawę do trzech filiżanek i bez pytania wpuścił do każdej „kozy bobka”.

– Czarna operacja, to i kawa czarna... – Zachichotał, przypominając sobie jakby o manierach czy raczej ich braku. – Dobrze mówię? – Nawet nie spojrzał na talerzyk z ciasteczkami postawiony obok dzbanka z kawą przypuszczalnie z myślą o szefie operacji morskich. Arnold Morgan wychodził z założenia, że prawdziwi mężczyźni nie jadają ciasteczek.

Ale ten despota wywiadu marynarki wojennej miał jednak w sobie coś tak ujmującego, że nie sposób było brać sobie do serca jego obcesowości, nawet jeśli, tak jak Boomer, pijało się kawę pół na pół ze śmietanką i objadało przy tym ciastkami.

– Szef operacji morskich wkrótce tu będzie – powiedział admirał Dixon – ale zanim się zjawi, zapoznamy może pana z aktualnymi informacjami na temat K-9 i K-10.

–Byłbym wdzięczny, panie admirale.

–Otóż, jak panu zapewne wiadomo, Rosjanie spuścili je na wodę w kwietniu. Zajęło im to trochę czasu – mieli chyba jakieś kłopoty z tymi windami hydraulicznymi, których używają w Sie-wierodwinsku. Wielki Ptak krążył tam, przesyłając nam jedno zdjęcie dziennie, i prawie przez cały tydzień nic się nie działo. Wyglądało to tak, jakby cała procedura na czymś utknęła. Ale w końcu je zwodowali i zaraz potem na zacumowanych do nabrzeża Kilo zaroilo się od ludzi. Z innego źródła dostaliśmy informację, że było wśród nich wielu Chińczyków.

Na początku maja okręty wyszły w morze... Przyznaję, że trochę wtedy spanikowaliśmy, bo wyglądało to tak, jakby ruszały już w drogę do Szanghaju. Ale one opuściły tylko Morze Białe i skierowały się do Polarnego, tak jak wcześniej K-4 i K-5, pana starzy przyjaciele.

–Raczej wrogowie, panie admirale – skorygował Boomer.

–Też prawda – przytaknął admirał Dixon. – Tak czy inaczej, od tamtego czasu bacznie je obserwujemy. Z doświadczenia wiemy, że próby eksploatacyjne w Polarnym trwają zawsze około trzech tygodni, potem następuje trzymiesięczny okres ćwiczeń na Morzu Barentsa, mających na celu uczynienie z nich w pełni sprawnych operacyjnie jednostek pierwszej linii.

Nie uszło zapewne pańskiej uwagi, komandorze, że z K-4 i K-5 nie mieliśmy podobnych problemów. Ich zachowanie, że tak powiem, było łatwe do przewidzenia. Od tamtego czasu reguły gry, z chińskiej i rosyjskiej strony, uległy zmianie. I to drastycznej.

–Tak, panie admirale.

–Teraz, i naszego punktu widzenia, zegar ruszył w pierwszym tygodniu maja, w dniu, w którym rozpoczęli próby w Murmańsku. Obserwowaliśmy ich od tamtego czasu. Wychodzili w morze w każdy poniedziałek rano i wracali w każdy piątek wieczorem. Wszystko wskazuje na to, że jak dotąd próby eksploatacyjne przebiegają bez większych zakłóceń, co oznacza, że nie potopią się raczej bez naszego udziału.

Obserwowaliśmy ich ćwiczenia torpedowe. Tak jak się spodziewałem, wystrzelili wystarczająco dużo torped, by załogi doszły do wprawy. Pod koniec większość trafiała w cel.

Admirał Dixon zawiesił na chwilę głos, a potem, ciszej już, podjął:

–Boomer, oni wiedzą, że się na nich szykujemy. Admirał

Ranków musiał wyciągnąć wnioski z wcześniejszych błędów. Najwyraźniej postawił w stan pełnej gotowości całą rosyjską marynarkę... strzegą tych Kilo jak oka w głowie.

Tu ożywił się Arnold Morgan, który do tej pory siedział pogrążony w zadumie.

–Nie zapominajmy, że utrata K-9 i K-10 byłaby dla Moskwy równoznaczna z katastrofą finansową. Chińczycy zażądaliby zwrotu całej wypłaconej już sumy. A w razie odmowy wycofaliby się z zamówienia na lotniskowiec. To dla Kremla problem wart pięć miliardów dolarów. Wspominam o tym tylko dlatego, żeby podkreślić znaczenie całej operacji.

–Dziękuję za zwrócenie na to uwagi, panie admirale -mruknął posępnie Boomer.

–Nie ma za co, komandorze – odparł z uśmiechem doradca do spraw bezpieczeństwa. – Mam może popłynąć z panem -dopilnować, żeby wszystko poszło jak należy?

Boomer wzdrygnął się na samą myśl o takim towarzystwie, ale nic nie powiedział. Wszyscy trzej parsknęli śmiechem i głos zabrał znowu admirał Dixon.

–Boomer, najchętniej posłałbym z tobą drugi okręt podwodny, ale instynkt mi podpowiada, żeby tego nie robić, chyba że w charakterze wsparcia. Wchodzilibyście sobie w drogę w sytuacjach, gdzie wygrywa szybszy, i mogłoby się skończyć na tym, że swój zatopiłby swojego.

W pokoju zaległa cisza. Doświadczeni dowódcy marynarki wojennej kontemplowali niezaprzeczalny fakt, że w tym wypadku Boomer sam musi dźwigać swoje brzemie. Choć w pewnym sensie, dzięki łączności satelitarnej, będą z nim przez cały czas admirałowie Dixon i Morgan.

–Na kiedy, panowie, przewidujecie ich wyjście z Polarnego? – spytał Boomer.

–Sądzimy, że nastąpi to w trzecim tygodniu sierpnia.

–A więc jeśli o mnie chodzi, to bez zmian? Ruszam siódmego sierpnia?

–Tak. Jak poprzednio, popłyniesz prosto do Wysp Owczych, zajmiesz tam pozycję i będziesz czekał, aż damy ci znać, że Kilo ruszyły w drogę.

–A jeśli nie ruszą?

–Pokręcisz się tam sześć tygodni, a na początku października wyślemy drugi okręt podwodny, żeby cię zluzował. Jeśli to

jednak zrobimy, to dopiero w ostatniej chwili, bo im mniej wtajemniczonych, tym lepiej. Z oczywistych powodów. Teraz ludzi, którzy wiedzą o operacji, można policzyć na palcach dwóch rąk, a to chyba niewiele, nieprawdaż?

–Owszem – przyznał Boomer. – Zakładam, że procedury w Przewężeniu GIUK pozostają takie jak poprzednio?

–Absolutnie. Oczywiście, jeśli nie będzie eskorty. Będziesz informowany na bieżąco o każdym kroku Kilo i przypuszczam, że ponownie namierzysz oba podczas chrapania.

–A jeśli będzie eskorta?

–Wtedy decyzję będziesz musiał podjąć sam – powiedział admirał Morgan. – Tylko, na miłość boską, nie ryzykuj ataku na okręt nawodny... nawet w samoobronie. I jeśli nie uda ci się podejść blisko, pływaj za nimi, dopóki eskorta nie zacznie się wykruszać albo coś w tym rodzaju. Kiedyś, gdzieś – może na południowym Atlantyku, może dopiero na Oceanie Indyjskim -musi nadarzyć się jakaś okazja, i wtedy zaatakujesz, na głębokiej wodzie. Pamiętaj o regułach tej gry: uderzać z zaskoczenia i mocno. Bezbłędnie. Jak zawsze. Całkowicie ci ufamy. Decyzję gdzie, kiedy i jak to zrobisz, pozostawiamy tobie.

–Dziękuję, panie admirale. Jestem zaszczycony.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł admirał Joe Mulligan w eskorcie dwóch wartowników z marynarki. Szef operacji morskich, siadając, sięgnął po ciasteczko, a Boomer, jako oficer najmłodszy tutaj stopniem, wstał, by nalać mu kawy.

–Nie, nie, Boomer. Sam się obsłużę... ty jesteś dzisiaj naszym gościem honorowym. – Admirał Mulligan uśmiechnął się i do dowódcy okrętu podwodnego z Cape Cod dopiero teraz dotarło, jak niebezpieczna będzie to misja.

Admirał zdawał się bez reszty pochłonięty przeżuwaniami ciasteczka.

–Mam nadzieję, że zostałeś już wprowadzony w temat -zwrócił się do Boomera, przełknąwszy. – Plan jest w zasadzie taki sam jak poprzednio. Śledzimy ich ruchy w Przewężeniu GIUK, a ty uderzasz przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Admirał Mulligan zamilkł na chwilę, a potem podjął:

–Panowie, jak zapewne zdajecie sobie sprawę, operacja ta może mieć przebieg zupełnie inny niż w przypadku K-4 i K-5. Bo występuje tu jedna wielka różnica. Kilo nie tylko będą się miały na haczości, ale spróbują też namierzyć Boomera, tak jak on

będzie się starał namierzyć je. I jeśli wykryją go pierwsze – silnie uzbrojony amerykański okręt podwodny o napędzie atomowym w niepokojąco bliskim sąsiedztwie – bez wahania otworzą ogień, choćby z tej prostej przyczyny, że w pojedynku tym przegrywają już pięć do zera.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem admirał Mulligan dodał:

–Od dawna amerykański szef operacji morskich nie wysyłał okrętu wojennego w tak ryzykowną i niebezpieczną misję... i czynię to z wielkimi oporami, przez wzgląd na jej ogromne znaczenie dla naszego kraju i w ogóle dla swobody światowej żeglugi. Nie mogę jednak wymagać od żadnego dowódcy, by podjął się tak trudnego zadania.

Boomer, wiem, ile dla ciebie znaczy Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych i przypuszczam, że gdybyś był zdania, że tego nie da się zrobić, powiedziałbyś nam to w oczy i bylibyśmy zmuszeni do zweryfikowania naszych planów. Ale ty, jak dotąd, niczego takiego nie powiedziałeś, zakładam więc, że wierzysz w powodzenie tej misji. '

–Tak, panie admirale. Wierzę. Chciałbym też dodać, że od dziecka marzyłem o służbie w marynarce i zapewniam pana, że nie dam się teraz zabić jakiemuś zapyziałemu Chińczykowi.

Trzej admirałowie się roześmieli. Joe Mulligan, były kapitan okrętu podwodnego klasy Trident, wstał, podszedł do dowódcy USS „Columbia” i uścisnął mu rękę.

–Wiem, że łatwo tak mówić – odezwał się Arnold Morgan -ale nie wolno ci dopuścić, żeby te podstępne palanty strzeliły do ciebie pierwsze. Bo wtedy znaleźlibyśmy się w tej samej sytuacji, którą oni już przerabiali. Stracilibyśmy cenny okręt wojenny razem z załogą i dowódcą... i nie moglibyśmy się do tego przed nikim przyznać.

–Całkowicie to rozumiem, panie admirale – zapewnił go Boomer. – Ale bez obawy. Będziemy szybsi, a to z prostego powodu: będziemy wiedzieli, gdzie są i dokąd płyną. I zasadzimy się na nich. Mogą się mieć przed nami na baczności, ale co im z tego, skoro nie będą wiedzieli, gdzie i kiedy się nas spodziewać. I dopóki ja dowodzę „Columbią”, dowiedzą się tego dopiero w ostatniej chwili... a wtedy będzie już za późno.

–I to się właśnie nazywa właściwe podejście, Boomer -powiedział admirał Mulligan. – Masz lepszy okręt, lepszą załogę,

lepszą broń, lepszy wywiad i większą prędkość. Masz również nasze pełne zaufanie. Gdyby czegoś ci jeszcze było trzeba, wystarczy krzyknąć.

–Dobrze, panie admirale.

–Tylko, na miłość boską, nie atakuj rosyjskiego okrętu wojennego, zwłaszcza nawodnego, bo rozpętałbyś trzecią wojnę światową. A nie o to nam przecież chodzi. My chcemy jedynie wyeliminować w największej tajemnicy te dwa Kilo. Czy to coś zdrożnego? – Admirał się uśmiechnął.

–Z pewnością nie, panie admirale – odparł Boomer.

Na tym spotkanie się zakończyło. Szef operacji morskich i admirał Morgan wyszli z budynku i skierowali się do helikopterów, którymi mieli odlecieć z powrotem do Waszyngtonu. Boomer i admirał Dixon zostali na resztę popołudnia w sali konferencyjnej, by dokładnie przeanalizować wszystkie punkty planu, który miał uwolnić Stany Zjednoczone od groźnych rosyjskich Kilo. Wieczorem zjedli razem kolację, a nazajutrz cały zespół do spraw czarnej operacji przeanalizował jeszcze raz system łączności. Po lunchu Boomer odleciał do New London.

Dotarł tam późnym popołudniem i natychmiast zadzwonił ze swojego gabinetu do Jo, która nadal przebywała na Cape Cod. Powiedział jej, że wszystko jest w najlepszym porządku, że to rutynowa misja i żeby się nie martwiła. Wraca za cztery, pięć tygodni i w grudniu bierze urlop, a więc Święta Bożego Narodzenia spędzą razem w domu w Cotuit.

Jednak Jo wyczuła w jego głosie napięcie i wybuchnęła:

–Boomer, musisz mi powiedzieć, co to za misja! Czy to coś niebezpiecznego?

–Ależ skąd – odparł. – Jutro wychodzimy w morze w próbny rejs, a potem to już z górki. Tylko nie wolno nam o tym rozpowiadać, i tyle.

–Błagam, obiecaj mi, że będziesz na siebie uważał – poprosiła.

–O to niech cię głowa nie boli – zapewnił ją. – Będę się ze sobą obchodził jak z jajkiem i postaram się wrócić na czas.

Powiedział jeszcze, że ją kocha i że zawsze tak było. Ale Jo nie dała się zwieść. Może sama nie była specjalnie dobra w tej profesji, ale aktora potrafiła rozpoznać po głosie. Zwłaszcza marnego. A poza tym nigdy dotąd nie słyszała w tonie męża takiego napięcia. Kiedy odkładała słuchawkę, ręka jej drżała; idąc

do kuchni, powtarzała raz po raz: „Boże... o, Boże... spraw, żeby wrócił”.

Sto dwadzieścia mil na południowy zachód od tamtego miejsca komandor porucznik Mike Krause robił, co mógł, żeby jej modlitwa została wysłuchana. „Columbia” była gotowa. Przeprowadzono już dwukrotną kontrolę jej systemów bojowych. Pod pokładem znajdował się pełny zestaw czternastu kierowanych przewodowo torped Gould Mk 48 ADCAP. Rosjanie twierdzili, że Kilo jest w stanie przetrwać trafienie torpedą, ale na pewno nie taką. Istniała nadzieja, że „Columbia” wróci do bazy z dwunastoma nie wykorzystanymi. Do tego osiem śmiertelnych pocisków Tomahawk o zasięgu tysiąca czterystu mil i cztery pociski Harpoon z głowicami bojowymi wyposażonymi w aktywny radar naprowadzający na cel. Z mającą około stu dziesięciu metrów długości „Columbia” lepiej było nie zadzierać.

Jej środki obrony również mogły wzbudzać respekt. Wyposażona była w cały arsenał wabików, mających za zadanie odciągnąć od okrętu wszelkie zbliżające się doń środki rażenia. Na pozycji „Columbia” miała wykorzystywać niskoczęstotliwościową holowaną sieć czujników zdolnych wykryć bicie serca nadpływającego wroga. Jednostka komandora Dunninga należała do pierwszej grupy okrętów podwodnych klasy Los Angeles, które wyposażono w nowy system akustycznego wykrywania i przeciwdziałania WLY-1. Zainstalowano w niej też najnowocześniejszy system łączności EHF. Specjalny akustyczny ekran redukujący szumy generowane przez sonar aktywny podczas namierzania celu czynił ją najcichszym na świecie okrętem podwodnym.

Jeśli zachodziła taka konieczność, bez trudu potrafiła rozwinąć w zanurzeniu szybkość przekraczającą trzydzieści węzłów. Mogła operować na głębokościach sięgających czterystu pięćdziesięciu metrów. Była od Kilo dwukrotnie szybsza, większa i groźniejsza. Rosyjski okręt Kilo przewyższał ją tylko pod jednym względem: płynąc na silnikach elektrycznych z szybkością poniżej pięciu węzłów, był cichszy. „Columbia”, napędzana reaktorem GE PWR S6G, też była jednostką stosunkowo cichą, lecz nie bezgłośną. Miała jednak nad Rosjanami inną poważną przewagę: wspaniale wyszkoloną załogę i najlepszy na świecie sprzęt.

A przede wszystkim miała Boomera Dunninga, najlepszego z najlepszych, ostrożnego śmiałka, jeśli taka kombinacja jest w ogóle możliwa. Na okręcie nie było urządzenia, którego

Boomer nie potrafiłby obsługiwać czy nawet naprawić. Był ekspertem w dziedzinie hydrologii, mechaniki, elektroniki, uzbrojenia, sonaru, radaru, łączności i fizyki jądrowej. Żartowano, że gdyby „Columbii” odpadł kiosk, to jej dowódca potrafiłby go samodzielnie z powrotem przyspawać. Na załogę działała mobilizująco sama obecność w centrali „Columbii” tego rosłego oceanicznego sternika jachtowego.

–Cześć, Mike – zawołał, wchodząc na pokład. – Łajba gotowa?

–Witam, sir. – Komandor porucznik Krause ucieszył się z powrotu dowódcy. – No i jak poszło w SUBLANT?

–Nieźle – odparł Boomer. – Wróciłem trochę wcześniej, bo nie chcę przepuścić jutrzejszych prób. Czeka nas bardzo poważne zadanie. Chyba zjemy dzisiaj razem kolację z Jerrym Curranem i Dave'em Wingate'em.

–Na pokładzie?

–Tak. To najczarniejsza z czarnych operacji.

Komandor porucznik roześmiał się, ale widział, że szef jest

naprawdę przejęty misją, którą im powierzono. Jeszcze tego samego wieczoru miał się przekonać, jak bardzo przejęty.

Boomer przedstawił swoim starszym oficerom sytuację. Wyjaśnił, na czym polega zasadnicza różnica między operacjami tą i poprzednią, przeciwko K-4 i K-5. Tym razem nie chodziło o zniszczenie dwóch uzbrojonych, ale niczego nie podejrzewających okrętów podwodnych. Tym razem szli na dobrze wyszkolone, bardzo niebezpieczne smoki, które nie tylko spodziewają się ataku, ale same będą ich szukać dniem i nocą. I które nie zawahają się otworzyć do nich ognia przy pierwszej nadarzącej się okazji.

–Przegrywając pięć do zera, nie ma się już niczego do stracenia – mruknął Jerry Curran.

–I jeśli chcemy przeżyć, to każdy z członków załogi musi dać z siebie wszystko – zakończył Boomer. – Mamy wspaniały okręt, lepszego próżno szukać. Służba na nim to zaszczyt. Pora udowodnić, że jesteśmy godni tego zaszczytu.

* w

Szósty sierpnia. Późne popołudnie. W gabinecie admirała Zhanga Yushu w Xiamen zabrzączał telefon bezpiecznej linii.

Admirał podniósł słuchawkę. Z kwatery głównej Floty Morza Południowochińskiego w Zhanjiang dzwonił admirał Zu Jicai.

–Mamy ich – powiedział spokojnie. – Kuter ACINT namierzył ich o 14.25 u wejścia do cieśniny Lombok. Współrzędne 8,30 południowej i 115,50 wschodniej. To na pewno jednostka numer 794, która 23 lipca wyszła z Suao. Płynie w zanurzeniu na południowy zachód z szybkością siedmiu węzłów. Trzyma się dokładnie rozkładu. Jest już w morzu dwa tygodnie, zostały jej jeszcze trzy. Stąd wniosek, że miejscem przeznaczenia jest albo wyspa Heard, albo Wyspy McDonalda, albo Wyspy Kerguelena. Nic innego nie pasuje.

–Dziękuję, Jicai. Daj mi chwilę, dobrze? Muszę zerknąć na mapę. Oddzwonię około 18.30.

Głównodowodzący chińskiej marynarki podszedł do szuflady z mapami i wyciągnął wielką błękitno-biało-żółtą mapę oceanu sporządzoną przez Australijską Królewską Marynarkę Wojenną. W jej dolnym prawym narożu naniesiono zachodnie wybrzeże samej Australii, sześćset mil na północny zachód od Wielkiej Pustyni Piaszczystej widniała cieśnina Lombok. Admirał Zhang, przyłożywszy do niej palec, zaczął nim sunąć po konturach wód w kierunku południowo-zachodnim, mrużąc pod nosem:

–Tędy, nad Rowem Sundajskim, głębokość trzy tysiące metrów... potem nad Basenem Whartona, gdzie głębokość sięga pięciu i pół tysiąca metrów... dalej na południowy zachód... nad Grzbietem Wschodniindyjskim, gdzie i tak mają pod kilem prawie trzy tysiące metrów... a potem już prosta droga, cały czas na południowy zachód, aż do wysp... Hai Lung pokonuje dziennie dwieteie mil, odległość – sprawdźmy – cztery tysiące mil... czyli za dwadzieścia jeden dni byłby przy Wyspach McDonalda. Ma rację pocziwy Jicai, trzymają się rozkładu.

Admirał wrócił za swoje biurko, na którym leżał nowy tom Antarctic Pilot, publikacji Royal Navy z mapami całego wybrzeża Antarktydy i wszystkich wysp na południe od uczęszczanych szlaków morskich.

Otworzył atlas na mapie największej z Wysp McDonalda leżącej na 53,03S i 72,35E. Była to sprawiająca niesamowite wrażenie długa na trzy czwarte mili i na ćwierć mili szeroka skała, wystająca na trzydzieści metrów ponad powierzchnię morza. Przypominała wielką rzuconą ukosem granitową płytę. Wysoka, naga, zmrożona, widoczna ze wszystkich stron jak na dłoni.

–Jeśli Tajwańczycy siedzą pod tym kamieniem i majstrują tam bombę wodorową, to ja się nazywam Czang Kaj-szek -mruknął admirał Zhang.

Odwrócił stronicę i spojrział na długą na dziesięć i szeroką na pięć mil wulkaniczną skałę wyspy Heard z ogromną, okrągłą górą „Wielki Ben” pośrodku. Współrzędne 53,06S i 73,31E. Ona też nie wyglądała mu na odpowiednie miejsce pod budowę tajnych zakładów produkujących broń atomową. Przede wszystkim przez cały rok pokryta była lodową skorupą, a co gorsza z meldunków wynikało, że wysoki na dwa tysiące siedemset metrów stożek Szczytu Mawsona często bucha dymem.

–Gdybym to ja pracował nad bombą atomową – mruknął admirał – to nie robiłbym tego u stóp wulkanu, który w każdej chwili może ożyć.

Przebiegł wzrokiem meldunki zebrane przez hydrografów Royal Navy i natrafił na opinię, że lądowanie gdziekolwiek na tej stromej, niedostępnej wyspie jest możliwe właściwie tylko przy bezwietrznej pogodzie:

–Odpada – mruknął pod nosem. – Czyli zostają nam tylko Wyspy Kerguelena... i jeśli się dobrze zastanowić, to muszą być Wyspy Kerguelena. Największa z nich jest stosunkowo duża, ma mnóstwo zatoczek, fiordów, miejsc nadających się na lądowiska, na przystanie, strome ściany zatok osłaniają przed wiatrami, a kryjówek tam bez liku. Pilot wspomina nawet, że podczas drugiej wojny światowej zawijały tam niemieckie okręty wojenne.

Admirał Zhang rozważał przez chwilę wszystkie za i przeciw, a potem zdecydował:

–Można i sto lat przetrząsać tę postrzępioną linię brzegową Wyspy Kerguelena i nie znaleźć tego, czego się szuka. Chyba że... chyba że fabryka, którą chcemy zlokalizować, zasilana jest z reaktora atomowego okrętu podwodnego. Nasze okręty podwodne potrafiłyby go wytropić, ale z pewnością lepiej by sobie z tym poradził nowy Kilo wyposażony w najnowocześniejszy rosyjski

sonar... co do tego nie ma wątpliwości.

*

Siódmego sierpnia o 8.00 rano zainicjowano proces doprowadzania reaktora jądrowego „Columbii” do stanu krytycznego. Kiedy z Atlantyku wynurzyło się słońce i w porcie pogasły lampy,

(

mechanicy w maszynowni zaczęli wysuwać powoli pręt z rdzenia. Komandor porucznik Lee O'Brien obserwował wskaźnik mocy reaktora. Kiedy ta wzrośnie do poziomu samopodtrzymania, siłownia atomowa „Columbii” osiągnie nominalne parametry i wprawi w ruch dwie potężne trzydziestopięciotysięcznokonne turbiny.

Lee O'Brien pracował w najniebezpieczniejszej części okrętu. Ale i on, i jego zastępca, sierżant Rick Ames, wiedzieli, że na zewnątrz szczelnie ekranowanego pomieszczenia reaktora promieniowanie jest mniejsze niż na plaży w Cotuit.

Zaraz po 8.00 doszło do pierwszego potknięcia – awaria elektroniki w układach automatycznego wyłączania reaktora. Nie było to nic poważnego, ale naprawa wymagała wyłączenia reaktora. Wymienili uszkodzoną płytkę, przetestowali ją i ponownie zainicjowali proces rozruchu. Od samego początku. Wiadomo już było, że nie zdążą do 14.00, kiedy to „Columbia” miała wyjść w morze.

Lee O'Brien sprawiał wrażenie spokojnego, ale ci, którzy go znali, wiedzieli, że ten wielki Irlandczyk z Bostonu z trudem nad sobą panuje. Głęboko przeżywał wszelkie awarie sprzętu w otoczeniu reaktora, nawet takie drobne uszkodzenie w układach zabezpieczających, które szybko i sprawnie usunięto. Dobijało go, kiedy musiał meldować dowódcy, że jego dział dał plamę, że sprzęt będący pod jego opieką zawiódł. Bo w jego odczuciu znaczyło to, że zawiódł on. Właśnie ta niemal fanatyczna dbałość o szczegóły i wielkie poczucie odpowiedzialności czyniły go jednym z najbardziej godnych zaufania ludzi na okręcie.

Tak czy inaczej, o wyjściu w morze wczesnym popołudniem nie było już mowy. Lee O'Brien zameldował dowódcy, że będą mieli cztery godziny opóźnienia i wyjdą z New London dopiero o 18.30. Boomer przyjął to ze zrozumieniem i poszedł do mesy oficerskiej na kawę.

Na skutek opóźnienia załoga, z wyjątkiem mechaników na rufie, została bez zajęcia. Kilku marynarzy zasiadło do pisania listów do domu, ale ponieważ miała to być czarna operacja, marynarka wysłała je dopiero po zakończeniu, odwołaniu lub fiasku misji.

Po lunchu Boomer zamknął się na pół godziny w swojej kabinie. Była mała i po spartańsku urządzona – koja, parę szuflad, mała szafa, biurko, fotel, chowana w gródź umywalka. Ale było

to jedyne prywatne miejsce na całym okręcie, miniaturowy gabinet z łóżkiem. Dowódca, o czym dobrze wiedziała jego żona, nie był człowiekiem przesadnie sentymentalnym i nigdy dotąd nie pisał w ostatniej chwili do Jo. Zawsze uważał to za wywoływanie wilka z lasu i nie rozumiał marynarzy, którzy na kilka godzin przed wyjściem w morze sporządzali testamenty, ale wiedział, że wielu to robi i że zapewne teraz nie jest inaczej.

Machinalnie wyjął z nesesera arkusz papieru i kopertę, usiadł i zaczął pisać.

Najdroższa Jo!

Jeśli czytasz te słowa, to wiadomo już, że nasza wielka miłość skończyła się w jedyny możliwy do pomyślenia sposób. Oboje zawsze rozumieliśmy realia mojego zawodu i jak wiesz, zawsze byłem przygotowany na śmierć w służbie naszemu krajowi. Idę na spotkanie ze Stwórcą z czystym sumieniem i podniesionym czołem.

Nie jestem biegły w przelewaniu na papier tego, co czuję. Chcę Ci tylko powiedzieć, że rozmawiałem dzisiaj z prawnikami taty i że Ty oraz dziewczynki jesteście zabezpieczone na przyszłość. Nie musicie się o.nic martwić. Dom w Cotuit jest Wasz, depozyt bankowy do Waszej dyspozycji.

Powtarzam jeszcze raz, że bardzo Cię kocham. Wspominaj mnie często, najdroższa Jo. Byłaś dla mnie wszystkim.

Boomer

Wsunął list do koperty, zakleił ją starannie i wykaligrafował drukowanymi literami: „DORĘCZYĆ PANI JO DUNNING TYLKO W RAZIE MOJEJ ŚMIERCI”. Pod spodem dopisał: „Komandor Cale Dunning, USS «COLUMBIA»”.

Następnie zszedł z okrętu, by zdeponować list w kancelarii bazy. Młody marynarz z działu personalnego kiwnął bez słowa głową i włożył kopertę do teczki z jego aktami. Boomer odwrócił się i wyszedł z biura, by objąć dowództwo okrętu podwodnego Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych wyruszającego na czarną operację. Nie widział, jak chłopak salutuje mu w milczeniu. Była dokładnie 16.00.

Po powrocie na pokład postanowił, że o 17.30, na godzinę przed wyjściem z portu, przemówi przez wewnętrzny radiowęzeł do załogi. Usiadł za biurkiem, zrobił kilka notatek, a potem zajrzał

na chwilę do Lee O'Briena. Reaktor już pracował, dobiegała końca ostatnia faza rozgrzewania układów pomocniczych. Tym razem wszystko przebiegło bez zakłóceń.

O 17.10 komandor Krause uprzedził załogę, że kapitan chce im powiedzieć kilka słów przed wyjściem w morze. O 17.30 z głośników na całym okręcie popłynął głęboki baryton Boomera Dunninga:

–Mówi kapitan. Wyruszamy dzisiaj na interesującą misję. Płyniemy przez Atlantyk do Przewężenia GIUK. Większość was była ze mną kilka miesięcy temu na uwieńczonej powodzeniem akcji przeciwko dwóm okrętom podwodnym, które prezydent i Pentagon uznali za potencjalnych wrogów Stanów Zjednoczonych. Jak dobrze wiecie, wolimy eliminować zagrożenie w zarodku i dlatego uderzyliśmy zdecydowanie i szybko, zanim nasi przeciwnicy zorientowali się, co się dzieje.

Misja, którą za godzinę rozpoczynamy, będzie trudniejsza i, nie ukrywam, bardziej niebezpieczna. Szefowie działów przeprowadzili już z wami odprawy, wiecie więc, jaką wagę przykładają do naszej podróży najwyższe władze.

Mam pełne zaufanie do umiejętności każdego z was. Jesteście najlepszą załogą, z jaką dane mi było pływać. Ale przed nami trudne zadanie, chcę więc, żeby wszyscy przeszli samych siebie. Podczas wacht nie wolno wam ani na sekundę zaniedbywać czujności. Ten okręt nie jest prowadzony przez samych oficerów, prowadzi go każdy z was. Każdy ma na nim do odegrania ważną rolę, inaczej by was tu nie było.

Pamiętajcie, że nasze życie spoczywa w waszych rękach. Pływamy na sławnym okręcie i górujemy nad przeciwnikiem pod każdym względem. Musimy dać z siebie wszystko. Po zakończeniu misji każdy złoży przysięgę dochowania tajemnicy. Ale wszyscy będziemy wiedzieli, czego dokonaliśmy, i żyli ze świadomością, że nasz wielki naród może być z nas dumny... tylko o tym nie wie.

Ale my będziemy wiedzieli. A przecież to liczy się najbardziej. Postarajmy się, żeby późną jesienią każdy z nas mógł zejść na ląd i powiedzieć sobie: „Byłem na «Columbii» podczas tamtej ważnej misji... i obojętnie, jak potoczy się dalej moje życie, nikt mi już tego nie odbierze”.

Ruszamy za godzinę. Zmobilizujmy się i stańmy na wysokości zadania. Niech Bóg nad wami czuwa.

Zacisnęło się kilka pięści. Komandor Dunning miał teraz pod

sobą stu dwunastu ludzi, którzy, gdyby zaszła taka potrzeba, poszliby za nim w ogień.

O 18.29 już tylko jedna cumy łączyła „Columbię” z nabrzeżem. Na mostku, w lekkiej wieczornej bryzie wiejącej od południowego zachodu, stał komandor Dunning ze swoim nawigatorem, porucznikiem Wingate'em i oficerem pokładowym, porucznikiem Abe Dicksonem. Na nabrzeżu zgromadziło się kilka osób z personelu bazy. Był tam, jak zwykle, kiedy z portu wychodził któryś z jego okrętów, dowódca dywizjonu. Wszystkie wyprawy okrętów podwodnych, ze względu na samą naturę tej bestii, wywołują spore emocje, ale napięta atmosfera otaczająca „Columbię” była zaraźliwa. Nikt z żegnających nie znał charakteru tej misji i kiedy komandor Dunning kazał zmienić bandery, a porucznik Dickson krzyknął: „Wciągnąć numer jeden...”, wrażenie tajemniczości jeszcze się nasiliło.

Półtorej godziny przed zachodem słońca nad kioskiem za-łopotala flaga Stanów Zjednoczonych. Kapitan dał znak głową oficerowi pokładowemu i ten, pochylając się, powiedział spokojnie do interkomu łączącego mostek z centralą:

–Wszystkie jedna trzecia wstecz...

Głęboko w maszynowni drgnęły wielkie turbiny, śruby wzburzyły wodę za rufą i okręt zaczął się cofać. Po chwili zwolnił, zatrzymał się i kiedy Boomer Dunning krzyknął: „Jedna trzecia naprzód”, ruszył do przodu. „Columbia” pokonywała pierwsze metry na długiej drodze do Przewężenia GIUK.

Grupa robotników na nabrzeżu wydziału łodzi elektrycznych firmy General Dynamics, gdzie w 1994 roku zbudowano „Columbię”, machała wesoło do siedmiotysięcznotonowego okrętu podwodnego sunącego rzeką Thames w kierunku cieśniny Long Island.

–Pół naprzód... – zakomenderował Abe Dickson.

–Kurs zero-siedem-dziewięć – powiedział nawigator. Znaczyło to, że kierują się na wschód-północny wschód... ku mieliznie Nantucket. Za nimi, na wschód od wysp, zanurzą się.

Trzej oficerowie pozostali na mostku „Columbii” płynącej z szybkością szesnastu węzłów przez płytkie wody otaczające wyspę Block. Pierwszy etap podróży odbywali w wynurzeniu, w blasku dnia. O zmroku będą już spory kawał na wschód od Wyspy Martha's Vineyard i pod powierzchnią. Porucznik Wingate wytyczył kurs; płynąc nim, miną w zanurzeniu mieliznę w odległości pięciu mil i tym samym opuszczą amerykańskie wody terytorialne.

Boomer obserwował wodę przelewającą się przez tępy, obły dziób. Spływała po pokładzie dziwnie płaską warstwą, by natknąwszy się na kiosk, wzburzyć się, rozszczepić i kaskadami spłynąć po burtach z powrotem do morza.

Wpłynęli w lekko rozkołysany, północny odcinek cieśniny Long Island. Żaden okręt podwodny nie czuje się dobrze na powierzchni, nawet przy spokojnym morzu, bo jego żywiołem są głębiny, gdzie działa w ukryciu, po cichu i w samotności.

Dla każdego podwodniaka szczyt komfortu to podróż na pokładzie atomowego okrętu podwodnego, który sunie płynnie na głębokości stu metrów, gdzie nie straszne mu szkwały ani wzburzone morze; ciszę mać tylko ledwie słyszalny szum wewnętrznej wentylacji. Temperatura pod powierzchnią jest stała, wyżywienie świetne. Prawdopodobieństwo kolizji minimalne; jeszcze mniejsze ataku. Nie widzą, co dzieje się wokół, zdani są jedynie na zmysł słuchu. Ale słyszą na wielkie odległości, a ich „uszy” są wyczulone na wszelkie anomalie w odgłosie oceanów – odległe dźwięki odbijające się echem i powtarzające, to przybierające na sile, to opadające.,

Załoga odetchnęła, kiedy na południowy wschód od wyspy Nantucket dowódca „Columbii” wydał wreszcie rozkaz zanurzenia i kazał zwiększyć szybkość do dwudziestu węzłów. W ich odczuciu podróż zaczęła się dopiero tutaj, kiedy obrali kurs wschodni, by dotrzeć nim do południowych stoków Grand Banks, gdzie dwie i pół mili pod powierzchnią spoczywa wrak „Titanica”.

Podróż do Wysp Owczych, kursem północno-wschodnim, nad podwodnym pasmem górskim Grzbietu Środkowoatlantyckiego, miała im zająć tydzień. Trzynastego sierpnia byli już nad równiną Basenu Islandzkiego, gdzie głębokość wynosi trzy tysiące metrów. Po południu 14 sierpnia, o 17.00 czasu lokalnego, wyszli na głębokość peryskopową na 8 stopniu długości geograficznej zachodniej, nieco na północ od 60 równoleżnika, na południowy zachód od wietrznego skupiska należących do Danii wysepek. Boomer Dunning dobrze znał ten zimny, bezduszny rejon Atlantyku. Połączył się z satelitą, żeby zameldować o zajęciu pozycji i potwierdzić, że pozostanie tu na patrolu aż do nadejścia dalszych rozkazów.

Tydzień później, wczesnym popołudniem 22 sierpnia, temperatura w Komórcie Czarnych Operacji dowództwa SUBLANT w Norfolk w stanie Wirginia skoczyła z umiarkowanej do łańcie tropikalnej. Oczywiście w przenośni. Klimatyzacja działała bez zarzutu. Arnold Morgan ogłosił alarm bezpośrednio z Białego Domu, kazał wszystkim czekać w gotowości, on już do nich leci helikopterem, zahaczy tylko po drodze o Fort Meade, będzie najszybciej, jak to możliwe.

Wkrótce potem doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego wkraczał już do swojego dawnego gabinetu, gdzie admirał George Morris oglądał serię najnowszych zdjęć satelitarnych zrobionych przez Wielkiego Ptaka. Przedstawiały coś niezwykłego: dwa rosyjskie Kilo wyszły z Murmańska i płynęły w wynurzeniu, w eskorcie jednej fregaty i trzech niszczycieli, z których jednym był dziewięcioletni tonowy niszczyciel rakietowy. Admirał Czabanienko".

Towarzyszyły im również gigantyczny dwudziestojedno-tysięcznotonowy podwodny nosiciel pocisków strategicznych klasy Typhoon oraz masywny dwudziestotrzyipółtysięcznotonowy lodolamacz klasy Arktika „Ural", trójwałowy potwór o napędzie atomowym słynący z tego, że przy szybkości trzech węzłów potrafi przebić się przez lód grubości trzech metrów, wspinając się nań wzmocnionym stałą dziobem i krusząc swoim ciężarem na twarde jak granit kry. „

W skład konwoju wchodził dodatkowo trzydziestopięcio-tysięcznotonowy statek zaopatrzeniowy klasy Verezina z sześciu-setosobową załogą, wyładowany prawdopodobnie po brzegi pociskami, sprzętem, amunicją, zapasami żywności, paliwem do diesli. Jednostka ta to ogromny pływający supermagazyn rosyjskiej marynarki wojennej przemierzający oceany z wartym trzy miliardy dolarów towarem w ładowniach.

Na domiar złego ze zdjęć satelitarnych wynikało, że teij składający się z dziewięciu jednostek konwój, posuwając się z szybkością ośmiu węzłów, jest już sto mil na wschód od Polarnego.

–O, cholera! – mruknął przed godziną dyrektor Fort Meade i wduśił przycisk na aparacie telefonicznym bezpośrednio łączności z doradcą do spraw bezpieczeństwa. Morgan wysłuchał informacji, że konwój zamiast popłynąć w lewo, skierował się w prawo, a potem warknął:

–Zaraz tam będę. Czekał na mnie.

Teraz jeden rzut oka na zdjęcia powiedział mu wszystko, co musiał wiedzieć. Stał jak wrośnięty w ziemię, wyrzucając sobie w duchu, że wcześniej o tym nie pomyślał, i nie mógł zrozumieć, jak mógł to przeoczyć.

Ochłonawszy nieco, zaczął krążyć jak dawniej po gabinecie w Fort Meade i przeklinać na głos „najkarygodniejszy i niewybaczalny błąd w swojej karierze”.

–Wierzyć mi się nie chce! – krzyczał. – Jak mogłem tego nie przewidzieć?

4*

w Ta

327

Ale stało się. Admirał Witalij Ranków, tak jak się tego spodziewali, wysłał dwa okręty Kilo do Chin pod silną eskortą, tyle że inną (kogą... w prawo, trasą wschodnią przebiegającą wewnątrz kręgu polarnego, wzdłuż północnych wybrzeży Syberii, wodami, które w zimie są zamrożone, ale w sierpniu i mając do pomocy lodolamacz, można po nich z powodzeniem pływać. Nie zbliżył się nawet do północnego Atlantyku, a za dwa tygodnie wyjdą przez Cieśninę Beringa na Ocean Spokojny.

Dowódca „Columbii” patrolujący rejon Wysp Owczych czekał na próżno, bo K-9 i K-10 tamtędy nie przepłyną. Co więcej, Boomer nie mógł puścić się za nimi w pogoń. Płytka woda i bliskość granicy lodu nie pozwoliłyby mu rozwinąć szybkości większej niż ścigani. A ci już teraz mieli nad nim tysiąc mil przewagi. Nigdy by ich nie dogonił. Nawet gdyby miał na to miesiąc czasu. A miał go co najwyżej dwa tygodnie.

–A to przechera z tego Rankowa – wy warczał admirał Morgan. – Nieźle to sobie wykombinował. Ale ja się jeszcze nie poddam.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

V

Arnold Morgan opuścił w pośpiechu Fort Meade, zabierając ze sobą zdjęcia satelitarne świadczące, że dał się, przynajmniej na razie, przechytrzyć admirałowi Rankowowi. Skierował się prosto na lądowisko helikopterów i wszedł do dużej maszyny Super Cobra US Marines, którą zarekwirował tego dnia do swojego prywatnego użytku.

Pilot dostał rozkaz startu z lotniska piechoty marskiej w Quan-tico w stanie Wirginia i

zabrania spod Białego Domu, odległego o dwadzieścia pięć mil w górę Potomacu, prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Było to trochę na bakier z przepisami, ale nikt, kto kiedykolwiek usłyszał z ust Arnolda Morgana „NATYCHMIAST!”, nie potrafił potem wymazać tego doświadczenia z podświadomości.

Szef lotniska w Quantico, w reakcji na to słowo wyskandowane przez samego wielkiego człowieka nie znoszącym sprzeciwu tonem, w ciągu dziewięciu minut wysłał w powietrze jedyny dyżurny helikopter, jakim akurat dysponował. I teraz pilot startował znowu, po raz trzeci tego ranka, tym razem z Fort Meade, a za jego plecami, w szesnastomiejscowym przedziale pasażerskim helikoptera, siedział samotnie rozjuszony Arnold Morgan i wy-mrukiwał na przemian: „Gazu, chłopie!” i „A to przewrotny ruski sukinsyn!”. Jak zawsze przy takich niefortunnych okazjach, kiedy coś szło nie po jego myśli, admirał wyglądał na człowieka, który zaraz rozpęta wojnę, otwierając choćby ogień z karabinów maszynowych 7,62 mm sterczących z dziobu cobry.

Z lądowiska pod kwaterą główną marynarki wojennej w Norfolk zabrał go samochód. Dokładnie o 14.10 Arnold Morgan wmaszerował do Komórki Czarnych Operacji w SUBLANT. Czekał tam już na niego admirał Dixon w towarzystwie swojego oficera flagowego. Szef operacji morskich miał się zjawić lada chwila.

–No i wdepnęliśmy w gówno – warknął od progu doradca do spraw bezpieczeństwa.

–Domyśliłem, się z twojego telefonu. Co się stało?

–K-9 i K-10 wyszły w morze w asyście czterech nawodnych okrętów wojennych plus wielki okręt podwodny, lodolamacz i statek zaopatrzeniowy. Płyną z szybkością ośmiu węzłów na wschód wzdłuż północnych wybrzeży Syberii. Na północnym Atlantyku nie ma się ich co spodziewać i „Columbia” może tam sobie czekać do usranej śmierci. Są teraz od niej w odległości tysiąca dwustu mil, a jak dobrze wiesz, pościg po tamtejszych płytkich wodach, w sąsiedztwie granicy lodu, nie wchodzi w rachubę.

–Jasna cholera – mruknął admirał Dixon. – Znaczy, nie dopadniemy ich?

–Tego się właśnie obawiam. Przeanalizowałem możliwość skierowania „Columbii” w drugą stronę, przez Kanał Panamski na Ocean Spokojny. Ale to zajęłoby minimum trzy tygodnie. A szacuję, że Kilo przejdą przez Cieśninę Beringa za trzynaście, czternaście dni... Rzuć okiem na te zdjęcia. Satelita sfotografował je jakieś sto mil na wschód od Murmańska.

–Hmmm. Dwa Kilo w wynurzeniu. A to co? Typhoon? Rany, patrz, jaki wielki!

–Już widziałem. To faktycznie Typhoon. Największy ze zbudowanych dotąd okrętów podwodnych.

–Jezu, Arnie, to ma być eskorta dla dwóch malutkich Kilo?

–Podzielam twoje wątpliwości. Pewnie mieli w rozkładzie kurs między Flotą Północną i Flotą Oceanu Spokojnego, wstrzymali więc wyjście Kilo w morze o kilka dni, żeby mogły zabrać się z tym konwojem.

–A te okręty nawodne? Eskortą jak się patrzy. Co to za jeden, ten duży na czele?

–Niszczyciel rakietowy „Admirał Czabanienko”. Wyporność dziewięć tysięcy ton.

–A te dwa? Wyglądają podobnie.

–Zgadza się. Dwa niszczyciele klasy Udałoj. Przypuszczamy, że jeden to „Admirał Lewczenko”, a drugi „Admirał Charłamow”. Podobna wyporność, oba uzbrojone po zęby w środki do zwalczania okrętów podwodnych. Wchodzą w skład Floty Północnej i wybrały się teraz w szczególnie długą podróż.

–A ten tutaj, z tyłu?

–Fregata rakietowa „Niepristupnyj”. Wyporność cztery tysiące ton, zmodyfikowana jednostka klasy Kriwak, chyba ich najlepszy okręt do zwalczania okrętów podwodnych.

–Jezu. A co to za behemot przed nimi?

–Wielki lodolamacz „Ural”. Potrafi przebić się przez wszystko.

–Czyli nie żartują? Naprawdę chcą doprowadzić te Kilo nie uszkodzone do Szanghaju.

–Naprawdę. Ale najbardziej mnie wkurza, że tego nie przewidziałem. Przecież o tej porze roku często wysyłają konwoje wzdłuż północnego wybrzeża. Taka oczywista marszruta... a mnie nawet do głowy nie przyszło, że mogą wybrać inną trasę niż przez północny Atlantyk. To ci przechera z tego Rankowa.

Admirał Dixon uśmiechnął się pomimo powagi sytuacji. Podszedł do szuflady i wyciągnął stamtąd sporządzoną przez hydrografów Royal Navy wielką błękitno-żółto-szarą mapę rejonu Arktyki. Rozpostarł ją na uchylnym stole i zmierzył odległość z Murmańska do Cieśniny Beringa. Wyszło mu niecałe trzy tysiące mil.

–Jeśli płyną z szybkością ośmiu węzłów, to dziennie pokonują około dwustu mil – powiedział. – Czyli w Cieśninie Beringa będą dokładnie za dwa tygodnie. I gdyby „Columbia” ruszyła teraz za nimi pełną parą, to odrobiłaby sporo straconego dystansu... – Urwał i znowu pochylił się nad mapą. – Ale to nie wystarczy... bo żeby ich dogonić, musiałyby popłynąć daleko na północ, kierując się na Wyspę Niedźwiedzią. A Rosjanie, dysponując tym cholernym lodolamaczem, mogą za cyplem tej długiej wyspy... zaraz, jak on się nazywa... Nowa Ziemia, skręcić jeszcze bardziej na północ i podejść na sam skraj paku lodowego. I... Jezu! Ależ tu się robi płytko. Potem skręcają w kierunku Syberii, żeby wejść w strefę bardziej kruchego lodu przybrzeżnego. I tutaj Boomer ma problem. Musi zwolnić – głębokość w okolicach Ziemi Północnej nie przekracza czterystu pięćdziesięciu metrów. Płynąc szybko w zanurzeniu, zostawiałby widoczny gołym okiem ślad na powierzchni.

–I cholernie tu wąsko.

–Właśnie. A trudno by było odbić bardziej na północ, w kierunku granicy lodu. Tego draństwa nie widać na sonarze. A wszędzie dookoła kry i pak. Wysuwając peryskop, ryzykujesz, że zegniesz ci go jakaś bryła lodu.

Spójrz tutaj, Arnie. Zaraz za Ziemią Północną robi się jeszcze gorzej – płycej, a powierzchnia pokryta lodem. Tutaj „Columbia” musiałaby dać za wygraną. Byłaby praktycznie bezsilna. Nie wiedziałaby, gdzie są Kilo, zdana by była tylko na informacje od nas. A następne wąskie gardło to druga strona Cieśniny Beringa.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył admirał Joe Mulligan.

–No, panowie, zwalcie to na moje barki – powiedział, obrzuciwszy jednym spojrzeniem zafrasowane twarze swoich dwóch kolegów. – Nastawiam się na złe wieści.

Admirał Dixon naświetlił krótko sytuację. Były kapitan Tri-denta podszedł do mapy, na której dowódca SUBLA.NT zaznaczył już płycizny i pokryte lodem miejsca. Studiował ją uważnie przez dobre pół minuty, a potem orzekł:

–Obawiam się, że masz rację. „Columbia” nie będzie mogła płynąć z dużą szybkością wystarczająco długo, żeby ich dopaść... ten rejon oceanu przy skraju paku lodowego to istny koszmar -nic nie widzisz, nic nie słyszysz, a płytko tak, że w razie namierzenia nie masz żadnego pola manewru. Gdzie są teraz Kilo? Aha... tutaj. Beznadziejna sytuacja. No, prawie.

–Prawie? – podchwycił szef sił podwodnych, choć domyślał się, co za chwilę usłyszy.

–Tak... jest pewien sposób... będziemy chyba musieli poprosić komandora Dunninga i jego załogę o przejście pod biegunem. Zanurzą się na Atlantyku, a wynurzą już na Oceanie Spokojnym.

Milczeli przez chwilę, rozważając propozycję szefa operacji morskich. Jako byli podwodniacy zdawali sobie doskonale sprawę z komplikacji związanych z taką podróżą. Atomowe okręty podwodne przepływały już w przeszłości pod biegunem, ale takich rejsów było niewiele. I nie wszystkim się udawało. Na przeszkodzie stawał im lód albo płytka woda na północnych podejściach do Cieśniny Beringa.

Pod biegunem północnym nie ma, oczywiście, lądu. To, między innymi, odróżnia go od bieguna południowego, który usytuowany jest pośrodku kontynentu. Biegun północny otacza ogromna pływająca czapa lodowa unosząca się na oceanie, którego głębokość dochodzi w pewnych miejscach do trzech tysięcy sześciuset metrów.

Jeden z pierwszych śmiazków lubił posługiwać się porównaniem z pokojem wysokości trzech metrów sześćdziesięciu centy-

metrów. „Sufit to podstawa czapy lodowej, podłoga to dno oceanu. Wyobraźmy sobie teraz zapalną zawieszoną piętnaście centymetrów pod sufitem – to atomowy okręt podwodny płynący w zanurzeniu pod dachem świata”.

–Mamy w tym wieloletnie doświadczenie – odezwał się w końcu admirał Mulligan. – Gromadzimy je od czasu, kiedy pionierskiego przejścia w zanurzeniu pod biegunem dokonał przed czterdziestu laty nasz atomowy okręt podwodny, „Nautilus” pod dowództwem Andy'ego Andersona. Kłopot w tym, że takie wyprawy wymagają przygotowania, a „Columbia” nie ma na to czasu.

–No właśnie, a ile go ma? – spytał admirał Morgan.

–Policzmy... Boomer płynie pod lodem z szybkością dwudziestu węzłów... mija od północy Grenlandię, Islandię, Alaskę... za siedem dni od dziś jest na wysokości przylądka Barrow na północnej Alasce. Rosjanie, którzy w tych warunkach na powierzchni nie mogą rozwinać szybkości większej niż dziesięć węzłów, dotrą do tego samego punktu za jedenaście dni. Boomer

ie tam na nich czekał...

–Wspaniale – wpadł mu w słowo admirał Morgan. – No to ich mamy.

–Tak. Mamy, jeśli komandor Dunning i jego załoga będą się czuli na siłach przepłynąć w zanurzeniu pod biegunem – zauważył posepnie admirał Mulligan. – I jeśli na Morzu Czukockim będą panowały sprzyjające warunki. No ale skoro Rosjanie potrafią przeprowadzić przez lód ten swój mały konwój, to i my chyba nie będziemy gorsi. Czy Boomer ma na pokładzie kogoś z doświadczeniem?

–Sam pewnie ma – odparł admirał Dixon. – Pływał trochę pod lodem... ale jego zastępca Mike Krause dobrze się na tym zna. Kilka lat temu brał udział w przejściu transpolarnym, nie wiem tylko, czy im się wtedy udało.

–Zaraz, przecież nawet nie wiemy, czy mają na pokładzie stosowne mapy i literaturę – zauważył admirał Mulligan.

–To akurat wiemy – przyznał admirał Dixon. – Nie mają.

–No, pięknie – fuknął admirał Morgan. – I co ty na to, John?

–Może da się coś zaradzić – odparł admirał Dixon. – Skontaktuję się z nimi przez satelitę. Prawdopodobnie będzie im trzeba zrzucić z powietrza dodatkowy sprzęt i pomoce nawigacyjne. Jak

metrów. „Sufit to podstawa czapy lodowej, podłoga to dno oceanu. Wyobraźmy sobie teraz zapalną zawieszoną piętnaście centymetrów pod sufitem – to atomowy okręt podwodny płynący w zanurzeniu pod dachem świata”.

–Mamy w tym wieloletnie doświadczenie – odezwał się w końcu admirał Mulligan. – Gromadzimy je od czasu, kiedy pionierskiego przejścia w zanurzeniu pod biegunem dokonał przed czterdziestu laty nasz atomowy okręt podwodny, „Nautilus” pod dowództwem Andy’ego Andersona. Kłopot w tym, że takie wyprawy wymagają przygotowania, a „Columbia” nie ma na to czasu.

–No właśnie, a ile go ma? – spytał admirał Morgan.

–Policzmy... Boomer płynie pod lodem z szybkością dwudziestu węzłów... mija od północy Grenlandię, Islandię, Alaskę... za siedem dni od dziś jest na wysokości przylądka Barrow na północnej Alasce. Rosjanie, którzy w tych warunkach na powierzchni nie mogą rozwinać szybkości większej niż dziesięć węzłów, dotrą do tego samego punktu za jedenaście dni. Boomer

ie tam na nich czekał...

–Wspaniale – wpadł mu w słowo admirał Morgan. – No to ich mamy.

–Tak. Mamy, jeśli komandor Dunning i jego załoga będą się czuli na siłach przepłynąć w zanurzeniu pod biegunem – zauważył posepnie admirał Mulligan. – I jeśli na Morzu Czukockim będą panowały sprzyjające warunki. No ale skoro Rosjanie potrafią przeprowadzić przez lód ten swój mały konwój, to i my chyba nie będziemy gorsi. Czy Boomer ma na pokładzie kogoś z doświadczeniem?

–Sam pewnie ma – odparł admirał Dixon. – Pływał trochę pod lodem... ale jego zastępca Mike Krause dobrze się na tym zna. Kilka lat temu brał udział w przejściu transpolarnym, nie wiem tylko, czy im się wtedy udało.

–Zaraz, przecież nawet nie wiemy, czy mają na pokładzie stosowne mapy i literaturę – zauważył admirał Mulligan.

–To akurat wiemy – przyznał admirał Dixon. – Nie mają.

–No» pięknie – fuknął admirał Morgan. – I co ty na to, John?

–Może da się coś zaradzić – odparł admirał Dixon. – Skontaktuję się z nimi przez satelitę. Prawdopodobnie będzie im trzeba zrzucić z powietrza dodatkowy sprzęt i pomoce nawigacyjne. Jak

myślisz, gdzie by było najlepiej? Chyba gdzieś w okolicach Wyspy Jan Mayen? Dzięki temu Boomer nie będzie musiał tracić czasu na czekanie.

–Tak. Na zachód od wyspy – podchwycił szef operacji morskich. – Zajmij się tym od razu.

*

Dwudziesty drugi sierpnia. Północ czasu lokalnego. 62,00N; 7,00W. Peryskop USS „Columbii” przebił wzburzoną powierzchnię północnego Atlantyku na południowy zachód od Torshavn, jednej z Wysp Owczych. Okręt nawiązał łączność z satelitą, podał swoją pozycję i odebrał wiadomość z SUBLANT.

Komandor Dunning wydał rozkaz zejścia na większą głębokość i czekał spokojnie na wydruk wiadomości.

Nie był jednak przygotowany na to, co przeczytał:

Podjąć pościg za K-9 i K-10, które płyną NA WSCHÓD wzdłuż wybrzeży północnej Syberii w towarzystwie jednego okrętu podwodnego klasy Typhoon, czterech nowoczesnych jednostek do zwalczania okrętów podwodnych, jednego lodolamacza klasy Arktika i statku zaopatrzeniowego floty. Szanse przeprowadzenia ataku na wodach przybrzeżnych północnej Syberii i w Cieśninie Beringa minimalne. Za wielkie ryzyko.

Wyjść trasą polarną na głębokie wody Basenu Aleuckiego. Meldować o potrzebnych pomocach nawigacyjnych, książkach, mapach, częściach zamiennych, sprzęcie. Rano 24 sierpnia czekać na zrzut z powietrza na zachód od Wyspy Jan Mayen. Podać pozycję w godzinie zrzutu. W ciągu dwudziestu czterech godzin dostaniecie aktualne meldunki o warunkach panujących w rejonie przylądka Barrow i Morza Beauforta.

Boomer z trudem przełknął ślinę.

–Pod biegunem... Jasny gwint... MIKEL. rzuć na to okiem... Komandor porucznik Mike Krause przeczytał wiadomość

i uniósł brwi.

–Nigdy nie zrobiłem tej trasy w całości – powiedział. – Ale dwa razy pływałem nią do połowy i z powrotem, za każdym

razem od drugiej strony, od Cieśniny Beringa. Na głębokiej wodzie da się wytrzymać, ale na północ od Barrow jest parę zdradliwych miejsc, gdzie dno się podnosi i można się nadziać na podstawy gór lodowych, które zanurzają się na trzydzieści pięć metrów i prawie go dotykają. Kilka naszych okrętów podwodnych musiało tam zawrócić...

–Cholera – zaklął Boomer. – Myślisz, że damy radę?

–Chyba będziemy musieli. Ta wiadomość z SUBLANT to praktycznie rozkaz, nie temat pod dyskusję.

–Fakt. Czego nam potrzeba?

–Paru dodatkowych map, paru książek, przydałaby się relacja komandora Andersona z jego przejścia w 1958, no i kilka meldunków z późniejszych patroli. Zawarte w nich uwagi mogą się okazać bardzo pomocne. Będzie nam też potrzebny głębo-kościomierz patrzący w górę. Plus części zamienne do peryskopów, bo te mogą się poobtłukiwać o lód nad nami. Przynajmniej pora roku nam sprzyja. Może się uda... każę nawigatorowi sporządzić listę tego, czego potrzebujemy, a potem połączymy się z SUBLANT.

Boomer pochylił się nad mapą i zmierzył odległość do skalistej norweskiej wysepki Jan Mayen. Wynosiła siedemset pięćdziesiąt mil.

–Powiedz im, że czekamy na zrzut na głębokości peryskopowej na 72 północnej i 10 zachodniej – rzucił do Mike'a Krau-sego. – Niech zapakują wszystko w niezatapialną paczkę z kolorowym znacznikiem. Za trzydzieści godzin zaczynamy prowadzić nasłuch na trzydziestym pierwszym kanale UHF.

–Tak jest.

„Columbia”, przyśpieszając, skierowała się ku głębokim ar-ktycznym wodom Basenu Islandzkiego, gdzie podwodny lodowy Grzbiet Maro strzeże zachodniego podejścia do Jan Mayen, wyspy leżącej na samym skraju zimowej granicy paku lodowego.

–Kurs trzy-pięć-pięć przez sześćset pięćdziesiąt mil – powiedział Boomer. – Szybkość dwadzieścia pięć. Głębokość sto osiemdziesiąt. – Zwrócił się do porucznika Wingate'a i wskazując punkt na mapie, dodał: – Tutaj zmienimy kurs na zero-jeden-pięć i po czterech godzinach zatrzymamy się, żeby poczekać na zrzut.

Wydawszy te instrukcje, dowódca zarządził za godzinę naradę nawigacyjną z komandorem porucznikiem Krausem i porucznikiem Wingate'em. Czas płynął szybko. „Columbia” wyszła

GRENLANDIA

ALASKA

TRASA POLARNA

ISLANDIA

Jan Mayen

SPITSBERGEN

IEM1A

KANADA

Przylądek Barrow

I Morze Beringa

Najcieńsza pokrywa lodowa (ciepłe lato)

500 mil

336

na głębokość peryskopową, by połączyć się poprzez satelitę z SUBLANT. Odpowiedź nadeszła natychmiast:

Punkt zrzutu potwierdzony 72,00N; 10,00W. Niezatapialna paczka z kolorowym znacznikiem UHF 31. 24 sierpnia, 6.00 czasu lokalnego. Samolot z amerykańskiej bazy morskiej w Keflavik na Islandii. Sygnał wywoławczy BLUE-BIRD JEDEN PIĘĆ. O 5.50 wysłać sygnał naprowadzający na UHF.

„Columbia” ponownie zeszła na większą głębokość. Trzej oficerowie zebrali się w pomieszczeniu nawigacyjnym i dowódca zapytał porucznika Wingate'a, czy ma już jakiś wstępny plan.

–Mam. Proponuję skierować się na północ i między Grenlandią a Spitsbergenem Rynną Leny, pod pakiem lodowym, wejść na Ocean Arktyczny... w tym miejscu zaczyna się szelf lodowy. Od punktu zrzutu będziemy szli kursem zero-trzy-pięć, a po dwustu milach zmienimy go na zero-zero-zero. Zmiany dokonamy w strefie Basenu Grenlandzkiego nad Równiną Abisalną Bo-reasza. Głębokość wynosi tam trzy tysiące sześćset metrów.

–Tak, Dave. Rozumiem. A na następne siedemset mil wyznaczysz kurs na północ, prosto do bieguna?

–Tak. Aż dotąd, do plateau Morrisa Jesupa. Od tego miejsca zaczyna się robić coraz płycej. Tutaj, na północnym krańcu plateau mamy tysięczmetrowy kontur. Na naszej echosondzie będzie to wyglądało jak podwodny klif pnący się na odcinku dwudziestu mil z głębokości trzech tysięcy metrów do tysiąca. Tam znowu zmienimy kurs na trzy-jeden-zero i przejdziemy nim w odległości dwustu mil na południe od bieguna.

–Dobra myśl, Dave – pochwalił go komandor porucznik Krause. – Dzięki temu unikniemy sytuacji, kiedy kompasy wariują i zaczynają się kręcić w kółko. Jak to nazywają? Południkową ruletką?

–Tak. Nigdy nie pracowałem pod lodem. Ale wiem, że na północ od 87 stopnia nasze żyro oszaleją. Ma to coś wspólnego ze słabnięciem efektu Coriolisa w miarę zbliżania się do osi obrotu kuli ziemskiej. Tak czy owak, od bieguna każda droga prowadzi na południe.

–Otóż to. Kiedy jesteś na biegunie, to w którąkolwiek stronę ruszysz, zawsze będziesz szedł na południe, tylko nie wiadomo,

gdzie dojdiesz, do Rosji, Kanady, Atlantyku czy do Oceanu Spokojnego. To się właśnie nazywa południkową ruletką.

–Tak. Po prostu musimy się wystrzegać gwałtownych zmian kursu, bo inaczej żyrokompasy dostaną małego rozumu. Mam książkę, która wyjaśnia to zjawisko. Ale z mojego punktu widzenia lepiej nie ryzykować i obejść biegun od południa. Odległość stąd do Cieśniny Beringa wynosi cztery tysiące mil, ale polarną czapę lodową będziemy mieli nad sobą tylko przez tysiąc pięćset. To przy naszej szybkości trzy dni. Nieźle, prawda?

–Dobra robota, Dave – orzekł Boomer. – Wypiętrzenie Hal-la wyznacza chyba połowę trasy... i właśnie tam chcesz zmienić kurs, tak?

–Tak. Zaraz za biegunem przeprowadzimy serię drobnych zmian kursu, żeby skierować się prosto na przylądek Barrow. Przetniemy w jakieś półtora dnia Basen Kanadyjski i mam nadzieję, że wyjdziemy spod lodu przy brzegu Morza Beauforta, dokładnie naprzeciwko przylądka Barrow.

–I tu, na Morzu Beauforta, mamy jedyny naprawdę trudny obszar, który ciągnie się przez sto dwadzieścia mil – odezwał się komandor porucznik Krause. – Jeśli lato jest ciepłe, lód będzie je pokrywał tylko w jednej dziesiątej i kończył się sto mil na północ od Barrow. Głębokość sięga tam wciąż dziewięciuset metrów i nie będą nam zagrażały nawet głęboko zanurzone góry lodowe.

Jeśli jednak lato jest chłodne, to pak lodowy może się ciągnąć aż do samego Barrow, co oznacza, że będziemy zmuszeni pozostać w zanurzeniu. Kiedy ostatnio tam byłem, panowały fatalne warunki. Wszędzie roilo się od wielkich brył lodu, mgła jak mleko. Na powierzchni nic nie widać, a pod wodą zbyt niebezpiecznie.

–Ja w ogóle nie chcę się wynurzać, chyba że w ostateczności – wtrącił Boomer. – Ale z meldunku lodowego z SUBLANT dowiemy się sporo, zanim jeszcze ruszymy.

Porucznik Wingate, który jako jedyny z tej trójki nie miał żadnego doświadczenia w pracy pod lodem, poprosił o więcej informacji na temat jezior świeżej wody powstających w arktycznej czapie lodowej, zwłaszcza w lecie. Rosjanie nazywają je poliniami i każdy płynący pod lodem okręt podwodny, który chce zdjąć namiar GPS albo nawiązać z kimś łączność, musi jakąś znaleźć – a to nie takie proste, bo jeziora te mają różną wielkość, od malutkich oczek wodnych do wielkich akwenów o średnicy setek metrów.

–I jak się je znajduje? – chciał wiedzieć nawigator.

–Z największym trudem – odparł komandor porucznik Krause. – Podczas przejścia takiego jak nasze, szybkiego, trwającego trzy dni, natkniemy się prawdopodobnie na pół tuzina. Można je zlokalizować tylko na podstawie różnic w natężeniu światła, które jest o wiele bardziej przytłumione, kiedy musi się przebijać przez gruby na metr pak lodowy. W poliniach lód jest bardzo cienki, dzięki czemu więcej światła tffzez nie przenika. W zasadzie wypatrujemy takich jaśniejszych miejsc w unoszącej się nad nami skorupie. Obraz przekazuje nam kamera telewizyjna zamontowana na kiosku.

–No dobrze, ale jeśli polinę będzie mimo wszystko pokrywała warstwa lodu grubości metra bądź więcej, to jak się przez nią przebijemy? – spytał nawigator.

–Podnosimy się pionowo i z całym impetem walimy w nią kioskiem.

–I lód pęknie?

–Oczywiście. Jeśli jest dostatecznie cienki, to jak korek wyskakujemy spod wody pośrodku arktycznego jeziora i rozglądamy się. Wentylujemy płuca świeżym powietrzem.

–A jak ten lód okaże się grubszy, niż szacowaliśmy?

–To kiepska sprawa. Odbijamy się od sufitu i tylko w Bogu nadzieja, że coś nie trzaśnie.

–Jezu... w ten sposób można sobie uszkodzić peryskop i maszt i ugrzęznąć na dobre pod lodem.

–A kto to robi z podniesionymi masztami? – wtrącił Boomer. – Przedtem je chowamy, ale masz rację, Dave. Jeśli się nie uda, jesteśmy uwięzieni pod lodem, dopóki nie znajdziemy cieńszego miejsca – innej polinii – i nie zapominaj, że mamy skierowany w górę głębokościomierz, który daje nam jakieś pojęcie o grubości pokrywy.

–Czyli cała sztuka sprowadza się do tego, że szukamy jaśniejszych miejsc, tak?

Mike Krause uśmiechnął się.

–W rzeczy samej, Dave. Przede wszystkim wypatrujemy jaśniejszych miejsc.

–Najważniejsze to przeprowadzić skrupulatny przegląd techniczny okrętu, zanim wejdziemy pod lód – wtrącił się kapitan. – To oszczędzi nam później wielu problemów, takich jak pożar, wzrost promieniowania, przecieki, utrata kontroli nad stera-

mi głębokości, i tak dalej. No i, rzecz jasna, awaryjne wyłączenie się reaktora.

Wyłączenie się reaktora to chyba najgorsze, co mogłoby się nam przytrafić. Trudno go potem ponownie uruchomić pod wodą, bo tam zdani jesteśmy tylko na akumulatory, a one na długo nie starczą. Najwyżej na jedną próbę rozruchu. A jeśli baterie siędad, zanim uda się uruchomić reaktor, to trzeba włączyć generatory, żeby je doładować – a do tego potrzebne nam powietrze, którego nie mamy. Jedyne ratunek w polinii.

–Czyli będziemy musieli notować położenie każdej, którą mijamy? – zapytał porucznik Wingate.

–Otóż to – przytaknął zastępca dowódcy.

–I tu rodzi się dylemat – podjął dowódca. – Nie przeprowadzać ponownego rozruchu reaktora i iść do ostatniej polinii na akumulatorach albo postawić wszystko na jedną kartę i próbować uruchomić reaktor, wykorzystując do tego celu całą moc zmagazynowaną w akumulatorach. Niełatwo podjąć taką decyzję. Bo jeśli próba się nie powiedzie, to po nas.

–Cholera! – mruknął nawigator.

–Ale wiele bardziej prawdopodobne jest, że wybuchnie pożar albo wystąpi przeciek – ciągnął Boomer. – Wtedy naprawdę trzeba wyjść na powierzchnię. Musimy więc zaprząć całą załogę do przejrzania naszej łajby od dziobu po rufę. Niech zwracają uwagę na wszystko, co mogłoby spowodować tego rodzaju problem. Sprawdzać, sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać.

„Columbia” dotarła do Wyspy Jan Mayen 24 sierpnia nad ranem. O 4.00 zajęła pozycję na zachód od wyspy w punkcie

0 współrzędnych 72,00N; 10,00W, gdzie miał nastąpić zrzut. Wyszli na chwilę na głębokość peryskopową, by nadać do SUBLANT meldunek, że są już na miejscu, po czym znowu się zanurzyli. O 5.50, na dziesięć minut przed zapowiadany pojawieniem się samolotu z bazy na Islandii, wynurzyli się ponownie

1 zaczęli nadawać sygnał naprowadzający na 31 kanale UHF, przerywając co dziesięć sekund i nasłuchując odpowiedzi. Odebrali ją o 5.58:

Tu Bluebird jeden-pięć. Puśćcie żółty dym.

Boomer spełnił natychmiast to żądanie i nad horyzontem pojawił się samolot, mknąc z szybkością trzystu pięćdziesięciu

mil na godzinę, trzydzieści metrów nad wodą, by zredukować do minimum niebezpieczeństwo przechwycenia swego sygnału radiowego.

Siedzący obok pilota 'nawigator zauważył kłęby gęstego dymu unoszące się nad wodą.

–Okay. „Columbia”, tu Bluebird jeden-pięć, widzę was... Jeszcze nie! Jeszcze nie! TERAZ!
... Odbiór.

Wielka wodoszczelna paczka ze wszystkim, o co prosił okręt podwodny, wpadła do oceanu dokładnie pośrodku żółtego dymu.

–Bluebird, tu Blackbird. Dziękujemy. Bez odbioru.

Samolot położył się na prawe skrzydło, wzbił wyżej i odleciał

na południe, w kierunku Islandii. Okręt podwodny powoli się wynurzył. Kaskady wody nie spłynęły jeszcze z kadłuba, kiedy otworzył się właz. Kilku marynarzy wyskoczyło na pokład i sprawnie wyłowiło bosakiem z morza pakunek. W ciągu dwóch minut byli już z powrotem wewnątrz okrętu i zamykali za sobą pokrywę włazu. „Columbia” zeszła z powrotem w mroczną głębię północnego Atlantyku.,

Przez cały dzień i większą część nocy przygotowywali przyrządy do tysiącpięćsetmilowego przejścia pod polarną czapą lodową. Pokonawszy dwieście mil kursem zero-trzy-pięć, znaleźli się na głębokiej wodzie na północnym krańcu Basenu Grenlandzkiego i tam Boomer Dunning nakazał zmianę kursu, którym mieli dojść do Rynny Leny.

–Centrala – tu kapitan... ster lewo zero-zero-zero. Szybkość dwadzieścia pięć. Głębokość sto osiemdziesiąt.

„Columbia” przyśpieszyła i zmieniając kurs, pomknęła na północ w kierunku paku lodowego, który pokrywa wierzch kuli ziemskiej. Wkrótce gigantyczne kry lodowe przesłonią światło i odetną amerykański okręt podwodny od świata zewnętrznego.

Im bliżej paku lodowego, tym głębsze staje się Morze Grenlandzkie, coraz więcej na nim lodu. Wielkie bryły o średnicy dochodzącej czasami do kilkunastu metrów czają się tuż pod powierzchnią niczym postrzępione bloki betonu gotowe roztrzaskać kiosk każdego okrętu podwodnego, który płynie zbyt płytko.

Załoga „Columbii” wyczuwała napięcie wśród oficerów. Z początku kry pojawiały się na ekranie monitora z rzadka, ale pięć godzin po zmianie kursu, pięćdziesiąt mil od czapy, zrobiło się ich tyle, że trudno było znaleźć między nimi choćby niewielki prześwit.

Boomer i Mike Krause wypatrzyli taki trzydzieści mil od czapy lodowej, dokładnie na 81 stopniu. „Columbia” wyszła powoli na głębokość peryskopową, a potem wynurzyła się na polu lodowych odłamów dryfujących w rzadkiej mgle. Słońce było całkowicie przesłonięte, widoczność nie przekraczała trzydziestu metrów, pod kilem mieli cztery i pół tysiąca metrów oceanu.

Połączyli się z satelitą i przesłali do SUBLANT swoją pozycję, kurs i szybkość. Przesyłka odebrana. Potem ściągnęli z satelity przeznaczone dla nich informacje, w tym komunikat lodowy opisujący warunki panujące na ostatnim etapie ich przejścia pod biegunem, czyli na wodach Basenu Kanadyjskiego, poza granicą litego arktycznego lodu. Tam, naprzeciwko przylądka Barrow na północnej Alasce, „Columbia” wpłynie na niegościnne, zamrożone Morze Beauforta. Potem skręci na południowy zachód i wejdzie na równie niebezpieczne Morze Czukockie.

Wszystko zależało od tego, jakie jest lato. Jeśli ciepłe, to kry będzie mało. Jednak w przypadku chłodnego lata gruby lód potrafi utrzymywać się na Morzu Beauforta do końca lipca i wtedy byliby zmuszeni pozostać w zanurzeniu; a głębokość maleje tam zdradliwie szybko: trzy tysiące metrów... tysiąc osiemset metrów... dziewięćset metrów... sto osiemdziesiąt metrów... potem, w miarę zbliżania się do szelfu Beauforta, który chroni linię brzegową Alaski, jeszcze mniej. Ten krótki odcinek trasy mógł się okazać koszmarem podwodniaka.

A wieści nie były pomyślne. Boomer obserwował Mike'a Krausego i Dave'a Wingate'a, studiujących ze ściągniętymi brwiami komunikat. Młody nawigator co chwila odmierzał coś cyrklem na mapie przedstawiającej Arktykę od strony Oceanu Spokojnego.

Boomera niepokoiła też bliskość wielkich płatów kry, które już teraz otaczały okręt. Nakazał zanurzenie. Zeszli na sto osiemdziesiąt metrów i ruszyli z dużą szybkością na północ, wślizgując się pod czapę lodową, te miliony ton zamrożonego oceanu, które miały uwięzić ich na trzy dni pod wodą. Życie każdego człowieka na „Columbii” zależało teraz od wielkiego reaktora atomowego GE PWR S6G.

Podawszy sternikowi kurs, Boomer podszedł do swojego zastępcy i kazał sobie streścić komunikat.

–Nie ma się co oszukiwać – zaczął z posępną miną komandor porucznik z Vermont. – Warunki po drugiej stronie Morza

Beauforta odbiegają na minus od przeciętnej. Zima długo w tym roku trzymała, a lata prawie nie było. Będzie problem z przejściem ostatnich stu mil do przylądka Barrow. Przez pierwsze pięćdziesiąt mil mamy dryfujący pak lodowy. Przez następne dwadzieścia, trzydzieści mil jest niewiele lepiej. A tam robi się już płytko. Na powierzchni nie da się rozwinąć dużej szybkości, ale i tak nie zamierzamy się wynurzać... Gdybyśmy się jednak wynurzyli, to nie wiem, czy znalazłoby się dla nas miejsce do popływania.

A tutaj jest zaledwie sześćdziesiąt metrów... Schodząc głębiej, żeby uciec z kioskiem przed brzuchem jakiejś góry lodowej, możemy stuknąć kilem w dno. Ciekawie by było.

Pomimo problemów, jakie ich czekały, Boomer się uśmiechnął.

–No nic, miejmy nadzieję, że na miejscu nie będzie tak źle.

–Tak.

Dwudziestego czwartego sierpnia o 22.00, kawałek na północ od 81 równoleżnika, „Columbia” przecięła linię litego szelfu lodowego na północny wschód od Grenlandii. Płynąc na głębokości stu osiemdziesięciu metrów, minęła niewidzialną granicę, na której kończy się północny Atlantyk, i znalazła się na Morzu Arktycznym. Wynurzyć miała się ponownie dopiero po drugiej stronie świata, na Oceanie Spokojnym.

W tym czasie dwa tropione przez „Columbię” Kilo, zmierzające do Szanghaju, znajdowały się tysiąc mil na wschód od niej i płynęły z szybkością dziesięciu węzłów przez Morze Barentsa w otoczeniu okrętów eskorty. O 23.55 znajdowały się czterdzieści dwie mile na północny zachód od cypla rosyjskiej wyspy Nowa Ziemia. Boomer płynący pod biegunem prosto jak strzełił na północ był już o dwieście pięćdziesiąt mil bliżej Cieśniny Beringa, która stanowiła ich wspólny cel. Jego okręt przemieszczał się dwa razy szybciej niż mały chińsko-rosyjski konwój. Jeśli reaktor „Columbii” nie nawali i pokrywa lodowa na to pozwoli, będzie na mecie pierwszy. Tak jak przewidywała Komórka Czarnych Operacji w SUBLANT.

O 00.30 komandor Dunning odwiedził w nastawni komandora porucznika Lee O'Briena. Główny inżynier pełnił tę wachtę w towarzystwie trzech swoich ludzi, w tym elektryka i szefa mechaników, Earla Connarda, który siedział przy panelu kontrolnym reaktora. O'Brien, gotów w ułamku sekundy zareagować na jakie-

kolwiek odstępstwa od normy, śledził wskazanie mocy – energii uwalnianej przez rozszczepiające się atomy uranu.

Oderwał na chwilę wzrok od przyrządów, by spojrzeć na wchodzącego kapitana.

–Czołem – zawołał wesoło. – Wszystko chodzi jak w zegarku. Nie ma o czym meldować.

–Dobra robota, Lee – powiedział Boomer. – Mamy tu głęboko... nie dałoby się jej rozbujać do trzydziestu węzłów?

–Nie widzę przeszkód. Im prędzej wydostaniemy się z tej zmarzniętej pułapki na szczury, tym lepiej, dobrze mówię?

–Z ust mi to wyjąłeś, Lee. Wpadnij do mnie po wachcie na kawę.

Następnie Boomer zszedł dwa pokłady niżej do pomieszczenia z urządzeniami wchodzącymi w skład systemu oczyszczania powietrza na okręcie. Zastał tam mechanika Cy Burmana regulującego płuczkę dwutlenku węgla. Tak nazywa się w marynarskim żargonie zespół filtrów, które kontrolują i utrzymują na niskim poziomie zawartość dwutlenku węgla – zabójczego, zdradliwego gazu, który uśmierciłby całą załogę, gdyby ciśnienie powietrza na okręcie wzrosło i zawartość CO₂ przekroczyła cztery procent. Boomer, obserwując pracującego Cy, uświadomił sobie, że w rękach tego człowieka spoczywa teraz życie ich wszystkich. Zamieniwszy z nim kilka słów, wyczuł, że mechanik jest zdenerwowany.

–Jakiś problem, Cy? – spytał.

–Nie, panie komandorze. Wszystko w porządku. Chciałem tylko trochę podregulować – tak dla świętego spokoju. Wolę, żeby wszystko tu pracowało bez pudła, dopóki siedzimy pod tym lodem bez widoków na zaczerpnięcie w najbliższym czasie świeżego powietrza.

Nie wpłynęli jeszcze pod pak dalej niż na sto mil, a atmosfera na okręcie zaczynała się już robić nerwowa. W centrali Boomer zastał wachkę czuwającą nad kursem i głębokością zanurzenia mknącej pod grubym lodem „Columbii”.

W drugim końcu pomieszczenia, gdzie znajdują się systemy nawigacyjne, zobaczył długi ślad głębokościomierza sondującego regularnie mało tutaj zbadane dno oceanu. Wykres na ekranie, rysowany na podstawie samotnych ech wracających jedno po drugim z trzymilowej lodowatej głębi, był pokrzepiająco gładki.

Boomer przeniósł wzrok na młodego Wingate'a pochylającego się nad podoficerem, który obsługiwał detektor lodu. Czekali

na polinę, wpatrując się w pisak kreślący gwałtownymi ruchami profil grubego na dwanaście metrów lodowego stropu rozciągającego się sto pięćdziesiąt metrów nad kioskiem „Columbii”.

–No i jak? – spytał Boomer, podchodząc do nich.

–Dosyć równo, panie kapitanie, grubość około dwunastu metrów – odparł podoficer. – Ale piętnaście mil wcześniej pisak nagle zwariował i wyrysował długachną, skierowaną do dołu szpilę, jakby stalaktyt... sięgała jakieś trzydzieści metrów w głąb.

–To grzbiet zwałów lodowych – wyjaśnił Boomer. – Trzeba na nie uważać... może nie na tej głębokości, bo żaden nie ma stu osiemdziesięciu metrów, ale mogą osiągać do czterdziestu metrów i lepiej się na coś takiego nie nadziać. Nie tylko paskudnie wyglądają, ale też są twarde jak beton.

–Zawsze się zastanawiałem – wtrącił porucznik Wingate -skąd się biorą.

–Powstają na skutek napierania na siebie tafli lodu. Wyobraź sobie dwie ogromne kry o masie miliardów ton każda, które pchane wiatrem albo niesione prądem zderzają się czołowo... ogromna siła kolizji wyciska do dołu te wybrzuszenia. Przez całą drogę pod biegunem, aż do północnego wybrzeża Alaski, będą one naszymi największymi wrogami. Kiedy zobaczycie na tym urządzeniu skierowaną do dołu szpilkę, to znaczy, że zbliżamy się do jednego z nich.

–Rozumiem. Aha, a co z górami lodowymi?

–Tu ich nie spotkamy. Pak nad nami jest zbyt zwarty. Z lotu ptaka wygląda jak olbrzymi patchwork zszyty z setek pływających łat niektórych o powierzchni wielu mil kwadratowych. Są ściśnięte, ale niekoniecznie ze sobą spojone, nie tworzą litego pola lodowego. Każdy taki element jest odrębną całością, dryfuje, ściera się z sąsiadami, i to wszystko dzieje się teraz tuż nad naszymi głowami. Góry lodowe to co innego – to ogromne bryły, które odłamały się od lądolodu albo od krawędzi polarnego paku i dryfują po morzu. Tu nie miałyby się jak odłamać ani gdzie odpłynąć. Ale spotkamy je później, w pobliżu Cieśniny Beringa.

–Rozumiem.

Przez całą jasną noc polarną „Columbia” sunęła Rynną Leny przez mroczną głębię prosto na północ. O 7.00 porucznik Wingate wyznaczył kurs na plateau Morrisa Jesupa, jeden z najsłynniejszych arktycznych podmorskich płaskowyżów, gdzie leżące na głębokości trzech tysięcy trzystu metrów dno zaczyna piąć się

równomiernie, by półtorej mili dalej zakończyć tę wspinaczkę na głębokości zaledwie tysiąca metrów. Głębokościomierz Dave'a Wingate'a przetwarzający echa odbite od dna wykazał, że to zaczyna się wznosić. Profil był stosunkowo płaski.

Tutaj, nad plateau Morrisa Jesupa, nawigator poprosił Boomera o zmianę kursu.

–Centrala – tu kapitan... ster w lewo na kurs trzy-trzy-zero, ale powoli, z czuciem, szybkość bez zmian dwadzieścia pięć, głębokość sto osiemdziesiąt.

Idąc tym kursem, „Columbia” miała minąć biegun od południa w odległości dwustu mil, gdzie głębokość wzrasta znowu do trzech tysięcy metrów, i uniknąć w ten sposób zjawiska południkowej ruletki grożącego utratą orientacji.

Boomer nakazał utrzymywanie przez cały dzień szybkości dwudziestu pięciu węzłów i zalecił rozpoczęcie wypatrywania polinii około godziny 23.00. Mniej więcej o północy chciał się wynurzyć, nadać meldunek do SUBLANT i przejąć ewentualne nowe komunikaty przeznaczone dla nich. Następnie przeszedł do pomieszczenia nawigacyjnego, żeby ustalić pozycję, na której w tym czasie będą. Okazało się, że w okolicach Wypiętrzenia Halla, spory kawał na południe za biegunem północnym.

Przez całą noc był na nogach, postanowił więc trochę się przespać i o godzinie 8.00 przekazał formalnie okręt swojemu zastępcy, który zaczynał właśnie przedpołudniową wachtę. Przespał twardo pięć godzin i obudził się dopiero na lunch, który specjalnie sobie zamówił: miska zupy pomidorowej z makaronem, stek wołowy, sałatka i góra frytek. Jego żona niewątpliwie skonfiskowałaby te delicje, zanim zdążyłby sięgnąć po widelec.

Boomer uśmiechnął się w duchu na myśl, że udało mu się ją przechytrzyć, i obficie posypał frytki solą, którą Jo również wyrwałaby mu z dłoni, zanim choć jedno ziarenko zdążyłoby spaść na talerz. Jeśli dobrze się zastanowić, Jo nie zachwyciłby też serowy dressing, którym polał sałatkę. Rzadko się zdarzało, żeby separacja z żoną nie doskwierała Boomerowi, ale w tej chwili, wobec uczyty, do której się zabierał, rad był, że nie ma tu Jo. Na piętnaście minut zawieszał swoje przywiązanie do żony. Komandor Dunning jadł z apetytem, przez cały czas uśmiechając się pod nosem.

O 15.30, w połowie drogi między plateau Morrisa Jesupa a Wypiętrzeniem Halla, Dave Wingate poprosił znowu o zmianę

kursu, by minąć z lewej strony biegun północny w odległości dwustu mil. Żyrokompasy działały bez zarzutu. Trzysta mil od prawej burty mieli Wyspy Królowej Elżbiety, ogromny, przysypany śniegiem archipelag przy północnym wybrzeżu Kanady. Od tego miejsca „Columbia”, płynąc na głębokości stu sześćdziesięciu metrów pod pakiem lodowym, będzie się kierować prosto na południe, w stronę Cieśniny Beringa.

Temperatura na pokładzie utrzymywała się na poziomie 22 stopni Celsjusza, wszyscy pracowali w samych koszulach, w mesie załogi wyświetlano na okrągło filmy. Nad nimi szalała być może arktyczna burza, wicher przemiatał czapę lodową i wszystko ścinał trzaskający mróz, ale we wnętrzu „Columbii”, odizolowanej od panujących na zewnątrz nieludzkich warunków, było zacisznie i przytulnie. Brakowało im tylko jednego: możliwości wynurzenia się w dowolnej chwili na powierzchnię. Każdy członek załogi zdawał sobie sprawę, że są uwięzieni pod pakiem lodowym. To właśnie odróżniało tę podróż od innych. Gdyby na okręcie zdarzyła się awaria, mechaniczna czy jakaś inna, „Columbia” stałaby się szybko ich wspólnym grobowcem. Chyba żeby Boomer i Mike Krause zdołali się nią przebić przez gigantyczny, twardy jak granit strop lodu.

Przez całe popołudnie płynęli nad głębokimi na trzy tysiące metrów oceanicznymi dolinami w stronę Wypiętrzenia Halla. Byli już w połowie drogi i nie mogli teraz zawrócić. Gdyby siadł reaktor, nie dociągnęliby na samych akumulatorach nawet do granicy paku lodowego, bo było do niej za daleko. Załoga zdawała sobie sprawę z ryzyka i straszliwych konsekwencji ewentualnej awarii, ale wszyscy starali się zachowywać jak najnormalniej zarówno na służbie, jak i w czasie wolnym. W powietrzu wisiało jednak napięcie. Na „Columbii” było ciszej niż zazwyczaj.

Od czasu do czasu skierowany w górę sonar wykrywał oczka otwartej wody, zdarzało się też, że ruchoma masa lodowa nad nimi pękała i między taflami pojawiały się wąskie prześwity. Ale 25 sierpnia wieczorem pak lodowy się zwał. Dave Wingate i Mike Krause od trzech godzin nie wykryli żadnej polinii.

Minęła 23.00. Oficer pokładowy kazał zmniejszyć szybkość o pięć węzłów i asystent nawigatora zaczął nerwowo wypatrywać w pokrywie lodowej jaśniejszej plamy arktycznego jeziora. Ale minęło kolejne trzydzieści minut i nic. Woda miała teraz jasno-błękitny odcień, co świadczyło, że grubość lodu jest tu mniejsza,

ale i tak mogła sięgać trzech metrów, gdyż „Columbia” płynęła od dłuższego czasu pod dryfującymi bryłami zanurzonymi na dobre piętnaście, dwadzieścia metrów.

Minęli grzbiet zwałów lodowych zwisający na głębokość prawie trzydziestu metrów i zaraz za nim Boomer wydał rozkaz podejścia bliżej powierzchni... głębokość siedemdziesiąt pięć metrów, szybkość piętnaście węzłów. Czterdzieści pięć minut później komandor porucznik Krause obserwujący przez cały czas monitor telewizyjny i ekran skierowanego w górę głębokościomierza wypatrzył w lodzie polinię. Miała ze dwieście metrów długości, ale była bardzo wąska.

–Może się nada – zawołał. – ZAZNACZYĆ POZYCJĘ. Ale trzeba będzie się dobrze przymierzyć i przygotować do gwałtownego wynurzenia.

Powiadomił dowódcę.

–Chyba mamy obiecującą polinię...

Po chwili Boomer był już w centrali.

–MASZYNY STOP! – padła komenda. – Zwalniamy i zawracamy, żeby jeszcze raz rzucić okiem.

„Columbia” zawróciła i wzniosła się na głębokość czterdziestu pięciu metrów. Boomer kazał wysunąć peryskop piętnaście metrów nad kiosk, żeby się dobrze rozejrzeć. To, co zobaczył, zmroziło go. „Columbia” unosiła się w wodzie pod wąziutką szczeliną obwieszoną po krawędziach przerażającymi, ostrymi jak brzytwy stalaktytami, których grubość przy podstawie sięgała sześciu metrów. Wznosząc się pionowo, mogłyby się między nimi prześlizgnąć. Najmniejsza odchyłka od pionu i nadzieje się na lodowe szpikulce strzegące polinii.

–Jezus, Maria – jęknął Boomer. – Schodzimy niżej. I TO JUŻ... Spieprzamy stąd!

„Columbia” wróciła na bezpieczną głębokość i przyspieszyła. Minęła północ, a oni wciąż wypatrywali przebłysku jasności, który wskazałby im drogę na powierzchnię. O 1.06 Mike Krause wreszcie coś zobaczył. Głębia pojaśniała, co sugerowało, że na górze jest polinia pokryta cienką warstewką lodu. Był to długi kanał między lodowymi płytami, szeroki na trzydzieści metrów i granatowy.

„Columbia”, choć nie rozwijała szybkości większej niż piętnaście węzłów, przesunęła się pod nim, zwolniła i zawróciła. Ustawienie się pod polinią zajęło dziesięć minut.

–Maszyny stop – rzucił Boomer Dunning. – Stery kierunku i głębokości w położenie neutralne... sprawdzić, czy wszystkie maszty opuszczone... przygotować się do pionowego wynurzenia.

Wyszasowano częściowo zbiorniki i okręt, uzyskawszy dodatnią pływalność, zaczął się powoli wznosić. Zastępca dowódcy zajął teraz stanowisko oficera zanurzeniowego, a oficer pokładowy, komandor porucznik Abe Dickson, stanął za nim, żeby spieszyć w każdej chwili z pomocą i uczyć się od Mike'a Krausego.

„Columbia” wznosiła się ku powierzchni. Zastępca meldował o głębokości, Boomer obserwował ekran monitora telewizyjnego. Po chwili znowu przeżył szok na widok lasu sześciometrowych lodowych lanc sterczących do dołu z południowej krawędzi po linii. Ale tym razem były dalej niż poprzednio i Boomer zawołał do Mike'a Krausego, żeby dalej powoli podnosił okręt. Teraz niepokoiło go najbardziej, że nie widzi zmarszczek na powierzchni wody; na monitorze wyglądała na zastygłą w bezruchu i twardą. „Columbia” będzie musiała przebijać się przez lód. Pytanie tylko, jak gruby?

Mike Krause zerknął na monitor i orzekł, że niezbyt, sądząc po natężeniu światła. Nie ulegało jednak wątpliwości, że polinię powleka warstwa lodu sięgająca z półtora metra pod powierzchnię.

I w tym momencie wynurzający się centymetr po centymetrze okręt uderzył o nią kioskiem i zadygotał od dziobu po rufę. Owszem, przebili się, ale jakim kosztem? Boomer kazał wyszasować jeszcze trochę główne zbiorniki balastowe i dokładnie o 1.27 „Columbia” wychynęła z oceanu na nie tknięte ludzką stopą śnieżne pustkowie. Płaskie bloki lodu z pokruszonej podstawy polinii ześlizgiwały się z kadłuba w świeżą wodę. detektor lodu na kiosku nie działał od chwili, kiedy staranowali kioskiem skorupę. Zastępca dowódcy podejrzewał, że uszkodzeniu uległ skierowany w górę głębokościomierz.

–Chyba było trochę grubiej, niż myśleliśmy – burknął. – Licho wie, co w nim trzasnęło... ale zaraz to sprawdzimy.

Boomer kazał wyszasować całkowicie główne zbiorniki balastowe, po czym wspiał się po drabince, otworzył pokrywę pierwszego, potem drugiego wjazdu i wyszedł w arktyczną białą noc. Mróz był trzaskający, a lekki wietrzyk od północy potęgował jeszcze poczucie zimna. Wokół rozciągała się biała, bezkresna płaszczyna. Gęsta jak płynny ołów woda, która wylała się z prze-

bitej polinii, płynęła leniwie na zachód wąskim strumykiem, wijąc się między krami. Było ciemniej, niż Boomer się spodziewał, w każdym razie nie tak jasno, jak mu się wydawało, kiedy z głębokości czterdziestu pięciu metrów patrzył w górę przez pak lodowy, ale oślepiająca biel śniegu robiła swoje i widoczność była znakomita.

Po chwili na mostek kiosku wysypała się grupa techników, żeby sprawdzić skierowany w górę głębokościomierz. Okazało się, że na skutek uderzenia uszkodzeniu prawdopodobnie uległ przetwornik. Mieli na pokładzie dwa zapasowe, co tylko częściowo rozwiązywało problem, ponieważ naprawy trzeba było dokonać w ekstremalnie trudnych warunkach. Pracowali na szczycie kiosku w dwudziestominutowych zmianach, narzędziami tak zimnymi, że gdyby nie rękawice, przywierałyby do skóry.

Temperatura na zewnątrz wynosiła trzydzieści stopni poniżej zera. Po wykonaniu połączeń elektrycznych będą musieli użyć dmuchawy nawiewającej ciepłe powietrze, żeby z powrotem uszczelnić urządzenie. Boomer, choć miał na sobie arktyczną kurtkę, spodnie, czapkę i gogle, po ośmiu minutach dygotał już z zimna.

Podniesiono maszt, żeby połączyć się z satelitą. Podali swoją pozycję i zamiary na najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Następnie odebrali przeznaczony dla nich komunikat, który zaledwie

przed trzydziestoma minutami nadszedł z SUBLANT.

*

K-9 i K-10 płyną nadal przez Morze Karskie na wschód. W towarzystwie uprzednio wyszczególnionej eskorty. 26 sierpnia, godzina 1.00, pozycja 78.00N; 90,00E, szybkość dziesięć węzłów na powierzchni. Kierują się do Cieśniny Wilkického po południowej stronie wyspy Bolszewik. Pomyślnych łowów.

Boomer udał się z tym komunikatem do pomieszczenia nawigacyjnego. Porucznik Wingate wyszukał stosowną mapę i zaznaczył miejsce, gdzie amerykański satelita sfotografował ostatnio rosyjski konwój. Następnie dokonał paru pomiarów i orzekł stanowczo:

–Uda się, panie kapitanie. Mamy czterysta osiemdziesiąt mil bliżej Cieśniny Beringa... i szybciej od nich płyniemy.

Na górze mechanicy i dwaj elektrycy, zmieniając się raz po

raz, instalowali na trzaskającym mrozie nowy przetwornik. W normalnych warunkach powinno im to zająć około godziny, tutaj mozolili się już drugą.

I pracując, czuli i słyszeli nadciągający z północy front atmosferyczny. Wiatr się wzmagił, ale jeszcze bardziej niesamowity był stłumiony ryk dobiegający z odległości kilku mil. O 3.00 ujrzeli na horyzoncie wypiętrzoną falę lodu, która z grzmotem i trzaskiem toczyła się wolno w ich kierunku. Kapitan był akurat na mostku. Skierował lornetkę na północ, by przyjrzeć się lepiej temu arktycznemu zjawisku. Wicher zmiatał śnieg z grzbietu gigantycznej fali lodu sunącej ku „Columbii”.

– Tamten lodowy bałwan dotrze tu za godzinę i zgniecie nam okręt jak puszkę po piwie – krzyknął Boomer. – Kiedy kończycie z tym przetwornikiem, chłopaki?

– ZA CZTERDZIEŚCI MINUT, PANIE KAPITANIE! – wrzasnął ktoś. – Jeszcze dwie uszczelki.

Boomer ponownie skierował lornetkę na północ i wyregulował ostrość na taflach lodu wypiętrzających się w wysoki na pięć metrów, a długi na kilkaset, skierowany ku górze grzbiet zwałów lodowych. Dotąd „Columbię” otaczały zewsząd bezkresne pola lodowe. Teraz ten płaski arktyczny krajobraz w odległości dwóch mil od prawej burty przecinała postrzępiona ściana pokruszonego lodu.

Boomer oparł się łokciami o krawędź mostku, żeby wy-stabilizować lornetkę i spróbować ocenić szybkość przemieszczania się grzbietu. Wiatr wdzierający się pod okulary lornetki wyciskał mu z oczu łzy, które spływając po policzkach, natychmiast zamarzały.

Wypatrzył jednak ruch na grzbiecie. Widział w promieniach bladego słońca, jak wielkie bryły unoszą się i przewalają do przodu, krusząc swoim ciężarem lodową pokrywę i pchając przed sobą nowe odłamy.

– Jezus, Maria – mruknął pod nosem Boomer. – Idzie na nas, a ja wołałbym nie wracać pod powierzchnię z rozgrzebanym detektorem. Nie możemy tu jednak zostać, bo ta polinia wkrótce zacznie się zamykać i nas przytrzaśnie.

W tym momencie usłyszał świdrujące w uszach skrzypienie, a zaraz potem potężne „CHRUP!”, i na lodzie z lewej strony pojawiło się nagle długie na milę pęknięcie, które równie szybko z powrotem się zamknęło.

Boomer Dunning, choć spędził na morzu całe dorosłe życie,

nie widział jeszcze czegoś tak złowrogiego jak te przemieszczające się, grube kry wokół „Columbii”.

–Co z tymi uszczelkami? – zawołał do szefa elektryków, siląc się na spokój.

–Jeszcze trzydzieści minut, panie kapitanie... cholerny ziąb... palce mi całkiem zgrabiały... a muszę co chwila zdejmować rękawice, bo strasznie tu ciasno.

–Okay, sprężcie się – powiedział Boomer, ale w głębi duszy zaczął się obawiać, że ten wyścig może przegrać. Znowu skierował lornetkę na zbliżającą się z rumorem od północy niepowstrzymaną ścianę lodu.

Na mostek wyszedł Mike Krause opatulony w arktyczną odzież. Spojrzał instynktownie w kierunku, z którego dobiegał grzmot, i poderwał do oczu lornetkę.

–O, Jezu – jęknął. – Lepiej się stąd zmywajmy.

–O niczym innym nie marzę – odparł Boomer. – Ale nie zejdziemy przecież pod wodę z nie działającym detektorem. To się nazywa znaleźć się między młotem a kowadłem.

–Długo jeszcze będą się grzebać z tym przetwornikiem?

–Mówią, że trzydzieści minut.

–Jezusie. Ten zwał lodu zgniecie nas za dziesięć.

–Próbowałem oszacować, jak szybko się przemieszcza. To trudne... ale jedno wiem na pewno: jest o wiele bliżej niż przed piętnastoma minutami.

–Kurczę. I ten rumor jakby coraz głośniejszy. Jakby wyższy... jak zgrzytanie. To chyba kiy trą jedna o drugą. Wyobrażasz sobie, jaka to musi być siła?

–Wyobrażam. I ciekaw jestem, jak daleko to się zaczęło... ile mil stąd wiatr albo prąd wytworzył tę falę.

Grzmot lodu przybrał raptownie na sile i po prawej burcie nastąpiły trzy silne eksplozje. To pękły wysokie na półtora metra ściany polinii, zasysając wodę. W wodę wokół „Columbii” posypał się grad wielkich lodowych odłamów.

We wnętrzu okrętu również wzrósł poziom hałasu, kiedy te małe góry lodowe o średnicy zaledwie trzech metrów, za to twarde jak żelazo, zaczęły się obijać o kadłub.

–Chłopaki, pora się stąd wynosić! – zawołał Boomer do elektryków. – Długo jeszcze?

–Jakieś piętnaście minut.

Grzmot lodu był już tak głośny, że musieli krzyczeć, by się

wzajemnie słyszeć. Po chwili przeszedł w niesamowity skowyt przywodzący na myśl zrywający się huragan albo upiorny, przeszywający wrzask. W tle raz po raz rozlegał się donośny trzask i łoskot przewalających się brył lodu.

Hałas był prawdziwie piekielny, ale większą grozę wzbudzały trące o siebie tafle lodu na popękanych krawędziach zamykającej się polinii. Kanał po prawej burcie, szeroki przed chwilą na trzydzieści metrów, miał już tylko dziesięć metrów szerokości i coraz bardziej się zwężał.

Boomer oceniał, że mają jeszcze maksimum dziesięć minut. Zdaniem Mike'a Krausego nie więcej niż pięć. Postrzępione bryły, istne obeliski epoki lodowcowej, pięły się po poprzedniczkach, 7 mrozącym krew w żyłach „KRRRRUMP” przewalały przez grzbiet i staczały na czoło zwału, który przybliżał się coraz bardziej do prawej burty okrętu.

–Jeszcze dwie minutki, panie kapitanie... tylko dwie minutki. Prawie skończyliśmy... długo może nie popracuje, ale parę dni wytrzyma.

Boomer starał się nie okazywać zdenerwowania.

–Dobra robota, chłopcy – powiedział i chwycił się krawędzi mostku, bo w tym momencie do polinii runął kawał lodu, burząc wodę i ocierając się ze świdrującym zgrzytem o kadłub okrętu. „Columbia” zakołysała się i po raz pierwszy podczas tego rejsu jej załoga poczuła strach.

Ale Boomer Dunning nadal wstrzymywał się z wydaniem polecenia opuszczenia mostku i zanurzenia. Upłynęły kolejne dwie minuty. Krawędź polinii dotykała już prawej burty, pchając okręt w poprzek zwężającego się kanału. Ci na górze słyszeli teraz tylko grzmot przemieszczającego się lodu.-

Okrzyk elektryka „Gotowe, panie kapitanie!” porwał wicher. Boomer i jego zastępca zorientowali się, że nowy przetwornik został wreszcie zainstalowany dopiero wtedy, gdy pięciu techników rzuciło się do włazu i zaczęło znikać w nim jeden za drugim. Dwaj z nich nie mieli czucia w odmrożonych palcach.

–Opuścić mostek! – wrzasnął Boomer, przekrzykując trzask pękającego lodu. Zbiegli z Mikiem Krausem po drabince za technikami. Zamknięto i zaryglowano włazy i tuż przed 4.00 Boomer kazał otworzyć odwietrzniki i zawory zbiorników balastowych, i doprowadzić do ujemnej pływalności, w celu zanurzenia okrętu.

„Columbia” zaczęła znikać pod zdradliwym gruzem prze-

mieszczającej się czapy lodowej, który wkrótce miał pokryć polinę. Skierowany w górę głębokościomierz działał bez zarzutu. Na czterdziestu pięciu metrach Boomer podał nowy kurs:

–Jeden-dziewięć-zero... szybkość dwadzieścia pięć... głębokość sto osiemdziesiąt.

Rozpoczynali kolejny długi, ośmiusetmilowy etap trasy przebiegający lekkim łukiem nad sięgającą na trzy tysiące metrów głębią Basenu Kanadyjskiego. Przy stałej szybkości dwudziestu pięciu węzłów pokonają go w ciągu trzydziestu dwóch godzin... Będzie wtedy 11.30 rano 27 sierpnia. W tej chwili nie wiedzieli jeszcze, czy po wyjściu spod czapy lodowej i znalezieniu się na Morzu Beauforta będą się mogli wynurzyć. Komunikat lodowy nie sygnalizował żadnych zmian w tamtym rejonie. Ale tym będą się martwili później. Teraz liczyła się tylko ucieczka w ostatniej chwili przed żelaznym uściskiem zwierającego się arktycznego lodu. Potem mogło być tylko lepiej. O wiele lepiej.

W połowie drogi, czterysta mil na południe od Wypiętrzenia Halla, przetną 80 równoleżnik. Boomer nie spodziewał się zastać tam odpowiednich warunków do wynurzenia, a zresztą nie było na to czasu. „Columbia” musiała przede wszystkim wysforować się jak najdalej przed Kilo i spokojnie zająć pozycję, by następnie, zapewniwszy sobie przewagę tropiciela czekającego za ofiarę w zasadzce, wykorzystać element zaskoczenia. Boomer nie miał zamiaru tracić cennych godzin na próby ponownego przebijania się przez tę cholerną czapę lodową po to tylko, żeby uaktualnić posiadane już informacje... a zresztą jego zdaniem kości zostały rzucone. Rosjanie, tak jak on, kierowali się na Cieśninę Beringa. Znał ich kurs, Ich maksymalną szybkość, wiedział, dokąd płyną. I chciał tam być na długo przed nimi.

Wszedł znowu do pomieszczenia nawigacyjnego i wyciągnął dużą, szczegółową mapę wszystkich oceanów oblewających wierzch kuli ziemskiej. Mierzył i sprawdzał. Kiedy „Columbia” wyjdzie dokładnie naprzeciwko przylądka Barrow spod stałego lodu, będzie miał stamtąd do cieśniny sześćset mil na południowy wschód. Dokładnie w tym czasie, 27 sierpnia o 11.30, Kilo będą się znajdowały tysiąc dwieście mil na północny zachód od cieśniny, za Wyspami Nowosyberyjskimi, na płytkich, zimnych wodach Morza Wschodniosyberyjskiego. Jeśli warunki po jego stronie Morza Czukockiego nie pogorszą się drastycznie, wygra ten wyścig bez trudu. I Rosjanie nic na to nie poradzą. |

Czas płynął szybko, zmieniały się wachty, Boomer na każdy posiłek jadł frytki, głębokościomierze działały: jeden macał zmrożonymi palcami kontury odległego dna; drugi, ten skierowany w górę, odwzorowywał beznamiętnie nieregularny profil lodowego stropu nad okrętem.

Przez całą drogę było widno, żaden z napotykanych grzbietów zwałów lodowych nie sięgał głębiej niż na trzydzieści metrów. Po trzydziestu dwóch godzinach, 27 sierpnia, tuż po 11.00, „Columbia” wpłynęła na Morze Beauforta, chociaż można było tego nie zauważyć, ponieważ nad okrętem nadal rozciągał się zwarty pak lodowy. Kierowali się prosto na przylądek Barrow.

Pierwsze pięćdziesiąt mil było rutyną, bo głębokość ani razu nie spadła poniżej dziewięciuset metrów, ale potem dno zaczęło się podnosić. Po dwóch godzinach od dna dzieliło ich sto pięćdziesiąt metrów. Boomer wolał nie podchodzić bliżej brzegu i trzydzieści mil od przylądka nakazał zmianę kursu:

–Ster w prawo na dwa-dwa-pięć... szybkość dwanaście... głębokość sześćdziesiąt...

Wiedział, że zbliżają się do najniebezpieczniejszego etapu podróży, do osławionych płycizn wschodniego Morza Czukockiego. Powierzchnia usiana była gęsto grubym dryfującym lodem. W ciągu godziny minęli nawet dwa sięgające głęboko grzbiety zwałów lodowych. Boomer najbardziej się obawiał, że będą musieli unikać zarówno takich grzbietów, jak i gór lodowych, a jednocześnie zachowywać bezpieczną odległość od dna. Przy północno-zachodnim wybrzeżu Alaski, w okolicach przylądka Lay, głębokość wody mogła wynosić raptem dwadzieścia metrów, podczas gdy powierzchnię pokrywały masywne pływające kry.

Złe lato na Morzu Czukockim jest porównywalne z mroźną zimą na Grenlandii. Od przybrzeżnych pól lodowych Alaski i Syberii odłamują się potężne kawały, które następnie dryfują na południe. Kry takie miewają do dwóch mil długości, wpadają na siebie, wspinają jedna na drugą, ta, która znajdzie się na wierzchu, wciska spodnią pod wodę nawet na głębokość dwudziestu metrów. Przypominają głęboko zanurzone góry lodowe, tyle że praktycznie stacjonarne. Na Morzu Czukockim roi się od takich zagrożeń, ale rzadko występują one w sierpniu, i Boomer Dunning przeklinał pecha, który akurat jemu musiał zesłać taką pogodę.

Sunęli właśnie powoli wzdłuż wybrzeży Alaski, kiedy naraz igła jłębokościomierza skoczyła gwałtownie, rysując dwie gigan-

tyczne szpile skierowane w głąb. Podoficer obserwujący aparat zameldował, że coś się dzieje. Komandor porucznik Dickson i Mike Krause byli przy nim w mgnieniu oka.

–To, tutaj, to grzbiet zwału lodowego – powiedział powoli Krause. – Prawie na pewno wgnieciona pod wodę kra... ale za cholere nie wiem, co to za diabeł... – Pokazał palcem na drugą zanurzoną głęboko, na trzydzieści pięć metrów, przeszkodę z poszarpanym spodem. Przypatrywał się przez chwilę wykresowi, a potem syknął: – Jezu! Przecież to góra lodowa... i Bóg jeden wie, jak wielka.

–Głębokość? – zapytał Boomer, podchodząc do nich.

–Sześćdziesiąt metrów, panie kapitanie. Osiemnaście pod kilem.

–Musimy zejść głębiej – warknął Boomer. – Szybkość trzy węzły... zanurzamy się bardzo powoli, bez przegłębienia... meldować o szybkości.

–Tak jest. Pięć węzłów... spada.

–Piętnaście metrów pod kilem.

–Trzy węzły.

–Dwanaście pod kilem.

Kolosalny, błękitnoszary masyw góry lodowej mieli już zaledwie kilkadziesiąt metrów przed sobą, a pisak rejestratora nadal szybko opadał.

–MASZYNY STOP! – krzyknął Boomer.

Wiedział, że muszą przejść dołem, że innego wyjścia nie ma, i pokładał w Bogu nadzieję, że starczy na to miejsca i okręt nie wklinuje się między spód góry a dno. Gdyby uderzyli w górę, uszkodzeniu uległby prawdopodobnie kiosk. Ale najgorzej byłoby się zakleszczyć. Bo to oznaczałoby powolną śmierć w męczarniach, najpewniej z głodu, bo świeżego powietrza, ciepła i wody reaktor mógł dostarczać w nieskończoność.

Cała czwórka wpatrywała się z napięciem w pisak. Nikt się nie odzywał. „Columbia” sunęła nadal w przód, teraz z szybkością niespełna jednego węzła. Pod kilem mieli niecałe pięć metrów wody i siedmiotysięcznotonowy okręt pełzył z opuszczonymi peryskopami i masztami jak kłusownik, który przeczołguje się chyłkiem pod płotem.

Tyle że ten płot miał prawie sto osiemdziesiąt metrów szerokości i nierówny spód. Kiosk „Columbii” dzielił od niego zaledwie niecały metr.

–Trzy metry pod kilem.

Nie było to wiele, a robiło się jeszcze mniej. Pisak wciąż opadał, wykazując półmetrowe wyrzucenie lodu u podstawy -i to nie guz, lecz długą pręgę. „Columbia” nie mogła zawrócić ani nawet skręcić. Mogła się co najwyżej wycofać. Ale sunęła naprzód.

–Półtora metra pod kilem – oznajmił ze spokojem podoficer.

Zamarli pewni, że zaraz poczują wstrząs, który będzie świadczył, że uderzyli kioskiem w spód góry lodowej, albo usłyszą zgrzyt, z jakim kil poszoruje po dnie.

Przebycie tych dwustu metrów pod górą lodową trwało całą wieczność, ale w końcu pisak znowu ożył i zaczął kreślić wznoszącą się linię. Dno opadło, linia poszybowała stromo ku powierzchni, góra lodowa została za rufą. „Columbia” przeszła pod nią, pełzając niemal pod dnie, ale przeszła.

–Szybkość trzy węzły – rzucił kapitan. – Sternik, bez prze-głębień w górę na czterdzieści pięć metrów. Nąd nami czysta woda...

Trzy godziny później, 28 sierpnia o 5.30 rano, wyszli na wody wolne od grubego lodu. Nadal w pobliżu dryfowały sporadycznie jakieś jego małe okruchy, ale można się już było bezpiecznie wynurzyć na peryskopową i nawiązać łączność z satelitą. Czekał na nich komunikat z SUBLANT. Kilo sfotografowano nieco ponad tysiąc mil na północny zachód od cieśniny... dzieliło je od niej jeszcze cztery dni drogi. Boomer miał mnóstwo czasu, żeby zająć pozycję i przygotować się do ataku.

Podał swoją aktualną pozycję, kurs i szybkość, i poinformował dowództwo w Norfolk, że skręca od przylądka Lay na południe w kierunku wąskiej, przemiatanej przez radary Cieśniny Beringa, która oddziela USA od byłego Związku Radzieckiego.

Głębokość wynosiła tam zaledwie trzydzieści metrów i o każdej porze roku spotkać można było dryfujący lód. Boomer zamierzał przejść przez nią samym środkiem, a następnie ominąć od zachodu Wyspę św. Wawrzyńca, nie opuszczając jednak amerykańskich wód terytorialnych. Nie mogli na tych płytkich wodach rozwinąć dużej szybkości, musieli też uważać na rzadko spotykane, ale wciąż niebezpieczne kry, które unosiły się tuż pod powierzchnią.

Jeśli dopisze im szczęście, będą mieli trzy, cztery dni na przygotowanie zasadzki. I lepiej, żeby to była dobra zasadzka. Jak

dotąd Rosjanie strzegli pilnie K-9 i K-10. A ponieważ spodziewali się ataku, zdwoją jeszcze czujność po wyjściu z Cieśniny Beringa, gdzie amerykańskie wody terytorialne zlewają się z rosyjskimi i gdzie amerykański atomowy okręt podwodny mógłby praktycznie bezkarnie zatopić dwa niczego nie podejrzewające Kilo. Różnica polegała na tym, że K-9 i K-10 miały się na baczności, były uzbrojone, silnie chronione i przygotowane do odparcia ataku.

Komandor Dunning zdawaj sobie sprawę, że „Columbia” może zostać ostrzelana. Wiedział też, że jego załoga musi dać z siebie wszystko. I dziękował Bogu za jeden paragraf zawarty w rozkazach, jakie otrzymał, paragraf, który czynił go śmiertelnie groźnym łowcą.

Paragraf podpisany przez samego szefa operacji morskich i zatwierdzony osobiście przez prezydenta Stanów Zjednoczonych:

W razie zagrożenia atakiem ze strony sił zbrojnych jakiegokolwiek obcego państwa dowódca upoważniony jest do zastosowania w samoobronie wszelkich dostępnych środków.

Znaczyło to, że może pierwszy otworzyć ogień. Bo czekając, aż salwę odda przeciwnik, mógłby już nie mieć po temu okazji.

ROZDZIAŁ TRNASTY

Późnym popołudniem 30 sierpnia „Columbia” przeszła nie wykryta przez Cieśninę Beringa. Boomer skierował okręt na Wyspę św. Wawrzyńca, na jej północno-zachodni cypel Gambell, i zmniejszył szybkość na tych szerokich wodach, gdzie Morze Beringa zaczyna się wlewać do wielkiej syberyjskiej Zatoki Ana-dyrskiej, która ma dwieście mil szerokości i wcina się na sto pięćdziesiąt mil w ląd.>

Gdybym był pewien, że wybiorą trasę prowadzącą wzdłuż wejścia do tej zatoki, myślał Boomer, właśnie tutaj bym ich przygwoździł. Mam jednak wątpliwości. Bo ja bym tego na ich miejscu nie zrobił. Wpłynąłbym do zatoki i trzymałbym się blisko brzegu, nie dalej niż dwanaście mil od rosyjskiej ziemi. W ten sposób zmusiłbym ewentualnego napastnika, który zamierza mnie tu zaatakować, do złamania prawa międzynarodowego. Maksymalnie utrudniłbym zadanie takim jak my gościom.

Choć było tu płytko, Boomer kontynuował podróż w zanurzeniu, skryty w cieniu Wyspy Św. Wawrzyńca. Wszyscy byli radzi, że czapę lodową mają już za sobą. Technicy wykorzystywali czas na prace konserwacyjne i rutynowe kontrole aparatury. Tor-pedyści też nie próżnowali, mając świadomość, że w decydującym momencie będą musieli działać szybko i skutecznie. Jeden błąd z ich strony i cała wyprawa zakończy się fiaskiem.

„Columbia” znajdowała się tysiące mil od domu i prowadziła czarną operację. Tylko garstka ludzi wiedziała, gdzie jest. Dowódca nie życzył sobie żadnych błędów, potknąć ani

nonszalancji. W regularnych odstępach czasu łączyli się z satelitą i ściągali z niego precyzyjne codzienne komunikaty o pozycjach K-9 i K-10 oraz jednostek eskortującej je małej, ale silnej rosyjskiej armady.

Pierwszego września wczesnym wieczorem Wielki Ptak sfotografował Kilo, Typhoona i pozostałe okręty eskorty lawirujące wol-

no między krami. Kilo płynęły wciąż w wynurzeniu. Konwój znajdował się na zachód od Wyspy Wrangla, leżącej w połowie drogi między granicą polarnego lodu, a nie kończącym się zmrożonym wybrzeżem Syberii, dokładnie na 180 południku. SUBLANT szacowało, że 3 września około północy okręty przetną 70 równoleżnik i mniej więcej o 14.00 wejdą w Cieśninę Beringa. Podobnie jak Boomer, SUBLANT podejrzewało, że skręca od razu w Zatokę Anadyrską i będą się trzymały blisko brzegu.

Boomer, rozważywszy sytuację, postanowił popłynąć dalej na południowy wschód i gdzieś tam, przy brzegu, wybrać miejsce na zasadzkę. Z rejonem zatoki wiązało się zbyt wiele niewiadomych; między innymi nie wiadomo było, jaką trasę wybierają Kilo i czy pozostaną w wynurzeniu. Przystudiowali z Mikiem Krausem mapy i doszli do wspólnego wniosku, że najlepiej będzie minąć zatokę i popłynąć do oddalonego od niej dwieście trzydzieści mil na południowy wschód Przylądka Olutorskiego.

Boomer był przekonany, że najlepiej zacząć się na konwój trzydzieści mil na północny zachód od przylądka.

–Jeśli będą płynęli blisko brzegu, wpadną prosto na nas; jeśli się od niego niespodziewanie oddalą, dowiemy się o tym dzięki satelitom, przemieścimy się dalej na południe i tam na nich zaczekamy.

Drugiego września Kilo, w otoczeniu niszczycieli eskorty, szły przez cały dzień z szybkością ośmiu węzłów ściętymi lodem pływającymi południowego Morza Czukockiego. Przodem parł gigantyczny lodolamacz. Konwój przeciął krąg polarny i zaraz potem skręcił ostro w prawo za wielkim kwadratowym półwyspem północno-wschodniej Syberii.

K-9 i K-10 weszły w Cieśninę Beringa w południe 3 września, tam natychmiast zmieniły kurs na dwa-dwa-pięć i popłynęły wzdłuż syberyjskiej linii brzegowej. Kiedy jednak do Fort Meade nadeszły zrobione przez Wielkiego Ptaka zdjęcia rejonu oceanu, w którym powinny się znajdować o godzinie 19.00 czasu lokalnego, widać było na nich tylko cztery okręty eskorty, lodolamacz i statek zaopatrzeniowy. Trzy okręty podwodne zniknęły bez śladu. Oba Kilo i Typhoon musiały zanurzyć się wcześniej gdzieś na zachód od Wyspy św. Wawrzyńca, prawdopodobnie tuż przy linii podziału wód terytorialnych, po jej rosyjskiej stronie.

Na Wschodnim Wybrzeżu Ameryki była 4.40 rano. Oficer dyżurny z Fort Meade, porucznik John Harrison, obejrzał zdjęcia

satelitarne z wyraźną konsternacją. Zgubienie K-9 i K-10 w tej fazie gry z jego punktu widzenia kwalifikowało się do wszczęcia alarmu. Stał bezradnie ze słuchawką telefonu w rękę, modląc się w duchu, by admirał Morris choć ten jeden raz sam się obudził i odebrał. Ale jak dotąd szefowi nigdy się to w środku nocy nie zdarzyło, i nie zdarzyło się tym razem. Porucznik Harrison przekazał nadzór nad całodobowym dozorem wywiadowczym swojemu zastępcy i wypadł jak bomba na korytarz.

Cztery minuty później był już przy łóżku śpiącego kamiennym snem dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i pozapalawszy wszystkie światła, przystąpił do wyrywania admirała z letargu. Szef, jak zwykle, rozbudzał się powoli, pomrukując z mieszaniną oburzenia i wisielczego humoru.

–Lepiej, żeby to było coś ważnego, poruczniku – wychrypiał. – Naprawdę ważnego, rozumiano?

–Zrozumiano, panie admirale. '

–No gadajcież, na miłość boską. Co tam się, u diabła, urodziło?

–Z ostatnich zdjęć satelitarnych wynika, że zgubiliśmy K-9 i K-10, panie admirale. Albo się zanurzyły, albo się nam wymknęły. W obu przypadkach sytuacja nie przedstawia się różowo. Eskorta wciąż tam jest, ale wszystkie okręty podwodne zniknęły.

–O Jezu! Za trzy minuty tam jestem. Niech przed wejściem czeka samochód.

O 5.30 w Fort Meade zjawił się admirał Arnold Morgan. Razem z admirałem Morrisem obejrzeni zrobione przez satelitę zdjęcia.

–Ta eskorta wciąż płynie w swego rodzaju szyku – zauważył doradca do spraw bezpieczeństwa. – Niewykluczone, że okręty podwodne są nadal tam, gdzie były... tylko pod wodą.

–Tak, to możliwe. Ale nie możemy przyjąć takiego założenia, bo nie jest też wykluczone, że jednak nawiąły. Na dwoje babka wróżyła. Zanim przyjechałeś, porobiłem trochę obliczeń. Od Cieśniny Beringa do Szanghaju, dokąd według mnie zmiierzają, jest trochę ponad cztery tysiące mil. Jeśli zaraz po wyjściu z cieśniny dotanko-wali Kilo z tego wielgachnego statku zaopatrzeniowego, to płynąc pod wodą z szybkością ośmiu węzłów, byłyby tam za dziewiętnaście dni... wynurzając się po drodze tylko kilkanaście razy, żeby pochrapać, i szanse na dopadnięcie ich na tamtejszych wodach wokół Japonii... cóż, oceniam je na bliskie zero.

–Kurwa mać – mruknął Arnold Morgan.

O bladym świcie nad zatoką Chesapeake pojawił się samotny helikopter piechoty morskiej. Nadleciał zza latarni morskiej na Cape Charles, zniżył lot i skręcił w kierunku bazy marynarki wojennej w Norfolk. Siedem minut wcześniej wylądował tam inny śmigłowiec z szefem operacji morskich na pokładzie, który przyleciał z Waszyngtonu. Była 7.15.

–Dzień dobry, Arnie – powiedzieli zgodnym chórem admirałowie Joe Mulligan i Dixon. A szef operacji morskich dodał: -Słyszałem, że znowu wdepnęliśmy w wielkie gówno.

–To się jeszcze okaże – odparł admirał Morgan. – K-9 i K-10 znikły nam z oczu. Ale to jeszcze nie oznacza, że skubańców nie ma już tam, gdzie byli.

–Mogę obejrzeć te zdjęcia?

–Proszę bardzo. Oglądaj. Jak się dobrze przyjrzysz, z pewnością zauważysz, że okręty eskorty najwyraźniej nadal zachowują szyk.

–Zgadza się. Na to wygląda. Gdzie jest w tej chwili „Columbia”?

–Z ostatniego meldunku satelitarnego wynika, że Boomer skierował się na południowy wschód. Doszedł do słusznego wniosku, że przeprowadzenie ataku u wejścia do tej wielkiej zatoki byłoby przedsięwzięciem zbyt skomplikowanym i postanowił zająć pozycję patrolową na współrzędnych 60,15 północnej i 171,30 wschodniej. To mniej więcej trzydzieści mil na północny wschód od Przylądka Olutorskiego. Jeśli wszystko poszło dobrze, powinien już tam być.

–Kiedy można się spodziewać następnych zdjęć satelitarnych? – spytał szef operacji morskich.

–Na pewno nie w ciągu najbliższych osiemnastu godzin -odparł Arnold Morgan. – A do tego czasu okręty eskorty powinny przebyć dalszych sto sześćdziesiąt mil... albo idąc w poprzek wejścia do Zatoki Anaayrskiej, albo skręcając w nią i płynąc wzdłuż brzegu.

–Czyli następne zdjęcia będą miały decydujące znaczenie -mruknął Joe Mulligan.

–Nie da się ukryć – przyznał John Dixon. – Jeśli nie wpłynęli do zatoki, to moim zdaniem możemy założyć, że okręty podwodne nadal są z nimi. Jeśli płyną wzdłuż wybrzeża, robi się to trochę mniej prawdopodobne. Skoro jednak utrzymują wciąż

зык eskortowy, to nie wydaje mi się, żeby Kilo nawiały tatusiowi. Zwłaszcza że eskorta idzie nadal z szybkością dziewięciu węzłów... idealną, żeby nowiutki okręty podwodne mogły sobie od czasu do czasu pochrapać.

Admirał Morgan rozważał coś przez chwilę.

–No i popatrzcie – odezwał się. – Wystarczyło, żeby te małe dranie się zanurzyły, a już mamy kłopoty z ich namierzeniem. Jeśli ktoś uważał, że przesadzamy, obawiając się ich w składzie chińskiej marynarki wojennej, to teraz chyba jego wątpliwości zostały rozwiane.

–Tak, masz rację – przyznał admirał Mulligan. – Trzeba powiadomić „Columbię” o zmianie sytuacji. Niech przemiatają sonarem nie tylko wody przybrzeżne, ale i te na wschód od siebie, chociaż wątpię, żeby to coś dało. To jak szukanie igły w stogu siana, nie sądzicia?,

–Dla jednego okrętu podwodnego na pewno – przyznał admirał Dixon. – Chyba że uda nam się jakoś namierzyć Kilo i podać Boomerowi parę faktów, na których mógłby się oprzeć.

–No dobrze, panowie. Nic więcej tu nie wymyślimy. Pozostaje nam tylko obserwować i czekać.

Boomer ściągnął z satelity te niepomysłne wiadomości czwartego września o 4.00. Niewiele mógł na to poradzić, ponieważ znajdował się już czterysta mil na południowy wschód od ostatniej znanej pozycji eskorty, a nie wiadomo było jeszcze, jaką trasę obierze rosyjski konwój w swej tasiecowej podróży naokoło świata do Chin.

Dowódca „Columbii” mógł tylko nasłuchiwać i czekać... i nie tracić nadziei.

O 19.00 tego samego dnia wszytkowidząca kosmiczna kamera Wielkiego Ptaka sunęła swym okiem z wysokości dwudziestu tysięcy mil po mało uczęszczanych wodach południowo-wschodniego naroża syberyjskiej Zatoki Anadyrskiej. Wieczór był pogodny, jakość zdjęć idealna, treść pokrzepiająca. Do Fort Meade dotarły o 2.30. Admirałowie George Morris i Arnold Morgan natychmiast zabrali się do roboty i popijając kawę, próbowali wydedukować na podstawie tych fotografii taktykę przyjętą przez rosyjskie okręty.

Wielki Ptak sfotografował je na wysokości przylądka Nawa-rin: trzy niszczyciele – „Admirał Czabanienko”, „Admirał Lew-czenko” i „Admirał Charłamow” – oraz fregatę do zwalczania

okrętów podwodnych „Nieprzystupnyj” w trójkątnym szyku, niedaleko brzegu. Lodołamacz „Ural” wysforował się naprzód, gigantyczny statek zaopatrzeniowy został w tyle. Okazywało się, że konwój nie skręcił na zachód w zatokę, lecz przeszedł wzdłuż wejścia do niej, pokonując w ciągu dwudziestu czterech godzin dwieście dziesięć mil, a to oznaczało, że płyńcie nadal z szybkością dziewięciu węzłów, co z kolei oznaczało, że K-9 i K-10 najprawdopodobniej nadal z nim są. Płyną w zanurzeniu i pochrapują, ale są. Bo w przeciwnym razie konwój, nie spowalniany przez lód i Kilo, przyspieszyłby do piętnastu węzłów. Po dwudziestojednotysięcznotonowym Typhoonie nadal nie było śladu, co mogło świadczyć, że odłączył się i popłynął gdzieś we własnych sprawach.

–Moje malutkie – rozczulił się admirał Morgan. – Szybkość się zgadza. Dziewięć węzłów, dokładnie dwieście dziesięć mil. Te przebiegłe kutasy musiały się zanurzyć ze strachu przed nami. Dobrze się też składa, że najwyraźniej nie ma już z nimi Ty-phoona.

George Morris pozbierał zdjęcia. Arnold Morgan postanowił zdrzemnąć się ze trzy godzinki w swoim domu pod Montpelier, a potem wrócić helikopterem do Norfolk. Szofer Charlie miał siedzieć przez resztę nocy pod domem, a potem zawieźć admirała do Fort Meade, gdzie na lądowisku czekał helikopter.

Nazajutrz trzech admirałowie spotkali się znowu w Komórcie Czarnych Operacji w SUBLANT. Zuaniem admirała Dixona konwój będzie szedł mniej więcej tym samym kursem aż do Pietropawłowska, dużej bazy rosyjskiej marynarki wojennej na północnym Oceanie Spokojnym, siedemset mil na południowy zachód od Przylądka Olutorskiego. Admirał Dixon sądził początkowo, że właśnie do tego portu zmierza Typhoon. Ale Wielki Ptak jak dotąd go tam nie wypatrzył, z czego John Dixon wywnioskował, że Typhoon podjął patrol bojowy na Morzu Ochockim.

–Skoro tak – powiedział – to nasze szanse rosną. W okolicach Przylądka Olutorskiego głębokość w odległości dwunastu mil od brzegu wynosi sto osiemdziesiąt metrów. Czyli „Columbia” może tam sobie spokojnie czekać poza granicą rosyjskich wód i strzelać do Kilo z odległości czternastu mil w kierunku wybrzeża.

Trzej admirałowie zredagowali odpowiednie zalecenia, podkreślając, że Kilo najprawdopodobniej płyną dalej z konwojem, za

to Typhoon prawie na pewno się od niego odłączył. Komunikat zawierał następujące zdanie:

Jeśli uda wam się namierzyć i zidentyfikować Kilo, macie zezwolenie na otworzenie ognia bez ostrzeżenia.

Piątego września o 4.30 Boomer, który zdążył się już zorientować w grafiku przelotów satelity, wydał polecenie wyjścia na głębokość peryskopową. Ściągnął z satelity komunikat z SUB-LANT i przekazał własną ocenę sytuacji. Poinformował szefów marynarki, że wieczorem chciałby dostać jeszcze jeden namiar satelitarny, bo z jego wyliczeń wynika, że Kilo znajdują się wtedy na współrzędnych 60,40N; 173,30E, na północny wschód od niego, a sześćdziesiąt mil od przylądka, i chciałby się co do tego upewnić. „Columbia”, nie czekając na odpowiedź, zanurzyła się szybko z powrotem pod spokojne, ale zimne fale Pacyfiku.

Zajęli pozycję czternaście mil na wschód od syberyjskiego wybrzeża, milę od konturu wyznaczającego głębokość stu osiemdziesięciu metrów. Siedem mil od nich w stronę brzegu przebiegał kontur głębokości czterdziestu pięciu metrów i Boomer przypuszczał, że właśnie tamtędy, w odległości sześciu mil od brzegu, przejdzie rosyjski konwój składający się z trzech niszczycieli, jednej fregaty, dwóch dużych statków i dwóch płynących w zanurzeniu Kilo. Zdaniem jego i Mike'a Krausego pozycja do przeprowadzenia ataku była wymarzona. Za sobą mieli głęboki ocean, co pozwoli im umknąć przed ewentualnym kontratakiem. Niezłe były też warunki pracy dla sonaru, choć patrzyli nim „pod górkę” w kierunku hałaśliwych wód przybrzeżnych.

O 20.30 Boomer połączył się ponownie z satelitą i odebrał potwierdzenie z SUBLANT, że konwój płynie z szybkością dziewięciu węzłów. Wielki Ptak sfotografował go o godzinie 19.00 na pozycji 60,40N; 173,30E, czyli trochę ponad szesnaście mil na północny wschód od aktualnej pozycji „Columbii”.

Kiedy Boomer opuszczał maszty, sonar w centrali „Columbii” odbierał już pierwsze szumy emitowane przez zbliżające się rosyjskie okręty. Dowódcą wachty był akurat oficer systemów bojowych, komandor porucznik Jeny Curran. Szef aktywnego sonaru poskarżył się mu, że chyba zaraz ogłuchnie. Rzeczywiście hałas wywoływany przez potężną kawitację i liczne śruby zbliżających się rosyjskich okrętów był ogłuszający.

–Kapitanie – tu sonar... można pana prosić?

Boomer był tam w kilka sekund. Jego też zdumiał niezmierny huk rozchodzący się po wodzie i zamazujący kompletnie podwodny obraz.

–Nie ma w tym ładu ani składu – powiedział szef sonaru. – To zwyczajny chaos tak głośny i niezborny, że zagłusza wszystkie przebiegi motorów... totalna kakofonia. Mamy przebiegi wszystkich wałów i śrub w okolicy... i nie można się w tym dopatrzeć żadnego sensu.

Komandor porucznik Curran milczał zamyślony. Ten wysoki okularnik z Connecticut ukończył wydziały elektroniki i informatyki na Fordham i był w swojej dziedzinie wybitnym ekspertem. Jako światowej klasy brydżysta na pierwszy rzut oka rozpoznawał brutalną zagrywkę. A oślepiająca biel przebiegów na jego ekranach do takich się właśnie zaliczała.

–Wiedzą, że tu jesteśmy i odgradzają się od nas potężną, ogłuszającą barierą dźwięku – odezwał się. – Śruby tych niszczycieli, pchając okręt w przód, obracają się z szybkością stu obrotów na minutę, ale my nie tylko słyszymy śruby jednostek płynących do przodu... ale również cofających się... śruby obracające się z szybkością sześćdziesięciu obrotów na minutę w przeciwną stronę. Stąd ta niewiarygodna kawitacja. Kapitanowie tych rosyjskich okrętów puszczają jedną śrubę do przodu, a drugą do tyłu. Idą na to tony paliwa. Ale oni się tym nie przejmują, paliwa mają w bród.

–Jeśli rzeczywiście tak robią, to osiągną zamierzony efekt -odezwał się szef sonaru. – W życiu nie widziałem takiej ściany dźwięku.

–Tak, ściana jak się patrzy – przyznał Boomer. – Zaczyna się od płynącego przodem lodolamacza, wybiega łukiem w morze przedłużana przez cztery okręty eskorty i kończy na statku zaopatrzeniowym, który idzie siedem mil za lodolamaczem i zamyka pochód. To ich szyk... utrzymują go przez całą drogę wzdłuż tego wybrzeża. Kilo znajdują się prawdopodobnie za ścianą, może z milę bliżej brzegu. Nie widzimy ich i nie możemy usłyszeć. Nasze torpedy nie mają najmniejszej szansy. Nie wiemy, gdzie jest cel, nie wiemy nawet, czy cel rzeczywiście gdzieś tam jest. A co tu dopiero mówić o namierzeniu go, zidentyfikowaniu i przeprowadzeniu skutecznego ataku. I powiem wam coś jeszcze: jeśli oni traktują nas poważnie, to każdy z czterech okrętów eskorty holuje za sobą wabiki, które robią dodatkowy hałas.

„Columbia” znajdowała się teraz sześć mil w kierunku otwartego morza od najbliższego rosyjskiego okrętu eskortowego, którym była fregata.

–Musimy założyć, że mają włączony sonar aktywny – powiedział komandor porucznik Curran – a to znaczy, że mogą nas usłyszeć. Jeśli wynurzymy się na peryskopową, zobaczy nas radar... I przypuszczam, że kiedy tylko nas zobaczą albo usłyszą, zostaniemy zaatakowani. *

–Bardzo prawdopodobne. Jasny gwint – warknął głośno Boomer niezadowolony z odwrócenia się ról. – To my mieliśmy na nich polować, a nie odwrotnie... nie da się jednak zaprzeczyć, że ja nie mogę wziąć ich na cel. Jak tu się nie wkurzyć? I co ja mam z tym zrobić?

No nic, na razie odejdziemy na głęboką wodę i popłyniemy dalej na południowy zachód. Robią tyle hałasu, że ich raczej nie zgubimy... słychać chyba skubańców w samym Szanghaju. Potrzebuję trochę czasu do namysłu.

Kręcenie się tutaj nie ma sensu. Nie możemy oddać strzału, a sami możemy stać się celem... Ale wyjdziemy na moment na peryskopową i popatrzymy, co się tam dzieje. Z tego, co nam wiadomo, Kilo płyną teraz w wynurzeniu. Potem się zmywamy.

„Columbia” podeszła powoli pod powierzchnię i wysunęła peryskop, a następnie maszt inwigilacji elektronicznej ESM. Boomer przemiótł wzrokiem zachodni horyzont i po prawej, w odległości siedmiu mil, wypatrzył dwa najwyższe maszty najnowszego niszczyciela klasy Udałoj Typ Dwa. „Admirał Cza-banienko”. Za nim płynęły dwa niszczyciele starszego typu Jeden, i to wszystko. Nad mostkiem „Czabanienki” widać było wyraźnie charakterystyczne kształty dwóch wielkich anten Palm Frond.

Prawie natychmiast rozległ się podniecony głos operatora masztu ESM.

–Kapitanie, tu ESM... Mam co najmniej osiem radarów. Trzy z nich sygnalizują kontakt... znaczniki celu 2405, 2406 i 2407.

Komandor Dunning zareagował niemal instynktownie.

–Wszystkie maszty w dół – zawołał. – Sto metrów... szybkość osiem węzłów... lewy ster standardowy jeden-osiem-zero... Wycofujemy się.

„Columbia” zeszła na większą głębokość i przyśpieszyła, kierując się na wschód, ku głębszym wodom. Boomer Dunning

zobaczył już, co chciał: silną eskortę, przybliżony profil ściany chroniącej Kilo. Co więcej, ostrzeżenie od operatora ESM było jeszcze jednym dowodem, że Rosjanie spodziewali się amerykańskiego okrętu podwodnego.

*

052120WRZ. 60.40N; 173.30E. Na pokładzie dziewięcioletniego rosyjskiego niszczyciela „Admirał Czaba-nienko”.

Pomieszczenie radaru, operator numer trzy:

–Panie poruczniku, mam zanikający kontakt... tylko na trzech obrotach... komputer przydziela mu automatycznie znacznik celu 0416.

Oficer wachtowy do kapitana:

–Kapitanie, mamy tu zanikający kontakt radarowy, tylko na trzech obrotach... namiar jeden-pięć-pięć, odległość sześć mil od naszej lewej burty.

Kapitan do oficera wachtowego:

–Pewnie amerykański okręt podwodny, co? Można się było tego spodziewać. Ale nie stanowi dla nas zagrożenia. Nie usłyszy naszych Kilo, a już na pewno ich nie zobaczy. Skutecznie go ogłuszamy i oślepiamy. Nawet najbardziej stuknięty amerykański kowboj nie odpali torped do rosyjskich okrętów nawodnych płynących po rosyjskich wodach

terytoijailnych. A do podwodnych? O nich nic nie wie! *

„Columbia” płynęła na wschód. Po zejściu na większą głębokość Boomer przyspieszył, a potem wezwał do swojego małego gabinetu Mike'a Krausego, i razem przystąpili do redagowania meldunku dla SUBLANT. Oddaliwszy się od Rosjan na dwadzieścia pięć mil, odczekali jeszcze cztery godziny i o 23.00 wyszli na głębokość peryskopową, by przekazać przez satelitę, co następuje:

SYTUACJA:

1. A) Nie możemy atakować. Rosyjski konwój pozostaje w granicach czterdziestopięciometrowego konturu. Okręty

nawodne tworzą od strony otwartego morza długą barierę ochronną dla Kilo.

B) Intensywne i celowe zakłócenia akustyczne generowane przez okręty nawodne uniemożliwiają wykrycie Kilo sonarem. Nie jesteśmy więc w stanie dokonać identyfikacji akustycznej.

C) Fizyczne rozmieszczenie okrętów eskorty prowadzących aktywny nasłuch sonarowy i radarowy uniemożliwia mi podejście na tyle blisko, by dokonać wizualnej identyfikacji chrapiących Kilo – jeśli one w ogóle tam są.

D) Naturalnie nie jestem skłonny posyłać torped na chybił trafił, licząc na to, że same jakoś odnajdą Kilo na trudnych, płytkich wodach za akustyczną ścianą osłonową.

ZAMIARY:

2. A) Zaczekać, aż konwój dotrze do Pietropawłowska. Może tam zmniejszy się liczebność eskorty. B) Urządzić zasadzkę na głębokich wodach w pierwszym dogodnym miejscu. Moim zdaniem najlepiej będzie to zrobić na pozycji 49,90N; 154,54E, czyli między północnymi Wyspami Kurylskimi: Onekotan i Paramuszyr, trzysta mil na południe od Fietropawłowska. Spodziewany

czas znalezienia się na tej pozycji: 100800WRZ. *

Meldunek Boomera dotarł do Fort Meade o 6.30. Admirałowie Morris i Arnold Morgan czekali na niego całą noc z cichą nadzieją, że „Columbia” tuż za Przylądkiem Olutorskim posłała oba okręty Kilo na dno Pacyfiku. Ale prawdę mówiąc, sami w to nie wierzyli. Obaj zdawali sobie sprawę, że jest to misja bardzo trudna i że komandor Dunning musi działać w najbardziej niesprzyjających warunkach: stara się urządzić skuteczną zasadzkę, by zatopić dwa okręty podwodne płynące w zanurzeniu pod silną eskortą, która spodziewa się takiego ataku i która nie zawaha się użyć dział, wyrzutni torpedowych czy miotaczy bomb głębinowych.

Meldunek Boomera rozczarowywał, ale utrzymany był w profesjonalnym tonie. Boomer nie opuszczał jeszcze rąk i nadal planował atak. Obaj admirałowie wiedzieli, że jeśli dowódca „Columbii” dopnie swego, znajdzie się automatycznie na liście dowódców prze-

znaczonych do awansu na kapitana. Sprawa była właśnie dyskutowana Arnold Morgan domagał się natychmiastowego nagrodzenia zasług króla czarnych operacji. I nikt nie oponował.

Po trzydziestu minutach „Columbia” powróciła na głębokość peryskopową, by odebrać odpowiedź z SUBLANT. Odpowiedź ta była zwięzła i jednoznaczna:

Aprobujemy twój punkt 2B).

*

Admirał Zhang Yushu opuścił już swój letni dom na dalekim południu i wrócił z rodziną do Pekinu. Teraz przebywał służbowo w bazie chińskiej marynarki wojennej w Szanghaju, gdzie konferował z wiceadmirałem Yibo Yunshengiem, dowódcą Floty Morza Wschodniocińskiego, który przybył tam z oddalonej o sto mil na południe głównej kwatery floty w Ningbo, u wejścia do zatoki Hangchow. Narada dotyczyła oczekiwanego wkrótce przybycia dwóch nowych okrętów podwodnych klasy Kilo.

Obaj admirałowie, którzy ściśle współpracowali z rosyjskim admirałem Rankowem nad zapewnieniem bezpiecznej dostawy okrętów podwodnych, byli pewni zwycięstwa. Trzy Kilo już mieli, pięć stracili, prawdopodobnie w wyniku bezprawnej amerykańskiej interwencji, dwa ostatnie – Kilo 9 i Kilo 10 – miały wkrótce wejść do portu w Szanghaju i nie zanosilo się, by ktokolwiek im w tym przeszkodził.

Gdyby jednak do tego doszło, Rosjanie zobowiązali się za pieniądze wpłacone przez Chińczyków w formie zaliczki na pięć straconych Kilo dostarczyć pięć nowych Kilo. Głównodowodzącego i jego wieloletniego przyjaciela Yibo Yunshenga bardzo satysfakcjonowało takie rozwiązanie. Obaj przy każdej okazji podkreślali, że Kilo potrzebne są im tylko w celach obronnych i mają zniechęcić marynarkę amerykańską do naruszania chińskich wód terytorialnych. Ani razu nie zajaknęli się słowem, że za kilka miesięcy Kilo wezmą czynny udział w inwazji na Tajwan, co przyniesie krajowi niezmierne korzyści; tak jak to miało miejsce w przypadku reaneksji Hongkongu i Makau.

Przewodniczący znał zamiary Zhanga Yushu i swoich najstarszych, najbardziej zaufanych admirałów, i nie sprzeciwiał się im. Bo wiedział, że wszyscy oni traktują problemy Chin jak

własne i że są gotowi oddać życie za Chińską Republikę Ludową. A o takich ludzi nie było łatwo.

Admirałowie Zhang i Yibo od dwóch tygodni śledzili pilnie meldunki przekazywane przez satelitę do Centrum Łączności rosyjskiej Floty Pacyfiku we Władywostoku, a stamtąd bezpośrednim łączem do Szanghaju. Co dwadzieścia cztery godziny dowiadywali się, że oba Kilo, którym towarzyszą trzy niszczyciele, fregata, wielki podwodny nosiciel pocisków balistycznych, lodołamacz i statek zaopatrzeniowy, zbliżają się bez przeszkód północnym szlakiem wzdłuż wybrzeży Syberii do Chin.

Głównodowodzący zakładał, że jeśli Amerykanie zamierzali przygotować zasadzkę, to planowali ją urządzić w Przewężeniu GIUK na północnym Atlantyku, tak jak to prawdopodobnie uczynili w przypadku Kilo 4 i Kilo 5. Zakładał również, że ludzie z Pentagonu wpadli w szal, kiedy na jaw wyszedł chytry rosyjski plan skierowania się na wschód zamiast na zachód i przydzielenia Kilo silnej eskorty.

Z upływem dni, w miarę jak Rosjanie i admirał Yibo wpadali w coraz większy zachwyt dla swojej przebiegłości, ulicznika z Xiamen, który zdołał awansować na najwyższe stanowisko w chińskiej marynarce wojennej, zaczynały dręczyć złe przeczucia. To prawda, przyznawał Zhang, że Amerykanów musiał zaskoczyć ten fortel, ale przecież... znał dobrze ludzi z Pentagonu, znał ich bezwzględność, ich determinację i przekonanie, że tam gdzie chodzi o siłę militarną, wszystkie chwytaki są dozwolone. On był taki sam. Pochodził z innej kultury, z innego kraju, ale pod tym względem był do nich podobny.

Miał w ręku ostatni meldunek nadany przed dwoma godzinami, o 21.30, z niszczyciela "Admirał Czabanienko", gdzieś spod wschodniego wybrzeża Syberii. Przeczytał go po raz kolejny:

052120WRZ. 60,40N; 173,30E. Krótkotrwały kontakt zarejestrowany na trzech przebiegach radaru. Sześć mil od naszej lewej burty. Brak dostatecznych danych dla dokonania jednoznacznej identyfikacji. Nie powtórzył się. Mógł to być amerykański okręt podwodny. Do ataku nie doszło. Nie ma powodów do stosowania dodatkowych środków obrony. Bariera akustyczna spełnia zadanie. Amerykanie są bezradni, zwłaszcza że płyniemy po rosyjskich wodach terytorialnych.

Nic dodać, nic ująć. Ale admirała Zhanga, jako jedyne go spośród członków chińskiego najwyższego dowództwa, zaniepokoił ten meldunek. Po pierwsze nie bardzo wiedział, skąd mógłby się tam wziąć amerykański okręt podwodny.

–Jeden czekał prawdopodobnie na Kilo na północnym Atlantyku – mruknął do siebie. – Którędy mógłby przepłynąć, kiedy dowiedział się, że tam się na nie nie doczeka? Trasa przez Kanał Panamski jest za długa... Może wysłali na północ jeszcze jakiś z Pearl Harbor albo nawet z San Diego, ale zdziwiłbym się... Zależy im przecież na utrzymaniu swojej akcji dywersyjnej w jak największej tajemnicy. Nie chcą, żeby dowiedziała się o niej cała flota. Okręt podwodny, który tropi Kilo, musi być najlepszy, jaki mają. A to znaczy, że należy zachować wielką ostrożność. Nie podoba mi się ton rosyjskiego kapitana... zbyt lekceważący... a kiedy ma się do czynienia z Amerykanami, lepiej ich nie lekce-ważać. Bo można to szybko przypłacić życiem.

Przeszedł do sąsiedniego gabinetu, w którym pracował admirał Yibo. On również czytał meldunek z „Admirała Czabanienki”.

–I co ty na to? – zapytał głównodowodzący.

–Sam nie wiem. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby amerykański okręt podwodny tropił Kilo wzdłuż wybrzeży Syberii. Skąd by się tam wziął? Może z zachodniego wybrzeża USA.

–Możliwe. Ale to bardzo daleko.

–Jedno ci powiem. Na miejscu dowódcy „Admirała Czabanienki” miałbym się na baczności.

–Ja również, Yunsheng, mój przyjacielu. Ja również. Ale nasi rosyjscy koledzy najwyraźniej sądzą, że Amerykanie nie wazą się otworzyć ognia do rosyjskich okrętów nawodnych płynących po rosyjskich wodach terytorialnych. I najwyraźniej są przekonani, że Amerykanie nie widzą ani nie słyszą Kilo.

–Bo jak dotąd tak właśnie jest.

–Owszem. Ale nie biorą chyba pod uwagę faktu, że amerykański okręt podwodny niedawno tam dotarł i może dopiero obmyśla plan ataku.

–Rosjanie twierdzą, że ich bariera dźwiękowa jest nieprzepuszczalna. Twierdzą, że aby dostać się do Kilo, Amerykanie musieliby wpierw zatopić przynajmniej dwa okręty nawodne - czego na pewno nie zrobią. Bo byłby to akt piractwa na bezprecedensową skalę, którego nie dałoby się ukryć przed światem.

–Kłopot w tym, Yunsheng, że bardzo trudno zrozumieć, jak

pracuje amerykański umysł. Przez dwieście lat nie zdołaliśmy zgłębić zachodniego sposobu myślenia, zwłaszcza zaś – amerykańskiego.

–Wiem, ale jesteśmy już na najlepszej drodze.

–Doprawdy?

–Tak, tutaj, w Szanghaju, na Uniwersytecie Fundan, otwarto nowy wydział: Studium Myśli Amerykańskiej. Ściągnięto uczonych z całego świata, profesorów od polityki, dziennikarstwa, sztuki i wojskowości. Zaczynamy tworzyć podwaliny pod kierunek, którego słuchacze będą studiowali autentyczne amerykańskie gazety i czasopisma.

–To już jakiś postęp. Najwyższa pora.

–Zgadza się z tobą. Spójrzmy faktom w oczy, jak daleko sięgnąć pamięcią, zaawansowane myślenie o polityce i liberalnej sztuce Zachodu było w tym kraju zabronione.

–Ciekaw jestem, jak im idzie na Fundan. Myślisz, że znalazłoby się tam już paru wyróżniających się studentów, którzy potrafiliby nam powiedzieć, co zrobią Amerykanie w sprawie tych dwóch ostatnich Kilo?

Yunsheng roześmiał się.

–Wątpię. Ale ja, będąc na miejscu dowódcy tego dużego rosyjskiego niszczyciela, ani na moment nie traciłbym czujności.

–Ja również, przyjacielu, ja również. A zwęszywszy jakiś amerykański atomowy okręt podwodny, bez wahania bym go zatopił.

–Gdybyś tylko mógł.

–Tak, Yunsheng. Gdybym tylko mógł.

*

t

061100WRZ. Sto trzydzieści mil na wschód od wybrzeży Syberii. Centrum nawigacyjne atomowego okrętu podwodnego USS „Columbia” płynącego w głębokim zanurzeniu, z szybkością dwudziestu węzłów na południowy wschód. Boomer Dunning, Mike Krause, Jerry Curran i Dave Wingate pochylali się nad mapami.

Od ostatniej znanej pozycji konwoju przy Przylądku Olu-torskim jest prawie tysiąc mil do

końca półwyspu Kamczatka -mówił zastępca dowódcy. – Konwój dotrze tam 10 września, prawdopodobnie po południu. SUBLANT uważa, że Typhoon już się odłączył, a ja sądzę, że 8 września, kiedy dociągną do Piętro-

374

pawłowska, odłączą się również lodolamacz, statek zaopatrzeniowy i przypuszczalnie dwa okręty eskorty.

–Być może – powiedział Boomer. – Ale gdybym to ja tam dowodził, to nie redukowałbym eskorty aż do samego Szanghaju.

–Mówisz tak, bo więcej od nich wiesz. Oni nie wiedzą nawet, że tu jesteśmy.

–Tak myślisz? Ja nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby zwietrzyli naszą obecność, kiedy wynurzyliśmy się na peryskopową, żeby zlustrować okolice Przylądka Olutorskiego.

–Możliwe. Ale nawet jeśli byli na tyle szybcy, by wypatrzeć nas na ekranie radaru, to jeszcze nie znaczy, że zidentyfikowali ten kontakt jako amerykański atomowy okręt podwodny.

–Obyś się nie mylił. Ale gdyby to mnie ktoś sprzątnął przed nosa trzy nowiutkie okręty podwodne, to waliłbym ze wszystkich dział nawet do kraba, który pomachałby mi szczypcami.

Porucznik Wingate roześmiał się, ale wszyscy przyznali kapitanowi rację. Rosjanie musieli ogłosić pełny alarm bojowy. Byliby idiotami, gdyby tego nie zrobili.

–Na razie zapoznajmy się z naszym rejonem patrolowania... – Boomer przyłożył odmierzac do wielkiej nawigacyjnej mapy Wysp Kurylskich. – Tutaj, dwieście mil na południowy wschód od Pietropawłowska, mamy przylądek Łopatka, na którym kończy się półwysep Kamczatka... to bardzo rzadko uczęszczane wody. Dalej, przez osiemset mil, aż do tej dużej zatoki po północno-zachodniej stronie Hokkaido, ciągną się Kuryle.

Wyspy te od 1945 roku okupują Rosjanie, przeciwko czemu protestują ostro Japończycy, twierdząc, że cztery najbliższe należą do nich.

Tak czy inaczej, to nie nasza sprawa. Nas interesuje ta wielka wyspa, na północy, sąsiadująca z przylądkiem Łopatka. Nazywa się Paramuszyr i ma sześćdziesiąt pięć mil długości. Następna na południe to cztery razy mniejszy Onekotan. Spójrzcie teraz na oddzielającą obie te wyspy cieśninę... ma czterdzieści mil szerokości i tu rosyjski konwój po raz pierwszy od początku podróży będzie zmuszony wyjść na głęboką wodę, nie mając po prawej lądu. Płyną z szybkością dziewięciu węzłów, dlatego droga od południowego cypla wyspy Paramuszyr do północnego cypla Onekotanu zajmie im cztery i pół godziny. W ciągu tych czterech i pół godziny zamierzam zatopić oba Kilo.

–A co z barierą dźwiękową? – zapytał porucznik Wingate.

–Ulegnie redukcji, ponieważ część okrętów prawdopodobnie odłączy się w Pietropawłowsku. Reszta będzie musiała utworzyć barierę kolistą, a nie łukową, która wystarczała im, dopóki płynęli wzdłuż wybrzeża. Zredukuje to skuteczność całej bariery, a zarazem zmniejszy rejon celu. Na dodatek na głębokich, otwartych wodach lepiej działają wszystkie nasze systemy. Tutaj będziemy na nich czekali.

Boomer wskazał końcem linijki punkt o współrzędnych 49,40N; 154,55E, gdzie głębokość wynosiła sto osiemdziesiąt metrów.

–Po raz pierwszy mamy głęboką wodę i dużo wolnego miejsca. Wierzcie mi, panowie, to dla okrętu podwodnego wymarzone tereny łowieckie. Dotąd sięgają jeszcze rosyjskie wody terytorialne... ale my zaczaimy się czternaście mil od brzegu, tuż za ich granicą.

–Wyznaczyłem już kurs – odezwał się nawigator. – Wejdziemy w rejon patrolowania tutaj, na przecięciu 50 równoleżnika ze 160 wschodnim.

–Nieźle, Dave – powiedział Boomer. – Ale mamy jeszcze jedną niewiadomą: którą stroną Kuryli pójdą? Mogą skręcić w pierwszą Cieśninę Kurylską i popłynąć skrajem Morza Ochockiego, które Rosjanie uważają za swoje. Mogą też przejść wzdłuż Kuryli od strony Pacyfiku, ale na Morzu Ochocldm czuliby się chyba bezpieczniej, tak więc lepiej się przygotujmy. Wprowadzimy okręt głęboko w cieśninę między wyspami Paramuszyr i Onkotan. Stamtąd będziemy mieli blisko w obie strony. Przynajmniej mamy nad nimi przewagę szybkości, nie od rzeczy jest również

element zaskoczenia.

*

*

Do Fort Meade już trzecią noc z rzędu, o 3.00 nad ranem, napływały zdjęcia satelitarne. Niespodzianek nie było. Te ostatnie przedstawiały wszystkie sześć okrętów eskorty w łukowym szyku, dwieście mil na południe od Przylądka Olutorskiego. Po Kilo i Typhoonie nadal nie było śladu. Ale okręty nawodne szły wciąż z szybkością dziewięciu węzłów.

–Nic nowego – mruknął Morgan. – To lubię. Rosjanie nie są chyba na tyle durni, żeby użyć dwudziestojednotysięcznotonowe-go podwodnego nosiciela pocisków balistycznych do ubezpiecza-

nia dwóch przeznaczonych na eksport Kilo. Gdyby on gdzieś tam był, to zadbaliby, żebyśmy go widzieli, w nadziei, że się przestraszymy i nie zaatakujemy. Dobrze wiedzą, że odpalając torpedy do Kilo, moglibyśmy przez omyłkę trafić Typhoona. Myślę, że płynął z nimi tylko na przyczepkę i już go więcej nie zobaczymy. Przekażmy tę informację Boomerowi i idziemy do domciu.

082030WRZ. Baza marynarki wojennej w Szanghaju. Admirał Zhang, jak co noc, połączył się z kwaterą główną rosyjskiej Roty Pacyfiku. Dzisiaj poinformowano go, że pomimo prowadzenia intensywnej inwigilacji radarowej i sonarowej niszczyciele nie zarejestrowały już żadnych przelotnych kontaktów. Lodołamacz i trzydzie-stopięciotysięcznotonowy statek zaopatrzeniowy odłączyły się od konwoju i weszły do Pietropawłowska. Cztery okręty eskorty pozostały i będą towarzyszyły Kilo aż do samego Szanghaju. Po raz pierwszy podano admirałowi Zhangowi konkretny oczekiwany czas przybycia do miejsca przeznaczenia. „Szacujemy, że do nabrzeża w poicie szanghajskim przycumujemy 24 września po południu”. Dreszczyk podniecenia przebiegł po plecach głównodowodzącego chińskiej marynarki. Długo czekał na tę chwilę.

100200WRZ. 49.40N; 155,54E. „Columbia” cicho, z szybkością pięciu węzłów, patrolowała sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią głęboką cieśninę przedzielającą syberyjskie wyspy Paramuszyr i Onekotan. Komandor Dunning naradzał się ze swoim zastępcą. Komunikat satelitarny, który dwa dni temu, wieczorem, nadszedł z SUBLANT, potwierdzał, że lodołamacz i statek zaopatrzeniowy zostały w Pietropawłowsku. Z ostatnich zdjęć wynikało, że cztery okręty eskorty idą nadal z szybkością dziewięciu węzłów, wciąż w regularnym łukowatym szyku z wybruszeniem na wschód, w kierunku otwartego morza.

Zdjęcia te zostały zrobione poprzedniego wieczoru o 19.00 i widać było na nich trzy rosyjskie niszczyciele oraz fregatę, płynące na południowy zachód. Znajdowały się wówczas na pozycji 51,00N; 152,80E, trzydzieści mil na wschód od przylądka Łopatka, piętnaście i pół godziny drogi od „Columbii”. W tej

chwili dzieliło je jeszcze od zasadzki cztery godziny drogi, i najwyraźniej pozostawały po wschodniej stronie Kuryli.

Boomer zarządził wynurzenie na peryskopową, przede wszystkim po to, żeby zorientować się, jaka pogoda panuje na powierzchni, bo przestał ostatnio wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę. Warunki pogodowe były niezłe, od Morza Ochockiego wiała z siłą czterech stopni orzeźwiająca bryza, która marszczyła lekko powierzchnię, co utrudniało przeciwnikowi zauważenie peryskopu „Columbii”, ale nie zakłócało jeszcze pracy sonaru.

–Idealnie – orzekł Boomer, – Lepiej być nie mogło.

–Chyba powinniśmy założyć, że wychodząc na głębokie otwarte wody za wyspą Paramuszyr, zmienią szyk – podsunął Mike Krause.

–Co do tego nie ma wątpliwości – odparł Boomer. – Prawdopodobnie utworzą wokół Kilo coś w rodzaju pierścienia. Czy raczej kwadratu z jednym okrętem w każdym rogu... wtedy będę może w stanie lepiej się przyłożyć. Hałas, którym się osłaniają, zdecydowanie straci na sile i da się może posłać w obręb tego „kwadratu”, między okrętami eskorty, ze dwie głęboko zanurzone torpedy. Do poszukiwania celu użyjemy tego nowego systemu naprowadzania. Powinien odnaleźć Kilo, jeśli tylko tam są.

–Na pewno są – powiedział komandor porucznik Krause. – Świadczy o tym ta dziewięciowęzłowa szybkość, którą utrzymują od Cieśniny Beringa. Chyba że próbują nas zwieść, a okręty podwodne dawno już poszły swoją drogą. Wkrótce się okaże.

100350WRZ. USS „Columbia” nadal na pozycji 49.40N; 155,54E. Zanurzenie sześćdziesiąt metrów. Dowodzenie przejął komandor porucznik Mike Krause. Kapitan jest w pomieszczeniu nawigacyjnym. Oficer sonarowy, porucznik Bobby Ramsden, nadzorujący pracę swojego zespołu operatorów sonaru, nagle odwrócił się do stojącego za nim komandora porucznika Jerry'ego Currana.

–Coś mamy. Namiar zero-trzy-zero... kilka okrętów... niespotykany hałas... alokacja znacznika celu 4063.

–Kapitanie, tu sonar – rzęca do mikrofonu Jerry Curran. – Mamy ich. Namiar zero-trzy-zero... dwadzieścia mil. Może pan tu przyjść?

Boomer zjawia się natychmiast.

–Dobra, Jerry powinniśmy ich zobaczyć w podczerwieni za, powiedzmy... siedemdziesiąt pięć minut, dobrze mówię?

–Tak.

–Dobra. Wykorzystujemy ten nowy system naprowadzania, zrozumiano? Odpalam dwie Mk 48 w obszar między czterema okrętami eskorty. Przez całą drogę trzymamy obie pod ścisłą kontrolą na pasywnej małej szybkości. Bez przełączania na automatykę, kiedy nawiążą kontakt. Przeprowadzamy je za czołowym niszczycielem do wnętrza kwadratu. Tam przełączamy na aktywne poszukiwanie celu, ale nadal na ręcznym sterowaniu. Nie spuszczać ich ze smyczy, dopóki nie powiem. Muszę mieć pewność, że nie dały się ściągnąć na wabia.

–Załatwione, panie kapitanie. Jeśli natrafimy na jakiś kontakt w obrębie kwadratu, to na pewno będą to Kilo, prawda?

–Prawda. Pułap głębokości dla obu torped ustawić na dwanaście metrów. Dzięki temu nie skierują się na cel nawodny. Będą szukały okrętu podwodnego idącego w zanurzeniu, a jednostki eskorty zostawią w spokoju. Jeśli w kwadracie nie ma żadnego okrętu podwodnego, to będą pędziły dalej przed siebie, dopóki nie skończy się im paliwo, a wtedy zatoną, nie wybuchając. Przy tym hałasie generowanym przez niszczyciele i fregatę Rosjanie nie wykryją sygnałów przesyłanych między torpedami a „Columbią”... wszystko utonie w tym zgiełku.

Może usłyszą eksplozję, ale i to nie jest pewne... zresztą wtedy już nas tu nie będzie.

5.05.

–Kapitanie, tu sonar... siedem mil. Rosjanie idą teraz kursem zero-dwa-pięć...

Komandor Dunning zarządził wynurzenie na peryskopową i kiedy wielki czarny okręt podszedł pod powierzchnię, podniósł specjalny peryskop przeszukujący. Patrząc na ciemne północne niebo, obrócił go na zero-dwa-pięć i czekał na pojawienie się obrazu w podczerwieni. Po raz drugi w tym tygodniu zobaczył wielką, półkolistą antenę radaru na rosyjskim niszczycielu „Admirał Czabanienko”. Nieco w lewo widać było identyczną antenę jednego z niszczycieli klasy Udaioj Typ Jeden, który szedł teraz w odległości dwóch mil od „Czabanienki”, po jego prawej burcie.

–Wygląda na to, że uformowali kwadrat o powierzchni

dwóch mil kwadratowych – powiedział do stojącego obok Mike'a Krausego. Po pięciu sekundach opuszczono peryskop i na ekranie pojawił się zarejestrowany przezeń obraz. – No, Mike. Rzuć okiem...

Zastępca patrzył przez chwilę na ekran, a potem powiedział powoli:

–Tak. Masz rację. Za piętnaście minut powinniśmy zobaczyć anteny okrętów eskortowych zamykających szyk.

Jego przewidywania sprawdziły się.

–Ten bliżej nas, to na pewno jeszcze jeden Udałoj -orzekł. – A „Nieprzystupny” zajmuje pozycję w północno-zachodnim narożniku kwadratu. „Czabanienko” jest w tej chwili sześć mil od nas... zaczyna się rozwidniać...

„Columbia” pozostała na głębokości peryskopowej z opuszczonymi wszystkimi masztami, czekając, aż Rosjanie oddalą się na odległość ośmiu mil. Potem Boomer nakazał zmianę kursu.

–Idziemy kursem zero-dziewięć-zero... zwiększymy trochę dystans, potem zawracamy i atakujemy.

Szesnaście minut później, o 5.21, „Columbia” zajęła pozycję. Rosyjski konwój miał jeszcze piętnaście minut do wybranego przez Amerykanów rejonu celu. Okręt eskorty od strony południowo-wschodniej, idący kursem trzy-zero-zero, starał się kłaść możliwie najszczelniejszą barierę dźwiękową, pozostałe eskortowce też zapamiętały melły śrubami wodę i hałasowały aktywnymi sonarami, jak mogły. Do ogólnego harmidru zaciemniającego kompletnie obraz sytuacji pod wodą dokładały też swoje trzy grosze wabiki, te małe, pękate bombki holowane przez każdy okręt. Z przebiegów sonarowych odbieranych na „Columbii” nawet te o najniższych częstotliwościach zamazywane były przez nowe akustyczne zagłuszacze dostępne teraz dla wszystkich, których na nie stać.

Rosyjscy dowódcy czuli się pewnie. Otaczali się barierą akustyczną, puste morze przemiałały radary trzech niszczycieli i fregaty, wody wokół małego konwoju patrolowały z powietrza dwa helikoptery. Czy można sobie było wyobrazić amerykański okręt podwodny, który zdołałby sforsować takie zmasowane środki obrony? Odpowiedź na to pytanie brzmiała krótko: „Niet”. Chyba że napastnik zdecydowałby się wyeliminować wpięrw eskortę.

Nie przychodziło im do głowy, że przyczajony tuż pod

powierzchnią Boomer Dunning wcale nie potrzebuje sonarowego obrazu sytuacji pod wodą. Widział kwadrat o powierzchni dwóch mil kwadratowych uformowany przez cztery okręty eskorty i był pewien, że oba Kilo, jeśli w ogóle tu są, to muszą się znajdować w tym kwadracie. Zamierzał odnaleźć je sterowanymi przewodo-wo torpedami, które spuści potem ze smyczy, żeby dokończyły dzieła. Jeśli Kilo tam nie ma, to nikomu nie stanie się krzywda. Nie licząc i tak już starganych nerwów Arnolda Morgana.

Jerry Curran poinstruował już swój zespół. Torpedyści byli gotowi. Gotowi byli sternicy torped. W gotowości czekały wszystkie systemy prowadzenia ognia „Columbii”. „Admirał Czabanienko” prowadził rosyjski konwój.

–Kapitanie, tu sonar... znacznik celu 4063, namiar dwa-dzie-więć-pięć.

Oficer kontroli torped dorzucił:

–Czyli namiar na ten eskortowiec w południowo-wschodnim narożniku to dwa-dziewięć-siedem... odległość trzy tysiące sto osiemdziesiąt... kurs dwa-dwa-pięć... szybkość osiem... parametry celu nastawione.

–UWAGA PRZY WYRZUTNI JEDEN...

–Jedynka gotowa...

–Czekać... sprawdzam namiar i odpalamy.

–PERYSKOP W GÓRĘ... namiar... TOP!... Odległość... TOP!... Peryskop w dół.

–Ostatnia kontrola namiaru...

–Dwa-dziewięć-sześć... NASTAWIONE.

–PAL!... UWAGA PRZY WYRZUTNI DWA...

–Znacznik celu 4063, namiar dwa-dziewięć-trzy... NASTAWIONE.

–PAL!

W pomieszczeniu sonaru dały się słyszeć metaliczne stuknięcia torped opuszczających wyrzutnie, potem zapadła cisza. Duże, napędzane cichobieżnymi silnikami torpedy pomknęły przed siebie, by wślizgnąć się w obręb kwadratu tuż za rufą „Admirała Czabanienki”. Sunącą powoli „Columbią” wstrząsnął ledwie wyczuwalny dreszcz.

–Obie torpedy pod kontrolą.

–Uzbroić torpedy...

–Torpedy uzbrojone.

Oficer naprowadzający, który stał na mostku bojowym obok

381

dowódcy, obserwował uważnie ekrany. Torpedy, nastawione na małą szybkość, ciche, głęboko zanurzone, szły przed siebie na sonarach pasywnych. Ciągnęły za sobą cienkie, superwytrzymałe przewody, którymi do komputerowych mózgów za głowicami bojowymi płynię strumień sygnałów sterujących.

Czteromilowa podróż zajęła im dziewięć minut i trzydzieści sześć sekund. Tam pierwsza torpeda uchwyciła pasywny kontakt po lewej i przygotowała się do ataku.

–ZIGNOROWAĆ TO. To wabik „Czabanienki”... Nie spuszczać torpedy. Przełączyć na sonar aktywny.

Oficer naprowadzający zawahał się przez ułamek sekundy, po czym skierował torpedę w prawo, za rufę prowadzącego niszczyciela i patrzył, jak wpływa w rejon ataku... szuka... szuka... szuka zanurzonego celu w długim na tysiąc metrów kwadracie.

Minutę później zgłosiła pewny, bliski, aktywny kontakt po lewej, i zaczęła wysyłać swoje złowrogie krótkie, ostre „pingi”.

–Przełączyć torpedę jeden na automatyczne naprowadzanie i zwolnić – rzucił Boomer.

Wystrzelona przez „Columbię” Mk 48 szybko skorygowała kurs, przyspieszyła do czterdziestu pięciu węzłów i pomknęła w kierunku czarnego kadłuba Kilo 9 płynącego z szybkością dziewięciu węzłów na południowy zachód sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią i nieświadomego śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakie właśnie nad nim zawisło. Bariera akustyczna, która tak utrudniła zadanie Boomerowi, teraz uniemożliwiała rosyjskiemu kapitanowi wykrycie charakterystycznych aktywnych „pingów”. Ani on, ani towarzyszący mu chiński dowódca nie wiedzieli, co w nich uderzyło.

Torpeda Boomera Dunninga trafiła Kilo w odległości trzydziestu sześciu metrów od dziobu i eksplodowała ze straszliwą siłą. Wyrwała w kadłubie ciśnieniowym dziurę o średnicy ponad metr. Ta otwarta rana nie dawała okrętowi ani jego załodze żadnych szans na przetrwanie. Nikt na pokładzie nie przeżył nawet minuty, kiedy okrutna zimna woda północnego Pacyfiku wdarła się do środka i pozbawiając okręt pływalności, ściągnęła go na dno.

Boomer Dunning usłyszał na „Columbii” charakterystyczny ostry huk, świadczący, że Mk 48 osiągnęła cel. I nic więcej. Rycząca bariera akustyczna wytwarzana przez rosyjskie okręty zagłuszyła najbardziej przygnębiający dźwięk, jaki kiedykolwiek

słyszysz operator sonaru: nie mające końca trzaski pękającego szkła i metalu, które wracają echem z okrętu wojennego opadającego na dno oceanu. Była 5.55. Nad Pacyfikiem wstawał pogodny poranek dnia 10 września, słońce zaczynało zabarwiać różową luną świtu wschodni horyzont.

–Załatwione – powiedział dowódca USS „Columbii”.

Przeniósł teraz uwagę na drugą torpedę, która weszła już na

sporą odległość w kwadrat i znajdowała się milę za rufą „Admirała Czabanienki”. Krążyła tam powoli, głęboko i cicho, szukając ofiary.

Oficer sterujący torpedą prowadził ją spokojnie w kierunku rejonu celu. Boomer zauważył, że uchwyciła kontakt z hałaśliwymi śrubami fregaty „Nieprzystupnyj” po prawej, ale tym razem nie musiał już powstrzymać oficera naprowadzającego przed spuszczeniem torpedy. Kazał ją przełączyć na aktywne przeszukiwanie i po piętnastu sekundach torpeda zgłosiła nowy kontakt po lewej. To mógł być tylko okręt podwodny.>

–Mamy go – warknął Boomer. – Przełączyć na automatykę i spuścić.

–Kontakt sześćset metrów... zbliża się...

–AWARIA... AWARIA TORPEDY... STRACIŁA KONTAKT AKTYWNY.

–PRÓBOWAĆ NA PASYWNYM...

–AWARIA... Nic nie wraca po przewodzie... pewnie się zerwał.

–Uwaga przy wyrzutni trzy...

–Kapitanie, tu sonar... Mam na niemieckie telefon podwodny...

–Co jest? Gada sam ze sobą?

–Nie. Z kimś.

–Macie tam tłumacza.

–Tak. Mówi, że to rozmowa między dwoma okrętami podwodnymi... sprawdzamy właśnie sygnały wywoławcze... Tak, teraz oba wywołują trzeci okręt podwodny.

–JEZU!

–Kapitanie, tu sonar... trzeci okręt podwodny nie odpowiada. Sygnały wywoławcze nadal słyszalne: okręt eksportowy... i okręt rosyjski... usiłują wywołać drugi okręt eksportowy.

Zimny dreszcz przeszedł Boomerowi Dunningowi po plecach. Istniało tylko jedno wyjaśnienie. Typhoon wciąż tu był. Nie

383

do wiary. Coś takiego, wciąż tutaj. A on, komandor Cale Dunning, był o włos od przypadkowego rozpętania trzeciej wojny światowej. • "

–Jezus, Maria, Józefie święty – wykrztusił dowódca „Columbii”. – SPOCZNIJ PRZY WYRZUTNI TRZY... nie odpalamy, powtarzam, NIE ODPALAMY.

Miał już klarowny obraz sytuacji. Zakładał, że w kwadracie są dwa Kilo. Jednego z nich zatopił, a potem, na moment przed utratą kontroli nad drugą torpedą, był przekonany, że uchwycił aktywny kontakt z tym drugim. Teraz drugi Kilo rozmawiał z Typhoonem, który przez cały czas tam był. Oba okręty próbowały ustalić, co się przydarzyło K-9... co się przydarzyło Kilo, który spocznie za chwilę na dnie Pacyfiku. Z całą załogą.

Boomer nie miał większych wątpliwości. Jeśli jest tu jakiś rosyjski okręt podwodny, to musi to być Typhoon. Powstawało pytanie: Ryzykować ponowny atak? Odpowiedź: NIE. Tylko nieprawdopodobnemu szczęściu zawdzięczał, że nie rozpętał trzeciej wojny, rozwalając rosyjski atomowy okręt podwodny klasy Typhoon, przystosowany do odpalania międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Wiedząc o tym teraz, nie mógł podejmować takiego ryzyka.

Ale wdepnąłem, myślał. Nie dokonałem pozytywnej identyfikacji żadnego Kilo. Nie uchwyciłem ani kontaktu akustycznego, ani wizualnego. Spójrzmy faktom w oczy, strzelałem na oślep. Teraz powiniem się wycofać i pokajać przed SUBLANT.

Boomer zarządził szybkie zanurzenie na dużą głębokość i odejście na wschód, jak najdalej od chaosu, który tu wkrótce zapanuje. Przekazał okręt komandorowi porucznikowi Krausemu, a sam zaszył 'się w swojej kabynie, żeby przygotować meldunek dla Komórki Czarnych Operacji. W Norfolk była teraz 13.00.

Pisał swój meldunek w skupieniu, nie marnując słów. Brzmiał on następująco:

Grupa Kilo zaatakowana na północ od Onekotanu. Nie byłem w stanie zdjąć parametrów celu. Odpaliłem dwie Mk 48 w środek kwadratu o powierzchni dwóch mil kwadratowych, tworzonego przez cztery pozostałe okręty eskorty. Przełączyłem torpedy na aktywne przeszukiwanie. Słyszałem jedną eksplozję. Telefony, jakie się zaraz potem odezwały, podwodne sygnały wywoławcze, sugerują, że

jeden z okrętów eksportowych zatonął. Z treści tych przechwyconych rozmów telefonicznych wynika, że w skład grupy wchodzi nadal okręt podwodny klasy Typhoon. **NIE ZAMIERZAM** ponawiać ataku. Mea culpa. Mea maxima culpa.

„Columbia” wyszła na głębokość peryskopową i połączyła się z satelitą. Boomer nadał swój meldunek o 6.30 wschodniego czasu dziennego. O 6.47 admirał Arnold Morgan, prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, omal nie doznał ataku serca. Popijał akurat kawę i zjadał kanapkę z pieczoną wołowiną w gabinecie szefa operacji morskich, Joego Mulligana, w Pentagonie. Były dowódca Tridenta przeczytał mu spokojnie, słowo po słowie, meldunek.

–Co, do cholery, znaczy to mea maxima culpa? Co to za bełkot?

–Nie byłeś nigdy ministrantem? – spytał szef Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, praktykujący irlandzki katolik.

–Kim?

–Ministrantem. No wiesz, chłopcem, który pomaga księdzu podczas mszy, dzwoni dzwoneczkami, zapala świece... trzyma miseczkę z wodą podczas konsekracji.

–Też mi coś. W moich stronach w Teksasie graliśmy w niedzielne poranki w baseball. Mea łapacz.

–Arnie, zdaję sobie sprawę, że moje wysokie stanowisko wymaga ode mnie przestawiania z takimi zatwardziałymi ateistami jak ty. Sądzę jednak, że powinieneś się choć trochę orientować, co robią w kościele takie bogobojne rodziny jak moja. Każdej niedzieli klękałem z jeszcze jednym chłopcem przed ołtarzem i bijąc się w piersi, powtarzaliśmy: „Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa – Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”.

–Chcesz przez to powiedzieć, że Boomer przyznaje się do przekroczenia granicy?

–Właśnie. I po tym można poznać dobrego oficera. Człowieka, który dorósł do swojej rangi. I nie boi się przyznać do błędu.

–**NIE BOI SIĘ**, powiadasz? Już ja mu pokażę, gdzie raki zimują. Ten chłopak to zwyczajna zakuta pała. A gdyby zatopił tego pieprzonego Typhoona?... Dzień dobry, panie prezydencie, przydarzyło nam się drobne potknięcie na Pacyfiku... jeden z naszych najlepszych dowódców okrętów podwodnych przez pomył-

kę przedziurawił Rosjanom wielki atomowy okręt podwodny, który w następstwie tego poszedł na dno. Obłok radioaktywny z dwudziestu międzykontynentalnych pocisków balistycznych, które znajdowały się na jego pokładzie, opada właśnie na większą część Orientu... dobre, co?

Joe Mulligan zachichotał rozbawiony słowami Arnolda Morgana.

–Spokojnie, Arnie. Takie operacje jak ta zawsze wiążą się z ogromnym ryzykiem. Uznajmy lepiej, że mieliśmy szczęście. Boomer, mając trzydziestotrzyprocentową szansę na rozpętanie trzeciej wojny światowej, wyeliminował jednego z tych przeklętych Kilo. I uszło mu to płazem. Nie da się ukryć, że szczęście mu sprzyja. A w grze, do której go wystawiliśmy, trzeba mieć szczęście.

–Masz rację, Joe. Wszystkim nam potrzebne jest szczęście. Już ja to najlepiej wiem. Ale w komunikatach, które przesyłaliśmy „Columbii”, podkreślaliśmy do znudzenia, że najpierw musi dokonać pozytywnej identyfikacji. Stąd wniosek, że zlekceważył rozkazy. Nie tylko, że nie dokonał pozytywnej identyfikacji, on nie dokonał żadnej identyfikacji, ani pozytywnej, ani prawie pozytywnej, ani pi razy oko.

Admirał Mulligan parsknął śmiechem, kawa poszła mu nosem.

–Daj spokój, Arnie, gdybyśmy posłali „Columbii” ostrą reprimendę, upokarzając jej dowódcę, to drastycznie spadłoby morale na okręcie.

Nie zapominaj, czego dokonał komandor Dunning. Zatopił już trzy z tych Kilo. Dokonał przejścia pod biegunem północnym i nadal pozostaje w gotowości operacyjnej. Nie wykryty.

–Nie opowiadaj mi tu jego zakichanego życiorysu, Joe. Co tu się rozczulać nad tym, czego dokonał. Na to samo stać każdego dobrego oficera okrętu podwodnego. Ważne, czego mógł dokonać. A mógł wywołać kolejną wojnę światową. Też mi coś." On najwyraźniej nie potrafi się zastosować do prostego rozkazu. Dajmy na to, dokonać pozytywnej identyfikacji. Nic się nie stało. Zwyczajny wypadek przy pracy. Nie, dla mnie to zakuta pała.

–A co byś powiedział, gdyby w swoim meldunku oświadczył, że dokonał pozytywnej identyfikacji tych Kilo?

Admirał Morgan po raz pierwszy w życiu zapomniał języka w gębie.

–Komandor Dunning mógł tak postąpić. I nie udowodnilibyśmy mu kłamstwa. A jeśli, tak jak sugerujesz, udzielimy mu

ostrej reprimendy, to on może nam wypomnieć, że zapewnialiśmy go wielokrotnie o odłączeniu się Typhoona od konwoju... Tak, wiem, że moglibyśmy się tego wyprzeć w żywe oczy. Ale faktem pozostaje, że powtarzaliśmy mu to kilka razy. Spójrz prawdzie w oczy... żaden z nas nie wiedział, że Typhoon wciąż tam jest. Nawet tego nie podejrzewaliśmy. Z mojego punktu widzenia komandor Dunning zachował się wzorowo i przyznam, że ja na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

–Ja, cholera? też – mruknął admirał Morgan. – Ale nie jestem jeszcze gotowy do słuchania głosu rozsądku.

Joe Mulligan roześmiał się.

–Przestań, stary. Weź się w garść. Zostawmy już ten temat. Zgoda? Zastanówmy się lepiej, co dalej. Przecież K-10 wciąż gdzieś tam krąży.

–No dobrze. Niech ci będzie. Odpuśćmy Boomerowi. Ale nalegam, żebyś dał mu wyraźnie do zrozumienia, co o nim myślę. I nie chcę, żeby go awansowano. Nie wolno dopuścić, żeby tacy oficerowie zostawali kapitanami. To zwyczajny szaleniec.

–Tak, oczywiście, admirale – powiedział z uśmiechem admirał Mulligan. – Taki sam szaleniec, jakimi w młodości byliśmy my. Szkoda, że nie mamy więcej takich jak on. No ale... do rzeczy. W zaistniałej sytuacji niewiele już możemy zdziałać. Nie będziemy przecież krążyć wokół tego konwoju aż do Szanghaju. Teraz Typhoon już prawie na pewno się nie odłączy.

–To prawda. Temu sukinsynowi Rankowowi bokiem wychodzi własna przebiegłość. Te jego głupie okręciki narobiły tyle hałasu, że Boomer nie mógł dokonać identyfikacji, a Typhoon nie spełnił swojej funkcji odstraszacza, bo idioci zapomnieli o zamanifestowaniu jego obecności. Ale jedno ci powiem – to dowód, jak bardzo im zależy na doprowadzeniu Kilo do Szanghaju.

–Moim zdaniem ten ostatni Kilo odłączył się od konwoju -powiedział Joe Mulligan. – Ja bym tak zrobił. A to oznacza, że teraz nie mamy szans go dopaść, bo ślad już wystygł. Płynie samotnie do domu. Nie znajdziemy go... i chyba można z czystym sumieniem skierować „Columbię” do Pearl na przegląd. To tylko trzy tysiące mil stamtąd, gdzie teraz się znajduje. Za sześć dni będą na miejscu i doprowadzą okręt do porządku. W połowie października CINCPAC może ich wysłać z tą nową grupą uderzeniową lotniskowca na patrol po Morzu Arabskim. Do tego czasu niech sobie odpoczną.

–Dobrze, Joe. Tak zrobimy. I będziemy się pilnie rozglądali za K-10. W końcu z siedmiu sześć załatwiliśmy, prawda? Nieźle.

Niecałą godzinę później z SUBLANT nadano komunikat do komandora Dunninga na „Columbii”. „Columbia” ściągnęła go z satelity nazajutrz, 11 września o 9.00 czasu lokalnego. Treść brzmiała:

Do rąk własnych komandora Dunninga. Odebraliśmy twój meldunek. Dobra robota. Idź do Pearl. Co do niedokonania pozytywnej identyfikacji: opinia doradcy ds. bezpieczeństwa – ZAKUTA PAŁA... Mulligan.

Trzy godziny później, kiedy okręt w głębokim zanurzeniu szedł północnym Pacyfikiem na południe, Boomer zamknął się w swojej kabine i z ponurą miną przeczytał komunikat. Spodziewał się czegoś gorszego. Mogli mu nawet odebrać dowództwo. Rozkaz był wyraźny: dokonać pozytywnej identyfikacji. Nie on pierwszy spośród dowódców pierwszej linii zżymał się na samą myśl, jak łatwo wydawać rozkazy, siedząc sobie wygodnie w fotelu w Waszyngtonie. Tutaj, w morzu, kiedy trzeba było przymierzać się do ataku, dbać o zapewnienie bezpieczeństwa własnemu okrętowi, sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Jakie to typowe dla marynarki, myślał, że cieszą się z zatopienia Kilo, a krytykują sposób przeprowadzenia ataku. I że zawsze dają dowódcy wyraźnie do zrozumienia, że zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, jeśli uznają, że przekroczył swoje kompetencje.

–Wiadomo o tym powszechnie, admirale Mulligan, tak jak wiadomo o twoim upodobaniu do ciasteczek – wymruczał pod nosem Boomer.

Zastanawiał się teraz poważnie, czy dostanie kiedykolwiek awans na kapitana, na którym tak mu zależało. Czy będzie to możliwe, skoro każdy jego ruch śledzi potężny Arnold Morgan, w którym najwyraźniej ma wroga? Próbował też sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś miał tyle odwagi, żeby nazwać go zakutą pałą, choćby z drugiej strony świata.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przed zamkniętą narożną bramą Ogrodów Mandaryna Yu zatrzymał się samochód służbowy. Wsiadł z niego słusznego wzrostu mężczyzna w uniformie oficera marynarki. Na jego widok dwaj dozorczy w granatowych maotsetungowskich mundurkach, gnąc się w ukłonach, pośpiesznie otworzyli bramę i oficer wmaszerował na niemal opustoszałe tereny ogrodu będącego dumą Szanghaju. Siąpił wrześniowy kapuśniaczek, była godzina 11.00, a ogrody otwierano ponownie dla publiczności dopiero o 14.00, ale chińscy wyżsi dowódcy traktowani byli tradycyjnie na innych niż wszyscy zasadach.

Oficer minął Pawilon Wzbierającej Łaski i postukując czarnymi podkutymi butami, dalej

kroczył betonową alejką prowadzącą między żywopłotami ku wydłużonemu jezioru, nad którym wznosiła się Wieża Dziesięciu Tysięcy Kwiatów. Tam zwolnił kroku, podszedł do dużego, dekoracyjnego miłorzębu, który dominuje nad tym zakątkiem ogrodów... i schronił się pod wielkimi wachlarzowatymi liśćmi tego ostatniego przedstawiciela całej rodziny drzew, które rosły w północnych Chinach przed dwustu milionami lat.

Stał samotnie pod gałęziami, oddychając pełną piersią, jakby starał się zapanować nad miotającą nim furją i poskromić żądzę mordy. Rąbnął pięścią w poduszkę drugiej, otwartej dłoni i wycedził cicho przez zaciśnięte zęby:

–Gdybym to było możliwe, rozwalilibym Pentagon na kawałki... gdyby to tylko było możliwe.

Bywało, że admirał Zhang Yushu wcielał się w orientalnego odpowiednika admirała Arnolda Morgana. W tej chwili chciał być sam. Zwłaszcza że wkrótce zadzwoni pewnie z Moskwy admirał "Witalij Ranków, którego uważał teraz chyba za największego głupca w całej Rosji i nie chciał z nim rozmawiać.

Z przesłanej poprzez satelitę wiadomości, którą w pierwszej chwili uznał za niewybredny żart, wynikało, że na południe od kurylskiej wyspy Paramuszyr doszło do jakiegoś wypadku i jeden z dwóch Kilo w tajemniczy sposób zniknął. Płyną! wtedy w obrębie kwadratu o powierzchni dwóch mil kwadratowych, który tworzyły trzy rosyjskie niszczyciele oraz fregata do zwalczania okrętów podwodnych „Niepristupnyj”. Towarzyszył mu idący w zanurzeniu dwudziestojednotysięcznotonowy okręt podwodny klasy Typhoon i przez cały czas otoczony był ochronną barierą dźwiękową, która uniemożliwiała ewentualnemu nieprzyjacielowi jego wykrycie.

Rosjanie byli skonsternowani. Żaden z ich sonarów nie wykrył zbliżającej się torpedy. I chociaż trzy okręty meldowały o możliwej eksplozji w rejonie kwadratu, to żaden nie był na sto procent pewien, czy rzeczywiście do niej doszło. Kilo przestał nagle odpowiadać na podwodny telefon i teraz, pięć godzin później, niszczyciele przeczesujące strefę wzywały posiłki ze swojej bazy w Pietropawłowsku. Natrafiono na plamę ropy i trochę szczątków rozrzuconych po powierzchni, ale na tym etapie, mając na uwadze siłę rosyjskiej eskorty, podejrzewano tylko wypadek, prawdopodobnie wybuch wielkiej baterii akumulatorów na pokładzie okrętu podwodnego.

Admirał Zhang nigdy w życiu nie czytał czegoś tak naiwnego, tak głupiego, tak bezmyślnego. A ściśle mówiąc, tak nieprawdopodobnego. Po zapoznaniu się z treścią wiadomości zadał sobie jedno pytanie: Czy nieprzyjaciel miał świadomość, że Kilo towarzyszy rosyjski Typhoon? Odpowiedź brzmiała: Nie. Typhoon miał odstraszać i w jego mniemaniu nie spełnił tej funkcji. Nawet Ranków musiał sobie zdawać sprawę, że nie spełnił jej, bo Amerykanie nie wiedzieli, że tam jest.

Admirał czytał z niedowierzaniem wiadomość i ogarniała go coraz większa furia. Własny gabinet wydawał mu się coraz ciaśniej. Czuł się jak w klatce, miał ochotę ciskać czymś o ścianę. W końcu wezwał samochód służbowy i kazał kierowcy wieźć się pod bramę Yu Yuan.

Zhang uwielbiał odludne miejsca. Nigdy nie odwiedzał ogrodów między 8.00 i 10.00 ani między 14.00 i 17.00, kiedy to udostępniano je publiczności i alejkami przewalały się tłumy. Krążył teraz dookoła młorzębu i wymrukiwał pod nosem: „Ta ich obsesja tajności... ta niebywała tępota... wystarczyło powiedzieć

Amerykanom, że jest tam Typhoon, i nigdy by do tego nie doszło. Amerykanie nie odważyliby się odpalić torpedy, gdyby istniało choć jednoprocetowe prawdopodobieństwo, że trafią przypadkowo rosyjski okręt podwodny z międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi, które na pewno miał na pokładzie Typhoon...".

Admirał Zhang Yushu nie miał najmniejszych wątpliwości. Dziewięty okręt podwodny Kilo zniszczyli pod wodą ludzie z Pentagonu... ci sami, którzy zatopili Kilo 4 i Kilo 5 na Atlantyku... którzy zniszczyli Kilo 6, Kilo 7 i Kilo 8 w kanale. Cokolwiek powie Moskwa, Zhang nie postawiłby używanej rikszy na to, że K-10 dotrze cało do Szanghaju. Pokręcił zdegustowany głową i dygocząc z furii, wyobraził sobie sceny, które musiały się niedawno rozgrywać na południe od wyspy Paramuszyr. Wydało mu się, że słyszy ryk wody wzburzonej śrubami okrętów eskorty, kakofonię aktywnych sonarów. Ten hałas musiał stwarzać poważne problemy czającemu się amerykańskiemu okrętowi podwodnemu. Amerykańscy sonarzyści mieli na pewno kłopoty z namierzeniem Kilo.

Ale ta moneta miała dwie strony. A jeśli się dobrze zastanowić, to kilka stron. Najważniejsze było to, że Amerykanie bez końca ulepszały swoje podwodne środki rażenia. Już od dawna mieli torpedy programowane na poszukiwanie i niszczenie każdego celu znajdującego się dwanaście albo dziesięć, albo osiemnaście metrów pod powierzchnią, głębokość można w nich było ustawić dowolną. Takie torpedy nie zwracały uwagi na okręty nawodne i atakowały tylko cele znajdujące się pod wodą.

Zhang wiedział również, że rosyjskie okręty eskorty holowały za rufą wabiki, których zadaniem było ściągnięcie na siebie wszelkich nadpływających torped. Ale słyszał też o pewnym taktycznym rozwiązaniu, jakie na ten problem znaleźli Amerykanie. Umożliwiało ono oficerowi naprowadzającemu, który kierował sterowaną przewodowo torpedą, wydanie swojej podopiecznej rozkazu zignorowania wabika i szukania innego celu, nadal pod jego ścisłą kontrolą.

Kierowana w ten sposób torpeda mogła przeciąć cały kwadrat, a potem, gdyby zaszła taka konieczność, pomknąć z powrotem i wykorzystując funkcję aktywnego naprowadzania, jeszcze raz rozejrzeć się za swoją podwodną, bezradną ofiarą. I tak prawdopodobnie było w przypadku Kilo 9. Zhang składał pokłon współczesnej zaawansowanej technice. Nie mógł za to złożyć pokłonu idiotycznej taktyce wytwarzania przez całą dobę hałaśli-

wej bariery dźwiękowej, skoro wiadomo było z góry, że uniemożliwi ona wykrycie zbliżającej się „inteligentnej” torpedy.

Nie mógł również złożyć pokłonu niezrozumiałemu postępowaniu Rosjan, którzy nie ostrzegli Amerykanów ani nie dali im delikatnie do zrozumienia, że jeśli otworzą ogień, to mogą trafić rosyjskiego Typhoona i dać w ten sposób casus belli do wybuchu trzeciej wojny światowej.

Zdaniem Zhanga właśnie to doprowadziło do tej strasznej sytuacji. Spojrzał w górę na rozwijające się owoce ginkgo – ten chiński delikates – i pomyślał o szerokich, słowiańskich twarzach oficerów rosyjskiej marynarki, z którymi miał do czynienia... i usłyszał głośną, triumfalną wojskową muzykę ich wielkich sąsiadów z zachodu, tak przykrą dla chińskich uszu. Sam nie wiedział, czego nienawidzi bardziej: ociężałego, prostackiego, łatwego do przejrzenia sposobu rozumowania Rosjan czy buńczucznej, dysponującej nowoczesną techniką, za nic mającej sobie prawo Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Ruszył w kierunku wielkiej Osi, z której roztacza się widok na szeroką na dwieście metrów rzekę Huangpu, i zanim tam doszedł, odpowiedź miał już gotową. Rosjanami z wielu powodów pogardzał, ale Amerykanów nienawidził.

Pamiętał, że przy bramie od ulicy Fu Yu czeka na niego szofer, ale postanowił przespacerować się jeszcze szerokim bulwarem Bund, który biegnie wzdłuż rzeki zakręcającej w prawo ku delcie Jangcy. Zatrzymywał się od czasu do czasu i wsłuchiwał w odgłosy dobiegające z najlepiej prosperującego i najruchliwszego chińskiego portu, którego doki zajmują trzydzieści pięć mil szanghajskiego wybrzeża.

Słyszał znajome, niosące się nad wodą porykiwania syren i rogów, widział przepełnione promy walczące o miejsce ze starymi, płaskodziobymi parowcami i frachtowcami. Między ogromnymi barkami z węglem uwijało się mrowie wiekowych żaglowych łodzi i rodzinnych sampanów z dużym, pojedynczym wiosłem zwanym yuloh.

Głównodowodzący chińskiej marynarki wojennej pokręcił głową zdegustowany tym karygodnym brakiem dyscypliny, chaosem tego quasi-handlowego karnawału odbywającego się na brunatnych wodach Huangpu. Ale nie całe miasto było takie, bo Szanghaj reprezentował również główny ośrodek chińskiej marynarki wojennej. To tutaj, w wielkich stoczniach Jiangnan, Hudong

i Huangpu budowano jedne z najwspanialszych chińskich okrętów wojennych: czterotysięcznotonowe niszczyciele rakietowe klasy Luhu, fregaty klasy Jianghu, niszczyciele rakietowe klasy Luda, z których jeden, „Nanjing”, o wyporności trzech tysięcy sześćset siedemdziesięciu ton, był przez kilka lat domem admirała Zhanga.

Miał go wciąż przed oczami: przysadziste, pochylone kominy, wysmukły kadłub długości stu trzydziestu metrów, najnowocześniejszy miotacz bomb głębinowych na dziobie, przed głównym działem kaliber 130 mm. Zhang dowodził kiedyś tym starym numerem 131. To były czasy. Oddałby teraz życie za możliwość użycia jego miotacza przy wschodnich Wyspach Kurylskich, gdzie z pewnością krąży amerykański okręt podwodny, czekając na okazję do zatopienia ostatniego ocalałego Kilo.,

Wrócił myślami do wczesnego poranka 5 września, kiedy z Władywostoku przyszedł meldunek nadany przez „Admirała Czabanienkę” spod syberyjskiego Przylądka Olutorskiego:

Krótkotrwały kontakt zarejestrowany na trzech przebiegach radaru. Sześć mil od naszej lewej burty... Mógł to być amerykański okręt podwodny.

I przypomniał sobie lekceważący komentarz rosyjskiego kapitana: Nie ma powodów do stosowania dodatkowych środków obrony. Bariera akustyczna spełnia zadanie. Amerykanie są bezradni...

Admirał Zhang zawrócił do ogrodów, do ogromnego miłorzębu, który w jego odczuciu ucieleśniał starożytnego ducha jego ojczyzny. Uwielbiał stać w jego cieniu i robił to często, bawiąc w Szanghaju... po prostu stać pod drzewem, które żyło już czterysta lat, a pożyje następne sześćset – pod drzewem związanym nierozzerwalnie z historią kraju, który tak kochał.

Deszcz przestał padać. Admirałowi mijał już gniew. Obszedł małe jezioro przed Pawilonem Dziewięciu Lwów. Krocząc wzdłuż wschodniego brzegu głównego jeziora, dotarł do Wieży Uniesienia, której nazwa bynajmniej nie oddawała nastroju, w jakim się aktualnie znajdował. Zastanawiał się, co powie przełożonym. Mógłby zyskać na czasie, gdyby udało mu się uzyskać prywatną audiencję u przewodniczącego. Dostojny starzec na pewno by go przyjął. Ale tak naprawdę odzyskać twarz pomogło-

by mu tylko jedno – przybycie nie uszkodzonego Kilo 10 do portu w Szanghaju przed upływem najbliższych dwóch tygodni.

Wolnym krokiem wrócił do bramy Ogrodów Mandaryni. Yu i wsiadł do samochodu służbowego. Musi przygotować się do stawienia czoła śledztwu, jakie na pewno zarządzą chińskie władze. Wraz ze swoimi admirałami będzie musiał tłumaczyć cywilom, dlaczego proste sprowadzenie do kraju paru okrętów podwodnych w czasie pokoju, trasą wiodącą w przeważającej części wodami ich przyjaciół i aliantów Rosjan, okazało się przedsięwzięciem tak trudnym.

*

Admirał Witalij Ranków spędził na Kremlu prawie całą noc. Przyjechał tam o 2.00 nad ranem, kiedy powiadomiono go, że z Floty Pacyfiku przyszedł meldunek o zaginięciu przy północnych Wyspach Kurylskich jednego z dwóch płynących do Chin Kilo. Usiłując zachować spokój, wysłuchał uważnie raportów kapitanów rosyjskich okrętów eskorty i zwrócił uwagę, że wszyscy oni twierdzą, że nie ma podstaw, by dopatrywać się w tym incydencie nieczystej zagrywki z czyjejkolwiek strony. Czyżby?

Meldowali, że nie ma żadnych niezbitych dowodów na to, iż był to atak. Amerykanie nie byli w stanie wykryć Kilo sonarem i nie mogli ich zobaczyć. Kilo na pewno nikt nie zaatakował. Chyba że dowódca amerykańskiego okrętu podwodnego zdecydował się posłać między okrętami eskorty torpedę, która ominęła jakoś wabiki, ominęła największy na świecie okręt podwodny i uderzyła w Kilo. Nie, z tego admirał Ranków też nic nie rozumiał.

Potężny były oficer rosyjskiego wywiadu nie był co prawda ekspertem w dziedzinie uzbrojenia okrętów podwodnych, nie miał takiej wiedzy o prowadzeniu wojny na morzu jak jego chiński odpowiednik, admirał Zhang, ale znał dobrze możliwości amerykańskich systemów broni.

Pomimo wszystkich logicznych argumentów, jakie mu przedstawiano, nie wierzył, że był to wypadek, i wiedział, kto za tym stoi. Ta sama osoba, która przed trzema miesiącami w sobie tylko wiadomy sposób zniszczyła za jednym zamachem trzy okręty podwodne, dwie barki Tolkacz i spory odcinek Kanału Białomor-skiego. Admirał Arnold Morgan. I nie po raz pierwszy w tym roku Witalija Rankowa ogarniało przeświadczenie, że mógłby z czy-

stym sumieniem udusić tego zadziornego byłego szefa wywiadu amerykańskiej marynarki wojennej.

Z jaką rozkoszą zadzwoniłby teraz do Białego Domu i wygarnął Morganowi, co o nim myśli, zagroził mu wszystkim: odwetem, Trybunałem Praw Człowieka, Organizacją Narodów Zjednoczonych, upokorzeniem na oczach całego świata. Ale nie zniósłby poniżenia, jakie nieuchronnie przyniosłaby rozmowa z diabelnie inteligentnym Morganem, tego odpychającego, wredno-układnego tonu Teksaszczyka... Jak się masz, Witalij... musisz wzmocnić swoje środki bezpieczeństwa... różne rzeczy się zdarzają.

Nie. Po prostu tego by nie zniósł. Zresztą teraz najważniejsze to udobruchać jakiś Chińczyków. A przede wszystkim musi zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby ostatni Kilo dotarł do Szanghaju, pomimo niecnych knowań tego zbirą, który ukrywa się pod tytułem doradcy prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw

bezpieczeństwa narodowego. „ r

*

„Columbia” znajdowała się już sto pięćdziesiąt mil od miejsca ataku i szła szybko na południe-południowy wschód w kierunku Midway. Na okręcie wszystko działało bez zarzutu, ale załoga była już zmęczona trwającą blisko miesiąc operacją i Boomer z ochotą skierował „Columbię” do amerykańskiej bazy okrętów podwodnych w Pearl Harbor, gdzie odpoczną, zregenerują siły i przeprowadzą rutynowy przegląd jednostki. Po znalezieniu się w porcie wyłączą reaktor, uzupełnią zapasy żywności, napełnią magazyny, sprawdzą podzespoły. Ale zrobią to wszystko przy nabrzeżu, bo nie było potrzeby stawiać „Columbii” w suchym doku w celu oczyszczenia dna. W lodowatych wodach Arktyki nie ma skorupiaków i alg, którymi obrasta zawsze kadłub okrętu podwodnego na cieplejszych akwenach.

„Columbia”, trzymając się północnej strony Grzbietu Hawajskiego, minęła od północy Midway. Za wyspą Kauai Boomer skręcił ostro w prawo, w cieśninę Kauai, przeszedł obok cypla Barbers i popłynął wzdłuż skalistego południowego wybrzeża Honolulu. Do Pearl Harbor zawinęli 17 września, dokładnie tydzień po posłaniu K-9 na dno oceanu przy wyspie Paramuszyr.

Załoga okrętu z lubością wygrzewała się w słońcu wyspy. Mieli tu pozostać cztery tygodnie. Oficerowie nadrobią zaległości

w papierkowej robocie, część załogi będzie pomagała technikom z Pearl Harbor przy drobnych naprawach, reszta zajmie się nadzorowaniem załadunku i rozmieszczaniem zapasów. W czasie wolnym będą mogli schodzić na ląd. Kawalerowie z wypiekami na twarzy planowali już wizyty w legendarnych nocnych spelunkach Honolulu.

Zaraz po przybiciu do nabrzeża Boomer, pomimo że w Connecticut był wtedy środek nocy, zatelefonował do Jo i przekazał jej przykrą wiadomość, że być może „Columbia” będzie musiała iść na trzytygodniowy patrol z nową grupą uderzeniową lotniskowca, która wpłynie na Morze Arabskie na początku grudnia. Ale to jeszcze nic pewnego. Jo ze stoickim spokojem przyjęła informację, że w gruzach legły plany na kolejne Święta Bożego Narodzenia.

Boomer powiedział jej też, że chwilowo stoi w Pearl Harbor. Jo zdobyła się na odwagę i spytała, skąd się tam, u diabła, wziął.

–Miałeś przecież płynąć na patrol po Atlantyku, nie po Oceanie Spokojnym – wyrzuciła z siebie.

–Przepraszam, kochanie moje, ale nie mogę ci tego powiedzieć – odparł pogodnie. – Pamiętaj, że wypełniam tajną misję. –

Tu zniżył głos i dodał: – Nazywam się Dunning... Cale Dunning...

*

171630WRZ. 34,00N; 142,00E. Sto pięćdziesiąt mil od wschodniego wybrzeża Japonii, głębokość morza dziewięć tysięcy metrów. Zbudowany w Rosji, ale dowodzony obecnie przez Chińczyka okręt podwodny klasy Kilo szedł na silnikach elektrycznych na południe, z szybkością dziewięciu węzłów, pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią.

Kapitan Kan Yu-fang, dawniej dowódca nowego chińskiego okrętu podwodnego o napędzie atomowym klasy Xia (Typ 093), był już ekspertem w dowodzeniu rosyjską jednostką o napędzie dieslowsko-elektrycznym, która tyle znaczyła dla jego głównodowodzącego. Kapitan Kan był najstarszy wiekiem z oficerów chińskiej marynarki, jacy służyli na okrętach podwodnych. Wyrobił sobie doskonałą opinię na narowistym Xia, na którym występowały ciągle problemy z wielkimi nuklearnymi głowicami bojowymi CSS-NX-4.

W końcu kapitan zrezygnował z dowództwa, bo niewielkie były widoki, by Chinom udało się kiedykolwiek zmontować

z posiadanych trzech okrętów podwodnych tej klasy przyzwoitą flotę. Tak czy inaczej, admirał Zhang uważał Kan Yu-fanga za idealnego kandydata na dowódcę następnego nowego Kilo na czas jego niebezpiecznej podróży. Kapitan był rodowitym szanghajczykiem i służbiście starej szkoły. Kiedy przy brzegach wyspy Paramuszyr zaginął Kilo 9, to on oświadczył znajdującym się wciąż na pokładzie rosyjskim oficerom, że odłącza się od konwoju i sam, powoli, cicho, z szybkością pięciu węzłów, płynie w zanurzeniu do Szanghaju. Kazał rosyjskiemu komandorowi porucznikowi powiadomić dowódcę eskorty o swoich zamiarach, zarządził zmniejszenie szybkości i oddalił się wolniutko, ignorując od tej chwili wszystkie pozostałe okręty i sygnały.

Przyśpieszyć zamierzał dopiero w pobliżu Szanghaju. Był zdecydowany tam dopłynąć.»

Zresztą nie miał czasu na bohaterstwą. Ani myślał szukać hipotetycznego amerykańskiego okrętu podwodnego i wdawać się z nim w pojedynek, gdyż wiedział, że tylko jednym zasłuży sobie na wdzięczność głównodowodzącego: bezpiecznym doprowadzeniem dziesiątego Kilo do Szanghaju.

Teraz był siedem dni drogi od wyspy Paramuszyr, czyli miał już za sobą spory kawałek trasy, i płynął sam. Po raz pierwszy od dłuższego czasu mógł wziąć odpowiedzialność za własne działania. Podobał mu się ten nowy okręt, dobrze się go prowadziło. Zwłaszcza zaś podobała mu się odczuwalna na każdym kroku niezawodność jednostki. Przewidywał, że do Szanghaju zawinie 23 września po południu. Powiadomił o tym głównodowodzącego poprzez satelitę, kiedy pierwszej nocy wynurzył się na środkowych Kuryłach, żeby pochrapać. Po dwóch godzinach zszedł znowu pod wodę i z torpedami załadowanymi do wyrzutni parł dalej na południe w kierunku ukochanego miasta rodzinnego i ukochanych Chin. Kapitan Kan był bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Pentagon nie wiedział, jak bardzo niebezpiecznym. Ale admirał Zhang wybrał osobiście pięćdziesięciodwuletniego Kana na kapitana Kilo nie tylko dlatego, że był on najwytrawniejszym w chińskiej marynarce dowódcą okrętów podwodnych pierwszej linii, ale również przez wzgląd na jego życiorys i rodowód polityczny. W połowie lat sześćdziesiątych Kan Yu-fang był członkiem Czerwonej Gwardii, jednym z nastoletnich fanatycznych wielbicieli Mao Tse-tunga, i brał czynny udział w krwawej łaźni, jaką zgotował chińskiemu narodowi przewodniczący. Kan zaliczał się wtedy do zago-

rzałych bojowników sprawy wielkich Chin, i nadal nim pozostawał. W roku 1966, mając piętnaście lat, dowodził 1. Brygadą I Dywizji Piechoty z osławionej szanghajskiej Szkoły numer Dwadzieścia Osiem. Była to wzbudzająca powszechną grozę grupa dwudziestu młodych czerwogwardzistów, która wślawiła się torturowaniem trzech swoich nauczycieli, oślepieniem dwóch i zmuszeniem dwóch innych do wyskoczenia z okna na szóstym piętrze. Kan Yu-fang przewodził właściwie uzbrojonej ulicznej bandzie. Zmienił nazwisko na „Kan, Osobisty Gwardzista Przewodniczącego Mao”, nie rozstawał się z pistoletem i z pejczem, i w ramach rewolucji kulturalnej przeprowadzał nocne naloty na uliczki biedoty, szukając tych, którzy w jego mniemaniu byli wrogami ludu – we frazeologii Mao „zwolennikami kapitalizmu”; pod tę kategorię podpadał każdy, komu lepiej się powodziło.

W ciągu tych dwunastu miesięcy, na które Mao oddał władzę nad dorosłymi najbrutalniejszemu elementowi chińskiej młodzieży, Kan doprowadził torturami na skraj śmierci wielu nauczycieli i intelektualistów, a oddawał się temu zajęciu w teatrze w centrum Szanghaju, który zajął na własne potrzeby. Wskaźnik samobójstw w jego dzielnicy sięgnął alarmującego poziomu, bo Kan zmuszał zawsze współmałżonków i dzieci ofiary do przyglądania się wstrząsającym scenom kaźni. Podobno największą przyjemność czerpał ze zmuszania kobiet do przyjmowania „pozycji samolotu”; wykręcał im do tyłu ręce i unosił je dopóty, dopóki nie powyskakiwały ze stawów. Jego ludzie zmuszeni byli czasem skopać przy tym na śmierć protestującego męża.

Kan nie interesował się kobietami. Był, jak się to obecnie określa, ślepyńi na płęć, i nigdy się nie ożenił.

Kiedy barbarzyński i znenawidzony reżim czerwogwardzistów dobiegł kresu, młody Kan przedzierzgnął się szybko w zbuntowanego czerwogwardzistę i biegał po ulicach, wykrzykując bez końca myśli Mao: „Wykorzystując ogromną energię mas, można osiągnąć każdy cel”.

Pod koniec lat sześćdziesiątych jego brutalność została zauważona przez jedną z najokrutniejszych kobiet w całej historii Chin, była aktorkę Ciang Cing, która została żoną Mao. Kan został jednym z najmłodszych przywódców jej szalonej kliki, która przemierzała kraj wzdłuż i wszerz, niszcząc szkoły, uniwersytety i biblioteki, paląc książki, wybijając szyby w oknach i wprowadzając rządy terroru w społecznościach akademickich wielkich chińskich miast.

Pani Mao zatrudniała Kana przez cztery lata, a na koniec osobiście zadbała o to, by spełniło się jego marzenie o wstąpieniu do marynarki wojennej. Wykorzystał w pełni daną mu szansę i szybko dosłużył się stopnia oficerskiego. Ten wysoki, zamknięty w sobie, układny i nie mający przyjaciół mężczyzna został dowódcą okrętu nawodnego. Nie był popularny, tylko raz zrobiło się o nim głośno, w związku z pewnym skandalem: podejrzewano go o podejrzenie gardła szanghajskiej prostytutce. Jednak dowodów na to nie znaleziono.

Po przejściu na okręty podwodne pozycja Kana szybko skoczyła w górę. Zyskał sobie opinię nieustraszonego podwodnego dowódcy i najlepszego specjalisty od uzbrojenia w całej marynarce. Ale chociaż tylko garstka starszych oficerów znała jego straszną przeszłość, to koledzy woleli go omijać szerokim łukiem.

Admirał Zhang nie miał wątpliwości, że ten dziwny, pozbawiony emocji człowiek o splamionych krwią rękach nadaje się idealnie do objęcia dowództwa na Kilo 9 albo Kilo 10. Zhang instynktownie przeczuwał, że jeśli marynarka amerykańska zdecyduje się zapolować na chińskie okręty podwodne, to zadanie to zostanie powierzone atomowemu okrętowi podwodnemu w ramach czarnej operacji. Wiedział, że amerykański dowódca takiej jednostki będzie człowiekiem bezwzględny. Ale znajdzie godnego siebie przeciwnika w Kanie, który przy najmniejszej prowokacji nie zawaha się otworzyć ognia. W tym wypadku admirał Zhang bez skrupułów wydał mu takie rozkazy. Komunikat wysłany do Kilo 10, kiedy okręt w drodze do Szanghaju wynurzył się na krótko, by zachrapać, odzwierciedlał co do joty jego punkt widzenia.

*

231730WRZ. Admirał Zhang Yushu uściskał serdecznie kapitana Kana, dowódcę Kilo 10, schodzącego w bazie marynarki wojennej w Szanghaju na ląd z okrętu podwodnego, który przyprowadził szczęśliwie syberyjską trasą z północnej Rosji. Admirał polecił swojemu personelowi traktować z najwyższymi honorami rosyjskich oficerów łącznikowych, którzy towarzyszyli chińskiemu kapitanowi w podróży przez połowę świata. Cała szóstka miała tego wieczoru uczestniczyć w uroczystej kolacji z nim i z wyższymi oficerami chińskiej marynarki.

Przedtem jednak chciał osobiście porozmawiać z kapitanem Kanem. Po godzinie tej rozmowy stwierdził, że dowiedział się niewiele ponadto, co już wiedział.

Nie, Kilo ani razu nie odniosły wrażenia, że są tropione przez amerykański atomowy okręt podwodny. Tak, podwodna bariera akustyczna, która miała im zapewnić bezpieczeństwo, wszystko zagłuszała. Nie, nie mieli niezbitego dowodu, że był to atak. Jeśli dziewiąty Kilo rzeczywiście został trafiony torpedą, to tylko jakiś geniusz mógł ją wystrzelić. Tak, znajdowali się wówczas w odległości mili od K-9. Tak, ich sonar zarejestrował w tym czasie eksplozję, ale przy panującym wokół hałasie, który towarzyszył im od Cieśniny Beringa, trudno było stwierdzić, co ją spowodowało.

Na koniec admirał Zhang zadał kapitanowi okrętu podwodnego pytanie, które nurtowało go od wielu dni:

–Czy nie sądzicie, że lepiej by było dać Amerykanom wyraźnie do zrozumienia, że Typhoon jest z wami i płynie między dwoma Kilo?

–Tak, panie admirale. Tak sędzę. Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że o tym wiedzą. Bardzo mnie pan zaskoczył... Nie

chce mi się wierzyć, że nikt nie wiedział o obecności Typhoona.

*

Pierwszego października admirał Zhang wysłał nowego Kilo pod dowództwem kapitana Kana, już wyłącznie z chińską załogą, w mającą potrwać sześć dni, tysięc dwustumilową podróż do bazy w Kantonie.

I tak, 7 października, w nowym porcie dla okrętów podwodnych na Rzece Perłowej, Kilo formalnie został przekazany wiceadmirałowi Zu Jicai, dowódcy Floty Morza Południowochińskiego. Ten transfer między flotami podyktowany był dwoma względami. Admirał Zhang wychodził z założenia, że okręt lepiej trzymać w Kantonie, bo i tak wkrótce ma zostać wysłany na dalekie południe z zadaniem ustalenia, gdzie Tajwańczycy prowadzą swoje eksperymenty z bronią nuklearną. A przyłączenie Tajwanu do macierzy musiało jeszcze poczekać do czasu wynegocjowania

z Rosjanami warunków dostarczenia dalszych Kilo.

*

Czternastego października, o 10.30, odezwał się agent operacyjny chińskich służb

wywiadowczych pracujący na Tajwanie. Mężczyzna nawiązał kontakt z bezpiecznego domu – ale mimo to bardzo się spieszył i chciał rozmawiać tylko z generałem Fang Weiem.

Jego meldunek był bardzo tajemniczy:

Profesor Liao Lee z Tajwańskiego Uniwersytetu Narodowego znikł nagle w trakcie swojego najważniejszego cyklu wykładów. Nie pojawił się na uczelni po święcie narodowym przypadającym 10 października. Studenci nic nie wiedzą. Władze wydziału nie chcą udzielać żadnych informacji.

Generał Fang skojarzył sobie natychmiast odbywającą się co dwa lata Konferencję Czerwcową i połączył się telefonicznie przez bezpieczną linię z biurem admirała Zhanga w pobliskiej kwaterze głównej marynarki wojennej w Pekinie. Powtórzył słowo w słowo treść meldunku agenta i poprosił o podanie daty następnego wyjścia w morze Hai Lunga 793.

Admirał Zhang poprosił generała o niezwłoczne przybycie. Godzinę później ustalili obaj ponad wszelką wątpliwość, że ten zbudowany w Holandii okręt podwodny opuścił port przed dwoma dniami, 12 października. Byli przekonani, że znany fizyk nuklearny znajduje się na jego pokładzie. Byli też pewni, że w tajemniczym laboratorium, gdzieś tam na dalekim południu, wydarzyło się coś ważnego.

Zhang, który domyślał się, gdzie to jest, nadał natychmiast wiadomość do Kantonu, do admirała Zu Jicaia:

W ciągu dwudziestu czterech godzin wyślij ostatniego Kilo pod dowództwem kapitana Kana Yu-fanga na leżącą na południowym Oceanie Indyjskim Wyspę Kerguelena. Odległość osiem i pół tysiąca mil. Dotankowanie na południe od cieśniny Lombok. Bliższe informacje wkrótce.

O 11.00 czasu lokalnego – dwanaście godzin później – wciąż 14 października, w siedzibie CIA w Langley, w stanie Wirginia, szef wydziału dalekowschodniego Frank Reidel odebrał zakodo-

wany meldunek satelitarny z Tajpej. Nadawcą był Carl Chimei, ich nieoceniony brygadzysta dokerów z bazy okrętów podwodnych w Suaos.

Z meldunku wynikało, że Carl jest przekonany, iż rozpoznał cywilnego pasażera, wchodzącego przed dwoma dniami, o świcie 12 października, na pokład Hai Lunga 793. Przeczytał właśnie długi artykuł zamieszczony w broszurze Tajwańskiego Uniwersytetu Narodowego i zilustrowany fotografiami dwóch mężczyzn. Carl Chimei gotów był przysiąc, że owym pasażerem był najwybitniejszy tajwański fizyk jądrowy, profesor Liao Lee.

Frank Reidel machnął ręką na protokół i połączył się za pośrednictwem ultrabezpiecznej linii z rezydującym w Białym Domu admirałem Arnoldem Morganem.

–Morgan. Czego?

–Frank Reidel z tej strony, panie admirale.

–Czołem, Frank, co tam się urodziło?

–Nasz człowiek z Tajpej jest przekonany, że dwa dni temu,

o świcie 12 października, widział najważniejszego tajwańskiego fizyka jądrowego wchodzącego na pokład jednego z okrętów podwodnych klasy Hai Lung, jednostki numer 793. Okręt zaraz potem wypłynął w morze. Jak zwykle nikt nie wie po co

1 dokąd.

–No, Frank, wspaniała informacja. Naprawdę wspaniała. Gęba na kłódkę. – Z tymi słowami admirał Morgan trzasnął słuchawką o widełki.

–Chamisko – mruknął z uśmiechem agent CIA – ale trzeba przyznać, że niezły organizator... a najgorsze, że prawie go lubię.

Admirał Morgan kazał sekretarce wezwać przed wejście Charliego, a potem zadzwonił do admirała Mulligana i poprosił go, żeby „nie ruszał się ze swojego fotela i czekał na niego”.

Dwie godziny później, w Pentagonie, obaj admirałowie doszli w ciągu dwóch minut do zgodnego wniosku, że najwyższa pora przyjrzeć się dokładnie tajwańskiej aktywności na tej przeklętej wyspie.

–Jezu – powiedział Arnold Morgan. – Te stuknięte palanty mogą tam pitrasić jakąś broń biologiczną albo coś w tym rodzaju... mają przecież hopla na punkcie zagrożenia ze strony kontynentalnych Chin.

–Bardziej prawdopodobne, że to broń nuklearna, o czym

402

świadczyłyby ściągnięcie okrętem podwodnym tego wielkiego profesora – mruknął szef operacji morskich.

O 12.37 admirał Mulligan przesłał poprzez satelitę wiadomość dla stojącej w Pearl Harbor „Columbii”:

Do rąk własnych komandora Dunninga: Płyn pełną parą na Wyspę Kerguelena. Poświęć dwa tygodnie na dokładne jej przeszukanie.

Cel: Ustal, co i gdzie robią tam potajemnie Tajwańczycy. Nie daj się wykryć, powtarzam, nie daj się wykryć. Dowództwo sił podwodnych Pacyfiku COMSUBPAC poinformowane, że wypełniasz nadal tajną misję dla SUB-LANT. Spodziewaj się zastać na miejscu fabrykę broni biologicznej albo jądrowej. I/lub potencjalną kryjówkę dla rządu na wypadek chińskiej okupacji. Dwunastego października z portu w Suao wyszedł w morze tajwański okręt podwodny klasy Hai Lung, numer 793. Spodziewana data dotarcia do Wysp Kerguelena: 18/19 listopada. Najprawdopodobniej wiezie zaopatrzenie dla tamtejszej tajwańskiej instalacji. Twoim zadaniem jest ustalenie jej lokalizacji. Tylko to. Atakować jedynie w samoobronie.

Po wykonaniu zadania wycofać się natychmiast z rejonu i meldować. Dalsze działania, gdyby twoja misja zakończyła się sukcesem, jeszcze w fazie dyskusji. *

151200PAŻ. Najnowszy chiński nabytek, okręt podwodny klasy Kilo pod dowództwem kapitana Kana Yu-fanga, opuścił Kanton, pokonał pięćdziesięciomilowy odcinek Rzeki Perłowej i minął dwa strzegące jej ujścia, leżące na przeciwległych brzegach miasta Kowloon i Makau. Zostawiwszy za sobą mrowie maleńkich wysepek rozsypanych po Morzu Południowochińskim, okręt podwodny Kilo zanurzył się i z szybkością dziewięciu węzłów skierował na wschód. Za trzy i pół dnia będzie już za północnym cyplem Filipin, skreśli na południe, w kierunku odległej cieśniny

Lombok, przepłynie ją i weźmie kurs na Wyspy Kerguelena.

151936PAŻ. USS „Columbia” płynęła wodami Pearl Harbor. Wieczór był chłodny. Na mostku, ubrany w granatową kurtkę, stał komandor Boomer Dunning w towarzystwie nawigatora, porucznika Wingate'a, i swojego zastępcy, komandora porucznika Krausego. Czekala ich długa podróż, jedenaście tysięcy siedemset mil.

Ale atomowy okręt podwodny jest w stanie przebyć około pięciuset pięćdziesięciu mil dziennie i niegroźne mu najgorsze humory Oceanu Południowego. Będą płynęli zimną, ale spokojną głębią, dziewięćdziesiąt metrów pod powierzchnią. „Columbia” znajdowała się w doskonałym stanie technicznym, reaktor pracował bez zarzutu. I Boomer, gdyby nie miał na pieńku z prezydenckim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, byłby w doskonałym nastroju.

Ale w tej sytuacji nie miał się z czego cieszyć. Wiedział, że Arnold Morgan musiał wpaść w szal, skoro przekazał mu przez admirała Mulligana, co o nim myśli. A Boomer nie miał właściwie nic na swoje usprawiedliwienie. Morgan miał prawo się wściekać. Niewiele brakowało, a trafiłby tego cholernego Typhoo-na. Boże, co by się wtedy działo? Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Morgan, kiedy trochę ochłonie, zrozumie pobudki, jakimi kierował się on, Boomer.

Kiedy zostało im piętnaście minut do odbicia od nabrzeża, przyszedł komunikat satelitarny z SUBLANT informujący, że K-10 opuścił Kanton i płynie Rzeką Perłową. Miejsce przeznaczenia nieznane.

„Columbia” zostawiła za sobą Hawaje i wyszła na otwarty Pacyfik. O 20.30 Boomer zszedł z dwoma swoimi oficerami z mostku i nakazał zanurzenie. Okręt miał pozostać pod powierzchnią przez całą drogę przebiegającą wzdłuż wschodnich wybrzeży Australii, obok Tasmanii, a potem Oceanem Południowym aż do skutej lodem wyspy, którą już raz odwiedził, tyle że w bardziej przychylnych okolicznościach.

Bóg jeden wie, co tam znajdę, myślał. W każdym razie będę robił tylko i wyłącznie to, co mi każą. Moja kariera prawdopodobnie i tak już leży w gruzach. Kapitanem raczej nie zostanę, a jeszcze tego by brakowało, żebym wrócił do New London jako cywil.

Chińskie służby wywiadowcze naciskały swoich agentów operacyjnych w Tajpej, żądając od nich coraz więcej informacji. I te napływały wąskim strumyczkiem do gabinetu generała Fang Weia. Dwudziestego czwartego października nie było już żadnych wątpliwości... Tajwańczycy pracowali nad bronią jądrową, a robili to gdzieś pośród trzystu wysepek Kerguelena.

Generał spotkał się tego ranka w kwaterze głównej marynarki z admirałem Zhangiem i przekazał mu najświeższe informacje, z których część dotyczyła pojemników z tajwańskich elektrowni atomowych dostarczanych w tajemnicy, pod silną strażą, do bazy okrętów podwodnych. W pojemnikach tych znajdował się ni mniej, ni więcej tylko uran.

Zhang spędził dwie następne godziny w samotności, studiując szczegółową mapę Wysp Kerguelena, sporządzoną pod kierunkiem hydrografa Royal Navy, kontradmirała sir Davida Haslama. Potem, o 16.30, zredagował wiadomość dla swojego przyjaciela i kolegi z południa, admirała Zu Jicaia. Poprosił go o przesłanie na Kilo następującego komunikatu:

Zlokalizować i zniszczyć tajwańskie laboratorium/fabrykę na Wyspach Kerguelena. Omijać okolice francuskiej stacji meteorologicznej w Port-aux-Français (49,21N; 70,11E), znajdującej się na południowym brzegu półwyspu Courbet. Zachodnie wybrzeże też nie wchodzi raczej w rachubę. Jest urwiste i wystawione na kaprysy arktycznej pogody. Najbardziej prawdopodobne rejony to duże zatoki na północnym wschodzie – zatoka Choiseul, zatoka Rhodes i zatoka Bałeiniers. Wykrycie może ułatwić reaktor francuskiego atomowego okrętu podwodnego wykorzystywany w charakterze źródła zasilania. Zastosować wszelkie środki niezbędne do

całkowitego zniszczenia tajwańskiej instalacji. • *

„Columbia” płynęła przez cały czas z szybkością dwudziestu węzłów w głębokim zanurzeniu, tylko raz dziennie wychodząc na peryskopową, żeby nadać rutynowy meldunek. Do 18 października pokonali tysiąc sześćset mil i byli już niemal po drugiej stronie Basenu Środkowopacyficznego. Dwudziestego pierwszego października minęli wyspy Fidzi i trzy dni później weszli na

Morze Tasmańskie. Dwudziestego szóstego października w południe przecięli 45 stopień szerokości geograficznej południowej na wysokości Hobart na Tasmanii. Trochę dalej na południe, nad Zatoką Sztormową wznosił się duży hotel, gdzie ostatniego dnia lutego Boomer z Billeem Baldrige'em przyprowadzili „Yondera”.

Przed sobą mieli jeszcze trzy i pół tysiąca mil Oceanu Południowego, który pod koniec października obfituje w gwałtowne zmiany pogody, a ich kulminacją bywają często porywiste wiatry i wzburzone morze. To jednak było „Columbii” zupełnie obojętne.

Szli szybko na zachód w kierunku Wysp Kerguelena. Od czasu wydostania się spod arktycznego paku lodowego na pokładzie panowała swobodna atmosfera. Nastroju nie zepsuł załódze nawet incydent przy Wyspach Kurylskich. Mieli za sobą najgorszy koszmar podwodniaka – groźbę uwięzienia pod wodą. Teraz mogło być już tylko lepiej.

Dla większości czekające ich rutynowe przeszukiwanie odludnej wysepki było dziecinną igraszką. Nie mieli do nikogo strzelać; nie zanosiło się, że ktoś będzie strzelał do nich i kiedy tylko zechcą, mogą się wynurzyć. Nawet gdyby na powierzchni panowały fatalne warunki, to i tak nie wytrzymały one porównania z uwięzieniem pod lodem. Od blisko dwunastu tygodni, czyli od wyjścia z New London, załoga nie czuła się jeszcze tak zrelaksowana.

W Pearl zaopatrzyli się w nowe filmy wideo, każdy się opalił i wypoczął, a komandor porucznik Curran w parze z Dave'em Win-gate'em znajdowali się na najlepszej drodze do wygrania turnieju brydżowego, w którym praktycznie nie mieli sobie równych.

–Ten Jerry ma rentgena w oczach – orzekł Lee O'Brien, matematyk z maszynowni, dla którego było rzeczą niepojętą, że ktoś potrafi zapamiętywać schodzące karty lepiej od niego.

Jedynym członkiem załogi, którego dało się jeszcze nazwać poważnym brydżystą, był Spike Chapman, szef systemów, przesiadujący długie godziny za konsolą sterowania każdym mechanizmem i każdą funkcją elektryczną okrętu, z wyjątkiem napędu. Grał i liczył dobrze, ale jego partner, komandor porucznik Abe Dickson, nie dorastał mu do pięt i miał tendencje do szarżowania podczas licytacji. Przy stoliku często można było usłyszeć ciężkie westchnienie Chapmana: „Jezu, Abe... mógłbyś trochę zbastować... choć ten jeden raz?”. Wywoływało to salwy śmiechu.

Dowódca nie brał udziału w turnieju. Od początku podróży

był jakiś nieswój, zamknięty w sobie. Dziwiło to trochę jego oficerów, którzy nie czytali poufnej opinii, jaką wystawił Boomerowi admirał Morgan.

Ale komandora Dunninga gnębiło coś jeszcze, jakiś nieokreślony niepokój związany z Wyspami Kerguelena. Z członków załogi „Columbii” tylko on jeden już tam kiedyś był i tylko jego intrygowała stara sprawa zaginięcia „Cuttyhunka”.

Boomerowi brakowało być może przenikliwości Arnolda Morgana czy nawet Joego Mulligana, a już na pewno ustępował pod tym względem admirałowi Dunsmore'owi, ale braku inteligencji nie można mu było odmówić. Lubił książki o głośnych procesach sądowych i dochodził do wniosku, że większość spraw obraca się wokół jakiegoś jednego prostego, niezaprzeczalnego i obciążającego faktu, który jest dla wszystkich oczywisty i tylko obrońcy pokrzykują, że dowody zostały sfabrykowane.

Podobnie było z zaginięciem „Cuttyhunka”. Selektywna pamięć Boomera Dunninga zarejestrowała słowo w słowo fragment artykułu Freddiego jakmutam: ostatnią wiadomość przesłaną za pośrednictwem satelity przez radiooperatora Dicka Elkinsa... MAYDAY... MAYDAY... MAYDAY!... „Cuttyhunk” na 49 południowej, 69... NAPADNIĘTO NAS... Japończycy...

Zdaniem Boomera oznaczało to, że „Cuttyhunk” rzeczywiście został zaatakowany, bo inaczej radiooperatorowi nawet do głowy by nie przyszło, żeby wysyłać taki przepełniony grozą komunikat. Do tego dochodził jeszcze jeden niezaprzeczalny fakt, że po nadaniu komunikatu cała załoga statku, wszyscy płynący na nim naukowcy i w ogóle cały statek zniknęli.

Dla Boomera nie ulegało wątpliwości, że tymi „Japończykami” byli Tajwańczycy, ta sama grupa, której teraz miał szukać. Najwyraźniej napadli na „Cuttyhunka” z bronią w rękę. A zrobili to zapewne z obawy przed zdemaskowaniem, bo statek badawczy z Woods Hole nie stanowił przecież dla nich żadnego zagrożenia w sensie militarnym.

Skoro Tajwańczycy pracują pod osłoną uzbrojonych sił marynarki wojennej, które nie zawahały się otworzyć ognia do obywateli Stanów Zjednoczonych i albo zatopić, albo skonfiskować ich statek, to niewykluczone, że otworzą również! ogień do „Columbii”. Wiedział już, że w okolicy kręcą się okręty podwodne... jeden widzieli na własne oczy z Billem Baldrige'em.

Czy i jakie jeszcze środki obrony przybrzeżnej stosują

Tajwańczycy, Boomer nie wiedział. Jedno było pewne. To zadanie inwigilacyjne trzeba prowadzić z najwyższą ostrożnością. Zgodnie z rozkazami, jakie otrzymał, mógł strzelać tylko w samoobronie i miał unikać wykrycia. Zamierzał się do nich ściśle stosować.

Wszystko to sprawiało, że dowódca „Columbii” nie udzielał się optymizmem pozostałych członków załogi. Postanowił, że humory popsuje im dopiero wtedy, kiedy zbliżą się do Wysp Kerguelena na sto mil. Do tego czasu niech sobie oglądają filmy na wideo, a Abe Dickson niech licytuje beztrąsko z pogwałceniem wszelkich zasad gry... krytyka admirała Arnolda Morgana wymierzona

fcyla przecież tylko w niego, Boomera, i w nikogo więcej.

*

Fort Meade, Maryland, 26 października. Admirał George Morris złożył swój poranny meldunek rezydującemu w Białym Domu doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Jego treść była taka sama jak poprzedniego dnia i jak dwa dni wcześniej. Nie zmieniła się od 15 października, kiedy to nadeszło zrobione

o 15.00 czasu lokalnego zdjęcie satelitarne, na którym przy nabrzeżu w Kantonie nie było już K-10.

–Ani śladu tej przeklętej łajby. Jeśli płynie z szybkością dziewięciu węzłów, to jest już prawie dwa i pół tysiąca mil od bazy. A mogła się skierować w dowolną stronę świata... może z powrotem na północ, lichy ją wie. Szlag mnie trafia.

–Mnie też, George. Może krąży wokół Tajwanu albo patroluje wybrzeża Korei Południowej... Najgorsze w tym małym bękarcie jest to, że nie można go zobaczyć, a jak płynie powoli, to

1 usłyszeć. Daj mi znać, gdyby wyszło coś nowego. Nie podoba mi się, że sukinsyn pałęta się tam bez opieki.

–r *

Wieczorem 2 listopada o 21.00 „Columbia” zostawiła za sobą Grzbiet Australijsko-Antarktyczny i szła dalej na głębokości stu osiemdziesięciu metrów w kierunku Wysp Kerguelena, zbliżając się do nich od wschodu. Piątego listopada, sto mil od półwyspu Courbet, dowódca zwrócił się do załogi za pośrednictwem publicznego radiowęzła.

–Mówi kapitan – zaczął. – Jak zapewne wiecie, zbliżamy się do Wyspy Kerguelena. Nie chciałem was do tej pory niepokoić i najchętniej w ogóle bym tego nie robił. Muszę jednak wszystkim uprzedzić, że czekająca nas operacja poszukiwawcza nie będzie bynajmniej rutynowym, wolnym od jakichkolwiek zagrożeń spacerkiem.

Cofnijcie się pamięcią wstecz, do tajemniczego zniknięcia statku badawczego z Woods Hole, który dwa lata temu zaginął z wszystkimi dwudziestoma dziewięcioma osobami na pokładzie. Niektórzy z was może wiedzą, że doszło do tego właśnie tam, dokąd płyniemy, w okolicach Wyspy Kerguelena.

Są może między wami tacy, którzy czytali o tej tragedii. Jeśli tak, to na pewno rzucił im się w oczy ostatni komunikat nadany z „Cuttyhunka”... ten, w którym radiooperator wysłał sygnał „Mayday!”, a potem wołał, że statek atakują Japończycy.

Otóż moim zdaniem nie ulega wątpliwości, że statek rzeczywiście został zaatakowany. I to prawdopodobnie przez jakąś jednostkę patrolową marynarki wojennej obcego państwa ochraniającą gości, których mamy zlokalizować. Krótko mówiąc, ta jednostka może również zaatakować nas, a nie wiemy, czy jest wyposażona w jakieś środki do zwalczania okrętów podwodnych, na przykład bomby głębinowe. Ale gdyby to mnie kazano coś tam, w tych wąskich fiordach ochraniać, to na pewno bym się w taki sprzęt zaopatrzył!

Powiedzmy to sobie wyraźnie, chłopcy, nie mamy równego • sobie przeciwnika – jesteśmy najlepsi i płynamy na najlepszym okręcie – ale rozkazy, które otrzymałem, są jednoznaczne: wysłano nas tutaj, żebyśmy przeszukali wyspę, zlokalizowali, co tu jest do zlokalizowania, i złożyli o tym meldunek. Nie wolno nam niczego atakować.

Zmobilizujmy się więc. Wpływamy na potencjalnie niebezpieczne wody, bądźmy więc czujni. Przeprowadźmy te poszukiwania jak profesjonaliści, którymi przecież jesteśmy. I pamiętajcie, atakować wolno nam tylko w przypadku jednoznacznie agresywnej akcji podjętej przeciwko nam... akcji, którą zakwalifikujemy do kategorii „oni albo my”. Bo na to zawsze jest tylko jedna odpowiedź: na pewno nie my.

Załodze spodobały się słowa dowódcy. A Boomer zakończył:

–No więc tak. Poszukiwania rozpoczynamy o 8.00, o pierwszym brzasku. Podpływamy tam cicho i bierzemy się do roboty.

Nie zakładać niczego z góry. Nie wiemy, kim może być nasz wróg ani gdzie się kryje. Ale lepiej, żebyśmy to my go pierwsi wypatrzyli. To wszystko.

Dziewięć mil od urwistego granitowego Cape George, wysuniętego najdalej na południowy wschód cypla wyspy, „Columbia” wyszła z mrocznej, lodowatej głębi pod samą powierzchnię, nad którą szalał antarktyczny sztorm, i wysunęła peryskop. Wicher dął od północnego zachodu i bliżej brzegu było trochę zaciszniej, ale tutaj, gdzie fale osiągały wysokość dziesięciu metrów, okrętem porządnie bujało.

–Niewiele widać – burknął Boomer. – Kto ma wachtę w centrali?... Okay, pozostać na peryskopowej... ciągła obserwacja w podczerwieni i na ESM. Najpierw zbadamy linię brzegową od południa. Trzeba chyba będzie podejść bliżej, żeby coś zobaczyć. Do dna mamy tutaj około dziewięćdziesięciu metrów... obserwować głębokościomierz... nie schodzić poniżej sześćdziesięciu metrów i nie dowierzać mapie... jest stara i trochę podejrzana.

Kiedy ponownie wyszli na peryskopową, pogoda już się trochę poprawiła i morze po zawietrznej było spokojniejsze, ale niebo nadal powlekały ołowiane chmury. Boomer patrzył na urwistą, niedostępną południowo-wschodnią linię brzegową największej z Wysp Kerguelena. Ani jeden promyk wschodzącego słońca nie padł jeszcze na granitowe klify wielkiego zakrzywionego rogu Cape George.

Boomer 'kilka sekund dłużej niż zazwyczaj stał przy peryskopie, żeby przywyknąć do przygnębienia, jakie go ogarniało na widok ponurego, wrogiego majestatu tego straszego miejsca. Nie czuł się tak od dziesięciu miesięcy, kiedy to po raz pierwszy patrzył na skalną twarz Wyspy Kerguelena. Zapamiętał to dobrze. Wzdrygnął się i przekazał peryskop oficerowi wachtowemu.

Planował, popłynąć powoli, z szybkością pięciu węzłów, na głębokości peryskopowej, na zachód wzdłuż południowej linii brzegowej. Będą używali sonaru pasywnego i prowadzili ciągłą obserwację w podczerwieni i na ESM. Na tej szerokości geograficznej względnie widno było tylko przez osiem godzin, od 8.00 do 16.00, ale Boomer zamierzał prowadzić poszukiwania nawet w nocy, na podczerwieni, wychwytyjąc wtedy nie tyle światło, ile ciepło. I z ciepłem wiązał największe nadzieje.

Postanowił, że na przeszukanie mającego siedemdziesiąt mil długości południowego brzegu poświęci czterdzieści osiem godzin, potem, za Cape Bourbon, skręci na północ i popłynie wzdłuż osiemdziesięciomilowego zachodniego nawietrznego brzegu.

Penetracja na kierunku południowym przyniosła to, czego się właściwie spodziewał. Czyli nic. Jeśli nie liczyć francuskiej stacji meteo. Przez całe dwa dni i dwie noce wzburzone morze miotło „Columbię” jak piłką. W mesie potłukło się więcej kubków i talerzy niż normalnie przez cały rok. Dwa razy stracili trym i wyrzuciło ich na powierzchnię. W końcu Boomer kazał zwiększyć szybkość do siedmiu węzłów, co zapewniało lepszą kontrolę nad okrętem.

Mike Krause zauważył, że nawet nazwy miejsc nawiązują tutaj do charakteru ich misji: Cape Challenger, Dzika Zatoka. Do tego dochodziły oleiste góry wodne, które strzegły wejść do głębokich fiordów, i zdaniem porucznika Wingate'a były zdolne przewrócić do góry dnem tankowiec.

Pod koniec drugiego przejścia wzdłuż południowego wybrzeża Boomer uznał jego penetrację za zakończoną. Nie zaobserwowali niczego interesującego, nie natknęli się nawet na fiord albo zatokę, do której odważyłby się wprowadzić okręt... Bay of Swains, Bay Larose, i długi na dwanaście mil fiord odchodzący od Table Bay wyglądały mu na śmiertelnie pułapki. Jeśli Tajwań-czycy ukrywają się w którymś z tych miejsc, to zasłużyli sobie na swoją zakichaną bombę atomową czy co tam majstrują, przemknęło mu przez myśl. Biedne sukinsyny nie wyjdą stamtąd żywi.

Siódmego listopada o świcie Boomer opłynął Cape Bourbon i skierował „Columbię” na północ. Zdaniem Mike'a Krausego mapa przedstawiała jedną z najstraszliwiej wyglądających linii brzegowych świata, usianą postrzępionymi wysepkami, na których nikt nie zdołałby przetrwać; usianą urwistymi skałami, z których jedne wystawały ponad wodę, a inne kryły się pod powierzchnią; usianą gromadzącymi się przez wieki szkieletami statków i ich kapitanów, którym w panujących tu zazwyczaj przerażających warunkach pogodowych nie dopisało szczęście.

Przepływając obok île de l'Ouest, podziwiali przykryty śnieżną czapą imponujący Peak Philippe d'Orléans, który wznosi się na wysokość sześciuset sześćdziesięciu metrów nad zachodnim cyplem wyspy oddalonej o sześć mil od Kerguelena. Porucznik Wingate poinformował dowódcę, że przez następne dwadzieścia

mil powinni się trzymać co najmniej siedem mil od brzegu, bo trzy mile od wejścia do Baie de Bénodet i Baie de l'Africain rozciąga się zdradliwa płycizna pełna ukrytych pod wodą skał.

Kiedy „Columbia” mijiała w bezpiecznej odległości płyciznę, zachodni wiatr wzmógł się, osiągając sześć stopni w skali Beauforta, i Boomer widział przez peryskop, jak pędzące ku brzegowi fale o białych, spienionych grzywach rozbijają się nad grzbietem.

–Jasny gwint – mruknął. – Co za miejsce. Na tych wodach nie dałoby się zapanować nad statkiem nawodnym... wpadłby na te skały.

I tak minął im następny dzień i następna noc tej powolnej, mozolnej podróży w poszukiwaniu miejsca, którego mogło tu w ogóle nie być; miejsca zamieszkiwanego przez ludzi, tam gdzie życie naturalne, nie licząc pingwinów i mew, było nie do pomyślenia. Ale zadanie trzeba było doprowadzić do końca. I Boomer pracowicie, uparcie je realizował.

Ósmego listopada o zmierzchu minęli îles Nuageuses, Wyspy Zachmurzone, tuż przy północnym cyplu. Ale nie znaleźli tam osłony przed wiatrem i Boomer skręcił w prawo na głębsze wody w pobliżu ogromnej skały, której kapitan Cook nadał nazwę Bligh's Cap, Czapka Bligha, dla upamiętnienia swojego żaglomistrza. System Nawigacji Satelitarnej dostarczył im jak zwykle precyzyjnych danych. Boomer zdawał sobie sprawę, że bez niego poszukiwania byłyby jednym wielkim koszmarem.

Kiedy nastał szary, wietrzny poranek, skierowali się na południowy wschód, ku Cap Aubert, żeby sprawdzić, czy Tajwańczycy nie urządzili tam sobie kryjówek w jakiejś wychodzącej na północ jaskini albo tunelu.

W południe zaczęło się ściemniać i Boomer sprowokował obsługującego peryskop komandora porucznika Dicksona do wydania jęku, wygłaszając uwagę, że jest chyba pierwszym człowiekiem w dziejach, który wypatruje tunelu na końcu świata.

Na północnym zachodzie gromadziły się nowe zwały chmur, a oni minęli Cap d'Estaing, opłynęli szerokim łukiem płycizny i weszli w długi na piętnaście mil fiord Baie de Recques, gdzie woda miała głębokość sześćdziesięciu metrów i była stosunkowo spokojna.

Sztorm szalał przez resztę dnia i całą noc. Powierzchnię wody siekły na przemian gnane wiatrem tumany śniegu i zacinający śnieg z deszczem. „Columbia” ukryta w zaciszu północnego brze-

gu prawie tego nie zauważała. Nazajutrz, 10 listopada, dzień wstał jaśniejszy, i Boomer postanowił odbyć siedemdziesięciomilowy patrol na wschód-południowy wschód wzdłuż łąk wodorostów, które ciągnęły się aż do Cape Sandwich na odległym, wschodnim krańcu wyspy. Stamtąd zamierzał zawrócić i penetrując po drodze okolice Golfe des Baleiniers oraz Baie de Rhodes, powoli podejść bliżej Skały Coxa.

Pamiętał, że ten punkt orientacyjny, tę czarną, atakowaną ustawicznie przez morze bryłę granitu, widzieli z Billem Bald-ridge'em, kiedy Bill dostrzegł peryskop. Innego punktu orientacyjnego nie miał, a ostami komunikat z SUBLANT sugerował, że za tydzień na tych właśnie wodach może się pojawić tajwański Hai Lung 793.

To dawałoby mu mnóstwo czasu na dokładne przeszukanie archipelagu w sercu Wysp Kerguelena, a potem powrót na pozycję, gdzie 18 listopada należało się spodziewać nadpływającego Tajwańczyka. No i oczywiście tym razem nie będzie musiał widzieć peryskopu zbudowanego w Holandii okrętu podwodnego. Sonar „Columbii” w mgnieniu oka, albo jeszcze szybciej, wychwyci hałas wytwarzany przez Hai Lunga 793.

I tak, niemal przez cały tydzień Boomer Dunning przeęze-sywał ze swoją załogą wietrzne wody na północnym wschodzie. Przez większość tego czasu pozostawali na głębokości peryskopowej, skwapliwie omijali łąki wodorostów i trzymali się z dala od skał. David Wingate przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ślęczał nad swoimi mapami. Snuli się tam i z powrotem po Baie de Rhodes, przeszli krótkim kanałem do wejścia do Baie de Londres. Opłynęli w obie strony wyspę Howe i Gramont. I nic. Jedyna dobra wiadomość nadeszła poprzez satelitę. SUBLANT informował Boomera, że 19 listopada, po zakończeniu penetracji Wysp Kerguelena, zamiast iść na patrol po Morzu Arabskim, ma wracać do New London. Dzięki Bogu, a więc święta spędzi w domu. Po opłynięciu kuli ziemskiej. Szkoda, że nikomu nie będzie się mógł pochwalić swoim wyczynem.

Szesnastego listopada o zmierzchu Boomer zajął pozycję w zatoce Choiseul, dwie mile na północ od miejsca, gdzie Bill Baldridge dostrzegł z pokładu „Yondera” peryskop. Jeśli Hai Lung się pojawi, będą mieli sporą szansę go wykryć, ale z kilku punktów widzenia nie była to pozycja idealna. Wody tej stosunkowo wąskiej zatoki otoczonej lądem od północy-północnego zacho-

du, od południa i od północnego zachodu każdego sonarzystę mogły przyprawić o ból głowy. Tak samo niewielka głębokość, która nie przekraczała stu osiemdziesięciu metrów – nie wspominając już o burzącym się często morzu.

Komandor porucznik Mike Krause nie był zachwycony. A Boomer czuł się bardzo nieswojo. Tego wieczoru długo omawiali problem z Jerrym Curranem i w końcu dowódca powiedział bez ogródek:

–Widzisz, Jerry, jeśli ten holenderski sukinsyn będzie się tędy przemykał pod osłoną nocy, to możemy go nie zobaczyć ani nie usłyszeć. Przejdzie nam przed nosem i nawet nie będziemy

o tym wiedzieli... musi istnieć jakiś pewniejszy sposób.

–Moim zdaniem powinniśmy się stąd jak najprędzej wynieść. Odejść jakieś sto pięćdziesiąt mil z powrotem na północny wschód, poza granice tego dużego, płytkiego obszaru, na głębsze, spokojniejsze wody. Tam bez większego trudu wykryjemy zbliżający się i pochrapujący okręt podwodny. Tutaj jest beznadziejnie, za głośno, za płytko i za ciasno. Jeśli zdążymy odejść na przyzwoitą odległość od brzegu, to na otwartym morzu Hai Lungowi, jeśli płynie tu bezpośrednim kursem z Bali, a na pewno tak jest, nie będzie tak łatwo przemknąć się niepostrzeżenie. Zwłaszcza że musi od czasu do czasu pochrapać.

–Masz rację, Jerry. Przenosimy nasz obszar operacyjny, i to już. Przed północą powinniśmy być na nowej pozycji. Popłyniemy za Tajwańczykiem, skoro tylko nas minie.

–Szybkość osiem węzłów... ster zero-zero-zero. Abe, pójdziesz tak dwanaście mil, potem zmienisz kurs na zero-sześć-zero

1 dociągnieszr nim do konturu dwustu metrów.

–Zrozumiałem.

O 21.06 „Columbia” opuściła zatokę Choiseul i ruszyła po własnych śladach z powrotem na północny wschód trasą, którą powinien nadpłynąć Tajwańczyk, jeśli chciał trafić w to samo miejsce, gdzie w lutym Boomer i Bill zaobserwowali peryskop.

Zajęli pozycję kawalek na południe od 47 równoleżnika, na 72 stopniu wschodniej i czekali tam cierpliwie przez dwadzieścia cztery godziny. Hai Lung się nie pojawiał. Patrolowali powoli rejon przez cały 17 listopada. Sonarzyści obserwowali ekrany i nasłuchiwali.

Zgodnie z rozkazami ten wieczór miał być ich przedostatnim w strefie Wysp Kerguelena. Boomer wiedział, że wkrótce będzie

się musiał połączyć z satelitą, zameldować o planie, jaki przyjęli, i poprosić o zezwolenie na pozostanie na pozycji do 20 listopada.

Ale 17 listopada o 22.24 na statku zapanowało podniecenie. Boomer był akurat w pomieszczeniu nawigacyjnym. Zastygł, kiedy kiedy oficer sonaru, porucznik Bobby Ramsden, zameldował:

–Mamy coś, panie kapitanie... lekkie podbicie na poziomie tła... trudno to wytłumaczyć... ale nie sądzę, żeby przyczyną była pogoda.

Upłynęło kilka minut. Boomer i komandor porucznik Curran czekali już w pomieszczeniu sonaru.

–Zbliżają się słabiutkie przebiegi silnika – odezwał się znowu młody porucznik sonaru. – Odniesienie 92. Przechodzę na 135, żeby wyeliminować możliwość pomyłki.

„Columbia” skręciła. Po dziesięciu minutach odebrano wyraźny już sygnał na kierunku zero-pięć-trzy. Na ekranie pojawiły się stabilne przebiegi silnika. Komputer przetwarzał, błyskawicznie dane, porównując te przebiegi z przechowywanym w pamięci bankiem wzorców. Jeny Curran monitorował trzy ekrany jednocześnie. Kiedy się odezwał, Boomerowi przeszedł po plecach dreszcz podniecenia.

–Cholera, to rosyjski... komputer twierdzi, że słyszymy silniki jakiegoś nie zidentyfikowanego Kilo.

–Komputer nie odróżnia swojego tyłka od łokcia – skomentował cicho dowódca. – To K-10.

–Z całym szacunkiem, wolno spytać, skąd to wiemy? – odezwał się komandor porucznik Krause, który, jak to miał w zwyczaju w krytycznych momentach, zmaterializował się nie wiadomo skąd.

–Pewnie, że wolno – odparł Boomer. – Stąd, że to może być tylko on... Poza Chinami żaden inny posiadający Kilo kraj nie ma w okolicach Wysp Kerguelena niczego do roboty. Gdyby miał, w Fort Meade by o tym wiedzieli.

Chiny są jedynym krajem, poza nami, szczerze zaniepokojonym działalnością Tajwańczyków. Mają teraz cztery Kilo. I w Fort Meade wiedzą, gdzie stacjonują trzy z nich: dwa w Zhan-jiang, jeden w Szanghaju. Zgodnie z najświeższym meldunkiem satelitarnym, czwarty, K-10, zniknął. Piętnastego października, czyli trzy dni po wyjściu w morze Hai Lunga, opuścił Kanton. Ale miał trochę bliżej i jest trochę szybszy... Mówię ci, Mike, prze-

biegi silnika na tym ekranie to przebiegi Kilo. – Boomer uśmiechnął się, a potem dorzucił: – Tego, który nam zwał.

–I co robimy?

–Wsiadamy mu na ogon i obserwujemy z bezpiecznej odległości. Może wiedzieć coś, czego my nie wiemy. Ale naszym głównym obiektem zainteresowania nadal pozostaje Hai Lung.

Był to pierwszy ślad życia, jaki napotkała „Columbia” od czasu, kiedy przed trzema tygodniami, na Morzu Tasmana, minęła parowego trampa. Wszystkie oczy w centrali wlepione były w ekrany komputerów.

Komandor Dunning, który od tyłu dni czekał cierpliwie na tę chwilę, stał przy peryskopie.

–W lewo... trzy-pięć-zero... trzymamy się dziesięć tysięcy metrów od niego.

–Jest trzy-pięć-zero.

–To mi wygląda na zadanie dla naszego nowego sonarowe-go systemu śledzącego – odezwał się komandor porucznik Curran.

–O tak... tego, w który się przebieramy i udajemy morświny.

Komandor porucznik Curran roześmiał się.

–Tego samego... rozumiem twój sceptycyzm, ale on naprawdę działa. Widziałem próby. Możemy pingować intruza aktywnym sonarem, ile dusza zapagnie, a on nawet nie będzie wiedział, że tu jesteśmy.

–Tak, ale jeśli jest trochę inaczej, niż twierdzisz – podchwycił Boomer – to już się nie zdążymy o tym dowiedzieć, bo wcześniej będziemy martwi.

–On nie nawali. Działa na tej samej zasadzie co zwyczajny sonar aktywny, tylko kiedy zaczniesz pingować, to Kilo pomyśli, że to śpiewający morświn albo pierdząca krewetka, albo kopulujące wieloryby... możemy przez cały czas zmieniać dźwięk. Mówię ci, to istne cudo. Jest przeznaczony do aktywnego śledzenia i idealnie się nadaje do naszych celów. Byle tylko nie wykorzystywać go zbyt regularnie ani za często.

Komandor Dunning, któremu jeszcze na studiach kładziono do głowy, że aktywny sonar ostrzega przeciwnika, pokręcił z powątpiewaniem głową.

–No dobrze, Jeny. Ale, na miłość boską, obyś się nie mylił. Coś mi mówi, że Chińczycy z K-10 lubią pociągać za cyngiel, a wolałbym, cholera, żeby nie otwierali ognia do śpiewającego

morświna.

–Tak, rozumiem. Ale bez obawy. Testujemy to urządzenie od trzech lat. Możemy ich pingować na aktywnym wystarczająco długo, żeby uchwycić ślad, a oni nawet nie będą wiedzieli, że są obserwowani.

–Kto idzie na pierwszy ogień? – spytał kąśliwie kapitan. – Morświn czy pierdząca krewetka?

–Myślę, że najlepiej będzie zacząć od płetwala błękitnego wymachującego kutasem – odparł komandor porucznik z udawaną powagą.

–Wspaniale – powiedział Boomer, również z udawaną powagą. – Proszę zaczynać.

Komandor porucznik Krause uśmiechał się, jak wszyscy znajdujący się w pobliżu, słuchając przekomarzenia dowódcy ze swoim oficerem sonarowym. Ale teraz zwrócił się do Boomera Dunninga całkiem poważnie:

–Czy ktoś się zastanowił, co właściwie ten K-10 tu robi?

–Podejrzewam, że to samo co my – odparł Boomer. – Próbują się dowiedzieć, co Tajwańczycy tu kombinują i gdzie to robią... jeśli już tego nie wiedzą.

–Naprawdę myślisz, że Chińczycy wiedzą, gdzie oni są?

–Nie. Raczej nie wiedzą. Ale ujmijmy to tak... Zastanów się, jak zdobyliśmy tę garść informacji, jaką dysponujemy: przypadkowe zaobserwowanie peryskopu w lutym... tajemnicze zniknięcie „Cuttyhunka”... z tego jeszcze nic nie wynika.

Potem dostajemy z pozoru mało interesujący meldunek, że jakiś ważny profesor był widziany w jakimś prowincjonalnym porcie dla okrętów podwodnych w Tajpej. Arnold Morgan dodaje dwa do dwóch i wychodzi mu milion. Tylko że ten wynik może być wbrew pozorom prawidłowy. Chcę przez to powiedzieć, że nie traktowaliśmy problemu z należnym zaangażowaniem, a mimo to fakty same wpadały nam w ręce.

Wyobrażasz sobie, o ile więcej od nas mogą wiedzieć Chińczycy? Po pierwsze mają na Tajwanie z milion szpiegów. I uważnie śledzą każdy ruch tego kraju. Byłbym zaskoczony, gdyby oni, rozpracowując sprawę profesjonalnie, wiedzieli mniej niż my, bo zauważ, że informacje, którymi dysponujemy, wpadły nam w ręce właściwie przypadkiem. I tutaj dochodzimy do tego ich najnowszego Kilo... czy to statek wycieczkowy? Nie, on przybył tu w jakimś konkretnym celu... i wcale bym się nie zdziwił, gdyby przypląną! tu odwalić za nas brudną robotę. I proszę bardzo.

–Jesteśmy około dziesięciu tysięcy metrów na północny zachód od przewidywanej trasy Kilo. Mamy go teraz jakieś osiem mil po prawej.

–Zrozumiałem. Dajcie w prawo... zero-pięć-pięć. Zamierzam pozostać na kierunku patrolowym północny wschód-połu-dniowy zachód, z odstępem dziesięciu tysięcy metrów.

Kilo pod dowództwem kapitana Kan Yu-fanga zbliżał się ze stałą szybkością siedmiu i pół węzła, trzymając kurs dwa-trzy-sie-dem.

Godzinę później minął ich na głębokości peryskopowej, wciąż pochrapując, z zaworami wlotowymi wystawionymi nad powierzchnię, ale niewidocznymi w blasku księżyca, który kładł zimną srebrzystą wstęgę na sfalowany ocean. Kan Yu-fang najwyraźniej niczego nie podejrzewał.

Amerykanie, zachowując bezpieczny dystans, szli za nim przez sześć mil, dopóki Kilo nie przestał chrapać. Wkrótce potem zmniejszył szybkość do trzech węzłów i zaczął krążyć.

–Chyba czeka, panie kapitanie – zauważył porucznik Rams-

den.

–Jeśli tak, to czeka na to samo co my – powiedział Boomer. – Co tu dużo gadać, powszechnie wiadomo, że Hai Lung wypłynął z Tajwanu. Wiadomo również, że za jedenaście tygodni tam wróci. Skoro my wiemy, choć nie zabiegaliśmy specjalnie o tę informację, że gdzieś koło 18 listopada, czyli jutro, dotrze do Wysp Kerguelena, to Chińczycy też to chyba wiedzą. A dla nich ta sprawa jest bardziej paląca niż dla nas. Jeśli Tajwan zamierza zrzucić na kogoś bombę atomową, to w pierwszej kolejności na nich, nie na nas.

–Chce pan przez to powiedzieć, że Kilo, tak samo jak my, czeka na Hai Lunga, żeby popłynąć za nim do brzegu? – spytał porucznik Ramsden. •

–Tak przypuszczam – przyznał dowódca. – A co ty na to, Mike?

–Jestem tego samego zdania – odparł szef sonaru.

–I ja – dorzucił zastępca Boomera.

–Żeby mi tylko dobrze działał ten wielorybi kutas – powiedział Boomer. – Nie chcę ich zgubić. Nie chcę też, żeby mnie przydybali.

Kilo krążył tam i z powrotem przez cały dzień. Komandor porucznik Curran pingował go sporadycznie, wykorzystując najrozmaitsze oceaniczne odgłosy rozpoznawane przez chińskiego

operatora radaru jako ryby. Załoga Boomera Dunninga przez cały czas znała dokładną pozycję zbudowanego w Rosji okrętu podwodnego. Natura pościgu z małą szybkością miała to do siebie, że „Columbia” musiała unikać wykrycia przez Kilo sonarem pasywnym, a przy tym uważać, żeby nie przegapić zbliżającego się tajwańskiego Hai Lunga. Ale zespół Jerry'ego Currana wywiązywał się z tego zadania znakomicie.

Kiedy na powierzchni zaczął zapadać zmierzch, Bobby Ramsden zawołał od głównego ekranu:

–Centrala, tu sonar... mam coś na holowanej matrycy czujników. Drobnutki znaczek na śladzie...

Była 21.48.

„Columbia” po raz drugi w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin zawróciła, ustawiając matrycę holowaną tak, by można było ustalić, czy zmiana poziomu występuje po lewej, czy po prawej stronie.

–Przydzielony znacznik 27. Namiar zero-cztery-pięć. Prawdopodobnie przebiegi silnika... sprawdzam wzorce profili.

Na mostku bojowym zaległa kompletna cisza, profesjonaliści nie potrzebowali słów, wszyscy wpatrywali się w sonarzystę, którego palce fruwały po klawiaturze komputera.

–Centrala, tu sonar... najbardziej pasuje do wzorca holenderskiego. Inne profile zdecydowanie odpadają.

Atmosfera wyczekiwania przeszła w nastrój czujnej determinacji. Nikt się nie odzywał. Stary zwyczaj panujący na okrętach podwodnych nakazywał wszystkim w takich sytuacjach zachowywać milczenie aż do ewentualnego, krytycznego „PAL!”.

Ale „Columbia” nie została upoważniona do otwierania ognia, tak więc przez blisko godzinę obserwowali tylko zbliżającego się z szybkością siedmiu węzłów Hai Lunga. Minął ich w odległości ośmiu tysięcy metrów, pochrapując pośród arktycznej nocy. Zaraz potem komandor porucznik Curran zameldował, że namierzył właśnie Kilo pierdnięciem krewetki na aktywnym i że mogą ruszać w ślad zarówno za Kilo, jak i za Hai Lungiem.

O 23.05 kapitan Kan zaczął przyśpieszać.-Płynął dwie mile za Tajwańczykiem nieświadomy, że z kolei za jego rufą w odległości pięciu mil sunie amerykański okręt podwodny. Tylko Boomer Dunning i jego załoga wiedzieli, że okrętów podwodnych jest w sumie trzy. Tajwańczycy wiedzieli tylko o jednym, swoim. Chińczycy o dwóch.

Trzy okręty tworzyły coś w rodzaju rozciągniętego konwoju. Prowadzący Hai Lung płynął, pochrapując, z szybkością siedmiu węzłów na południowy zachód kursem dwa-dwa-pięć. Kierował się na zatokę Choiseul. Jego prześladowcy również. Szli tak przez mroczne, niespokojne wody przez całą noc. Komandor porucznik Curran wypingowywał od czasu do czasu poprzedników swoim udającym ryby aktywnym sonarem, żeby trzymać dystans.

Wczesnym wieczorem przeszli wzdłuż szerokiego, wzburzonego wejścia do zatoki Baleiniers i płynąc na głębokości dziewięćdziesięciu metrów, skierowali się ku zatoce Choiseul. Hai Lung obrał trasę wybiegającą trochę dalej na południe, w kierunku Skały Coxa, ale przecież tajwański kapitan znał te wody lepiej od kapitana Kana i komandora Boomera Dunninga. Właśnie tam Boomer i Bill Baldrige zobaczyli w lutym z pokładu „Yondera” peryskop.

Teraz, idąc spokojniejszą wodą na głębokości peryskopowej, tajwański okręt podwodny przeciął zatokę Choiseul i mając chiński okręt Kilo dwie mile za rufą, dotarł do ujścia Baie Blanche.

Tutaj, u poszarpanych wybrzeży Wyspy Kerguelena, Boomer zmniejszył dystans do trzech mil. W pewnej chwili przyłapał się na tym, że wspomina czasy, kiedy był tu po raz pierwszy. Pomyślał o załodze „Yondera” i o majowym ślubie kansaskiego ranczera ze swoją ukochaną Laurą, ślubie, który zaszczylił swą obecnością sam prezydent Stanów Zjednoczonych.

Bez żadnego uzasadnionego powodu zrobiło mu się przykro, że nie ma tu z nim Billa, bo poczuł się nagle bardzo samotny i potrzebował przyjaciela, a nie tuzina kolegów. Ale na te refleksje miał tylko kilka sekund. Hai Lung przeszedł z szybkością pięciu węzłów przez szeroką zatokę i zniknął w Baie Blanche, ścigany przez okręt pełen zionących nienawiścią Chińczyków. Przynajmniej Boomer tak ich sobie wyobrażał.

Boomer, żeby nie stracić z Kilo kontaktu, podszedł do niego jeszcze bliżej, na dwie mile. Żaden sonar pasywny nie działa najlepiej przy brzegu, ale pościg nie nastroczał trudności dzięki genialnemu sonarowi aktywnemu,

Hai Lung, prawdopodobnie z profesorem Liao Lee na pokładzie, płynął sobie bez troski na czele konwoju, wciąż z szybkością pięciu węzłów. Pokonał tak dziesięć mil, nieświadomy, że jego tropem podąża chiński Kilo, za którym z kolei skrada się amerykański atomowy okręt podwodny. Boomer zerknął przez peryskop

na łagodny zakręt w lewo przy Saint Lanne. Nie został zauważony przez tajwański posterunek na Pointę Bras, pilnujący wejścia do Baie du Repos.

Hai Lung trzymał się prawej strony szerokiego na milę, głębokiego kanału. Boomer wcale się nie zdziwił, kiedy Kilo wszedł za nim odważnie w Baie du Repos. Jeszcze raz rozejrzał się szybko przez peryskop, kiedy mijali Pointę Bras, i tajwańskie posterunki, których uwadze nie uszedł jakiś czas temu „Cutty-hunk”; znowu go przeoczyły.

Wszedłszy na osiem mil w zwężający się fiord, Hai Lung nagle się zatrzymał, przestał chrapać i ucichł. Mroźny południowy wiatr zmiatał śnieg ze szczytu Mount Richards i burzył wodę przed „Columbią”. Boomer zaklął pod nosem i wysunął ostrożnie peryskop. W tym samym momencie w odległości trzech mil tajwański „Tygrys morski” wychynął spod wody i kontynuował podróż w wynurzeniu.

Kilo też chyba się zatrzymał u wejścia w ostatni, wąski, trzymi-łowy odcinek fiordu, ale się nie wynurzał. Znajdujący się dwie mile na północ za nim Boomer widział kanał aż do samego końca.

Miał świadomość, że może zostać zauważony, zaryzykował jednak jeszcze jeden ukradkowy rzut oka. Zobaczył Hai Lunga zbaczającego w prawo. Zobaczył również dwie rdzewiejące szare boje kołyszące się na wodzie przy zawietrznym skalistym zachodnim brzegu, w odległości czterystu metrów jedna od drugiej. Szef sonaru meldował o charakterystycznym pomruku pracującego reaktora ciśnieniowego, który niósł się echem po fiordzie.

Podejrzewał, że źródło tego dźwięku znajduje się między dwoma bojami, do których musi być przycumowany atomowy okręt podwodny pozostający w zanurzeniu. Na pewno nie nadający się już do wykorzystania w charakterze jednostki bojowej, ale mimo to odwalający jeszcze kawał dobrej roboty.

–Oto ich źródło zasilania – mruknął Boomer. – A gdzie ta cholerna fabryka czy co tam? – I nagle zobaczył, jak Hai Lung, który oddalił się spory kawałek, zwalnia, prawie się zatrzymuje i dryfuje w stronę brzegu. Wydawało się, że zaraz uderzy w klif. Ale okręt podwodny bardzo powoli, bez jakichkolwiek oznak paniki, po prostu znikł, wsuwając się pod jakiś rodzaj kotary albo stalowej kurtyny. Boomer rozejrzał się jeszcze raz po wysokich granitowych klifach i kazał zmierzyć głębokość.

–Sto osiem metrów.

–Tego właśnie szukaliśmy – orzekł Boomer. – Tam, na prawym brzegu... według mapy, milę od końca Baie du Repos. Dobra robota. A teraz spływajmy stąd do zatoki Choiseul, i to bardzo ostrożnie, powoli, po własnych śladach.

„Columbia” skierowała się z powrotem do dużej zatoki u wylotu kergueleńskich fiordów, zostawiając Kilo, by zrobił swoje. Kiedy dotarli do ujścia Baie Blanche, mijala właśnie 19.15, ale na powierzchni było jeszcze stosunkowo widno, tyle że wietrznie. Boomer zaproponował, że zatrzymają się tu na godzinę, a potem wyjdą na otwarte morze, żeby połączyć się z satelitą i powiadomić SUBLANT o zlokalizowaniu tajwańskiej fabryki na samym końcu Baie du Repos, na współrzędnych 49,65S; 69,20E. Chciał też powiadomić dowództwo, że widział, jak dokuje tam Hai Lung i że fabryka zasilana jest z reaktora atomowego okrętu zacumowanego w zatoce. Co więcej, pod fabrykę podszedł też zbudowany w Rosji Kilo typ Granaj.

Na razie jednak Boomer zatrzymał „Columbię”. Oceniał, że po zajęciu odpowiedniej pozycji chiński okręt na realizację łatwego do odgadnięcia celu, w jakim tu przyplłynął, nie powinien potrzebować więcej niż pięć minut.

Niewiele się pomylił. O 19.55 sonar „Columbii” wykrył serię potężnych eksplozji. To odpalone przez Kilo torpedy kruszyły skałę, w której znajdowała się tajwańska fabryka, niszcząc w dziesięciominutowej podwodnej kanonadzie samą instalację, Hai Lunga i wciąż działający francuski atomowy okręt podwodny klasy Rubis.

Amerykańscy sonarzyści nie wiedzieli, że zaraz potem Kilo wynurzył się z wyrzutni na kiosku odpalił, jeden po drugim, sześć pocisków SA-N-8 SAM. Z bliska, przez stalową kurtynę, która tak długo skutecznie maskowała fabrykę. Wszystkie wyrzutnie, torpedy i pociski dostarczone zostały przez Rosjan.

Operatorzy sonaru z „Columbii” nie mogli się nadziwić, że to dzieło zniszczenia zajmuje chińskiemu kapitanowi tyle czasu. Amerykanie uporali się z tym w niecałą minutę. Ale kapitan Kan był nie tylko człowiekiem nawiedzonym – był fanatykiem z psychopatycznymi skłonnościami. Uwielbiał zabijać, a tak długo musiał tłumić w sobie ten morderczy instynkt.

Teraz każdą salwę dedykował w duchu swojej nie żyjącej już protektorce, pani Mao, i swojemu głównodowodzącemu, a każdą

eksplozją urągał zdradzieckim Tajwańczykom i ich sprzymierzeńcom Amerykanom. Każde trafienie było odwetem za Kilo, które stracili Chińczycy. Każde echo było echem powstającego militarne smoka chińskiej marynarki wojennej. Kan uśmiechał się złośliwym, trochę szalonym uśmieszkiem psychopaty, a jego pociski siały śmierć i zniszczenie w tajnej tajwańskiej fabryce broni jądrowej.

–Cholera – mruknął Boomer Dunning. – Ten wariat nie żartuje. Tajwańczycy będą chyba musieli zaczynać wszystko od początku.

–I co teraz? – spytał komandor porucznik Krause. – Chyba wracamy na otwarte wody i nadajemy meldunek do SUBLANT? Mam tu szkie. Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

–Tak, Mike... wycofujemy się, bo jeśli się nie mylę, Kilo wypłynie stamtąd za niecałe dwie godziny. Lepiej, żeby nas nie przydybał z opuszczonymi portkami. Ten Chińczyk znajduje się w takim nastroju, że nie wiem, czym by się to dla nas skończyło.

„Columbia” zawróciła w spokojnych, ciemnych już wodach. Tego wieczoru znowu świecił księżyc i Boomer widział przez peryskop zarysy Pointę Pringle i Cap Feron, a między nimi czarne granitowe klify. Przyśpieszyli do ośmiu węzłów i Boomer kazał oficerowi wachtowemu prowadzić okręt między wyspami Leygu-es a Cap d'Estaing.

Był to długi dzień dla załogi, zwłaszcza dla oficerów, których większość znajdowała się na nogach od poprzedniego wieczoru, kiedy to wykryli skradającego się Hai Lunga.

Boomer nie był w towarzyskim nastroju. Zwlekał z nadaniem meldunku. Siedział samotnie w swojej kabinie, popijał kawę i myślał o swoim kansaskim kumplu Billu. Miał ochotę na pogawędkę z przyjacielem. Ale o tym nie było co marzyć. Zamiast tego wyciągnął komunikat od szefa operacji morskich i spojrzał po raz nie wiadomo który na widniejący u dołu komentarz doradcy do spraw bezpieczeństwa.

–Tak, wiem, co on w tej chwili o mnie myśli – mruknął.

Płynął czas. O 21.40 Boomer nadal ślęczał nad meldunkiem

dla SUBLANT. „Columbia” płynęła po swoich śladach, czekając na decyzję dowódcy.

O 22.00 Boomer wrócił do centrali. Operator sonaru namierzył właśnie Kilo, który pochrupując, oddalał się z miejsca zbrodni na północ z szybkością ośmiu węzłów. Kierował się ku najbliższym otwartym wodom, by wziąć tam kurs na Kanton.

–Kapitanie, tu centrala... Kilo idzie kursem jeden-osiem-ze-ro. Kieruje się chyba na... odległość sześć mil. Pochrapuje. Dobry kontakt. Odchodzę na północny zachód. Ślad 28.

–Tu kapitan, zrozumiałem.

Boomer przeczesał palcami włosy i wrócił na chwilę do swojej kabiny. Cztery minuty później był z powrotem w centrali. Stał kilka sekund niezdecydowany.

W końcu postanowił rzucić na szalę całą swoją karierą i warknął:

–Zamierzam zatopić tego Kilo, kiedy tylko wyjdzie na głębszą wodę. Będzie to mniej więcej za godzinę. Przygotować wyrzutnie jeden i dwa... 48 ADCAP.

Komandor porucznik Curran, oficer systemów bojowych, nie mrugnawszy nawet okiem, wrócił do pomieszczenia sonaru.

Torpedyści przygotowywali już w głębi okrętu dwie torpedy.

Po piętnastu minutach z pomieszczenia sonaru zawołano:

–Siad 28, namiar jeden-siedem-osiem. Odległość sześć mil.

W przedziale torpedowym wsuwano już torpedy do wyrzutni

numer jeden i numer dwa. Oficer naprowadzający siedział przed ekranem i mówił coś cicho do cienkiego jak ołówek mikrofonu, Jony Curran i Bcbby Ramsden obserwowali sonar. Wszyscy znajdowali się już na stanowiskach bojowych. Komandor porucznik Krause przejął centralę, a dowódca skoncentrował się na zadaniu, które być może zaprowadzi go przed sąd wojenny.

Czas włókł się niemiłosiernie. Czamy kadłub chińskiego okrętu Kilo, sunącego przez mroczną głębię, był teraz na południe od amerykańskiego atomowego okrętu podwodnego. Sonarzyści „Columbii” śledzili jego drogę, podając przyciszonymi głosami szczegóły. Atmosfera, jak na każdym okręcie podwodnym gotującym się do ataku, była bardzo napięta.

Boomer Dunning zerknął znowu na ekran i warknął:

–UWAGA PRZY WYRZUTNI JEDEN... przygotować się do odpalenia według sonaru.

–Namiar jeden-dwa-zero... odległość pięć tysięcy metrów... komputer nastawiony.

–PAL! – zakomenderował Boomer Dunning i wszyscy usłyszeli stuk wysuwającej się z wyrzutni ciężkiej torpedy Mk 48. Okręt zadrżał leciutko.

–Torpeda pod kontrolą.

Boomer Dunning polecił uzbroić głowicę. Uplynęła kolejna

minuta. Ciszę mąciły jedynie wymrukiwane sporadycznie rozkazy albo komentarze. „Columbia” zdawała się wstrzymać oddech.

Pięćset metrów od okrętu niknąca z szybkością trzydziestu węzłów Mk 48 szukała pasywnie celu.

Osiem minut po odpaleniu namierzyła Kilo i spuszczone przez „Columbię” przełączyła się na aktywne naprowadzanie. Natychmiast przyśpieszyła i pognąła wprost na okręt podwodny kapitana Kana. Kan był doświadczonym dowódcą, ale załoga fetująca udaną akcją zapomniała na chwilę o czujności, on sam też chichotał jeszcze nerwowo na samo wspomnienie tego, co zrobił. Część oficerów była zaniepokojona jego zachowaniem; nikt nie spodziewał się ataku. Mk 48 była już zaledwie trzysta metrów od idącego na głębokości peryskopowej K-10, kiedy z pomieszczenia sonarowego dobiegł wrzask:

–TORPEDA... TORPEDA... TORPEDA... CZERWONY SIEDEM PIĘĆ... AKTYWNA TRANSMISJA... ODLEGŁOŚĆ PIĘĆSET METRÓW... NAMIAR STAŁY...

Za blisko i za późno. Amerykańska torpeda, uderzając w rufę po lewej burcie, rozłupała kadłub ciśnieniowy Kilo. Okręty podwodne klasy Kilo znane są z tego, że potrafią pochłoniąć falę uderzeniową, ale nie po trafieniu taką bronią. Dziewiętnastego listopada, dokładnie o 22.21, wystrzelona przez Boomera Dunnin-ga Mk 48 wywaliła w K-10 dziurę o średnicy dwóch metrów. Kapitan Kan zginął z uśmiechem na twarzy. Nie ocalał żaden bezpośredni świadek. W trzydzieści sekund po trafieniu na pokładzie nie było już żywych.

Cała załoga albo utonęła, albo została zmiażdżona przez wdzierającą się wodę, która ciskała ludźmi o ściany i zalewała z rykiem przedziały, krusząc jedną po drugiej grodzie na tonącym okręcie. Jednostka, z którą takie nadzieje wiązał admirał Zhang Yushu, osiadła na dnie lodowatego Oceanu Indyjskiego, na głębokości sześciuset metrów. Nikt nigdy się nie dowie, gdzie spoczywa ani co się z nią stało. Chociaż niektóre osoby w Moskwie i w Pekinie mogą snuć pewne domysły.

Pół godziny później komandor Dunning zasiadł do redagowania od nowa swojego meldunku. Nie rozpisywał się:

172224LIS. Kilo rosyjskiej produkcji pojawił się u brzegów Wyspy Kerguelena. Hai Lung przybył 182148LIS. Kilo chyba zniszczył tajwańską fabrykę, którą zlokalizo-

waliśmy na 49,65S; 69,20E, jedną milę od końca Baie du Repos. Zgodnie z rozkazami zatopiłem K-10 dnia 19 listopada o 22.21 przy północnych wybrzeżach Wyspy Kerguelena – komandor Cale Dunning, USS „Columbia”.

Meldunek Boomera dotarł do SUBLANT o 13.50. Admirالية Mulligan i Dixon z niecierpliwością czekali na wieści z Wyspy Kerguelena. Zadzwonili natychmiast do Arnolda Morgana, prosząc o pomoc w zredagowaniu odpowiedzi.

Dowódca „Columbii” przeczytał ją o 23.15 czasu lokalnego:

Nieżył strzał... jak na zakutą pałę. Morgan.

Komunikat był adresowany do niego i został nadany bezpośrednio z Białego Domu, z biura prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Zawierał sformułowanie, którego Boomer nie spodziewał się już nigdy przeczytać:

Do rąk własnych kapitana Cale'a Dunninga, dowódcy USS „Columbia”.

EPILOG

Artykuł wstępny, „Cape Cod Times”, 25 listopada 2004

Port-aux-Français, Wyspa Kerguelena. Dwudziestego czwartego listopada. Tajemnica zaginionego statku badawczego „Cuttyhunk” z Woods Hole znalazła wreszcie swoje wyjaśnienie. Wczoraj wieczorem sześcioro naukowców z „Cuttyhunka” uratował personel francuskiej stacji meteorologicznej, która pracuje na największej z Wysp Kerguelena.

Grupę Amerykanów próbujących przejść pieszo przez tę długą na dziewięćdziesiąt mil antarktyczną wyspę zabrał z brzegu Baie de la Marne helikopter po odebraniu ich sygnału radiowego przez jeden z czternastu masztów elektronicznych stacji.

Zaginęli przed dwudziestoma trzema miesiącami i od tamtego czasu nie było o nich żadnych wieści. Są chyba jedynymi ocalałymi z dwudziestodzieciuosobowej ekspedycji, która 17 grudnia 2002 roku została napadnięta u wejścia do jednego z fiordów na północnym zachodzie wyspy.

Wczoraj wieczorem nikt z członków grupy nie czuł się na siłach udzielić wywiadu. Jeden z nich powiedział tylko, że „Cuttyhunk” nie zatonął. Został uszkodzony podczas wymiany ognia, do jakiej doszło, ale teraz stoi zakotwiczony na głębokiej wodzie w zacisznej zatoczce na końcu Baie du Repos, po północnej stronie wyspy. Przez cały ten czas był ich więzieniem.

Personel stacji meteorologicznej podał wczoraj wieczorem nazwiska sześciorga ocalałych

naukowców; oto one: profesor Henry Townsend, doktor Roger Deakins, Arnold Barry,

427

William Coburg, Anne Dempster oraz doktor Kate Goodwin.

Jeszcze dziś publicysta naszej gazety, Frederick J. Goodwin, kuzyn doktor Kate Goodwin, wylatuje do amerykańskiej bazy wojskowej na wyspie Diego Garcia na Oceanie Indyjskim, gdzie wejdzie na pokład fregaty, która płynie na południe w celu ewakuowania grupy cudem ocalałych naukowców z niemal niedostępnej Wyspy Kerguelena. Pan Goodwin, który przez wiele miesięcy walczył o podjęcie dalszych poszukiwań na Wyspie Kerguelena, nagrodzony został prawem wyłączności na przeprowadzenie wywiadów z naukowcami.

Pasjonująca opowieść o ich gehennie będzie przesyłana sukcesywnie drogą radiową z fregaty i drukowana na łamach „Cape Code Times”. Pierwszy odcinek już za tydzień.

POSŁOWIE

Pióra admirała sir Johna Woodwarda

Klasa Kilo to druga powieść Patricka Robinsona i ponownie przypadła mi w udziale rola doradcy merytorycznego w sprawach dotyczących marynarki wojennej. Podobnie jak to miało miejsce w przypadku Klasy Nimitz, poruszałem się tutaj po samych obrzeżach fikcyjnej, co prawda, lecz bynajmniej nie odartej z wszelkich cech prawdopodobieństwa fabuły.

Wydarzenia opisane na kartach tej powieści mogą się z początku wydać nieco wydumane. W jakim celu Stany Zjednoczone miałyby podjąć tak szeroko zakrojone działania przeciwko Rosjanom i Chińczykom? Po to tylko, by nie dopuścić do dostawy jakichś tam siedmiu okrętów podwodnych.

Na pierwszy rzut oka może się to wydać reakcją histeryczną i mocno na wyrost, strzelaniem z armaty do wróbla. Ale po głębszym zastanowieniu zaczynamy w tym dostrzegać mniej przesady, za to więcej logiki. Chiny zamówiły małą flotyllę nowych okrętów podwodnych klasy Kilo bezpośrednio u Rosjan. Nietrudno się domyślić, do czego im one potrzebne – przede wszystkim do zablokowania Cieśniny Tajwańskiej, do zakwestionowania międzynarodowego statusu tych wód. Sprawa jest prosta: otóż Chiny uważają Tajwan za integralną część swojego terytorium, tyle że położoną na wyspie. Stąd oczywisty wniosek, że wody oddzielające Tajwan od Chin kontynentalnych są czysto chińskie.

Pentagon zdaje sobie doskonale sprawę, że dysponując dziesięcioma okrętami podwodnymi klasy Kilo, Chiny będą mogły utrzymywać co najmniej cztery z nich w ciągłej gotowości. A Stanom Zjednoczonym, które od czasu do czasu wysyłają do cieśniny grupy uderzeniowe lotniskowca, zwłaszcza kiedy Chiny dopusz-

429

czają się w tym rejonie jakichś prowokacyjnych ruchów, nie byłoby to w smak. Moim zdaniem żadna grupa uderzeniowa lotniskowca nie weszłaby do cieśniny patrolowanej przez chińskie okręty podwodne, gdyby miała to być tylko polityczna demonstracja. Amerykanie obawialiby się po prostu, że ich lotniskowiec podzieli los „Thomasa Jeffersona”.

Chinom i ich władcom nieobca jest ksenofobia. Mają wielką, ale mamie wyposażoną marynarkę wojenną, składającą się głównie z jednostek przybrzeżnych, które niemal wyłącznie operują na wodach terytorialnych. Ale chińskie ambicje nie są tajemnicą. Marzy im się bogactwo i poprawa statusu, siła i dorównanie Zachodowi. Marzy im się też położenie kresu obecnej niezależności Tajwanu i ponowne przyłączenie wyspy do Wielkich Chin.

Nie wolno zapominać, że Czang Kaj-szek, uciekając z Chin kontynentalnych na Tajwan, zabrał ze sobą czternaście pociągów wyładowanych po brzegi wspaniałymi dziełami sztuki i historycznymi dokumentami stanowiącymi niemal całe dziedzictwo dynastyczne Chin. Dlatego

właśnie wielkie muzeum w Tajpej uznawane jest za najwspanialsze na świecie.

Nie wolno lekceważyć determinacji, jaką wykazują Chiny w kwestii przywrócenia Tajwanu macierzy. Zamówienie na Kilo było, w moim przekonaniu, jednym z pierwszych znaczących kroków na drodze do osiągnięcia tego celu.

Na początek jednostki te posłużyłyby do zaniknięcia cieśniny dla ruchu międzynarodowego. Potem, w miarę jak flota okrętów podwodnych by się rozrastała, zdobywała doświadczenie, budowała wiarę we własne możliwości i zyskiwała reputację, zaczęłyby się stopniowo rozszerzać patrolowany przez nią rejon, a to mogłoby zablokować dostęp do Tajwanu.

Granice tych rejonów patrolowania odsunęłyby się z czasem na pięćset mil od brzegu, gdzie płytsze wody faworyzowałyby Kilo. Taka obecność znacznie ograniczyłaby skuteczność morskiej ochrony, jakiej udzielają Stany Zjednoczone Tajwańczykom, i ci poczuliby się odizolowani. Pamiętajmy, że okręty podwodne nadają się najlepiej do zatapiania statków nawodnych; nie powinno się lekceważyć lekcji, jaka wynika z losu „Thomasa Jeffersona”. Kilo, który posłał go na dno, nie podkrał się pod lotniskowiec. Po prostu czekał na niego, praktycznie niesłyszalny, niczym wybuchowa dziura w wodzie.

Mając cztery takie małe rosyjskie okręty podwodne o napę-

i

dzie dieslowsko-elektrycznym na ciągłym patrolu, Chiny szybko by udowodniły, że Cieśnina Tajwańska nie jest już bezpieczna dla ruchu międzynarodowego. Wstęp do niej zostałby wzbroniony. A wyparcie ich stamtąd wymagałoby długiej i bardzo kosztownej operacji militarnej, a nie wiadomo jeszcze, czy pozwoliłyby na jej przeprowadzenie względy polityczne. Parę Kilo więcej i dni Tajwanu jako niezależnego państwa byłyby policzone.

Stany Zjednoczone prowadzą na wyspie rozległe interesy i są z nią silnie powiązane finansowo. W ciągu trzydziestu lat Tajwan stał się jednym z głównych centrów handlowych świata. Podejrzewam, że Stany Zjednoczone zareagowałyby zdecydowanie na wszelkie próby zmiany tego stanu rzeczy. W Klasie Kilo są na to gotowe. I nie sądzę, byśmy z Patrickiem Robinsonem zbyt popuścili wodzy fantazji.

Namierzyć i zatopić Kilo będący na patrolu to Zadanie piekielnie trudne, nawet jeśli dysponuje się takimi niezrównanymi środkami prowadzenia walki w powietrzu, na powierzchni i pod wodą, w jakie wyposażona jest marynarka Stanów Zjednoczonych. Zwyczajna logika podpowiada, że Kilo lepiej dopaść i zniszczyć, kiedy są daleko od domu, zanim osiągną gotowość operacyjną, zanim trafią do odbiorcy. Rosjanie nie chcą, jak dotąd, podjąć nawet dyskusji na temat wprowadzeniu zakazu sprzedaży okrętów wojennych Chinom, i nie tylko im. Zimą 1997 roku dostarczyli trzeci okręt Kilo Iranowi. Dotarł tam pod rosyjską banderą, eskortowany przez rosyjski okręt wojenny, dokładnie tak, jak to zostało przewidziane w Klasie Nimitz.

Na stronie 94 rocznika 1997-98. "Jane's Fighting Ships", tej biblii marynarek wojennych świata, znalazłem zamieszczoną przez Rosjan dwustronicową, rozkładaną reklamę zachwalającą ich najlepiej się sprzedający wojenny okręt eksportowy. Nagłówek głosił: „OKRĘT PODWODNY KLASY KILO – jedyne bezgłośnie stworzenie morza”. Niżej podany był adres w Sankt Petersburgu, telefon, faks i e-mail firmy RUBIN, ich czołowego okrętowego biura konstrukcyjnego.

Zachód musi wyciągnąć wnioski z tego agresywnego marketingu udoskonalonej wersji starego sowieckiego okrętu podwodnego o napędzie dieslowsko-elektrycznym oraz z odnowionych kontaktów między Chinami a Rosją. Bo ludzie z Pekinu są już teraz najlepszymi klientami Moskwy na nowe okręty podwodne.

Uważam, że Klasa Kilo jest w swej ocenie intencji i moty-

wów wszystkich trzech wielkich graczy niepokojąco bliska realiom. Chiny chcą Tajwanu. Rosjanie potrzebują gotówki i sprzedadzą okręt klasy Kilo każdemu, kto wyłoży za niego trzysta milionów dolarów. Stany Zjednoczone nie mogą tolerować poważnego zagrożenia dla niezależności Tajwanu. Tematem tej książki jest spekulacja, kto co zrobi i do czego się posunie.

Patrick przekuł ten temat w kolejny pasjonujący thriller. Powieść trzyma w napięciu i obfituje w zapierające dech w piersiach przygody, opisuje pracę ludzi admirała Morgana w głębinach oceanów świata. Daleko na północnym Atlantyku, pod polarną czapą lodową, przy skutych lodem wybrzeżach Syberii, nawet na wielkich jeziorach centralnej Rosji, na północ od Wołgi. I wreszcie na nagiej zmrożonej Wyspie Kerguelena, miejscu tak odległym, tak rzadko odwiedzanym, że można je bez wielkiej przesady nazwać końcem świata.

Jeśli podobała wam się Klasa Nimitz, to i tą powieścią będziecie zachwyceni. Patrick Robinson, który z kolei pomógł mi uczynić z mojej biografii bestseller, w Klasie Kilo pisze znowu o sprawach skomplikowanych lekkim, wciągającym stylem, który przemawia do każdego... i każdy powinien ją przeczytać.

Sandy Woodward, 1997

Druk i oprawa: Zakłady Graficzne „Drogowiec”, Kielce

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/